

NORA ROBERTS

Siostry z klanu
MacGregor

Z pamiętnika Daniela Duncana MacGregora

Kiedy człowiek przekroczy pięćdziesiątkę, ciągle kusi go, żeby oglądać się za siebie. Próbuje oceniać swoje życie, jeszcze raz przeżywać dawne triumfy, analizować porażki. Często myśli sobie: „Co by było, gdybym zrobił to czy tamto...”. Albo jeszcze lepiej: „Gdybym mógł cofnąć czas...”

Wielu tak robi, ale nie ja.

Nie mam czasu na gdybanie i temu podobne bzdury.

Zawsze spoglądam przed siebie, nigdy wstecz. Jestem Szkotem, jednak całe swoje długie życie spędziłem z dala od ojczyzny. Ameryka stała się moim domem. Tu założyłem rodzinę, wychowałem dzieci. Patrzyłem, jak dorastają wnuki. Tu spotkałem i pokochałem kobietę, z którą jestem od ponad sześćdziesięciu lat. Razem z nią stworzyłem naszą rodzinę, zbudowałem dom. Wciąż tak samo kocham i podziwiam moją żonę. Pracuję z nią, a jeśli trzeba - to za nią. Anna jest całym moim światem, choć mówiąc szczerze, różnie między nami bywało.

Jestem człowiekiem bogatym. I nie chodzi tu o pieniądze, majątek posiadłości. Moim największym bogactwem jest rodzina. To ona zawsze była, jest i będzie dla mnie najważniejsza. Mamy troje dzieci. Dwie córki i syna. Bardzo je kocham i jestem z nich dumny, chociaż nie zawsze miałem ku temu powody. Były takie chwile, że moje dzieci zapomniały o swoich obowiązkach wobec rodziny i o szacunku dla nazwiska, które noszą. Bardzo to denerwowało moją żonę, więc musiałem przywoływać je do porządku.

W końcu udało nam się dobrze wydać córki za mąż i ożenić syna. Kiedy mówię „dobrze”, mam na myśli to, że moje dzieci znalazły sobie takich partnerów, których kochają i z którymi są szczęśliwe. A ja i moja Anna traktujemy naszych zięciów i synową jak własne dzieci, Bardzo się cieszymy, że dołączyli do naszej gromady. Znakomity ród, dobra krew. Czegóż więcej potrzeba?

Mam jedenaścioro wnuków. Co prawda troje nosi nazwisko Campbell, ale i tak są MacGregorami z tradycji i urodzenia. Campbell, pożałuj się Boże, cóż to za nazwisko! Mimo to, dobre z nich dzieci. Wnuki są dla mnie i dla Anny największą radością. Czuwaliśmy nad nimi, gdy dorastały. Również teraz, kiedy są już dorosłe, nie spuszczały z nich oka.

Niestety, podobnie jak kiedyś ich rodzice, tak i teraz moje wnuki nie spieszą się do małżeństwa. Nie rozumieją, jak ważne jest założenie własnej rodziny, wychowanie dzieci. Z tego powodu ich babka, czyli moja Anna, zamartwia się dniami i nocami. Nie jestem człowiekiem, który przejmuje się takimi sprawami, ale żeby nieco ulżyć żonie, ułożyłem pewien plan -plan, dzięki któremu Anna będzie mogła, mam nadzieję, wreszcie spokojnie zasnąć.

Moje trzy wnuczki, najstarsze z całej jedenastki, są już w takim wieku, że powinny poważnie myśleć o zamążpójściu. To silne i mądre kobiety. No i piękne. Niech mnie kule biją, jeśli tak nie jest! Dzielnie radzą sobie w życiu, choć wszystko chcą robić po swojemu. Teraz już wiem, że niezależność jest tak samo ważna dla kobiet, jak dla mężczyzn. Moja Anna mnie tego nauczyła.

Jestem dumny z moich wnuczek. Laura jest prawnikiem, Amelia lekarzem, a Julia prowadzi interesy. Bystre i kochane są te moje dziewczyny. Jedno jest pewne - znajdę im mężów jak się patrzy. W życiu panien MacGregor nie ma miejsca dla przeciętniaków. Znajdę dla nich mężczyzn z krwi i kości, bo moje wnuczki na takich zasługują!

Mam już na oku trzech porządných chłopaków. Wszyscy z dobrych, starych rodzin. Do tego przystojni, postawni. Już widzę, że będą pasować do moich dziewczynek. Piękne będą z nich pary, nie ma co! I na pewno dadzą mi gromadkę cudnych prawnuków, żebym miał kim cieszyć oczy i serce na starość.

Ale, jak to mówią, co nagle, to po diable. Nie mogę zająć się wszystkimi na raz. Przygotowanie dobrego małżeństwa wymaga uwagi i skupienia. Dlatego też na pierwszy ogień pójdzie Laura. W końcu jest najstarsza i czas najwyższy, żeby się ustakowała. I jakem Daniel MacGregor, przysięgam, że nie dalej niż na Boże Narodzenie zagrają mojej małej Laurze marsza Mendelssohna!

Jak już wydam Laurę, wezmę się za moją kochaną Amelię, a potem za Julię. Przeczuwam, że z tą ostatnią będę miał najwięcej kłopotu. Ze wszystkich trzech, jest najbardziej samowolna i uparta. Ale i tak sobie poradzę.

Do niczego nie będę ich zmuszał, uchowaj Boże! Chcę jedynie te dziewczyny odpowiednio ukierunkować. Przypilnować, żeby czasem nie zrobiły błędu, którego będą żałować przez resztę życia. Jestem w końcu ich kochającym dziadkiem. Chciałbym spędzić jesień życia, patrząc na ich rodzinne szczęście.

Tylko jak, u licha, to zrobić? Co będzie, jeśli te pannice uprą się i będą chciały postawić na swoim?

No, pytam was, co?!

Ha, pożyjemy, zobaczymy.

Część pierwsza

Laura

Rozdział pierwszy

Telefon dzwonił od dłuższego czasu. Jednak dopiero w okolicach szóstego dzwonka jego dźwięk zdołał wywołać odpowiednią reakcję uspiętego mózgu. Przy ósmym dzwonku spod kołdry niepewnie wysunęła się ręka i zaskakująco celnym ruchem wyłączyła budzik. Przy okazji potrafiła stojącą tuż obok figurkę żaby Kermita. Niestety zrobiła to tak nieszczęśliwie, że już trzeci w tym roku uśmiechnięty Kermit roztrząskał się o podłogę.

Długie i szczupłe palce nieprzytomnie błądziły po politurowanym blacie nocnej szafki. Wreszcie natrafiły na słuchawkę i szybko wciągnęły ją pod kołdrę.

- Halo? - dobiegł z pościeli zaspany kobiecy głos.
- Ile można do ciebie dzwonić!

Laura MacGregor ziewnęła przeciągle, jakby nie zrobił na niej wrażenia ten oskarżycielski ton. Potem, wciąż niezbyt przytomna, zapytała:

- A co?

- Dzwonię do ciebie od kilku minut! Jeszcze chwila i miałem wzywać pogotowie. Już widziałem, jak leżysz martwa w kałuży krwi.

- Błąd. Leżę w łóżku - odpowiedziała Laura, po czym opadła na poduszkę. - Jeszcze śpię, dobranoc - dodała mocno zirytowana, że ją budzą.

- Jest już ósma! - wrzasnął do słuchawki Daniel MacGregor.

- Rano czy wieczorem? - zapytała rozbijającą jego wnuczką.

- Oczywiście, że rano - obruszył się senior rodu. - Za oknem piękny, wrześnieowy poranek, moja panienko. Powinnas być już dawno na nogach i cieszyć się nim, a nie spać jak suseł.

- A to dlaczego?

- Bo prześpisz całe życie! - zirytował się dziadek na dobre. - Lauro, babcia się martwi. Dziś w nocy nie mogła zasnąć. Mówiła mi, że to przez ciebie - dziadek MacGregor łągał jak z nut. Zawsze to robił, kiedy chciał osiągnąć swój cel. Nic więc dziwnego, że i tym razem sięgnął po tę sprawdzoną broń.

- Kiedy u mnie wszystko w porządku. Przepraszam, dziadziu, ale ja teraz śpię - westchnęła Laura.

Daniel MacGregor nie dał się zbyć tak łatwo.

- No dobrze, panienko, wstawaj już, wstawaj. Nie odwiedzałaś babci całe wieki, więc nic dziwnego, że się niepokoi. Czy myślisz, że jak masz dwadzieścia cztery lata, to już jesteś taka dorosła, że możesz całkiem zapomnieć o stęsknionej staruszce? - pytał, spoglądając zarazem, czy aby drzwi są dobrze zamknięte i czy nikt go nie słyszy. Gdyby jego żona usłyszała, że mówiąc o niej, używa określenia „staruszka”, z pewnością wzięłaby go w obroty. - Przyjedź na weekend - poprosił wreszcie. - I weź ze sobą siostry.

- Będzie trudno, muszę popracować nad aktami - odpowiedziała Laura, coraz bardziej senna i nieprzytomna. - Ale obiecuję, że już niedługo przyjadę.

- Oby to było rzeczywiście niedługo. Wiesz przecież, że ja i babcia nie będziemy żyć wiecznie.

- Właśnie, że będziecie! - zapewniła go Laura.

- No już dobrze - uśmiechnął się dziadek. - Wysłałem ci mały prezent i jestem pewien, że dostaniesz go jeszcze dziś rano - jego głos zabrzmiał tajemniczo. - Wyskakuj więc z łóżka i szybko zrób się na bóstwo. Tylko załóż jakąś porządną sukienkę.

- Oczywiście, dziadziu, już się robi, pa, pa... - wymam-

rotała sennie Laura i nie czekając, aż dziadek się rozłączy, odłożyła słuchawkę na podłogę, naciągnęła kołdrę po same uszy i w jednej chwili zapadła w słodki, twardy sen.

Niestety, tego ranka nie było jej dane się wyspać. Jakies dwadzieścia minut później ktoś zaczął brutalnie szarpać ją za ramię i wrzeszczeć jej do ucha:

- Mam tego dosyć, Lauro! Znowu to zrobiłaś!

- Co takiego? - zapytała zaspana i usiadła na łóżku. Spod splecionych czarnych włosów błyskały nie całkiem jeszcze przytomne ciemne oczy. - Co takiego zrobiłam?

Julia MacGregor zacisnęła dłonie w pięści i ze złością wpatrywała się w ziewającą siostrę. Po chwili zdołała opanować gniew i siląc się na spokój, powiedziała:

- Jak to co? Po raz nie wiem już który nie odłożyłaś słuchawki! A ja czekam na bardzo ważny telefon!

- A... - ziewnęła Laura, najwyraźniej niezbyt przejęta sytuacją. Jej umysł wciąż był w stanie błogiego uśpienia. Leniwie uniosła dłonie i spróbowała przygładzić zwichrzone włosy, jakby ten gest mógł pomóc w odzyskaniu jasności myślenia. - Zdaje się, że dzwonił dziadek - poinformowała kuzynkę. - Ale nie jestem pewna, bo potem zasnęłam i teraz nic nie pamiętam.

- Dziadek? Nie słyszałam telefonu - zdziwiła się Julia. - Pewnie zadzwonił, kiedy brałam prysznic, a Amelia wyszła już do szpitala. Czego chciał? - zapytała, po czym, widząc bezradną minę Laury, roześmiała się domyślnie. - Pewnie to, co zwykle. „Babcia martwi się o ciebie...” i tak dalej.

- Rzeczywiście, chyba o to chodziło. - Laura z westchnieniem ponownie ułożyła głowę na poduszce. Następnie, z właściwą dla wszystkich prawników logiką, powiedziała do siedzącej na brzegu łóżka Julii: - Gdybyś szybciej wyszła spod prysznica, zdążyłabyś odebrać, a babcia musiałaby martwić się o ciebie.

- Dobrze, dobrze. O mnie martwiła się w zeszłym tygodniu. A teraz - Julia spojrzała na zegarek - muszę już lecieć,

bo umówiłam się z agentem od nieruchomości. Jadę oglądać nowy dom.

- Jeszcze jeden? Przecież dopiero co kupiłaś jakiś w zeszłym miesiącu.

- Dwa miesiące temu, kotku. Teraz ten dom jest już przygotowany do ponownej sprzedaży, a ja... - Julia zrobiła sprytną minkę i odrzuciła w tył imponującą grzywę płomiennie rudych loków - ...a ja mam w głowie następny projekt.

- W takim razie powodzenia. Ja miałam na dziś ambitny plan, żeby najpierw wypaść się do południa, a potem wziąć się za czytanie akt mojej nowej sprawy - powiedziała Laura, po czym wzruszyła ramionami i siłać się na ironię, dodała: - Ale zdaje się, że w tym domu nie będzie to możliwe.

- Nie marudź. Będziesz miała święty spokój i cały dom dla siebie. Amelia ma podwójny dyżur w szpitalu, a ja nie wrócę wcześniej niż o piątej.

- Wiesz, że to nie jest moja kolej na gotowanie? - zastrzegła Laura.

- Wiem, wiem. Kupię coś po drodze. - Julia ruszyła do wyjścia.

- Kup pizzę. Koniecznie podwójny ser i czarne oliwki! - zawołała za nią Laura, ta zaś zatrzymała się w drzwiach i sprawdzając jednocześnie w lustrze, jak leży jej nowa zielona marynarka, odparła:

- Że też ty zawsze przed śniadaniem musisz martwić się o obiad.

Wyglądziła spodnie w kratę, wyszła szybkim krokiem z sypialni i w chwilę później krzyknęła z korytarza:

- Do zobaczenia wieczorem! I pamiętaj, żeby odłożyć słuchawkę, jak skończysz rozmawiać!

Trzasnęły drzwi, zapadła cisza. Laura leżała na plecach i przyglądała się plamom słońca na suficie. Z rozkoszą myślała o tym, że za chwilę schowa głowę pod kołdrę i pośpi sobie jeszcze godzinkę. Nigdy nie miała problemów z zasypianiem.

Potrafiła zasnąć w dowolnym miejscu i o każdej porze. Jak się okazało, ta rzadka umiejętność była bardzo przydatna podczas studiów prawniczych.

Niestety, rozmowa o pizzy z podwójnym serem i oliwkami spowodowała, że zaczęło jej burczeć w brzuchu. Wszyscy w rodzinie wiedzieli, że Laura najbardziej lubi jeść i spać. Tego ranka głód zwyciężył senność i dziewczyna energicznie wyskoczyła z pościeli. Tak była pochłonięta myślą o sytym, smacznym śniadaniu, że ani przez moment nie pomyślała o narzuceniu na siebie szlafroka. W białej koszulce i błękitnych bawełnianych spodenkach pognąła na dół do kuchni i otworzyła z zaciekawieniem lodówkę.

Laura od lat mieszkała ze swymi dwoma kuzynkami. Tak było przez całe studia. Choć od ich zakończenia minęły dwa lata, panny MacGregor jakoś nie mogły się rozstać. Niedawno wprowadziły się do niewielkiego, wolnostojącego domu, który został kupiony i wyremontowany przez Julię. Wnętrze domu stanowiło ciekawą i niebanalną mieszaninę stylów, co odzwierciedlało całkowitą odmienność gustów trzech jego lokatorów. Antyki Amelii musiały pogodzić się z nowoczesnymi formami, które uwielbiała Julia. Między nimi znalazło się miejsce dla okazów prawdziwego kiczu, których zapaloną kolekcjonerką była najstarsza z sióstr.

Mimo tego pomieszania każdy odwiedzający panny MacGregor gość przyznawał, że urządzając swój dom, wykazały się niemałym talentem. Niestety, w przypadku salonu najwyraźniej opuściła je wena. Być może traktowały to wspólne pomieszczenie jak ziemię niczyją. Tak czy inaczej, efekt był taki, że ściany pomalowano tu na kolor ciepło żółty, natomiast meble miały wszystkie możliwe odcienie błękitu. Szczególną ozdobą był szafirowy zegar w kształcie kota, który rytmicznymi ruchami ogona odmierzał upływające sekundy.

Laura zapatrzyła się w diamentowe kocie oczy i uśmiechnęła się do siebie w zamyśleniu. Najważniejsze, że ona, Amelia

i Julia doskonale się rozumiały. Były nie tylko kuzynkami, lecz przede wszystkim prawdziwymi przyjaciółkami. Zresztą wszyscy członkowie klanu MacGregorów, choć tak bardzo od siebie różni, cechowali się wzajemną lojalnością i oddaniem, stanowiąc wyjątkowo zżytą rodzinę.

Znów się uśmiechnęła i pomyślała tym razem o swoich rodzicach. Gdzie teraz są? Czy udały im się wakacje w Indiach? Była pewna, że tak. Caine i Diane MacGregorowie byli idealną parą. Małżonkowie, rodzice, partnerzy w szanowanej w całym Bostonie kancelarii prawniczej - wszędzie razem. Pomimo dwudziestu pięciu lat małżeństwa, wychowywania dzieci, stresującej pracy, wciąż byli zgodni i jednomyślni. Pasowali do siebie jak dwie połówki jednego jabłka.

Laura wprost nie mogła pojąć, w jaki sposób zdołali tak perfekcyjnie odegrać wszystkie role i wypełnić wszystkie obowiązki. Wyobrażała sobie, jak wiele wysiłku musiało ich to kosztować. Ona sama uważała, że lepiej jest skoncentrować się na jednym, najważniejszym zadaniu. W tej zaś chwili najistotniejsza dla Laury była świeżo rozpoczęta kariera prawnicza.

Oczywiście, nie licząc śniadania, które właśnie zamierzała sobie zrobić.

Roys Cameron zaparkował swojego jeepa tuż za malutkim, sportowym kabrioletem typu Spitfire w kolorze płomiennej czerwieni. Taki samochód i taki kolor są jak transparent z napisem: „Poproszę o jeszcze jeden mandat za przekroczenie dozwolonej prędkości”, pomyślał. Zachwycony drogim cackiem pokręcił głową, po czym zainteresował się domem. Budynek był nieduży, ale bardzo piękny, z klasą. Zresztą czego innego można było się spodziewać po dzielnicy Back Bay, znanej w całym Bostonie z tego, że zamieszkują ją bogacze i snoby. Boston jest przecież miastem, które słynie w całych Stanach z trzech rzeczy: z tradycji walki o niepodległość, ze znakomi-

tej drużyny baseballowej Red Sox, no i wreszcie z żyjących w dostatku i korzystających z szerokich wpływów rodzinnych klanów. Takich jak MacGregorowie.

Gdy jednak Roys patrzył na ów dom, nie myślał ani o pieniądzach, ani o niewątpliwej klasie jego właścicieli. Chłodne, niebieskie oczy starannie oglądały każdy detal architektury, dokładnie przyglądały się drzwiom i oknom. Dużo przeszklonych powierzchni znaczyło dla niego tyle, że nie będzie problemu z dostaniem się do środka. Rześki jesienny wiatr targał gęste, brązowe włosy Roysa, które dawno już nie widziały fryzjera, a on stał przed domem niczym posąg. Wpatrywał się w kamienną ścieżkę, wijącą się przez zadbane trawnik ku szklanym drzwiom głównego wejścia, i coś ważył w myślach.

Wreszcie ruszył powoli ścieżką, podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Były zamknięte, lecz on mógłby je otworzyć jednym mocnym kopnięciem. Pięć sekund i byłby w środku. Jego oczy nie wyrażały żadnych emocji, twarz stężała, klasyczna twarz kryminalisty. Tak przynajmniej twierdziła kobieta, której kiedyś o mały włos nie poślubił. Nie powiedziała, co dokładnie ma na myśli, on zaś nie zapytał, bo było to w czasach, kiedy nie układało im się najlepiej i ich związek powoli się rozpadał. W każdym razie potrafił nadać swojej twarzy wyraz całkowitej bezwzględności i tak też się stało teraz, gdy zastanawiał się, jak najszybciej i najłatwiej dostać się do tego ślicznego, starego domostwa.

Przez krótką chwilę próbował wyobrazić sobie wszystkie bezcenne rzeczy, które z całą pewnością znajdują się w środku. Zimne, błękitne oczy zalśniły na myśl o bogactwach. Delikatny uśmiech złagodził surową linię mocno zaciśniętych ust i sprawił, że niewielka szrama na kwadratowej szczęce stała się bardziej widoczna. Szrama była pamiątką po pewnym spotkaniu, podczas którego pięść ozdobiona brylantowym sygnetem wylądowała w okolicach brody Roysa. Przypomniał sobie, że po tym uderzeniu przeleciał w powietrzu dobre dwa metry.

A przecież nie był ułomkiem. Miał raczej posturę boksera czy, jak kto woli, łobuza. W przeszłości był zresztą jednym i drugim.

Oderwał się od tych niechlubnych wspomnień i jeszcze raz pomyślał, że nawet nie mając kluczy, mógłby wejść do domu bez najmniejszego wysiłku. Obszedł cały budynek i ponownie stanął przed drzwiami. Kilka razy zadzwonił, a ponieważ nikt mu nie otwierał, spróbował zajrzeć do środka przez szyby z matowego szkła. Przez moment podziwiał kunsztowny roślinny wzór, wykonany na szkle wprawną ręką grawera. Wszystko to było niezwykle eleganckie i piękne, ale nie stanowiło absolutnie żadnego zabezpieczenia.

Po raz kolejny nacisnął dzwonek i nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, wyjął w końcu klucze z kieszeni kurtki i najzwyczajniej w świecie otworzył sobie drzwi.

Już w progu poczuł tę charakterystyczną aurę, wypełniającą mieszkania i domy zamieszkałe przez kobiety. Składały się na nią pomieszane zapachy cytrusów, olejków eterycznych i kwiatów. Czuć było również dobre, eleganckie perfumy. Roys bezwiednie chłonał specyficzny aromat tego miejsca i jednocześnie rozglądał się po wnętrzu. Po swojej prawej stronie widział biegnące na górę schody, po lewej nieduży salonik. Pomyślał, że wszystko tu jest śliczne i wypieszczone. Zmysłowy zapach nasunął mu myśl o luksusowym domu schadzek.

Rzeczywiście, salonik mógł wywoływać takie skojarzenia. Był bardzo przytulny i gustownie urządzone. Stały w nim stare meble, a wygodne fotele miały jasne, pastelowe obicia. Wszędzie widać było, że właściciele są ludźmi zamożnymi. Najlepszym dowodem tego były porozrzucane tu i ówdzie najróżniejsze cenne przedmioty, jak choćby brylantowy kolczyk, błyszczący na małym okrągłym stoliku.

Roys wyjął z tylnej kieszeni dzinsów malutki magnetofon i zaczął nagrywać swoje obserwacje. Jego czujny wzrok padł na wiszący nad kominkiem i krzyczący jaskrawymi kolorami

olbrzymi obraz. Wydawać by się mogło, że taka nieoczekiwana kaskada śmiałych barw powinna razić w tym stonowanym wnętrzu. Tymczasem w jakiś przedziwny sposób nowoczesny obraz doskonale komponował się z otoczeniem.

Mężczyzna zbliżył się do malowidła. W rogu zauważył podpis - D.C. MacGregor. Najwyraźniej płótno było dziełem któregoś z członków tej niezwyklej rodziny.

Dalsze rozmyślania przerwał mu dobiegający z wnętrza domu śpiew. Śpiew? O nie, nawet przy maksimum dobrej woli nie można byłoby nazwać śpiewem przeraźliwych dźwięków, które tak brutalnie zakłóciły ciszę. Odgłosy te przypominały raczej potępieńcze jęki albo wycie dzikiego zwierzęcia.

Przy ogromnym wysiłku udało mu się rozpoznać wariację na temat jednej z nastrojowych piosenek Whitney Houston. Zresztą, jak by nie nazwać tego wokalnego horroru, dla Roysa oznaczał on jedno - nie był w domu sam. Szybko wyłączył swój magnetofonik i wsunął go z powrotem do kieszeni. Cofnął się i przez hol poszedł w kierunku pomieszczenia, z którego dobywało się zawodzenie.

Kiedy stanął na progu skąpanej w słońcu kuchni, na jego poważnej twarzy pojawił się niespodziewanie wyraz bezgranicznego zachwyty.

Kobieta, którą zobaczył, była niezwykle atrakcyjna. Smukła i bardzo wysoka, miała obłądnie długie i zgrabne nogi. Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie byłby obojętny, patrząc na coś takiego. Już sam widok tych niewiarygodnie pięknych, delikatnie opalonych nóg był dla Roysa dostatecznym zadośćuczynieniem za całkowity brak słuchu ich właścicielki. Stał więc w progu oniemiały z zachwyty i dokładnie, centymetr po centymetrze, badał ten cud natury.

Widok był naprawdę niezwykły. Dziewczyna, odwrócona do niego tyłem, schylała się w taki sposób, że górna połowa jej ciała całkowicie ginęła w przepastnym wnętrzu olbrzymiej lodówki. W tym samym czasie szczupłe biodra wykonywały

zmysłowe taneczne ruchy w rytm słuchanej z walkmana muzyki. Poruszały się leniwie i ponętnie, dostarczając Roysowi tak przyjemnych wrażeń, że był gotów zignorować wszystkie fałszywe tony raniące jego uszy. A było na co popatrzeć...

Roztańczona istota miała cudowne włosy. Proste i czarne z granatowym odcieniem, jak niebo nocą. Bardzo długie. Aż do smukłej talii, na której Roys zapragnął nagle położyć obie ręce.

Do tego jeszcze ta bielizna. Nigdy dotąd nie widział kobiety ubranej równie prosto i jednocześnie kusząco. Miał tylko nadzieję, że nie rozczaruje się, kiedy zobaczy jej twarz. Jeśli chciał się o tym szybko przekonać, musiał w jakiś sposób zwrócić na siebie uwagę.

- Przepraszam bardzo! - odezwał się donośnym głosem.

Niestety, nie wywołało to żadnej reakcji. Spodziewał się pisku i krzyku, tymczasem długonoga tancerka nie przerywała buszowania w lodówce, a jej biodra ani na moment nie przestawały uwodzicielsko się kołysać.

Roys spróbował jeszcze raz:

- Nie żeby nie podobało mi się, jak pani tańczy, ale może byśmy się w końcu poznali - zaproponował, lecz i tym razem jego słowa nie dotarły do młodej kobiety. Najspokojniej w świecie wykonała jeszcze jeden seksowny ruch, który sprawił, że Roys na znak najwyższego uznania przeciągle gwizdnął przez zęby. Z jej gardła wydobył się nagle dźwięk tak wysoki, że gdyby w pobliżu znajdował się jakiś kryształowy kieliszek, z pewnością rozprysnąłby się w drobny mak. Zakończywszy swój wokalny popis, odwróciła się wreszcie od lodówki i trzymając w jednej ręce kurze udko, a w drugiej puszkę jakiegoś napoju, stanęła oko w oko z Royssem.

Nie cofnęła się gwałtownie, za to wrzasnęła. Znów wysoko i przeraźliwie, a tak głośno, że umarłego postawiłaby na nogi. Roys był przygotowany na taką reakcję. Natychmiast wyciągnął rękę w uspokajającym geście i zaczął wyjaśniać, kim jest i po co przyszedł.

Laura MacGregor czuła się jak na niemym filmie. Miała przed sobą obcego mężczyznę, który mówił coś do niej, podczas gdy ona słyszała tylko płynącą ze słuchawek muzykę. Wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana. Jej szeroko otwarte oczy spoglądały na potargane, ciemne włosy nieznanego, jego spłowiałe dzinsy i posępną twarz, która mogłaby przerazić samego diabła.

Naraz przyszło jej do głowy, że trzeba bronić się przed napastnikiem. Posłuszna głosowi instynktu, bez namysłu cisnęła w mężczyznę puszką, którą trzymała w ręce. Celowała między oczy, ale pomimo zadziwiającej precyzji rzutu, jej pocisk nie zdołał osiągnąć celu i został przechwycony przez intruza. Widząc to, Laura podskoczyła do kuchennego stołu i pewnym ruchem chwyciła długi nóż. Nie czekając ani chwili, zaatakowała mężczyznę z dzikim wrzaskiem.

- Niech się pani uspokoi! - Mężczyzna zrobił unik, po czym stanął obok i podniósł obie ręce do góry. Starał się nadać głosowi łagodny ton, ale Laura nie miała zamiaru być spokojna.

- Nie próbuj się zbliżyć! Jeden nieostrożny ruch i... - warknęła ostrzegawczo, cały czas posuwając się ostrożnie w stronę telefonu. - I wbiję ci ten nóż prosto w serce!

Roys spokojnie rozważał sytuację. Mógłby obezwładnić tę wojowniczą pannę w jakieś dwadzieścia sekund, ale był pewien, że w wyniku tej akcji któreś z nich, najpewniej on, potrzebowałoby szybkiej interwencji chirurga.

Postanowił negocjować.

- W ogóle się nie ruszam. Niech pani posłucha, dzwoniłem do drzwi wiele razy, ale pani nie otwierała. Przyjechałem, żeby... - urwał nagle, uświadomiwszy sobie, że kobieta wciąż ma na uszach słuchawki od walkmana. Poprosił ją na migi, by je zdjęła, przy czym każdemu gestowi towarzyszyło wyraźnie wymawiane słowo: - Niech... pani... zdejmie... słuchawki!

Laura spełniła jego prośbę i dla pewności powtórzyła, patrząc mu prosto w oczy:

- Ani kroku, jasne? Dzwonię po policję!

- W porządku - odetchnął Roys i nawet spróbował się uśmiechnąć. - Ale uprzedzam, że będzie pani głupio, kiedy przyjadą. W końcu wykonuję tylko swoje obowiązki. Słyszała pani o instalacjach antywłamaniowych, które montuje firma Camerona? - zadał pytanie, które miało być, jak sądził, retoryczne. Ponieważ jednak kobieta nie odzywała się ani słowem, spokojnie ciągnął dalej: - Dzwoniłem i pukałem. Bez odzewu. Zdaje się, że Whitney śpiewała za głośno. Jeśli pani pozwoli, pokażę identyfikator.

- Dobrze - zgodziła się. - Tylko żadnych zbędnych ruchów. Weź swój papier w dwa palce i unieś rękę nad głową.

To właśnie zamierzał zrobić. W ciemnych, ogromnych oczach tej kobiety ani przez moment nie dojrzał strachu. Za to wyraźnie widział w nich gwałtowność i porywczosć charakteru. Nie chciał zadzierać z osobą, która uzbrojona w kuchenny nóż, bez lęku stawia czoło obcemu mężczyźnie. Aby więc dodatkowo ją uspokoić, dodał:

- Miałem się z panią spotkać o dziewiątej rano, obejrzeć dom i porozmawiać o systemach zabezpieczających.

Laura przyjrzała się dokładnie identyfikatorowi i ciągle wietrząc jakiś podstęp, spytała podejrzliwie:

- Niby z kim miał pan mieć to spotkanie?

- Z Laurą MacGregor.

Wolną ręką chwyciła słuchawkę telefonu, do którego wreszcie zdołała podejść.

- Słuchaj, kolego - powiedziała - Laura MacGregor to ja. Naprawdę nie przypominam sobie, żebyśmy się kiedykolwiek umawiali.

- Bo to nie pani ze mną rozmawiała, tylko pan MacGregor - próbował wyjaśniać Roys.

- Który MacGregor? - Popatrzyła na niego podejrzliwie.

Roys powoli zaczynał niecierpliwić się tą absurdalną sytuacją. Uśmiechnął się drwiąco i odpowiedział:

- Jak to który? Stary. Daniel MacGregor zadzwonił do mnie, żebym spotkał się z jego wnuczką Laurą. Mam obejrzeć dom, a potem zaprojektować najlepszy z możliwych alarmów. Wszystko po to, żeby „dziewczynki”, jak się wyraził, były bezpieczne. Podobno babcia cały czas się o nie martwi - zakończył, uśmiechając się przy tym złośliwie.

To ostatnie zdanie brzmiało tak prawdopodobnie, że uspokoiło Laurę i postanowiła nie dzwonić po policję. Odłożyła z wahaniem słuchawkę, choć dla pewności nie zrezygnowała z noża. Pomysł z alarmem doskonale pasował do jej dziadka. Do tego jeszcze babcia, która nie robi nic innego, tylko wciąż martwi się o swoje dorosłe wnuczki. Nikt poza Danielem MacGregorem nie wymyśliłby czegoś podobnego.

- Kiedy pana wynajął? - spytała, chcąc ostatecznie wyjaśnić tę dziwną sytuację.

- W zeszłym tygodniu. Wezwał mnie do tej swojej fortecy w Hyannis Port. Chciał mi się dokładnie przyjrzeć, zanim zleci robotę. Niewiarygodny facet z tego pani dziadziusia. No i ten jego dom... Krótko mówiąc, dobiliśmy targu, a potem opiliśmy interes wyborną whisky. Ma się rozumieć, przy cygarze.

- Naprawdę? - Laura uniosła brwi, co nadało jej pięknej buzi wyraz uroczego zdumienia. - A co na to babcia?

- Przepraszam, ale nie rozumiem. Na Co? Na umowę, którą zawarłem z pani dziadkiem?

- Nie, na whisky i cygara!

- A, to... No cóż, babcia nie była przy tym obecna. Zresztą pan MacGregor najpierw zamknął na klucz drzwi swojego gabinetu, a dopiero potem wyciągnął cygara ze skrytki. Swoją drogą to doskonały pomysł. Kto szukałby cygar w opasłym tomie „Wojny i pokoju”?

To, że mężczyzna wie o skrytce w atrapie książki, ostate-

cznie przekonało Laurę, że nie ma do czynienia ze złodziejem, który wdarł się do domu, żeby ją obrabować.

- No dobrze, panie Cameron, zdał pan egzamin - powiedziała, po czym z westchnieniem głębokiej ulgi odłożyła nóż do szuflady.

- Pan MacGregor miał powiadomić panią o mojej wizycie.

- Owszem, dzwonił dziś rano. Mówił o jakimś prezencie, ale nie pytałam, co ma na myśli.

Schyliła się, żeby podnieść kurze udko, które wcześniej upuściła na podłogę. Kiedy się poruszała, jej włosy falowały. Wyglądały przy tym jak splot czarnych jedwabnych nici.

- Jak więc dostał się pan do środka? - zagadnęła, wciąż zagniewana.

- Pani dziadek dał mi klucze. - Roys wyciągnął je z kieszeni i położył na stole. - Mówiłem już, że dzwoniłem do drzwi wiele razy. - Teraz przyjrzał się puszcze, którą ciągle trzymał w dłoni. - Celnie pani rzuca - zauważył.

- Dziękuję - uśmiechnęła się powściągliwie.

Była naprawdę piękna, przecudna. Podziwiał jej wystające kości policzkowe, zmysłowe pełne usta i duże oczy, które miały kolor gorzkiej czekolady. Nie mógł się opanować, by nie skomentować tego widoku.

- Ale to wszystko nic, w porównaniu z pani urodą - powiedział. - Nie widziałem dotąd tak pięknej kobiety.

Laurze nie spodobało się, że mężczyzna przygląda jej się tak wnikliwie. Również komentarz na temat wyglądu nie przypadł jej do gustu. Postanowiła jak najszybciej znaleźć odpowiednią ripostę.

- A pan, panie Cameron, powinien Bogu dziękować za niezły refleks. Gdyby nie on, leżałby pan teraz na podłodze w stanie błogiej nieświadomości.

- Może to nie byłoby takie złe - odparł, nie zrażony kąśliwą uwagą. Nie chciał zrazić do siebie tej kobiety, więc spróbował uśmiechnąć się rozbrajająco. Niestety, Laura wcale nie złagodniała.

- Proszę tu zaczekać - powiedziała surowo. - Ubiorę się, a potem, skoro już pan się tu znalazł, porozmawiamy o zabezpieczeniu domu.

- Jeśli o mnie chodzi, to zupełnie nie przeszkadza mi pani strój - powiedział i spojrzał na nią w sposób, który ona odebrała jako dwuznaczny. Zdenerwowało ją to jeszcze bardziej. Odwróciła się i popatrzyła mu prosto w oczy. Jej wzrok zdawał się mówić: „nie ze mną te numery!”.

Zaproponowała Roysowi, żeby usiadł, i obiecała, że wróci najdalej za kilka minut. Potem z obojętną miną przeszła obok niego i skierowała się w stronę schodów.

Roys patrzył na nią i nie mógł oderwać zachwyconego wzroku od tych nieziemsko zgrabnych nóg. Już drugi raz tego ranka gwizdnął cicho przez zęby, dając tym wyraz swego najwyższego uznania dla piękna kobiecych kształtów.

Rozdział drugi

Laura cały dzień przesiedziała przy masywnym dębowym biurku w kancelarii prawniczej swoich rodziców. Obłożona stosami kodeksów, starała się wyszukać jakiś precedens, który miałby zastosowanie w sprawie, nad którą od pewnego czasu pracowała. Bardzo chciała, żeby wszystko było gotowe przed powrotem rodziców z wakacji - zbierała bowiem materiały dla swojej matki, prowadzącej sprawę Holloway przeciw stanowi Massachusetts.

W miarę jak zagłębiała się w szczegóły, czuła, że przyszły sędziowski werdykt obchodzi ją bardziej niż zwykle. Miała nadzieję, że jeśli sumiennie wykona swoją pracę i zgromadzi wszystkie dokumenty, być może matka zechce skorzystać z jej pomocy także podczas procesu. Może nawet pozwoli jej przesłuchiwać świadków.

Laura zawsze wiedziała, że pójdzie w ślady rodziców i zostanie prawnikiem. Pociągała ją atmosfera sali sądowej, fascynowało to niezwykle napięcie istniejące między sędzią, oskarżonym i ławą przysięgłych. Rozumiała konieczność ciężkiej, żmudnej pracy, jaką trzeba było włożyć w przygotowanie każdej sprawy. Miała też przebiegłość niezbędną przy przewidywaniu ewentualnych posunięć przeciwnika. Przede wszystkim zaś miała ambicje, talent i przekonanie, że w przyszłości będzie nie gorszym prawnikiem niż jej słynni w całym Bostonie rodzice.

Zamknięta w cichej bibliotece, zagrzebana w książkach, zapomniała o bożym świecie. Pracowała, póki jej zmęczone oczy nie zaczęły się same zamykać. Mimo to nie zamierzała

się poddawać. Wiedziała, że tylko dzięki wysiłkowi można coś osiagnąć w zawodzie, który sobie wybrała.

Sprawa, do której Laura z takim entuzjazmem zbierała materiały, dotyczyła kobiety sądzonej za zabicie męża. Nie było żadnych wątpliwości, że Amanda Holloway popełniła zbrodnię. Proces sądowy miał ustalić, co popchnęło tę nieszczęsną kobietę do tak desperackiego czynu, zaś ława przysięgłych, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, miała zdecydować, jaką wymierzyć karę. Na korzyść oskarżonej przemawiał fakt, że przez pięć lat trwania małżeństwa była maltretowana psychicznie i fizycznie. Laura wiele razy zastanawiała się, dlaczego - Amanda Holloway nie uciekła od brutalnego męża. Dlaczego pozwalała mu znęcać się nad sobą. Po co przez tak długi czas znosiła ból i upokorzenia, skoro mogła po prostu odejść i spróbować jeszcze raz ułożyć sobie życie gdzieś daleko, gdzie nikt by jej nie znał.

Niestety, nie zrobiła tego. Za to którejś upalnej letniej nocy, doprowadzona do ostateczności kolejną awanturą, biciem i gwałtem, sięgnęła po służbowy pistolet swojego męża i zastrzeliła go, kiedy spał. Mszcząc się za wszystkie lata cierpienia, strzelała do swojego oprawcy, póki nie opróżniła całego magazynka. Potem spokojnie zadzwoniła po policję.

Ironia losu polegała na tym, że Amanda czekała z zemstą zbyt długo. Jak ustalono w śledztwie, od momentu kiedy została zgwałcona przez męża, do chwili gdy pociągnęła za spust, minęła cała godzina. To wystarczyło, aby w świetle prawa czyn, którego się dopuściła, został zakwalifikowany jako morderstwo popełnione z premedytacją, nie zaś w obronie własnej. To z kolei mogło oznaczać wyrok długoletniego więzienia.

Sytuację Amandy dodatkowo pogarszał fakt, że jej mąż był policjantem i cieszył się nienaganną opinią wśród przełożonych i kolegów z posterunku. Mogłoby się wydawać, że tej nocy kiedy Amanda Holloway zastrzeliła męża, sprawiedliwości stało się zadość. Niestety, kodeks karny jest zbiorem suchych pa-

ragrafów i nie uwzględnia możliwości samosądu. Za każde przestępstwo, nawet to popełnione ze zrozumiałych powodów, grozi określona kara. Jednak Laura MacGregor dawno już zdecydowała, że w tym przypadku winowajczyni powinna być potraktowana łagodniej, i że ona, Laura, zrobi wszystko, co w jej mocy, aby Amanda Holloway nie trafiła do więzienia.

Roys Cameron z wielką przyjemnością obserwował pracującą Laurę. Pochylona nad swoimi kodeksami, w niczym nie przypominała seksownej dziewczyny, którą zobaczył, kiedy w nocnej bieliźnie śpiewała i tańczyła przy otwartej na oścież lodówce. Nie wyglądała również jak chłodna, skromnie ubrana i rzeczowa młoda dama, z którą później rozmawiał o systemach zabezpieczających jej dom. Laura MacGregor, siedząca przy zawalonym książkami dębowym stole, wyglądała raczej jak studentka, która uczy się do ważnego egzaminu.

Jednak z drugiej strony strój i wyraz twarzy Laury sprawiał, że robiła wrażenie niedostępnej osoby z wyższych sfer. Piękne, czarne włosy zaplotła w przedziwnie poplątany warkocz. Ubrana była prosto i wygodnie, acz z dużym smakiem i klasą. Biblioteka, w której teraz pracowała, pachniała skórą, drewnem i dobrymi perfumami. Wszystko to razem tworzyło aurę dostatku i zamożności. Roys pomyślał sobie, że gdyby nie widział tej kobiety, jak tańczy beztrąsko w słonecznej kuchni, uznałby ją za istotę absolutnie niedostępną.

Oparty o drewnianą futrynę drzwi, przyglądał się zapracowanej dziewczynie dość długo. Wreszcie zdecydował się otworzyć usta:

- Wyglądasz jak rasowy prawnik - powiedziała.

Jego głos wyrwał Laurę z zamyślenia. Potrząsnęła głową jak ktoś obudzony z głębokiego snu. Czekoladowe oczy tylko przez ułamek sekundy miały nieprzytomny wyraz, lecz już po chwili Laura była w pełni świadoma, gdzie się znajduje i kto do niej mówi.

- Jestem prawnikiem - stwierdziła obojętnie. - Od zesłanych wakacji jestem adwokatem, więc jeśli potrzebujesz...

- Całe szczęście nie, ale będę pamiętał o twojej ofercie - przerwał jej i uśmiechnął się najbardziej promiennym uśmiechem, na jaki było go stać.

Podczas rozmowy o alarmach, która nastąpiła po niefortunnym spotkaniu w kuchni, Laura miała okazję dobrze przyrzec się mężczyźnie, którego wcześniej o mało nie zadźgała kuchennym nożem. Doskonale wiedziała, że jego wygląd, a szczególnie diabelski wzrok i blizna na szczęce, musi intrygować kobiety. Ponieważ sama była w tej chwili bardzo zajęta i nie chciało jej się zastanawiać nad zaletami Roysa Camerona, uznała, że najlepiej będzie pozbyć się go. Wróciła więc do studiowania kodeksu i nie patrząc na niego, powiedziała:

- Kancelaria jest zamknięta do końca miesiąca.

- Wiem. To samo powiedziała mi recepcjonistka na dole. Nie przyszedłem jednak ani do ciebie, ani do twoich rodziców - odparł, idąc wolno w stronę jej biurka. Poruszał się leniwie i pewnie, niczym drapieznik czający się do skoku. Kiedy stanął obok niej i oparł się biodrem o blat, zapytała:

- Co więc tutaj robisz?

- Dostałem zgłoszenie, niedaleko stąd. Postanowiłem, że przy okazji wpadnę powiedzieć, że u ciebie zaczynamy instalowanie alarmu w najbliższą sobotę.

- Świetnie. Dziadek pewnie się ucieszy.

- Na pewno, bardzo się o was troszczy i jest z was dumny. Widać to na pierwszy rzut oka. Kiedy o opowiada o wnuczkach, aż błyszcza mu oczy.

Laura uśmiechnęła się łagodnie, słysząc te słowa.

- Tak, dziadek jest kochany. To najcudowniejszy człowiek, jakiego znam. I przy okazji najbardziej irytujący - dodała. - Gdyby mógł, najchętniej zamknąłby nas trzy w swojej twierdzy w Hyannis Port.

- Rozumiem go. Boston może być bardzo niebezpieczny

dla młodej, ładnej dziewczyny - powiedział Roys, naśladowując charakterystyczny niski ochrypły głos starego Daniela MacGregora.

Laura zaśmiała się cicho.

- Nieźle - skomentowała. - Trochę więcej mocy i mówiłbyś zupełnie jak on.

- Swoją drogą jest wiele prawdy w tym, co mówi pan MacGregor. Mieszkacie tu we trzy, młode kobiety w sporym domu, pełnym różnych cennych przedmiotów. Ktoś może się na to połasić. Szczególnie, że nie miałby problemu z upłynięciem większości tych skarbów. Do tego jedna z was jest córką byłego prezydenta. Nie mówiąc już o tym, że jesteście bardzo atrakcyjnymi kobietami, wnuczkami najbogatszego człowieka w Bostonie. To wszystko sprawia, że stajecie się niezwykle atrakcyjnym celem.

- Panie Cameron - wtrąciła Laura ostro - niech pan pamięta, że nie jesteśmy słodkimi idiotkami.

- Mam na imię Roys.

- Nie jesteśmy słodkimi idiotkami - powtórzyła, ignorując jego słowa. - Nie bywamy w podejrzanych miejscach, nie zapraszamy do domu nieznajomych, nie podrywamy facetów w barach...

- I to się chwali.

Laura wyprostowała plecy, by nadać swej postaci jak najbardziej zasadniczy wyraz.

- Niech pan posłucha - powiedziała suchym tonem. - Uważam, że mój dziadek przesadza ze swoimi niepokojami. Ale jeśli zainstalowanie wymyślnych alarmów i zabezpieczeń ma go uspokoić, to ja się na to zgadzam. Moje kuzynki również. A z panem rozmawiam tylko dlatego, że przysłał pana mój dziadek - dodała, po czym znów zanurzyła głowę w opasłych aktach.

- I oczywiście uważasz, że jest to wyrzucanie pieniędzy na coś kompletnie zbędnego - Roys nie dał się zbyć i zmusił ją, by podniosła wzrok.

- Uważam, że ani mnie, ani dziewczynom nie grozi w tym domu żadne niebezpieczeństwo.

- A co powiesz o sytuacji, kiedy niespodziewanie pojawia się w twojej kuchni obcy mężczyzna? Zastaje cię, jak tańczysz sobie radośnie w samej bieliznie, a w domu nie ma nikogo więcej...

- Po pierwsze, pan miał klucze - uniosła powoli wzrok - po drugie, nie miałam na sobie bielizny, tylko....- speszzyła się i na moment zawiesiła głowę.

- Tylko co?

- Piżamę!

- A, to co innego - stwierdził, udając powagę.

Rozbawiła go swoją gwałtowną reakcją i błyskiem gniewu w ciemnych oczach, który tak uroczo kontrastował z wyraźnym zakłopotaniem. Podobał mu się ten nagły pokaz temperamentu, którego na pewno jej nie brakowało, ale jeszcze bardziej podobało się to, że Laura wcale nie jest taka poważna, zasadnicza i nieporuszona, za jaką tak bardzo pragnie uchodzić. Prawdę mówiąc, skonstatował to z ulgą.

- No dobrze - powiedziała Laura, dając mu jednoznacznie do zrozumienia, że pora kończyć tę rozmowę. - Pan zainstaluje ten swój system, my będziemy go używać. A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałabym... Co pan najlepszego wyprawia? - krzyknęła i cofnęła gwałtownie głowę, gdy Roys niespodziewanie pochylił się nad nią.

Nim odpowiedział na jej pytanie, wziął długi, głęboki wdech. Zmrużył oczy, tak jak robi to ktoś, kto czuje przyjemny zapach, i dopiero potem odpowiedział:

- Chcę się jedynie upewnić, co to za zapach. Bardzo mi się podoba. To jakieś nowe perfumy? I czemu reagujesz tak nerwowo?

- Nie reaguję nerwowo. Po prostu nie lubię, kiedy obcy ludzie podchodzą do mnie zbyt blisko - odpowiedziała, nie na żarty rozżłoszczona jego prowokacyjnym zachowaniem.

- W porządku, rozumiem. - Roys wyprostował się, ale nie odsunął. - Jak długo będziesz nad tym siedzieć? - zapytał, wskazując ruchem głowy na piętrzące się na stole książki.

- Dopóki nie skończę.

- Czyli długo. Może przyjdę znowu koło siódmej wieczorem? Przyniosłbym coś do jedzenia - zaproponował.

- Nie - odpowiedziała stanowczo, demonstracyjnie wpatrzone w książkę.

- Rozumiem, jesteś zajęta.

- A nie widać?

- Nie miałem na myśli twojej pracy. Myślę o mężczyźnie. Jest ktoś w twoim życiu, prawda?

- To nie powinno cię obchodzić - rzuciła szybko, sama nie wiedząc, dlaczego pozwoliła, by przeszli na „ty”.

- Może i nie powinno - zgodził się, ale już po chwili dodał: - a jednak obchodzi.

- A to dlaczego? - Spojrzała na niego z zaciekawieniem, już nie tylko zirytowana, ale i po trosze rozbawiona tym jego niezłomnym uporem.

- Sam nie wiem dlaczego - westchnął niby bezradnie. - Po pierwsze, podobasz mi się. Po drugie, lubię zapach twoich perfum. Po trzecie, podoba mi się, jak mówisz, jak się poruszasz. Myślę, że spodobałby mi się też sposób, w jaki... w jaki myślisz - zakończył szybko, widząc, że zmrużyła już oczy z wściekłości.

- Obawiam się, że nie spodobałoby ci się to, o czym myślę w tej chwili - wycodziła.

- Być może - odpowiedział z uśmiechem. - Ale jeśli zmienisz zdanie co do kolacji, zadzwoń do mnie, dobrze?

- Jasne. Nie zostawiaj mi tylko numeru telefonu, bo już go mam - zakpiła - w domu.

Roys chyba nie bardzo się przejął jej drwiną, bo spokojnie zaczął zbierać się do wyjścia. W pewnym momencie jego wzrok padł na jedną z leżących na stole teczek, w których matka Laury trzymała akta sprawy.

- Holloway - przeczytał półgłosem napis. - Zabójstwo? - bardziej stwierdził niż zapytał, przenosząc wzrok na Laurę.

- Tak - potwierdziła.

- Znałem Johna Hollowaya - powiedział obojętnym tonem.

Gdyby nawet Laura była skłonna przyjąć zaproszenie na kolację, które Roys przed chwilą jej złożył, teraz natychmiast by się wycofała.

- Często przyjaźnisz się z facetami, którzy maltretują swoje żony? - zapytała.

- A kto mówi, że się z nim przyjaźniłem? Powiedziałem tylko, że go znałem. Był gliniarzem, ja też. To wszystko - wyjaśnił i wolno ruszył w stronę drzwi. Laura, niewiele myśląc, chwyciła go za rękaw zamszowej marynarki. Wciąż jednak niepewna czy może mu wierzyć, uważnie badała wzrokiem wyraz jego twarzy.

- Pracowaliście razem? - zapytała.

- Nie. Kiedyś, przez moment, współpracowaliśmy w czasie śledztwa, ale potem zostałem przeniesiony. Wiem, że John był dobrym gliną.

- No tak - Laura uśmiechnęła się wymownie. - Facet przez lata tłukł żonę, a ja ciągle słyszę, jakim to był wspa-
niałym policjantem. Typowa męska solidarność - pokręciła głową z niesmakiem - i zawodowa.

- Już nie jestem policjantem - zauważył spokojnie Roys. - Poza tym nie znałem Hollowaya prywatnie, spotykałem go tylko w pracy. Robił to samo, co reszta: łąpał bandytów i zakukuwał ich w kajdanki. Nigdy nie interesowałem się tym, jaki jest po robocie.

- A ja wręcz przeciwnie - Laura ani na moment nie przeta-
wiała uważnie obserwować jego twarzy. Niewiele mogła i z niej wyczytać, ale i tak miała już pewne spostrzeżenia. - Nie j przepadałeś za nim, prawda? - spytała domyślnie.

- Prawda.

- Dlaczego?

- Czy ja wiem? Jednych się lubi, innych nie. Holloway był jak dla mnie zbyt nerwowy, jak odbezpieczony pistolet. Bałem się, że jeszcze moment i wypali.

- Posłuchaj - zaczęła Laura ostrożnie. - Wiem, że już nie pracujesz w policji, ale wciąż musisz mieć jakieś wejścia. Znasz ludzi, którzy pamiętają Johna Hollowaya - ciągnęła, bacznie obserwując reakcję na swoje słowa. - Nie muszę ci mówić, jak niechętnie policjanci rozmawiają z adwokatami...

- Dziwisz się im? - przerwał jej w pół zdania. - Może byłoby inaczej, gdybyście nie wypuszczali łobuzów na wolność, zanim policja zdąży uprzątnąć ślady krwi.

Laura miała swoje zdanie na ten temat, wiedziała jednak, że nie może dać się sprowokować. Zacerpnęła głęboko powietrze i powiedziała:

- Amanda Holloway nie jest żadnym łobuzem. Ona jedynie miała pecha i źle oceniła sytuację, gdy przed laty zdecydowała się wyjść za łobuza za męża.

- Być może - zgodził się obojętnie. - Niestety, niewiele mogę tu pomóc - westchnął, po czym ponownie ruszył w stronę drzwi.

- Gdybyś jednak...

- Przyjadę w sobotę między ósmą trzydzieści a dziewiątą rano - oznajmił z uśmiechem. - Może wtedy sobie pogadamy, bo teraz nie chciałbym ci już przeszkadzać. - Skrzywił usta w dziwnym, krótkim uśmiechku i dodał na odchodnym, zanim zamknął za sobą drzwi: - I bardzo cię proszę, nie wychodź mi na spotkanie ubrana w tę swoją „piżamę”. Nie mówię, że nie chciałbym zobaczyć cię jeszcze raz w tym stroju, obawiam się tylko, że moi ludzie nie mogliby się skupić na pracy.

- No, powiedz, jak on wygląda?

Laura zajęta była właśnie malowaniem swoich i tak czarnych jak smoła rzęs, więc nie przerywając tego absorbującego

zajęcia, spoglądała na odbijającą się w lustrze twarz Amelii i zapytała:

- Jaki znowu on?

- No, ten byłby gliniarz, spec od zabezpieczeń, którego najął dziadek, żeby nas ochronił przed gangsterami - odparła ze śmiechem Amelia. Stanęła tuż za plecami siostry i przysunęła się tak blisko, że w lustrze widać było teraz dwie ładne buzie obok siebie.

Nikt obcy chyba nie uwierzyłby, że te kobiety są ze sobą blisko spokrewnione - stanowiły absolutny kontrast. Po chłopięcemu przycięta, złotoruda fryzurka Amelii w niczym nie była podobna do nieposkromionej kaskady czarnych włosów Laury. Amelia odziedziczyła urodę po matce. Miała delikatną, jasną karnację typową dla lekko rudawych blondynek. Duże oczy dziewczyny były błękitne, a czasem nabierały fiołkowego odcienia. Amelia MacGregor była drobna i niewysoka, przez co robiła na ludziach wrażenie istoty kruchej i delikatnej.

Mylił się jednak, kto tak sądził. W rzeczywistości potrafiła harować jak wół na całodobowych dyżurach w szpitalu, godzinami ćwiczyć w siłowni, a po tym wszystkim nadal tryskać niespożytą energią. Dla Laury stanowiła uosobienie piękna, inteligencji i wytrwałości.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że nie pamiętasz, jak wygląda?

- Jasne, że pamiętam - odpowiedziała Laura. - Po prostu myślałam o czymś innym. A wracając do twojego pytania, to muszę przyznać, choć niechętnie, że jest dość interesującym mężczyzną.

- Szczegóły, dziewczyno, szczegóły!!! Nie wiesz, że diabeł tkwi w szczegółach? - niecierpliwiła się coraz bardziej Amelia. - Nazywa się Cameron, tak? Czyli nosi stare szkockie nazwisko.

- Mówisz całkiem jak dziadek. Gdyby słyszał cię w tej chwili, na pewno bardzo by się ucieszył - zaśmiała się Laura.

- I to jak! - Amelia wyszczerzyła zęby do lustra i przejechała po nich czubkiem języka. - Jest żonaty? - zapytała konkretnie. Amelia zawsze była bardzo konkretna.

- Zdaje się, że nie - mamrotała Laura, która zdążyła zabrać się na nowo do zupełnie zbędnego w jej przypadku tuszowania rzęs. - Nie zauważyłam w każdym razie, żeby nosił obrączkę. A może schował ją, kiedy zaczął się do mnie przystawiać.

- A ile ma lat? Koło trzydziestki?

- Mniej więcej. A co, masz ochotę na romansik?

- Nie, nie. Na razie jedynie zbieram dane - zaprzeczyła Amelia. - Wolny, atrakcyjny, ma swoją firmę, trzydzieści kilka lat i porządne szkockie nazwisko. Hm... - zmrużyła oczy - wygląda mi na to, że dziadek nasał go na ciebie.

Laura spokojnie odłożyła tusz do rzęs, zamierzając wziąć się teraz za malowanie ust.

- Jak to na mnie? - zapytała. - Z tego, co wiem, dziadek najał pana Camerona, żeby nam pozakładał alarmy - mówiła, szukając jednocześnie szminki w kosmetyczce.

Amelia zrobiła wymowną minę i postukała kilka razy małą piąstką w głowę Laury.

- Halo, dzień dobry! Jest tam kto?

- O co ci chodzi?

- O rany, zwykle jesteś taka bystra, a teraz nie domyśliłaś się, że dziadek uknuł przeciwko tobie matrymonialny spisek?

- Matry... - Laura przerwała w pół słowa i zawołała oburzona: - To niemożliwe!

- Dlaczego? - roześmiała się Amelia. - Nie pamiętasz już, jak mniej więcej rok temu dziadek zaczął opowiadać przy byle okazji, że czas już, aby któraś z jego wnuczek ustatkowała się, założyła rodzinę i urodziła dzieci?

- Wiesz co? - Laura popatrzyła na nią ze zrozumieniem.

- No?

- Chyba masz rację. Do tego jeszcze babcia, która bez przerwy domaga się prawników. Ale nie, coś mi tu nie pasuje...

- Co takiego?

- Nie sądzę, żeby dziadek brał pod uwagę Roysa Camerona. Ten facet nie jest typem, którego nadopiekuńczy dziadek widziałby u boku ukochanej wnuczki.

- E, tam. Dlaczego nie? Trzydzieści lat, przystojny, własna firma...

- Nie - pokręciła głową Laura - nie wiem dokładnie, na czym to polega, ale w tym człowieku czai się coś niebezpiecznego. Widać to szczególnie w jego oczach. Jestem pewna, że wyziera z nich... czy ja wiem?... jakiś upór, zuchwałość, bunt.

- No, no. Brzmi coraz lepiej.

- Tak, jeśli Roys miałby zostać czyimś kochankiem. Mogę się założyć, że w łóżku jest rewelacyjny - mówiła Laura, energicznie szcztokując włosy. - Ale nie podejrzewam, żeby o to właśnie chodziło naszemu staruszkowi.

Amelia słuchała Laury i bawiła się trzymaną w dłoni szminką. Ciągłe nią obracała, jakby miało jej to pomóc w zebraniu myśli.

- Nie zgadzam się z tobą - powiedziała w końcu. - Mam wrażenie, że Roys może być dokładnie tym, o kogo chodzi naszemu przebiegłemu swatowi. Wygląda na to, że jest tak zwanym facetem z ikłą. Bo według dziadka tylko tacy są w stanie spłodzić silne, zdrowe potomstwo.

- Przestań. To, co mówisz, jest obrzydliwe - zaprotestowała Laura gwałtownie, ale jednocześnie poczuła, że pod wpływem słów kuzynki przenika ją dreszcz. - Dziadek nie mógłby... nie chciałby...

- Dobra, dobra. Żebyś się pewnego dnia nie zdziwiła. Zresztą już widać, że jego plan działa bez zarzutu.

- O czym ty mówisz, kobieto?

- Jak to o czym? Popatrz lepiej na siebie - nacierała Amelia. - Jest ósma rano, sobota, a ty, o ile wiem, nie musisz nigdzie wyjść o tej porze. Tymczasem nie dość, że już jesteś na

nogach, i to kompletnie ubrana, to jeszcze robisz sobie staranny makijaż i... - tu głęboko wciągnęła powietrze - używasz swoich najlepszych perfum.

- Ja tylko... - Laura nie zdołała dokończyć, bowiem w korytarzu prowadzącym do łazienki zadźwięczał jeszcze jeden kobiecy głos:

- Do tego jeszcze wyciągnęła z szafy swoją najnowszą bluzkę!

- Co wy...?

- Tak, tak! - Julia oparła się o futrynę. - Widziałam, bo rozłożyła ją na łóżku. Czerwona, jedwabna... To musi coś znaczyć.

- No, ładnie - mówiła rozweselona Amelia. - Taka bluzka idealnie nadaje się na sobotni rano, który nasza biedna Laura spędzi w domu, doglądając robotników instalujących system alarmowy. - Podeszła do kuzynki i położyła dłonie na jej ramionach. - Wiesz, złotko, jaka jest moja diagnoza? Ostry przypadek fizycznej fascynacji.

- Bzdura! - zezłościła się Laura, po czym niezbyt składnie zaczęła tłumaczyć, że po prostu planuje pójść po południu na zakupy i rozejrzeć się za prezentami pod choinkę. To dlatego wstała dzisiaj wcześniej i wyciągnęła wyjściowe ubranie.

- Akurat! - powiedziały Amelia i Julia zgodnym chórem.

- Przecież nigdy nie chodzisz na zakupy w sobotę - zauważyła Julia bezlitośnie. - Nienawidzisz zakupów, czego ja w żaden sposób nie potrafię pojąć. I nie zapominaj, że za prezentami zaczynasz rozglądać się dwa dni przed Bożym Narodzeniem - zakończyła, nie kryjąc satysfakcji ze swej przebiegłości.

- Wyobraź sobie, że w tym roku robię wyjątek! - Laura czuła się coraz bardziej zakłopotana. Ponieważ wiedziała, że będzie jej trudno poradzić sobie z nimi dwoma, postanowiła wycofać się z łazienki. Zrobiła najbardziej obojętną minę, na jaką w tym momencie mogła się zdobyć, po czym minęła Julię i Amelię i czmychnęła do swojej sypialni.

Czerwona jak krew jedwabna bluzka odcinała się ostro od śnieżnobiałej pościeli. Widząc ją, Laura syknęła niechętnie. Zła jak osa trzasnęła drzwiami, ale już po chwili zdecydowała, że mimo wszystko ubierze się tak, jak zaplanowała. Przecież wiadomo, że lubi zdecydowane kolory i kocha jedwab. Dlaczego więc nie miałyby właśnie dziś jej założyć?

Stojąc przed dużym lustrem, powoli zapinała maleńkie guziki i cały czas próbowała udowodnić samej sobie, że absolutnie nie jest zainteresowana Royssem Cameronem. Mamrotała pod nosem, że ten facet w ogóle nie jest w jej typie. Po pierwsze arogancki, po drugie zbyt pewny siebie. Po trzecie widział ją w wyjątkowo idiotycznej sytuacji. Wreszcie po czwarte, wylizowała, wskazując przy tym w spodnie z ciemnoszarej flaneli, nie chciała się w tej chwili z nikim wiązać. Nie dlatego, że Roys nie wydawał jej się odpowiednim kandydatem na męża. Po prostu była pewna, że przez następne kilka lat chciałyby cieszyć się niczym nie skrzepowaną wolnością, robić karierę, podróżować, poznawać ludzi. W tej sytuacji mężczyźni, a szczególnie ten jeden, z którym miała spędzić resztę życia, musieli poczekać.

Choć Laura była bardzo pochłonięta własnymi myślami, jej wyczulony słuch od razu zarejestrował dzwonek do drzwi wejściowych. Mimo to spokojnie założyła buty i jakby chcąc udowodnić, że ani Roys, ani żaden inny mężczyzna w ogóle się dla niej nie liczą, demonstracyjnie odwróciła się plecami do lustra. Potem wyszła z pokoju i zbiegła na dół.

Roysa dostrzegła w holu. Miał na sobie znoszoną skórzaną kurtkę i sprane dżinsy. Swobodnie rozmawiał z kuzynkami i śmiał się głośno, rozbawiony czymś, co powiedziała Julia. Laura była w połowie schodów, gdy odwrócił się i utkwiał w niej śmiałe spojrzenie niebezpiecznie błękitnych oczu.

- Cześć, tancerko! - powitał ją jednym z tych swoich niepokojących uśmiechów. - Fajna bluzka.

Rozdział trzeci

Roys nie miał zwyczaju uganiać się za kobietami. Zwłaszcza tymi, które nie przejawiały zainteresowania jego osobą, albo same nie wiedziały, czego chcą. Kiedy spotykał kobietę, która mu się podobała, mówił jej o tym wprost, bez zbędnych gierki i owijania w bawełnę. Uważał, że od tego momentu to ona powinna przejąć pałeczkę i zdecydować, czy ich znajomość będzie miała ciąg dalszy.

Niestety, Laura MacGregor nie przejęła inicjatywy. Co gorsza, nawet chyba nie zauważyła, że on jej coś proponuje. Zgodnie więc ze swoją dewizą powinien odpuścić i przestać zwracać sobie głowę tą dziewczyną. Jednak wszystko wskazywało na to, że tym razem będzie inaczej.

Właśnie minęły trzy tygodnie, odkąd zobaczył ją po raz pierwszy. Trzy tygodnie i cztery dni, a on cały czas nie mógł o niej zapomnieć! Wciąż miał przed oczyma skapo ubraną Laurę, która zmysłowo tańczy w kuchni. Ciągłe przypominał sobie jej twarz w chwili, gdy atakowała go kuchennym nożem. Podziwiał wtedy jej odwagę i natychmiastową chęć stawienia czoła niebezpieczeństwu. Pamięć podsuwała mu również sceny z ich ostatniego spotkania. Laura powiedziała wtedy coś o sprawiedliwości, która zawsze musi zatriumfować, i o tym, że wszystkie kodeksy są po to, aby temu dopomóc. Gdy to mówiła, Roys widział w jej oczach uczciwość i umiłowanie prawdy. Osoba myśląca w taki sposób była, jak sądził, wyjątkową rzadkością wśród prawników. No, a dziś...

Dziś, w sobotni rano, ubrana w jaskrawoczerwoną bluzkę, wolno schodziła ze schodów, podczas gdy on rozmawiał z jej

kuzynkami. Oczyma wyobraźni ujrzał znowu jej zmysłowe, pełne wargi, układające się w jeden z tych uśmiechów, które wprawiały go w zakłopotanie. Wszystkie te wspomnienia stanowiły razem bardzo niebezpieczną mieszankę i spędzały mu sen z powiek.

Roys siedział do późna w swoim małym, zagraconym biurze w dzielnicy Boylston. Zmęczone oczy piekły go nieznośnie, więc bez przerwy tarł je rękami, co oczywiście nie przynosiło ulgi. Powolnym ruchem przejechał dłońmi przez swoje ciemne włosy, które aż prosiły się o fryzjera. Co to jest, myślał niezadowolony, żebym przez tę kobietę nie spał po nocach i nie mógł odzyskać wewnętrznego spokoju, który tak bardzo jest mi potrzebny. Właściwie wiedział, co należałoby teraz zrobić. Po prostu powinien sięgnąć po notes, wybrać numer telefonu jakiejś niezbyt wymagającej starej znajomej i spędzić z nią noc. Coś jednak mówiło mu, że w tym przypadku stara jak świat męska zasada „klina klinem” nie poskutkuje.

Ale za nic w świecie nie zadzwoni też pierwszy do Laury. W końcu zaproponował jej kolację, a ona tę propozycję odrzuciła. Powiedział, żeby zadzwoniła, jeśli zmieni zdanie - nie zrobiła tego.

Ech, wiele już lat minęło, odkąd ostatni raz oszalał na punkcie kobiety i zrobił z siebie głupka. Całe szczęście miał wtedy tylko dwanaście lat. Zakochał się po uszy w starszej siostrze swojego najlepszego kolegi. Jego bogini nazywała się Marsha Bartlett i była niezwykle pociągającą szesnastolatką. Roys wdychał do niej całe dwa miesiące, chodził za nią wszędzie i spoglądał wzrokiem skarconego szczeniaka. Ona oczywiście nie zwracała na te zaloty najmniejszej uwagi, za to Roys stał się szybko pośmiewiskiem wszystkich chłopaków z siódmej klasy. Po dwóch miesiącach jego zauroczenie szczęśliwie minęło i od tej pory nie zdarzyło mu się już nigdy wdychać w podobny sposób do żadnej kobiety. A Marsha wyszła szybko za mąż za miejscowego dentystę.

Teraz postanowił jak najszybciej otrząsnąć się z tych idiotycznych wspomnień. Uderzył w klawiaturę komputera i natychmiast na ekranie pojawił się projekt skomplikowanego systemu alarmowego, który miał być wkrótce zainstalowany w ogromnym biurówcu. W ciągu zaledwie kilku minut praca pochłonęła Roysa tak bardzo, że nawet chciał zignorować dzwoniący telefon. Przy czwartym dzwonku skapitulował jednak i niechętnym gestem sięgnął po słuchawkę.

- Systemy zabezpieczające Roysa Camerona, słucham?

- Zdaje się, że mam przyjemność z samym panem Cameronem, czyż nie? - zabrzmiał w słuchawce niski, schrypnięty głos z wyraźnym szkockim akcentem.

Roys od razu domyślił się, kim jest rozmówca.

- Tak jest, panie MacGregor. Czym mogę służyć?

- Cieszę się, chłopcze, że cię słyszę. No, powiedz, jak tam poszło z moimi wnuczkami?

- Wszystko w najlepszym porządku, panie MacGregor. System został zainstalowany i działa bez zarzutu - relacjonował Roys, myśląc jednocześnie o tym, czy pokazny rachunek za tę usługę został już uregulowany. Miał nadzieję, że nazajutrz jego konto wzbogaci się o kilka zer. - Ma pan najlepszy system, jaki istnieje...

- To dobrze, bardzo dobrze. Może wreszcie moja żona przestanie się zamartwiać. Ciagle się czegoś boi.

- Tak, pamiętam, wspominał pan o tym.

- I osobiście wszystkiego dopilnowałeś, tak jak prosiłem? - dopytywał Daniel MacGregor.

- Oczywiście. Jakakolwiek próba wejścia do domu przez niepowołaną osobę uruchomi alarm. Sygnał zostanie odebrany na najbliższym posterunku. Również ja natychmiast dowiem się o tym. Powiadomi mnie specjalny odbiornik, który zawsze noszę przy sobie.

- Doskonale. Świetnie się spisałeś, chłopcze. Ale muszę

ci powiedzieć, że jest coś, co bardzo niepokoi moją żonę, no i mnie też, ma się rozumieć.

- O co chodzi, panie MacGregor?

- Widzisz, te moje dziewczyny są trochę roztrzępane. Poza tym ciągle zajęte, ganiają po mieście, załatwiają setki swoich spraw. Otóż moja Anna boi się, że one mogą zapomnieć o włączeniu alarmu, albo że coś pokręcą i twój alarm nie będzie działał.

- Przepraszam - wtrącił Roys - ale mogę brać pełną odpowiedzialność za system tylko w wtedy, gdy klienci używają go we właściwy sposób.

- No jasne. O tym właśnie mówię - potakiwał zatroskany dziadek. - Nie dalej jak dziś rano mówiłem Annie, że na pewno zrobiłeś tam wszystko, co trzeba, i nie ma się czym niepokoić. Ale wiesz, jak to jest z kobietami: obojętne, co mówisz, one dalej swoje. A ponieważ dość mam już tego gadania, postanowiłem jakoś uspokoić tę moją żonę - dobiegał ze słuchawki zachrypnięty głos. - I wiesz, co wymyśliłem?

- Nie mam pojęcia, panie MacGregor.

- Żebyśmy przetestowali ten twój alarm.

- Jak mam to rozumieć? - zapytał Roys.

- No, na przykład - dziadek zniżył głos i teraz prawie szeptał do słuchawki - mógłbyś tam pójść kiedyś w nocy, na przykład dzisiaj, i spróbować dostać się do środka. Wtedy mielibyśmy pewność, że wszystko działa jak trzeba. Co ty na to?

- Zaraz, zaraz - Roys postanowił się upewnić, czy dobrze słyszy - o ile dobrze zrozumiałem, chce pan, żebym włamał się do domu pańskich wnuczek, czy tak?

- Mniej więcej - przyznał stary. - Jeśli ci się uda wejść do środka, będziemy wiedzieli, że trzeba jeszcze przy tym alarmie coś pomajstrować. No, a jeśli nie zdołasz wejść, wtedy Anna będzie mogła spać spokojnie. Widzisz, chłopcze - szeptał konfidencko - ona ma już swoje lata i zdrowie już nie to, co kiedyś. Trzeba ją oszczędzać.

Roys zaniemówił z wrażenia, więc Daniel MacGregor, słysząc absolutną ciszę po drugiej stronie, postanowił użyć jeszcze jednego argumentu.

- Oczywiście, panie Cameron, z przyjemnością zapłacimy sownie za pański czas i fatywę.

- Nie, nie, panie MacGregor - przerwał mu Roys zdecydowanym tonem. - Przecież zdaje pan sobie sprawę, jaka kara grozi za nocne włamanie i nieuzasadnione najście cudzego domu.

W odpowiedzi usłyszał niski, gardłowy śmiech starego. Daniel MacGregor ucieszył się szczerze, bo pomyślał sobie, że wybrał dla Laury prawdziwego twardziela, którego najwyraźniej nie łatwo przekupić. Naśmiawszy się do woli, powiedział wreszcie:

- Posłuchaj no, Roys, jestem pewien, że jako były policjant sam wiesz najlepiej, co za to grozi. I... - tu nastąpiła dramatyczna pauza - wiesz równie dobrze, jak to zrobić, żeby nie dać się złapać na gorącym uczynku. Chciałem ci jeszcze powiedzieć, że planuję wymianę systemu zabezpieczającego u siebie. To duży dom, a ja lubię tylko najlepsze i najnowocześniejsze zabawki. Mówiłem ci już, że cena nie gra roli.

Roys poprawił się w fotelu, po czym, swoim zwyczajem, zapytał wprost:

- Czy proponuje mi pan łapówkę?

- W rzeczy samej, panie Cameron - odpowiedział równie szczerze Daniel MacGregor. - Czy nie jesteś energicznym i przedsiębiorczym młodym człowiekiem, który nie boi się wyzwień?

- W rzeczy samej, jestem, panie MacGregor, ale... - teraz Roys na moment zawiesił głos - będzie to pana sporo kosztowało.

- Och, cóż znaczą pieniądze, gdy chodzi o bezpieczeństwo i spokój ducha tych, których kochamy? - zapytał stary sentencjonalnie.

Roys przez chwilę milczał, kołysząc się w fotelu.

- W swoim życiu spotkałem wielu sprytnych i przebiegłych ludzi - odezwał się wreszcie - ale wszyscy oni mogliby uczyć się od pana, panie MacGregor.

W słuchawce ponownie rozległ się gromki śmiech. Najwyraźniej słowa Roysa sprawiły dziadkowi dużą przyjemność, bo nie kryjąc zadowolenia, odpowiedział natychmiast:

- Do licha, młody człowieku, nie wiesz nawet, jak bardzo cię lubię! Zresztą - dodał, jak zawsze wyczulony na kwestię pochodzenia - Cameronowie to porządna, stara rodzina. Dobry ród. Pamiętaj, skontaktuj się ze mną, jak wszystko to sobie przemyślisz. I nie zapominaj, że dzięki mnie możesz zarobić dużo pieniędzy. Jak tylko uporasz się z tym, o co prosiłem, spotkamy się, żeby porozmawiać o tym nowym zabezpieczeniu mojego domu.

Noc była widna. Stare, wysokie drzewa rzucały cień, oświetlone zimnym blaskiem księżyca. Roys skrył się w mroku pod ich konarami i przez dłuższą chwilę obserwował ciemne okna niedużego budynku, w którym mieszkały kuzynki MacGregor. W myśli z przyjemnością kalkulował, ile pieniędzy zarobi, instalując nowy system w olbrzymiej posiadłości seniora rodu.

Obserwował dom tak, jakby był potencjalnym włamywaczem. Po wszystkich tych latach, które spędził w policji, rozpracowując setki włamań i kradzieży, przychodziło mu to bez trudu. Kiedy poznał wszystkie złodziejskie sztuczki, postanowił odejść ze służby i otworzyć własną firmę.

Przypadek pań MacGregor był ze złodziejskiego punktu widzenia dziecinnie prosty. Dom, w którym mieszkały, otaczały liczne drzewa i krzewy, co stanowiło doskonałą ochronę przed czujnym okiem sąsiadów lub nagłym pojawieniem się niepożądanych świadków.

Roys zakładał, że prawdziwy mistrz złodziejskiego rze-

miosła przyszedłby tu za dnia. Miałby na sobie robocze ubranie i torbę z narzędziami, taką jaką noszą monterzy albo hydraulicy - z całą pewnością nikt nie zwróciłby na niego uwagi. Tymczasem Roys dostał od nadopiekuńczego dziadka polecenie, żeby włamać się do domu w środku nocy. Wyobraził więc sobie, że w tej sytuacji hipotetyczny włamywacz byłby przygotowany na to, że alarm jest włączony i uruchomi się przy pierwszej okazji; powinien rozbroić alarm, a to znaczy, że musi mieć niezłe pojęcie o skomplikowanej elektronice. Wczuł się zatem w rolę prawdziwego specjalisty i z przyjemnością, która aż go zaskoczyła, wziął się za rozpracowywanie własnoręcznie zaprojektowanego systemu.

Po mniej więcej piętnastu minutach alarm był prawie całkowicie rozbrojony. Roys zdziwił się nawet, że tak sprawnie mu poszło. Był zawodowym projektantem alarmów, ale jego praca polegała na wymyślaniu, a nie na rozbieraniu zabezpieczeń. Poza tym mógł być naprawdę zadowolony ze swojego projektu. Teraz miał pewność, że nawet wyjątkowo zdolny włamywacz nie poradziłby sobie łatwo ze skomplikowanym układem, który on wymyślił. Cały system aż roił się od trudnych do obejścia elektronicznych niespodzianek.

Roys w zamyśleniu podrapał się w nieogolony policzek. Skoro on, projektant, potrzebowałby jeszcze około dziesięciu minut pracy do całkowitego zneutralizowania alarmu, złodziejowi zabraloby to nieporównanie więcej czasu. Musiałby więc być osobnikiem wyjątkowo zdeterminowanym albo pazernym, żeby grzebać się tak długo i narażać na niebezpieczeństwo narkycia.

Cóż, klan MacGregorów może spać spokojnie, pomyślał z satysfakcją i właśnie zamierzał odejść, kiedy niespodziewanie ktoś zapalił światło na wewnętrznym podwórku. Poprzez taflę szkła Roys zobaczył nie kogo innego tylko Laurę MacGregor, kobietę, o której myślał bez przerwy od tygodni. Rozpuszczone czarne włosy dziewczyny spływały aż do talii. Miała

na sobie zwykły bawełniany podkoszulek w jaskrawożółtym kolorze. Jej skromny, a przede wszystkim krótki nocny strój doskonale uwydatniał piękno smukłych nóg. Niestety, nim Roys po raz kolejny zaczął zachwycać się ich urodą, zauważył, że dziewczyna trzyma oburącz gotowy do ciosu bejsbolowy kij. Całe szczęście, nim zdołała się zamachnąć, rozpoznała kim jest osobnik zaczajony w ciemności.

- To ty? - Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Jednak już po chwili w tych czekoladowych oczach zapłonął gniew.

- Co, u diabła, tu robisz w środku nocy!

- Sprawdzam, czy wszystko w porządku. Na życzenie klienta - dodał głośniej, żeby mogła go usłyszeć przez szybę.

- Nie proszę cię o to! - krzyknęła.

- Ty nie, ale twój dziadek! - zawołał.

Laura aż przymknęła oczy ze złości. Jej dłonie mocniej zacisnęły się na kiju, jakby mimo wszystko miała zamiar rozbić nim szybę. Na szczęście opanowała się i obróciwszy się na pięcie, chwyciła wiszący na ścianie telefon.

Roys spokojnie obserwował, jak dziewczyna wybiera numer. Miał nadzieję, że nie dzwoni na policję, bo jeśli tak, to z pewnością przyszedłoby mu spędzić ładnych kilka godzin na komisariacie. Musiałby tłumaczyć, co o tej porze robi pod domem tych młodych panien, a choć nie obawiał się poważniejszych konsekwencji, to zawsze istniało niebezpieczeństwo, że dawnym kolegom po fachu przyjdzie do głowy zamknąć go dla zabawy w pustej celi do rana.

Ta nocna eskapada będzie kosztowała nadgorliwego dziadka dwa razy więcej niż początkowo planowałem, pomyślał w chwili, gdy Laura zaczęła mówić coś do słuchawki. Rozmowa nie trwała dłużej niż kilka sekund, po czym słuchawka z trzaskiem wylądowała na widełkach, a drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem.

- Obaj jesteście bałwanami! Ty i mój dziadek! - orzekła piękna Laura podniesionym głosem.

- Dzwoniłaś do niego?

- A co? Myślisz, że uwierzyłam ci na słowo? - spytała zaczepnie. - Lepiej popatrz na siebie. Jest środek nocy, a ty majstrujesz przy alarmie, ubrany jak włamywacz. Bardzo żałuję, że nie przyłożyłam ci tym kijem, zanim nie przekonałam się, że to ty - dodała i oparła o ścianę swoją niepotrzebną już broń.

- Miło mi, że zdołałaś się pohamować - odpowiedział, a w jego błękitnych oczach pojawił się wyraz rozbawienia. - Czy jednak nie warto było zaryzykować? Teraz już wszyscy wiemy, że twoja babcia może spać spokojnie.

- Nie martw się o moją babcie! Zawsze spała i nadal śpi jak kamień. - Zniecierpliwiona Laura wyrzuciła ramiona w górę tak energicznie, że jej kusy podkoszulek podjechał jeszcze wyżej. - To ten stary panikarz nie śpi po nocach i tylko wymyśla, jak tu skomplikować ludziom życie. Ale ma za swoje. Tak mu nagadałam, że będzie miał o czym myśleć do świtu.

- Wiem, że masz temperament - uśmiechnął się Roys i przysunął się do niej bliżej. Była tak pochłonięta tym, co mówi, że nawet nie zauważyła jego ruchu. - Ale gdybyś była tam, gdzie powinnaś być o tej porze, czyli we własnym łóżku, nawet nie wiedziałabyś, że tu byłem. Jeszcze dwie minuty i bym zniknął. A właśnie... - Wolno wyciągnął rękę i wpatrując się intensywnie w jej oczy, chwycił pasmo długich włosów Laury. Splątane, okrywały ją jak czarny aksamitny płaszcz. - Dlaczego nie jesteś w łóżku? - zapytał cicho, jednocześnie nawijając kosmyk na palec.

- Byłam głodna...

- Ja też. - Przysunął się do niej tak blisko, że niemal czuł bijące od niej ciepło. - A teraz już nie jesteś? - zapytał jeszcze ciszej.

Widział, że jest zmieszana, i postanowił wykorzystać tym razem tę sytuację. Nie pozwoli jej się wymknąć, skoro jest pewny, że obydwójce myślą o tym samym.

Rzeczywiście, Laura zastanawiała się przez moment, jakby to było, gdyby Roys Cameron nagle ją pocałował. Poczwała, jak krew zaczyna pulsować w jej skroniach, a serce tłucze jak oszalałe. Nie spodziewała się, że zdradzi ją własne ciało, którego reakcja na bliskość Roysa była tak gwałtowna.

- Posłuchaj, kolego... - zaczęła, ale on nie pozwolił jej dokończyć. Wypuścił pasemko włosów, którym dotąd się bawił, i oparł obie ręce o poręcz krzesła, które stało tuż za nią. Uśmiechnął się lekko i powiedział:

- Zawsze, kiedy wpadam na ciebie zniecka, masz na sobie jakąś... piżamę. - Odsunął się trochę, tak by jego rozpalone oczy mogły objąć całą jej sylwetkę. - Nie wydaje ci się, że żądasz zbyt wiele, kiedy chcesz, żebym znowu sobie poszedł? - szepnął wprost do jej ucha.

Laura zadrżała pod wpływem tego ciepłego oddechu. Bardzo chciała być dzielna i otrząsnąć się z zauroczenia, ale nie przychodziło to łatwo.

- Nigdy nie rezygnujesz, prawda? - spytała, choć doskonale znała odpowiedź.

- Zdaje się, że ty również. - Pochylił się tak, że jego oczy znalazły się dokładnie na linii jej wzroku. Nie mogła więc uciec spojrzeniem, kiedy powiedział: - Mógłbym przysiąc, że czekałaś na mnie tej nocy.

Ustami prawie dotykał jej nabrzmiałych warg, ale ich nie dotknął. Obserwował tylko, jak czekoladowe oczy Laury robią się coraz ciemniejsze, słyszał, że nabiera głęboko powietrza, a potem wstrzymuje oddech.

- Chcę, żebyś ty mnie pocałowała... - poprosił, ale wcale nie zamierzał czekać, aż ona to zrobi, i zaczął całować ją pierwszy.

Laura nigdy dotąd nie czuła tak ogromnego pożądania. Ogarnęło ją całkowicie, jeszcze nim na dobre poczuła ciepło i smak jego ust. W miarę jak pocałunek stawał się głębszy i bardziej namiętny, miała wrażenie, jakby przenikał ją stru-

mień światła. Ogarnęło ją rozkoszne ciepło. Mocno zacisnęła powieki i otoczyła ramionami szyję Roysa. Przyciągała go do siebie coraz mocniej, całowała coraz zachłanniej i zatracala się bardziej i bardziej. Ich pocałunek nie przypominał delikatnego smakowania ust drugiej osoby. Gwałtowne podniecenie mężczyzny napotkało równie silną reakcję kobiety. Była w tym spotkaniu niezwykła pasja i wspólne dla obojga oszałamiające pragnienie.

Dla Roysa Laura MacGregor uosabiała spełnienie najdziwniejszych męskich fantazji. Składała się z zapachów i stłumionych szeptów. Była jak jedwab i spienione młode wino. Najcudowniejsze wydawały mu się jej usta, pełne i wyzywające, kuszące, prowokujące. Odchylił lekko w tył jej głowę, by natrzeć się do syta na te rozchylone wargi, które przed sekundą prawie doprowadziły go do szaleństwa, i wyszeptał:

- Bardzo cię pragnę, Lauro.

- Ja... - próbowała mówić, ale własny głos odmówił jej posłuszeństwa. Niemal w ostatniej chwili udało jej się powiedzieć: - Zaczekaj! Proszę cię, zaczekaj! - i odepchnęła go ostatkiem sił.

- Dlaczego?

- Bo muszę pomyśleć.

Wiedziała, że zabrzmiało to głupio, ale nic innego nie przyszło jej do głowy. Bardzo chciała uporządkować swoje rozkołysane emocje, więc oparła obie ręce o szerokie ramiona Roysa i powiedziała, nie patrząc mu w oczy:

- Chyba się zapomniałam. Ty zresztą też.

Roys odgarnął z zarumienionej twarzy poplątane pasma włosów, a potem przytulił ją mocno i cichutko powiedział, muskając wargami jej ucho:

- Czy to źle? Obiecuję ci, że za moment zapomnimy się obydwoje i będzie nam razem cudownie.

- Wiem - nie próbowała nawet dyskutować, tylko starała się uwolnić z jego uścisku. Mając go tak blisko, zupełnie nie mogła trzeźwo myśleć. - Odsuń się - poprosiła.

- Po co? - zapytał. - Przecież wiesz, że to niczego nie zmieni. Ja nie przestanę pragnąć ciebie, a ty mnie.

- To nic. I tak chciałabym, żebyś się odsunął.

Posłuchał jej, choć widać było, że wiele go to kosztuje. Najpierw wypuścił ją z ramion, a potem cofnął się krok czy dwa.

- Tyle wystarczy? A może powinienem wyjść aż za drzwi i udawać, że nic się między nami nie wydarzyło?

- Niczego nie musisz udawać. - Laura nie dała się sprovokować. - Gdybym tego nie chciała, nic by nie było. Potrafię brać odpowiedzialność za swoje czyny.

- Doprawdy? To powiedz mi, po co ta cała dyskusja, skoro oboje wiemy, że zamiast niej powinniśmy w tej chwili kochać się na tym dywanie.

- Jesteś bezczelny.

- Jestem szczery.

- Może i tak - zgodziła się niechętnie. - W porządku, szczerść za szczerść. Nie leżymy jeszcze na tym dywanie, bo cię zupełnie nie znam, a nie zdarza mi się kochać z obcymi mężczyznami - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

- Rozumiem - powiedział Roys spokojnie i włożył ręce do tylnych kieszeni dżinsów. Nie chciał, żeby Laura widziała, jak drża. Uśmiechnął się kącikiem ust i zapytał drwiącym głosem: - Naprawdę zaskoczyło cię, że tak się zapamiętałem? Przecież twoje pocałunki były tak samo gorące, jak moje.

- Zaskoczyło. A to, co mówisz, tylko potwierdza, co powiedziałam wcześniej: nie powinniśmy tego robić, bo zupełnie cię nie znam.

Drgnęła, kiedy podszedł bliżej i dotknął najpierw jej ramion, a potem chwycił nadgarstki. Nie odsunęła się jednak od niego, lecz przyglądała mu się uważnie, podczas gdy on dokonywał ironicznej autoprezentacji:

- Nazywam się Roys Cameron. Mam trzydzieści jeden lat. Stan cywilny: kawaler. Zawód: kiedyś byłem gliniarzem, teraz

prowadzę własną firmę. Wykształcenie: trochę studiowałem, ale szybko mi się znudziło. Lubię bezdomne kundły, ostrego rocka, włoskie jedzenie i niebezpieczne kobiety.

- Całkiem dużo informacji - uśmiechnęła się mimo woli.
- Ale mówiąc, że cię nie znam, nie to miałam na myśli.

- Nie wystarczy na początek? Chciałabyś wiedzieć więcej?

- Zgadza się. Chciałabym wiedzieć więcej.

- Nie ma sprawy. Jutro o wpół do ósmej wieczorem. Zjemy coś włoskiego - nawet nie zapytał, czy ona się zgadza, albo czy nie ma przypadkiem innych planów - przyjadę po ciebie.

- W porządku - powiedziała, a potem nawet nie drgnęła, kiedy nagłym ruchem pochylił się nad nią i pocałował ją raz jeszcze. Na moment pociemniało jej w oczach. Niezbyt wyraźnie zobaczyła jego dziwny uśmiech i usłyszała, jak mówi:

- Uwielbiam twoje usta. Mógłbym całować cię godzinami. A teraz zamknij porządnie drzwi i włącz alarm. Słyszysz, co mówię? - zapytał, nie doczekawszy się żadnej reakcji na swoją komendę.

Laura wciąż stała nieruchomo w tym samym miejscu, jakby zamieniła się w słup soli. W końcu wzięła dwa głębokie wdechy. Zdała sobie sprawę, że podczas całej tej historii z zakładaniem alarmu, jej własny, wewnętrzny system ostrzegania został poważnie uszkodzony.

Rozdział czwarty

Amelia z impetem wpadła do łazienki. Wyglądała dość dziwnie w samej tylko bieliźnie i pełnym makijażu. Próbując przekrzyczeć szum lejącej się wody, zawołała do stojącej pod prysznicem Laury:

- Ratuj mnie! Właśnie podarłam ostatnią parę czarnych pończoch!

- Zastanów się, co mówisz. Moje pończochy będą na tobie wisiały. Przecież jestem wyższa o dobre dwadzieścia centymetrów.

- To nic - gorączkowała się Amelia. - Pytałam już Julię, ale ona nie ma nic ciemnego. A ja nie mam czasu, żeby lecieć do sklepu. Greg będzie tu za piętnaście minut!

Zaciekawiona Laura wystawiła mokłą głowę zza prysznicowej zasłony.

- Aha, mamy randkę z doktorem Smarmem?

- Daj spokój - fuknęła Amelia, wyraźnie zirytowana komentarzem kuzynki. - To nie jest żadna randka. Raczej spotkanie służbowe. Greg jest osobą towarzyszącą.

- Twój pan doktor jest strasznym nudziarzem - Laura najwyraźniej postanowiła być dziś złośliwa.

- Mój pan doktor jest szefem stażystów na oddziale chirurgii, jeśli coś ci to mówi - odcięła się Amelia.

- To znaczy, że jest szefem nudziarzem - skomentowała Laura. Zakręciła wodę i pełna energii wyskoczyła spod prysznicza. - Coś mi się zdaje, że będziesz jego kolejną zdobyczą, po której dumny z siebie wryje kolejną kreskę na skalpelu.

- Niedoczekanie! - padła zdecydowana odpowiedź.

- Posłuchaj, dlaczego nie bierzesz ze sobą tego Jima Proctora. To całkiem fajny chłopak - dopytywała się Laura. Owinięta ręcznikiem stanęła przed lustrem i zaczęła rozczesywać włosy.

- Dlatego że dwa tygodnie temu był uprzejmy zaręczyć się z jakąś miłą przedszkolanką.

- No to pech - przyznała Laura. - Ale z dwojga złego lepiej idź sama niż z tym nadętym rzeźnikiem Gregiem

- Muszę z nim iść. Na koktajlach u doktorostwa Prichetów jest zawsze więcej kobiet niż mężczyzn. - Amelia wstała i spojrzawszy na swoje szczupłe łydki w za dużych pończochach, zaklęła: - Cholera, rzeczywiście. Robią mi się na kostkach obwarzanki.

- Przecież mówiłam ci, że tak będzie.

Nagle do łazienki wpadła rozpromieniona Julia. Machając triumfalnie paczką nowiutkich czarnych pończoch, zawołała już od progu:

- Znalazłam! To przez nie nie mogłam dosunąć szuflady. Proszę bardzo - podała paczkę Amelii, która natychmiast wzięła się za przebieranie.

- A ty dlaczego jesteś taka wystrojona? - zapytała Laura, patrząc z aprobatą na kuzynkę ubraną w długą suknię z weluru. Ciemna zieleń tkaniny doskonale podkreślała urodę rudowłosej Julii.

- Wieczór w klubie. Z Peterem - wyjaśniła krótko Julia.

- No tak, stara miłość nie rdzewieje - westchnęła Laura w drodze do sypialni. Przyszedł czas, żeby i ona zdecydowała, w czym wystąpi dziś wieczorem.

- Peter jest w porządku, ale traktuje wszystko zbyt poważnie - stwierdziła Julia i bezwiednie ruszyła w ślad za swoją kuzynką. - Kochana, zdaje mi się, że planujesz coś wyjątkowego na dzisiejszy wieczór!

- E, nic takiego, idziemy posłuchać muzyki - odparła Laura z roztargnieniem. Stała przed łóżkiem, na którym rozłożyła

dwie sukienki. Była w prawdziwej rozterce, bo w żaden sposób nie mogła zdecydować, którą wybrać.

- I pewnie potańczyć. Ostro zaczynacie - pokiwała głową Julia. - A tak nawiasem mówiąc, zdaje się, że to trzecia randka w ciągu ostatnich dwóch tygodni?

- Trzech, moja droga.

- Wszystko jedno. Na twoim miejscu wybrałabym tę czerwoną.

Laura nie była zachwycona tą radą.

- Nie myślisz, że akurat ta jest trochę za bardzo...

- Ona jest bardzo „za bardzo” - nie dała dokończyć rozbawiona Julia. - Ale czy nie chodzi właśnie o to, żeby on padł z wrażenia, kiedy cię w niej zobaczy?

Pod wpływem słów kuzynki w Laurze obudziła się przekora. Sięgnęła po dużo skromniejszą sukienkę z błękitnej wełny i powiedziała:

- Tak naprawdę to my wcale nie Chodzimy na randki. Po prostu spotykamy się od czasu do czasu.

- A może on ci się już nudził? Jeśli tak, to chętnie go sobie wezmę. - W drzwiach sypialni pojawiła się jasna główka gotowej do wyjścia Amelii. Nim jednak Laura zdążyła cokolwiek powiedzieć, znów odezwała się Julia:

- Trzecie spotkanie jest najważniejsze. Pierwsze jest testem, drugie potwierdzeniem pierwszego wrażenia i dopiero w trzecim przechodzi się do rzeczy poważniejszych.

- Posłuchaj, mądralo - Laura postanowiła od razu wszystko wyjaśnić. - Ani ja, ani on nie zamierzamy wchodzić w jakieś trwałe układy.

- To znaczy, że mogę go sobie wziąć? - zapytała Amelia, a widząc mściwe spojrzenie Laury, wybuchnęła zaraźliwym śmiechem. - Laurko, daj spokój. Sama powiedz, co jest złego w wiązaniu się z facetem, który jest wspaniały, przystojny, a do tego wolny i interesujący. Powinnaś się cieszyć, a nie stroić fochy.

Rozmowę trzech kuzynek przerwał w tym momencie donośny gong.

- Ojej, to pewnie Greg! - jęknęła Amelia i wymownie spojrzała w sufit. - Julko, bądź dobrą siostrą i zajmij go przez kilka minut - poprosiła.

- Przecież już ci mówiłam, że jeśli jeszcze raz spotkam tego twojego doktora, to...

- Błagam cię, tylko pięć minut!

- Dobrze już, dobrze. - Julia z ostentacyjną niechęcią wstała z fotela. - Swoją drogą zupełnie nie mogę pojąć - mówiła, zwracając się do Laury - czemu Amelia ciąga za sobą tę kukłę. No, jak wyglądam? - zapytała, wypróbując na kuzynce powitalny uśmiech.

Laura poradziła jej, żeby bardziej się postarała, bo to, co uważa za uśmiech, bardziej przypomina grymas człowieka cierpiącego na ból zęba.

- Trudno, nie stać mnie na więcej - skrzywiła się Julia, wychodząc z pokoju. - A ty pamiętaj, że masz założyć czerwoną sukienkę - dodała i pogroziła Laurze palcem.

Ostatecznie Laura posłuchała siostry i zastosowała się do jej rady. Wybrała jednak czerwoną sukienkę wcale nie dlatego, że uszyta była z elastycznego materiału, dzięki czemu wspólnie podkreślała jej zgrabną sylwetkę. Po prostu pomyślała sobie, że kolor czerwony jest bardziej odpowiedni na wieczór w barze z dyskoteką. Taka sukienka wymagała odpowiednich butów - najlepsze były oczywiście czarne szpilki na wysokim, cieniutkim obcasie.

To wszystko, co mówiła Julia na temat trzeciej randki, to rzecz jasna czysty nonsens, myślała Laura. Ani ona, ani Roys nie myśleli przecież o poważnym związku. Spotykali się, bo się lubili i nie nudzili się w swoim towarzystwie. Zawsze mieli jakieś ciekawe tematy do rozmowy, poza tym było im razem wesoło, więc często śmiali się do łez. Z drugiej strony, nie

sposób było zaprzeczyć, że istnieje między nimi silna fizyczna fascynacja. Nawet teraz, gdy Laura wspominała pocałunki Roysa, czuła, jak przebiega przez nią dreszcz. Całe szczęście wszystko kończyło się dotąd na tych nieprawdopodobnych pocałunkach. Miała wszakże wrażenie, że Roys czeka na więcej.

Czemu więc do tej pory nie próbował jej namawiać, żeby wreszcie poszła z nim do łóżka? Czemu zawsze zostawiał ją rozpaloną, niecierpliwą i gotową na wszystko? Dlaczego nie mówił do niej tak, jak tego wieczora, kiedy wyszła do niego uzbrojona w kij bejsbolowy?

Zresztą, czego oczekiwała? Przecież sama mu powiedziała, że nie sypia z obcymi i że najpierw musi go lepiej poznać. Roys najwyraźniej postanowił jej to umożliwić. Dlaczego więc marzyła, żeby przestał wreszcie oglądać się na reguły i zasady i wciągnął ją do swojej jaskini niczym dziki zwierzę? Cóż, żałosne były te jej marzenia. Żałosne i tyle.

Dalsze rozważania na temat oczekiwań wobec Roysa przerwał Laurze dzwonek do drzwi. Twardo nakazała sobie zachowanie spokoju i poszła je otworzyć. Całą drogę powtarzała w myślach, że ona i ten mężczyzna są tylko i wyłącznie znajomymi, którzy bardzo lubią spędzać razem czas. Uspokojona, pewnym ruchem nacisnęła klamkę.

Niestety, już pierwsze spojrzenie zburzyło jej spokój. Roys w czerni wyglądał po prostu zabójczo.

- Jaki punktualny! - pochwaliła go Laura. - Za moment będę gotowa. Tylko wezmę... - chciała dokończyć, ale przerwał jej w pół zdania:

- Co by to miało być, może poczekać - powiedział i mocno chwycił ją w tali. Odsunął się pół kroku i z nie skrywanym zachwytem przyglądał jej się przez chwilę. Największy entuzjazm wzbudziła w nim oczywiście jaskrawoczerwona sukienka. Była tak obcisła, że Roys widział dokładnie zarys jędrnych piersi, i tak krótka, że bardziej odsłaniała niż zakrywała kształtne i smukłe uda Laury.

Gdy oględziny dobiegły końca, jednym ruchem przyciągnął dziewczynę do siebie i całował ją, póki starczyło mu powietrza. Laura nie protestowała, on zaś czuł, jak pod wpływem pocałunków jej miękkie ciało robi się coraz gorętsze, bardziej uległe i wiotkie. Po chwili równie niespodziewanie wypuścił ją z objęć.

- Co to było? - zapytała, zdyszana jak po długim i wyczerpującym biegu.

- Podziękowanie za sukienkę, którą masz na sobie - powiedział i roześmiał się, wyraźnie uszczęśliwiony reakcją, jaką wywołały jego pieszczoty. - Niestety, musisz włożyć na nią płaszcz, bo wieczór jest chłodny.

Za to w barze, do którego poszli, było gorąco jak w piekle. Płynąca z głośników namiętna muzyka rozgrzewała ciało i zmysły. Laura ochłoneła, dopiero kiedy wypijała kieliszek schłodzonego białego wina. Siedzieli przy małym stoliku w rogu sali i milczeli, zapatrzeni w drgający płomień świeczki. Laura myślała o tym, że Roys po raz kolejny ją zaskoczył. Spodziewała się, że pójdą do baru z głośną muzyką, tymczasem knajpka, którą wybrał, była mała i przytulna. Zamiast disco grali w niej nastrojowego bluesa.

- Dlaczego odszedłeś z policji? - zapytała i w tym samym momencie zdała sobie sprawę, że być może jest to zbyt osobiste pytanie. - Nie myśl, że jestem wścibska... - zaczęła się usprawiedliwiać, lecz Roys nie pozwolił jej dokończyć.

- Nic nie szkodzi - uśmiechnął się wyrozumiale. - Po prostu doszedłem do wniosku, że nie nadaję się do pracy zespołowej. Poza tym - dodał po chwili namysłu - nie interesowało mnie wchodzenie w tak zwane układy. A tak naprawdę to straciłem zapał do tej pracy.

- Z jakiego powodu?

- Przez prawników.

Spojrzał szybko w ciemne oczy Laury. Najwyraźniej był ciekawy jej reakcji. Jak przewidział, natychmiast ruszyła do obrony swoich kolegów po fachu.

- Wiesz przecież, że każdemu przestępcy trzeba najpierw udowodnić winę.

- Właśnie, w tym tkwi problem. - Przez moment potrząsał szklanką i słuchał, jak grzechoczą kostki lodu. - Moim zdaniem cały ten cyrk niewiele ma wspólnego ze sprawiedliwością. Zresztą, sama wiesz najlepiej. Twoja klientka jest przykładem, który potwierdza to, co mówię.

- Kogo masz na myśli?

- Amandę Holloway.

- Myślałam, że potępiasz to, co zrobiła. - Popatrzyła na niego z zaskoczeniem.

- Nie do mnie należy potępianie albo usprawiedliwianie tej kobiety. Chcę tylko powiedzieć, że jej przypadek idealnie pokazuje, jak niedoskonały jest nasz system prawny.

Laura była zadowolona, że poruszyli ten temat. Roys był inteligentnym rozmówcą, a poza tym wciąż miała nadzieję, że dowie się od niego czegoś nowego. Czegoś, co pozwoli jej zobaczyć sprawę w zupełnie innym świetle.

- Proces Amandy zaczyna się za dziesięć dni - powiedziała. - Zdaje się, że mógłbyś naprawdę mi pomóc, gdybyś tylko zechciał.

- Ja? - zapytał skromnie. - A to w jaki sposób? Powiedziałem ci już, że nie wiem nic na ten temat.

- Znałeś Johna Hollowaya.

- E, niezbyt dobrze.

- Ale nie zaprzeczysz, że za nim nie przepadałaś - naciskała.

- I co z tego? Nie lubię też faceta, który mieszka ze mną drzwi w drzwi. To jednak wcale nie znaczy, że wiem coś o jego prywatnym życiu. Posłuchaj, Lauro, twoja matka jest profesjonalistką. Inaczej nie miałaby w środowisku takiej pozycji, jaką ma. Na pewno poradzi sobie z tą sprawą. Odpuść sobie.

Były to chyba ostatnie słowa, których uparta od urodzenia Laura mogłaby posłuchać.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego facet z takim poczuciem sprawiedliwości, tak nagle zrezygnował ze służby. - Pokręciła głową. - Przecież kiedy szedłeś do policji, musiałeś wierzyć, że ta praca ma sens.

- Niestety, dość szybko zorientowałem się, że jeden facet myślący w ten sposób nie może zbyt wiele zdziałać - w jego głosie dało się wyczuć nutę rozczarowania. - Sama nie zmienisz świata, Lauro.

- Ale ty chciałeś go zmieniać, prawda?

- Prawda - uśmiechnął się smętnie do własnych myśli. - Potem mi przeszło. Teraz po prostu robię swoje, bez nieczystych układów, mętnych interesów i tak zwanej polityki. Poza tym - roześmiał się z przymusem - zawsze wolałem zrobić coś konkretnego niż zaprzętać sobie głowę wielkimi problemami.

- Powiedz od razu, że po prostu nie lubisz mieć innych nad sobą - skomentowała Laura.

- Nie da się ukryć.

- Dobrze to rozumiem. Wiesz - powiedziała z westchnieniem - praca w kancelarii moich rodziców jest dla mnie spełnieniem moich zawodowych marzeń. Myślę, że nie czułabym się dobrze w dużej firmie prawniczej.

- Dlaczego? Chyba nie myślisz, że nie dałabyś sobie rady.

- Nie. To nie to. Po prostu mam wrażenie, że ludziom, którzy pracują w takich firmach, chodzi tylko o pieniądze. Chcą złapać jak najwięcej dobrze płatnych godzin i zależy im tylko na bogatych klientach. Takich, jak na przykład inne duże firmy. A u moich rodziców wszystko wygląda zupełnie inaczej - dodała, wyraźnie z nich dumna.

- Nie mów tego za głośno, bo narobisz im tyłów w środowisku - zażartował, ale jej się to nie spodobało.

- Oczywiście, najłatwiej jest krytykować wszystkich prawników jak leci. Zresztą taka teraz moda - mruknęła rozgryczona.

- Wiesz przecież, że nie bierze się to znikąd. Ale chciałbym ci coś powiedzieć...

- Słucham?

- Jesteś niewiarygodnie piękna.

Laura poprawiła się na krześle i patrząc na niego z przekorą, powiedziała:

- Tylko nie próbuj zmieniać tematu.

- I mądra - dodał, jakby nie usłyszał wcale jej przestrogi.
- Jeśli dalej będziemy rozmawiać o prawnikach, to się w końcu pokłócimy. Mamy zupełnie odmienne zdania na ten temat i chyba nic na to nie poradzimy. Chyba szkoda czasu na sprzeczki.

- Lubię się sprzeczać. Dlatego zostałam prawnikiem.

- A ja - powiedział Roys, wstając i podając jej rękę - lubię tańczyć. Dlatego tu przyszliśmy.

- Ty tańczysz? - po raz nie wiadomo który tego wieczoru zdziwiła się Laura.

- No cóż, daleko mi do mistrzostwa - odparł z autoironicznym uśmiechem - ale jakoś sobie radzę. Chcesz się przekonać?

Wstała i bez wahania poszła za nim na parkiet.

- Wyglądasz mi raczej na faceta - mówiła, trzymając go pod rękę - który prędzej stoczyłby walkę na pięści z mistrzem wagi ciężkiej niż...

I znowu nie dane jej było dokończyć, bo Roys niespodziewanie wykonał pierwszą taneczną figurę. Najpierw odepchnął ją lekko, a potem pociągnął do siebie. Zrobiła kilka szybkich obrotów, po czym miękko wpadła w jego ramiona. Dzięki swoim szpilkom dorównywała mu wzrostem. Ich oczy i usta znalazły się więc idealnie naprzeciw siebie. Roys prowadził ją pewnie, rytmicznie i łagodnie. Miała wrażenie, że oderwała się od ziemi i płynie teraz za nim w powietrzu. Serce biło jej coraz szybciej, myśli płątały się coraz bardziej. Zniknęła gdzieś mała sala pełna ludzi. Przed sobą widziała tylko lśniące, wpa-

trzone w nią niebieskie oczy, w uszach miała miękkie dźwięki saksofonu. Użyła całej siły woli, żeby jakoś się opanować. Może jeśli zaczęliby rozmawiać, jej rozbudzone zmysły wróciłyby do równowagi.

- Jesteś świetnym tancerzem - szepnęła.

- Taniec jest na drugim miejscu listy przyjemnych rzeczy, które mężczyzna może robić z piękną kobietą - roześmiał się.

- Dlaczego więc miałyby to robić źle?

- Brałeś lekcje tańca?

- Oczywiście. Zawdzięczam je mojej mamie, która chciała mieć dobrze wychowanego syna. Ale nie ma tego złego. Dzięki tym lekcjom nauczyłem się również boksować.

- Nie rozumiem.

- To proste. W mojej dzielnicy chłopak, który chodził na lekcje tańca, był uważany za maminsynka i obowiązkowo dostawał bity od całej ferajny. Chyba że szybko się nauczył, do czego służą pięści.

- Ciekawa kombinacja: taniec i boks. A co to za dzielnica?

- Południowy Boston.

- Aha... - Laura czuła, że jest jej coraz trudniej skupić się na rozmowie. Czuła zawroty głowy i pulsowanie rozgrzanej krwi. - To tam dorastałeś. A czy twój ojciec... - nie dokończyła, bowiem Roys pochylił ją nagle tak nisko, że czubkiem głowy prawie dotknęła podłogi. Sam również pochylił się nad nią i upomniał ją łagodnie:

- Zdecydowanie za dużo mówisz, piękna!

Widocznie uznał, że najlepszym sposobem na zamknięcie jej ust będzie pocałunek. Nie odrywając od niej warg, uniósł ją lekko z powrotem do pionu. Tak złączeni, obracali się coraz wolniej i wolniej. Nie słyszeli nawet muzyki, było im bowiem zupełnie obojętne, czy muzycy grają nadal, czy też już przestali. Laura coraz ciaśniej oplatała ramiona wokół szyi Roysa, potem ujęła w dłonie jego twarz i w zapamiętaniu wyszeptała jego imię.

- Och, Roys...

- Czy wiesz już, piękna, kim jestem? - zapytał cicho. Zaczekał, aż otworzy oczy i spojrzy na niego, a potem powtórzył:
- Czy znasz mnie już na tyle dobrze, żeby...?

Nie musiał kończyć, wiedział, że Laura doskonale rozumie sens pytania. Obydwoje mieli świadomość, że ich spotkania są jak taniec, którego kroki wiodą do z góry określonego celu. I właśnie teraz nadszedł moment, kiedy Laura z całą szczerością mogła powiedzieć:

- Tak, znam cię już wystarczająco dobrze.

- Więc chodź do mnie - znowu ją pocałował - i Kochaj się ze mną - dokończył szeptem.

Laura niechętnie przerwała ten pocałunek.

- Jedźmy do mnie - odparła. - Mieszkam bliżej.

- Skąd wiesz, gdzie ja mieszkam?

- Już dawno sprawdziłam twój adres. Tak na wszelki wypadek. - Z figlarną miną odsunęła się i spojrzała na niego załotnie. - Moje kuzynki wyszły, więc nikt nie będzie nam przeszkadzał. Jedźmy do mnie - powtórzyła.

- Boże, myślałam, że już nigdy tego nie usłyszę - odechnął z ulgą Roys, po czym pociągnął ją za sobą do wyjścia.

Całowali się, idąc do samochodu, i kiedy do niego wsiedli. Nawet nie poczuli przenikliwego chłodu jesiennej nocy. Byli tak pochłonięci sobą, że cały świat przestał dla nich istnieć.

- Nigdy bym nie pomyślała, że będę taka niecierpliwa - roześmiała się Laura i na moment zamilkła tylko po to, żeby namiętnie pocałować Roysa. - Ale bardzo mi się spieszy, więc jedź szybko - dokończyła po chwili.

- To powiedz mi, co masz pod tą cudowną sukienką?

- Perfumy - odpowiedziała z prowokującym błyskiem w oku.

- W takim razie będę pędził jak wariat! - Mocno wcisnął gaz i samochód ruszył z piskiem opon. - Lepiej zapnij pasy

i trzymaj ręce z dala ode mnie. Nie chciałbym, żebyśmy zaczęli się kochać już na pierwszych światłach.

Laura posłusznie sięgnęła po pas bezpieczeństwa. Zapięła go, kiedy wyjechali na główną ulicę. Dopiero teraz poczuła przenikliwe zimno, więc wsunęła dłonie w rękawy płaszcza.

Szczerze mówiąc, wolałaby rozgrzać je, dotykając Roysa. Wyobrażała sobie, jak ściąga z niego koszulę i pieścizotami doprowadza go do kresu wytrzymałości. Cały czas pytała samą siebie, jak to możliwe, że nigdy dotąd nie czuła takiego podniecenia i takiej prawie zwierzęcej żądzy. Ponieważ nie mogła znaleźć odpowiedzi, ani też nie chciała prowokować Roysa podczas jazdy, postanowiła zmienić temat i wypytać go o rodzinę:

- Opowiedz mi coś o swoich bliskich - poprosiła. - Tylko mów prawdę. Mama, tata, bracia, siostry... Wszystko.

- Jestem jedynakiem - powiedział, nie odrywając wzroku od drogi. Prowadził szybko i pewnie, sprawnie wyprzedzając inne samochody.

- No dobrze, a twoi rodzice? Nadal mieszkają w Południowym Bostonie?

- Już nie. Po śmierci ojca matka przeniosła się na Florydę. Mieszka tam z drugim mężem.

- Przepraszam, może nie powinnam pytać, ale...

- Nie ma sprawy - wszedł jej w słowo. - Ojciec zginął na służbie, tak jak zawsze chciał. - Roys gwałtownie zahamował i zatrałił na kogoś, kto zajechał im drogę. - Czy ci wszyscy ludzie nie mają nic innego do roboty, tylko włóczyć się po nocy?! - warknął rozżłoszczony.

Bawiła ją jego złość. Najwyraźniej tak jak ona, nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie dojadą na miejsce. Poczuła, że w miarę jak zbliżają się do domu, serce bije jej coraz mocniej. Położyła dłoń na piersi i wsłuchiwała się w rytm szybkich uderzeń.

- Jestem zdenerwowana - wyznała. - Nie poznaję siebie.

Tak rzadko się denerwuję... Zaraz zacznę gadać bez sensu, więc lepiej mów coś do mnie, bo inaczej zagadam cię na śmierć.

- Dobrze, mogę opowiedzieć ci ze szczegółami, co będziemy robić, jak już znajdziemy się w sypialni. Najpierw zdejmę z ciebie sukienkę, potem...

- Roys! - jęknęła. - Nie mów tego! I jedź szybciej!

Z głośnym piskiem opon skręcili w ulicę, przy której stał dom Laury. Prawie w tej samej chwili rozległ się przenikliwy dźwięk bipera. Klnąc pod nosem, Roys wyrzekał go z kieszeni i poprosił:

- Czy mogłabyś przeczytać numer, który wyświetlił się na ekranie?

Laura wzięła biper do ręki, zapaliła światło w samochodzie i ogromnie zaskoczona próbowała odczytać szereg cyfr.

- Nie, to nie możliwe! - wykrzyknęła po chwili.

- Co znowu? - zgrzytnął zębami.

- To kod mojego alarmu! Ktoś wszedł do domu!

Roys, nic nie mówiąc, mocniej wcisnął gaz. Zatrzymali się cicho dwieście metrów od domu. Z tego miejsca wyraźnie było słychać wyjący przeraźliwie alarm.

- Zostań w środku - powiedział opanowanym tonem. - zablokuj drzwi.

- A ty?

- Sprawdzę, co się dzieje.

- Poczekaj, Roys, przecież nie musisz tam iść! Wiesz, że policja przyjedzie w ciągu kilku minut!

- Wiem, ale to jest mój system i moja sprawa, żeby zobaczyć, co się stało - uciął dyskusję. Cicho zamknął drzwi i bezszelestnie zniknął w mroku wysokich drzew.

Nim minęło dziesięć sekund, Laura postanowiła pójść za nim. Skradając się w stronę własnego domu, przeklinała w duchu wysokie obcasy swoich butów. Gdy podeszła bliżej, przez szybę dostrzegła dwie osoby, szamoczące się pośrodku jasno

oświetlonego podwórka. Nie mogła ich odróżnić z tej odległości, więc bez zastanowienia przebiegła przez trawnik.

Rozejrzała się gorączkowo za jakimś ciężkim przedmiotem, którym mogłaby zaatakować napastnika, a nie znalazłszy nic takiego, zdecydowała, że najlepsze będą długie i cienkie obcasy. Kiedy jednak na moment zatrzymała się, żeby zdjąć szpilki, w jasnym świetle zauważyła zarys znajomej sylwetki. Mężczyzna, z którym bił się Roys, miał złotoblond włosy, dokładnie takie, jak...

Nim zdolała cokolwiek zrobić albo choćby krzyknąć, potężna pięść Roysa dosięgła twarzy Iana.

- Neeeeee!!! - wrzasnęła Laura i porzuciwszy buty, z hukiem otworzyła drzwi prowadzące na podwórko. - Ian! Ian, czy nic ci się nie stało? - Padła na kolana i pochyliła się nad zamroczonym mężczyzną. Zdyszany Roys stał obok i w zdumieniu przyglądał się tej scenie.

- Chryste, czym ja oberwałem, jakimś kamieniem? - dopytywał nieszczęsny blondyn, masując obolałą szczękę. - Co tu się, do diabła, dzieje?

- Ojej, skarbie, masz rozciętą wargę - biadała Laura i czule głaskała go po zakrwawionej twarzy.

- W porządku, nic mi nie jest.

- On mógł cię zabić.

- Dziękuję za uznanie - wtrącił się Roys. To, że Laura zupełnie nie zwracała na niego uwagi, pochłonięta opatrywaniem jego przeciwnika, bolało go nie mniej niż poobijane kości.

- Zdaje się, że wy się dobrze znacie - zauważył z przekąsem.

- Oczywiście, że tak! - Laura wreszcie oderwała wzrok od wciąż leżącego na ziemi blondyna i spojrzała na Roysa.

- Właśnie pobiłeś mojego rodzonego brata - powiedziała i matczyńskim gestem przyglądała potarganą grzywkę Iana MacGregora.

- I to jak - odezwał się brat Laury, po czym zaczął badać stan swojej szczęki. Najwyraźniej nie była złamana, bo zakoń-

czywszy oględziny, Ian mówił dalej: - Zaskoczyłeś mnie tym ciosem, kolego. Gdybym wiedział, co się święci, pewnie bym nie zaczął.

- Wstawaj, pomogę ci wejść do środka - powiedziała Laura i wzięła brata pod pachy.

- Daj spokój, siostrzyczko - zaprotestował. Przez chwilę uważnie obserwował Roysa, wreszcie westchnął ciężko i dźwignął się na kolana. Sprawiał wrażenie zadowolonego, że nie został znokautowany przez jakiegoś lalusia w garniturku i krawacie. Zdaje się, że spodziewał się kogoś w tym stylu, ponieważ Laura zwykle spotykała się z prawnikami i bankierami. Tymczasem mocna sylwetka i silne pięści jego pogromcy w każdym wzbudziłyby respekt. - Nazywam się Ian MacGregor - powiedział i wyciągnął do niego rękę.

- Roys Cameron - odpowiedział tamten i mocno chwyciwszy dłoń Iana, pomógł mu stanąć na nogi. - Gratuluję celnego ciosu - dodał, pocierając zaczerwienione miejsce pod lewym okiem.

- Nie ma o czym mówić - uśmiechnął się Ian. - Niestety, nie byłem dziś w najlepszej formie. Poza tym cała ta idiotyczna sytuacja lekko mnie zaskoczyła. Bo popatrz - mówił do Roysa, otrzepując spodnie z piasku - najspokojniej w świecie wchodzi do domu swojej siostry, a tu jak nie zaczniesz wyć alarm. Zapalają się wszystkie światła. Wpada z hukiem jakiś komandos... Prawdziwy kryminał!

- W domu jest nowy system alarmowy - wyjaśnił Roys z uśmiechem. - Zainstalowaliśmy go kilka tygodni temu.

- Ach, tak - uśmiechnął się Ian. - W takim razie muszę przyznać, że działa doskonale. Może napijemy się piwa? - zaproponował, jak gdyby nigdy nic.

- Chętnie - odparł Roys. - Muszę tylko rozbroić alarm i zadzwonić na posterunek, żeby odwołali radiowóz - dodał i poszedł w stronę telefonu.

Rozdział piąty

- Może dowiem się wreszcie, dlaczego próbowałeś się do mnie włamać? - zapytała Laura, patrząc na siedzącego naprzeciwko niej brata.

- Nie musiałbym tego robić, gdybyś uprzedziła mnie o alarmie - odparł. W rękę trzymał butelkę zimnego piwa. Widocznie potłuczona szczęka musiała mu dokuczać, bo zamiast pić, przykładał chłodne szkło do bolącego miejsca.

- Możesz być pewny, że zrobiłabym to, gdybyś ty uprzedził mnie o swojej wizycie.

- Niestety, wizyta była całkowicie nieplanowana - powiedział Ian i spoglądając na Roysa, dodał z uśmiechem: - Student pierwszego roku prawa musi sobie czasem zrobić jakąś przerwę, prawda?

- Pewnie - zgodził się Roys. Pomyślał sobie, że on również nie tak planował zakończenie tego wieczoru. Od czasu do czasu spoglądał na Laurę i starał się podejść do całej sprawy ze stoickim spokojem. Wolałby tylko, żeby dziewczyna poszła się przebrać. Gdyby zamiast tej prowokującej sukienki miała na sobie na przykład stary, powyciągany dres, byłoby mu dużo łatwiej pogodzić się z faktem, że ich pierwszy raz musi na razie poczekać na bardziej sprzyjające warunki.

- A gdzie kuzynki? - zainteresował się Ian.

- Wyszły.

- Masz coś do jedzenia? - padło kolejne konkretne pytanie.
- Umieram z głodu.

Popatrzyła na niego z wyrzutem. Młodszy brat, w pełni świadom, w czym przeszkodził, wzrokiem niewiniątka spoglą-

dał na swoją sfrustrowaną siostrę i jej towarzysza. Cała sytuacja bardzo go ubawiła i wcale nie czuł się głupio z powodu zamieszania, które wywołał.

- Chcesz jeść, to sobie coś zrób. Wiesz, gdzie jest lodówka - burknęła Laura.

- Mam niezwykle kochającą siostrę, nie sądzisz? - zagadnął Ian do Roysa, po czym potulnie ruszył w stronę kuchni.

- Chcecie kanapkę? - rzucił przez ramię.

- Czemu nie? - odpowiedzieli zgodnie Laura i Roys. Wymienili długie znaczące spojrzenia, a potem chcąc nie chcąc wstali i poszli za nim.

- Wiesz, Laurko, właściwie miałem zamiar jechać do dziadka i wycisnąć z niego trochę forsy - opowiadał Ian, wyciągając co tylko się da z ogromnej lodówki. - Ale potem pomyślałem sobie, że chętnie zobaczyłbym moją drogą siostrzyczkę.

- Odejdź stąd! Okropnie bałaganisz - ofuknęła go Laura.

- Sama zrobię te kanapki - powiedziała i chciała odsunąć go na bok.

Ian otoczył ją ramieniem i szybko pocałował w policzek. Ten czuły braterski gest złagodził nieco jej irytację, więc odezwała się miłszym tonem:

- Siadaj i dokończ to swoje piwo.

Jan gorliwie wykonał polecenie siostry. Usiadł przy kuchennym stole obok Roysa, długie nogi położył na stojącym naprzeciwko krześle. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie młodego człowieka, którym był w istocie. Miał dwadzieścia dwa lata, intrygującą urodę i duży talent w wielu dziedzinach. Dzięki temu mógł śmiało stawić czoło reputacji, jaką wyrobił sobie jego ojciec podczas studiów na Harvardzie. Jan MacGregor był w stanie prześcignąć ojca nie tylko pod względem wyników w nauce, lecz również powodzenia u kobiet. Rzadko która potrafiła bowiem przejść obojętnie obok szczupłej twarzy, blond czupryny, zmysłowych ust i błękitnych oczu młodego MacGregora.

- Jak tam interesy, Roys? - zagadnął swobodnie.

Obaj dobrze wiedzieli, że nie jest to pytanie wynikające z prawdziwego zainteresowania. Najwyraźniej brat chciał dać do zrozumienia adoratorowi siostry, że póki on tu jest, tamten powinien trzymać się od niej z daleka. Roys doszedł do wniosku, że to zrozumiała reakcja i w pewnym sensie docenił postawę młodego MacGregora. W którymś momencie on i Ian spojrzeli sobie szczerze w oczy, potwierdzając tym samym, że obydwoj rozumieją, o co chodzi.

- Interesy? - powtórzył Roys. - Dziękuję, nie narzekam - stwierdził lakonicznie, po czym uniósł swoją butelkę z piwem i skinął w stronę Iana - Najlepszego. Za nową znajomość - powiedział i pociągnął długi łyk.

Przez cały następny tydzień Laura usiłowała stłumić frustrację wywołaną nieudanym zakończeniem weekendowej randki. Ciężka praca miała być dla niej najlepszym lekarstwem, bo nie wyglądało na to, żeby w najbliższym czasie mogły spełnić się jej erotyczne sny. Młodszy brat najwyraźniej postanowił twardo stać na straży cnoty swojej siostry. W związku z tym niemal wprowadził się do domu kuzynek MacGregor, każdą noc spędzał z nimi w Back Bay, a rano jechał samochodem na zajęcia do Cambridge. Rozżłoszczona Laura doszła do wniosku, że Ian zachowuje się jak przysłowiowy pies ogrodnika.

- Przydałaby się na niego jakaś mocna smycz - powiedziała głośno sama do siebie, dając upust swej irytacji.

- O kim mówisz, kochanie? - zapytał miły kobiecy głos.

Laura podniosła wzrok znad dokumentów. W drzwiach pokoju stała Diana Blade MacGregor i z uniesionymi do góry brwiami patrzyła na mamroczącą do siebie córkę. Już na pierwszy rzut oka widać było, że Laura odziedziczyła swą oryginalną urodę właśnie po matce. Diana była wysoką i smukłą brunetką, miała duże brązowe oczy i ciemną karnację, którą zawdzięczała domieszce krwi indiańskiej - jej przodkowie po-

chodzili podobno z plemienia Komanczów. Nawet teraz, kiedy była już kobietą w średnim wieku, zwracała uwagę niezwykłą urodą oraz klasyczną elegancją. Ponieważ wychodziła właśnie do sądu, ubrana była w doskonale skrojony, brązowy kostium. Gęste, czarne włosy zaczesła w gładki, schludny kok. Patrząc na matkę, Laura po raz kolejny w swoim życiu pomyślała, że jej rodzicielka jest chodzącą doskonałością.

Ponieważ jednak w tym momencie daleka była od chęci okazywania gorących rodzinnych uczuć, na pytanie zaskocznej Diany odpowiedziała wprost:

- Mówię o twoim synu, a moim ukochanym i jedynym bracie, który od dłuższego czasu doprowadza mnie do szału.

- Ian? - zapytała Diana i udając wielce zdziwioną, próbowała ukryć błysk rozbawienia, który pojawił się w jej oczach. Oczywiście doskonale orientowała się w całej sprawie. Kiedy tylko wrócili z mężem z wakacji, Ian oznajmił im, że Laura jest poważnie zainteresowana facetem, którego dziadek najął do instalowania alarmu. - A cóż takiego ci zrobił? - zapytała, siadając obok córki.

- Ciagle za mną łązi. Węszy i szpieguje, bo ubzdurał sobie, że musi mnie pilnować - denerwowała się Laura. - A ja sobie tego nie życzę!

- Rozumiem - uśmiechnęła się Diana i matczynym gestem pogłaskała córkę po głowie. - Powiedz mi, kochanie - poprosiła łagodnie - czy nie jest w to przypadkiem wplątany pan Roys Cameron?

- Przede wszystkim chodzi o to, że mój młodszy brat nie ma prawa wtrącać się do moich osobistych spraw! - mówiła coraz bardziej rozsierdzona Laura. - A poza tym, rzeczywiście chodzi o Roysa.

- Chciałabym go poznać. Twój dziadek wyrażał się o nim bardzo pochlebnie.

- Poważnie? - zdumiała się Laura. Nerwowym ruchem odrzuciła do tyłu niesforną pasemko i spojrzała na matkę. - Prze-

cież dziadek prawie nie zna Roysa. Wynajął jego firmę do zainstalowania alarmu, to wszystko!

- Oj, córeczko, myślałam, że lepiej znasz głowę klanu MacGregorów - roześmiała się Diana. - Możesz być pewna, że dziadek nie pozwoliłby zbliżyć się do ciebie nikomu, kogo sam by wcześniej nie zaakceptował. Wiem, że wszystko dobrze sprawdził i jest pewny, że Roys Cameron pochodzi z bardzo dobrej, starej rodziny.

- Szkockiej rodziny - westchnęła Laura. - Znam tę jego obsesję.

- Co zrobić! - Wzruszyła ramionami Diana. - Musisz pamiętać, że jesteś najstarszą wnuczką Daniela i nie będzie ci łatwo wymknąć się spod jego kontroli. Nieżle cię z tatą urządziliśmy, co? - roześmiała się, widząc zagniewaną minę córki.

- Ja naprawdę nie rozumiem, dlaczego... - zaczęła Laura, ale nagle głos uwiązł jej w gardle. Zdołała jedynie wydać krótki okrzyk zaskoczenia, a kiedy Diana podażyła spojrzeniem za jej osłupiałym wzrokiem, ujrzała stojącego w drzwiach przystojnego bruneta o intrygującym uśmiechu.

- Przepraszam bardzo - powiedział pewnym głosem - ale recepcjonistka na dole poinformowała mnie, że panna Laura MacGregor nie jest w tej chwili zajęta i że mogę do niej zajrzeć.

- Tak... - Laura poczuła nagłą pustkę w głowie, zdołała się jednak opanować i zaskakująco cichym głosem dokonała prezentacji: - Mamo, pozwól... To jest właśnie Roys Cameron.

- Miło mi pana poznać. - Diana wstała zza biurka i podała mu dłoń.

Roys uśmiechnął się do niej i odpowiedział w sposób, którego Laura zupełnie się po nim nie spodziewała:

- Patrząc na panią, łatwo mogę wyobrazić sobie, jak będzie wyglądała Laura, kiedy w pełni rozkwitnie. Miała szczęście, dziedzicząc urodę po pani.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem Diana, której ten

gładki komplement najwyraźniej sprawił przyjemność - Mój mąż mówi, że czas obchodzi się z Komanczami wyjątkowo łagodnie. No, na mnie już pora - powiedziała i poszła w stronę drzwi. - Pewnie chce pan porozmawiać z Laurą na osobności - Na progu jeszcze odwróciła się i spojrzała córce w oczy - Aha, obiecuję ci, że zwrócę uwagę Ianowi.

- Twoja matka jest... niesamowita - szepnął Roys patrząc w ślad za Dianą MacGregor. - Tylko nie rozumiem o co chodzi z tymi Komańczami.

- Jej przodkowie byli Komańczami - wyjaśniła Laura. Matka ma domieszkę tej krwi, ja zresztą też - powiedziała wstając z miejsca i prostując się dumnie.

Roys obszedł biurko i stanął z nią twarzą w twarz. Nim spróbował dotknąć jej choćby palcem, pół żartem pół serio zapytał:

- Czy przypadkiem twój troskliwy brat nie siedzi schowany w którejś szafie?

- Nie sędzę - odpowiedziała, mając nadzieję, że się nie myli.

- W takim razie... - w głosie Roysa usłyszała znajomą nutę, która zawsze sygnalizowała, że ma on wobec niej określone zamiary. Kobięca intuicja jej nie zawiodła - Roys wolno otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie, a potem wyszeptał z ustami tuż przy jej ustach: - Koniecznie musimy się spotkać, Lauro, sami...

- Wiem - odpowiedziała pospiesznie. - Ja też nie myślę o niczym innym, ale wszystko się teraz tak okropnie skomplikowało... Och, proszę cię, pocałuj mnie wreszcie! Mocno!

Spełnił jej prośbę gorliwie, w głębokim pocałunku oddał całą niecierpliwość i siłę, z jaką jej pragnął. Ona zaś nie pozostała mu dłużna.

- Powinienem był przyłożyć mu mocniej - wymruczał kiedy na moment udało mu się oderwać od jej warg-Ale' znajdę go i tym razem mu nie popuszczę.

- Nie - szepnęła Laura. Wplątała swoje smukłe palce w jego potargane, niesforne włosy. - Sama się zajmę moim bratem - obiecała. Nie chciała teraz o tym myśleć. Najważniejsze, że znowu mogli być razem.

- Powiedz sekretarce, że wychodzisz na lunch - kusił Roys.

- Co ty, jest dopiero dziesiąta.

- To powiedz, że to będzie wyjątkowo wczesny lunch - namawiał. Żeby ułatwić jej podjęcie decyzji, wodził gorącymi wargami w dół i w górę jej szyi. Delikatnie chwycił zębami ucho Laury i szepnął: - Bardzo cię proszę...

- Nie powinnam - próbowała się bronić, ale już wiedziała, że nie jest w stanie przeciągać tej gry. - Zaczekaj - uśmiechnęła się wreszcie - muszę tylko...

W tym samym momencie usłyszała, jak ktoś otwiera drzwi biblioteki i donośnym głosem pyta:

- Lauro, czy masz akta sprawy...? - Caine MacGregor urwał w pół słowa i zamarł z ręką na klawiszu. W osłupieniu przyglądał się postawnemu mężczyźnie, który bezczelnie obściskał jego córkę. Co gorsza, Laura najwyraźniej nie miała nic przeciwko tym zalotom. - Przepraszam, że przeszkadzam - odezwał się głośno, lecz ton jego głosu nie pozwalał wątpić, że ma na myśli wszystko, tylko nie przeprosiny.

- Och, tato! - zawołała speszona Laura. Uwolniła się z ramion Roysa i próbowała jakoś wybrnąć z niezręcznej sytuacji: - Ja właśnie... Właściwie my...

- Właściwie co? - spytał srogo ojciec, choć chyba nie spodziewał się sensownej odpowiedzi. Popatrzył na Roysa, marszcząc brwi. - A pan, jeśli wolno spytać...?

- Nazywam się Cameron - Roys przedstawił się już po raz drugi tego poranka i, bynajmniej nie zbity z tropu, dodał zaczepnie: - Właśnie pocałowałem pana córkę.

Caine MacGregor nie mówił nic i przez kilka sekund tylko mu się przyglądał. Również Roys mierzył wzrokiem ojca Lau-

ry. Caine MacGregor przypominał mu wytresowanego lwa, który w odpowiednim momencie potrafi pokazać pazury. Widocznie ten moment właśnie nadszedł, bowiem Caine znów zmarszczył brwi i warknął:

- Mam oczy. I rozum - dodał. - Roys Cameron, zabezpieczenia przeciwwłamaniowe, tak? Czy więc nie powinien być pan teraz w pracy i pilnować cudzych i własnych interesów, a nie napastować tu moją córkę?

Roys wysłuchał go spokojnie. Faktycznie, powinien być w pracy. Nie planował tej porannej wizyty w Back Bay - najlepszy dowód, że nawet się nie ogolił. Gdyby miał zamiar odwiedzić Laurę, na pewno nie ubrałby się w swoją ulubioną, ale mocno zniszczoną skórzaną kurtkę i džinsy, postrzępione na dole i przetarte do białości w newralgicznych punktach. Mimo to, pchany jakąś niepojętą siłą, przyjechał pod jej dom i wszedł na górę. Nie myślał o tym, że wygląda jak obwieś, że w domu mogą być rodzice, albo że ona sama może być zajęta jakimś klientem kancelarii i nie mieć dla niego czasu.

Dopiero teraz, stojąc twarzą w twarz z oburzonym ojcem Laury, uświadomił sobie, że pewnie robi nie najlepsze wrażenie na tym eleganckim, bogatym człowieku. Zrozumiał też, że Caine MacGregor, przyzwyczajony do zupełnie innego towarzystwa, ma prawo niepokoić się o córkę.

- Właśnie wracam od pana ojca z Hyannis Port - wyjaśnił.
- Od dwóch dni przymierzamy się do modernizacji systemu zabezpieczenia w jego domu.

- Doprawdy? - Caine nie miał ochoty wdawać się w szczegóły. - Co ten stary tyran znowu wymyślił - mruknął pod nosem, a głośno dodał: - W takim razie musi pan mieć mnóstwo roboty. Nie chcielibyśmy pana dłużej zatrzymywać.

- Tato! - Laura, najwyraźniej mocno wzburzona, szarpnęła ojca za rękaw. - Naprawdę nie ma powodu, żebyś był niegrzeczny!

- Owszem, jest powód - powiedział Roys i uśmiechnął się

zagadkowo. Gdy zaś Laura popatrzyła na niego pytającym wzrokiem, dodał: - To proste. Jesteś ładną podobną do matki. Cóż, przepraszam za najście, panie MacGregor - westchnął i ruszył w stronę drzwi. Zanim wyszedł, zatrzymał się jeszcze przed ojcem Laury i patrząc mu twardo w oczy, powiedział: - Chciałbym tylko uprzedzić, że nadal będę całował pańską córkę, czy się to panu podoba, czy nie.

Laura zdecydowała, że nie będzie tego słuchać ani chwili dłużej. Jej porywcza natura wzięła górę nad wyuczonym opanowaniem. Rozzłoszczona wymianą zdań na jej temat, zawołała:

- Jeśli myślicie, że możecie się tu o mnie kłócić, jakbym była jakąś wojenną zdobyczą to...

- Właśnie skończyliśmy - uciął Roys krótko i stojąc już w drzwiach, rzucił na odchodnym: - Przynajmniej na razie.

- Arogancki typ - skomentował Caine MacGregor i wcisnął ręce w kieszenie spodni. - Ale podoba mi się - dodał z dziwnym uśmiechem.

- Naprawdę? - zdumiała się Laura. Podskoczyła do ojca, wycelowała palec oskarżycielsko w jego pierś i ogarnięta furia, syknęła: - Poniżyłeś mnie!

- Nieprawda.

- Prawda! Zachowałeś się zupełnie jak... jak...

- Jak ojciec - dokończył Caine, biorąc córkę pod brodę. - Myślisz, że nie wiem, czego chce od ciebie ten przystojniaczek? Widziałem, gdzie trzymał ręce...

- Wiem gdzie, tato. I powiem ci, że sama chciałam, żeby się tam znalazły. Nie jestem dzieckiem i nie pozwolę, żeby cała męska część naszej rodziny pilnowała mojej cnoty. Jeden Ian wystarczy! Jestem dorosła i mogę robić, co mi się podoba!

- Niezupełnie. Pamiętaj, że zawsze mogę stłuc ci tyłek i zamknąć na klucz w sypialni.

- Akurat! - fuknęła. - Nigdy w życiu nie podniosłeś na mnie ręki.

- Widzę teraz, że było to karygodne zaniedbanie. Które jednak w każdej chwili może zostać skorygowane - dodał rzeczowo.

- Przestańcie! - Do biblioteki wkroczyła Diana, zaalarmowana odgłosami kłótni. - Wrzeszczycie tak, że słychać was na całej ulicy! Albo się natychmiast uciszycie, albo podam was do sądu za zakłócanie porządku. Siadajcie i ani słowa więcej!

- To on nie potrafi się zachować, nie ja - powiedziała za-perzona Laura, ale posłusznie usiadła, a raczej rzuciła się na fotel. - Najpierw zawstydził mnie w obecności Roysa, potem był niegrzeczny. W ogóle wszedł do biblioteki jak do...

- Nie on, tylko ojciec - Caine przerwał jej ostrym tonem i również usiadł.

- Może i ojciec, ale z manierami małpoluda z epoki kamienia łupanego! - prychnęła rozżalona Laura. - Mamo - zwróciła się do Diany - ja mam dwadzieścia cztery lata! Czy on naprawdę myśli, że do tej pory nikt mnie nie całował?

- Mam nadzieję, że nikt nie robił tego w taki sposób! Posłuchaj, Diano - teraz Caine postanowił przedstawić żonie swoje racje - ten mężczyzna trzymał łapy na jej...

- Dość tego! - przerwała mu żona. Uniosła w górę dłonie i zamknęła oczy, jakby bała się, że jeszcze chwila, a i ona wybuchnie gniewem. - Lauro - spojrzała najpierw na córkę - nawet kiedy będziesz miała sto dwadzieścia cztery lata, nie będzie ci wolno mówić do ojca w taki sposób. A ty, Caine - popatrzyła na męża - powinieneś już dawno wiedzieć, że twoja córka jest dorosła, mądra i odpowiedzialna. I że może sobie całować, kogo tylko zechce.

- O, chwileczkę - zaprotestował Caine.

- Właśnie tak - Diana uspokoiła go ruchem dłoni. - A tobie, Lauro, obiecuję, że jeśli ojciec rzeczywiście obraził Roysa, to na pewno go przeprosi.

- Niedoczekanie!

- Osobiście tego dopilnuję - syknęła przez zaciśnięte zęby,

przesyłając mężowi mordercze spojrzenie. - Jednak w tej chwili najważniejsze jest, żebyście się uspokoili i zaczęli zachowywać jak ludzie. Zapomnieliście chyba, że w tym domu się pracuje.

- Jej to powiedz! - Teraz Caine wyciągnął palec w stronę córki. - To ona, nie ja, załatwiała tu swoje osobiste sprawy. I to na moim biurku.

- Wcale nie robiliśmy tego na biurku - zaprotestowała Laura, lecz już po chwili zaczerwieniła się po same uszy. Przyszło jej do głowy, że jeszcze moment i z pewnością ojciec przyłapałby ich właśnie na tym, jak kochają się na dębowym blacie, wśród porzrzucanych akt i dokumentów. - Roys wpadł tylko, żeby zapytać, czy pójdę z nim na lunch.

- Ha! - mruknął Caine znacząco.

- Co znowu za „ha”? Zachowujesz się zupełnie jak dziadek!

- Tego już za wiele! - krzyknął Caine MacGregor. Do żywego dotknięty tym porównaniem, zerwał się na równe nogi i stanął na wprost córki. - Wrzeszczysz tu na mnie, chociaż dobrze wiesz, że każdy ojciec na moim miejscu zachowałby się tak samo! Do czego to podobne, żeby jakiś obcy facet na oczach rodziców i w ich domu dobierał się do ich córki?

Ponieważ jedyną odpowiedzią na jego pytanie była martwa cisza, postanowił do końca wykorzystać chwilową przewagę i oburzony zawołał:

- I ty, taka dumna i niezależna młoda dama, nie masz nic przeciwko temu, że ten stary tyran, twój dziadek, podsunął ci tego twojego Roysa pod sam nos!? Nie przeszkadza ci, że ktoś za twoimi plecami wybrał kandydata na ojca twoich dzieci!?

- Caine, uspokój się! - zawołała Diana.

Gdyby wzrok mógł zabijać, jej mąż byłby już trupem. Caine MacGregor wprawdzie zamilkł, ale było już za późno - Laura, nie odrywając oczu od ojca, zapytała nadzwyczaj opanowanym głosem:

- Jak to podsunął? O czym ty mówisz, tato?

- O twoim panu Cameronie - odpowiedział Caine, nie zwracając uwagi na błagalne syknięcie żony. - To proste jak dwa razy dwa. Jesteś najstarszą wnuczką, w związku z czym twój dziadziuś uznał, że już czas, żebyś założyła rodzinę. Pora spełnić swój obowiązek - zakończył, naśladowując ochrypły głos swojego ojca.

Laura zaniemówiła. Kilka razy poruszyła ustami, jakby chciała coś powiedzieć. W końcu wydała z siebie ostry, przeciągły krzyk, który bardziej przypominał wycie zranionego zwierzęcia niż ludzką mowę.

- Widzę, że wreszcie to do ciebie dotarło - pokiwał głową Caine, najwyraźniej zadowolony z dobrze spełnionego ojcowskiego obowiązku. Strząsnął niewidzialny pyłek z rękawa i usiadł w fotelu. Kiedy zaś Laura odzyskała głos, słuchał z uśmiechem, jak wyrzuca z siebie cały potok wściekłych słów:

- A więc to tak! Nasłał go na mnie... Wybrał jak jakiegoś reproduktora, żebym... żebym mogła się rozmnażać!

- No cóż, życie czasem bywa brutalne.

- Zabiję go! - oznajmiła Laura z zimnym spokojem.

- Kogo zabijesz?

- Dziadka. Mam zamiar rozerwać go na strzępy, więc lepiej zacznijcie przygotowania do pogrzebu - dodała, wstając. Bez pośpiechu sięgnęła po płaszcz i neseser, po czym oznajmiła, nie patrząc na rodziców: - Biorę wolny dzień. Jadę do Hyannis Port.

- Lauro... - Diana bezskutecznie starała się ją zatrzymać.

- Zostaw ją - powstrzymał żonę Caine. - Niech jedzie. Ostatecznie staremu należy się niezła bura za te jego intrygi.

- Boże! - jęknęła Diana, wznosząc swoje sarnie oczy do nieba. - Jak mogłeś dopuścić, żebym związała się z taką rodziną!

- Boga do tego nie mieszaj - roześmiał się jej mąż. - Lepiej przyznaj, że po prostu nie mogłaś mi się oprzeć. Dobrze

pamiętam, jak pierwsza się na mnie rzuciłaś. - Podniósł do ust jej szczupłą dłoń i pocałował, wiedząc doskonale, że rozładuje tym złość żony. - Zresztą wciąż robię na tobie wrażenie - dodał tym samym rozbrajającym tonem.

- Oj, robisz. Wszyscy robicie.

- Daj już spokój... - Caine pogłaskał ją po ręce. - Zrozum, że próbowałem tylko bronić naszej małej dziewczynki.

- Wiem - przysunęła się do niego i pogładziła go z westchnieniem po siwej skroni. - Ale Laura nie jest już dzieckiem. Wyrosła tak szybko, że aż trudno w to uwierzyć. A jeszcze trudniej się z tym pogodzić.

- Zdaję sobie sprawę, że jest dorosła. Nie chciałbym tylko, żeby zbyt pochopnie wplątała się w coś z tym Cameronem. Szczególnie, że wybrał go dla niej mój ojciec.

- Nie martw się. Ona i tak sama podejmie ostateczną decyzję. Już taka jest, że nie uznaje cudzych racji, kiedy chodzi o jej prywatne sprawy. A swoją drogą - zainteresowała się - co myślisz o panu Cameronie?

- Trudno powiedzieć - odparł wymijająco. - Kiedy ich zobaczyłem, byłem tak wściekły, że w pierwszej chwili chciałem go zabić, ale... - dodał z ociąganiem - muszę przyznać, że spodobał mi się.

- Mnie również.

- No tak, ale to wcale nie znaczy, że może pozwalać sobie na takie rzeczy, tu, w biurze, prawie na naszych oczach!

- Czy chcesz powiedzieć, że nie powinien zachowywać się tak, jak my swego czasu? - zapytała z niewinną miną Diana i naśladując wzburzony głos męża, zawołała: - Co za kompletny brak wstydu!

Rozdział szósty

Daniel MacGregor siedział za ogromnym biurkiem w gabinecie, który zwykle nazywał swoją wieżą. Wygodnie rozparł się w masywnym skórzanym fotelu i rozmyślał o tym, że nic w życiu nie smakuje tak bardzo, jak dobre cygaro. Ponieważ jego żona wyszła na kilka godzin i został sam w swojej fortecy w Hyannis Port, postanowił wykorzystać okazję i zapalić sobie w samotności. Nareszcie będzie mógł rozkoszować się smakiem tytoniu bez obawy, że Anna przyłapie go na gorącym uczynku.

Wiedział, że ta dobra kobieta ma najlepsze intencje i martwi się o jego zdrowie. Ale podobnie jak inne przedstawicielki tej płci, w żaden sposób nie może pojąć, że mężczyzna potrzebuje cygar jak powietrza. Musi czuć w ustach ich cierpki smak, w palcach dotyk skręconych tytoniowych liści, żeby móc spokojnie myśleć i podejmować trafne decyzje.

Wstał z fotela i podszedł do swojej skrytki na półce z książkami. Otworzył tom „Wojny i pokoju” i z przykrością stwierdził, że kończy mu się zapas jego ukochanych hawańskich cygar. Pomyślał, że znowu będzie musiał przekupić któreś ze swoich dzieci albo wnuków, żeby jakoś przeszmułowały nowe pudełko.

Zadowolony z własnej przebiegłości, wrócił za biurko i ponownie rozsiadł się w fotelu. Zapalił cygaro, oparł głowę i obserwował z lubością unoszący się ku górze wonny dym. Czuł głęboką satysfakcję. Jego życie przebiegało dokładnie tak, jak sobie dawno to zaplanował. Wszystko szło swoim torem, więc mógł nareszcie pomyśleć o odpoczynku, który człowiekowi

w jego wieku słusznie się należał. Jak tylko wyda za mąż wnuczki, będzie mógł spędzić resztę swoich dni tak miło i bez troski, jak spędził dzisiejszy poranek. Dobry nastrój i wyśmiewane kubańskie cygareto - czegoż więcej trzeba do szczęścia?

Plan wydania Laury za mąż na razie rozwijał się pomyślnie. Daniel wiedział to dzięki informacjom, które zdołał wyciągnąć od pozostałych dwóch wnuczek. Reszty mógł się tylko domyślać, bo Roys Cameron, z którym często rozmawiał podczas prac przy nowym alarmie, jakoś nie był skory do zwierzeń. Co więcej, udawał, że absolutnie nic nie łączy go z Laurą.

- Myślisz, chłopczyku, żeś taki sprytny? - powiedział stary Szkot i zarechotał cicho gardłowym śmiechem. - Pamiętaj, że starego MacGregora jeszcze nikt nie przechytryzył!

Przypomniał sobie z rozbawieniem słowa Roysa: „Tak, panie MacGregor, poznałem pana wnuczki. Laura jest rzeczywiście bardzo atrakcyjną kobietą. Faktycznie, to cud, że jeszcze żaden facet nie połakomił się na taki kąsek.”

Więcej od Roysa Daniel nie usłyszał, ale doświadczenie zdobyte w ciągu długiego życia nauczyło go, jak czytać między wierszami i jak domyślać się prawdziwych zamiarów rozmówcy. Wystarczyło popatrzeć, jaki wyraz mają oczy Camerona, kiedy mówi o jego wnuczce.

- Ślepy by zauważył, że chłopak zadurzył się w niej po same uszy - kontynuował swój monolog. - Trafiony, zatopiony, nie ma co!

Daniel MacGregor uwielbiał bawić się w swata. Z prawdziwą przyjemnością snuł plany dotyczące rychłego, jak sądził, ślubu Laury. Wypuszczał z ust kółka dymu i rozmyślał, że najodpowiedniejszą porą roku na tę ceremonię będzie wczesna wiosna. Wolałby wprowadzić, żeby ślub odbył się w czasie najbliższych Świąt Bożego Narodzenia, ale ponieważ był realistą, zdawał sobie sprawę, że jest to termin mało prawdopodobny. Choć z drugiej strony, im szybciej, tym lepiej. Prędzej przyjdą na świat prawniczki, na które czekał z utęsknieniem.

Kochające serce dziadka wypełniło się dumą na samą myśl o tym, jak piękną panną młodą będzie Laura. Nie mogło być inaczej, skoro dziewczyna podobna była do matki. A Diana w dniu ślubu z jego synem wyglądała tak cudownie, że nikt nie mógł oderwać od niej oczu. Ach, ten Caine! Jak długo zwlekał, nim wreszcie zdecydował się ożenić z tą niezwykle kobietą! Choć od tego czasu minęło dobrych dwadzieścia pięć lat, Daniel MacGregor poczuł nagle taką złość na syna, jakby te wszystkie wydarzenia miały miejsce wczoraj.

Teraz znowu historia się powtarza. Wnuki ociągają się, podobnie jak kiedyś ich rodzice, więc on jeszcze raz musi interweniować. Co prawda teraz postanowił dać swoim wnukom więcej czasu, żeby mogli się wyszumieć. W związku z tym skoncentrował się raczej na wnuczkach, które były starsze niż męska część rodziny MacGregorów.

Ponownie wyobraził sobie Laurę, jak w pięknym, starym welonie po prababce, prowadzona przez ojca, idzie przez kościół pełen gości. Przy ołtarzu czeka na nią zakochany Roys. Oboje są tak piękni, ceremonia tak wzruszająca i uroczysta, że aż łzy kręcą się w oczach. Jego śliczna, kochana wnuczka, takie słodkie i łagodne dziecko...

- Gdzie jesteś, Danielu MacGregor!!!

Wściekły ryk gdzieś w głębi domu przerwał brutalnie jego medytację. Daniel przestraszył się tak bardzo, że aż podskoczył w fotelu i o mało nie złamał cygara. Zakrztusił się dymem, więc potwornie kaszłąc, rozpaczliwie wymachiwał rękami w nadziei, że uda mu się w ciągu sekundy wywietrzyć zadyminy gabinet. Szybko zgasił cygaro, a niedopałek ukrył pod dywanem. Cały czas słyszał, jak ktoś woła jego nazwisko i jak odbija się ono echem w całym domu.

- Wiem, że gdzieś tu jesteś! - grzmiał tajemniczy żeński głos. - Bądź pewny, że znajdę cię i zabiję!

Krzywiąc się i krztusząc, Daniel zerwał się z fotela z zaskakującą jak na człowieka po dziewięćdziesiątce zwinnością.

Popielniczkę wepchnął do szuflady i rzucił się otwierać okno. Nim jednak zdążył to zrobić, drzwi otwały się z hukiem i w progu gabinetu stanęła zadyszana i purpurowa z wściekłości Laura. Widząc dziadka, rozczapierzyła palce, jakby za moment miała zamiar wydrapać mu oczy. Nie siląc się na żaden wstęp, wrzasnęła:

- Jak mogłeś!? Jak śmiałeś!?

- Wnusi, moje kochanie! Jaka miła niespodzianka... - Popatrzył na nią zaskoczony.

- Tylko nie nazywaj mnie wnusią i kochaniem! - zawołała i z impetem oparła obie ręce o jego biurko. - Wybrałeś dla mnie ogiera, co? Może ci się wydaje, że jestem kłaczą rozplodową?

- Słoneczko, o czym ty mówisz? Skoro przyjechałaś tu aż z Bostonu, to może usiądziesz i napijesz się z dziadkiem herbaty - zaproponował i uśmiechnął się do niej promiennie. Za wszelką cenę chciał zyskać trochę czasu. W myślach gorączkowo szukał sposobu, jak wybrnąć z tej okropnej sytuacji.

- Nie ma mowy! Nawet nie myśl o herbacie, bo mam zamiar udusić cię za chwilę gołymi rękami! Myślałeś, że nie zorientuję się, co knujesz?

- Ja knuję? Ależ moje dziecko, od samego rana porządkuję papiery - powiedział, pokazując na biurko i w głębi duszy dziękując Bogu, że ten potężny mebel oddziela go od rozwścieczonej Laury.

- Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię! Myślisz, że sama nie potrafię znaleźć sobie faceta?

- Dziewczyno, co ty wygadujesz? Pewnie, że potrafisz. Z twoim wyglądem musisz raczej opędzać się od konkurentów. Ty tego nie pamiętasz, bo byłaś maleńka, ale kiedy pierwszy raz wzięłem cię na ręce, wkrótce po twoim urodzeniu, to zaraz powiedziałem twojemu ojcu, że jesteś najśliczniejszym dzieckiem na świecie. Teraz też jesteś najśliczniejsza - dodał, łudząc się, że pochlebstwami zdoła złagodzić jej gniew. Na wszelki

wypadek postanowił także wzbudzić w niej litość, toteż zachwiał się nagle, jakby miał za chwilę upaść, po czym ruchem niedołęznego starca chwycił się oparcia fotela. - Mój Boże, to było tak dawno. Kiedy myślę o tym, czuję się starym człowiekiem.

Niestety, Laura nie dała się zwieść.

- Nie próbuj ze mną swoich sztuczek! - wycodziła. - Przypominasz, że jesteś stary, kiedy tego potrzebujesz. Intrygant! Stary łajdak! - wołała podniecona.

Dopiero słysząc te epitety, Daniel zrozumiał, że to nie przelewki. Postanowił wytoczyć najcięższą broń - przymknął oczy, usiłował zblednąć i gwałtownie przycisnął rękę do lewej strony swojej potężnej klatki piersiowej.

- Moje serce... Mam palpitacje! - jęknął.

Ale i to nie pomogło. Laura zmrzyła tylko oczy i mściwie syknęła:

- Jeśli chcesz, mogę pomóc ci przenieść się na tamten świat.

- Serce mi pęka - biadał Daniel - kiedy słyszę, jak moja ukochana wnuczka się do mnie odzywa. Za wszystko dobre, co dla ciebie zrobiłem, za moją miłość, okazujesz mi taki brak szacunku? Chyba naprawdę tego nie przeżyję - zakończył dramatycznie, po czym smutno zwiesił głowę i spod przymkniętych powiek obserwował jej reakcję.

Laura nie wyglądała na specjalnie poruszoną.

- Ciesz się, że w ogóle chcę z tobą rozmawiać. I nie myśl, że uda ci się z tego łatwo wywinąć. Jesteś zdrowy jak koń i co gorsza, dużo od niego głupszy!

Tym razem stary poczuł się prawdziwie dotknięty. Energicznym ruchem podniósł głowę i silnym, stanowczym głosem spróbował przywołać Laurę do porządku:

- Dość tego, moja panno! Uważaj, co mówisz. Nie pozwolę, żebyś mnie obrażała.

— Ja też sobie na to nie pozwolę. Jak mogłeś, dziadku?

Jak mogłeś tak mnie poniżyć i najać tego człowieka tylko po to, by mnie poderwał? - pytała, a Daniel widział, jak jej złość powoli ustępuje miejsca rozgoryczeniu.

- I co w tym dziwnego! - zagrział Daniel, który całkiem już zapomniał, że dopiero co symulował atak serca. - Wiesz doskonale, że trzeba było zainstalować u was system alarmowy. Zawsze starałem się ochraniać tych, których kocham. Poza tym babcia martwiła się cały czas i wierciła mi dziurę w brzuchu. To wszystko - zakończył i uderzył pięścią w stół.

W głowie Laury zaświtał tymczasem nowy pomysł.

- Skoro tak, to co innego - powiedziała wolno i wyraźnie. Obeszła biurko, ręce oparła na biodrach i stanęła twarzą w twarz ze swoim zirytowanym dziadkiem.

- Danielu Duncanie MacGregorze - zaczęła uroczyście - będziesz teraz zeznawał pod przysięgą. Czy przysięgasz mówić prawdę i tylko prawdę?

- Ja nigdy nie kłamię, moja mała. A teraz, jeśli pozwolisz...

- Nie pozwalam. Jeszcze nie skończyłam przesłuchiwać oskarżonego.

- Oskarżonego!? - wrzasnął stary Szkot. - Jeszcze rok nie minął, jak skończyłaś studia, a już myślisz, że możesz mnie przesłuchiwać?

- Tak. I bardzo cię proszę, usiądź i odpowiedz na moje pytania - poprosiła spokojnie. - Najałeś Roysa Camerona czy nie?

- Mówiłem ci już, że tak - odparł. - Jego firma ma dobrą renomę.

- Czy zapłaciłeś mu za to, co zrobił?

Daniel wzruszył ramionami.

- A jak sobie wyobrażasz? Miałby nie dostać za swoją pracę pieniędzy?

- Dobrze, teraz powiedz mi, czy zachęcałeś go w jakikolwiek sposób, żeby zawarł bliższą znajomość z twoją wnuczką, Laurą MacGregor?

- Ależ to czysty nonsens! Nigdy nie...
- Przypominam ci, że zeznajesz pod przysięgą.
- A ja ci powtarzam, że do niczego nie namawiałem ani nie zachęcałem tego człowieka - odparował podniesionym tonem. - Owszem, przyznaję, raz czy dwa mogłem przy okazji wspomnieć, że mam wnuczkę, która jest piękną, wolną kobietą. Ale sama przyznasz, że to nie grzech.
- Na pewno narzucałeś mu się, opowiadałeś o mnie na okrągło...
- Nic podobnego - odpowiedział stary wyga i uśmiechnął się chytrze. - Wolałem raczej, żeby to on ci się narzucał. Ale skoro pan Cameron nie spodobał ci się, to dlaczego nie posłałaś go do wszystkich diabłów?
- Nie o to chodzi - bąknęła zmieszana Laura, ale dziadek nie pozwolił jej powiedzieć więcej. Czuł, że wreszcie udało mu się przejąć inicjatywę.
- Zaraz, zaraz. Powiedz no mi, panienko, posłałaś czy nie?
- Kiedy to nie ma nic do rzeczy!
- A właśnie, że ma! Inaczej by cię tu nie było i nie wściekałabyś się na swojego Bogu ducha winnego dziadka - powiedział i wziął ją za rękę. Przyjacielsko poklepał jej dłoń i dodał konfidenicznym szeptem: - Wiesz, że ten Cameron całkiem się w tobie zadurzył, dziecinko?
- Nieprawda! - zawołała porywczo i wyrwała swoją dłoń z dziadkowego uścisku.
- Prawda, prawda. Uwierz mi, taki stary lis, jak ja nigdy nie myli się w tych sprawach. Miałem tu pana Camerona przez całe dwa dni i mogłem mu się dobrze przypatrzeć.
- Próbujesz go przekupić, żeby zainteresował się mną! - zawołała rozżalona.
- Powtarzam ci, że nic podobnego - powiedział i podszedł do niej. Położył rękę na jej ramieniu, po czym odezwał się spokojnym i rzeczowym tonem: - Sama powiedz, czy Cameron nie zrobił porządnej roboty w waszym domu w Back Bay?

- Nie wiem, nie znam się na alarmach.
- No więc zapewniam cię, że wykonał pierwszorzędną robotę. Dzięki temu ja i babcia możemy być o was spokojni. Ponieważ spodobało mi się to, co zrobił u was, postanowiłem zatrudnić go do wymiany alarmu w swoim domu. Czy widzisz w tym coś złego?

Laura nie odpowiedziała. W milczeniu przyłożyła dłoń do skroni. Jadąc tu dziś rano, była pewna swoich racji, teraz jednak straciła nagle to przekonanie. Mimo to próbowała nadal walczyć o swoje:

- I tak wiem, że wszystko było z góry ukartowane - stwierdziła, lecz w jej cichym głosie nie było już wiary.

- Oczywiście, Lauro. Całe nasze życie takie jest - zauważył Daniel sentencjonalnie. - Ale posłuchaj mnie. Co masz do zarzucenia Cameronowi? Przecież to przystojny, dobry chłopak ze starej, szkockiej rodziny. Znałem kiedyś jego dziadka. Porządny był z niego chłop - rzucił niby mimochodem, ale dobrze wiedział, że powinno ją to zainteresować. I nie pomylił się. Laura od razu chwyciła przynętę.

- Naprawdę znałeś dziadka Roysa Camerona? - zapytała, a jej ciemne oczy aż rozszerzyły się z ciekawości.

- Och, to była przelotna znajomość. Był dobrym policjantem. Pamiętam, że miał poczucie obowiązku i bardzo mocną głowę. Mógł wypić morze whisky. Babcia Roysa pochodziła z Fitzwilliamsów. To też dobry, stary ród. Ją znałem lepiej - uśmiechnął się zagadkowo i dalej ciągnął swoją opowieść - ale to było dawno, zanim pojawiła się twoja babcia. W każdym razie, pewnego razu przeglądałem spis małych, prywatnych firm w Bostonie. Szukałem kilku, którym można by dać zrobić. I wtedy zobaczyłem nazwisko Cameron. Przypomniałem sobie o tej rodzinie i zacząłem zastanawiać się, czy to przypadkiem nie będzie jakiś krewny Millie Cameron, z domu Fitzwilliams. Może to jej wnuk, pomyślałem, i postanowiłem to sprawdzić.

Dziadek opowiadał swoją historię, a Laura czuła się coraz bardziej pokonana. Zrezygnowana zamknęła okno, bo w pokoju zrobiło się całkiem zimno.

- Więc trudziłeś się, żeby go odnaleźć? - zapytała zaskoczona.

- Tylko po to, żeby zaspokoić własną ciekawość. Bardzo chciałem go poznać, bo pomyślałem sobie, że gdyby okazał się wnukiem mojej dawnej przyjaciółki, a przy tym porządnym człowiekiem, miałbym dla niego trochę roboty.

- A przy okazji podsunałbyś mu swoją wnuczkę! - prychnęła Laura.

- Już mówiłem, że to jego chciałem podsunąć tobie. I o ile wiem, nikt cię nie zmuszał, żebyś chodziła z nim tańczyć.

Laura aż otworzyła usta ze zdumienia.

- A ty skąd o tym wiesz?

- Mam swoje źródła, panienko - odpowiedział wymijająco.

- Naprawdę mam ochotę cię udusić, dziadku - powiedziała dużo łagodniejszym tonem.

- No, już daj spokój, słoneczko. - Znowu wziął ją za rękę i powiedział przymilnie: - Lepiej pocałuj swojego staruszka. Bardzo mi ciebie brakowało, Laurko.

- I tak wiem, że nie przepuścisz żadnej okazji, ty intrygancie - roześmiała się przekornie, ale pocałowała go w policzek, a nawet pozwoliła posadzić się na kolanach. Przez moment poczuła się, jakby znowu miała dwanaście lat i była jego ulubioną, rozpieszczaną do granic możliwości wnusią. - Powiedz mi chociaż, czy Roys wie, że to twoja intryga.

- Ależ skąd! Za kogo ty mnie masz? Sama lepiej mi powiedz, jakie masz plany wobec tego chłopa.

- Mam zamiar mieć z nim płomienny, namiętny romans - wyznała rozmarzona, lecz gwałtowny okrzyk dziadka szybko przywrócił ją do rzeczywistości.

- Lauro!!! - zawołał zgorzszony, a jego oburzona mina była

dla niej dostatecznym zadośćuczynieniem za doznane upokorzenia. Mimo to postanowiła jeszcze się z nim podroczyć.

- Och, dziadku, chyba wiesz, że kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. Skoro dałeś mi do dyspozycji takiego wspaniałego mężczyznę, pozwól, że zrobię z nim, co sama uznam za stosowne.

Daniel MacGregor spojrzał surowo w oczy swojej wnuczki.

- Żartujesz sobie ze mnie, prawda?

- Może tak, może nie - na jej ustach pojawił się leniwy uśmiešek - lepiej więc dobrze się zastanów nim znowu zabawisz się w swata.

- Posłuchaj mnie... - zaczął, ale przerwał raptownie, bo z dołu dobiegł ich nagle głos pani MacGregor.

- Laura! Daniel! Czy to samochód Laury stoi przed domem?

- Jesteśmy na górze, babciu! - odrzyknęła dziewczyna.

- Cicho - syknął Daniel. - Nie wołaj jej tutaj. Ta kobieta ma nos jak pies myśliwski, zaraz poczuje, że paliłem cygaro. A potem lepiej nie myśleć, co będzie.

- Już schodzę, babciu! - Laura podniosła się z kolan dziadka. - A ty pamiętaj, że jesteś moim dłużnikiem. Jeśli o tym zapomnisz, to może niechący wymknąć mi się przy babci, że widziałam w tym domu kilka kubańskich cygar. Są przyklejone do spodu szuflady w segregatorze. Pod literą S, jak „szpieg”.

Daniel zbladł na te słowa.

- Nie zrobisz tego, Laurko! - powiedział, ale ton miał przy tym mocno niepewny.

- Chcesz się założyć? - rzuciła Laura, która była już w drodze na dół. Spotkała babcię w połowie schodów, a ponieważ nie widziały się długo, rzuciły się sobie w ramiona i uściskały serdecznie.

- Lauro, czemu nie zadzwoniłaś, że przyjeżdżasz? - spytała Anna, patrząc rozpromienionym wzrokiem na wnuczkę.

- Gdybym wiedziała, na **krok** nie ruszyłabym się z domu.

Laura popatrzyła na stos toreb piętrzący się u nóg starszej pani.

- Widzę, że miałaś pracowity poranek.

- Ach, moja kochana... - Anna spojrzała zadowolona na swoje zakupy. - Uparłam się, że w tym roku kupię wszystkie prezenty odpowiednio wcześniej, jeszcze przed Świętem Dziękczynienia. Ale co my tak stoimy na schodach - otoczyła wnuczkę ramieniem - chodźmy do salonu. Napijemy się herbaty.

Laura kochała babcię równie mocno, jak dziadka. Zawsze ją podziwiała i uważała za kobietę bardzo odważną. Szanowała zaś szczególnie za to, że Anna zdecydowała się studiować medycynę w czasach, kiedy kobiety o zawodzie lekarza były rzadkością i spotykały się z drwinami lub lekceważeniem. Tymczasem babcia nie tylko skończyła studia, ale została jednym z najlepszych chirurgów laryngologów na całym Wschodnim Wybrzeżu. Do tego potrafiła pogodzić karierę z wychowywaniem dzieci i prowadzeniem domu.

- Jak ty to robisz, babciu? - zapytała Laura pod wpływem swoich myśli.

- To znaczy co? - zapytała Anna i z westchnieniem ulgi położyła zmęczone stopy na podnóżku.

- Wszystko! - odpowiedziała Laura bez zastanowienia.

- Normalnie, krok po kroku - roześmiała się babcia. - Ale Bóg mi świadkiem, że takie poranne zakupy potrafią nieźle człowieka umęczyć. Cieszę się, że przyjechałaś. Nareszcie będę mogła usiąść i trochę odpocząć. Powiedz mi, kochanie, czy przejechałaś tyle kilometrów, żeby nakrzyczeć na dziadka? - spytała bez ogródek.

Laura nie spodziewała się tego pytania.

- Ja... - zaczęła niepewnym głosem, lecz wystarczyło, by spojrzała w rozumiejące oczy Anny, a wiedziała już, jak naiwne byłoby zwodzenie i wymyślanie na poczekaniu nie wiadomo jakich historii. - O rany, babciu, skąd ty to wszystko wiesz?

- Tu nie trzeba Sherlocka Holmesa, moja droga. Zorientowałam się, że Daniel znowu wtrąca się w nie swoje sprawy i już tydzień temu spodziewałam się twojej wizyty. Zdaje się, że Roys Cameron zrobił na tobie duże wrażenie, skoro tak długo niczego się nie domyślał.

- Babciu, on jest wspaniały! - wyznała Laura i uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od momentu poznania Roysa może porozmawiać z kimś szczerze o swoich uczuciach.

- Wiem, sama widziałam - uśmiechnęła się Anna.

- Właśnie powiedziałam dziadkowi, że zamierzam wdać się w płomienny romans z Roysem.

Babcia najpierw nic nie mówiła, w końcu westchnęła ciężko i spojrzawszy na wnuczkę, powiedziała:

- Zdaje się, że dziadek zasłużył, żeby coś takiego usłyszeć.

- Może i tak, ale ja mówię poważnie - zastrzegła Laura.

- Naprawdę chcę mieć z nim romans.

Anna znów zamilkła na dłuższą chwilę. W holu zaturkotał wózek, na którym przywieziono zastawę, przez następną minutę mogła więc zająć się nalewaniem herbaty do filiżanek i nie musiała od razu mówić wnuczce, co myśli o jej zamiarach. Zaczekała jeszcze, aż gosposia wyjdzie z salonu, po czym patrząc Laurze prosto w oczy, powiedziała:

- Nie musisz ci mówić, że powinnaś być ostrożna. Jesteś inteligentną dziewczyną i sama wiesz, jak mogą skończyć się takie historie. Ale i tak ci powiem: nie zrób jakiegoś głupstwa.

- Babuniu - westchnęła Laura i przytuliła się do Anny - obiecuję, że nie zrobię. Nie martw się, Roys jest... on jest chyba inny. A ja naprawdę go lubię. Sama jestem tym zaskoczona, bo na początku nie sądziłam, że poczuję do niego taką sympatię.

- Zdaje się, że on czuje to samo.

- Chyba tak... Wiesz, babciu, ci faceci doprowadzą mnie kiedyś do szału. Naprawdę nie chciałabym teraz... mam tyle planów, tak wiele zamierzam zrobić... Tymczasem trwałe

związki poważnie komplikują życie. A tu dziadek niespodziewanie wynajduje Roysa. Babciu...? Babciu, dlaczego się śmiejesz?

- Przepraszam kochanie. Wiem, że nie powinnam.

- Być może będzie to śmieszne za dziesięć albo dwadzieścia lat - mruknęła Laura. - Dla mnie to, co zrobił dziadek, jest przede wszystkim poniżające. I jeszcze jak na złość mój braciszek, Ian, zachowuje się jak przyzwoitka i nie pozwala, byśmy byli z Roysem sam na sam, choćby przez pięć minut. A wydawałoby się, że są najlepszymi kumplami, odkąd się pobili.

- Ian pobił Roysa? - zdziwiła się Anna.

- Nie, babciu, Roys pobił Iana. Ale stało się tak przez przypadek.

- Naturalnie - powiedziała Anna i dalej spokojnie popijała aromatyczną herbatę.

- Na dodatek tata wpadł dziś rano do biblioteki i o mały nie dostał zawału.

- Dowiedział się o tej bójce?

- Nie. Zobaczył, jak całują się z Roysem.

- Biedny Caine - Anna uśmiechnęła się ciepło na myśl o synu. - Jego mała córeczka...

- Ale babciu, ja już nią nie jestem!

- Dla ojca zawsze będziesz dzieckiem, kochanie. Domyślałam się, że doszło do awantury...

- Można tak to nazwać. Trochę na siebie pokrzyczeliśmy, aż mama przysłała nas uspokoić. Ale kiedy ojciec powiedział mi, że dziadek zaplanował to wszystko, poczułam straszną złość. Musiałam tu przyjechać. Mówię ci, okropnie nakrzyczałam na dziadka.

- Nie powiem, żebym była zaskoczona - skomentowała Anna, a w duchu pomyślała sobie, że Laura jest nieodrodną córką klanu MacGregorów. Oni zawsze muszą stawiać każdą sprawę na ostrzu noża. - Mam nadzieję, że już się pogodziliście - dodała z nadzieją w głosie.

- Oczywiście! Sama wiesz najlepiej, że na dziadka nie sposób się gniewać.

- Święte słowa. Bo też chyba nikt tak nie kocha swojej rodziny, jak on.

- Wiem - zgodziła się Laura, po czym w zamyśleniu przygryzła dolną wargę. Nie była do końca pewna, czy powinna zwierzać się babci ze wszystkiego, ale podświadomie wiedziała, że jest to jedyna osoba, której można powiedzieć całą prawdę.

- Wiesz, babciu - zaczęła niepewnie - boję się, że zakocham się w Roysie. Jeśli tylko sobie na to pozwolę...

- Lauro - Anna wyciągnęła rękę w stronę wnuczki - pamiętaj, że na miłość nie masz absolutnie żadnego wpływu. Ona przychodzi zniecka.

Zdaje się, że chciała powiedzieć coś jeszcze, ale naraz usłyszała ciężkie kroki na schodach prowadzących na piętro i umilkła.

- Chyba Daniel zdecydował się zejść - szepnęła tylko. - Na twoim miejscu nie zwierzałabym mu się z takich spraw. Przynajmniej na razie.

- Nie mam najmniejszego zamiaru. - Laura uśmiechnęła się przekornie. - Za nic w świecie nie dałabym mu takiej satysfakcji.

Rozdział siódmy

Po wyjściu od dziadków Laura nie pojechała prosto do domu w Back Bay. Wprawdzie wróciła do Bostonu, ale najpierw samotnie zjadła lunch i w spokoju próbowała ocenić sytuację. Doszła do wniosku, że ma dwie możliwości. Po pierwsze, może dać nauczkę swojemu wścibskiemu dziadkowi i nigdy więcej nie spotkać się z Roysem Cameronem. Niestety, już sama myśl o takim rozwiązaniu sprawiła, że przepyszny deser lodowy, którym właśnie się raczyła, stanął jej w gardle.

Mogła jednak także doprowadzić do tego, aby jej związek z Roysem rozwijał się powoli, stopniowo i naturalnie. Takie zwolnienie tempa byłoby nawet wskazane. Problem polegał na tym, że MacGregorowie najpierw działali, a dopiero potem myśleli.

Jakby potwierdzając tę regułę, kwadrans po pierwszej w nocy Laura stanęła przed domem Roysa. Bez chwili zastanowienia zastukała do jego drzwi. Nikt nie otwierał, więc zastukała jeszcze raz, a potem zaczęła tłuc w nie pięściami.

Po chwili usłyszała, jak ktoś cicho skrada się do drzwi naprzeciwko. Coś skrzypnęło i w szczelinie ukazała się para zaspanych przekrwionych oczu sąsiada. Laura spojrzała na niego, a wówczas czujny sąsiad zatrzasnął swoje drzwi z hukiem. Nie zrażona, załomotała ponownie. Tym razem coś zaszurało w głębi mieszkania Roysa, a w szczelinie między drzwiami a podłogą pojawiła się wąska smuga światła.

Laura przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się szyderczo. Pan Roys Cameron, właściciel firmy instalującej alarmy, najwyraźniej obserwował ją przez wizjer. Chwilę później ostrożnie otworzył drzwi i zapytał zaspanym głosem:

- Co się stało?

- A co się miało stać? - odparła i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. - Zamknij drzwi - nakazała. - Masz bardzo wścibskich sąsiadów.

Roys posłusznie wykonał jej polecenie, a następnie oparł się o futrynę i próbował pokonać senność. Na wpół przytomnym wzrokiem wpatrywał się w Laurę, która pomimo późnej pory wyglądała wciąż świeżo. Twarz, włosy, ciemny kostium - wszystko było nienaganne. Tymczasem on miał na sobie jedynie brudne dżinsy, które jakimś cudem zdołał znaleźć i wciągnąć na siebie. Ponieważ nie łatwo było tak nagle się przebudzić, potarł rękami twarz, a potem przeczesał palcami potargane włosy.

- Jest pierwsza w nocy - stwierdził. - A może mi się zdaje?

- Siedemnaście po pierwszej - sprostowała z prawniczą dokładnością.

- Co tu robisz o tej porze?

- Przyszłam w gości - odpowiedziała, rozglądając się po jego niewielkim mieszkaniu. - Nigdy sam mnie nie zaprosiłeś - dodała wymijająco.

Już na pierwszy rzut oka zorientowała się, że Roys nie jest pedantycznym czyściochem. Na rozklekotanych meblach leżała gruba warstwa kurzu, wszędzie piętrzyły się stopy papierów. Pokrywały nawet wysłużoną sofę. Za to na ścianie dostrzegła gustowną akwarelę przedstawiającą bostoński port. Gdzieś w rogu stał zakurzony sprzęt stereo doskonałej jakości, a na podłodze leżał perski dywan, który aż prosił się o odkurzenie. Całość nie wyglądała imponująco, w związku z czym Laura zdobyła się na uwagę:

- Teraz już wiem, dlaczego nie doczekałam się zaproszenia. Okropny z ciebie bałaganiarz.

- Nie spodziewałem się gości - próbował bronić się Roys, ale nagle uświadomił sobie całą absurdalność sytuacji. Był śro-

dek nocy, a ona śmiała robić uwagi na temat porządku w jego domu. - No dobrze, mów od razu, o co chodzi - powiedziała.

- O nic. Tak tylko wpadłam. Masz jakieś wino?

- Coś się znajdzie - odparł, wciąż nie do końca rozbudzony. Uświadomił sobie, że od dawna nie zrywał się w środku nocy. Jego mózg i ciało rozpaczliwie domagały się snu. Mimo to przemógł się i zapytał: - Chcesz powiedzieć, że wpadłaś tu na drinka?

- Czy ci to przeszkadza? - usłyszał w odpowiedzi i w milczeniu obserwował, jak Laura, która najwyraźniej domyśliła się, gdzie jest kuchnia, dziarsko zmierza w jej stronę. - Ty też się napijesz? - zapytała swobodnie.

- Nie, dziękuję. Ale ty weź sobie, co chcesz.

- Dzięki - mruknęła Laura, zajęta przeglądaniem zawartości szafek. Od razu widać było, że Roys nie spędza w kuchni zbyt wiele czasu. Wszystko wyglądało tak, jakby od dawna nie było tu nikogo. Mimo to w lodówce udało jej się znaleźć butelkę porządnego czerwonego wina, a w kredensie cały kieliszek. - Zdaje się, że nie spędzasz zbyt wiele czasu w kuchni? - zapytała.

- To prawda. Wchodzę tu, kiedy muszę.

- Domyślam się, że zarobione pieniądze inwestujesz we własną firmę. To bardzo mądrze. Czy właśnie taki jesteś - mądry i oszczędny? - zapytała, nalewając wino do wysokiego kieliszka.

- Niezupełnie - odpowiedział Roys. - Po prostu nie zwracam sobie głowy drobiazgami.

- To dokładnie odwrotnie niż ja. Kocham detale. - Uniosła do góry kieliszek, skinęła nim w jego stronę, a następnie upiła łyk chłodnego wina.

Zmrużyła oczy i przez cały czas uważnie go obserwowała. Jej spojrzenie badało całą sylwetkę. Najpierw zwróciła uwagę na oczy, trochę zapuchnięte i zaczerwienione, zaspane, ale kuszące. Podobnie jak lekko nadaśane usta. Do tego muskularne, szerokie ramiona, płaski brzuch i wąskie biodra. Zauważyła,

że Roys ma białą, cienką bliznę, biegnącą od lewego obojczyka w dół klatki piersiowej:

- To pamiątka z czasów służby?

- Co? - nie bardzo zrozumiał sens jej pytania.

- Ta blizna.

- A - mruknął i spojrzał w dół - tak. Posłuchaj, o co właściwie chodzi?

- Przyjechałam, żeby cię o coś zapytać. Możesz odpowiedzieć po prostu tak lub nie. - Próbowała cały czas patrzeć mu w oczy, ale nie było to proste. Czuła, że coraz bardziej rozprasza ją widok półnagięgo Roysa. Zamiast skoncentrować się na szybkim wyjaśnieniu sprawy, jej myśli zaczęły niebezpiecznie dryfować w zupełnie innym kierunku. Wzięła się jednak w garść, zaczerpnęła głęboko powietrza i jednym tchem wyrzuciła z siebie nurtujące ją pytanie: - Czy wiedziałeś o tym, że mój dziadek zatrudnił cię między innymi w celu przedłużenia linii MacGregorów?

- Co takiego? - słysząc to, aż przetarł oczy ze zdumienia.

- Nie pytaj, odpowiadaj - ponagliła Laura. - Tak czy nie? To nie jest trudne pytanie, ale jeśli nie zrozumiałeś, to mogę powtórzyć: czy w momencie, kiedy przyjąłeś zamówienie na zainstalowanie alarmu w moim domu, wiedziałeś, że mój dziadek wybrał cię jako potencjalnego partnera dla mnie?

- Partnera? Jakiego znowu partnera? - dopytywał Roys. Jednak w pewnej chwili dotarł do niego sens jej słów, a wtedy otworzył szeroko oczy i wykrztusił: - To... to znaczy, że ja i ty... mielibyśmy... Nie, chyba żartujesz!

- Dziękuję, to wyjaśnia moje wątpliwości - powiedziała i ruszyła w kierunku drzwi. Nim zdążyła do nich dojść, Roys mocno chwycił jej ramię i zatrzymał ją w miejscu. Popatrzył na nią uważnie i spokojnym tonem zapytał:

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że twój dziadek chciał mnie dla ciebie kupić?

- Można to tak nazwać.

- Ależ to absurd!

- Nie, jeśli zna się sposób myślenia Daniela MacGregora. Zresztą... - Na jej ustach pojawił się zaczepny uśmiešek. Protekcyjnie poklepała Roysa po ramieniu i dokończyła z ironią: - ...niejeden mężczyzna czułby się zaszczycony taką propozycją.

- Doprawdy? - zapytał Roys i rzucił jej szybkie spojrzenie spod przymkniętych powiek. Od razu zauważyła, że jego zwykle chłodne, błękitne oczy teraz aż płoną z gniewu.

Laura ponownie poklepała jego ramię. Spodobał jej się sposób, w jaki Roys zareagował na zaczepkę.

- A co? Czyżbyś rzeczywiście nie zorientował się, do czego zmierza ten stary spryciarz? - zapytała. - Mój dziadek nigdy nie bawi się w subtelności. Zawsze wydaje mu się, że jest bardzo dyskretny, ale od razu widać, o co mu chodzi.

Roys cofnął się o krok. Zamyślił się na moment, próbując przypomnieć sobie kolejne spotkania z Danielem MacGregorem.

- Wiesz - zwrócił się do Laury - na początku faktycznie wydawało mi się, że twój dziadek coś kombinuje. Często mówił o tobie tak, jakby chciał mnie do ciebie zachęcić. Pomyślałem więc, że musisz być strasznie brzydka, skoro rodzina próbuje znaleźć dla ciebie kawalera.

Laura roześmiała się głośno i szczerze.

- Bardzo dziękuję za komplement!

- Zaczekaj, to nie tak - powiedział Roys i podrapał się po nieogolonym policzku. Miał wrażenie, że cała ta rozmowa po prostu mu się śni. Jeśli jednak nie był to sen, musiał wyjaśnić wszystko do końca: - Twój dziadek często o tobie mówił. Właściwie za każdym razem wspominał, że jego wnuczka jest piękną, młodą kobietą. Do tego bardzo inteligentną i na dodatek niezamężną. Odniosłem więc wrażenie, że skoro własny dziadek tak cię reklamuje, musisz być w niezłej desperacji... Ale potem, kiedy cię poznałem, doszedłem do wniosku, że chyba źle zrozumiałem intencje twojego dziadka.

- Domyślałam się, że powinno mi to pochlebiać.

Roys zignorował tę uwagę. Jeszcze raz spojrzął jej prosto w oczy i powtórzył, nie mogąc opanować zdumienia:

- Nie do wiary... Więc on wymyślił sobie, że my...

- Wymyślił sobie, że już czas, żebym wyszła za mąż i założyła rodzinę. A ciebie uznał za doskonały materiał genetyczny.

- Zaraz, zaraz - zaprotestował Roys - o ile wiem, moja firma nie zajmuje się produkcją noworodków. Ja sam również nie jestem zainteresowany...

- Ani ja! - przerwała mu szybko, chcąc rozwiać wszelkie wątpliwości. - Dobrze się składa, że obydwójce mamy podobne zdanie, nie sądzisz? - zapytała ni to poważnie, ni złośliwie.

Roys nie odpowiedział. Przejechał palcami przez gęste włosy i mruknął pod nosem:

- A to stary łajdak!

- Zgadza się, ale nie zapominaj, że tylko najbliżsi mogą mówić o nim w ten sposób. Jeśli nazywa go tak ktoś obcy, my, MacGregorowie, od razu rzucamy się do gardła - powiedziała całkiem serio i odstawiła pusty kieliszek. - Dobrze, że wszystko sobie wyjaśniliśmy. A teraz dobranoc - dodała i ruszyła do wyjścia.

- Chwileczkę! - zawołał i szybko zastąpił jej drogę. - Czy myślisz, że możesz tu tak po prostu przyjść w środku nocy, powiedzieć, co masz do powiedzenia, a potem najspokojniej w świecie wyjść, jak gdyby nigdy nic? - spytał zirytowany.

- O co ci chodzi? - Laura nie rozumiała powodu jego zdenerwowania. - Myślałam, że chciałbyś wiedzieć, co się knuje za twoimi plecami. Jak również to, że rozmawiałam dzisiaj z dziadkiem na ten temat i wyjaśniliśmy sobie wiele rzeczy.

- W porządku, to twoje rodzinne sprawy. Nic mi do tego - stwierdził chłodno. Leniwym ruchem oparł się o drzwi, tak że nie było mowy, aby mogła wyjść. - Nie interesuje mnie, co sobie myśli twój dziadek. Jedyne, co mnie w tej chwili

obchodzi, to fakt, że nie ma tutaj ani jego, ani twojego ojca, ani wścibskiego brata, ani twoich uroczych kuzynek - uśmiechnął się zabójczo, po czym wsunął palce w jej gęste, kruczoczarne włosy i odchylił lekko głowę Laury do tyłu.

Laura poczuła, jak zaczyna walić jej serce. Nagle zrobiło jej się gorąco.

- To prawda - odpowiedziała zduszonym głosem.

- Powiedz więc wprost, o czym myślisz...

- Zdaje się, że nie jesteś tak inteligentny, jak myślałam, skoro jeszcze muszę ci mówić.

- Chcę to od ciebie usłyszeć.

- Dobrze - zadrżała mu śmiało w oczy. Przysunęła się wolno do niego i powiedziała: - Chcę się z tobą kochać, teraz, długo, aż do rana. Czy wystarczy ci inteligencji, by pojąć, co powinieneś teraz zrobić? - zapytała prowokacyjnie.

- Na tyle wystarczy - odparł i zwinnym ruchem uniósł ją do góry. Nim zdołała objąć go za szyję, poczuła na ustach dotyk jego gorących warg. Bez zastanowienia oddała pocałunek, a potem pozwoliła zanieść się do sypialni.

Niemal całą sypialnię zajmowało ogromne łóżko. Laura kątem oka dojrzała rozrzuconą pościel i usłyszała, jak materac skrzypnął pod ciężarem ich ciał. Otoczyła Roysa ramionami, mocno przyciągnęła go do siebie i poddała się magicznej mocy pocałunków.

Roys był niecierpliwy. Ściągnął z niej przez głowę żakiet, cisnął go w kąt i zaczął pieścić jej szyję. Każdym nerwem czuł bliskość tego smukłego, jędrnego ciała, które tak rozkosznie wyginało się pod jego dotykiem. Chciał poznawać ją krok po kroku, centymetr po centymetrze odkrywać wszystkie zakątki jej ciała, ale nie było to możliwe. Pożądanie, które go ogarnęło, było tak silne, że nie był w stanie zdobyć się na delikatność. Pieścił więc z dziką rozkoszą pełne i namiętne usta Laury, rozgrzankowanymi dłońmi dotykał jej piersi i ud. Czuł przy tym namiętność tak silną, że niemal bolesną.

Domyślał się, że z nią jest podobnie, bo reagowała mocno, oddawała pieśczęty ochoczo, a jej serce tłukło się jak oszalałe pod jego dłonią. Nie mógł już dłużej zwlekać. Jednym mocnym szarpnięciem rozerwał bluzkę dziewczyny i przytulił się do jej kształtnych, twardych piersi. Na policzkach poczuł delikatną miękkość jedwabnego biustonosza, zsunął go i znowu zaczął ją całować.

Laura krzyknęła. Pragnęła więcej, była gotowa dawać i brać aż do utraty tchu. Całą sobą, każdym ruchem swej naprężonej sylwetki prosiła o jeszcze. Niecierpliwa i gotowa na jego przyjęcie, wbijała paznokcie w szerokie plecy Roysa. Wiedziała, że musi go to boleć, ale ona również odczuwała ból, ból niezaspokojenia. Nigdy dotąd nie pragnęła nikogo tak bardzo, nie odczuwała tak intensywnie, ostro i gwałtownie.

Uwolnili się szybko z resztek ubrań, by móc jak najszybciej połączyć się i dopełnić miłosnego aktu. Po chwili zespolili się ze sobą i przywarli do siebie konwulsyjnie. Roys wszystkimi zmysłami odbierał kształt i zapach jej ciała, które raz było twarde i naprężone, by za chwilę stać się wiotkie i bezwolne w jego ramionach. Momentami zatracał się całkowicie w tej gwałtownej miłości, a kiedy odzyskiwał świadomość, ze zdumieniem odkrywał, że jeszcze żyje i że to nie rajski ogród, ale jego sypialnia.

Za to kobieta, którą czuł teraz całym sobą, była chyba aniołem. Aniołem rozkoszy. Poruszał się w niej i wsłuchiwał się błogo w jej westchnienia i ciche jęki. Pomimo ciemności widział wyraźnie jej szeroko otwarte, nieprzytomne oczy, rozpoznawał, że nabrzmiąte usta szepczą jego imię. Nawet nie zauważyli, że ściągając ze sobą prześcieradła, zsunęli się z łóżka na podłogę. Nie zwracali uwagi na nic, nawet na to, że gdy padli na dywan, coś chrupnęło i zachrząściło pod ich plecami. Pod plecami Roysa, bo to on znalazł się teraz na dole.

Ale tylko na moment, gdyż już po chwili ułożył ją pod sobą wygodnie i wszedł w nią znów, gwałtownie i szybko.

Laura czuła, jak przenika ją męska siła i moc. Objęła ciasno nogami jego biodra i stopiła się z nim w jedno. Jego rytm stał się jej rytmem, krew pulsowała coraz gwałtowniej, oddech stawał się coraz szybszy. Oboje nieuchronnie zmierzali do spełnienia, zapatrzeni w siebie i wsłuchani w swoje okrzyki. Wreszcie znieruchomieli na moment i zaraz potem ogarnął ich nieemożliwy do opisanego rozkoszny dreszcz. Roys zdążył jeszcze ująć jej twarz w obie dłonie i połączyć się z nią głębokim pocałunkiem. A potem czas się zatrzymał i cały świat poza nimi przestał istnieć.

Roys nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło, nim zdołał powrócić do rzeczywistości. Ponieważ poczuł chłód ciągnący od gołej podłogi, podciągnął Laurę tak, że leżała teraz na nim. Jej ciało było prawie całkiem bezwładne i dopiero po kilku minutach zaczęło dawać oznaki życia. Tymczasem on rozmyślał o tym, że gdyby ktoś powiedział mu, że może sobie tak leżeć z Laurą w ramionach przez następne dwadzieścia lat, na pewno umierałby jako człowiek absolutnie szczęśliwy i spełniony.

Wreszcie Laura nieco otrzeźwiała i zapytała sennym, drżącym jeszcze głosem:

- Czy my leżymy na podłodze?

- Zdaje się, że tak.

- A jak się tu znaleźliśmy?

- Nie mam pojęcia - odparł cicho i chciał unieść się, żeby na nią spojrzeć. Nagle poczuł kłujący ból na łopatce. Z wielkim trudem zdołał podnieść swoją ciężką rękę i sprawdzić, dlaczego go boli. Pod palcami poczuł coś mokrego i ciepłego. Od razu odgadł, że to krew.

- Uważaj - ostrzegł Laurę. - Na podłodze leży potłuczone szkło. Mam w plecach jego odłamki.

- Naprawdę? - szepnęła, jakby nie bardzo przejęła się tym faktem. Jak spragniona pieszczoł kotka zaczęła ocierać twarz;

o jego piersi. Ale już za moment poderwała się gwałtownie i usiadła na podłodze. - Masz szkło w plecach? - zapytała.

- Na to wygląda.

- Co znowu za szkło?

- Coś musiało się stłuc.

- Przecież jesteśmy nago. Jak się pokaleczymy, będzie prawdziwa jatka!

- Nawet jeśli, to i tak uważam, że było warto - stwierdził spokojnie, po czym mocno ujął Laurę w tali i niemal bez wysiłku podniósł do góry i posadził na łóżku. - Nie ruszaj się - nakazał jak dziecku - zaraz posprzątam.

- Najpierw zapal światło - poradziła rozsądnie, a kiedy to zrobił, wrzasnęła głośno i mocno zacisnęła powieki. - Czy to szkło? - dopytywała. - Tylko bądź ostrożny i nie stań na jakimś okruczu.

- Cholera, właśnie to zrobiłem! - wrzasnął, a potem posłał całą serię przekleństw, ułożonych w najprzedziwniejszych kombinacjach. - Dlaczego się śmiejesz? - zapytał, wyraźnie zły. - Powiedziałem coś zabawnego?

- Przepraszam, wiem, że nie powinnam. Ale nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś przeklinał w tak zabawny sposób - wyjaśniła i zaryzykowała otwarcie oczu. Kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do światła, spojrzała na niego i krzyknęła ze zgrozą: - Roys, leci ci krew!

- Wiem, skaleczyłem się w kilku miejscach. Musieliśmy stłuc szklanę. Zaraz pójde po szczotkę.

- A ja opatrę ci rany, bohaterze - zażartowała i patrzyła, jak Roys idzie w stronę kuchni.

Gdy została sama, rozejrzała się ciekawie po pokoju. Wypełniały go podstawowe sprzęty - łóżko, szafa, krzesło. Przy najmniej tak jej się zdawało, że pod górą ubrań w rogu sypialni musi kryć się krzesło. Poza tym dostrzegła jeszcze stare zakurzone lustro i biurko, gdzie na poczesnym miejscu stał nowoczesny komputer i drukarka.

- Zdaje się, że potrzeba komfortu jest ci raczej obca - zagadnęła go, gdy wrócił.

- Mówiłem ci już, że nie spędzam w tym mieszkaniu zbyt wiele czasu.

Zmiotł z podłogi szkło i wyrzucił je do kosza. Laura nie mogła się powstrzymać, żeby nie spytać, czy od czasu do czasu robi pranie. Odpowiedział, że tylko wtedy, kiedy nie ma już żadnych czystych rzeczy. Kiedy zaspokoili swoją ciekawość co do jego domowych obyczajów, poklepała ręką materac i poprosiła, żeby Roys usiadł obok niej.

- Chodź tu. Opatrzę ci skaleczenia.

Przysiadł posłusznie na brzegu łóżka, a ona nachyliła się nad jego plecami i delikatnie pocałowała rozciętą skórę.

- To tylko małe draśnięcie - pocieszyła go czule.

- Masz szczęście, bo gdybyśmy spadli z łóżka trochę inaczej, musiałabyś teraz całować moje krwawiące pośladki.

Laura roześmiała się, widząc oczyma wyobraźni tę scenę, a kiedy uspokoiła się, zapytała czy bardzo go boli skaleczona stopa.

- To tylko zadrapanie - odpowiedział i lekceważąco machnął ręką. - Bywało gorzej.

- Jak wtedy - mruknęła i przejechała palcem wzdłuż blizny, która zniknęła gdzieś pod lewym ramieniem Roysa.

- To była cena za brak doświadczenia i głupotę. Nie czekałem wtedy na partnera, który miał mnie ubezpieczać. Typowy błąd żółtodzioba. Nie powtórzyłem go nigdy więcej.

- A to? - dotknęła małej szramy na jego brodzie.

- To pamiątka po bójce w barze. Byłem tak pijany, że nawet nic nie poczułem. I tak głupi, że słusznie mi się należało. Zmądrzałem od tego czasu.

- Nagła zmiana charakteru? - zapytała i przysunęła twarz do jego twarzy. Dotknęła ustami miejsca, w którym bieląca blizna.

- Mniej więcej.

- Mam nadzieję, że więcej niż mniej - szepnęła mu do ucha.

W jego oczach niemal natychmiast pojawił się wyraz, który potrafiła już nieomylnie rozpoznać. Wiedziała, że kiedy oczy Roysa ciemnieją, to znak, że ogarnia go podniecenie. Właśnie na to czekała. Leniwym ruchem objęła go za szyję i zaczęła mówić między kolejnymi pocałunkami:

- Mam nadzieję... że nie zespokojniałeś... za bardzo. Nie chciałabym... żebyś nagle... przemienił się... w porządnego... spokojnego... obywatela.

- A czy ty sama nie jesteś właśnie taka?

Z uśmiechem chwyciła zębami jego dolną wargę.

- Mniej więcej - szepnęła.

- Mam wrażenie, że raczej więcej niż mniej. Powiedz mi, Lauro MacGregor, czego szukasz w moim łóżku?

- Właśnie uświadomiłam sobie, że jest to miejsce, w którym od dawna chciałam się znaleźć. A że zawsze zdobywam to, na co mam ochotę...

- Zawsze?

- To taka rodzinna tradycja. A teraz... - zawiesiła głos i powiodła językiem wokół jego ust - ...a teraz chcę ciebie - zakończyła i pocałowała go namiętnie.

Nie musiała go namawiać i przekonywać. Roys przygarnął ją do siebie i już po chwili oboje byli gotowi, by ponownie wyruszyć w podróż, z której tak niedawno wrócili.

Rozdział ósmy

Biała pierzyna śniegu pokryła całe Wschodnie Wybrzeże i wprawiła w nieopisaną radość wszystkie dzieci w wieku szkolnym. Od Kanady wiał lodowaty wiatr, a ogromny mróz spowodował, że co chwilę pękały gdzieś rury z wodą, samochody zamarzały, a ulice przypominały lodowiska.

Wyglądało na to, że pogoda sprzysięgła się, aby utrudnić ludziom spokojne przygotowania do świąt. Mimo to najodważniejsi i najbardziej wytrwali klienci, nie zrażeni przeciwnościami pogody, szturmowali sklepy w poszukiwaniu prezentów, kolorowego papieru do pakowania oraz ozdób na choinkę. Całe szczęście poczta funkcjonowała normalnie i mogła doręczać tony kartek z życzeniami. W każdym domu, a szczególnie w każdej kuchni, czuć było przedświąteczną atmosferę. Bostończycy wprawdzie drżeli z zimna, ale dzielnie stawiali czoło nieprzychylniej aurze. Cierpliwie odśnieżali ulice i z niepokojem oglądali prognozę pogody, w której zapowiadano następną falę intensywnych opadów.

Dzień był naprawdę piękny, mroźny i słoneczny. Laura, okryta kilkoma warstwami ciepłych rzeczy i uzbrojona w ogromną szufłę, wzięła się dziarsko za odśnieżanie podjazdu. Ostre słońce odbijało się od śniegu i boleśnie raziło w oczy, więc szybko wygrzebała z kieszeni ciemne okulary. Lodowate igiełki mrozu kłuły jej policzki i drażniły gardło. Mimo to była w szampańskim nastroju, bo kochała taką zimą, z mrozem, śniegiem i jego oślepiającą bielą. Pod czerwoną narciarską czapką miała słuchawki od walkmana, przez które sączyła się do jej uszu radosna, świąteczna muzyka.

Zwinnie nabrała na szufłę całą górę śniegu i szczęśliwa jak dziecko, odrzuciła ją na bok. Pomyślała sobie, że jej życie układa się ostatnio nadzwyczaj dobrze.

Nie dalej jak tydzień temu wygrała pierwszą w swojej karierze sprawę sądową. Nie było to rzecz jasna nic poważnego, chodziło o zniszczenie prywatnego mienia. Drobiazg w porównaniu z tym, czym na przykład zajmowali się jej rodzice. Ale to był jej debiut, pierwszy egzamin, który zdała pewnie i pomyślnie. Efektowne zwycięstwo przysporzyło jej dwóch nowych klientów, którzy zwrócili się do niej w związku z postępowaniem spadkowym. Całkiem niezłe jak na początek.

Poza tym święta były tuż-tuż. Laura uświadomiła sobie, że dawno już nie czekała na ich nadejście z taką niecierpliwością, jak w tym roku. Cieszyły ją kolorowe lampki w oknach i na drzewach, wrzusały dźwięki kołęd. Czuła sympatię nawet do kiczowatych figurek Świętego Mikołaja, sań i reniferów, które niemal wszyscy ustawiali w swoich ogródkach. Wprost nie mogła się doczekać, kiedy w domach zapalą się światełka na choinkach.

Choć dotychczas szczerze nienawidziła rytuału kupowania świątecznych prezentów, w tym roku wyjątkowo postanowiła stawić czoło rozszalałym tłumom buszującym po sklepach. Nie zrażała się, kiedy Julia i Amelia podśmiewwały się z niej i wymieniały znaczące spojrzenia, gdy ich kuzynka zaczynała śpiewać „Cichą noc” albo „Białe Boże Narodzenie”. Albo wręcz przeciwnie - kiedy milkła znienacka i rozmarzonym wzrokiem wpatrywała się w okno. Próbowwały wmówić jej wówczas, że jest zakochana, ale wtedy zbywała je śmiechem.

Ponad wszelką wątpliwość nie była zakochana. Po prostu intensywnie przeżywała ekscytujący romans z niebanalnym mężczyzną. Romans i miłość to dwie różne sprawy. Gdyby była zakochana, na pewno odczuwałaby niepokój. Siedziałyby cały czas przy telefonie i czekała, aż Roys do niej zadzwoni. Myślałyby o nim bez przerwy, chciałyby spędzać z nim każdy

wieczór i każdą noc. Z pewnością nie mogłaby jeść ani spać, no i miałyby te okropne nagłe zmiany nastroju. Dobrze znała te objawy, bo nieraz już tak z nią bywało.

Tymczasem teraz nic takiego się nie działo. To znaczy, że nie jestem w nim zakochana, stwierdziła ostatecznie i ponownie zabrała się do odgarniania śniegu. Jednak myślami krążyła wciąż wokół swoich uczuć do Roysa. To prawda, że myślała o nim dość często. Czasem pojawiał się w jej myślach w najmniej oczekiwanym momencie.

Ale nigdy nie wyczekiwała godzinami na jego telefon, apetyt miała doskonały, a nastrój nieustająco świetny. W dodatku nawet nie obraziła się, kiedy Roys odrzucił zaproszenie do domu jej dziadków na Święto Dziękczynienia. Oczywiście, było jej przykro, że nie chciał spędzić z nimi tego dnia, ale nie próbowała go namawiać. Za nic w świecie nie chciałyby zmuszać go do czegokolwiek. Czy to także nie świadczy o tym, że w ogóle nie jest w nim zakochana?

Nabrała kolejną szuflę i energicznie odrzuciła śnieg za siebie. Nagle czyjeś silne ręce chwyciły ją mocno w pasie i obróciły w tanecznym piruecie. Bardzo się przestraszyła, ale nawet nie zdążyła krzyknąć. Przed sobą zobaczyła jakąś białą postać, całą zasypaną śniegiem. Całe szczęście pod czapą śniegu dojrzała błękitne oczy i od razu wiedziała, z kim ma do czynienia. Roys otrząpywał się i mówił coś do niej, ale oczywiście zamiast jego słów słyszała tylko skoczne świąteczne melodie.

- Co mówisz? - zawołała, próbując przekrzyczeć muzykę.

Zniecierpliwiony pokręcił głową. Dla uspokojenia wziął głęboki oddech i szybkim ruchem zsunął jedną ze słuchawek, które dojrzał pod czerwoną czapką Laury.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał.

- Odsnieżam podjazd.

Strzepnął z włosów biały puch i otrząpał zaśnieżoną kurtkę. Dopiero teraz Laura zrozumiała, że sypnęła w niego szuflę pełną śniegu.

- Bardzo cię przepraszam, ale naprawdę nie wiedziałam, że za mną stoisz - roześmiała się na ten widok. - Sam jesteś sobie winny. Po co się tak skradasz?

- Gdyby nie ta rycząca muzyka, byłaby szansa, że dotrą do ciebie jakieś odgłosy ze świata zewnętrznego. A teraz powiedz mi, dlaczego sama odśnieżasz podjazd?

- Bo jest zasypany - stwierdziła. - Poza tym muszę jakoś dojechać do biura.

Roys delikatnie zdjął ciemne okulary z jej zaczerwienionego nosa i wsunął je do kieszeni ciepłego płaszcza, który miała na sobie. Zapytał ją, czy w całej tej dzielnicy nie znalazłby się choć jeden młody chłopak, który za niewielką opłatą mógłby zająć się uprzątnięciem śniegu.

- Ale po co - zdziwiła się szczerze - skoro spokojnie mogę zrobić to sama? A może chcesz mi powiedzieć, że to nie jest zajęcie dla kobiety? - zapytała i wzięła się wojowniczo pod boki. - Jeśli tak myślisz, to zaraz wezmę tę szufłę i nauczę cię nią rozumu - zagroziła.

Roys jakby właśnie na to czekał - ujął ją pod brodę i patrząc wyzywająco w jej oczy, powiedział:

- Bo moim zdaniem to nie jest praca dla kobiety.

Słyszac to, Laura zmarszczyła brwi i już miała chwycić za szufłę, kiedy Roys ją uprzedził, odebrał jej narzędzie i kazał iść do domu, żeby się ogrzać.

- Sam się tym zajmę - zakończył.

- Właśnie, że nie! Ja będę odśnieżać! - Laura uczepiła się kurczowo końca kija. - To mój samochód, mój podjazd i mój śnieg!

Przez moment siłowali się, wreszcie Laura musiała uznać jego przewagę. Wciąż jednak była naburmuszona i zła. Za nic w świecie nie chciała przyjąć do wiadomości, że Roys może nie pozwalać kobiecie machać łopatą.

- Więc może wolisz, żebym poszła do kuchni i zrobiła ci filiżankę gorącej czekolady?

- Czemu nie? Całkiem dobry pomysł.
- W porządku - powiedziała podejrzanie spokojnym głosem i zrobiła kilka kroków w stronę drzwi. Jednak nim Roys zdążył odrzucić pierwszą pryzmę, Laura zawołała, żeby łapał bezę. Nie bardzo zrozumiał, o co jej chodzi, ale w tym samym momencie twarda śniegowa kula rozbiła się na jego czole.
- Później się pobawimy - powiedział spokojnie i otarł dłonią twarz. - Najpierw muszę to skończyć.
- Tylko sobie nie myśl, że zrobię ci czekoladę.
- Nie szkodzi. Kawą też nie pogardzę - odpowiedział z niezachwianym spokojem.

Postanowiła podejść go z innej strony. Ponieważ wiedziała, że Roys zawsze poważnie traktuje swoją pracę, zapytała, czy przypadkiem nie ma czegoś do zrobienia. Niewzruszony odpowiedział, że jest dopiero wpół do ósmej i że jeszcze zdąży zająć się swoimi sprawami. Oczywiście dla siebie zachował informację, że po prostu musiał ją zobaczyć. Poprzedniego wieczora wniósł sobie, że musi być w biurze bardzo rano, więc dzisiaj wsiadł wczesnym rankiem do samochodu z silnym postanowieniem, że pojedzie prosto do pracy, lecz nie wiedzieć czemu ostatecznie wylądował pod domem Laury.

Przez długi czas po prostu siedział w samochodzie i patrzył, jak Laura wymachuje szuflą. Siedział, obserwował ją i czuł, że z każdą minutą pragnie jej coraz bardziej. Gdy zaś sobie to uzmysłowił, ogarnęło go przerażenie.

Teraz chciał zapomnieć jak najszybciej o tym niepokojącym odczuciu, więc wziął się energicznie do odgarniania białego puchu. Szybko i miarowo odrzucał na bok śnieg i z anielską cierpliwością znosił bombardowanie śnieżkami, którymi co chwila rzucała w niego Laura.

Tymczasem w oknie sypialni na piętrze od jakiegoś czasu widać było dwa nosy przyklejone do szyby. To Julia i Amelia przyglądały się temu, co dzieje się na podjeździe. Robiły przy tym zakłady, ile czasu musi upłynąć, nim Roys rzuci łopate,

chwyci Laurę w pół i przewróci w głęboki śnieg. Julia stawiała na jeszcze trzy śnieżki. Amelia zgodziła się z tą prognozą i dodała, że jej zdaniem nie dalej niż w ciągu dziesięciu sekund po przewróceniu, Roys zacznie całować Laurę.

- A ja myślę, że zrobi to już po pięciu sekundach - orzekła Julia. - Podobno ten facet działa błyskawicznie.

- Słuchaj, kiedy ona wreszcie się zorientuje, że jest w nim zakochana?

- Myślę, że będzie oszukiwać samą siebie gdzieś do świąt. Ale na pewno nie dłużej.

- A ja myślę, że ona już to wie - uśmiechnęła się Amelia - tylko jest zbyt uparta, żeby się do tego przyznać.

- No dobrze, ale co z nim? - zaniepokoiła się Julia.

- Jak to co? Nie widzisz, że dawno już wpadł po uszy? Nie widzisz, jak na nią patrzy? - gorączkowała się Amelia, ani na moment nie wątpiąc, że zachowanie Roysa Camerona wobec ich kuzynki można uznać za najbardziej typowy objaw wielkiej miłości.

Musiła jednak przerwać dalsze rozważania na ten temat, bo na dole akcja znacznie posunęła się do przodu. Roys rzucił się w stronę Laury, która zwinnie odskoczyła do tyłu.

- Ależ to będzie pocałunek, jak już ją wreszcie złapie! - entuzjasmowała się Julia.

Laura, nieświadoma, że jest obiektem obserwacji, pewnie stanęła na nogach i oświadczyła stanowczo, że chce dostać z powrotem swoją szuflę. Roys uniósł łopatę wysoko i zapytał, czy właśnie o ten sprzęt Laura tak się awanturuje. Ponieważ odruchowo spojrzała w górę, on wykorzystał tę chwilę nieuwagi, rzucił się pod nogi dziewczyny i przewrócił ją w głęboką zaspę. W odpowiedzi na ten atak, najpierw nazwała go idiotą, a potem chwyciła garść śniegu i właśnie zamierzała natrzeć mu twarz, ale nie zdążyła. Poczuła, że jej twarz zapada się nagle w lodowaty miękki puch. Śnieg wpadł za kołnierz jej płaszcza i spływał lodowatymi strużkami wzdłuż karku. Chcia-

ła wykrzyczeć jakieś przekleństwo pod adresem Roysa, ale i tym razem był szybszy. W sekundę wyciągnął ją ze śnieżnej kąpieli i zaczął rozgrzewać pocałunkami jej mokrą, przemarzną twarz.

Nie miała siły protestować. Poczwała, że całe jej ciało staje się leniwe i powolne. Zamiast w odwecie nacierać go śniegiem, otoczyła jego szyję ramionami i całowała z całych sił. Po chwili poczuła, jak ogarnia ją fala gorąca. Kiedy zaś Roys na moment przestał ją całować i pozwolił nabrać powietrza, odsunęła twarz od jego ciepłej twarzy i powiedziała wesoło:

- Tylko nie myśl, że ujdzie ci to na sucho.
- Już mi uszło - odparł i znowu pocałował ją delikatnie.
- Nos ci poczerwieniał, Lauro - zauważył.
- Co ty powiesz! - zawołała. Tym razem udało jej się chwycić śnieg i nim zdołał ją powstrzymać, natarła mu twarz i uszy. Teraz on również był purpurowy, czego nie omieszkała mu powiedzieć.

Rzecz jasna Roys natychmiast zapragnął zemsty, więc przez jakiś czas tarzali się po trawniku, obrzucając się i nacierając śniegiem. W efekcie oboje przemokli do suchej nitki, spocili się i zmęczeni tak, że z trudem łapali oddech.

- Pomóż mi wstać, ty wariacie! - zawołała Laura ze śmiechem. Leżała na trawniku przed domem, cała zasypana śniegiem, i czuła się szczęśliwa jak nigdy dotąd.

- Już pomagam. - Nachylił się nad nią i powiódł lodowato zimną śnieżką od jej brody, w stronę policzków i spoconego czoła.

Wciąż leżała bez ruchu. Odwróciła twarz profilem i zacisnęwszy powieki, czekała na najgorsze. Ponieważ jednak nic się nie działo, otworzyła oczy i spojrzała na niego pytającym wzrokiem. Krew zatętniała gwałtownie w jej skroniach, kiedy spostrzegła, że z oczu Roysa zniknął wyraz beztróskiego rozbawienia. Intensywnie wpatrywał się w jej twarz, jakby badał ją milimetr po milimetrze.

- Roys? - odezwała się szeptem.

- Nie mów nic przez chwilę - poprosił zmienionym głosem. Nadal wodził palcami wzdłuż jej szczupłych, zimnych jak lód policzków. Potem nachylił się nad nią i delikatnie całował każdy centymetr jej twarzy. W tym, co robił, było zaś coś tak dziwnego, tak niezwykłego, że Laura prawie zamarła w całkowitym bezruchu.

Tymczasem Roys trwał w swoim zachwyceniu. Miał nadzieję, że to, co czuje, jest spowodowane niezwykłą, egzotyczną urodą Laury MacGregor. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety, która podobałaby mu się bardziej. Poza tym była w niej tak ogromna zmysłowość, że w żaden sposób nie potrafił się jej oprzeć.

Jednak to, co czuł teraz, leżąc obok niej na śniegu, nie miało nic wspólnego z fizycznym pożądaniem. Zbyt dobrze znał to uczucie, by móc je pomylić z dziwnym stanem, w jakim znajdował się od kilku chwil. To było głębsze, silniejsze, lepsze. Nagle pojął wyraźnie, że ta kobieta jest dla niego wszystkim.

Pocałował ją delikatnie, potem jeszcze raz, jakby próbował nieznanego wcześniej owocu. Żadne z nich nie wiedziało, jak długo trwali w tym przedziwnym pocałunku. Kiedy skończył się, Laura była pewna jednego - ani Roys, ani nikt przed nim nie całował jej nigdy w ten sposób. Była przyzwyczajona do zachłanności, pasji, wściekłej namiętności. To otrzymywała od swoich kochanków, bo właśnie tego od nich oczekiwała. Tymczasem Roys zawarł swoim pocałunku bezgraniczną czułość, która była dla Laury czymś zupełnie nowym. Było w nim również bezgraniczne oddanie, które ostatecznie całkowicie ją obezwładniło. Poczowała się pokonana. Chciała oddać Roysowi wszystko, powierzyć mu siebie bez reszty.

Nawet nie zdawała sobie sprawy, że cała drży. Roys dostrzegł to natychmiast. Szybko odsunął się od niej, po czym wyraźnie wzruszony, zaczął strząsać śnieg z jej mokrych włosów.

- Zmarzłaś - powiedział zaskakująco ostrym tonem. - Nic dziwnego.

- Roys... - zaczęła, ale uświadomiła sobie, że właściwie nie wie, co chce powiedzieć. On najwyraźniej też był zmieszany. Zwinnie podniósł się z ziemi i pomógł jej wstać.

- Wracaj szybko do domu. Musisz natychmiast się rozgrzać - komenderował, otrzepując jej płaszcz. - Włosy masz całkiem mokre. No, idź - popchnął ją w stronę wejścia - ja skończę odśnieżanie.

Czuł, że musi natychmiast zostać sam. Ogarniała go panika. Instynkt podpowiadał mu, żeby uciekać jak najdalej od kobiety, która wprowadziła taki zamęt w jego życie.

Z Laurą nie było wiele lepiej. Okropnie kręciło jej się w głowie i ledwie trzymała się na nogach. Chciała znaleźć się we własnym pokoju i usiąść, zanim upadnie. Brnąc po kolana w śniegu, powlokła się do drzwi. Z dużym wysiłkiem proponowała, że jednak przygotuje dla nich po filizance czekolady, ale odmówił. Podjazd był prawie oczyszczony, więc odstawił szufłę na bok i powiedział, że czas już na niego. Laura zrozumiała, że Roys nie ma zamiaru rozmawiać o tym, co zaszło między nimi przed chwilą, i była mu za to głęboko wdzięczna.

- Naprawdę nie wejdiesz? - zapytała dla przyzwoitości.

- Nie, bardzo dziękuję, ale muszę już zniknąć. - Poszedł do samochodu. - Zobaczymy się później - zawołał, po czym zatrzasnął drzwi i szybko odjechał.

- Do zobaczenia - szepnęła Laura.

Zrobiło jej się słabo, więc oparła się o swój samochód. Gdy odzyskała panowanie nad sobą, bez namysłu wsiadła do środka. Czuła, że jest jej okropnie gorąco, więc pospiesznie zrzuciła z siebie płaszcz, szalik i czapkę, którą Roys bez sensu wetknął jej na głowę. Ponieważ to nie pomogło i nadal oblewał ją pot, rozpięła ciepłą kamizelkę i ściągnęła buty, a potem pierwszą z dwóch par grubych skarpet.

Wstrząsały nią dreszcze, więc pomyślała, że pewnie złapała

grypę. Albo może przegrzała się podczas tych zabaw z Roysem na mrozie. To dlatego czuła zawroty głowy, ból mięśni, drżenie rąk i nóg. To nic, zaraz pójdzie do domu, połknie jakieś lekarstwo i wszystko przejdzie jak ręką odjął.

Rozpaloną dłonią dotknęła spierzchniętych warg, na których wciąż czuła smak ust Roysa Camerona. Poczuła się nagle tak słaba, że aż zgięła się wpół i dotknęła czołem kolan. Próbowwała wyjść z samochodu, ale nie starczyło jej sił. Otworzyła drzwi i prawie nieprzytomna osunęła się na oczyszczony ze śniegu podjazd. I właśnie wtedy zrozumiała, że jest zakochana.

Rozdział dziewiąty

Laura spędzała pracowity dzień w bibliotece. Razem z matką przeglądała kodeksy i przygotowywała się do sprawy. Diana przez jakiś czas przyglądała się swojej skupionej córce i cieszyła się, że jest taka zdolna i chętna do nauki. Doszła do wniosku, że powinna ją pochwalić za zachowanie na sali sądowej w czasie kolejnej w karierze Laury rozprawy.

- Wiesz, Lauro, moim zdaniem świetnie sobie dziś poradziłaś - powiedziała i pogłaskała dziewczynę po ręce. - Gratuluję.

- Dziękuję, mamo. - Laura nie podniosła wzroku znad książki. Zmarszczyła brwi, zmagając się z jakimś sformułowaniem, które chciała umieścić w swoim tekście. Szybko zanotowała coś na marginesie i dopiero wtedy spojrzała na matkę. - Czułam, że jest nienajgorzej. Dziękuję, że pozwoliłaś mi zadawać pytania koronerowi.

- Wiedziałam, że to przesłuchanie nie będzie dla ciebie trudne, choć przyznam, że trzeba było uważać. I miałam rację, wypadłaś bardzo dobrze. Sędziowie zwrócili uwagę na to, co mówiłaś, ale najważniejsze, że nasza klientka ufa ci i jest zadowolona.

Słyszac to, Laura uśmiechnęła się lekko. Doskonałe wiedziała, że Amanda Holloway, bo to o nią chodziło, ufa przede wszystkim Dianie. Kiedy powiedziała o tym matce, ta popatrzyła na stosy opasłych tomów spiętrzonych na stole i powiedziała:

- Nie wiesz nawet, kochana, jak bardzo mi pomogłaś w trakcie pracy nad sprawą Amandy. Niestety, jeszcze nie możemy świętować zwycięstwa.

- Denerwujesz się? - zapytała Laura, sama bardzo przejęta tym, jaki wyrok podejmą sędziowie.

- Nie, po prostu trochę się niepokoję - odparła Diana w zamysleniu. - Bardzo nie chciałabym, żeby ta kobieta spędziła choćby jeden dzień w więzieniu. Jestem pewna, że zabiła w obronie własnej. Poza tym - zawahała się, nie wiedząc, czy powinna poruszać tę kwestię - martwię się o ciebie.

- O mnie? - zdziwiła się Laura. - Przecież ze mną wszystko w porządku.

- Na pewno? - Diana zbyt dobrze знаła córkę, by dać się łatwo oszukać.

- Oczywiście, mamo. Tylko popatrz - mówiła sztucznie ożywionym głosem - robię to, co zawsze chciałam robić. Moje życie jest barwne i ciekawe, nie mogę narzekać na nudę. W dodatku - uśmiechnęła się słabiutko - jeszcze dwa tygodnie do świąt, a ja już kupiłam wszystkie prezenty. Czym tu się martwić?

Diana uważnie przyjrzała się córce. Jak nikt inny znała silny charakter swojego dziecka i nie miała wątpliwości, że Laura sama nigdy nie przyzna się, że coś ją trapi. Postanowiła więc sprowokować ją do zwierzeń.

- Ostatnio jakoś przestałaś mówić o Roysie Cameronie. Czy u niego też wszystko w porządku? - zapytała, udając niewinne zainteresowanie.

- W jak najlepszym - odpowiedziała Laura, nie odrywając wzroku od książki. - Wczoraj zjedliśmy razem kolację.

- I?

- Jak zwykle, było miło. - Tym razem Laura spojrzała matce w oczy. Wytłumaczyła, że bardzo lubi spędzać czas z Royssem, że nigdy nie nudzi się w jego towarzystwie, lecz ostatnio postanowiła trochę ograniczyć z nim kontakty, ponieważ doszła do wniosku, że „to wszystko” dzieje się zbyt szybko. - Pora przystopować i dobrze się nad tym wszystkim zastanowić - zakończyła.

Diana wysłuchiwała córki w milczeniu. Miała wrażenie, że widzi samą siebie sprzed dwudziestu paru lat. Ona również bała się uczuć, odczuwała strach przed trwałym związkiem i zaangażowaniem, bo „to wszystko” oznaczało dla niej utratę swobody. Westchnęła, a potem opowiedziała o tym Laurze.

- Dlaczego myślisz, że jestem taka jak ty? - zapytała dziewczyna.

- Kochanie, nawet jednym słowem nie wspomniałaś, co czujesz do Roysa - zauważyła spokojnie Diana. - A chyba właśnie to jest najważniejsze.

- Jak to nie? - zaprotestowała Laura. - Przecież mówiłam przed chwilą, że lubię z nim przebywać. On również lubi. Myślę, że Roys jest fantastycznym, ciekawym facetem, a ja... - zawahała się - ...a ja po prostu się w nim zakochałam - wyznała wreszcie pod wpływem czułego spojrzenia matki.

Wiedziała, że musi się komuś zwierzyć i że kto jak kto, ale matka na pewno ją zrozumie. Opowiedziała więc Dianie, jak to pokochała Roysa, a przez to zniszczyła ich związek, który z założenia miał być tylko romansem. Ot, po prostu - tłumaczyła - dwoje dorosłych ludzi, którzy silnie na siebie działają, lubią się i szanują, postanawia spędzić ze sobą trochę czasu. Z takim założeniem rozpoczynała swoją przygodę z Royssem i była pewna, że on myśli tak samo. Niestety, wypadki potoczyły się nie tak, jakby sobie tego życzyła.

- Czasami mam ochotę zabić dziadka za to, że mnie wpakował w tę historię - westchnęła na koniec.

- Poczekaj, córeczko - uśmiechnęła się łagodnie Diana. - Powiedz mi najpierw, co jest złego w miłości do fantastycznego, ciekawego mężczyzny, którego, jak mówisz, lubisz, szanujesz i podziwiasz?

- To, że na początku umawialiśmy się inaczej!

- Umawialiście się?

- No, nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat, ale od razu było wiadomo, że ani Roys, ani ja nie planujemy żadnego trwa-

łego związku. A już na pewno żadne z nas nie myślało o zakładaniu rodziny, ślubie i temu podobnych historiach. To wymyślił sobie dziadek! - Spojrzała na matkę i dodała, jakby zamierzała ją uspokoić: - Oj, mam, naprawdę nic mi nie jest. Owszem, jestem trochę wkurzona na samą siebie, ale poradzę sobie z tym. Najważniejsze, żeby zwolnić tempo i nie dać ponieść się emocjom.

Diana przez moment zastanawiała się, czy powinna oceniać córkę, ale zdecydowała, że najlepiej zrobi, jeśli będzie z nią szczerą. Zapytała więc, czy przypadkiem obawy Laury nie biorą się z uporu albo zwykłego strachu przed przyznaniem się do własnych uczuć. Dziewczyna z ociąganiem przyznała jej rację, zaraz jednak szybko dodała, że przede wszystkim nie chciałyby stracić Roysa.

- Mam wrażenie, że odszedłby natychmiast, gdybym zaczęła zbytnio komplikować nasze stosunki - mówiła. - A ja tego nie chcę. Wolę mieć to, co mam, niż nie mieć Roysa w ogóle.

- A czy jesteś całkowicie pewna, że Roys odszedłby, gdyby się dowiedział, że go kochasz i że myślisz o waszym związku nie jak o przelotnym flircie, ale jak o czymś ważnym i trwałym?

- Niczego nie jestem pewna - przyznała Laura - ale nie zamierzam zmieniać decyzji. Na pewno nie zaszkodzi, jeśli trochę od siebie odpoczniemy. Biorąc pod uwagę, ile mam tu pracy, nie będzie to trudne - powiedziała zmienionym tonem, wskazując na piętrzące się przed nią dokumenty. - Poza tym idą święta. Koniecznie muszę spojrzeć na tę znajomość z innej perspektywy. A potem? Cóż, pożyjemy, zobaczymy. - Uśmiechnęła się blado. - Sama więc widzisz, że ze mną wszystko w porządku.

Caine MacGregor był tego dnia w doskonałym humorze. Czuł się lekki i wypoczęty, kiedy z małym neseserem z bły-

szczęcej skóry szedł w stronę kancelarii. Wracał właśnie od jubilera, któremu jakiś czas temu zlecił wykonanie naszyjnika dla żony. Caine sam zaprojektował złotą kolię wysadzaną kolorowymi szlachetnymi kamieniami. Idąc ulicą, wyobrażał sobie moment otwierania świątecznych prezentów. Widział siebie, wkładającego złote cacko na smukłą szyję Diany. Czuł się szczęśliwy na myśl o tym, że sprawi żonie przyjemność.

Wyśmienity nastrój Caine'a pogorszył się jednak, kiedy na schodach prowadzących do biurowej części domu dostrzegł znajomą męską postać. Czego, u diabła, chce tu ten typ, pomyślał ze złością, po czym tonem, w którym nie było ani krzty uprzejmości, zapytał:

- Co pan tu robi, Cameron?

Na dźwięk swojego nazwiska Roys odwrócił się szybko. Kiedy zorientował się, kto do niego mówi, jego i tak nienajlepsze samopoczucie podupało jeszcze bardziej.

- Dzień dobry, panie MacGregor - odezwał się uprzejmie, a w duchu przeklął wszystkich mężczyzn z tej rodziny, którzy zawsze wyrastają tam, gdzie ich nie sieją.

Ojciec Laury nie odpowiedział na pozdrowienie, za to spojrzawszy na Roysa zimno, odezwał się równie lodowatym tonem:

- Kancelaria jest czynna od dziewiątej do siedemnastej. Laura asystuje matce przy bardzo poważnym procesie, więc jest teraz bardzo zajęta. Jeśli chce się pan z nią zobaczyć, proszę przyjść, jak skończy pracę.

- Nie przyszedłem zobaczyć się z Laurą, chciałbym porozmawiać z pańską żoną - wyjaśnił Roys, a jego spokojny ton jeszcze bardziej zirytował Caine'a.

- Doprawdy? - Zmrużył oczy. - A jest pan umówiony?

- Nie, ale myślę, że pani MacGregor i tak zechce ze mną porozmawiać. To, z czym przychodzę, nie jest prywatną sprawą.

W odpowiedzi usłyszał, że Diana MacGregor jest w tej

chwili zbyt zajęta aktualnymi sprawami, by mogła przyjmować zlecenia od nowych klientów. Jeśli jednak Roys sobie życzy, to on, Caine MacGregor, może poświęcić mu kilka minut.

Roys nie mógł powstrzymać złośliwego uśmiechu.

- Panie MacGregor - powiedział wolno, akcentując każde słowo. - Proszę mi wierzyć, że gdybym potrzebował prawnika, byłby pan ostatnią osobą w Bostonie, której powierzyłbym swoją sprawę. Wiem doskonale, że najchętniej widziałby mnie pan za kratkami, najlepiej w pojedynczej celi z wyrokiem jakichś dziesięciu albo dwudziestu lat.

- Niezupełnie. Wydaje mi się, że obóz pracy o zaostrożnym rygorze byłby odpowiedniejszym miejscem - odparował Caine, ale mimo jawnej niechęci wpuścił Roysa do biura. Poprowadził go do recepcji, elegancko umeblowanej antykami, kazał usiąść, a sam podszedł do recepcjonistki i podając jej niewielki pakunek, owinięty w firmowy papier sklepu jubilerskiego, powiedział: - Mollie, dołącz to do reszty prezentów.

Twarz dziewczyny siedzącej za biurkiem rozjaśniła się, kiedy wzięła paczuszkę do ręki.

- To kolia dla żony, prawda? - spytała podnieconym głosem. - Mogę obejrzeć? - spytała, patrząc na szefa błagalnie.

- Proszę bardzo, tylko zrób to tak, żeby Diana nie widziała. A potem zadzwoń do niej i zapytaj, czy znajdzie chwilę czasu dla pana Camerona.

- Już dzwonię - odpowiedziała Mollie, bez reszty pochłonięta rozpakowywaniem prezentu przeznaczonego dla szefowej. Przez chwilę trzymała w dłoniach eleganckie aksamitne pudełko i uważnie je oglądała. Wreszcie niecierpliwym ruchem otworzyła wieczko i z okrzykiem szczerzego zachwyty przycisnęła dłoń do swojej wykrochmalonej białej bluzki: - Jaki piękny! Pani Diana na pewno będzie zachwycona!

- Tak myślisz? - zapytał Caine, nagle niepewny urody swojego projektu.

- Oczywiście! - zapewniła go Mollie. - Niech pan tylko

popatrzy... - Wyjęła kolię i podniosła ją do światła. - Jak pięknie słońce odbija się w kamieniach! Każda kobieta byłaby szczęśliwa, dostając taki prezent na Gwiazdkę!

Roys z pewnym zakłopotaniem przyglądał się tej scenie. Nie mieściło mu się w głowie, że człowiek tak poważny, jak Caine MacGregor, może aż tak przeżywać kwestię prezentu dla żony. Tymczasem były naczelny sędzia Sądu Najwyższego obracał złotą kolię pod światło i przyglądał jej się z ogromnym skupieniem. Wyglądał przy tym jak psotny chłopiec, który nałapał do słoika robaczków świętojańskich i teraz uważnie je obserwuje. Poza tym musiał być kompletnie zauroczony swoją żoną, co dla Roysa było sporym zaskoczeniem. Wydawało mu się nieprawdopodobne, aby po tylu latach małżeństwa ojciec Laury mógł wciąż niezmiennie kochać jej matkę.

Dalsze rozmyślania przerwał mu Caine MacGregor, który niespodziewanie zapragnął poznać opinię Roysa na temat swojego projektu. Wyrwany z zadumy, najpierw otrząsnął się jak człowiek nagle obudzony ze snu, a następnie przyjrzał się dokładnie koliai. Była masywna i bardzo oryginalna. Różnokolorowe szlachetne kamienie pięknie prezentowały się w oprawie z grubego złota. Roys pomyślał, że taka niezwykle ozdoba z pewnością będzie idealnie podkreślała egzotyczną urodę Diany MacGregor. Był pewien, że również Laurze byłoby bardzo do twarzy w tym naszyjniku.

Nie miał zamiaru zwierzać się Caine'owi z tych przemyśleń, ponieważ jednak musiał coś odpowiedzieć, postanowił być dyplomata.

- Nie znam się na błyskotkach - odparł - ale ten naszyjnik robi wrażenie.

- Za to kobiety znają się na tym jak nikt! Prawda, Mollie? - Caine zagadnął recepcjonistkę, która przytaknęła ochoczo, a następnie schowała kolię do pudełeczka i zamknęła je w szufladzie swojego biurka. Następnie zaproponowała Roysowi, żeby usiadł, gdy tymczasem ona zadzwoni do gabinetu pani MacGregor.

- Poczekaj, Mollie - znów zwrócił się do niej Caine - może jednak pan Cameron pójdzie ze mną. Daj nam znać, kiedy Diana będzie wolna. Odpowiada to panu? - zapytał, patrząc na Roysa przenikliwie.

Z pełną świadomością, że zachowuje się niezbyt grzecznie, Roys wsunął ręce do tylnej kieszeni spodni i ze szczególnie aroganckim wyrazem twarzy burknął, że odpowiada mu ta propozycja. Poszli na górę po starych drewnianych schodach z piękną mosiężną poręczą, a potem weszli do gabinetu, który był kwintesencją stylu ludzi bardzo zamożnych. Tworzyły ów styl grube, miękkie dywany, wiekowe skórzane sofy i fotele oraz politurowane meble. Wszędzie unosił się charakterystyczny subtelny zapach, który zawsze towarzyszy bogactwu.

Caine, chcąc od razu zaznaczyć swoją dominującą pozycję, usiadł za olbrzymim biurkiem i odezwał się protekcyjnym tonem:

- Siadaj, Cameron. Napijesz się czegoś?

Nie zrażony tym chłodnym wstępem, Roys usadowił się w wygodnym skórzanym fotelu naprzeciwko biurka. Cała sytuacją od razu skojarzyła mu się z przesłuchaniem. Nie omieszkał powiedzieć o tym ojcu Laury.

- Byłem gliniarzem, panie MacGregor, i wiem, jak wygląda przesłuchanie. Myślę, że potrafię to robić nie gorzej niż pan.

- Ale ponieważ ja siedzę w tym interesie znacznie dłużej, pozwolisz, że to ja będę zadawał pytania - uciął Caine. - Nie będę owijał w bawełnę: chcę wiedzieć, jakie ma pan plany wobec Laury?

- Nie mam żadnych - odpowiedział Roys spokojnie. - Absolutnie żadnych.

- Po co więc zawraca jej pan głowę od dobrych trzech miesięcy?

- Zdaje się, że nie jestem pierwszym mężczyzną, z którym się spotykała.

Prawda, zgodził się w myśli Caine, ale jesteś pierwszym, który tak bardzo działa mi na nerwy. Głośno zaś powiedział:

- Oczywiście, że jej przyjaźnie nie zaczynają i nie kończą się na panu. Jest na to zbyt piękną i wyjątkową młodą kobietą. Do tego jeszcze jest bardzo bogata...

Mówiąc ostatnie słowa, nadał swojemu głosowi specjalny, jednoznaczny ton. Patrzył przy tym uważnie na twarz siedzącego przed nim mężczyzny i radował się, widząc, jak tamtemu aż szczęki chodzą z wściekłości. Wiedział, że obraził przyjaciela Laury, ale o to właśnie mu chodziło.

Kiedy Roys, opanowawszy złość, powiedział, że wolałby, żeby ich rozmowa nie podążała w tym kierunku, Caine stwierdził, że to nieuniknione. Dopiero teraz Roys zdenerwował się naprawdę.

- Czy myśli pan, że cokolwiek obchodzi mnie majątek pańskiej córki? - zawołał, podnosząc głos. - Zaręczam panu, że żaden mężczyzna, który miałby szczęście być z nią tak blisko, nawet przez pięć minut nie myślałby o jej pieniądzach. To ona jest ważna, a nie stan jej konta - mówił wzburzony. - Nie ważne, co pan myśli o mnie. Niech pan lepiej myśli o niej!

- Nic innego nie robię - zauważył Caine. Wyraźnie odprężył się, kiedy okazało się, że Roys nie jest łowcą posagów, a przynajmniej na takiego nie wygląda. Jego oburzenie było szczere, więc może rzeczywiście zależało mu na Laurze, a nie na jej majątku. Kiedy zapytał o to Roysa wprost, w odpowiedzi usłyszał rzucone groźnym głosem:

- Uważaj pan, panie MacGregor! Jesteś bezdusznym łajdakiem!

Caine nie przejął się zbyt nią oceną. Przypomniał Roy-sowi, że według jego własnych słów to, co myślą o sobie, nie jest tu najważniejsze.

- Ale pamiętaj pan, panie Cameron - rzucił ostrzegawczym tonem. - Pamiętaj, że kocham moją córkę. Nie wiem, co ona w tobie widzi, ale ufam jej i wiem, że zna się na lu-

dziach. Muszę więc cię tolerować. Ale pamiętaj... - powtórzył po raz trzeci i unosząc się z krzesła, zbliżył twarz jak najbliżej do Roysa. - Jeśli ją skrzywdzisz, jeśli będzie przez ciebie nie-szczęśliwa choćby przez moment, to dopadnę cię i Bóg mi świadkiem, że mnie popamiętasz!

Całe szczęście w tej samej chwili na biurku zadzwonił telefon. To Mollie dawała znać, że Diana MacGregor jest już wolna i chętnie porozmawia z panem Cameronem. Caine, ani na moment nie odrywając groźnego wzroku od oczu rozmówcy, odłożył słuchawkę i oznajmił:

- Moja żona ma teraz czas. Jej biuro jest po przeciwnej stronie korytarza.

Roys wstał z fotela. Bez problemu wytrzymał agresywne spojrzenie Caine'a MacGregora, ale nie odezwał się ani słowem. Wiedział, że gdyby teraz otworzył usta, mógłby kiedyś gorzko tego żałować. Bez słowa odwrócił się więc i wyszedł z gabinetu.

- Potrafi nad sobą panować. To cenna umiejętność - mruknął Caine pod nosem, gdy tamten spokojnie zamknął drzwi. Po raz pierwszy poczuł do tego pochmurnego, aroganckiego mężczyzny cięń sympatii.

Diana czekała na Roysa w drzwiach gabinetu. Przywitała go serdecznie i zaprosiła do środka. Jej promienny uśmiech i uprzejme zachowanie stanowiły absolutne przeciwieństwo sposobu, w jaki potraktował go jej mąż. Poprosiła Roysa, żeby usiadł, i zaproponowała mu kawę. Była nieco zaskoczona, kiedy w odpowiedzi usłyszała:

- Nie chcę żadnej kawy. W ogóle niczego nie chcę!

Przyjrzała mu się uważnie i dopiero teraz dostrzegła na jego twarzy ogromne wzburzenie. Zęby miał mocno zaciśnięte, szczęki mu pracowały, drgały mięśnie. Wzrok Diany powędrował w stronę uchylonych drzwi gabinetu męża. Domyśliła się, co mogło się przed chwilą wydarzyć.

- Co w takim razie mogę dla ciebie zrobić? - zapytała łagodnie.

- Nic - odrzekł krótko. - Nie chcę niczego ani od pani, ani od pani męża, ani od Laury, ani w ogóle od nikogo z waszej rodziny.

Ponieważ Diana przyglądała mu się coraz bardziej zaskoczona, krótko wyjaśnił, że ma informacje, które mogą przydać jej się w sprawie Amandy Holloway.

- Naprawdę? - zapytała zaintrygowana. - Bardzo cię proszę, usiądź.

- Nie chcę siadać - burknął Roys. - Chcę po prostu powiedzieć, co mam do powiedzenia, a potem znaleźć się jak najdalej stąd. - Odetchnął ciężko, jakby w końcu zrozumiał, że się zagalopował. Odczekał jeszcze kilka sekund, a później przeprosił Dianę i usiadł.

Z wyrozumiałym uśmiechem odparła, że nie musi jej przepraszać i że rozumie przyczynę jego gniewu.

- Domyślałam się, że miałeś starcie z ojcem Laury - powiedziała wprost.

- Naprawdę, pani MacGregor... - popatrzył na nią błagalnie - wolałbym nie rozmawiać w tej chwili ani o Laurze, ani o jej ojcu, ani o żadnym innym członku państwa zacnej rodziny.

- Rozumiem - skinęła głową. - Porozmawiajmy więc od razu o Amandzie Holloway.

- Nie znałem jej osobiście - powiedział. - Nigdy jej nie spotkałem. Ale znałem przelotnie jej męża. Pracowaliśmy w tym samym miejscu. Dokładnie na tym samym posterunku.

- Czy pracowaliście razem?

- Tylko raz. Kiedyś przypadkiem odebraliśmy to samo wezwanie. Proszę posłuchać... - zawahał się przez moment i Diana przestraszyła się, że nie będzie chciał powiedzieć nic więcej. Jednak po chwili odezwał się znowu: - Nie lubię o tym mówić. Poza tym wie pani, jak to jest. Solidarność zawodowa. Glina nie powinien donosić na drugiego glinę.

Nie odezwała się ani słowem, dając mu do zrozumienia,

że sam musi podjąć decyzję. Najwyraźniej chęć ujawnienia prawdy była silniejsza, bo Roys zaczął opowiadać:

- Pamiętam więc, że kiedyś obydwoj odebraliśmy to samo zgłoszenie. Awantura domowa, czyli najgorsze, co może być. Gdy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że facet tłucze żonę, ile wlezie, a dzieciaki wrzeszczą. Ja obezwładniłem mężczyznę, Holloway zajął się kobietą. Twarz miała opuchniętą, pokrwawioną. Kiedy poczuła, że jest bezpieczna, zupełnie puściły jej nerwy. Zaczęła krzyczeć, że dłużej już tego nie znieś i rzuciła się na męża z pięściami. Pamiętam, że Holloway odciągał ją na bok, a ja starałem się osłonić leżącego na ziemi faceta...

- I co było dalej?

- No właśnie - westchnął Roys - Holloway uderzył tę kobietę. Trzymałem faceta przyciśniętego do podłogi i zakładałem mu kajdanki, kiedy usłyszałem pisk. Zobaczyłem, jak Holloway wykręca jej rękę tak brutalnie, że o mało nie pękły jej kości. Potem mocno pchnął ją na ścianę. Powiedziałem mu, żeby dał spokój, ale on tylko mruknął coś o głupich sukach, które same proszą się o baty. Zdaje się, że mówił jeszcze, że każdy mąż ma święte prawo przylać swojej babie, kiedy ta mu za bardzo marudzi. I wtedy, zupełnie bez powodu, uderzył tę kobietę znowu, w twarz. Zrobił to bardzo mocno i najwyraźniej zamierzał powtórzyć, zostawiłem więc skutego mężczyznę na podłodze i rzuciłem się do niego.

Roys zamilkł na moment, jakby starał się uporządkować własne myśli i wspomnienia. Kiedy odezwał się znowu, mówił o tym, że John Holloway miał w pracy opinię dobrego, sumiennego policjanta. Koledzy go lubili, nikt się nigdy nie skarżył, że źle mu się pracuje z Hollowayem.

- Pomyślałem sobie, że pewnie miał zły dzień. - Wzruszył ramionami. - W takiej pracy każdemu od czasu do czasu puszczają nerwy. Ale kiedy przypominałem sobie wyraz jego twarzy w momencie, kiedy bił tę obcą kobietę, byłem pewny, że to nie przypadek. Wiedziałem też, że gdyby wtedy nie było

mnie przy całym zajściu, Holloway posunąłby się jeszcze dalej. W związku z tym zameldowałem o wszystkim szefowi.

- Czy waszym przełożonym był wtedy porucznik Masterson? - zapytała Diana i szybko zapisała coś w swoim notesie.

- Tak.

- Kiedy przeglądałam akta personalne Hollowaya, nie znalazłam w nich żadnej wzmianki o tym incydencie - powiedziała, marszcząc brwi.

- Pewnie, że nie. Porucznik Masterson wydał mi służbowe polecenie: miałem zapomnieć o całym zdarzeniu. Powiedział, że przesadam, że Holloway po prostu bronił się przed napaścią rozhisteryzowanej kobiety. Radził uznać sprawę za zakończoną i nie interesować się nią więcej. Kilka miesięcy później zostałem przeniesiony do innego posterunku, jednak ta historia nie dawała mi spokoju. Poprzytałem tu i ówdzie, poszperałem w raportach i odkryłem coś ciekawego. Okazało się, że w ciągu sześciu miesięcy przed moim przeniesieniem, ktoś trzy razy wzywał policję do domu Hollowaya. Powód był zawsze ten sam: kłótnia małżeńska. Za każdym razem jechał tam radiowóz, ale nigdy nie wpłynęła oficjalna skarga, a raporty policjantów, którzy interweniowali, zawsze gdzieś ginęły.

- Czyli koledzy byli lojalni.

- Dzięki temu Holloway mógł się czuć bezkarny i znęcać nad żoną, kiedy tylko przysłała mu ochota.

Diana zapytała, czy zgodzi się stanąć przed sądem i zeznawać w sprawie Amandy. Po chwili zastanowienia Roys odpowiedział, że tak, ale tylko jeśli będzie to naprawdę konieczne.

- Wiem, że będzie się pani starała dowieść, iż w chwili zbrodni Amanda miała ograniczoną poczytalność - dopowiedział. - Ale są przecież badania lekarskie, które wyraźnie pokazują, że ta kobieta była przez lata maltretowana psychicznie i fizycznie. Po co jeszcze moje zeznania?

- Badania i zeznania świadka to dwie zupełnie różne sprawy. To, co widziałeś, dobitnie świadczy o tym, jakim człowiekiem

był John Holloway. Sędziowie i ławnicy rozumieją beznadziejność sytuacji, w której znalazła się Amanda. Przez to, że jej mąż był policjantem, nie mogła liczyć na pomoc służb, które są do niesienia pomocy powołane. Wołała o ratunek, ale nikt nie zareagował. Jest więc oczywiste, że zabiła męża, bo tylko w ten sposób sama mogła przeżyć. Czyli że popełniła morderstwo w obronie własnej. Teraz zaś ktoś musi jej wreszcie pomóc i nie dopuścić, żeby trafiła do więzienia. - Diana dała się ponieść emocjom i mówiła z takim zapałem, jakby wygłaszała mowę przed ławą przysięgłych. - Tym kimś możesz być ty.

Roys zaczekał, aż pani MacGregor skończy swoje wystąpienie, a potem zapewnił ją, że ona i Laura na pewno wyciągną Amandę z kłopotów.

- To wy jako pierwsze podałyście jej pomocną dłoń - zauważył.

- Teraz również ty to zrobiłeś - stwierdziła Diana i patrząc* mu prosto w oczy, zapytała: - Dlaczego?

- Bo może rzeczywiście coś to zmieni? Dawno już wątpiłem, że można mieć jakikolwiek wpływ na ten parszywy świat, ale może tym razem będzie inaczej - powiedział z westchnieniem. Przez moment oboje milczeli, aż w końcu on pierwszy przerwał ciszę: - Poza tym wiem, że Laurze bardzo zależy na tej sprawie.

- A tobie bardzo zależy na mojej córce - dodała Diana.

- To prawda. Nie ukrywam, że Laura jest dla mnie ważna - przyznał z pewnym ociąganiem. - No cóż - westchnął po chwili - to wszystko, co miałem pani do powiedzenia, pani MacGregor. Teraz muszę wracać do swojej pracy. Jeśli chciałaby pani jeszcze raz ze mną porozmawiać, jestem do dyspozycji.

- Bardzo dziękuję, że przyszedłeś. - Diana wstała i podała mu rękę. - Naprawdę, jestem ci ogromnie wdzięczna.

Obserwowała w milczeniu, jak Roys idzie do drzwi, a po-

tem wychodzi. Nie minęło więcej niż pięć minut, kiedy usłyszała kroki w korytarzu, po czym w drzwiach jej gabinetu stanął zaintrygowany Caine.

- No i co? Czego chciał od ciebie ten typ? - zapytał niecierpliwie.

- Miał dla mnie kilka niezmiernie ważnych informacji w związku ze sprawą Amandy Holloway - powiedziała, nie podnosząc oczu znad papierów leżących na biurku. Po chwili jednak uniosła głowę i patrząc mężowi prosto w oczy, powiedziała: - Wiem też na pewno, że jest zakochany w Laurze. A ona w nim.

Pod wrażeniem tych słów Caine aż oparł się o framugę drzwi. Zdławionym głosem zaczął bełkotać, że przecież Laura jest taka młoda, że dopiero co zaczęła samodzielne życie...

- Uspokój się, kochany. - Diana w lot pojęła niepokoję męża. - Cokolwiek się stanie, Laura zawsze będzie naszym dzieckiem, naszą małą dziewczynką. Nic tego nie zmieni.

- Wiem, wiem - powiedział Caine, nieco udobruchany. - Cóż, mogłem się spodziewać, że moja córka wybierze sobie faceta, który najchętniej utopiłby mnie w łyżce wody.

- Niech pan przyzna, panie adwokacie - Diana uśmiechnęła się przekornie - czyż nie za to właśnie lubi pan Roysa Camerona, że jest pierwszym przyjacielem Laury, który nie trzęsie przed panem portkami ze strachu?

Rozdział dziesiąty

Na dwa dni przed Bożym Narodzeniem Laura pojechała do biura Roysa. Stała przed drzwiami z szyldem „Roys Cameron - systemy zabezpieczeń” i bez namysłu nacisnęła klamkę. Ponieważ przy biurku sekretarki jak zwykle nie było nikogo, ruszyła prosto do pokoju, z którego dobiegał głos właściciela firmy. Energicznie zapukała, po czym nie czekając na zaproszenie, uchyliła drzwi i zajrzała do środka.

- Znajdzie pan dla mnie pięć minut, panie Cameron? - zapytała wesoło.

Roys rozmawiał z kimś przez telefon, więc tylko dał jej znak ręką, żeby weszła.

- Skoro tym razem jest pan pewny, to po Nowym Roku możemy zaczynać. Nie - powiedział do swojego rozmówcy stanowczym tonem. - Nie, panie MacGregor, już o tym rozmawialiśmy. Naprawdę jest mi bardzo miło, ale nie! Jeszcze raz powtarzam, że nie mogę tego zrobić - tłumaczył i z irytacją tarł skronie. - Dobrze, dziękuję panu bardzo i życzę wesołych świąt. Również dla pani MacGregor. Tak, tak, do zobaczenia po pierwszym styczniu - powiedział i wreszcie, z westchnieniem ulgi, odłożył słuchawkę.

- Niech zgadnę... - zaczęła Laura - czy to nie mój drogi dziadek? Ze wszystkich MacGregorów tylko on jeden potrafi przyprawić cię o ból głowy.

Roys uśmiechnął się kątem ust i opowiedział jej, jak to senior rodu od tygodni nie może zdecydować, który system alarmowy odpowiada mu najbardziej. Dopiero dziś zadzwonił, żeby powiedzieć, że wreszcie podjął decyzję.

- Już zaczynałem się obawiać, że będzie mnie tak wodził za nos do końca życia - oznajmił, po czym przyjrzał się rozpromienionej Laurze i zapytał podejrzliwie: - A ty dlaczego jesteś dzisiaj taka szczęśliwa?

- Ach, mam wiele powodów. Po pierwsze - zaczęła i usiadła mu na kolanach - dzięki twoim wczorajszym zeznaniom sprawa Amandy przyjęła bardzo korzystny obrót.

- Świetnie - stwierdził bez entuzjazmu.

- Wiem, że wczoraj w sądzie było ci bardzo ciężko, ale naprawdę bardzo nam pomogłeś. Słyszałam nawet, że biuro sędziego okręgowego zainteresowało się procesem i że chcą przesłuchać porucznika Mastersona. Jest więc bardzo prawdopodobne, że Amanda Holloway wreszcie doczeka się sprawiedliwości. - Przytuliła się mocno do Roysa i pocałowała go z wdzięcznością. - Bardzo, bardzo ci dziękuję - szepnęła.

- Nie ma o czym mówić - mruknął. - A właściwie to co tu robisz? Myślałem, że jesteś już w drodze do dziadków.

Laura wytłumaczyła, że właśnie jedzie do siebie po rzeczy, a potem rusza w drogę do Hyannis. Wpadła, żeby jeszcze raz zaprosić go na święta.

- Wiesz przecież, że będziesz tam mile widziany - zachęcała. - A ja wiem, że dziadek namawia cię już od wielu dni. Proszę cię, Roys, jedź ze mną.

- Jeszcze raz wam wszystkim dziękuję, ale naprawdę nie mogę - tłumaczył, odwracając wzrok. - Poza tym nie jestem chyba właściwym kandydatem na gościa w domu MacGregorów. Święta są dobre dla dzieciaków i rodzin takich jak wasza, czyli dużych.

Laura pokręciła głową z rezygnacją, wstała z kolan Roysa i szybko rozejrzała się po gabinecie. Zapytała, dlaczego nie postawił tu choćby najmniejszej choinki, a wtedy on wskazał palcem małą porcelanową figurkę przedstawiającą drzewko i oznajmił, że ma tu przecież to brzydactwo, które mu kupiła.

- Ależ ta choinka wcale nie jest brzydka! - zaprotestowała. - Ona jest po prostu kiczowata. A to zupełnie co innego.

No tak, ale przecież nie przyjechała do Roysa, żeby rozmawiać o choinkach i o różnicy między brzydota a kiczem. Wciąż miała nadzieję, że namówi go, żeby spędził z nią Boże Narodzenie.

Dlaczego jej tak na tym zależało? Cóż, zrozumiała już, że go kocha i bardzo chciała, żeby Roys Cameron stał się częścią jej życia. Skoro jednak Roys uparcie odrzucał zaproszenie, postanowiła pogodzić się z odmową i zaakceptować jego warunki; zaakceptować ich związek takim, jakim jest, i cieszyć się tym, co ma, a nie użalać się nad sobą, że mogłaby mieć więcej.

- Jak chcesz - westchnęła. - Ale pamiętaj: będę tęskniła.

- Nie będziesz miała czasu na tęsknotę - powiedział, i wstał zza biurka. - Otoczy cię cała chmara MacGregorów! Już na samą myśl o nich skóra cierpnie mi na plecach - żartował, choć zupełnie nie było mu do śmiechu.

- I tak będę tęskniła - powiedziała przekornie i cmoknęła go w policzek. Z kieszeni płaszcza wyciągnęła kolorową paczuszkę i podała ją Roysowi z uśmiechem: - To prezent dla ciebie. Chcę, żebyś go rozpakował w Boże Narodzenie rano! Zgodnie z tradycją.

- Ale ja... - popatrzył na nią zakłopotany - ja nie mam nic dla ciebie. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć...

- Powiedz po prostu dziękuję - poradziła, rozbawiona jego zmieszaniem.

Uśmiechnął się słabo i wykrztusił z siebie niewyraźne podziękowanie.

- A teraz powiedz: „Wesołych Świąt, Lauro!” - dodała, gdy zaś Roys powtórzył jej słowa, pocałowała go czule i przytuliła. Potem odsunęła się, pomachała mu ręką i ruszyła do drzwi. Poczuli, jak nagle wilgotnieją jej oczy, opanowała się jednak i już stojąc na progu, powiedziała: - Do zobaczenia wkrótce!

Kiedy wyszła, Roys ciężko opadł na krzesło. Przez kilka godzin trwał bez ruchu, obojętnym wzrokiem patrząc w małe

okno. Słońce najpierw zachodziło purpurowo, potem schowało się zupełnie, wreszcie zapadł zmrok, a on ani na moment nie zmienił pozycji.

Musiał wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy. Nie mógł dłużej zaprzeczać, że nic się nie wydarzyło. Nie był w stanie okłamywać samego siebie i twierdzić, że nic w jego życiu nie uległo zmianie. Siedząc tak w ciemnym, pustym biurze, pojął, że najprawdopodobniej „to coś” stało się już wtedy, kiedy po raz pierwszy zobaczył jej twarz. A właściwie nogi. Najpierw nogi, dopiero potem twarz. I te płomienne oczy, którymi go gromiła, widząc obcego we własnym domu. Potem rzuciła się na niego z kuchennym nożem, a było w niej coś tak porywającego, tak cudownego, że...

Ech, co tu dużo gadać. Żaden mężczyzna nie oparłby się takiej kobiecie.

Niestety, w tej chwili wszystko to nie miało już najmniejszego znaczenia. Ta wspaniała kobieta nie tylko pochodziła z innego świata. Ona naprawdę żyła w odległym, obcym Roysowi środowisku. Co z tego, że być może nawet go kocha? Czy nie jest bratanicą poprzedniego prezydenta? Czy nie jest wnuczką największego potentata finansowego w tym stanie? Jego dziedziczką, spadkobierczynią olbrzymiej fortuny, o czym w niewybredny sposób przypomniiał Roysowi jej ojciec?

Gdyby te fakty komuś nie wystarczyły, mógł przyjrzeć się, jak Laura wygląda i jak żyje. W uszach nosiła brylanty, jej dom w Back Bay był pełen dzieł sztuki i antyków. Jeździła sportowym samochodem, którego cena odpowiadała rocznym dochodom Roysa. O ile, oczywiście, trafił mu się niezły rok.

Mało tego. Laura skończyła prawo na Harvardzie, gdy tymczasem on nie ukończył nawet miejskiej uczelni. Związek dwojga ludzi, pochodzących z tak różnych środowisk, nie miał szans przetrwać zbyt długo. Roys wiedział, że nie powinien mieć żadnych złudzeń.

W ciągu ostatnich tygodni prawie bez przerwy myślał

o Laurze i jej rodzinie. Przy okazji zrozumiał, jak to się działo że Caine MacGregor był ciągle zafascynowany swoją żoną. Po prostu, kiedy mężczyzna spotka na swej drodze kobietę taką wyjątkową, nie podobną do tysięcy innych, nie może z upływem lat przestać jej kochać. Osoby takie jak Laura i jej matka nigdy nie znudzą się i nie spowszednieją. Takie kobiety n zawsze biorą w posiadanie serce mężczyzny i budzą uczucia tak silne, że nic nie może tego zmienić.

Uświadomił sobie, że siedzi w ciemnościach, więc zapalił lampkę na biurku. W ciemnym ekranie komputera zobaczył odbicie swojej zmęczonej twarzy. Spojrzał głęboko w pochmurne oczy i zrezygnowany nakazał sobie twardo: „Daj spokój. Zapomnij o tej kobiecie i idź dalej własną drogą”.

Wolno odwrócił wzrok od ekranu. Doszedł do wniosku, że zrobi najlepiej, jeśli zamknie biuro i pójdzie prosto do domu.

Do domu? Niespodziewanie perspektywa powrotu do pustego mieszkania nie wydała mu się zbyt kusząca. Jak to możliwe, pytał samego siebie. Do tej pory wiódł taki tryb życia i był z niego bardzo zadowolony. Wysoko cenił swoją wolność i to, że w każdej chwili może odejść i nie musi liczyć się z nikim. A teraz myśl, że wróci do pustego pokoju i sam położy się do łóżka, wydała mu się straszna.

Zdesperowany, tarł pięściami zarośnięte policzki. Wprost nie mógł uwierzyć w zmiany, które w nim zaszły. Zawsze uważał siebie za odważnego, tymczasem teraz, niczym największy tchórz, drżał na myśl, że w końcu będzie musiał zaryzykować i zdobyć się na szczerą rozmowę z Laurą. W końcu to on zaczął tę całą historię. Sam łąził za Laurą, prowokował ją, zabiegał o jej zainteresowanie. Starczyło mu odwagi, by zrobić pierwszy krok, powinien doprowadzić sprawę do końca.

Przypomniała mu się jego pierwsza, szczeniacka miłość do Marshy Bartlett. Czy nie obiecywał sobie, że nigdy więcej nie zakocha się tak desperacko w żadnej kobiecie? Teraz bał się jak dzieciak. Bał się, że Laura albo nie będzie chcia-

ła, albo nie będzie mogła z nim zostać. Pragnął jej tak bardzo, że już sama myśl o rozstaniu z tą kobietą odbierała mu chęć do życia.

- To nonsens - powiedział głośno.

Wstał zza biurka. Pojął, że musi coś zrobić, bo wszystko jest lepsze od tej dręczącej niepewności. Energicznym krokiem ruszył do drzwi, w biegu chwycił płaszcz i pognął do samochodu.

Co do jednego Roys miał zupełną rację - dom w Hyannis przeżywał prawdziwy najazd. Olbrzymi budynek, jasno oświetlony i pięknie udekorowany, aż huczał od muzyki i rozweselonych głosów. Starzy i młodzi członkowie klanu MacGregorów kłębili się wewnątrz, hałasując nieznośnie. W dolnym salonie słychać było świąteczne piosenki z magnetofonu, zaś w pokoju przeznaczonym do muzykowania Amelia Blade, młodsza kuzynka Laury, z zapalem bębniła na pianinie. Śpiewała przy tym kolędę pięknym, mocnym głosem, a Daniel MacGregor wtórował jej swoim dudniącym basem.

Z piętra dobiegały podniecone męskie okrzyki. Laura domyśliła się, że to Mac, najstarszy wnuk Daniela i Anny, sprzecza się z którymś ze swoich licznych kuzynów. Powód całej awantury nie był istotny, gdyż wszyscy MacGregorowie mieli zwyczaj iść w zaparte, obojętne czego dotyczył spór.

Laura weszła do pokoju, który rodzina miała zwyczaj nazywać salą tronową. Działo się tak z powodu wysokiego, rzeźbionego krzesła na którym zasiadał Daniel MacGregor podczas licznych rodzinnych zjazdów. Właśnie tutaj ustawiono olbrzymią, jarzącą się kolorowymi lampkami choinkę. Stała dokładnie naprzeciw wielkich okien, wychodzących wprost na urwisty brzeg zatoki. Miała prawie pięć metrów i aż tonęła w powodzi bajecznie kolorowych bombek i splecionych łańcuchów. Laura wiedziała, że lampki będą zapalane każdego dnia aż do święta Trzech Króli.

Pod strojnym świerkiem piętrzyły się góry prezentów. Zgodnie z rodzinną tradycją, o północy w wigilię Bożego Narodzenia zaczęło się ich rozpakowywanie, wymiana życzeń, podziękowań i uścisków. Klan MacGregorów obdarzy się nawzajem nie tylko wystawnymi prezentami, ale przede wszystkim wierną, głęboką miłością. Bo choć zawsze walczyli i kłócili się ze sobą, nigdy przy tym nie przestawali się kochać. Stąd brała się siła i potęga tej niezwykłej rodziny.

Zatrzymała się przed choinką i pomyślała o Roysie. Serce ścisnęło jej się z żalu, że człowiek, którego tak bardzo kocha, spędzi samotnie Wigilię. Musiała jednak szybko opanować wzruszenie, gdyż nagle usłyszała za plecami głos ojca:

- Ja naprawdę nie wiem, jak oni to robią - wołał wesoło Caine. - Co roku udaje im się znaleźć czas, żeby zdobyć przepiękną choinkę. Tak jest zawsze, odkąd pamiętam.

- A ja pamiętam - powiedziała Laura i przytuliła się do niego - że kiedy byliśmy dziećmi, nie wolno nam było siedzieć z dorosłymi do północy. Skradaliśmy się więc po cichutku i na schodach czatowaliśmy na moment, kiedy Mikołaj podrzuci prezenty. Wiesz, tato - mówiła zadumana - z domem dziadków wiążą się dla mnie same dobre wspomnienia. Właśnie myślałam, jakie to szczęście, że jest ten dom i cała nasza rodzina. Tak bardzo was kocham - wyznała i z głębokim westchnieniem schowała się w szerokich ramionach ojca.

Caine wyczuł nutę smutku w głosie córki, więc przytulił ją mocniej, a potem wziął pod brodę i zajął się głęboko w oczy. Trochę się zaniepokoił, widząc, że Laura płacze, zapytał więc o powód jej smutku. Odpowiedziała, że wzruszyła ją wyjątkowa atmosfera wigilijnego wieczora.

- Widocznie na starość robię się ckliwa i sentymentalna - powiedziała i spróbowała się uśmiechnąć. - Święta sprzyjają takiemu nastrojowi. Poza tym człowiek od czasu do czasu powinien pozwolić sobie na wzruszenia. Wiesz, tato, chcę ci powiedzieć, że zawsze byłeś i będziesz najważniejszym mężczy-

zną w moim życiu - wyznała niespodziewanie. - Nigdy się na tobie nie zawiodłam!

- Jeszcze chwila i za moment ja też się rozkleję - powiedział Caine. Przygarnął Laurę do siebie i czule pocałował w czoło.

Dalsze zwierzenia przerwał im donośny tętent dziesiątek stóp, który rozległ się na schodach. Towarzyszył mu gwar wesółych męskich i kobiecych głosów. MacGregorowie tłumnie wylegli przed dom, dowcipkując, śmiejąc się i sprzecząc po drodze.

Laura wysunęła się z objęć ojca i lekko podbiegła do ogromnego okna. Wyrzała na podwórko, na którym od niezliczonych światła jasno było jak w dzień.

- To Ian i Julia rozpoczęły tradycyjną bitwę na śnieżki - powiedziała weselszym tonem

- Chcesz przyłączyć się do nich?

- Czemu nie? Jeśli ty mi pomożesz... - Wróciła do ojca i pogładziła jego dłoń. - Idź do nich i rzuć im wyzwanie, a ja będę na zewnątrz za minutę.

Nim wyszedł, jeszcze raz ją pocałował i zapewnił, że on również nigdy się na niej nie zawiodł. Później zaś Laura obserwowała go przez okno z czułością, jak wybiega niczym młody chłopak w mroźną noc i krzyczy na całe gardło, że wypowiada śnieżną wojnę swojemu bratu. Były prezydent ochoczo podjął wyzwanie i już po chwili walka rozgorzała na całego.

Laura jeszcze nie wychodziła, chciała zostać sama. Pomyślała, że zaraz do nich dołączy, ale przedtem musi wyszeptać przed choinką swoje życzenie. A życzenie było w tym roku bardzo proste - pragnęła, aby następne święta mogła spędzić z mężczyzną, którego pokochała. Jeśli nie następne, to może chociaż któreś kolejne, prosiła żarliwie, zaciskając mocno powieki.

- Lauro! - usłyszała niespodziewanie znajomy głos.

Rozpoznała go natychmiast i aż drgnęła, myśląc, że to złu-

dzenie albo sen. Ale nie - kiedy odwróciła się, obraz nie zniknął. W otwartych drzwiach sali tronowej stał Roys Cameron.

- Roys! - zawołała z radością. - A jednak zmieniłeś zdanie! Tak bardzo się cieszę - mówiła, szybko idąc w jego stronę. - Boże, masz takie lodowate ręce! Dlaczego nie założyłeś rękawiczek? Daj mi swój płaszcz...

- Zaczekaj! - Powstrzymał ją ruchem ręki. - Najpierw musimy porozmawiać.

- Ależ oczywiście - odpowiedziała z promiennym uśmiechem, który w pewnej chwili gwałtownie zniknął. Za plecami Roysa dostrzegła bowiem tłum MacGregorów, który zajmował cały ogromny hol. Jeszcze przed chwilą weseli i rozgadani, teraz zastygli w bezruchu i w milczeniu wpatrywali się w Laurę i Roysa.

- O Boże, moja rodzina... - jęknęła, dostrzegając wlepione w nich dziesiątki ciekawych oczu.

- Właśnie - sarknął Roys. - Nie mam jakoś ochoty poznawać teraz hordy twoich kuzynów. Musimy porozmawiać sam na sam.

- W porządku - odparła i podeszła do masywnych dębowych drzwi. Stanęła w nich, po czym głośno i wyraźnie odezwała się do ciekawskiego tłumu: - Proszę was... wynoście się stąd! Wszyscy!

Nie czekając, aż ktokolwiek zechce wykonać jej polecenie, starannie zamknęła drzwi i wróciła do Roysa. Popchnęła go lekko w głąb sali tronowej i żartobliwie pocieszyła, żeby nie martwił się, bo na pewno zdąży poznać cały ten barwny tłumek w ciągu następnych dni. Kiedy powiedział, że nie jest pewny, czy zostanie, na jej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

- Jak to? - zapytała.

- Po tym, co za chwilę usłyszysz, sama będziesz musiała zdecydować, czy nadal chcesz, żebym był gościem w domu twoich dziadków.

Pod Laurą ugięły się na moment kolana. Opanowała się

jednak szybko i ponownie zaproponowała, żeby mimo wszystko zdjął płaszcz.

- Zrobię ci rozgrzewającego drinka. Czego się napijesz? Może być brandy?

Roys wzruszył obojętnie ramionami i odparł, że wszystko mu jedno. Przez moment przyglądał się gigantycznej choince, podczas gdy Laura zajęła się przygotowaniem drinków.

- Naprawdę cieszę się, że przyjechałeś - powiedziała łagodnie, podając mu szklaneczkę.

- To się jeszcze okaże.

Na wszelki wypadek Laura postanowiła usiąść. Wybrała pierwsze z brzegu miejsce, czyli rzeźbiony tron Daniela MacGregora. Roys od razu pomyślał, że jego ukochana wygląda na nim niczym wszechwładna królowa. Jedno jej słowo i moja głowa potoczy się do jej stóp, ciągnął w myślach.

- No dobrze - odezwała się opanowanym głosem. - Jeśli jest coś, o czym powinnam wiedzieć, powiedz mi to teraz.

- Łatwo powiedzieć - burknął i zaczął niespokojnie krążyć po sali. Gwałtownym ruchem odstawił szklanę z brandy. - Ty jesteś u siebie, a ja znajduję się na terytorium wroga, w jaskini lwa.

- O czym ty mówisz?

- Jak to o czym? Przecież wiesz dobrze, że twój ojciec mnie nienawidzi!

- To nieprawda - zaprotestowała, ale on najwyraźniej nie zamierzał dopuścić jej do głosu.

- Ale właściwie dlaczego miałby mnie lubić? - pytał, nie patrząc na nią i wciąż chodząc po pokoju niczym tygrys zamknięty w klatce. - Nie skończyłem Harvardu, nie mam pięknego domu w dobrej dzielnicy, za to jestem byłym gliniarzem i właścicielem firmy, która ledwo wiąże koniec z końcem. I taki ktoś ośmiela się sypiać z córką najbardziej szanowanego adwokata w mieście!

Laurze zrobiło się przykro. Wciąż miała w pamięci swoją niedawną rozmowę z ojcem, postanowiła więc go bronić.

- Posłuchaj, Roys. Mój ojciec nie jest snobem...

- Wcale tego nie powiedziałem - warknął. - Ale popatrz tylko na ten pokój. Rozejrzyj się dookoła. Czy człowiek wychowany w takim otoczeniu potrzebowałby pozować na snoba?

- pytał niecierpliwie. - Zresztą, nawet jeśli zapomnimy o twoim pochodzeniu, to nasza umowa...

- Zaraz, poczekaj, jaka umowa?

- Ech, nieważne. Ja tylko chcę... ja muszę... - płątał się, aż w końcu przeprosił ją, zamilkł i szybko podszedł do okna. Jakiś czas przyglądał się w milczeniu grupie osób ganiających się po zaśnieżonym trawniku, potem odwrócił się i na nowo podjął swoją wędrówkę. - Zupełnie nie znam rodzin podobnych do tej - odezwał się już bardziej spokojnym głosem.

- Tam, gdzie się wychowałem, nie było takich.

- To prawda, moja rodzina jest dość specyficzna - zgodziła się Laura, nie zrażona tym, że od pewnego czasu Roys jest tak pochłonięty własnymi myślami, że chyba zapomniał o jej istnieniu.

Tymczasem on dalej ciągnął swój monolog:

- Nie, nie jestem biedny. Firma jakoś się kręci, nawet przynosi zyski. Ze wszystkim sobie radzę... - Znowu podszedł do okna. - Nie obchodzą mnie twoje pieniądze, Lauro. Nigdy mnie nie obchodziły. Jest mi obojętne, czy masz pięć dolarów, czy pięć milionów.

Miał tak nieszczęśliwą minę, że zrobiło jej się go żal. Był zły i - co widziała po raz pierwszy - okropnie zdenerwowany i spięty. Najwyraźniej nie zamierzał jeszcze kończyć swojej przemowy, bo po krótkiej przerwie odezwał się ponownie:

- Uwierz mi, potrafię na siebie zarobić. Od dawna sam troszczę się o swoje interesy. Ale ty... - zwrócił się do niej, lecz nie spojrzął w jej stronę - ty jesteś przyzwyczajona do czegoś więcej. No cóż, ja to rozumiem. Uważam, że powinnaś to mieć, bo to wszystko ci się należy.

- Świetnie - próbowała włączyć się do rozmowy. - Cieszę się, że tak myślisz, bo nie zamierzam z niczego rezygnować. - Wstała ze swojego tronu i podeszła do niego ostrożnie. - A teraz, czy mógłbyś wreszcie przestać kluczyć i powiedzieć mi jasno, o co chodzi? - poprosiła, trochę już zniecierpliwiona jego wywodem.

- Przecież właśnie próbuję to zrobić!

- Doprawdy?

- Nie widzisz, jak się staram? - Wzrok mu płonął. Jasne zazwyczaj oczy pociemniały. Co jakiś czas pojawiał się w nich niebezpieczny błysk. - Odkąd tu przyszedłem, nie robię nic innego. Myślisz, że jest mi łatwo? Cholera, nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie. Nie chciałem tego!

- Czego nie chciałeś?

- Nie chciałem myśleć o tobie każdego przekłętą dnia! Przytulać się do ciebie w łóżku nawet wtedy, kiedy nie ma cię ze mną. Wciąż słuchać i słuchać twojego głosu. W końcu jak idiota zakochać się w tobie!

- Zakochać się? - powtórzyła Laura i poczuła taką słabość, że musiała z powrotem usiąść na tronie dziadka. - Chcesz powiedzieć, że mnie kochasz? - powtórzyła słabym głosem.

- Tylko wysłuchaj mnie do końca - powiedział ostro. - Wiem, że nie jestem ci obojętny. Inaczej nie pozwoliłabyś mi zbliżyć się do siebie. Chcę jednak, żebyś wiedziała, że z mojej strony to dużo więcej niż przelotna fascynacja. Być może na początku tak było, ale z czasem przerodziło się w coś znacznie poważniejszego. Gdybyś więc chciała dać mi szansę...

- Roys...

- Nie przerywaj. Powiedziałem, że musisz wysłuchać wszystkiego, co mam do powiedzenia.

I Roys znów zaczął tłumaczyć. Wiedział, że musi zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby ją do siebie przekonać. Zaczął mówić, że przecież jest im ze sobą dobrze, że on wie, jak ją zadowolić. Wreszcie sięgnął po ostateczny argument:

- Nawet twój dziadek jest po mojej stronie.

Niestety, wybrał nie najlepiej. Laura, która czuła, jak pod wpływem jego wyznań ogarnia ją uczucie błogiego szczęścia, słysząc wzmiankę o dziadku, aż zeszywniała.

- Roys, uprzedzam cię, że naciskasz niewłaściwy guzik - ostrzegła.

- Nie szkodzi. Jeśli Daniel MacGregor uważa, że jestem wystarczająco dobry dla jego wnuczki, dlaczego ja także nie miałbym tak myśleć?

- Wystarczająco dobry? - powtórzyła, nadając głosowi lekko drwiący ton.

- Tak. Mam mocny kark i bystry umysł. Jestem uczciwy. I kocham cię, kocham całą. No, może z wyjątkiem twojej rodziny. Ale jestem gotów nauczyć się, jak żyć z nimi w zgodzie. Myślę, że to wystarczy.

Włożył rękę do przepastnej kieszeni płaszcza i dość długo czegoś szukał. W końcu wyciągnął małe aksamitne pudełeczko i podał je Laurze.

Wzięła je ostrożnie i przez chwilę obracała w palcach. Poczowała, że brakuje jej powietrza, więc odetchnęła bardzo głęboko i nieśmiało uchyliła wieczko. Kiedy zaś zobaczyła, co jest w środku, jej serce zabiło niespokojnie. Na ciemnogramatowej poduszeczce leżał złoty pierścionek z cudownym, ciemnym rubinem. Patrząc na niego, Laura miała ochotę krzyknąć z radości na całe gardło.

Roys wykorzystał moment, kiedy oniemiała wpatrywała się w pierścionek, i mruknął zakłopotany:

- Pomyślałem, że brylant byłby zbyt banalny. Nie pasowały do ciebie. Do nas...

- Roys, czy ty mi się oświadczasz? - zapytała, a jej głos zabrzmiał uroczyście i dostojnie.

- To jest pierścionek, tak? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Tak. Bardzo piękny.

- Może nie jest dość okazały? - zaniepokoił się nagle.
 - Idiota! Ja czekam.
 - Ty czekasz? Nie, moja miła, to ja czekam - sprostował.
- Laura najpierw westchnęła, a potem powiedziała z namyśłem:

- Dobrze. Spróbujmy w ten sposób. Ani tego nie planowałam, ani nie chciałam. Nie taka była umowa. Ale Kocham cię...

Roys najwyraźniej nie był przygotowany na tę odpowiedź. Otworzył szeroko oczy, ale zdołał wykrztusić z siebie tylko niewyraźne:

- Co takiego?

- Nie przerywaj mi. Wysłuchaj mnie do końca - nakazała, rozbawiona tym odwróceniem ról. Na powrót usiadła w wysokim krześle i wygłosiła swoją mowę tronową. Powiedziała Roysowi, że uważa go za wspaniałego mężczyznę, który jednakowoż nie docenia własnych zalet. - Jesteś przy tym normalny, nieprzewrażliwiony na własnym punkcie. Masz wrodzoną mądrość, której nie da się zdobyć, studiując na Harvardzie. A co najważniejsze - przysłoniła usta i dodała zniżonym głosem: - pochodzisz z porządnego rodu. Mam więc stuprocentową pewność, że, jak sam powiedziałeś, jesteś dla mnie wystarczająco dobry.

- I Kochasz mnie? - dopytywał się osłupiały Roys.

Laura patrzyła na jego minę i zastanawiała się w duchu, czy kiedykolwiek jeszcze będzie jej dane mieć taką przewagę nad twardym i opanowanym Roysem Cameronem. Ponieważ jednak nie chciała trzymać biedaka dłużej w niepewności, wyznała, że kocha go naprawdę, miłością szaloną i szczerą.

- Przez cały czas próbowałem być dzielna i opanowana - tłumaczyła. - Jeśli chcesz wiedzieć, to długo walczyłam ze sobą. Zrozumiałam, że cię Kocham, ale byłam pewna, że nie traktujesz poważnie naszej znajomości. Postanowiłam więc jakoś pogodzić się z tym. Ale teraz wiem, że jest inaczej, że ty

także mnie kochasz. Gdybyś więc po prostu mi się oświadczył, zamiast bez słowa wciskać to pudełeczko, od razu odpowiedziałabym „tak”.

- Dziwisz mi się, że tego nie zrobiłem?

- A nie po to tu przyszedłeś?

- No, po to - przyznał. - Mam jeszcze zresztą kilka argumentów, które miały cię przekonać.

- Czy chcesz mi je teraz przedstawić?

- Nie - odpowiedział.

- Dlaczego?

- Bo skoro już wyszło, jak wyszło, to nie zamierzam przed tobą klękać.

- Szkoda - westchnęła, udając rozczarowanie. Wstała z krzesła i podając mu pudełeczko z pierścionkiem, zaproponowała: - Może jednak spróbujesz jeszcze raz?

Spróbował i okazało się, że nie jest to takie trudne, jak mu się zdawało.

- Kocham cię. - Ujął twarz Laury w dłonie i głęboko spojrział w czekoladowe oczy, które tak go zachwyciły przy pierwszym spotkaniu. - Kocham cię bardzo. Wiem, że chcę z tobą być, mieć z tobą dzieci. Chcę spędzać z tobą każde Boże Narodzenie przez co najmniej sześćdziesiąt następných lat. Czy zostaniesz moją żoną?

- No, całkiem nieźle! - pochwaliła go Laura. - Teraz daj mi jeszcze raz ten pierścionek, a potem mnie pocałuj.

- Ale najpierw powiedz „tak”!

- Tak, tak, tak!!! Po tysiąc razy tak! - zawołała, po czym przytuliła się do Roysa i sama zaczęła szukać niecierpliwie jego ust.

Gdy Roys wkładał później pierścionek na palec Laury MacGregor, łzy popłynęły po jej smagłych policzkach.

- Czy wiesz, że zanim tu przyszedłeś, z całych sił modliłam się, żebyś mnie pokochał? - spytała wzruszona. - I oto jesteś.

- My jesteśmy - wyszeptał - razem...

Niestety, drzwi wejściowe otworzyły się nagle z hukiem i w holu rozległ się głośny tupot, który przerwał tę romantyczną scenę.

- Zobaczysz, że ich polubisz - uśmiechnęła się łagodnie Laura. - Jestem też pewna, że i oni od razu cię pokochają i przyjmą jak swego. Poza tym nie zapominaj, że masz poparcie seniora rodu.

- Od samego początku.

- Może więc najpierw pójdziemy do niego i opowiemy mu, co się stało? Normalnie potrzymałabym go pewnie w niepewności, ale w końcu jest Boże Narodzenie. Jestem pewna, że żaden prezent nie sprawi mu takiej przyjemności, jak świadomość, że znowu miał rację.

Z pamiętnika Daniela Duncana MacGregora

Ze wszystkiego, co człowiek może mieć na tym świecie, rodzina jest najważniejsza. To nie tylko niewyczerpane źródło radości, ale i powód do nieustającej odpowiedzialności i troski. Dzięki Bogu, w całym długim życiu nigdy się tego nie lekłem i zawsze robiłem to, co do mnie należało.

Bóg pozwolił, że moje stare oczy nareszcie ujrzały pierwszą z moich wnuczek na ślubnym kobiercu. Laura była precudną panną młodą, radosną i promienną, a do tego - by tak rzec - niezwykle uroczystą w tej białej sukni i welonie, który w dniu swojego ślubu nosiła jej babka. Nasza panna wyglądała tak pięknie, że aż musiałem mocniej przytulić moją Annę, bo kobieta bardzo się w takich chwilach wzrusza i trzeba na nią uważać. Był to dzień nieopisanej radości i cieszę się, że mogłem go przeżyć razem z moimi najbliższymi.

Serce mi rośło, kiedy patrzyłem, jak mój syn Caine prowadzi córkę do ołtarza, gdzie czeka na nią człowiek, którego osobiście wybrałem. Lepiej jednak nie będę pisał, jaka była moja rola w tym wszystkim, bo jeszcze ktoś to kiedyś przeczyta i zaraz zrobi się wielka afera. Niestety, dzieci, choć bardzo kochane, potrafią być też niewdzięczne. Człowiek na głowie staje, żeby im trochę pomóc, a one obrażają się i mówią, że nie życzą sobie wtykania nosa w ich prywatne sprawy. A to wszystko przecież dla ich dobra!

Tak więc mieliśmy ten piękny dzień w samym środku wiosny, kiedy Laura i Roys powiedzieli sobie „tak”. W ich słowach

było tyle miłości, że aż łza wzruszenia popłynęła mi po twarzy. Tylko jedna, bo drugą zachowałem na chwilę, gdy na przyjęciu weselnym Ian, brat panny młodej, wznosił toast za szczęście młodej pary.

Co też to było za wesele! Długo by mówić, więc powiem tylko, że Boston jeszcze takiego nie widział.

Teraz mam pewność, że Laura i Roys będą ze sobą szczęśliwi i że dadzą mojej Annie prawnuczka, którego tak bardzo oczekuje. A ja spokojnie mogę poświęcić uwagę Amelii, mojej małej królowie. Ta krucha i delikatna kobietka ma niepospolity umysł. A bystra jest i przebiegła, że daj Boże zdrowie! Długo by szukać równie mądrej i zdolnej młodej kobiety. Choć jednak Amelka myśli i mówi jak mężczyzna, mnie, starego wygi, nie oszuka. Wiem, że pod tą skorupą chowa się czułe i romantyczne serduszek, które wzdycha do księcia z bajki.

Jedna rzecz mnie tylko niepokoi. Otóż Amelka, podobnie jak kiedyś jej babcia, tak jest pochłonięta tą swoją medycyną, że nie ma już czasu na nic innego. I najgorsze, że nie widzi potrzeby wiążąc się z żadnym mężczyzną. Mówi, że nie potrzebne jej dzieci, bo robi karierę!

Dlatego pora wkroczyć do akcji i wziąć sprawy w swoje ręce. Jak ktoś sam nie wie, co dla niego dobre, trzeba nieszczęśnikowi pomóc. Długo nad tym myślałem i wreszcie znalazłem człowieka, który będzie idealnym partnerem dla mojej Anielki. Dobra krew, z uczciwej, porządnej, starej rodziny. Do tego mózg nie gorszy niż jej, a to bardzo ważne, bo moja wnuczka musi mieć człowieka, który doceni jej mądrość.

Obawiam się, że wyswatanie ich zajmie mi trochę czasu, ale dzięki Bogu, mam go teraz dużo. Człowiek, który chodził po tym świecie tak długo, jak ja i widział w życiu niejedno, potrafi być cierpliwy i poczekać na odpowiednią, chwilę. Żeby jednak przedsięwzięcie się udało, trzeba solidnie przygotować

grunt. Dlatego zamierzam robić to przez kilka najbliższych miesięcy. Dom jest wtedy porządny, gdy ma porządne fundamenty.

Cóż, chyba znów mi się uda. Głowę daję, że koło Bożego Narodzenia Amelka będzie planowała wesele. A ja nie będę domagał się podziękowań. Nie trzeba, sam wszystko załatwię. Choć nie musiałbym, gdyby te dzieciaki same umiały troszczyć się o siebie.

Część druga

Amelia

Rozdział jedenasty

- Uwaga! Podnosimy go na trzy! Raz, dwa, trzy!

Amelia naprężyła ramiona i razem z pozostałymi pracownikami izby przyjęć dźwignęła ciężkie ciało postawnego mężczyzny. Ruchy całego zespołu były idealnie zsynchronizowane. Zgrabnie unieśli bezwładne ciało z noszy i przełożyli na wysoki stół. Potem na ułamek sekundy zastygli w oczekiwaniu na dalsze wskazówki.

- Niech go pani zaintubuje - nakazała Amelia. Wiedziała, że stojąca obok niej praktykantka wprost rwie się do pracy. Dziewczyna była najzdolniejszą studentką, więc można było bez ryzyka dopuścić ją do pacjenta.

Na moment odsunęła się od stołu i uważnie obserwowała przebieg reanimacji. Patrzyła, jak siostra oddziałowa pewnym ruchem rozcina poszarpane, sztywne od krwi dżinsy. Mężczyzna cały czas był nieprzytomny. Odkąd przywieziono go do szpitala, nie dał znaku życia. Amelia podeszła do niego i z bliska uważnie wpatrywała się w nieruchomą twarz.

- Przekłete motory - westchnęła. - Dwieście na godzinę, pęd powietrza, błyski świateł, a potem - żegnaj przygodo...

- Dobrze, że przynajmniej włożył kask. - Studentka przez chwilę manipulowała przy ustach pacjenta - W porządku. Zaintubowany.

- W jego sytuacji byłoby lepiej, gdyby zamiast kasku włożył zbroję. Dobrze, weźcie krew do analizy. Chcę mieć również badania toksykologiczne, bo zdaje się, że nasz pacjent wracał z jakiejś imprezy. Śmierdzi w każdym razie jak puszka po piwie - mówiła Amelia, nie przerywając badania. Poprawiła oku-

lary ochronne, które cały czas zjeżdżały jej z nosa, i zabrała się do szczegółowego oglądania zranionej nogi.

Niestety, rana wyglądała paskudnie. Podudzie było głęboko rozcięte od kostki aż do kolana, a między mięśniami jak na dłoni widać było złamaną kość.

- Trzeba to jakoś zabezpieczyć - mruknęła pod nosem. Właśnie na tym polegała jej praca. Przygotować pacjenta do operacji. Szybko, sprawnie i fachowo.

W sąsiadującym z izbą przyjęć pokoju zabiegowym rozpaczała młoda dziewczyna. Zanosząc się od płaczu, głosem tak przenikliwym, że mógł rozsadzić bębunki, bezustannie wzywała jakiegoś Johnny'ego. Amelia widywała tu bardziej dramatyczne sceny, lecz mimo to zainteresowało ją, kogo tak rozpaczliwie opłakuje ta nieszczęśliwa istota.

- Czy to właśnie jest Johnny? - spytała, wskazując na swojego pacjenta.

- Tak. Johnny Peterski, lat dwadzieścia dwa - poinformował ją ktoś z personelu.

- Dobrze. W takim razie musimy zrobić wszystko, żeby Johnny zatańczył na swoich następnych urodzinach. Lynn, zadzwoń na ortopedię i powiedz, że mamy dla nich zadanie specjalne. A ty, Kate, zastąp mnie tu na chwilę. Spróbuję jakoś uspokoić tę histeryczkę, bo żyć nam nie da - powiedziała, po czym szybko ruszyła w stronę przeszklonych drzwi, ściągając po drodze pokrwawiony fartuch i rękawiczki.

- I co my tu mamy? - zapytała lekarza, który próbował uciszyć zrozpaczoną dziewczynę.

- Liczne stłuczenia i skaleczenia. Nic więcej nie wiemy, bo jeszcze nie ma zdjęć. Ale i bez nich wiadomo, że ma wybity bark - objaśniał młody stażysta, próbując przekrzyczeć rozdzierające krzyki.

- Wie pan, jak ona się nazywa?

- Tina Bell.

- Tina - mruknęła Amelia do siebie, po czym podeszła

do dziewczyny i nachylając się nad nią, powiedziała stanowczym głosem: - Tino, proszę się uspokoić. Inaczej nie będzie pani mogła nam pomóc, a bardzo tego potrzebujemy.

- Ale Johnny! Johnny nie żyje!

- Żyje! - Amelia nawet nie jęknęła, kiedy dziewczyna mocno chwyciła ją za ramię i ścisnęła z całych sił. - Powtarzam ci, że żyje. W tej chwili zabieramy go na blok operacyjny. A tam zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby go jakoś poskładać.

- Boże, on jest ranny. Naprawdę poważnie ranny!

- Jest ranny, ale go uratujemy. Dlatego musi pani nam pomóc. Niech mi pani powie, ile Johnny wypił. I co to było.

- Parę piw - jęknęła Tina i rękawem bluzy otarła brudną twarz. - Johnny...!

- Parę, to znaczy ile? Niech pani sobie przypomni. To naprawdę bardzo ważne.

- Jakies sześć albo siedem. Nie mam pojęcia. Nikt przecież nie liczył.

- Aha - Amelia spokojnie skinęła głową - a narkotyki? Braliście coś? Tylko proszę mówić prawdę!

- Wypaliliśmy trochę marihuany. Tylko trochę. Johnny!

Branson Maguire obserwował przez olbrzymią szklaną ścianę akcję reanimacyjną. To, co widział, przypominało mu trochę balet. Po zalanej jaskrawym światłem scenie poruszał się idealnie zgrany zespół. Każdy z występujących doskonale wiedział, co i kiedy powinien zrobić. Wszyscy mieli na sobie identyczne kostiumy, w których wyglądali trochę jak przybysze z obcej planety. W samym centrum, w najostrzejszym świetle ogromnych lamp, stała primabalerina - delikatna blondynka, która kierowała poczynaniami całego zespołu.

Tę wdzięczną, kruchą postać chyba tylko przez pomyłkę ubrano w wyjątkowo mało twarzowy strój, złożony z czepka w kolorze chirurgicznej zieleni i przezroczyściego plastikowego

fartucha. Na dodatek jej twarz była w połowie zasłonięta przez plastikowe okulary ochronne. Te właśnie okulary sprawiły, że Branson zapragnął nagle zobaczyć, jaki też kolor mają ukryte pod nimi oczy. Tylko one były dla niego niewiadomą, bo poza tym doskonale wiedział, jak wygląda doktor Amelia Blade, dziedziczka ogromnej fortuny, a zarazem wschodząca gwiazda amerykańskiej medycyny.

Branson znał również sporo szczegółów z życiorysu tej kobiety. Nie było więc dla niego tajemnicą, kim są rodzice Amelii. Słyszał o jej ojcu, utracjuszu i hazardziście, który szczycił się tym, że jest półkrwi Indianinem z plemienia Komanczów. Matka doktor Blade miała bardziej imponującą genealogię - należała do trzęsącego całym Bostonem klanu MacGregorów.

O tej niezwykłej rodzinie często mówiono i pisano. Ponieważ Amelia Blade należała do potężnego klanu, jej twarz była dobrem publicznym, dostępnym dla każdego. Uśmiechała się z okładek brukowców, pojawiała na łamach szanowanych gazet, migiała w telewizyjnych programach. Podczas prezydenckiej kampanii Alana MacGregora oraz w ciągu ośmiu lat, które spędził jako główny lokator Białego Domu, media bezustannie polowały na członków jego rodziny. Również siostrzenica prezydenta była łakomym kąskiem dla spragnionych sensacji pis-maków.

Ostatnio Branson widział podobiznę Amelii w zupełnie innym miejscu. Jej zdjęcie, oprawione w srebrną rzeźbioną ramkę, stało pośród mnóstwa innych fotografii na masywnej komodzie w gabinecie starego Daniela MacGregora, seniora rodu i twórcy potęgi rodzinnego klanu.

Mimo że uważał się za niezłego obserwatora, tym razem musiał przyznać, że zawiodła go intuicja. Kiedy patrzył na Amelię przez szybę, wydawało mu się, że to zupełnie inna osoba niż ta, której podobiznę oglądał setki razy na zdjęciu. Była dużo drobniejsza i bardziej delikatna niż się spodziewał. Do tego jeszcze ten szpitalny uniform, który nie dość, że nie

dodawał jej uroku, to jeszcze nakazywał szczególny szacunek dla osoby, która na co dzień ratuje ludzkie życie. Jednak nawet ten specyficzny strój nie był w stanie zamaskować gracji i lekkości, z jaką poruszała się młoda pani doktor. Jej pewne ruchy miały w sobie wdzięk połączony z niesłychaną precyzją, charakterystyczną dla zawodowych tancerek. Spod zielonego czepka wymykały się pasemka krótkich, po chłopcemu przyściętych włosów, które w świetle jarzeniówek połyskiwały na przemian to rudawo, to złoto.

Długo stał wpatrzony w nią i w zupełnie obcy świat za gigantyczną szybą. Lubił obserwować ludzi, zresztą niczego nie potrafił robić równie dobrze.

Gdy zaś tak na nią patrzył, Amelia uniosła nagle oczy, jakby uwierało ją czyjeś zbyt natarczywe spojrzenie, i wtedy ujrzała w szybie postawną, ciemną sylwetkę. Ciemnoblond włosy opadały na kołnierzyk granatowej bluzy, szare oczy śledziły uważnie wszystko, co dzieje się dokoła. Twarz poważna, usta nie skore do śmiechu - w człowieku za szybą było coś, co nie pozwalało go zignorować i obojętnie przejść do porządku dziennego nad jego obecnością. Lecz Amelia nie miała teraz czasu, żeby zastanawiać się, kim jest ten mężczyzna i skąd wziął się na izbie przyjęć podczas ostrego dyżuru.

Przypomniała sobie o nim dopiero wtedy, gdy nieszczęsny motocyklista oraz jego przyjaciółka zostali zabrani na odpowiednie oddziały szpitala, a w pokojach zabiegowych na jeden cudowny moment zapanowała błoga cisza. Kiedy więc ucichł ruch przy windach, wolno opadła na okrytą zielonym płótnem szpitalną kozetkę i odruchowo spojrzała w kierunku przeszklonego korytarza. Wtedy zobaczyła go po raz drugi.

Stał niczym posąg cały czas w tym samym miejscu i nie spuszczał z niej wzroku, a poruszył się dopiero wtedy, kiedy ponownie wychodziła z izby przyjęć. Łagodnie, acz w sposób zdecydowany, zastąpił jej drogę, zmuszając, żeby zatrzymała się tuż przed nim.

- Doktor Blade? - zapytał. - Amelia Blade?
- Zgadza się. Czy mogę panu w czymś pomóc?
- Tak, nawet bardzo. Nazywam się Branson Maguire.
- Miło mi... - Potrząsnęła mocną dłonią, którą jej podał,

a w duchu pomyślała sobie, że jego spojrzenie wcale nie jest tak chłodne i nieruchome, jak wydawało jej się na początku. Wręcz przeciwnie, zarówno szare oczy, jak i głęboki głos były ciepłe i przyjazne.

- Aj! - jęknął nagle, jakby coś go zabolalo.
- Coś się stało? - zaniepokoiła się odruchowo.
- Nie, nie, przepraszam, to głos mojej zranionej miłości własnej.

- Nie bardzo rozumiem - uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Oczywiście. Zdaje się, że nie ma pani zbyt wiele czasu na czytanie książek.

- Przykro mi, panie Maguire - westchnęła ciężko, modląc się w duchu, aby wreszcie puścił jej rękę i pozwolił odejść. Marzyła o tym, żeby gdzieś na chwilę usiąść i w spokoju wypić kubek mocnej kawy. Nie miała ochoty na rozmowę z podejrzany typem, który sprawiał na niej wrażenie nie do końca normalnego. Skąd się tu wziął, do licha?

- Co zaś do książek, to... - zaczął wesołym tonem, lecz nie pozwoliła mu dokończyć.

- Zaraz, zaraz - uniosła dłoń do skroni, usiłując sobie coś przypomnieć - detektyw Matt Scully z bostońskiej policji. Tak, teraz pamiętam! Oczywiście, że czytałam pana książki. Udała się panu postać Matta Scully'ego, panie Maguire.

- W takim razie mam za co dziękować mojemu detektywowi.

- Niestety, nie mam w tej chwili czasu na dyskusję o literaturze. Jak pan widzi, mamy tu niezłe urwanie głowy, więc jeśli pan pozwoli....

- Więc mają kolor lawendy.

- Słucham?

- Pani oczy. Kiedy patrzyłem, jak pani pracuje, zastanawiałem się, jakiego koloru są pani oczy. To ciekawe, że nie są niebieskie, ale mają odcień kwiatu lawendy.

- W prawie jazdy napisali: niebieskie. A teraz wybaczy pan, naprawdę bardzo się spieszę - rzuciła, po czym odwróciła się na pięcie, by jak najszybciej wrócić do swoich obowiązków. Ta dziwna rozmowa zaczynała działać jej na nerwy.

- Czy pani dyżur nie skończył się przypadkiem o drugiej? Teraz jest już prawie trzecia nad ranem, więc...

- Skąd pan wie, o której kończę dyżur? - zapytała ostrym tonem i spojrzała na niego podejrzliwie. Przez lata, które dzięki swojej sławnej rodzinie spędziła, będąc bezustannie w centrum uwagi, nauczyła się ostrożności. - No, słucham! - ponagliła.

- Zdaje się, że jestem nieproszonym gościem. Naprawdę nie spodziewała się pani mojej wizyty?

- A powinnam? - spytała, lecz w tym momencie dobiegł do niej hałas z korytarza. Szybko odwróciła głowę w stronę, z której dochodziły głośne pochlipywania i krzyki. To Tina, którą sanitariusz wiozł na wózku, cały czas rozpaczliwe wzywała Johnny'ego.

Na widok Amelii w dziewczynę wstąpiły nowe siły.

- Pani doktor! pani doktor! - wołała, wychylając się z wózka. - Niech mi pani powie, co z Johnnym! Chcę go zobaczyć! No, niech pan się zatrzyma! - wrzasnęła, kiedy sanitariusz próbował wjechać z nią do windy.

Amelia nawet nie spojrzała w kierunku zagadkowego rozmówcy. Energicznie podeszła do histeryzującej Tyny i zaczęła z nią rozmawiać. Branson nie mógł dosłyszeć słów, ale zastanowił go ton głosu Amelii, który w jednej chwili z dość nieprzyjaznego, by nie powiedzieć lodowatego, zmienił się w ciepły i kojący. Pod wpływem tej szeptanej rozmowy młoda kobieta na wózku uspokoiła się i choć nie przestała płakać, z uwagą słuchała Amelii, a potem zgodnie kiwnęła głową.

- Co za ludzkie podejście do pacjenta, pani doktor - powiedział żartobliwym tonem Branson, kiedy podeszła do niego ponownie.

- Mówił pan, że powinnam wiedzieć o tym, że pan tu się zjawi. Jak mam to rozumieć?

- Pani dziadek obiecał mi, że jakoś zaaranżuje nasze spotkanie.

- Dziadek miał zaaranżować nasze spotkanie? - powtórzyła zdumiona, czując jednocześnie, jak ogarnia ją fala przytłaczającego znużenia. - Naprawdę nie wiem, o czym pan mówi. I pewnie niewiele zrozumieję, dopóki nie napiję się kawy. Proszę iść za mną.

Zwinnie obróciła się w miejscu i prawie truchtem ruszyła w stronę długiego korytarza. Plastikowy fartuch fruwał za nią niczym przezroczyste skrzydła, przez co Branson miał wrażenie, że idąca przed nim kobieta nie dotyka stopami burej szpitalnej podłogi, lecz unosi się nad nią niczym anioł. W milczeniu podążał jej śladem, po drodze obserwując jej królestwo. Uważne szare oczy wnikliwie badały każdy szczegół, a fotograficzna pamięć na zawsze zapisywała je w pamięci - sprane kolory, tanie sprząty, odrapane szafki, głośny warkot wielkich chłodziarek i przykry zapach nieświeżej kawy, który powitał ich w progu szpitalnej kafeterii.

- Jak tu przytulnie - odezwał się z ironią, gdy zaprosiła go do środka.

- Chce pan kawy?

- Tak, poproszę czarną.

Amelia podeszła do ekspresu i szybko napełniła dwa plastikowe kubeczki. Ponieważ doskonale знаła smak paskudnej lury, którą tu serwowano, do swojego dosypała łyżeczkę cukru, jakby mogło to w coś pomóc. Ustawiła kubki na małej tacy i wróciła do stolika.

- Cóż za aromat... - Branson najpierw powąchał czarny płyn, następnie ostrożnie wziął mały łyk, po czym pospiesznie

odstawił kubek. - Dobrze, że jesteśmy w szpitalu. Robicie tu płukanie żołądka?

- Jasne. To mój ulubiony zabieg. - Amelia poprawiła się na krześle. Przez chwilę całą jej uwagę pochłaniało ruszanie palcami stóp, które widocznie rozboleły ją od całonocnego biegania, mimo że miała wygodne buty na płaskim obcasie. - No dobrze, panie Maguire - odezwała się wreszcie - niech pan mi powie...

- Branson - przerwał jej szybko - a właściwie Bran.

- Więc dobrze. Bran, posłuchaj. Obawiam się, że mój dziadek niepotrzebnie wprowadził cię w błąd. Niestety, on jest trochę... no cóż, jest, jaki jest i nic na to nie poradzę.

- Twój dziadek jest najbardziej niezwykłym człowiekiem, jakiego spotkałem.

- To prawda, jest niezwykły. A prócz tego wyjątkowo uparty i niezwykle pomysłowy. W dodatku nie przebiera w środkach, żeby osiągnąć swoje cele. - Spojrzała na Bransona i na moment zawahała się. - Nie wątpię, że ciekawy z ciebie człowiek, Bran. Podoba mi się to, co piszesz, ale naprawdę nie jestem zainteresowana.

- O kurcze! - Z obrzydzeniem przełknął następny łyk. - Czym?

- Zaaranżowanymi spotkaniami. - Amelia przesunęła ręką po włosach gestem, w którym widać było zmęczenie. - Dziadek ciągle mi zarzuca, że za mało czasu poświęcam na życie towarzyskie. Ale to nieprawda. Po prostu nie mogę sobie pozwolić na ciągłe wychodzenie z domu i imprezowanie w nocnych klubach. To mi się zwyczajnie nie opłaca. Randki zajmują pierwsze miejsce na liście spraw, które mogą poczekać. Niestety, dziadek jakoś nie może tego zrozumieć i ciągle zwraca mi głowę.

- Naprawdę? - Branson wygodniej oparł plecy i przez chwilę przypatrywał się uważnie fioletowym cieniom pod oczami Amelii. To zastanawiające, myślał, że zamiast ją szpecić,

jeszcze dodają jej uroku. Może dlatego, że wyjątkowo harmonizują z barwą tęczy. - A dlaczego to randki zajmują taką niską pozycję w pani rankingu rzeczy ważnych? - zapytał zaintrygowany.

- Z prostej przyczyny. Jestem w trakcie robienia specjalizacji z chirurgii, a to wymaga czasu. Nie mogę go tracić na przyjemności. A poza tym nie mam zwyczaju spotykać się z mężczyznami, których wybierze dla mnie mój dziadek. Mówiąc szczerze, jestem zaskoczona, bo nie wyglądasz na faceta, który musi korzystać z pomocy przeszło dziewięćdziesięcioletniego starca, żeby umówić się z kobietą na rendez-vous.

- Zdaje się, że powiedziałaś mi komplement - stwierdził Branson po chwili milczenia. - Tak, to musiał być komplement. Dziękuję. - Popatrzył na nią z lekkim, trochę złośliwym uśmiechem, a potem dodał: - Ja też będę z tobą szczerzy. Nie miałem najmniejszego zamiaru umawiać się z tobą na randkę, ale w tej sytuacji chyba będę musiał. Oczywiście wyłącznie z męskiej próżności.

- Nie przyszedłeś tutaj z polecenia dziadka?

- Oczywiście, że nie.

- W takim razie co tutaj robisz?

- Prowadzę badania

- Słucham?

- Zbieram materiały, a przynajmniej z takim zamiarem tu szedłem. Przymierzam się do napisania nowej książki. Akcja ma się rozgrywać w środowisku medycznym, więc najpierw chciałbym poznać wasze życie i obyczaje. Muszę wiedzieć, jak z bliska wygląda szpital, jak się tutaj pracuje, jakim językiem mówią do siebie lekarze. Po prostu chcę uchwycić atmosferę. Daniel, twój dziadek, powiedział mi, że chętnie mi pomożesz...

- Naprawdę?

- Tak. Mówił, że pozwolisz mi trochę pokręcić się po korytarzach i poprzyglądać, jak pracujesz. Miałem zamiar zapytać cię o tysiąc najróżniejszych rzeczy.

- Rozumiem. - Wolno odchyliła głowę i położyła ją na oparciu krzesła. Długo wpatrywała się w sufit, nim wreszcie otworzyła usta. - Prawdę mówiąc, to wyjątkowo głupia sytuacja.

- Nie mów tak. Mi się podoba. A może jesteś jednak rozczarowana, że mam wobec ciebie takie mało romantyczne zamiary? Nie ma sprawy. Chcesz, to wyjdziemy stąd natychmiast. Najpierw napijemy się porządnej kawy, potem będziemy się kochać, weźmiemy ślub, będziemy mieli troje dzieci, ogromny dom i brzydkiego psa. Co ty na to?

- Raczej dziękuję.

- Dobra, rozumiem, że nie masz już ochoty na kawę. Co do reszty, będę elastyczny. No, może z jednym wyjątkiem. Nie zamierzam czekać z seksem aż do ślubu. W tej kwestii będę nieugięty.

Amelia nie mogła dłużej utrzymywać powagi. Najpierw roześmiała się szczerze, lecz zaraz potem zerknęła na niego nieufnie i spytała, robiąc kwaśną minę:

- Próbujesz mnie pocieszyć czy chcesz, żeby zrobiło mi się jeszcze bardziej głupio?

- Jedno i drugie - odparł rozbawiony. - Amelio, jesteś piękna! Zapamiętaj moje słowa, bo jeśli zdecyduję się „uderzyć” do ciebie, nie chcę, żebyś myślała, że robię to pod wpływem twojego dziadka.

Uśmiech na jej twarzy nabrał nagle ostrego, jakby drwiącego wyrazu.

- Faceci, którzy próbują do mnie „uderzać”, często potrzebują potem pomocy lekarza. Zapamiętaj moje słowa, bo nie chcę, żebyś miał kłopoty. W każdym razie, jeśli mimo wszystko zdecydujesz się „uderzać”, wykup przedtem porządne ubezpieczenie.

- No już dobrze. - Popatrzył na nią wzrokiem, który, zdaje się, miał ją udobruchać. - W takim razie co powiesz na to, żebym został twoim stażystą? Przez kilka tygodni pokręcę się

koło ciebie na ostrych dyżurach, będę wszędzie wtykał swój nos i zamęczał cię pytaniami. Oczywiście tylko wtedy, kiedy będziesz miała chwilę czasu. Liczę na to, że dzięki twojej pomocy moja powieść nabierze rumieńców. Bardzo zależy mi na tym, żeby to, co napiszę, nie było wymyślone i sztuczne. Ma brzmieć wiarygodnie nawet dla lekarza. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Rozumiała, ale w tej chwili mało ją obchodziły książkowe historyjki. Była tak zmęczona, że z trudem udawało jej się zebrać myśli. Marzyła, żeby znaleźć się w swojej sypialni, przytulić do miękkiej poduszki i zamknąć piekące z niewyspania oczy.

- Amelio, dlaczego nic nie mówisz? Nie zgadzasz się?

- Zgadzam. Oglądaj sobie, co chcesz. Nawet jeśli powiem nie, i tak możesz z łatwością to obejść. Bez trudu załatwisz wszystko za moimi plecami, znam takich. W pewnym sensie już to zresztą zrobiłeś. Nie powiesz mi, że nie wiedziałeś, jakie wpływy ma mój dziadek w tym szpitalu.

- Jeśli moja obecność będzie ci przeszkadzała, albo jeśli po prostu nie masz czasu ani ochoty, żeby mi pomóc, powiedz to wprost. W Bostonie jest mnóstwo szpitali, więc bez problemu znajdę jakiś inny.

- Przepraszam, nie chciałam być nieuprzejma. Po prostu jestem już strasznie zmęczona, stąd to rozdrażnienie.

Potarła dłońmi skronie i teraz ona spojrzała na niego przepaszającym wzrokiem. W końcu Branson Maguire nie musiał wiedzieć, że właśnie dzisiaj na izbie przyjęć rozpęta się prawdziwe piekło.

- Chętnie pomogę ci w zbieraniu materiału do książki - powiedziała. - Możesz przychodzić na dyżury i patrzeć, jak pracujemy, oczywiście pod warunkiem, że nie będziesz nikomu przeszkadzał. Ostry dyżur to nie zabawa. Obiecuję też, że odpowiem na twoje pytania, rzecz jasna w wolnej chwili. To samo zrobi personel.

- Doskonale, przyjmuję twoje warunki. Mam tylko jedno pytanie.

- Słucham?

- Czy jeśli w dowód wdzięczności za pomoc, zaproszę cię kiedyś na kolację, to naprawdę rzucisz się na mnie z piętami?

- Spróbuję się powstrzymać. Poza tym w ciągu najbliższych trzech tygodni co noc mara dyżur, więc możesz czuć się bezpiecznie.

- Oj, nie wiem. Bardzo lubię nocne życie. Jestem typowym nocnym markiem. Amelio? Czy ty przypadkiem nie zasypiasz?

- Spojrzał na jej bladą twarz i nagle poczuł wielką ochotę, aby przytulić ją do siebie i czuwać, kiedy będzie spała na jego kolanach. - Może chcesz, żebym odwiózł cię do domu?

- - Dziękuję, mam swój samochód.

- Wiem, ale powiedz mi - przechylił głowę i uśmiechnął się przekornie - ilu pechowców, którzy zasnęli za kierownicą, trafiło w twoje troskliwe ręce?

- Dobre pytanie. Będę spała tutaj.

- Jak pani sobie życzy. - Wstał z krzesła i popatrzył z góry na jej drobną sylwetkę. Rzeczywiście padała z nóg. Ciężkie powieki prawie całkiem przysłoniły oczy, pod którymi widać było wyraźne sine obwódki. - Niech pani na siebie uważa, pani doktor. Zobaczymy się jutro.

Ruszył do wyjścia, ale widocznie coś mu się przypomniało, bo nagle zatrzymał się w pół kroku.

- Byłbym zapomniiał. Właśnie niedawno wykupiłem sobie pełne ubezpieczenie medyczne - rzucił przez ramię, po czym wyszedł na korytarz.

Była trzecia nad ranem. Na izbie przyjęć zapanował niezwykły jak na tę porę spokój. Branson zatrzymał się na chwilę i uważnie rozejrzał dokoła. Rzut oka wystarczył, aby dokładnie zapamiętał, w którym miejscu znajduje się rejestracja i ile komputerów stoi na długim kontuarze. Gdy zrobił kilka kroków w stronę drzwi prowadzących na parking, jego uwagę przykuł

charakterystyczny skrzyp sportowych butów na szpitalnym linoleum. Również ten dźwięk został natychmiast wprowadzony do „bazy danych”.

Listopadowy wiatr owiał go, jeszcze nim zdążył przestąpić próg. Lodowaty podmuch zwał mu włosy na oczy i przez chwilę Branson nie mógł trafić do zamka kluczami od samochodu. Właśnie wtedy przebiegło mu przez myśl, że zapomniał powiedzieć Amelii o jeszcze jednym swoim spostrzeżeniu. Facet, który spróbowałby uwieść nieprzystępną Amelię, musiałby być niepoprawnym marzycielem albo kompletnym idiotą. A Branson Maguire, nieodrodny syn Meg, z całą pewnością idiotą nie był.

- Tak, tak, moja ty doktor Quinn - mruknął cicho pod nosem, po czym wskoczył do samochodu i wygodnie rozsiadł się za kierownicą. Przekręcił kluczyk i przez moment z przyjemnością wsłuchiwał się w basowy warkot silnika. Uwielbiał ten charakterystyczny pomruk, jaki wydają dobrze wyregulowane i podrasowane silniki. Mając wciąż w pamięci twarz Amelii, ostro ruszył z parkingu.

Z samochodowych głośników popłynęły pierwsze takty uwertury Verdiego. Za oknem migwały światła opustoszałych ulic Bostonu, a on, nucąc cicho znajomą melodię, pisał już w myślach scenariusz, jakiego nie powstydziliby się sam Daniel MacGregor.

Rozdział dwunasty

Kiedy Amelia dotarła do domu w Back Bay, było już dobrze po dziesiątej rano. Na dworze siał drobny, lodowaty deszcz. Listopadowy dzień zapowiadał się paskudnie, przez co z jeszcze większą rozkoszą pomyślała o ciepłym łóżku, do którego za chwilę miała zamiar wskoczyć.

W korytarzu domu, który dzieliła z kuzynką, powitała ją błoga cisza. Nikt nie wyszedł ani nie zawołał „kto tam?“, zresztą nie spodziewała się żadnego powitania. O tej porze Julia rzadko bywała w domu. Zwykle już od rana ganiała po mieście i spotykała się z klientami swojej agencji nieruchomości. Laura, trzecia z kuzynek, wyprowadziła się z Back Bay zaraz po ślubie z Roysem Cameronem i miała teraz własny dom. Choć było to ładnych parę miesięcy temu, Amelia wciąż tęskniła za swoją stryjeczną siostrą. W końcu przez całe lata były nierozłączne, mieszkały we trzy, począwszy od pierwszego roku studiów i bardzo żyły się ze sobą.

Amelia nie miała wątpliwości, że Laura jest szczęśliwą mężatką, i z całego serca życzyła siostrze jak najlepiej, ale bardzo brakowało jej tych chwil, które spędzały razem. Dom bez Laury stał się cichy, coraz rzadziej było w nim słyszeć wesołe rozmowy, nie było przekomarzania się i awantur. Najbardziej jednak szkoda jej było długich rozmów, które często prowadziły ze sobą, oczywiście jeśli tylko udało im się jakimś cudem spotkać.

Odruchowo spojrzała na kręte schody i przez moment miała nieodparte wrażenie, że na ich szczycie pojawi się za chwilę Laura i jak zwykle zacznie stroić żarty w stylu: „będąc młodą

lekarką...". Oczywiście nic takiego się nie stało, więc Amelia westchnęła głęboko i zsunęła z ramion wełniany płaszcz, który miękko opadł na podłogę. Nie zadała sobie trudu, żeby go podnieść. Przeszła nad nim i powędrowała w stronę salonu. Miała przed sobą luksus wolnego popołudnia, które mogła spędzić w dowolnie wybrany sposób.

Zaczęła układać w głowie listę spraw, które wymagają natychmiastowego załatwienia, ale szybko dała spokój. Gorąca kąpiel z pianą - oto czego najbardziej jej było trzeba. Ale najpierw jakieś jedzonko, coś szybkiego i smacznego.

Zdecydowanym krokiem ruszyła do kuchni, modląc się w duchu, żeby lodówka nie okazała się pusta. Po drodze obracała głowę to w jedną, to w drugą stronę i masowała zboląły kark - wynik nocy spędzonej na szpitalnej kozetce. Jak tylko wróć do szpitala, myślała, od razu pójdę do fizykoterapeutów i poproszę, żeby mi porządnie wymasowali plecy. W głębi duszy powątpiewała jednak, czy znajdzie na to czas.

Słodki, delikatny zapach róż poczuła, jeszcze zanim zauważyła kwiaty. Były ich chyba ze trzy tuziny - pięknych, długich i białych jak śnieg, cudownie prezentujących się w kryształowym wazonie.

- Ta Julia to ma szczęście do facetów - cicho gwizdnęła przez zęby i schyliła się nad rozchylonymi pąkami.

Aromat był tak odurzający, że zapragnęła zanurzyć twarz w gęstwinie chłodnych, bladych płatków. Widocznie bukiet dostarczono niedawno, bo wyraźnie czuła na twarzy kojącą wilgoć drobniutkich kropelek rosy. Stała tak długo i ciągle było jej mało tej aromaterapii, która zadziwiająco skutecznie usuwała zmęczenie po pracowitej nocy. Pomyślała sobie, że ma zdecydowaną słabość do róż i że zazdrości Julii faceta, którego stać na takie gesty.

W końcu jednak zdrowe uczucie głodu wzięło górę nad potrzebą doznań estetycznych. Chcąc nie chcąc, oderwała nos od bukietu i poszła prosto do lodówki. Jeden rzut oko na za-

wartość potwierdził jej smutne przypuszczenia - wybór był raczej niewielki. Odkąd Laura wyprowadziła się z domu, zabrakło zaopatrzeniowca. Amelia przypomniała sobie, jak zawsze żartowały, że Julia nie je nigdy, Laura cały czas, a ona tylko wtedy, kiedy podstawia jej talerz pod nos. Bez większego entuzjazmu sięgnęła po jogurt i dla przyzwoitości zerknęła na datę przydatności do spożycia. Zignorowała fakt, że zgodnie z zaleceniami producenta zawartość opakowania już tydzień temu powinna znaleźć się w koszu, i rozerwała twardą tekturę.

Kiedy zamykała drzwi lodówki, dostrzegła przyklejony do nich list od Julii. Przez chwilę wpatrywała się w nakreślone zamasytym pismem litery. Nie bardzo miała ochotę na czytanie korespondencji, której treści mogła się jedynie domyślać: „zadzwoń do., skontaktuj się z... kup coś do....” i tym podobne. Mimo to nie byłaby sobą, czyli zawsze obowiązkową Amelią, gdyby nie przeczytała jednak kartki:

Amelio!

Co za różę! Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć? Nie daruję ci i o wszystko wypytam, jak tylko wrócę do domu. Masz wiadomości na sekretarce. Od dziadka. Ja o niczym nie wiem. I od jakiegoś Bransona z seksownym głosem. Czy to ten od róż? Jeśli wygląda tak, jak mówi, to gratuluję wyboru. Będę koło szóstej.

Buziaki!

Julka

Amelia najpierw tylko wzruszyła ramionami, ale już po chwili, zaintrygowana, jeszcze raz przeczytała kartkę. Kiedy w końcu treść dotarła do jej zmęczonego mózgu, wolno podszła do stołu, na którym stał wazon. Dopiero teraz zauważyła, że między kwiatami umieszczono małą kopertę. Długo przyglądała się białemu skrawkowi papieru zupełnie tak, jakby miała w oczach rentgen i mogła czytać bilecik bez otwierania.

Wreszcie z lekkim grymasem zniecierpliwienia sięgnęła po kopertę, rozerwała ją niecierpliwie i wyjęła ze środka mały liścik.

*Mam nadzieję, że ci się spodobają. Pasują do ciebie.
Z góry dziękuję za pomoc.*

Bran

Podniosła wzrok znad karteczki i znów spojrzała na kwiaty. Skłamałaby, mówiąc, że trzy tuziny białych róż, przysłane w samym środku deszczowego listopada, nie robią na niej wrażenia. Wprawdzie uważała taki gest za grubą przesadę, ale mimo wszystko, kiedy patrzyła na białe pąki, czuła, że robi jej się ciepło wokół serca.

Zdaje się, że będą musiała uważać na pana literata, westchnęła w duchu. Widocznie nie dotarło do niego, że nie mam czasu na głupoty. Oj, ten dziadek... Ciekawe, co tym razem knuje?

Podeszła do telefonu, nacisnęła przycisk automatycznej sekretarki i po chwili głęboką ciszę rozerwał tubalny głos Daniela MacGregora:

- Denerwują mnie te przekłete maszyny! Ludzie już w ogóle nie mają czasu, żeby rozmawiać, tylko trzeszczą do siebie z jakiejś durnej taśmy w telefonie! Dlaczego nigdy nie ma was w domu, co? Amelio, mam do ciebie sprawę. Spotkałem mojego znajomego. To przyzwoity młody chłopak, jest pisarzem. Wymyśla różne historyjki, mówią, że niegłupie. No, ale w końcu od tego jest Irlandczykiem. Podobno dobrze mu wychodzi zabijanie ludzi i ściganie zwyrodniałych morderców. Pomóż mu, wnuniu, bardzo cię proszę, zrób dziadkowi przysługę. Aha, jego matka chodziła do klasy razem z twoją mamą, więc nie można o nim powiedzieć, że to pierwszy lepszy gość z ulicy... Julio, rozmawiałem z twoim ojcem. Mówił mi, że znowu kupujesz jakiś dom. Powiedz mi, na co ci znowu ta rudera? Zresztą, sama wiesz, co robisz. Nie sądzicie, moje dro-

gie, że któraś z was mogłaby od czasu do czasu zadzwonić do babci? Ciagle się o was martwi! - Po tych słowach usłyszała trzask słuchawki, a potem urywany sygnał oznaczający, że połączenie zostało zerwane.

Cały dziadek, pomyślała ciepło Amelia. Pierwszy krzykacz w całym Bostonie. Ale ciekawe, czego naprawdę chce ode mnie detektyw Scully?

Zanim jednak odtworzyła wiadomość od Bransona, przez moment zastanowiła się nad tym, co powiedział dziadek. Z jego słów wynikało, że Maguire jest rzeczywiście tylko znajomym, na dodatek synem szkolnej koleżanki jej matki. Wyglądało na to, że w całej sprawie nie było żadnej intrygi, a więc nie musiała obawiać się natrętnych zalotów ze strony poleconego przez dziadka konkurenta. Uspokojona tą myślą, ponownie włączyła sekretarkę.

- Witaj, Amelio! - usłyszała. - Mówi Branson Maguire. Mam nadzieję, że mimo wszystko wyspałeś się i że lubisz białe róże. Dzwonię, bo chciałbym zająć ci godzinę w ciągu dnia. Gdybyś miała trochę czasu, moglibyśmy pójść gdzieś na lunch, bo mam już kilka „technicznych” pytań, które chciałbym ci zadać. Rozumiem, że jesteś zajęta, ale zadzwoń do mnie, jeśli znajdziesz wolną chwilę. Przez cały dzień powinienem być w domu. Jeśli się nie odezwiesz, zobaczymy się wieczorem w szpitalu.

Nawet nie zapisała numeru telefonu. Po prostu od razu go zapamiętała. Zamyślona sięgnęła po jogurt i wolno podniosła do ust srebrną łyżeczkę. Zarówno prośba Bransona, jak i rzeczowy ton głosu nie wzbudziły w niej podejrzeń. Zdaje się, że facet naprawdę chce poznać szpitalne życie, a ona zupełnie niepotrzebnie posądziła go od razu o Bóg wie jakie zamiary. W tej sytuacji znajdzie dla niego godzinę, o którą prosił, i spotka się z nim choćby po to, żeby przeprosić za swoje nieuprzejme zachowanie ubiegłej nocy.

Pełna najlepszych chęci, sięgnęła po telefon. Całe szczęście nie kazał jej długo czekać i odebrał już po trzecim dzwonku.

- Cześć, mówi Amelia Blade. Dziękuję za przepiękne róże.
- Nie ma za co. Mam nadzieję, że spełniły swoje zadanie.
- Nie rozumiem?
- Miały zauroczyć cię na tyle, żebyś zgodziła się poświęcić mi godzinę swego cennego czasu.

- Niestety muszę cię rozczarować. To nie róże wpłynęły na moją decyzję tylko wiadomość, którą nagrał mi dziadek. Nie wiedziałam, że nasze matki chodziły razem do szkoły.

- Nie do szkoły, tylko na uniwersytet. I to raptem parę semestrów. Potem moja matka wybrała projektowanie wnętrz, a twoja, o ile wiem, miała wiele różnych zainteresowań.

- Co zostało jej do dziś. Jak chcesz, możemy spotkać się o drugiej. Najlepiej gdzieś w śródmieściu. Mam tam parę spraw do załatwienia.

- O drugiej... - zastanawiał się przez chwilę, podziwiając w duchu jej spryt. Wybrała porę, gdy było już za późno na lunch, ale zdecydowanie za wcześnie na kolację. - Dobrze - odparł. - Spotkajmy się o drugiej w hotelu Boston Harbor. Podają tam niezłą herbatę.

- Wiem - uśmiechnęła się. A do tego pyszne ciastka, do dała w myślach, spoglądając niechętnie na swój jogurt. - W takim razie do zobaczenia o drugiej.

I tak Amelii zostało dla siebie znacznie mniej czasu niż wcześniej planowała. Niewiele myśląc, przystąpiła do metodycznej realizacji swoich planów. Przede wszystkim gorąca kąpiel. Odkręciła szybko kurki w łazience i podczas gdy wanna napełniała się wonną pianą, ona wyszukała na półce kryminał, którego autorem był Branson Maguire. Zabrała książkę ze sobą, zanurzyła się po szyję w wodzie i zaczęła przeglądać książkę z wielką uwagą.

Znała już treść, mogła więc spokojnie skupić się na stylu. Do spotkania z Bransonem chciała przygotować się równie sumiennie, jak do lekarskiego konsylium. Ilekroć miała wypowiadać się na temat jakiegoś pacjenta, najpierw starannie prze-

glądała kartę choroby i dokładnie studiowała przypadek, z którym miała do czynienia. Nawet w życiu prywatnym dokładnie analizowała gusty i upodobania osób, którym miała na przykład kupić prezent. Staranność, dokładność i precyzja były bowiem podstawowymi cechami jej charakteru i to właśnie dzięki nim zdobyła to, co chciała zdobyć - skończyła medycynę w połowę czasu przewidzianego regulaminem studiów i została najmłodszą stażystką w historii oddziału chirurgii bostońskiego szpitala.

Lata studiów wymagały wielu wyrzeczeń, ale ani przez moment nie wątpiła, że to, do czego dąży, warto jest poświęcić. Dopięta swego, niedawno zaczęła drugi stopień specjalizacji i nikt nie mógł jej zarzucić, że brakuje jej wiedzy i kompetencji, a na odział wkreśliła się dzięki protekcji wpływowej rodziny. Oczywiście to, że należała do znanego w całym Bostonie klanu, nie było bez wpływu na jej pozycję zawodową. Rodzina zawsze wspierała ją i pomagała osiągnąć cel, ale nie odbywało się to poprzez wykorzystywanie licznych kontaktów. Amelią kierowała przede wszystkim chęć zdobywania wiedzy, a medycyna była jej prawdziwą i - całe szczęście - odwzajemnioną miłością.

Zjawiła się w hotelu dokładnie w chwili, gdy wielki ścienny zegar wybił godzinę drugą. Dzięki wrodzonej punktualności nie spóźniała się nigdy i nigdzie. Właśnie tę cechę jej charakteru Julia uważała za najbardziej irytującą, ale Amelia niewiele sobie robiła z docinków kuzynki.

Ponieważ wiedziała z doświadczenia, że w swojej dbałości o przychodzenie na czas jest raczej odosobniona, nie spodziewała się od razu spotkać Bransona Maguire'a. Dlatego też zaczęła spokojnie przechadzać się po eleganckim lobby i po raz nie wiadomo który zachwyciła się bogatą ornamentacją ścian oraz przepychem wytwornego wnętrza. Lubiła atmosferę tego hotelu, choć dla wielu był on symbolem snobizmu w najczystszej postaci. Jednak blask kryształowych żyrandoli i cicha

muzyka, która brzmiała wśród marmurowych kolumn, powodowały, że miał on nieodparty czar i urok.

Podobne myśli pojawiły się w głowie Bransona, tyle że nie dotyczyły wystroju wnętrza eleganckiego hotelu. Te dwa proste słowa - czar i urok - w najlepszy sposób oddawały to, co przychodziło mu na myśl, gdy patrzył na Amelię, w skupieniu oglądającą kompozycję z egzotycznych kwiatów.

Przez krótką chwilę stał przy windach i z daleka wnikliwie studiował każdy szczegół jej sylwetki. Wyglądała jak córka bogatego tatusia, która zamiast na popołudniowe wykłady, wybrała się do miasta, żeby spotkać się z przyjaciółmi. Miała na sobie bardzo prosty szary garnitur i czarny krótki płaszczyk, który nonszalancko przerzuciła przez ramię. W jej oszczędnym stroju nie było żadnej kokieterii ani zalotności, za to była widoczna już na pierwszy rzut oka duża klasa. Choć ze swego miejsca nie widział dokładnie wyrazu jej twarzy, sprawiała wrażenie rzeźkiej i wypoczętej. I wcale nie była tak drobna i niepozorna, jak wydawało mu się ubiegłej nocy w szpitalu.

- Co za punktualność! - powiedział, stając tuż za jej plecami.

- Są tacy, którym to działa na nerwy. - Odwróciła się z uprzejmym uśmiechem.

- Ale nie mnie. Uwielbiam punktualne kobiety, a sama przyznasz, że to ginący gatunek. Po co tracić czas na czekanie, skoro można go spędzić w przyjemny sposób? - Wprowadził ją do windy, a gdy zasunęły się drzwi, dodał: - Wyglądasz wspaniale, Amelio. Zdaje się, że jednak skorzystałaś z mojej rady i poszłaś spać.

- To prawda. Teraz jednak chciałabym wiedzieć, dokąd jedziemy.

- Do mojego pokoju.

- O...

- Dlaczego „o”?

- Jestem zaskoczona.

- Ja też - odparł z uśmiechem. - Myślałem, że zapytasz o to wcześniej, zanim wsiądziemy do widy. Dorosłe kobiety nie powinny być naiwne i łatwowierne, bo ktoś może spróbować to wykorzystać. Spokojnie - nie pozwolił jej dojść do głosu - zamówiłem dla nas herbatę, posiedzimy sobie w salonie i pogadamy. Tam będzie mi wygodniej robić notatki - dodał tonem usprawiedliwienia. - Nie będzie kręcących się kelnerów, pokojówek z odkurzaczem, dawno nie widzianych znajomych. Przysięgam, że nie mam żadnych niecznych zamiarów.

- No dobrze. Jestem tak głodna, że właściwie jest mi wszystko jedno, gdzie będę, byle tylko dali mi coś do jedzenia. A zdziwiłam się, bo myślałam, że jesteś z Bostonu.

- Jestem.

- To po co ci pokój w hotelu?

- Głupi dziennikarze wypisują, że to wybrzyk ekscentrycznego pisarza. Uwierz mi, że mieszkam tutaj ze względów czysto praktycznych. Hotel to nic innego jak luksusowy budynek mieszkalny z całodobową pełną obsługą, za to bez męczących sąsiadów, których człowiek musi spotykać każdego dnia. - Przerwał nagle swój wywód i spojrzał na nią zaskoczony. - Mój Boże, pierwszy raz widzę twój olśniewający uśmiech. Mogę wiedzieć, czemu zawdzięczam tę przyjemność?

- Przypomniały mi się opowieści moich rodziców. Często wspominają, jak to przed urodzeniem mojego starszego brata ciągle mieszkali w hotelach. Zresztą do tej pory lubią od czasu do czasu wynająć sobie jakiś pokój. Obydwaj moi bracia mieszkają w hotelach, a moja siostra, Alison, pewnie zrobiłaby to samo, ale jest jeszcze za młoda na takie historie. Nie chcę cię więc martwić, ale w hotelach mieszkają nie tylko ekscentryczni pisarze młodego pokolenia.

- No tak, zapomniałem, że również potomkowie zamożnych rodzin gustują w zbyt kosztownych wnętrzach najlepszych hoteli w Las Vegas, Atlancie, Nowym Orleanie, Europie, i tak

dalej, i tak dalej... Sporo mnie, uczciwego podatnika, kosztują te wasze przyjemności!

- Uwierz mi, że nic nie sprawia nam takiej przyjemności, jak przepuszczanie twoich ciężko zarobionych pieniędzy!

Kiedy na moment zatrzymali się przed drzwiami pokoju, zapadła między nimi cisza. Również w milczeniu weszli do środka i dopiero kiedy znaleźli się w przyjemnie urządzonym saloniku, Amelia przerwała milczenie, które zaczynało ją krępować:

- Miły kąć do pracy - zauważyła, spoglądając na biurko, gdzie obok przenośnego komputera i dużego monitora walał się cały stos książek, gazet i czasopism. - Rzeczywiście jest tu bardzo spokojnie.

- Na razie nie narzekam, ale pewnie nie zagrzeję tu długo miejsca. Od czasu do czasu nachodzi mnie myśl, żeby kupić sobie wreszcie jakiś dom

- Dom?

- Tak. Wiesz, o co chodzi. Takie marzenie każdego szarego człowieka - mieć własny ogródek, regularnie kosić trawnik, co jakiś czas pomalować płot.

- Dlaczego więc nie kupujesz?

- Bo zwykle, kiedy mnie najdą takie myśli, siadam sobie i spokojnie czekam, aż mi przejdzie.

- I przechodzi?

- Najczęściej tak. Ale wiem, że pewnego dnia w końcu to zrobię.

- Jak już będziesz zdecydowany, zadzwoń do mojej kuzynki Julii. Zna się na tych sprawach lepiej niż ktokolwiek inny w tym mieście.

- Ach, słynna Ruda Julka.

- Skąd wiesz? - spytała zaskoczona - A, prawda. Brukowce. Pamiętam, że kiedy mój wuj był prezydentem, żadna z nas nie miała łatwego życia. Całe szczęście Julii nawet w dzieciństwie nie brakowało poczucia humoru.

- Ale chyba nie powiesz mi, że dzieciństwo spędzone w Białym Domu nie było niezłą zabawą. Zresztą wiem, że masz całkiem przyjemną rodzinę. Ktoś tam jest artystą, inny znowu prawnikiem. Czy przypadkiem jakiś czas temu jedna z twoich kuzynek nie wzięła ślubu? Pamiętam, że odbyło się to z wielką pompą.

- Zdaje się, że mieliśmy rozmawiać o twojej księżce, a nie o mojej rodzinie.

- Po prostu staram się zabawić cię rozmową - stwierdził. Jednocześnie zanotował w pamięci, że pani doktor nie bardzo lubi rozmawiać o klanie MacGregorów. - Poza tym twój dziadek jest niezłym gawędziarzem. Naopowiadał mi tyle o swoich dzieciach i wnukach, że mam wrażenie, jakbym się z wami wszystkim wychował. Jest chyba z ciebie bardzo dumny.

- Tak - uśmiechnęła się i na moment z jej oczu zniknął wyraz czujności. - Ale moja rodzina to drażliwy temat. Zawsze, kiedy ktoś próbuje nas oceniać, robię się trochę agresywna i przyjmuję postawę obronną. Tak już jest, nic na to nie poradzę.

- Zdaje się, że przyszło nasze zamówienie - powiedział Branson, gdy rozległo się pukanie. Po chwili kelner w białej marynarce wtoczył do pokoju mały wózek z zastawą do herbaty. Branson wymienił z nim kilka wesołych uwag na temat ostatniego meczu drużyny baseballowej, a potem dyskretnie wręczył mu napiwek. Kiedy drzwi zamknęły się cichutko, zakrzętała się wokół stolika. - Szampana? - zapytał.

- Nie, dziękuję.

- Szkoda. - Wzruszył ramionami i włożył mokrą butelkę z powrotem do wiaderka z lodem. - W takim razie musi poczekać na inną okazję. Może przynajmniej poczęstujesz się tym, co nam przywieźli. Mówiłaś, że jesteś bardzo głodna.

- A ty mówiłaś, że chcesz przedyskutować ze mną kilka medycznych zagadnień - zauważyła trzeźwo, starając się nie zerkać w stronę kuszących kanapeczek.

- No dobrze - westchnął głęboko i usiadł z talerzem w dłoni - powiem ci, co już mam. Otóż to będzie historia lekarza psychopaty. A mówiąc ściśle - lekarki.

- Piękny temat.

- Prawda? Doszedłem do wniosku, że w literaturze sensacyjnej jest zdecydowanie za mało wyrazistych postaci kobiet psychopatek. Więc wymyśliłem sobie, że stworzę historię opartą na schemacie: doktor Jekyll i mister Hyde. Oczywiście dołożę do tego coś swojego. A teraz najważniejsze. Wiesz, kto będzie dla mnie wzorem przy kreowaniu mojej postaci? Ty!

- Doprawdy?

- Tak, jesteś wręcz idealna! - ożywił się. - Masz wszystko, czego mi trzeba. Po pierwsze wygląd. I nie chodzi tylko o urodę, bardziej intryguje mnie twoja pozorna kruchość, która potrafiłaby zmylić każdego. Delikatna blondynka, drobna i filigranowa, lecz pod powłoką złudnej słabości czai się prawdziwy demon. Do tego wprost perfekcyjna w swojej pracy. Chłodna, opanowana, pewna swych racji profesjonalistka, która nigdy się nie myli. - Popatrzył na nią intensywnie spod przymkniętych powiek. - Wprawdzie najpierw myślałem, że zabójcza pani doktor powinna być wysoka, silną brunetką, ale teraz wiem, że kontrast doda wszystkiemu pikanterii. Naprawdę jesteś idealnym pierwowzorem.

- Psychopatki? - zapytała ostrożnie. Szybko jednak doszła do wniosku, że lepiej udawać zaszczyconą tym wyróżnieniem niż obrazić się i natychmiast wyjść z pokoju. W końcu nie każdemu jest dane zostać pierwowzorem postaci literackiej.

- Tak, uwierz mi! - zapewniał gorąco Branson, ale zaraz zapanował nieco nad swymi emocjami. - Mam nadzieję, że nie czujesz się dotknięta? - zapytał.

- Skąd! Bardzo mi pochlebia, że będę uosobieniem lekarza-mordercy, który jedną ręką leczy, a drugą zabija.

- Świetnie to ujęłaś! - zawołał i podniecony przysunął się bliżej ze swoim krzesłem. Widać było, że powoli daje się po-

nieść wizjom, które wyprodukowała jego wyobraźnia - Wyobraź sobie kobietę, która potrafi całkowicie kontrolować swoje emocje - mówił - która dokładnie wie, czego chce i do czego zmierza. Taka sytuacja bardzo jej odpowiada, czerpie z tego siłę. Niestety, jej chora psychika stale potrzebuje jakiejś podniety. W końcu znajduje ją, bawiąc się w Pana Boga. Do ekstazy doprowadza ją to, że życie ludzkie całkowicie leży w jej rękach. Ma moc przywracania zdrowia bądź odbierania życia, zależnie od nastroju. Oczywiście, jest szalona, ale jej szaleństwo nie jest banalne. Powiedz mi, Amelio, jeśli zrobię moją bohaterkę chirurgiem, jak będzie wyglądało jej życie? Pewnie będzie trochę starsza niż ty. No i nie będzie takim jak ty geniuszem...

- Nie jestem żadnym geniuszem. Skąd ci to przyszło do głowy? Po prostu szybko i chętnie się uczę.

- Amelio, nie żartuj. Skoro dostałaś się na medycynę na Harvardzie w takim wieku, że w większości stanów nie sprzedaliby ci butelki piwa, nie w mówisz mi, że nie jesteś genialna.

Na moment zrobił przerwę i w milczeniu pochłaniał kolejną kanapkę. Zaraz jednak znów był gotów do dalszego snucia swej opowieści.

- Na przykład bardzo chciałbym wiedzieć, czy kobieta chirurg żyje pod większą presją niż mężczyzna i czy oczekiwania wobec niej również są większe. W końcu chirurgia to męska dziedzina, taki klub tylko dla panów. Czy kobieta, która wdzie-
ra się na to terytorium, jest traktowana jak partner, czy jak wróg, którego się eliminuje z gry?

- Bardzo dobre pytanie.

- No właśnie. I jeszcze jedna sprawa. Jak radzisz sobie z kompleksami wobec Pana Boga? Skąd bierze się w tobie ta arogancja i pewność siebie, która pozwala ci zanurzyć ręce w trzewiach innego człowieka?

- Arogancja i pewność siebie?

- Tak, te cechy nosisz w sobie, choć może sama o tym

nie wiesz. Dostrzegłem je, kiedy patrzyłem, jak pracowałaś wczoraj na ostrym dyżurze. Chłodnym tonem wyrzucałaś z siebie polecenia i nawet do głowy ci nie przyszło, że ktoś mógłby ich nie wykonać. Wszystko musiało być zrobione natychmiast, bez dyskusji.

Przymknął oczy i pozwolił, aby umysł swobodnie wyświetlał obrazy, które zarejestrował poprzedniego dnia.

- Kiedy wchodziłaś do sali - mówił wolno - wszyscy natychmiast koncentrowali na tobie uwagę. W ogóle tego nie dostrzegałaś, bo dla ciebie kierowanie ludźmi to chleb powszedni. Wiadomo, mają słuchać i już. Chciałbym, żeby moja bohaterka miała w sobie taką władczość, pewność siebie. Chcę, żeby tak jak ty budziła respekt, żeby była zimną i opanowaną profesjonalistką. I chcę, żeby pod tą maską kryła się furia i frustracja, dokładnie taka, jaka czai się w tobie, Amelio.

- Masz na myśli to, co czuję w tej chwili, czy też generalizujesz? - zapytała zaczepnie, trochę zaskoczona stylem jego wynurzeń. W odpowiedzi najpierw się uśmiechnął, a potem ni z tego, ni z owego stwierdził:

- Podoba mi się twój głos. Jest nieco wyniosły, ale zarazem zmysłowy. Wracając jednak do naszej pani doktor, najbardziej interesuje mnie, skąd wzięły się w niej wszystkie negatywne uczucia, które w końcu popchnęły ją do zbrodni. Mam nadzieję usłyszeć od ciebie, jak zdolna, ambitna, a do tego fizycznie atrakcyjna kobieta radzi sobie z zaczepkami ze strony mężczyzn. Bo przecież jest jasne, że koledzy po fachu nie dają jej spokoju. Jedni czynią subtelne aluzje o wyraźnym erotycznym podtekście, inni wyrażają się jasno i dosadnie. Wyobrażam sobie, że jej chory umysł zmusza ją w końcu, żeby w akcie zemsty zaczęła okaleczać i unicestwiać mężczyzn, którzy są dla niej ucieleśnieniem zła i przemocy.

- Wiesz, że zaczynam lubić tę kobietę? - zauważyła z chłodnym uśmiechem.

- Świetnie! Chcę, żebyś ją lubiła! Chcę, żeby lubili ją czy-

telnicy, pomimo wszystkich okropnych zbrodni, które popełni. Ludzie czytający powieść muszą znaleźć w sobie współczucie dla tej silnej, ambitnej jednostki. Zresztą jej pierwsze ofiary będą bezwartościowymi, denerwującymi durniami, po których na pewno nikt nie będzie płakał. Sytuacja zmieni się dopiero wtedy, kiedy moja bohaterka wejdzie w magiczny krąg zbrodni, z którego nie będzie potrafiła się wydostać. Sama stanie się ofiarą ciemnych mocy, które w niej drzemią. Do tego dojdzie jeszcze fakt, że jako lekarz żyje w ciągłym napięciu, stale zмага się z sytuacjami, które wymagają niesłychanej siły charakteru. Jej pacjenci codziennie balansują na granicy życia i śmierci, a ona z całych sił walczy o to, żeby nie przeszli na stronę cienia. To powinno ostatecznie sprowokować czytelników, żeby nim zaczęła ją oceniać, ujrzeli w niej człowieka.

Amelia słuchała go uważnie, cały czas niezdecydowana, jak potraktować tę przedziwną nową znajomość. Musiała wyrobić sobie opinię na temat całej tej historii z pisaniem powieści, ale trudno było jej przyjąć określony punkt widzenia. Ostatecznie doszła do wniosku, że pomysł jest wart zachodu i że może poświęcić mu trochę uwagi. Postanowiła, że pod żadnym pozorem nie da się w to wciągnąć zbyt głęboko.

Wiedziała, że musi coś powiedzieć, więc żeby zyskać na czasie, sięgnęła po jedną z miniaturowych kanapeczek, które piętrzyły się na tacy. Dopiero kiedy ją przełknęła, zaryzykowała ostrożny komentarz:

- No cóż, przynajmniej w jednym masz stuprocentową rację. Napięcie, w jakim żyją chirurdzy, jest rzeczywiście ogromne. Wielu doskonałych fachowców rezygnuje z praktyki tylko dlatego, że nie potrafią poradzić sobie z tym obciążeniem. Praca w szpitalu to nie siedzenie na ciepłej posadce, ze sztywno ustalonymi godzinami urzędowania. Nie dość, że człowiek codziennie zмага się z własnym zmęczeniem spowodowanym długimi dyżurami, to jeszcze ciągle zwracają mu głowę cięciami w budżecie i całą tą beznadziejną szpitalną papierologią

i biurokracją. Na życie prywatne nie zostaje zbyt wiele czasu. Tak więc twoja psychopatka będzie musiała dobrze się nagimnastykować, żeby przeprowadzić swoje mordercze plany. Rozumiem, że będzie pracowała w którymś z dużych szpitali?

- Dobra uwaga. - Szybko sięgnął po notes i coś w nim zapisał. - Ile godzin w tygodniu pracujecie? Tak mniej więcej.

- Od czterdziestu do plus nieskończoności - prychnęła z ironią.

- Rozumiem. - Znowu coś szybko nabazgrał. Potem włożył na talerzyk gigantyczną ekierkę i podał jej z uśmiechem. - Zaczyna się robić ciekawie. Masz tu trochę kalorii, żebyś mi się za szybko nie wypaliła.

Amelia nawet nie zorientowała się, jak z ustalonej godziny zrobiło się półtorej. Kiedy wreszcie spojrzała na zegarek, nie mogła uwierzyć, że jest już tak późno. Szybko wstała z krzesła i zaczęła zbierać się do wyjścia. Swoją pośpiech wytłumaczyła tym, że na resztę wolnego popołudnia zaplanowała dokończenie gwiazdkowych zakupów. Kiedy Branson zainteresował się, dlaczego martwi się o Boże Narodzenie już na początku listopada, spokojnie oznajmiła, że tak wynika z jej ściśle ustalonego planu działania.

- To brzmi poważnie - zauważył z uśmiechem. - Słuchaj, jeśli chcesz, chętnie z tobą pójdę.

- Łazić po sklepach?

- Dlaczego nie?

Nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, już stał obok niej i podawał jej płaszcz. Amelia nie widziała, jak ukradkiem wdycha zapach jej perfum i spogląda na nią z czułością, podczas gdy ona poprawia włosy.

Kiedy jechali windą, zaczął przekonywać, że na pewno skorzysta, biorąc go ze sobą:

- Jestem naprawdę doskonałym doradcą w dziedzinie prezentów. A poza tym może przy okazji wyciągnę z ciebie jakieś dodatkowe informacje.

- Widzę, że ty również zawsze postępujesz zgodnie z planem.

- Nie zawsze, ale jeśli chodzi o pracę, staram się być konsekwentny.

Kiedy znaleźli się na ulicy przed hotelem, w pewnej chwili przystanął i pociągnął Amelię za rękaw.

- Wiesz, jaki miałem pomysł? - zapytał lekkim tonem. - Przyszło mi do głowy, że moja krwiożercza pani doktor i detektyw Scully powinni się spotkać. Wybuchłoby między nimi płomienny romans, poszliby ze sobą do łóżka, trochę by sobie skomplikowali życie i złamali serca. Co o tym myślisz? Czy mój detektyw byłby w guście krwiożerczej pani doktor?

Nie odpowiedziała od razu, choć w mig pojęła aluzję. Dawno już postanowiła, że nie da się sprowokować, więc udając głęboki namysł, odparła, ważąc każde słowo:

- Szorstki, twardy i cyniczny, ale z wrażliwą duszą poety. Pewnie by jej pasował... A jaką odczułaby przyjemność, gdyby udało jej się go zabić!

- Właśnie tego się obawiałem. - Pokiwał smętnie głową, po czym niespodziewanie wziął ją za rękę. Chwycił mocno drobną dłoń Amelii i nim zdążyła zaprotestować, pociągnął ją w stronę przejścia dla pieszych.

Rozdział trzynasty

- Nie bądź taka tajemnicza i powiedz, kiedy go w końcu poznam.

- Kogo? - Amelia nawet nie podniosła głowy znad kolorowego papieru do pakowania, który z iście chirurgiczną precyzją cięła małymi nożyczkami.

- Oj, przestań udawać, że nie wiesz, o kim mówię. - Zniecierpliwiona Julia cisnęła w kąt srebrną wstążkę. - Mówisz czy nie?

- Julio, opanuj się. Naprawdę nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- No dobrze, widzę, że trudno będzie cokolwiek z ciebie wydusić. Ale jeszcze raz powtarzam moje pytanie: Kiedy zobaczę faceta, który wreszcie przypadł ci do gustu?

- Ha, kiedy ja takiego zobaczę?

- O rany, mam na myśli tajemniczego wielbiciela, który przysłał ci gigantyczny bukiet białych róż!

- Chcesz poznać Bransona? - zdziwiła się Amelia, nawet na moment nie przestając owijać małego pudełeczka. - Po co?

- Jak to po co? Jest już koniec listopada, czyli spotykasz się z nim od trzech tygodni, a ja dotąd nie miałam okazji, żeby choć z daleka rzucić na niego okiem. Czuję się zaintrygowana. To chyba normalne.

- Posłuchaj, Julio, ja wcale się z nim nie spotykam. Przy najmniej nie w takim sensie, o jakim myślisz. Po prostu pomagam mu w pracy - oświadczyła i dalej, jak gdyby nigdy nic, pakowała swój prezent.

Julia poprawiła się na krześle i zaciekawiona przyjrzała się

uważnie swojej kuzynce. Czuła się z nią mocno związana, uważała ją za swoją najbliższą przyjaciółkę i choć bardzo się różniły, jakimś cudem udawało im się znaleźć wspólny język. Julia zawsze podziwiała Amelię za jej wewnętrzne uporządkowanie, za lojalność, sumienność i dyscyplinę, której ona mogła kuzynce tylko pozazdrościć. Przy całej powadze i roztropności, Amelii nie brakowało subtelnego poczucia humoru, dzięki któremu nabierała dystansu do własnej osoby i reszty świata. Jednak cechą, która w przyjaźni liczyła się najbardziej, było to, że Amelia była osobą całkowicie pozbawioną egoizmu.

Przedłużająca się cisza w końcu zaniepokoiła Amelię. Podniosła głowę, żeby sprawdzić, co też stało się Julii, która nie miała zwyczaju popadać nagle w filozoficzną zadumę.

- Co jest? Dlaczego tak mi się przyglądasz?
- Wiesz, że on jest całkiem niezły?
- Mhm...
- Widziałam jego fotografię na okładce książki, poza tym mignął mi ze dwa razy w jakimś programie telewizyjnym. Atrakcyjna bestia.
- Zgadza się - mruknęła Amelia niewyraźnie, bowiem trzymała w ustach koniec czerwonej wstążki.
- Więc jak to z wami jest? Jesteś nim zainteresowana czy nie?
- Wiesz, jakoś nie myślałam o tym dotychczas...
- Amelio!
- A więc nie! - Amelię w końcu ogarnęła złość. Energiicznym gestem odsunęła od siebie zapakowane pudełko i odparła: - Nie jestem zainteresowana tym mężczyzną! I przestań mnie wreszcie przesłuchiwać, bo zaczniesz gadać jak Daniel MacGregor!

- To ma być komplement czy obelga?
- Wiesz dobrze, co mam na myśli. Myślałam, że dostanę szału, kiedy podczas ostatniego obiadu dziadek zaczął nas wypytywać, czy przypadkiem nie spotykamy się z jakimiś „chło-

pakami". Chłopaki! Dobrze sobie! No, ale on już chyba nigdy się nie zmieni.

- A chciałybyś, żeby się zmienił? Po co?

- Bo mnie denerwuje!

- E tam, przesadzasz - Julia wzruszyła ramionami - jesteś zła, bo staruszek trochę cię przepytął ze znajomości z „tym młodym, zdolnym Irlandczykiem”. I co się wielkiego stało? Korona ci z głowy nie spadła. Czasem możesz nam zdradzić jakiś swój sekret, prawda?

- Sama wiesz, że nie o to mi chodzi. Po prostu randki, czy jak wolałby dziadek: wychodzenie za mąż i rodzenie dzieci, to ostatnia rzecz, na jaką miałabym teraz czas i ochotę. Dlatego nie lubię, kiedy ktoś próbuje przekonać mnie do czegoś, co ja sama uważam za bezsens. Przynajmniej na razie.

- Cóż, trochę cię rozumiem.

- No widzisz! Najbardziej zaniepokoiło mnie to, że dziadek wyraźnie lubi tego Bransona.

- Pewnie - Julia posłała kuzynce jeden ze swych złośliwych uśmieszków - inaczej by go dla ciebie nie wybrał!

- Też tak myślałam na początku. Jednak wszystko wskazuje na to, że tym razem teorię spisku możemy zostawić powieściom pana Maguire'a. Facet naprawdę nie ma względem mnie żadnych „wrogich” zamiarów.

Julia otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale szybko zmieniła zdanie. Odezwała się dopiero po chwili:

- Wydaje mi się, że nie jesteś ze sobą szczerą, ale to twoja sprawa. W każdym razie jestem pewna, że z dziadkiem nie poszłoby ci tak łatwo, gdyby Laura i Roys nie oznajmili, że spodziewają się dziecka.

- A właśnie! - rozpromieniła się Amelia. - Jak podoba ci się fakt, że zostaniemy ciociami?

- Czy ja wiem? - Julia wciąż nie była pewna, jak potraktować tę rewelację. - A swoją drogą, pamiętasz, jak dokładnie rok temu Laura zarzekała się, że ani jej w głowie stałe związki?

I widzisz, jak skończyła? Pomyśl o tym, bo zachowujesz się teraz identycznie jak ona.

- Julio, na miłość boską! - zaczęła Amelia, ale w tym samym momencie niespodziewanie odezwał się dzwonek u drzwi.

- Niech pani sobie nie przeszkadza, pani doktor. Ja otworzę - powiedziała Julia i pobiegła do holu. Z rozmachem otworzyła frontowe drzwi i aż kolana ugięły się pod nią z wrażenia.

Za progiem stał Branson Maguire i uśmiechał się do niej przyjaźnie. Trzymał przed sobą olbrzymie białe pudełko z nazwą znanej ciastkarni i właśnie zamierzał coś powiedzieć, kiedy Julia zapytała go wesoło:

- Pączki czy babeczki?

- I jedno, i drugie.

- W takim razie zapraszam do środka.

Pewnym krokiem przestąpił próg i najpierw przyjrzał się uważnie kobiecie, która go wpuściła. Zwrócił uwagę na jej zgrabną figurę i burzę płomiennych loków, które opadały na roześmiane oczy koloru gorzkiej czekolady.

- Jestem Branson Maguire. - Wyciągnął do niej rękę na powitanie.

- Julia MacGregor. Miło mi - odpowiedziała, podając mu swoją szczupłą, ale mocną dłoń. - Wiem, kim pan jest.

Nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, jego rozmówczyni sama wzięła na siebie ciężar podtrzymania konwersacji.

- Nie tylko wiem, kim pan jest, ale od razu pana polubiłam. Bo jak tu nie lubić mężczyzny, który zjawia się w pochmurny niedzielny ranek z wielkim pudełkiem ciastek od najlepszego cukiernika w mieście? Każdy, kto przynosi słodycze, jest uważany za przyjaciela tego domu. Mogę mówić ci po imieniu? - zapytała wprost.

- Jasne - ucieszył się, zadowolony, że obyło się bez krępujących wyjaśnień i prezentacji.

- W takim razie daj mi to pudełko. Zdejmij płaszcz i idź

prosto do salonu. Zaraz wyczarujemy jakąś kawę. Boże, co za zapach? - westchnęła, obwąchując pudełko.

- Kawa?

- A co, nie lubisz?

- Nie, nie. Świetnie. Chyba czytasz w moich myślach - uśmiechnął się do niej ponownie. - A jak tam doktor Quinn?

- Jaka doktor Quinn?

- Przepraszam, tak mi się wyrwało.

- Ach, Amelka! - roześmiała się cicho. - Nie ma sprawy. Zresztą akurat to określenie wyjątkowo do niej pasuje.

- Jest w domu?

- Oczywiście. Pani doktor przyjmuje dziś w jadalni. Proszę za mną.

Szedł za nią i jednocześnie przyglądał się wnętrzom. Musiał przyznać, że zestawienie kolorów i sprzętów było tu dość zakakujące, mimo to całość robiła ciekawe wrażenie.

- Przyjemny dom - zaryzykował komentarz.

- Prawda? Dlatego zdecydowałyśmy się pomieszkać tu dłużej.

- Słyszałem, że w ogóle lubisz kupować domy.

- Kupować, sprzedawać, remontować, przebudowywać.

A ty lubisz opowiadać różne historie, tak?

- Najpierw wymyślać, potem opowiadać.

Gdy mijali przytulny salon, niespodziewanie zatrzymał się obok niedużego kominka. Na marmurowym gzymsie dostrzegł piękną wazę, która wabiła oczy intensywnym odcieniem głębokiej zieleni pomieszczonej z błękitem. Julia cofnęła się i podeszła do niego, mówiąc:

- To jedna z prac mojej matki. Piękna, prawda?

- Twoja matka musi być niezwykłą osobą. Nie dość, że jest wyjątkowo utalentowaną artystką, to jeszcze idealnie reprezentowała nas jako Pierwsza Dama.

- Od razu wiedziałam, że cię polubię!

- Kiedy chodziłem do liceum, pisałem pracę o prezydenturze twojego ojca. Zdaje się, że dostałem niezłą ocenę.

- Były prezydent byłby z ciebie dumny. Problemy edukacji i wychowania młodzieży zawsze leżały mu na sercu - stwierdziła z udawaną powagą, po czym chcąc okazać sympatię, niespodziewanie wzięła go za rękę i jak dziecko poprowadziła do jadalni.

Amelia cały czas cierpliwie cięła kolorowy papier i owijała nim prezenty, których spory stos piętrzył się już obok niej na stole. Była tak pochłonięta swoją pracą, że nawet nie pofatygowała się sprawdzić, z kim rozmawia Julia. Dlatego też kiedy kuzynka stanęła w progu i zaanonsowała gościa, zaskoczona Amelia prawie upuściła nożyczki.

- Zobacz, kto nas odwiedził. I w dodatku nie przyszedł z pustymi rękami! - zawołała roześmiana Julia.

- Cześć, Branson. Co za niespodzianka - powitała go ze zwykłym dla siebie spokojem, ale poczuła, jak przepływa przez nią dreszczyk emocji.

- Twój znajomy przyniósł ze sobą całe pudło ciastek - oznajmiła Julia. - I to wystarczyło, żebym pokochała go od pierwszego wejrzenia. Idę zrobić kawę, ale Amelio, proszę cię, przypilnuj go dla mnie. Nie chciałabym, żeby zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił. - Znów się roześmiała, widząc wyraz twarzy siostry, po czym obróciła się na pięcie i pobiegła do kuchni.

- No proszę, a ludzie mówią, że tak trudno zakochać się z wzajemnością - stwierdził Branson i nie czekając, aż go zaproszą, wyciągnął krzesło i usiadł obok Amelii.

- Fakt, szybko wam poszło.

- Czy to dziwne? Czyżby medycyna całkowicie odrzucała istnienie miłości od pierwszego wejrzenia?

- Medycyna nie zajmuje się takimi błahostkami, ale ja osobiście w to nie wierzę. Naprawdę kupiłeś ciastka? Po co?

- Podobno nie jesz, póki ktoś nie postawi przed tobą pełnego talerza. - Odruchowo zaczął bawić się wstążkami leżącymi na stole. - Tak naprawdę to chciałem w ten sposób zrewanżować się za czas, który mi poświęciłaś.

- To miłe. Ale zupełnie niepotrzebne. To nie był dla mnie żaden kłopot - powiedziała, odkładając na miejsce wstążkę, którą nieświadomie przełożył. To wystarczyło, aby tym razem specjalnie sięgnął po następną.

- Kłopot czy nie kłopot, dla mnie liczy się, że znalazłaś dla mnie czas. Twoja pomoc jest naprawdę nieoceniona.

- A jak idzie pisanie? - Znowu położyła wstążkę na miejscu.

- Nieźle. - Odwrócił głowę, bo tuż za nim stanęła Julia z tacą, na której dźwigała dzbanek z kawą, filiżanki oraz duży talerz ze stosem ciastek. Gdy stawiała to wszystko na stole, uśmiechnęła się do Bransona porozumiewawczo.

- Proszę bardzo - powiedziała. - Mam nadzieję, że nie pogńiewacie się, jeśli zabiorę moją porcję kalorii na górę. Mam kilka spraw do załatwienia i niestety nie mogę z nimi czekać do poniedziałku. Miło było cię poznać, Bran. Jak przyjdiesz następnym razem, przynieś dobrą czekoladę! - zawołała jeszcze i za plecami Amelii pokazała mu kciukiem gest oznaczający „powodzenia!”.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Amelia coraz szybciej cięła papier, który głośno szeleścił pod jej palcami.

- Może ci pomogę? - zaproponował Branson, chcąc przezwyciężyć niezręczną ciszę.

- Nie, dziękuję. Mam swój wypróbowany sposób.

- Żartujesz?

- Nie, mówię poważnie.

Rozmowa jakoś się nie kleiła. Branson nalał sobie kawy i sięgnął po ciastko.

- A może w takim razie zjesz coś na osłodę trudów tej wymagającej pracy?

- Zaraz sobie coś wezmę. Najpierw muszę się z tym uporać.

- Jak ci minęło Święto Dziękczynienia? - zapytał w nadziei, że ten neutralny temat rozwiąże jej usta.

- Hałaśliwie, męcząco, przy stole pełnym jedzenia. Ale fajnie. A ty co robisz?

- Mniej więcej to samo - powiedział głosem, w którym dało się wyczuć roztargnienie. Widocznie myślał o czymś bardzo intensywnie, bo przez moment siedział bez słowa i tylko patrzył na jej zwinne palce, które wygładzały papier na brzegach kolejnego pudełka. Amelia była całkowicie pochłonięta tą prostą czynnością i właśnie ta jej koncentracja na najdrobniejszym nawet detalu była ujmująca. Pomyślał, że właśnie teraz nadszedł moment, na który czekał od dnia, kiedy pierwszy raz zobaczył ją w szpitalu. - Przepraszam cię, Amelio, ale naprawdę nie ma sensu dłużej tego odkładać - powiedział nagle, a potem szybko pochylił się w jej stronę.

Był przygotowany na to, że nie pozwoli się pocałować, ale nic takiego nie nastąpiło. Może stało się tak, bo zaskoczenie sprawiło, że Amelia na moment straciła głowę. Postanowił to wykorzystać i przytulił ją jeszcze mocniej. Jej usta miały świeży, dziwnie znajomy smak, który nagle przywołał wspomnienia pierwszego wiosennego ciepłego dnia. Może to zapach - ulotna woń sosnowego lasu wplątana w jej złote włosy - obudził w nim to skojarzenie?

Delikatnie rozchylił językiem jej usta, poczuł ich wilgoć gładką jak wnętrze owocu. Nie spieszył się. Chciał upajać się każdą chwilą, każdą sekundą. Pozwolił, żeby rozkosz wolno sączyła się do jego żył, żeby rozpałała w nim krew i w końcu ogarnęła całe ciało. Wyobraził sobie, że dotyka ustami jej smukłej szyi, ramion. Dokładnie widział linię, którą pocałunek kreślił na jej ciele, wędrując w dół, do samych stóp. Na moment oderwał od niej usta i wyszeptał jej do ucha:

- Jesteś cudowna, Amelio, wspaniała...

Zanurzył dłoń w jej pachnących włosach i lekko gładził jej kark, czując pod palcami rozkoszny puch delikatnych włosów, miękkich jak u dziecka. Ta pieszczota przyprawiła Ame-

lię o silny dreszcz, Zbyt silny. Tak silny, że pod jego wpływem w jednej chwili oprzytomniała.

Boże mój, co ja wyprawiam, skarciła się w duchu. Chciała go odepchnąć, ale już kolejny pocałunek zamknął jej usta. Na dolnej wardze poczuła delikatne ugryzienie, które sprawiło, że prawie straciła głowę. Tym razem jednak udało jej się zapamiętać nad własnym ciałem i choć wiele ją to kosztowało, zdołała wreszcie odsunąć się od Bransona.

- Poczekaj - szepnęła, kładąc mu dłoń na piersi - poczekaj...

- Nie chcę! - odpowiedział i spróbował chwycić ją za ramiona.

- Powiedziałam: poczekaj - powtórzyła wolno i odsunęła się jeszcze dalej. Z całych sił walczyła z własną słabością. W myślach usiłowała odzyskać spokój. Kiedy wreszcie doszła do siebie, odezwała się głosem tak opanowanym, że sama poczuła się tym zaskoczona: - Obiecaliśmy coś sobie, panie Maguire.

- Czy w ten subtelny sposób próbujesz dać mi do zrozumienia, że jesteś z kimś związana?

- Nie o to chodzi!

- Aha - uniósł do góry jedną brew i uśmiechnął się zaczepnie - może więc problem polega na tym, że sama nie wiesz, jak radzić sobie z pisarzami powieści sensacyjnych. Zwłaszcza jeśli pochodzą z Irlandii.

- Nie bądź śmieszny.

- W takim razie, być może jako doktor medycyny uważasz, że całowanie się jest wyjątkowo złym i niehigienicznym nawykiem, który powoduje rozprzestrzenianie się wielu groźnych chorób?

- Przestań stroić sobie ze mnie żarty! - warknęła rozżalowana.

- Jeśli już, to żartuję z nas obojga. Co do mnie, to naprawdę nie miałbym nic przeciwko temu, żeby moje pocałunki

stały się zaraźliwe. - Wyciągnął rękę i dotknął lekko dłonią jej rozpalonego policzka. Amelia nie protestowała. - Zresztą czuję, że chyba złapałem już od ciebie jakiś wirus - powiedział.

- Wirus?

- Nie wiem jeszcze, jak go nazwać, ale na pewno coś wymyślę. Wiem tylko, że coś zaczyna się we mnie rozwijać. Jestem pewien, że jako lekarz lepiej rozpoznasz symptomy i na pewno bezbłędnie zdiagnozujesz tę chorobę. I że wspólnymi siłami uda nam się znaleźć jakieś lekarstwo.

Popatrzył jej w oczy w taki sposób, że nie była w stanie wytrzymać tego spojrzenia. Spuściła wzrok tylko na moment, ale on natychmiast zauważył jej zmieszanie.

- Jesteś zdenerwowana? - w jego głosie usłyszała zaskoczenie i jakby odrobinę satysfakcji - A jednak! Kiedy obserwowałem cię przez ostatnie tygodnie, zastanawiałem się czasem, czy w ogóle masz jakieś słabości. Nigdy się nie zawahałaś, nie straciłaś zimnej krwi, nie miałaś złego humoru. Już zaczynałem się obawiać, że mam do czynienia z robotem. Ale teraz widzę, że stoi przede mną kobieta z krwi i kości. Nie uwierzysz, ale twoje zdenerwowanie działa na mnie jak afrodyzjak.

- Dość tego! Nie będę dłużej słuchać tych bredni. Rób sobie literackie próbki na kimś innym! - zawołała wzburzona, zrywając się z miejsca.

- No proszę, a więc jednak pod pokrywą lodu drzemie wulkan.

- To nie twoja sprawa, co we mnie drzemie! I nie chcę o tym dyskutować!

- Kłamiesz.

- Co takiego? Jak śmiesz zarzucać mi kłamstwo!

- Jeszcze raz powtarzam, że okłamujesz samą siebie. Zmysłów nie da się oszukać, Amelio. Znam ich język i dobrze wiem, co mówię do mnie ciało kobiety, kiedy trzymam ją w ramionach. Twoje powiedziało mi to, do czego ty sama nie potrafisz się przyznać. Nie mów mi więc, że nic cię nie obchodzi.

- Nigdy tego nie powiedziałam - stwierdziła lodowatym tonem i odwróciła się do niego plecami.

Najpierw usłyszała jego śmiech, a potem odgłos kroków na kamiennej posadzce. Podszedł do niej od tyłu i spróbował otoczyć ramionami, ale na szczęście zdołała się wyrwać. Wtedy rzucił jej spojrzenie, które uznała za wyjątkowo aroganckie.

- Nie bój się - powiedział. - Nie zbliżę się do ciebie na krok. Zaczekam, aż... po prostu zaczekam.

- Dobrze, czekaj, A teraz skończmy już tę niepotrzebną rozmowę, która naprawdę do niczego nie prowadzi. Jestem zajęta.

- A ja uparty. I cierpliwy. Zawsze zdobywam to, czego pragnę. Tym razem pragnę ciebie. Domyślam się zresztą, że nie jestem pierwszym, który ci to powiedział.

Nie jesteś pierwszy, ale żaden z twoich poprzedników nie powiedział tego w tak bezczelny sposób, odpowiedziała mu w duchu Amelia. Była na niego wściekła, jednak gdzieś w głębi duszy czuła, że to połączenie męskiej pewności siebie i arogancji jest niebezpiecznie pociągające.

- Posłuchaj, Branson-odezwała się tonem najbardziej rzeczowym, na jaki mogła się w tej chwili zdobyć - jeśli chcesz, żebym dalej ci pomagała, musisz przestrzegać pewnych reguł. Mam zamiar postawić ci warunki, których nie będzie ci wolno łamać. A jeżeli to zrobisz, poniesiesz określone konsekwencje.

- Posłuchaj, Amelio - odparł, naśladowując jej ton - nic mnie nie obchodzą twoje warunki i konsekwencje. Powiem więcej, nic na świecie nie irytuje mnie bardziej niż reguły i zakazy. Wyznam teorię, że zostały wymyślone po to, żeby je łamać.

- Jesteś wstrętnym, zarozumiałym...

- A ty się boisz! - przerwał jej w pół zdania. - Czujesz się winna, że nie potrafisz mi się oprzeć! Boisz się, że zdołam cię skusić! I wiesz równie dobrze, jak ja, że mógłbym to zrobić! Ale spokojnie - dodał ciszej - nie ma pośpiechu.

- Jesteś dla mnie nadętym bufonem, nikiem więcej. - Zmroziła go wzrokiem, którego chłód potrafiłby skuć lodem całą bostońską zatokę. - Jeżeli uważasz mnie za łatwą zdobycz, to bardzo, ale to bardzo się mylisz.

- Nic podobnego nie przyszło mi do głowy.

- Czyżby?

- Ani przez moment nie myślałem, że jesteś łatwa. Każdego dnia patrzę na ciebie z coraz większym podziwem i coraz wyraźniej dostrzegam, jak niezwykłą jesteś kobietą - Bran zmienił nagle ton.

- Nie myśl, że zyskasz coś pochlebstwami.

- Nie myślę. Ale zastanów się, czy nie ubliżasz samej sobie, kiedy mówisz, że dostrzegam tylko twoje ciało?

Tego się nie spodziewała. Po raz pierwszy w życiu zupełnie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Gestem, w którym kryła się bezradność, uniosła dłonie i przesunęła nimi po włosach.

- Przynajmniej jedno udało ci się osiągnąć. Czuję się kompletnie wytracona z równowagi - przyznała szczerze.

- No cóż... trudno to nazwać sukcesem, ale jakoś trzeba zacząć. A teraz zostawiam cię sam na sam z tym problemem. Przemyśl go sobie dokładnie i nie wyciągaj pochopnych wniosków. Zobaczymy się w szpitalu.

- W porządku - westchnęła i pozwoliła, aby ręce opadły bezwładnie wzdłuż jej ciała.

Branson natychmiast wykorzystał ten moment. Zbliżył się do niej wolno, jeszcze raz ujął w dłonie jej twarz i dotknął ustami jej warg. Krótki, twardy pocałunek podziałał na nią jak mocny alkohol. Zakręciło jej się w głowie, więc instynktownie przytrzymała się jego ramienia.

- Uwierz mi, że mam straszną ochotę na więcej, ale na razie tylko to musi nam wystarczyć - szepnął jej do ucha i wyszedł.

Rozdział czternasty

W pierwszym tygodniu grudnia Amelii wypadłyienne dyżury. Właściwie było jej obojętne, czy pracuje w dzień, czy w nocy, bo w ciągu kilku lat spędzonych w szpitalu jej organizm nauczył się dostosowywać do zmiennego rytmu pracy. Bliscy czasami dziwili się, jak Amelia radzi sobie z przestawieniem pory snu, ale dla niej nie stanowiło to żadnego problemu. Kiedy przychodził czas na odpoczynek i sen, natychmiast zasypiała jak kamień, a kiedy trzeba było wstać, robiła to bez najmniejszej trudności. Zresztą decydując się na studia medyczne, doskonale wiedziała, jak wygląda życie lekarza. W końcu babcia Anna była jedną z pierwszych kobiet-lekarek.

Ona jednak była nieco inna niż babcia - praca zajmowała u niej najwyższą pozycję w hierarchii życiowych wartości. Rodzina, jakkolwiek bardzo istotna, musiała zadowolić się drugim miejscem. Pozostałe rzeczy były nieważne i jedynie rozpraszają ją w drodze do celu. Na czele listy najgorszych „pochłaniaczy czasu” dawno już umieszcza mężczyzn. Wszystkich, więc Branson Maguire nie był tu żadnym wyjątkiem.

Od pamiętnej niedzieli minęły całe trzy dni, a on nie pokazał się w szpitalu ani nie dał znaku życia. Amelia nie bardzo miała czas, żeby zastanawiać się nad przyczynami tej nagłej nieobecności, więc szybko doszła do wniosku, że widocznie zebrał już wystarczającą ilość materiału do swojej powieści. Przypuszczała również, że nie bez znaczenia była jej jawna niechęć do wchodzenia w jakieś bliższe związki. Najwyraźniej Branson wreszcie to zrozumiał i postanowił dać sobie spokój.

Tak czy owak jedno było pewne - nie powinna dłużej za-

przątać sobie głowy ani nim, ani jego zabawą w literaturę. Tak, tak, przede wszystkim skupić się na pracy, nakazała sobie ostro i z jeszcze większą precyzją wbiła zakrzywioną igłę w brzeg rozciętej skóry. Jej pacjent cicho syknął z bólu i mężnie dalej znosił zabieg, a ona szyła sprawnie głębokie rozcięcie, które purpurową bruzdą bieгло wzdłuż kości goleniowej.

- Jeszcze trochę - powiedziała. - Wytrzyma pan? Znieczulenie chyba przestaje działać, ale to już dosłownie tylko chwila.

- Spróbuję - jęknął. - Nie wiem, co mi przyszło do głowy. Chciałem sam najpierw sprawdzić sanki, a dopiero potem wsadzić na nie dzieciaki. Ale wygląda na to, że już nie te lata. Człowiek jest za stary na takie zabawy.

- A najgorsze - mruknęła, zajęta pracą - że te drzewa nie wiadomo skąd wyrastają człowiekowi na drodze, prawda?

- Prawda - roześmiał się i znów syknął z bólu.

Za plecami usłyszała lekki szmer otwieranych drzwi i nagle ogarnął ją niepokój. Żaden lekarz ani pielęgniarka nie wchodził nigdy tak ostrożnie. Nawet bez odwracania głowy wiedziała, kto zajrzał do gabinetu. Poczowała, jak żołądek skurczył jej się na ułamek sekundy, mimo to pewną ręką założyła następny szew. Nie odrywając wzroku od swych rąk, powiedziała surowym tonem:

- Nieupoważnionym wstęp wzbroniony.

- Nie będę przeszkadzał. - Branson podszedł bliżej i zerknął na ranę. - Jezu, kto tak pana urządził?

- Niech pan nawet nie pyta. Krew lała się strumieniami.

- Jeszcze chwila, spokojnie... - Amelia zastygła na moment z igłą w powietrzu. - Zaraz będzie po wszystkim.

- Przepraszam, pani doktor. A pana to ja skądś znam.

- Wiele osób mi to mówi. - Branson wzruszył ramionami i przysunął sobie metalowe krzesło, aby móc z bliska obserwować zabieg. - Niech pan mi lepiej powie, jak pan to załatwił, że zszywa pana najładniejszy chirurg z całym Bostonie?

- Och... - mężczyzna popatrzył na pochyloną nad nim

Amelię - głupia sprawa. Wszedłem w bliższy kontakt z drzewem. Okazało się mocniejsze. Wie pan, stary chłop i sanki.

- Sanki? Niezły pomysł, pogoda jest dzisiaj idealna. Po wiem panu, że i tak miał pan szczęście. Lepiej jest przegrać starcie z drzewem niż z doktor Amelią Blade.

- Co takiego? - Mężczyzna podejrzliwie popatrzył na drobną blondynkę dłubiącą w jego rozciętej nodze.

- Ale może będzie mógł pan mi pomóc - Branson najspokojniej w świecie ciągnął swoją myśl. - Skoro już pan się trochę zaznajomił z naszą panią doktor, być może poradzi mi pan, co mam zrobić, żeby zgodziła się zjeść ze mną dziś kolację?

- Czy ja wiem...

- Branson, czy mógłbyś stąd wyjść? - Amelia wprawdzie się nie zarumieniła, ale czuła się bardzo speszona. Za to Branson najwyraźniej ani trochę.

- Wie pan, co mam na myśli - mówił. - Miła, kameralna kolacyjka. Pani doktor sama nie pamięta o tym, żeby coś zjeść, więc ktoś musi się zatroszczyć o jej zdrowie.

- Mówi pan „kameralna kolacyjka”? - Mężczyzna uśmiechnął się porozumiewawczo. - To powinno się jej spodobać. Takie rzeczy działają na kobiety. - Chyba zrozumiał, że trochę się zagalopował, bo szybko dodał przeproszającym tonem: - Pani wybaczy, pani doktor, sama pani chyba wie najlepiej, że trzeba się właściwie odżywiać.

- No właśnie - wtrącił Branson - trochę dobrego wina, łagodny blask świec, oczywiście tylko po to, żeby oczy odpoczęły od ostrego światła na bloku operacyjnym. Lekki posiłek na koniec ciężkiego dnia. Człowiek powinien o siebie dbać i szanować swoje zdrowie. Prawda, pani doktor?

- Branson, nie zmuszaj mnie, żebym wezwała ochronę - rzuciła ostrzegawczo, po czym ponownie skupiła uwagę na pacjencie. - Teraz założę panu opatrunek. - Popatrzyła na niego wzrokiem pełnym pretensji. - Proszę uważać, żeby nie zamo-

czyć rany. Siostra powie panu dokładnie, co trzeba robić. Za tydzień proszę przyjść na zdjęcie szwów.

- Pani doktor ma złote ręce, nie uważa pan? - Branson najwyraźniej miał jeszcze wiele do powiedzenia. - Ja na pewno nie dałbym nikomu innemu dotknąć się do siebie. Ale wracając do kolacji, to przypomina mi się pewna francuska restauracja, w której serwują wspaniałe desery. Myśli pan, że doktor Blade da się skusić?

- Moja żona na pewno by się dała.

- I co pani na to, pani doktor?

- Gotowe. - Amelia podniosła głowę i odsunęła się na obrotowym krześle na kółkach. Szybko podjechała do biurka i wypisała zwolnienie, po czym z karteczką w dłoni podjechała do pacjenta. - Proszę bardzo. I radzę na jakiś czas zrezygnować z sanek.

- Dziękuję, pani doktor. Ale... - zawahał się - niech może pani da szansę temu miłemu człowiekowi - szepnął, wskazując głową Bransona, a potem pożegnał się i pokuśtykał w stronę drzwi.

- Nie pozwolę, żebyś przeszkadzał mi w pracy i denerwował moich pacjentów! - Nie ukrywając wściekłości, Amelia gwałtownie zerwała z rąk gumowe rękawiczki i nerwowo zaczęła zdejmować fartuch. - Wiesz dobrze, że nie wolno ci bez zgody personelu wchodzić ani do pokoi zabiegowych, ani do gabinetów lekarskich! Chyba że sam potrzebujesz pomocy. Ale przede wszystkim nie możesz zwracać mi głowy, kiedy jestem zajęta!

- I jak ja mam przestać myśleć o takiej kobiecie? Co za temperament!

- Dobrze, skończmy z tą błazenadą. - Celnym rzutem posłała rękawiczki do kosza. - Czy potrzebujesz pomocy lekarza?

- No, jeżeli miałybyś ochotę pobawić się ze mną w doktora, to czemu nie... - zamilkł, widząc wyraz jej oczu. - W porządku, przepraszam. Nawet pisarz może czasem powie-

dzieć coś głupiego. Ale pewnie chcesz wiedzieć, po co przyszedłem...

Nie odpowiedziała, ale to mu najwyraźniej nie przeszkadzało.

- Przez kilka dni nie wychodziłem z hotelu, pracowałem bez przerwy i myślałem tylko o książce. Dzisiaj pierwszy raz wystawiłem nos za drzwi i natychmiast poczułem, że muszę się z tobą zobaczyć. Jak już mówiłem, chciałbym zjeść z tobą kolację.

- Dziękuję, mam inne plany.

- A nie dałoby się ich zmienić?

- Nie. Wieczorem wychodzę na bankiet, urządany przez fundację wspierającą szpital.

- Pójdę z tobą.

- Dziękuję, ale mam już towarzysza.

- Towarzysza! Co za słowo! - roześmiał się cicho. - Brzmi poważnie. I śmiertelnie nudno...

- Greg jest moim przyjacielem, kolegą z oddziału, a przede wszystkim dobrze wychowanym, inteligentnym człowiekiem - odparła, mocniej akcentując słowa „dobrze wychowanym”. - A teraz do widzenia, nie zamierzam tracić więcej czasu!

- Skoro nie chcesz iść na kolację, to może kiedyś zjemy razem śniadanie?

- Branson, nie nadwerężaj mojej cierpliwości!

- Myślisz, że odpuszczę sobie tylko dlatego, że ciagniesz ze sobą jakiegoś tam Grega na ten swój szpitalny bankiet?

- A czy tobie nie przyszło do głowy, że mi się narzucasz? Dlaczego jesteś taki pewny, że nie planuję śniadania z Gregiem? - Popatrzyła na niego z wyzywającym, lekko drwiącym uśmiechem, i to go zabolowało bardziej niż jej słowa.

- No dobrze, widzę, że sprawia ci przyjemność ta zabawa w kotka i myszkę. Zapomnij więc o śniadaniu, ale powiedz mi, kiedy masz przerwę?

- Dlaczego to cię interesuje?

- Bo mam dla ciebie uczciwą propozycję. Może wyskoczmy na chwilę do mojego hotelu na szybki, gorący numer, a potem dam ci na zawsze święty spokój. Doprowadzasz mnie do szafy tym swoim uporem!

Wiedziała, że powinna się oburzyć, obrazić na niego i wyjść z pokoju. Jednak zamiast tego wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Oj, Branson, ale z ciebie dziecko! Weź sobie prozac, albo lepiej dwa, uspokój się i zadzwoń do mnie jutro rano. A teraz znikaj!

- Naprawdę chcesz, żebym do ciebie zadzwonił?

W odpowiedzi obróciła się na pięcie i wyszła, zamykając mu drzwi przed nosem.

W porządku, pomyślał Branson, chcesz wojny, będzie wojna! Przez chwilę stał w miejscu i zadumany kiwał się na piętach. Nie chciał uciekać się do mało eleganckich zagrań, ale sama zmusiła go do tego przez swoją arogancję. Skoro nie przyniósł rezultatu plan A, przystępujemy do realizacji planu B.

Drobny, mokry śnieg sypał od rana nad dzielnicą Hyannis Port, przykrywając stare drzewa białymi czapami. W otoczeniu świeżej bieli potężna rezydencja MacGregorów sprawiała wrażenie tajemniczego zamczyska. Branson pomyślał, że musi zapamiętać ten malowniczy obrazek, bo na pewno przyda mu się przy okazji pisania jakiejś książki. Kiedy tak stał na zaśnieżonym trawniku i patrzył na solidne kamienne mury, olbrzymie okna i wymyślne wieżyczki, do głowy zaczęły przychodzić mu pomysły najróżniejszych wątków, które mogłyby powiązać z tym budynkiem.

Uśmiechnął się do siebie. Oto wymarzone miejsce na morderstwo lub inną mrozącą krew w żyłach historię. Już detektywy Scully znalazłyby tu coś dla siebie. A może przyciągnęłyby go tutaj jakaś niezwykła kobieta...

Branson musiał w duchu przyznać, że póki co on sam ma nie lada problem do rozwiązania. Sam nie mógł pojąć, jakim cudem pozwolił, żeby chęć zdobycia kobiety tak go opętała. W ciągu zaledwie kilku tygodni myślenie o Amelii zaczęło spędzać mu sen z powiek i nie pozwalało skupić się na pracy. Z przykrością musiał przyznać, że życie to nie literacka fikcja i nie ma w nim szybkich, bezbolesnych rozwiązań.

Och tak, myślał, trudno jest przewidzieć scenariusze, które pisze los. Na przykład zawsze wydawało mu się, że jeśli już zakocha się w kobiecie, to uczucie spadnie na niego jak grom z jasnego nieba. Wydawało mu się, że od razu będzie miał stuprocentową pewność, że to właśnie ta, której szukał. Miłość oznaczała dla niego gwałtowną, nienasyconą namiętność, fascynację na granicy szaleństwa. Tymczasem to, co czuł teraz, było zupełnie niepodobne do tych wyobrażeń. Zamiast nagłej eksplozji uczuć, było w nim jakieś dręczące pragnienie, którego sam nawet nie potrafiłby nazwać. To „coś” ogarniało go powoli i kazało mu bezustannie powracać myślami do postaci drobnej blondynki w zielonym lekarskim stroju. Najpierw widział w niej tylko atrakcyjne ciało, z czasem jednak wygląd zewnętrzny przestał mieć znaczenie. W końcu jego uczucia tak się pogmatwały, że miał wrażenie, iż wkracza w zupełnie nie zbadane rejony własnej duszy.

- To jest dopiero prawdziwa zagadka - westchnął, stając przed olbrzymimi drzwiami z okazałym herbem MacGregorów. Zagadki i tajemnice pociągały go najbardziej, lubił je badać, odśłaniać kolejne warstwy, aż w końcu dochodzić do ich sedna. To, co czuł do Amelii, było największą z nich. Musiał więc zbadać ją szczególnie dokładnie. Niestety, żeby to zrobić, potrzebował pomocy i wsparcia.

W progu powitała go żona Daniela MacGregora, Anna, jak zwykle urocza i życzliwa.

- Branson, dzień dobry! - z uśmiechem zaprosiła go do środka. - Jaka miła niespodzianka. Daniel będzie w siódmym niebie.

- A jest w domu? Jaka szkoda! Miałem nadzieję, że może tym razem uda mi się wykorzystać jego nieobecność i porwać panią na koniec świata. Odpowiada pani Barcelona?

Roześmiała się głośno i czule pocałowała go w policzek. Nim jednak zdążyła opowiedzieć na jego propozycję, w olbrzymim holu rozległ się tubalny głos Daniela MacGregora:

- Łapy precz od mojej kobiety! - grzmiał starzec, wolno schodząc po schodach. - Ty podstępny Irlandczyku, myślisz może, że jestem głuchy? Ja ci dam Barcelonę! Ślepy też nie jestem, więc przestań flirtować z moją żoną, bo ci zebra policzę!

- Poddaję się. Złapał mnie pan na gorącym uczynku. Nie dziwię się, że udało się panu utrzymać przy sobie tak niezwykłą kobietę.

- A coś ty myślał! - Daniel wyciągnął ramiona i chwycił Bransona z siłą, jakiej nikt by się nie spodziewał po dziesięćdziesięciolatku. - Masz szczęście, że jesteś taki wygadany, bo gdyby nie ten twój język, inaczej bym z tobą pogadał. No, ale nie będziemy tak stali w progu. Chodź do salonu i mów, co cię do nas sprowadza. Zaraz coś tam sobie znajdziemy do wypicia...

- Herbatę - zareagowała Anna błyskawicznie, wiedząc, że mąż tylko czeka na pretekst do wypicia szklaneczki whisky.

- Kobieto... - jęknął Daniel, przewracając swoje nieprawdopodobnie błękitne oczy. - Chłopak przyjechał tu z Bostonu, wymarzył po drodze, a ty chcesz go poić herbatą? Trzeba mu zaraz dać porządnej whisky!

- O nie, mój drogi. Nie masz nawet co o tym marzyć. I ty, i Branson będziecie pili herbatę. Koniec dyskusji. Zapraszam do salonu.

- Mówię ci, mój chłopcze, to już totalna klęska. Nie ma szans, żeby człowiek wyzebrał u tej kobiety choćby kropelkę whisky, chyba że wieczorem. A i wtedy należy ci tyle, co kot napłakał.

- Nic nie szkodzi, panie Danielu. Herbata mi wystarczy.
- Tobie może tak, ale mnie na pewno nie.
- Chyba jednak będzie pan musiał obejść się smakiem. Zresztą obydwaj powinniśmy mieć jasny umysł, bo mam ważną sprawę do obgadania.

- Jak tu mieć jasny umysł, skoro ta kobieta nie chce dać mi whisky? - westchnął Daniel, po czym wygodnie rozsiadł się w fotelu przy kominku i zaczął gładzić swoją długą, białą brodę. - Mówisz, chłopcze, że chcesz ze mną pogadać. A cóż to się stało?

- Jakby to panu powiedzieć... No dobrze, powiem tak: okazuje się, że intuicja nie zawiodła Amelii.

- Amelii mówisz... - Stary spojrzał na niego wzrokiem niewinnym jak u dziecka. - A, prawda, przecież ona ci pomaga pisać tę twoją książkę. No i jak wam idzie?

- Co? Jej pomoc czy mi pisanie?

- I to, i to.

- Jeśli chodzi o pomoc, to miał pan stuprocentową rację. Amelia jest prawdziwą kopalnią złota, a raczej fachowej wiedzy.

- A nie mówiłem, że to mądra dziewczyna? Zresztą, ma to po babci.

- Z pana też lepszy spryciarz. „Idź do niej do szpitala, chłopcze. Amelia jest osobą, której szukasz” - zacytował słowa Daniela.

- A co, nie jest? - zapytał stary niewinnie. W duchu pomyślał sobie, że z tego Bransona jest łebski gość, skoro od razu pojał, w czym rzecz. Zresztą gdyby taki nie był, Daniel na pewno nie wybrałby go dla swojej wnuczki.

Branson mocniej oparł się o fotel.

- Myśli pan, że pański plan się powiódł? - zapytał. - Pewnie wydaje się panu, że pani doktor przyjęła mnie z otwartymi ramionami i teraz spodziewa się pan podziękowań za to, że rzucił mnie pan do jej stóp?

- Chcesz wiedzieć, co myślę? Ano myślę, że wszystko w twoich rękach.

- Danielu, coś ty znowu zrobił? - zapytała Anna, która pojawiła się w salonie z ruchomym stolikiem, na którym stały filiżanki i czajniczek do herbaty.

- Nic, moja droga. Absolutnie nic.

- Niech pani go nie słucha - zaprotestował Branson. - Pani mąż postanowił wyswatać mnie z waszą wnuczką.

- Z naszą wnuczką? Z którą? - spytała zdezorientowana Anna.

- Z Amelią

- Danielu! - odezwała się do męża w sposób, w jaki zwykle mówi się do nieposłusznego dziecka. - Tyle razy prosiłam cię, żebyś nie robił takich rzeczy. Przecież nie raz rozmawialiśmy o tym, że nie wolno wtrącać się w sprawy naszych dzieci.

- A czy ja się wtrącam? W końcu co wielkiego się stało? Dzięki mnie Amelia poznała porządnego, mądrego chłopaka. Czy to zbrodnia? Zresztą Branson miał do niej interes, więc nie rozumiem, o co tyle krzyku.

- O intrygę - wtrącił Branson, ale w jego głosie nie słychać było gniewu. - O wścibstwo - dodał. - Choć powiem szczerze, że tym razem nie mam o to pretensji. Wręcz przeciwnie, nawet jestem zadowolony.

- A widzisz! - zawołał Daniel tryumfalnie, ale szybko się zreflektował, że być może za wcześnie odkrywa karty, bo zaraz zrobił obrażoną minę i gniewnym głosem oznajmił: - Przestańcie mnie, proszę, oskarżać o wścibstwo, intrygi i co tam jeszcze chcecie!

- Ależ Danielu, uspokój się! Wiesz przecież, że lekarz zabronił ci się denerwować. - Anna łagodnie położyła dłoń na ramieniu męża.

- Do diabła z lekarzami! Kto by ich słuchał! A nasza Amelia to dziewczyna jak złoto. Mądra, porządna, pracowita, no i z doskonałej rodziny.

- Nie musi pan jej zachwalać - wtrącił Branson chłodno - mam tylko nadzieję, że nie będzie pan próbował reklamować mnie w podobny sposób. Naprawdę nie chciałbym, żeby pan wszystko popsuł, zanim zdąży cokolwiek zdziałać.

- Patrzcie no! Zanim zdąży cokolwiek zdziałać! - Rozłoszczony Daniel uderzył pięścią w poręcz fotela. - Miesiąc minął, a on mi tu mówi, że jeszcze nic nie zwojował! Coś ty robił przez cały ten czas?

- Danielu, tego już za wiele! - Anna była wyraźnie porirytowana porywcznością męża. Długoletnie życie z krewkim Szkotem nauczyło ją jednak, że tylko cierpliwością można go poskromić, dodała więc znacznie bardziej spokojnym tonem: - Dlaczego nie zostawisz Bransona w spokoju?

- Zostawić go w spokoju? Widzisz przecież, co się dzieje! Miesiąc mija, a on ciągle w lesie! Jak tak dalej pójdzie, to będę musiał żyć sto lat, żeby wreszcie doczekać się jakichś rezultatów!

- Życzę panu i dwustu lat, ale prawdę mówiąc, przyszedłem tutaj właśnie po to, żeby nie musiał pan tak długo czekać.

- No widzisz! - zwrócił się Daniel do żony. - No więc mów że wreszcie, drogi chłopcze, o co chodzi! - ponaglił Bransona.

- Pańska wnuczka nie chce współpracować.

- Jak to współpracować? O czym ty mówisz? Przecież to twoje zmartwienie, żeby ją oczarować, rozkocharać w sobie, jakoś zjednać. To ja, stary, mam cię uczyć, co powinien robić zakochany mężczyzna?

- Nie jestem pewien, czy „zakochany” to właściwe słowo w tej sytuacji - zauważył Branson.

- Nie? - W oczach Daniela pojawiły się groźne błyski. - A jakie ty masz zamiary wobec mojej wnuczki, co?

- Będę z panem szczerzy. Sam jeszcze nie wiem, jak nazwać to, co czuję do Amelii. Na pewno bardzo mi się podoba, jestem nią mocno zaintrygowany. Rzeczywiście, zdaje mi się, że się w niej prawie zakochałem.

- Dlaczego tylko „prawie”?

- Oj, Danielu, zawsze byłeś w gorącej wodzie kapany - roześmiała się Anna.

- Po prostu nie lubię niedoróbek! - zachnął się starszek.

- Co może zdziałać człowiek, który wszystko w życiu robi „prawie” dobrze?

- Dla mnie to i tak za wiele - przyznał Branson. - I nie zamierzam się bardziej angażować, póki nie będę miał pewności, że Amelia jest również zainteresowana. Jakoś mi się dotąd udawało uchronić serce przed najróżniejszymi ciosami i nie zamierzam tego zmieniać. Żadna kobieta nie będzie bawić się mną jak zabawką... - przerwał na moment, żeby zebrać myśli, ale już po chwili mówił dalej: - Chodzi mi o to, że ma pan opinię sprytnego człowieka. Zresztą bez tego nie byłby pan dziś tym, kim jest. Dlatego pomyślałem sobie, że taki wytrawny gracz, jak pan zawsze bierze pod uwagę wszystkie za i przeciw. Poza tym zna się pan ludziach, czyta pan w ich sercach jak w książce. Skoro więc zdecydował się pan „podstawić” mnie swojej wnuczce, musiał pan najpierw ustalić, czy taki zamysł ma jakiegokolwiek szanse powodzenia.

- Mądrze mówi - pochwalił Daniel i pogłaskał Annę po dłoni. - Teraz już wiesz, dlaczego tak bardzo go lubię. Pomimo że jest Irlandczykiem!

- Proszę się tak nie cieszyć - ostrzegł Branson. - Wcałe jeszcze nie powiedziałem, że Amelia i ja pasujemy do siebie... Choć nie jest wykluczone, że jakoś się to wszystko ułoży - dodał szybko, by Daniel znów nie uniósł się gniewem. - W każdym razie chcę przynajmniej spróbować. Bardzo chcę. Pan zna Amelię lepiej niż ktokolwiek inny, więc...

- Amelię... - Daniel powtórzył ton głosu Bransona. - Słyszysz, jak on wymawia jej imię? - zwrócił się do żony. - Amelię... Oj, chłopcze, czuję, że wpadłeś po uszy.

- Możliwe. I dlatego chciałbym państwa o coś poprosić.
- Branson popatrzył teraz na nich oboje. - Znacie Amelię całe

życie, ja tylko kilka tygodni. Czy moglibyście jakoś mi pomóc, poradzić, w jaki sposób do niej trafić. Po prostu trochę informacji, na przykład o tym, co lubi, a czego nienawidzi. Zresztą każda wskazówka będzie cenna.

- Wydaje mi się, że Amelia wysoko ceni uczciwość - odezwała się ostrożnie Anna.

- To dobrze, bo nie mam zamiaru być nieuczciwy. Niczego nie będę przed nią ukrywał.

- Tę dziewczynę trzeba jednak czymś oczarować, zrobić coś takiego, żeby nagle straciła głowę. Pamiętam, że w dzieciństwie to właśnie ona najgłośniejsz domagała się bajek o zaklętych królewnach i zakochanych królewiczach - westchnął Daniel z rozrzewnieniem.

- Tak... Ale przy tym wszystkim musi czuć się niezależna. Wiem, że jest dumna ze swoich osiągnięć, z pracy, z tego, że jest wolna - dodała Anna w zamyśleniu.

- No, moja kochana, chyba nie chcesz mi tu powiedzieć, że nie robią na niej wrażenia pęki róż, spacerzy przy księżycu, westchnienia i całe to zawracanie głowy!

- Mój drogi, przecież wcale tak nie twierdzą. Po prostu mówię, że ona bardzo siebie ceni i na pewno nie pozwoli zrobić z siebie kury domowej. Poza tym często mówi o tym, jak ważne jest dla niej partnerstwo, wzajemny szacunek i lojalność.

- Uff... - Branson nerwowo zmierzwił włosy. - Dzięki za informację. Postaram się zrobić z nich dobry użytek.

Daniel i Anna popatrzyli na siebie i jak na komendę wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Przepraszam, ale chyba nie zrozumiałem dowcipu. - Branson poczuł się mocno zdezorientowany.

- Nic dziwnego, chłopcze, bo to było długo przedtem, nim pojawiłeś się na tym świecie - powiedział Daniel i czule pogładził żonę po policzku. - Mało tego, nawet nie zanosilo się na to, żeby pojawił się na nim twój własny ojciec. Ale zaraz

ci wszystko wytłumaczę. To, co powiedzieliśmy o Amelii, to najświętsza prawda. Ona potrzebuje tych wszystkich rzeczy i wymaga ich od mężczyzny. Dokładnie tak samo, jak wymagała cudna Anna Whitfield od nieokrzesanego Szkota, którego poznała kiedyś na letnim balu. I choć było to z górą sześćdziesiąt lat temu, wciąż pamiętam, jak była piękna w swojej różowej sukni. Taką ją pierwszy raz zobaczyłem, od razu pokochałem i niezmiennie kocham do dziś.

- Ale sama miłość, choćby najgorętsza, nie wystarczy - Anna uśmiechnęła się łagodnie. - Naprawdę trwało bardzo długo i wymagało ogromnej pracy, żeby Daniel w końcu to zrozumiał. A wtedy dał mi wszystko, czego szukałam, a nawet więcej. Jeśli chcesz mojej rady, Bransonie, to powiem ci jedno: po prostu bądź sobą. I pozwól jej na to samo. Myślę, że właśnie od tego powinieneś zacząć.

Boże, dzięki ci, że natchnąłeś mnie myślą, żeby jechać własnym samochodem, pomyślała Amelia i westchnęła z ulgą. Całe szczęście była już pod domem, a beznadziejnie długi wieczór, który spędziła na szpitalnym bankiecie, należał do przeszłości. Odruchowo spojrzała na zegarek - dopiero północ, a ona czuła się tak znużona, jakby miała za sobą czterdziestoośmiogodzinny dyżur.

Otrząsnęła się ze wstrętem, wspominając wydarzenia z bankietu, który zdawał się nie mieć końca. Koszmar. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie wynudziła. Były momenty, kiedy prawie zasypiała na stojąco. Nie było tam absolutnie nic godnego uwagi, no, może z wyjątkiem Grega, który kilka razy atakował pod stołem jej udo. W którymś momencie pomyślała, że jeżeli jeszcze raz poczuje na sobie jego ciepłą, spoconą dłoń, to wbije mu nóż w plecy.

Poza tym nuda, nuda i jeszcze raz nuda.

Co ciekawsze, kiedy podniesione głosy bankietowiczów i wrywały ją na moment z letargu, natychmiast zaczynała my-

śleć o Bransonie. Próbowwała wyobrazić sobie, jak by się zachował i co by powiedział, słysząc napuszone przemówienia najróżniejszych ważniaków wbitych w przyciasne smokingi. Na pewno zaraz znalazłby jakąś ironiczną puentę, a ona musiałaby z trudem hamować śmiech. I pewnie miałby wiele ciekawych rzeczy do powiedzenia na temat ohydnej potrawy z kurczaka, którą zaserwowano jako danie główne. Tak, tak, gdyby Branson był obok niej zamiast Grega, to pewnie poszliby tańczyć, zamiast przez bite półtorej godziny gadać o zabiegach z użyciem lasera.

Przenikliwy chłód grudniowej nocy wyrwał ją z zamyślenia i zmusił do wyjścia z samochodu. Znowu ten Branson. Przystań ciągle o nim myśleć, skarciła w myślach samą siebie i prawie biegiem ruszyła do drzwi wejściowych. W końcu nie kto inny, tylko ona sama odrzuciła jego propozycję spędzenia wspólnie wieczoru. Nie chciała, żeby z nią poszedł, więc nie ma teraz prawa narzekać, że było nudno. Już za chwilę będzie w swoim pokoju, weźmie jakąś książkę i kieliszek brandy, skuli się przy kominku i zapomni o Bransonie, Gregu i całej reszcie, która tak bardzo załazła jej za skórę.

Była już pod drzwiami, kiedy nagle zobaczyła jakiś dziwny przedmiot stojący na stopniach bocznej werandy. Zaintrygowana, podeszła bliżej. W żółtym świetle lampy dostrzegła jakieś drzewko w doniczce. Pochyliła się nad nim i rozpoznała miniaturową choinkę, której gałązki były przystrojone gruszkami uszytymi ze złotego jedwabiu. Na jednej z nich siedział maleńki, wypchany ptaszek i trzymał w dziobie małą kopertę, zaadresowaną do doktor Amelii Blade.

Nie czekając ani chwili dłużej, sięgnęła po nią i nerwowo rozerwała brzeg.

Wyobraź sobie, że dzisiaj jest Boże Narodzenie!...

\

Bran

Zielone gałązki, złote gruszcзки, przepiórka.

Amelia była zachwycona. Porwała drzewko w ramiona i nie zważając na kłujące świerkowe igiełki, wykręciła na stopniach werandy taneczny piruet.

A więc Bran jednak myśli o niej!

Zahuściła jedną z bombek. Pękaty ptaszek dostał pieszczotliwego pstryczka w dziób. Już miała pobiec ze swoim skarbem do domu, kiedy zatrzymała ją nagła myśl. Z czego się cieszysz, idiotko? Jak mogłaś do tego dopuścić? Ciekawe, jak się teraz z tego wyplącesz?

Rozdział piętnasty

Kiedy po dziesięciu godzinach Amelia zeszła wreszcie z bloku operacyjnego, nogi uginały się pod nią ze zmęczenia. Miała za sobą asystowanie przy wyjątkowo skomplikowanym zabiegu, ale była bardzo zadowolona, że pozwolono jej wziąć w nim udział. Cena za nowe doświadczenie nie była zbyt wysoka, bo czym jest ból nóg i skurcze w palcach obu rąk, w porównaniu z możliwością podpatrzenia, jak pracuje jeden z najlepszych fachowców w Bostonie. W ciągu kilku godzin, które spędziła przy stole, nauczyła się więcej niż przez miesiąc studiowania fachowych czasopism.

Teraz wolno szła w stronę korytarza i w myślach napawała się poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Byłoby wprost idealnie, gdyby nie zdrętwiałe palce, które musiała ciągle rozcierać. Na szczęście jej dyżur właśnie się kończył, więc jeśli nie wydarzy się nic ważnego, będzie mogła z czystym sumieniem odbić kartę zegarową i powędrować do domu.

Branson czekał na nią na końcu korytarza. Kiedy go zobaczyła, jej i tak doskonały nastrój jeszcze się poprawił.

- Powiedzieli mi, że jesteś na bloku i cerujesz jakiegoś pechowca - zaczął bez powitania, które widocznie uważał za stratę czasu.

- Witaj - uśmiechnęła się promiennie. - Nie ja cerowałam. Asystowałam tylko przy zabiegu. Facet nieźle się urządził podczas cięcia piłą tarczową.

- Auuu!

- Żebyś wiedział, że „au!”. No, ale wygląda na to, że udało nam się uratować mu ramię. Miał szczęście, że dostał się w ręce doktora Merita.

- Taki jest dobry?

- To chyba najlepszy specjalista w mieście, może nawet w całym stanie. Myślę, że nikt inny nie poradziłby sobie z tym przypadkiem. A sprawa wyglądała naprawdę paskudnie. Pacjent stracił dużo krwi, był w szoku pourazowym, a piła głęboko rozerwała tkankę mięśniową i uszkodziła nerwy. W dodatku facet nie był najlepszym kandydatem do długiego zabiegu, bo ma chyba ze czterdzieści kilo nadwagi. Baliśmy się, że serce mu nie wytrzyma... - przerwała i popatrzyła na Bransoną przepraszająco. - Wiem, okropnie się rozgadałam, a ciebie pewnie nie interesują te wszystkie szczegóły.

- Wprost przeciwnie. Interesuje mnie wszystko, co dotyczy twojej pracy. I nie tylko. No, powiedz mi, co będzie z tym pechowym drwalem.

- Nic. Do wesela się zagoi. Jestem pewna, że za rok znowu pójdzie z piłą po następną choinkę.

- A właśnie. Masz już drzewko?

- Co ty... Jak dobrze pójdzie, to kupimy je z Julią w najbliższy weekend.

Mocno pchnęła wahadłowe drzwi oddzielające korytarz od pokoi dla personelu. Branson wszedł za nią do jednego z nich i stanął tuż za jej plecami, ona zaś zaczęła studiować z uwagą tablicę z rozkładem dyżurów oraz informacjami o planowanych zabiegach.

- W porządku, nikt niczego ode mnie nie chce, więc mogę spokojnie się stąd ulotnić - westchnęła, nie kryjąc ulgi.

- To znaczy, że już wychodzisz?

- Za dziesięć minut. Ale nim zniknę, muszę koniecznie napić się kawy.

- W porządku, dziesięć minut wystarczy, żebym załatwił to, z czym tu przyszedłem.

- A właśnie, co cię sprowadza? Nie mówiłeś, że wpadniesz dziś do szpitala.

- Mam kilka spraw. Po pierwsze... - Zaczął grzebać

w kieszeniach kurtki, wreszcie wyciągnął to, czego szukał, i podał jej na wyciągniętej dłoni.

- Co to jest? - Przez moment stała nieruchomo i spoglądała to na jego twarz, to na małe srebrne pudełeczko. - Posłuchaj Branson, uważam, że powinieneś przestać.

- Dlaczego?

- Nie możesz obsypywać mnie prezentami.

- Dlaczego?

- Bo nie.

- To nie jest żadna odpowiedź. Poza tym wydawało mi się, że podobają ci się moje podarunki. Domyśliłaś się już chyba, dlaczego w takiej kolejności je dostajesz.

Owszem, domyśliła się. Dostała już od niego choinkę-gruszę, na której siedziała przepiórka, broszkę w kształcie dwóch gołąbków, trzy kwoki zrobione z delikatnej porcelany, cztery ptaszki z czekolady.

Wszystkie prezenty symbolizowały sceny z popularnej bajki, którą tradycyjnie opowiada się dzieciom w czasie świąt. Bajka ma tytuł „Dwanaście świątecznych dni”, a każdego z owych bajkowych dni pojawia się w niej tyle różnych przedmiotów, ile dni upłynęło od pierwszego dnia świąt. Ponieważ Branson zakończył na czterech ptaszkach, Amelia mogła spodziewać się jeszcze ośmiu niespodzianek.

- Ciekawa jestem, co zrobisz, kiedy będziesz musiał podarować mi dziewięć tańczących dam?

- Nie bój się, coś wymyślę. Nie chcesz wiedzieć, co jest w środku? - kusił, potrząsając pudełeczkiem.

Ponieważ nie ruszyła się z miejsca, sam do niej podszedł i włożył jej w dłoń swój prezent. Potem z satysfakcją obserwował zachwyty na jej twarzy i z radością słuchał słów podziwu, z jakimi witała ukryty w pudełeczku naszyjnik.

- Boże, jakie to piękne! Branson, skąd wytrzasnąłeś takie чудо?

- Mam swoje sposoby. Cierpliwość, determinacja i upór - oto recepta na sukces. Chodź do mnie, to ci go zapnę.

Podeszła i podała mu misternie pleciony złoty łańcuszek. Ponieważ bajkowa historia wymagała, aby piątego dnia po Bożym Narodzeniu pojawiło się pięć złotych pierścieni, na łańcuszku połyskiwało właśnie tyle grawerowanych obrączek.

Branson wprawnymi palcami zatrzasnął malutkie zapięcie, po czym ujął Amelię za ramiona i odwrócił ją twarzą do siebie.

- Wygląda interesująco - skomentował zaskakujące zestawienie złotej biżuterii z chirurgicznym fartuchem.

Amelia popatrzyła na migoczące w jarzeniowym świetle drobne ogniwa i delikatnie wzięła łańcuszek w dwa palce.

- Naprawdę nie powinnam tego przyjmować.

- Właśnie, że powinnaś. Przecież ci się podoba.

- Oczywiście, że mi się podoba. Jest bardzo oryginalny, i taki piękny - westchnęła, ale w głębi duszy wiedziała, że to, co robią, nie ma absolutnie żadnego sensu. W końcu prawie w ogóle się nie znali. Byli jedynie przypadkowymi znajomymi i chyba chciała, żeby tak pozostało. - Powiedz mi, Branson, dlaczego to robisz? - zapytała.

- Bo cały czas siedzi we mnie ten wirus. Ten okropny wirus, który zaatakował mnie pewnej niedzieli, kiedy swoimi zgrabnymi palcami pakowałaś świąteczne prezenty... - mówił coraz ciszej, aż w końcu jego głos przeszedł w gorący szept, który wyraźnie poczuła na policzku. Wreszcie pochylił się nad nią i delikatnie musnął ustami jej wargi. - Powiem więcej, pani doktor: ten wirus rozwija się we mnie. Może więc zechciałaby pani jakoś mi pomóc? Może pójdziemy wreszcie na tę kolację przy świecach? Co pani na to?

- Nie mam ani stroju, ani nastroju na kolację przy świecach.

W jej głosie nie było słyhać stanowczości, więc postanowił to natychmiast wykorzystać. Objął ją w pól, przyciągnął do siebie i spróbował delikatnej perswazji:

- Co do stroju, to wyglądasz przepięknie nawet w tym rzeźnickim fartuchu. A o odpowiedni nastrój jakoś się razem postaramy.

Nie protestowała, nie próbowała uciec, choć czuł, że walczy ze sobą, że broni się przed nim i przed swoimi uczuciami. Na ten moment czekał od wielu dni.

- Amelio - szepnął znowu - wiesz, że bardzo tego chcę. Chcę być z tobą, chcę kochać się... Nie mogę myśleć o niczym innym poza tobą. Chyba oszalałem na twoim punkcie.

- Nie tylko ty - odparła cicho i nim zdrowy rozsądek zdążył wziąć górę nad emocjami, pocałowała go pierwsza. Jej pocałunek był mocny i głęboki, pełen pasji i namiętności, która musiała wrzeć gdzieś głęboko pod warstwą pozornego chłodu. Nagle oderwała wargi od jego warg, zrobiła mały krok w tył i patrząc mu prosto w oczy, powiedziała: - Odkąd pojawiłeś się w moim życiu, nie umiem dać sobie rady ze swoimi uczuciami. Nie wiem sama, co o tym myśleć.

- Więc nic nie myśl - głos drżał mu lekko pod wpływem wzburzenia. - Nie myśl, lecz daj się ponieść. Choć na moment przestań analizować, badać, kalkulować. I chodź ze mną, błagam cię! - Teraz on pocałował ją niespodziewanie. Ujął jej twarz w obie dłonie i całował oczy, usta, nos, czoło. Chwytał zębami pasemka jej włosów, chował w nich twarz. - Błagam cię, Amelio - powtarzał - pozwól mi zbliżyć się do siebie, pozwól się dotykać, pozwól...

- Tak... - Amelia nie była w stanie dłużej się opierać. - Ja też... bardzo... chcę... - Dotknęła dłońmi jego twarzy, wsunęła palce w gęste włosy. - Nigdy nie pragnęłam nikogo tak, jak ciebie. Nigdy! I nikt inny nie miał i nie będzie miał prawa mnie dotknąć. Tylko ty...

Branson nie wiedział dokładnie, ile trwało, nim jego rozpalona głowa zdołała pojąć znaczenie słów Amelii. W końcu jednak dotarł do niego sens tego, co przed momentem zostało powiedziane - Amelia była nietknięta, czysta, nieskalana. Spotkał na swej drodze prawdziwą królową z bajki, oczekującą w uspianiu na tego jedyne go, który potrafi znaleźć sposób, aby obudzić jej ciało.

Książę z bajki, przemknęło mu przez myśl i wtedy się przestraszył. Chyba nie był przygotowany do takiej roli i takiej odpowiedzialności. Miałyby być jej pierwszym, najważniejszym, idealnym kochankiem? A co będzie, gdy ją zawiedzie?

- Ja ... - zaczął niepewnie i lekko zwolnił uścisk. - Ja nie wiem, czy potrafię docenić... zrozumieć to, co chcesz mi ofiarować. Nie chciałbym, żebyś się rozczarowała. To znaczy nie chciałbym zrobić ci...

- Posłuchaj - odezwała się nagle dziwnie trzeźwym tonem - jestem w końcu lekarzem i wiem, na czym polega ta zabawa.

- Nie rozumiałaś mnie - wtrącił szybko Branson, z trudem hamując śmiech - to, o czym myślę, nie ma nic wspólnego z anatomiczną, czy jeśli wolisz, cielesną stroną miłości. Nie wszystko da się sprowadzić do czystej biologii, droga doktor Quinn.

- Doktor co?

- Słyszałaś przecież. - Teraz już śmiał się otwarcie, widząc jej zaskoczoną minę. - Uwierz mi, że medycyna będzie ostatnią rzeczą, o jakiej pomyślisz, kiedy wreszcie znajdziemy się w sypialni - zażartował, lecz Amelię lekko zirytował ten śmieszny przejaw męskiej próżności.

- Przypominam, że przed tobą wciąż daleka droga. - Spojrzała mu hardo w oczy. - I możesz być pewien, że jeśli będziesz nabijał się z tego, że nie mam doświadczenia w... w tych sprawach... to nigdy więcej mnie nie zobaczysz!

- Skąd ci przyszło do głowy, że twój brak doświadczenia wydaje mi się zabawny? Wręcz przeciwnie, jest dla mnie cudownie podniecający. I wiesz, co sobie pomyślałem? - Wziął ją za rękę i pociągnął w swoją stronę. - Pomyślałem, że najpierw zjemy tę naszą kolację przy świecach, a potem z największą przyjemnością udzielię ci pierwszej lekcji anatomii, widzianej z całkiem innej perspektywy. Co ty na to? Chciałabyś mieć takiego nauczyciela?

- Nie jestem pewna, ale... - nie zdążyła dokończyć, bo

gdzieś blisko nich rozległ się przenikliwy elektroniczny dźwięk. Upłynęło kilka sekund, zanim rozpoznała, że jest to brzęczenie jej własnego bipera. - Przepraszam - powiedziała i z ulgą sięgnęła do kieszeni. Odczytała wyświetloną na ekraniku informację, po czym chwyciła coś z biurka i bez namysłu wybiegła na korytarz.

Jeszcze w drzwiach wpadła na stażystę, który od paru chwil szukał jej w pokojach lekarskich.

- Doktor Blade, już się bałem, że poszła pani do domu - zawołał. - Jest pani natychmiast potrzebna w izbie przyjęć. Była strzelanina, są ranni. Pogotowie wiezie do nas dwunastoletniego chłopaka postrzelonego w klatkę piersiową i brzuch. Będą za dwie minuty.

Branson, który wybiegł za Amelią z pokoju, stał teraz z boku i z najwyższym zdumieniem obserwował gwałtowną przemianę, jaka w niej nastąpiła. W mgnieniu oka zniknęła gdzieś czarująca, uległa i speszona księżniczka z bajki, którą dopiero co trzymał w objęciach. Zamiast niej pojawiła się kompetentna, opanowana kobieta w zielonym kitlu. Mówiła chłodnym, rzeczowym głosem, który ani trochę nie przypominał cichego szeptu wzruszonej Amelii. Poza tym jej sylwetka nie miała w sobie nic z miękkiej uległości - plecy były wyprostowane, a mięśnie napięte, jakby czaiła się do skoku. W skupionych oczach nie było ani śladu rozmarzenia, które tak bardzo go zachwycało zaledwie parę chwil temu.

Coraz bardziej zdumiony Branson w napięciu obserwował, jak na korytarzu pojawia się coraz więcej ludzi w lekarskich fartuchach. Amelia mówiła do nich podniesionym głosem. Po chwili pierwsza pobiegła w stronę ciężkich wahadłowych drzwi. Mocnym pchnięciem wprawiła je w ruch i dopiero wtedy reszta personelu ruszyła za nią. Na końcu biegł Branson.

Niedługo potem na dziedzińcu szpitala rozległ się ogłuszający jęk karettek. Sanitariusze pospiesznie wtoczyli nosze do holu. Amelia biegła obok nich i pochylała się nad rannym chło-

pcem. Opanowanym głosem wymieniała z załogą karetki informacje na temat leków, które mu podali, i tego, czy po drodze dawał jakiegokolwiek znaki życia. W nerwowym pędzie wkładała na siebie gumowe rękawiczki i fartuch, a biegnąca za nią siostra wprawnie wiązała na jej twarzy maskę ochronną. Zaraz potem obciążone gumowymi rękawicami dłonie Amelii zaplamiły się krwią.

Fotograficzna pamięć Bransona rejestrowała scenę po scenie. Jego uwadze nie umknął żaden szczegół - kurtka, kłapa ogrodniczek na brzuchu postrzelonego dzieciaka, ciemny, sztywny, pokryty brunatnymi plamami materiał. Jakaś kobieta, zanosząca się od płaczu, i mężczyzna, który krzyczy, pyta, żąda informacji. Lekarze i sanitariusze znikający za zakrętem korytarza, przeszklony pokój izby przyjęć.

I głos Amelii, mocno zduszony przez taflę grubego szkła:

- Przykro mi, ale nie mogą państwo tu zostać! Proszę wyjść na korytarz!

- Ale nic mu nie będzie, prawda? Wyjdzie z tego? Boże, przecież on nikomu nic nie zrobił. Po prostu szedł ulicą, wracał od kolegi. Mój synek, moje dziecko! Mój Scotty!

- Chodźmy, chodźmy, dajmy im go ratować.

- Tak, niech państwo wyjdą. Bardzo proszę! Siostro, sześć jednostek zero Rh minus, natychmiast. Musimy zrobić transfuzję.

- Niech się państwo uspokoją, tu są drzwi, poczekam z państwem na korytarzu.

- Nic mu nie będzie, prawda?

- Scotty jest w dobrych rękach, proszę pani. Doktor Blade jest doskonałym lekarzem i na pewno mu pomoże. Tylko nie mogą jej państwo przeszkadzać.

Rodzice chłopca zostali wyprowadzeni przez sanitariusza na korytarz, a Amelia zaczęła uwijać się przy noszach jak w ukropie. Jej zwinne dłonie błyskawicznie poruszały się wśród płataniny rurek, przez które tłoczono do żył chłopca

jakieś płyny. W pewnej chwili gdzieś ze zwojów pociętej koszuli Scotty'ego wytrysnął strumień krwi i naznaczył fartuch Amelii jaskrawą pręgą biegnącą w poprzek piersi.

- Rozerwana tętnica! Natychmiast założyć zacisk!
- Spada ciśnienie, słaby puls.
- Co z krwią? Są już wyniki badań?
- Za moment, pani doktor.

Co chwilę słyhać było kolejne polecenia wydawane przez Amelię. Starła się z całych sił, walczyła o każdą sekundę tego młodego życia, ale Branson miał złe przeczucia. Kiedy patrzył na jej twarz, zdawało mu się, że Amelia wie, iż walka jest nadaremna. Być może było to złudzenie, lecz jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że wszystkie jej wysiłki są próżne i że jest za późno na ratunek. Scotty umierał.

- W tej chwili to wypłuczcie! Do cholery, nic tu nie widać! Znalazłam miejsce, którym wyszła kula. Niech ktoś leci po zdjęcia!

- Są.

- Gdzie? Natychmiast muszę wiedzieć, ile razy dostał. No, dalej Scotty! Scotty, słyszysz? Nie poddawaj się tak łatwo! Dalej, chłopie!

Nie, Amelia jeszcze nie zważyła, jak zdawało się Bransonowi. Walczyła zaciekle o życie chłopca, starała się, jakby był jej własnym dzieckiem. Pot płynął jej z czoła, strugami lał się po plecach, lecz ona tego nie czuła. Wierzyła, że jeszcze można wygrać. Wiedziała, że bywają chwile, kiedy śmierć traci nagle czujność i daje się jakoś oszukać. Wtedy czasami udaje się wyrwać ofiarę z jej pazernych łap.

Na ekranie monitorującym pracę serca pojawiła się ciągła linia.

- Elektromasaż! Już! - krzyknęła Amelia i w jednej sekundzie czyjeś ręce wyciągnęły w jej stronę dwie elektrody. Chwyliła je mocno i wyczekawszy na odpowiedni moment, pewnym ruchem przyłożyła do piersi chłopca. - Teraz! - za-

wołała i w tej samej chwili szczupłe ciało podskoczyło przeszyte elektrycznym impulsem. - No, dawaj! Proszę cię... Jeszcze raz! Teraz!

Po drugim wstrząsie monitor pokazał, że serce ruszyło.

- Wznowiona akcja serca, rytm słaby, nierówny.

- Dobra, zróbcie mu zastrzyk z adrenaliny! Już!

- Akcja słabnie.

- Scotty, proszę... - Amelia popatrzyła na biedne, drobne ciało, które jakoś nie chciało przeciwstawić się śmierci. - Proszę cię, wytrzymaj jeszcze chwilę. Czy blok operacyjny gotowy?

- Gotowy.

- Spada ciśnienie! Brak pulsu!

Zakłęta głośno i gwałtownie pochyliła się nad stołem.

- Potrzebuję tu kogoś! Zaczynamy reanimację! Masaż serca i sztuczne oddychanie!

Starła się nie patrzeć na twarz chłopca. Nie mogła jednak nie zauważyć jego delikatnych, białych rysów i czarnych loków, które spadały mu na ramiona. Wyglądał, jakby przed chwilą zasnął.

Nie myśl o tym, skup się, nie myśl, tylko działaj!

- Dajcie mi dwie jednostki krwi. Szybko! Musimy zabrać go na górę!

Wahadłowe drzwi otworzyły się z hukiem, na podłodze zaterkotały metalowe kółeczka. Grupa ludzi w fartuchach popędziła w stronę olbrzymiej windy. Sanitariusze biegli, pchając nosze przed sobą. Amelia ani przez moment nie przestawała rytmicznie uciskać dziecięcej, szczupłej klatki piersiowej. Nie czuła bólu ramion, nie widziała nic poza coraz bardziej nieobecna twarzą dziecka, które miało pecha i znalazło się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Nie odchodź, Scotty! Jeszcze chwilę!

Zostań ze mną, pomóż mi! Walcz!

Ostatnią sceną, jaką zapamiętał Branson, był moment, kiedy

cała grupa reanimacyjna znikąca za drzwiami windy. Na opustoszałym korytarzu zostali zrozpaczeni rodzice Scotty'ego, jeden z sanitariuszy i on.

Szczelina w drzwiach robiła się coraz węższa. W ostatniej sekundzie udało mu się dostrzec wyraz oczu Amelii. Była w nich determinacja i wola walki.

Po ponad dwóch godzinach ta sama winda zwiózła ją na dół. Teraz widział na jej twarzy rezygnację i ból. Ręce zwisały bezwładnie wzdłuż ciała, plecy przygarbiły się, jakby przygniatał je jakiś niewidzialny ciężar. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby natychmiast wszystko zrozumieć.

Scotty nie żyje. Nie udało się go uratować.

- Amelio...

Nie powiedziała nic, tylko pokręciła głową. Przeszła obok niego, jakby był powietrzem, i skierowała się prosto do biurka rejestratorki. Szybko zebrała swoje papiery, jakieś notatki połączone spinaczem i odbiła kartę zegarową. Przez cały ten czas nie odezwała się słowem do nikogo. Nie odpowiedziała nawet pielęgniarce, która życzyła jej dobrej nocy. Minęła ją obojętnie i wolno poszła w stronę szatni.

- Amelio... - Branson ruszył za nią - tak mi przykro.

- Zdarza się. I tak nie miał żadnych szans. Stracił je już wtedy, kiedy jedna z kul przeszła przez serce. - Wyjęła z szafki swoje ubranie. Szybko zrzuciła krótki fartuch i włożyła wełniany sweter. - Niepotrzebnie czekałeś. Nie mam siły ani ochoty na towarzystwo.

- Odwiozę cię.

- Dziękuję, mam samochód na parkingu.

- Chyba nie sądzisz, że zostawię cię samą w takim stanie?

- W jakim stanie? Myślisz, że to był pierwszy pacjent, którego straciłam? Nie, nie był pierwszy i pewnie nie będzie ostatni. Zrobiliśmy wszystko, co w ludzkiej mocy, ale niestety, nie da się wygrać z Panem Bogiem. - Wzruszyła ramionami, upchnęła do torby papiery i założyła płaszcz.

Na zewnątrz powitał ją zimowy wieczór, cichy i spokojny. Na lekkim wietrze wirowały drobne płatki suchego śniegu i wolno opadały na jej jasne włosy, gdzie szybko zamieniały się w kropelki wody.

- Odwiozę cię do domu - zaproponował znowu Branson.

- Daj mi święty spokój! No, puść! - Wyrwała się gwałtownie, kiedy próbował wziąć ją pod ramię. Zatrzymała się i popatrzyła na niego nieobecny wzrokiem. - Posłuchaj, Branson. Nie potrzebuję, żebyś się o mnie troszczył. Mówiłam ci już, że mam samochód i powtarzam, że sama dojadę do domu. Nie chcę, żebyś ze mną jechał, w ogóle nie chcę, żebyś się przy mnie kręcił!

Przeraziły ją własne słowa, umilkła więc gwałtownie i przycisnęła dłonie do skroni. Nagle zrobiło jej się zimno. Twardy skurcz ścisnął jej gardło i pomyślała, że jeszcze chwila, a się rozpłacze.

- Przepraszam, przepraszam cię bardzo - powiedziała cicho. - Boże, sama nie wiem, co się ze mną dzieje. Zostaw... - odsunęła się, gdy próbował ją przytulić. - Chyba muszę się przejść.

- W porządku - westchnął Bran. - W takim razie chodźmy.

Wsunął ręce do kieszeni kurtki i bez słowa szedł obok niej.

Rozdział szesnasty

Chłodny wiatr wzmagał się, w miarę jak zbliżali się do rzeki. Była szósta wieczorem, więc na ulicach panował duży ruch. Szeroką aleją sunął nieprzerwany ciąg samochodów, z trudem mieszcząc się w granicach jezdni. Co chwilę jakiś zniecierpliwiony kierowca nerwowo naciskał na klakson, gdy nieuważni przechodnie schodzili z chodników na jezdnię, nie widząc niczego poza sklepami i prezentami w gorączce przedświątecznych zakupów. Dzięki milionom ozdób, bombek i żarówek na ulicach było jasno jak w dzień, a do ogólnego szumu wielkiego miasta dołączały się skoczne lub nastrojowe melodie kolęd, którymi sklepy usiłowały zwabić jeszcze więcej klientów.

Święta, choinka, prezenty, myślała gorzko Amelia. Ludzie powinni się cieszyć, radować, składać sobie życzenia, a nie szykować się do pogrzebu. Dla rodziców Scotty'ego te święta nie będą radosne. Ani te, ani żadne inne. Bo w końcu cóż znaczą święta, kiedy traci się dziecko? Och, Boże, czy tak naprawdę musiało być?

- Nie można pozwolić, żeby takie wydarzenia zatruwały duszę i budziły wyrzuty sumienia - odezwała się niespodziewanie. - Jeżeli człowiek sobie na to pozwoli, traci panowanie nad sobą. Zaczyna wątpić w sens swojej pracy, w swoje umiejętności, swój rozsądek i instynkt. A potem nie może normalnie pracować, bo boi się, że znowu mu się nie powiedzie. Trzeba się przed tym bronić.

Zabrzmiało to jak cytat z podręcznika dla lekarzy, więc uśmiechnęła się mimo woli. Zmęczone ręce całkiem skostniały

jej z zimna, ale nie miała siły, żeby włożyć rękawiczki. Zamiast tego wsunęła dłonie głęboko do kieszeni.

- Nie można poddawać się emocjom - podjęła „podręcznikowy” ton. - Skuteczność pracy lekarza zależy od trzeźwej oceny sytuacji. Nawet w najbardziej dramatycznych chwilach trzeba postępować spokojnie, konsekwentnie i zgodnie z regułami sztuki - dokończyła z naciskiem.

- No tak, ale jeżeli podchodzisz do śmierci pacjenta zupełnie beznamyślnie, jeśli zaczynasz traktować go jak jeszcze jeden przypadek w szpitalnej statystyce, przestajesz być człowiekiem - odezwał się nieśmiało Branson. - Stajesz się maszyną do reperowania ludzi, a w końcu w ogóle robi ci się obojętne, czy następnym razem uda ci się, czy nie.

- Wiem, to wszystko jest bardzo trudne - mruknęła.

Zatrzymali się na nabrzeżu. Amelia oparła się o barierkę i wychyliła, żeby popatrzeć na czarną rzekę w dole. Lubiła tu przychodzić o każdej porze roku. Kochała Boston i cieszyła się, że może tu mieszkać. To miasto miało niepowtarzalny klimat, wspaniałą atmosferę, dawało poczucie przynależności i bezpieczeństwa. Dotychczas, bo to, co stało się w szpitalu, wyraźnie uzmysłowiło jej, że człowiek nigdzie nie może czuć się bezpieczny, nawet na trawniku przed własnym domem.

- Tak bardzo chciałam go uratować - odezwała się bardziej do siebie niż do Bransona. - Choć wiedziałam, że praktycznie nie ma żadnych szans. Rany były zbyt poważne, było ich zbyt wiele, żeby mógł się z tego wylizać. Jednak czasami zdarzają się cuda.

Zamknęła oczy. Była wdzięczna Bransonowi, że potrafi milczeć i pozwala jej w spokoju wyrzucić z siebie wszystkie żale.

- Mogę wiele wytrzymać - mówiła, patrząc na wirujące w powietrzu śnieżynki. - Dyżury, pracę w świętek, piątek niedzielę, napięcie i ciągły stres. Nauczono mnie tego. Umiem radzić sobie z biurokracją i całą tą papierkową robotą. Potrafię znieść chamskich pacjentów, pogodzić się z widokiem

narkomanów i samobójców. Wytrzymuję to wszystko, łącznie z codziennym obcowaniem ze śmiercią. Ale bywają takie momenty, kiedy wydaje mi się, że nie zniosę tego ani minuty dłużej. - Zakryła oczy dłońmi i poczekała, aż emocje opadną. Potem mówiła dalej: - Ten dzieciak miał tylko dwanaście lat. Nie był członkiem gangu, nie brał narkotyków. Wracał do domu od kolegi...

- Amelio - przerwał jej wreszcie Branson - nie możesz tak się zadrećzać. Sama mówiłaś, że zrobiliście wszystko, żeby go uratować.

- Marne pocieszenie, skoro „wszystko” to jednak za mało.

- Proszę cię, daj spokój. - Nie mógł patrzeć na rezygnację, która pojawiła się w jej oczach. Czuł, że rani go każda łza płynąca po szczupłym policzku. - Powiedz lepiej, ile istnień ludzkich uratowałaś w ciągu ostatniego tygodnia, miesiąca czy roku. Liczyłaś to kiedykolwiek?

- Po co? Ratowanie zdrowia i życia to mój obowiązek, moje powołanie. Oczywiście wiem, że są sytuacje, kiedy każdy lekarz jest bezradny, ale świadomość tego, że w danym przypadku i tak nic nie dałoby się poradzić, wcale mi nie pomaga. Wyobraź sobie tego chłopca, Scotty'ego. Wstał rano, zjadł śniadanie, być może potem gonił szkolny autobus. Nie uważał na lekcjach, bo przychodziły mu do głowy różne zwariowane pomysły. A potem poszedł do kolegi. I tylko dlatego, że wracał do domu tą, a nie inną ulicą, jego życie skończyło się w tragiczny sposób. Żadne z jego marzeń nie zostanie już zrealizowane.

Odwróciła się plecami do rzeki i ruszyła z powrotem.

- To był mój pacjent, więc ja musiałam podjąć decyzję, w którym momencie zatrzymać akcję serca. Jedno spojrzenie na zegarek i wiesz, że w mózgu zaszły już takie zmiany, że nie ma najmniejszych szans na przeżycie. To ja musiałam powiedzieć: „koniec reanimacji”. A potem wyjść do rodziców i oznajmić, że ich jedyne dziecko nie żyje. I wpisać do akt godzinę zgonu.

- Wiem - pokiwał głową. - I chcę ci tylko powiedzieć...
- Wziął ją za ręce i czując, jakie są zimne, zaczął delikatnie rozcierać jej palce - ...chcę ci powiedzieć, Amelio, że jesteś odważna i wspaniała. Zarabiam na życie pisaniem, ale nie mam słów, żeby wyrazić, jak bardzo cię podziwiam.

Amelia nie protestowała, kiedy podniósł jej dłonie do ust i ogrzewał ciepłem swojego oddechu. Czuła, że w tej chwili najbardziej potrzebuje jego bliskości. Choć wcześniej ją irytował, teraz, już spokojniejsza, chciała, żeby mocno ją przytulił i żeby mogła oprzeć głowę na jego piersi.

- Przepraszam, że tak się na ciebie rzuciłam na parkingu.

- Cicho, nic nie mów. - Przygarnął ją mocniej i dotknął ustami czubka jej głowy.

Teraz wreszcie mogła to zrobić - przytuliła policzek do odwiniętej kłapy jego marynarskiej kurtki i poczuła się tak bezpiecznie, jak nigdy, odkąd zaczęła żyć na własną rękę. Wcześniej jedynie czuła to podświadomie, teraz zaś już wiedziała, że na Bransona można liczyć także w trudnych chwilach.

Był z nią, choć chciała go przegonić. Szedł u jej boku, choć nie odzywała się ani słowem. A kiedy wreszcie zaczęła mówić, nie mądrzył się i nie próbował pocieszać jej na siłę. Teraz natomiast stał obok niej, obejmował mocnym ramieniem i dawał siłę, dzięki której odzyskiwała powoli równowagę.

Podniosła głowę, przylgnęła do niego jeszcze mocniej i pierwsza poszukała jego ust. Zanim pocałunek stał się zbyt namiętny, aby mogła go przerwać, na sekundę oderwała się od niego.

- Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy w szpitalu, zanim przywieźli Scotty'ego? - zapytała. - Jeśli chcesz, pójdę z tobą do hotelu...

W słabym świetle latarni Branson próbował dojrzeć, co mówi jej oczy. Delikatnie otarł kciukiem łzę, która zasychała na jej podbródku. Czuł, jak coraz silniej odzywa się w nim namiętność, ale zdołał zapanować nad sobą. Nie chciał, żeby

właśnie teraz instynkt wziął górę. Przytulił ją i pogłaskał po włosach. Potem położył ręce na jej ramionach i odsunął Amelię od siebie, żeby popatrzeć jej prosto w oczy.

- Dlaczego nic nie mówisz? - uśmiechnęła się słabo. - Nie chcesz już, żebyśmy...

- Chcę - przerwał jej. - Ale nie teraz.

- W szpitalu mówiłeś...

- Postanowiłem zmienić reguły gry.

- Dlaczego?

- Bo jesteś przygnębiona i nieszczęśliwa. Mógłbym pocieszać cię, uspokajać, odwracać uwagę od tego, co się stało...

- Ale nie chcesz tego robić? - teraz ona mu przerwała.

- Chcę, ale nie zamierzam wykorzystywać dogodnej sytuacji. Nie z tobą.

Tak, być może zrobiłbym to z inną kobietą, ale na pewno nie z tobą, powtórzył w myślach. Bo pragnę czegoś więcej niż jednej wspólnej nocy, najdroższa Amelio.

- Nic z tego nie rozumiem - westchnęła. - Zawsze powtarzałeś, że wykorzystasz pierwszą nadarzącą się okazję.

- Zmieniłem zdanie. Nie chcę, żeby nasza pierwsza wspólna noc wydarzyła się tylko dlatego, że jesteś załamana niepowodzeniem. Nie chcę, żebyś kochała się ze mną z wdzięczności, że wysłuchałem cierpliwie twoich zwierzeń i pozwoliłem ci wypłakać się w rękaw. Marzę o tym, żebyśmy byli razem, ale tylko pod warunkiem, że będziemy tego chcieli obydwójce. Nie sprowokowani przez żadne zdarzenia, nieważne - dobre czy złe.

- Powiedz mi szczerze - poprosiła nagle. - Czy twoja ostrożność nie bierze się stąd, że byłbyś moim pierwszym kochankiem?

- Nie. A mówię ci to tylko dlatego, że wiele dla mnie znaczysz, Amelio. Dlatego teraz mam zamiar dopilnować, żebyś zjadła coś gorącego, a potem odwiozę cię do domu i jeśli będzie trzeba, własnoręcznie zapakuję cię do łóżka.

- Nie jestem dzieckiem, nie musisz traktować mnie w ten sposób - zaprotestowała, lecz nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Wiem. Tylko że akurat dzisiaj nie zamierzam słuchać twoich protestów. Po pierwsze jesteś zmęczona, po drugie zmazrzałaś. Po trzecie... szkoda gadać! - Energicznie objął ją ramieniem i poprowadził w stronę szpitala. - Idziemy do samochodu.

- Pojadę swoim.

- Dobra, ale najpierw coś zjesz.

- Nie jestem głodna!

- Jesteś. Zaraz się o tym przekonasz. Zjemy tutaj - powiedział, wskazując małą restauracyjkę obok szpitala. - Mają tu dokładnie to, czego nam trzeba. Proste jedzenie bez żadnych ekstrawagancji.

- O nie, mój drogi. Często tu jem, więc wiem co nieco na ten temat. Fatalna obsługa, a jedzenie czasem wprost ohydne.

- Tym lepiej. Przeżyjemy małą przygodę kulinarną. No, doktor Blade - powiedział, popychając ją w stronę drzwi - pora na pierwszą oficjalną randkę.

Spojrzała na niego podejrzliwie, ale nie było czasu na protesty. Branson otworzył ciężkie drzwi z matowego szkła i buchnęło im w twarz ciepło, w którym mieszały się zapachy papierosów oraz niezbyt wyrafinowanych potraw. Amelia już chciała się cofnąć, gdy nagle dostrzegła wiszący u sufitu tani świąteczny stroik. Kolorowe bombki błyszczały w mrocznym wnętrzu i sprawiały, że bar wyglądał całkiem przytulnie. Skusiło ją to niby domowe ciepło.

- No dobrze, panie literacie - powiedziała. - Skoro pan nalega...

Mała sala pękała w szwach. Pomieszczenie wypełnione było nieznośnym gwarem ożywionych głosów i wyglądało na to, że nie da się tu wcisnąć nawet szpilki. Amelia nie usłyszała,

co Branson powiedział do kelnerki, która wyszła im na powitanie, zauważyła za to zwinięty banknot, który powędrował z ręki do ręki. W niespełną minutę później znalazło się dla nich miejsce, i to w wydzielonym rogu części jadalnej.

- Nie wiedziałam, że w takich dziurach trzeba przekupywać kelnerów, żeby dostać stolik - powiedziała, siadając na zniszczonej kanapie ze sztucznej skóry.

- Wiele jeszcze musi się pani nauczyć, pani doktor. Najważniejsze, że mamy gdzie usiąść.

- Ta knajpka to popularne miejsce wśród samotnych przedstawicieli obu płci. Wiem, że sporo pracowników szpitala przychodzi tutaj na polowanie - uśmiechnęła się lekko. Poprawiła się na swoim miejscu i wygodnie oparła o miękki zagłówek.

- A to ciekawe... Ty też?

- Daj spokój - roześmiała się głośno. - Wiesz przecież, że nie mam czasu chodzić na podryw. A kiedy mam czas, nie mam energii.

- Ale dziś mogłabyś się trochę postarać. - Wziął jej dłoń w swoje dłonie.

Do ich stolika przedarła się wreszcie naburmuszona kelnerka, więc zajrzał szybko do karty i złożył tak ogromne zamówienie, jakby zamierzał wykarmić pułk wojska.

- Jeśli chodzi o stek, to poprosimy średnio wysmażony - powtórzył. - Aha, i może jeszcze jedną butelkę wody mineralnej. Przepraszam, nie dosłyszałem, jak pani ma na imię...

- Crystal - bąknęła, nie podnosząc nawet wzroku znad rachunku.

- A więc niech pani posłucha, Crystal, mam do pani gorącą prośbę. Kiedy będzie pani niosła dla nas napoje, proszę wziąć przy okazji koszyczek z chlebem. Pani, z którą jestem, ma za sobą wyjątkowo ciężki dyżur w szpitalu. A kto lepiej niż kelnerka zrozumie, co znaczy ciężki dzień, prawda?

Dziewczyna popatrzyła na niego zaskoczona, a widząc wyraz współczucia na jego twarzy, porzuciła na chwilę minę ob-

rażonej królowy i zaryzykowała coś, co przy wyjątkowo dobrej woli można było uznać za uprzejmy uśmiech.

- Dobrze, proszę pana. Zaraz coś państwu przyniosę.

Kiedy oddaliła się od stolika, Amelia nachyliła się do Bransona i syknęła:

- Co ty sobie myślisz! Zamówiłeś to wszystko i nawet nie zapytałeś mnie, na co mam ochotę!

- Wybacz, kierowała mną jedynie troska o twoje zdrowie - odparł, siłąc się na śmiertelną powagę. - Jesteś zmęczona, przepracowana, więc obawiałem się, że twój mózg nie funkcjonuje jak należy. Nie mogłem ryzykować, że zamiast potężnej porcji mięsa zamówisz sobie jogurt i płatki kukurydziane. Ale nie myśl, że tak będzie zawsze. Następnym razem to ty zaprosisz mnie na obiad i osobiście wybierzesz wszystkie potrawy.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się przekornie. - Jesteś pewien, że tak bardzo lubisz gotowane warzywa, ciasteczka i kawę?

- Spokojnie, nie jestem zaprzysięgłym mięsożercą. Mógłbym spokojnie przeżyć całe życie, nawet nie wachając steków.

- Trzymam cię za słowo. I przypomnę ci o tym, kiedy następnym razem będziesz zamawiał dania dla nas obojga.

- W porządku. Kiedy masz wolne?

- Od soboty po południu do niedzieli po południu - wyrecytowała z pamięci jak wyuczoną lekcję.

- W takim razie, czy spotkasz się ze mną w sobotę? Pójdziemy tam, gdzie chcesz, tylko powiedz o której?

- Nie ma sprawy. W operze grają „Wesele Figara”. Chciałabym to zobaczyć. Ale nawet nie wiem, czy ty lubisz operę.

- Bardzo!

- Naprawdę?

- Jesteś zaskoczona? Świetnie! Jaka to przyjemność od czasu do czasu zaskoczyć czymś wszechwiedzącą doktor Quinn!

Przerwał, bowiem kelnerka przyniosła właśnie tacę, na któ-

rej prócz butelek z winem i wodą stał obiecany koszyk z chlebem oraz talerzyk z masłem.

- Crystal, jest pani kochana, bardzo pani dziękuję! - Branson posłał jej jeden ze swoich szerokich uśmiechów, po czym szybko sięgnął po ciepłą bułeczkę, przełamał ją na pół, posmarował masłem i podał Amelii. - Smacznego! Żeby poprawić ci apetyt, dodam, że jestem zaprzysięgłym Mozartożercą.

- I kto by się tego spodziewał po facecie, który pisuje dreszczowce?

- Pozory myślą. Ale wracając do soboty, przyjadę po ciebie o siódmej, dobrze?

- Niech będzie.

- A potem zjemy u mnie kolację. Pasuje?

- U ciebie? - Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Rozumiem, że się zgadzasz. To dobrze. Od razu ci powiem, że planuję, że zostaniesz u mnie trochę dłużej. Najpierw będziemy się kochać, potem się wyśpimy, a w niedzielę zjemy w łóżku późne śniadanie. Odpowiada ci taki plan?

- Hm. wydaje mi się, że tak.

- Świetnie, w takim razie zabieramy się do jedzenia.

- Pokaż, co kupiłaś? - gorączkowała się Julia, spoglądając na torby, które Amelia wtaszczyła do holu. - Żałuję, że nie pojechałam z tobą. Miałabym już z głowy całe te gwiazdkowe zakupy. Lauro, chodź zobacz, co kupiła Amelia!

- Laura jest tutaj? - zdziwiła się Amelia. - Gdzie?

- A jak myślisz? Oczywiście w kuchni, siedzi z głową w lodówce i narzeka, że nie mamy nic przyzwoitego do jedzenia. No, dawaj te torby!

Po drodze do salonu Julia w ekspresowym tempie opowiedziała, jak to Roys wyciągnął Laurę po rzeczy dla dziecka. Ponieważ Laura nie była w nastroju do zakupów, szybko wymówiła się zmęczeniem i przyjechała do Back Bay.

- Kupili coś? - zainteresowała się Amelia.

- Co ty, niczego jeszcze nie mają, dopiero zaczynają szukać. Wyobrażam sobie Roysa, jak przebiera w kołyskach - zachichotała siostra.

- No właśnie, to wcale nie takie łatwe, jeśli musisz wybrać między tyloma rodzajami. - Laura pojawiła się w salonie z garnkiem, z którego wyjadała zimne spaghetti. - Kłóćmy się na przykład, jaki wózek kupić, i jak na razie nie udało nam się ustalić wspólnego stanowiska.

- Mimo to nie wyglądasz na zmęczoną - stwierdziła Amelia, patrząc na kuzynkę. - Za to ja padam z nóg. Takie zakupy są sto razy gorsze niż nocny dyżur.

- Bo nie jestem zmęczona. Czuję się jak młody bóg - powiedziała Laura i usadowiła się w fotelu obok gigantycznej choinki. - Po prostu Roys zaczął marudzić, żebyśmy zajrzeli do działu z elektroniką, więc czym prędzej wzięłam nogi za pas.

- I słusznie, przynajmniej możemy na ciebie popatrzeć. Wyglądasz przepięknie, Laurko. Okaz zdrowia i urody - westchnęła Amelia.

- Czego nie można powiedzieć o tobie.

- Też byś tak wyglądała, gdybyś odkładała kupno sukienki na ostatni moment. Ale trudno, sama jestem sobie winna. Zastanawiam się tylko, po co mi ta sukienka.

- Amelio, jak ty nudzisz! Tyle razy ci mówiłam, że musisz wreszcie kupić sobie coś przyzwoitego. - Julia nie miała cierpliwości do kuzynki, dla której kwestie stroju były zawsze przykrą koniecznością. - Jak się idzie na randkę, trzeba włożyć wspaniałe ciuch. Przestań biadolić i pokaż wreszcie, co kupiłaś!

- Poczekaj! Przestań grzebać w tej torbie... - zaprotestowała Amelia, ale było już za późno. Julia rozpakowała pierwsze pudełko i zawołała, udając oburzenie:

- Lauro! Czy widziałas coś podobnego? Pas do pończoch zrobiony z różowej koronki! No, no, nie znałam chyba dobrze naszej Amelii...

- Przestańcie! Wicie przecież, że ciągle drę rajstopy, więc pomyślałam sobie... No dobra - westchnęła, widząc rozbawione miny obu sióstr - niech wam będzie. Chcę, żeby Branson padł z wrażenia!

- Możesz być pewna, że padnie, jak cię w tym wszystkim zobaczy. Żeby tylko nie dostał zawału, bo zamiast się kochać, będziesz musiała go reanimować! '- roześmiała się Julia. Ze zwojów cieniutkiej bibułki, którą wysłane było kolejne pudełko, wyciągnęła różowy biustonosz. Jego jedyną ozdobą była mała, jedwabna różyczka, umieszczona pomiędzy koronkowymi miseczkami. - No nie, facet nie ma żadnych szans. Jak nie padnie przed tobą na kolana!

- I złoży ci hołd jak bogini - zgodziła się Laura. Odstawiła garnek na podłogę i przysiadła na poręczy fotela Amelii. - Jesteś pewna, że to właśnie ten, na którego czekasz?

- Tak.

- I nic dziwnego. Myślisz, że łatwo się oprzeć facetowi, który przysyła w prezencie siedem kryształowych łabędzi? - spytała retorycznie Julia. - Zresztą niedługo tu przyjdzie, to sama zobaczysz, jaki jest wspaniały. No, ale tobie, żonie i przyszłej matce, nie wypada oglądać się za facetami.

- Dlaczego nie wypada? - obruszyła się Laura. - Ale i tak go nie zobaczę, bo muszę wracać do domu. Mam dziś gorącą randkę z własnym mężem - uśmiechnęła się marzycielsko. - A teraz pokaż nam suknię, Amelko - nagle wrócił jej trzeźwy ton - zanim wyjdę, muszę ją zobaczyć.

- Dobrze, ale musicie mi obiecać, że nie będziecie mnie krytykować. Spędziłam cztery godziny, łąząc od sklepu do sklepu. Nie oddam jej, choćby nie wiem co!

- Przestań gadać i pokaż, co masz.

Amelia otworzyła duże pudło i wyciągnęła z niego zwój ciemnoróżowego aksamitu. Kiedy wstała, materiał spłynął miękko do samej ziemi.

- I co o tym myślicie? - zapytała niepewnie.

- Przepiękna - westchnęła Julia.

- A nie uważacie, że jest trochę za strojna z tymi perełkami przy szyi i mankietach?

- Ależ skąd! - Laura z przyjemnością przesunęła palcami po gładkim materiale. - Idealnie do ciebie pasuje. Prosta, klasyczna elegancja.

- Nie jest przy tym za bardzo seksowna. Próbowалам wprowadzić znaleźć coś bardziej... a raczej mniej... No, w każdym razie ciągle wracałam właśnie do tej.

- I bardzo dobrze. Ma wszystko, czego trzeba, żeby zaintrygować takiego gościa, jak Branson Maguire. Dekolt, obcisłe rękawy, spódnica do samej ziemi. Jestem pewna, że cały wieczór będzie kombinował, co kryje się pod spodem. A jak już zobaczy... Oj, Amelio, facet ma szczęście, że trafił na lekarkę, która umie radzić sobie z przypadkami nagłych zasłabnięć! - trąkotała Julia

- Denerwujesz się? - zapytała Laura.

- Ani trochę. Jestem pewna, że wszystko jest jak trzeba. Właściwy moment, właściwy człowiek. Czego tu się bać? - Amelia złożyła z tajemniczym uśmiechem sukienkę i spakowała bieliznę do pudełka. - A teraz, moje drogie, mam zamiar wziąć długą, aromatyczną kąpiel. Potem przesiedzę godzinę przed lustrem i zrobię się na bóstwo. Pa, pa! - Pomachała im ręką i poszła do swojego pokoju.

- Słuchaj, Julka, jesteś pewna, że ten facet to nie jakiś niebieski ptak, który najpierw się z nią prześpi, a potem rozpułynie się we mgle? - spytała przyciszonym głosem Laura, gdy zostały tylko we dwie.

- Branson? Co ty! Czysty jak kryształ. I zakochany w Amelii po uszy. Ona w nim zresztą też. Widziałaś, jaką ma minę, kiedy o nim mówi?

- To prawda. Tak się cieszę, że wreszcie udało się komuś trochę ją rozruszać. A teraz powiedz mi, skąd stary MacGregor wytrzasnął taki skarb?

- Ma jakieś tam kontakty z rodziną Bransona. Tylko nie mów o tym Amelii, bo ona wciąż wierzy, że to nie dziadek pociąga za sznurki.

- Naiwna! Żyje na tym świecie tak długo, a wciąż rozumie jak dziecko.

- Ciekawe, kiedy zrozumie, że za wszystkim musi stać właśnie on?

- Kiedy będzie już za późno. Tak jak ja - roześmiała się Laura. - I wiesz, co jeszcze ci powiem? Jak ten spryciarz upora się już z Amelią i wyda ją za mąż, zaraz weźmie się za ciebie. Lepiej się na to przygotuj!

- Wiem, wiem. Tylko że ze mną nie pójdzie mu tak łatwo. Nie dam się i już. Za żadne skarby!

- Akurat - prychnęła Laura i popatrzyła na kuzynkę wzrokiem osoby, która i tak swoje wie.

Amelia pojawiła się na szczycie schodów dokładnie w chwili, gdy zegar wybił siódmą. Wdzięcznie uniosła brzeg długiej sukni i zaczęła wolno schodzić. Czuła się cudownie zrelaksowana i odprężona. Jej elegancki strój i wyrafinowana bielizna, którą miała pod suknią, sprawiały, że wydawała się sobie bardziej kobieca, tajemnicza i uwodzicielska. Poza tym miała amulet, który zawsze zapewniał jej szczęście - brylantowe kolczyki, prezent od rodziców, jakim obdarowali ją po obronie dyplomu. Zakładała te kolczyki tylko na wyjątkowe okazje, a że dzisiejszy wieczór miał być wyjątkowy, bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała opieki swojego talizmanu.

Była już w holu, kiedy rozległ się gong u drzwi. Wolno położyła dłoń na klamce, ale musiała odczekać kilka sekund, bo nagle cały jej spokój zniknął i poczuła, że krew zaczyna szumieć jej w skroniach.

Kiedy zobaczyła Bransona, ogarnęła ją fala dziwnego wzruszenia. Wyglądał wspaniale w ciemnym, wieczorowym garniturze, od którego ostrą bielą odcinał się olbrzymi bukiet róż.

- Rozpieszczasz mnie tymi kwiatami. Są przecudne!
- Zupełnie jak ty. Wyglądasz... Ech, znowu brak mi słów.
- To dobrze, ale gdybyś wiedział, ile wysiłku mnie to kosztowało - roześmiała się cicho. - W życiu nie spędziłam tyle czasu przed lustrem.
- Boże, specjalnie dla mnie.
- Włożę kwiaty do wody, to pewnie chwilę potrwa. Zaczekasz?

Wziął ją za rękę, podniósł dłoń do ust i patrząc prosto w oczy, powiedział:

- Oczywiście, że zaczekam. Choćby sto lat.

Rozdział siedemnasty

Salon w apartamencie Bransona wprost tonął w kwiatkach. Na wszystkich meblach stały wazony pełne białych róż. Smukłe pąki dopiero zaczynały się rozchylać, ale i tak całe pomieszczenie wypełniał delikatny, świeży zapach. Przyjemna woń róż doskonale harmonizowała z aromatem białych świec ustawionych w wysokich, srebrnych kandelabrach. Pod oknem czekał już zastawiony stół, w kubku chłodził się szampan. Łagodne światło świec snuło się miękką smugą, owijało sprzęty i oplątywało je delikatną poświatą. Jego promienie przeglądały się w wysokich kieliszkach z kruchego kryształu.

Amelia stanęła w progu i zachwycona wpatrywała się w wystrój salonu jak w cudowny obraz, wyczarowany specjalnie dla niej ręką nieznanego mistrza. Z rozkoszą wciągała zapach, który po woli zaczął ją odurzać. Dopiero kiedy Branson delikatnie dotknął jej ramienia, spojrzała na niego promiennie i przestąpiła próg.

- Masz tu jakieś krasnoludki na usługach? - zapytała.

- Nie, za to mam sprawną obsługę hotelową. Zadzwoń im do nich, zanim wyszliśmy z teatru, a oni zdążyli wszystko przygotować.

- Sprawisz sobie tyle zachodu...

- Skądże znowu! Nie wiesz, że pisarz zawodowo zajmuje się wymyślaniem różnych scen? Naszą pierwszą noc wyobraziłem sobie w takiej właśnie oprawie. - Pochylił się i pocałował wewnątrz jej dłoni. - Zrobiłem to dla nas obojga, Amelio. Ale niestety, znowu zamówiłem jedzenie bez pytania o twoje zdanie.

- Tym razem będę wspaniałomyślna i wybaczę ci ten grzech. Ale już naprawdę ostatni raz. - Posłała mu spojrzenie urażonej gwiazdy. - A czy chociaż dowiem się, co będziemy jedli?

- Zamówiłem tylko zimne przekąski, więc nie ma zmarwienia, że coś nam wystygnie. Oczywiście możemy od razu usiąść do stołu. Chyba że masz przedtem ochotę na szampana?

- Brzmi zachęcająco.

- Cieszę się. Bardzo chciałbym, żeby dzisiaj wszystko było idealne. - Podszedł do stołu i zanim sięgnął po wilgotną butelkę, wyjął z wazonu jedną różę i podał ją Amelii. - Nie mówiłem ci o tym, ale kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy na ostrym dyżurze w szpitalu, skojarzyłaś mi się z baletową tancerką.

- Naprawdę? Chyba dlatego, że tancerze muszą pracować na swój sukces równie ciężko, jak lekarze - roześmiała się, bo niespodziewanie wyobraziła sobie swojego szefa w stroju baletnicy.

- No właśnie. Ludziom wydaje się, że tancerka to takie delikatne stworzenie. Tymczasem najlepsze z nich mają ciała i charaktery wykute ze stali. Jeśli chcą do czegoś dojść, muszą być silne, zdeterminowane i całym sercem zaangażowane w pracę.

- Zupełnie jak chirurdzy.

- Właśnie. Ale kiedy na ciebie patrzę, przychodzi mi na myśl jeszcze jedno skojarzenie.

- Jakie?

- Czasem myślę o tobie jak o księżniczce z bajki.

- No proszę. Dopiero teraz naprawdę mnie zaskoczyłeś. Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że ktoś może pomyśleć o mnie w taki sposób.

- A wiesz dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

- Księżniczki z bajki są zwykle piękne, mądre i dzielne

- wyliczał, podchodząc do niej z kieliszkami napełnionymi szampanem. - Ale zawsze przy tym czekają, aż ktoś je obudzi albo uratuje. I zwykle nie brak chętnych, którzy nie marzą o niczym innym, jak tylko o tym, żeby je uratować. Proszę - podał jej szampana - za twoje zdrowie, księżniczko!

- Nie jestem żadną księżniczką i nie rozumiem, od czego miałbyś mnie ratować.

- Od czego? Od rzeczywistości! Choćby ten jeden raz, na tę jedną noc. - Delikatnie trącił brzeg jej kieliszka - Wznieśmy toast za bajki i za szczęśliwe zakończenia!

- Niech tak będzie. Za bajki, szczęśliwe zakończenia i zaklęte księżniczki! - Upiła mały łyk szampana i przez moment rozkoszowała się jego wybornym smakiem. - Tak naprawdę, to nie trzeba mnie ratować ani uwalniać od rzeczywistości - powiedziała. - I nie musisz mnie uwodzić ani specjalnie zachęcać. Jestem tutaj, bo tego chciałam. I nadal chcę. Bardzo chcę...

- Amelio, nawet nie wiesz, jaką przyjemność sprawia mi uwodzenie księżniczek. Więc nie odbieraj mi tej przyjemności.

Przytulił ją lekko i pocałował w policzek. Czuł, że jest rozluźniona i zrelaksowana. Szkoda, pomyślał przelotnie. Tak bardzo chciał zobaczyć w tych pięknych lawendowych oczach choćby cień emocji, lęku przed tym, co ma się stać, ale i pragnienia, żeby się stało. Marzył o tym, żeby przebić się przez pokłady rozsądku i chłodnej rezerwy, pod którymi, to wiedział na pewno, Amelia ukrywa swoją wrażliwą i romantyczną naturę. Chciał obudzić jej zmysły, ogrzać je i wypieścić tak, by już nigdy nie mogła ich zamknąć pod sztywną skorupą rozsądku. Obiecał sobie, że jeśli mu się to uda, jeśli odnajdzie prawdziwą Amelię, to odda jej wszystko, co w nim najlepsze i najbardziej wartościowe.

Sięgnął do małej miseczki, w której pyszniły się wspaniałe, olbrzymie truskawki. Wziął największą z nich, umoczył w płynnej białej czekoladzie i podsunął Amelii do ust.

- Spróbuj...

Posłusznie rozchyliła wargi i ugryzła mały kawałek owocu. Smakował doskonale. Miała wrażenie, że nigdy dotąd nie próbowała niczego równie dobrego.

- Mmm... wspaniale.

- Więc jedz.

Podał jej następny owoc, a potem następny. Jadła je małymi kęsami, a on całował ją pomiędzy każdym z nich. Wtedy poczuła, że powoli ogarnia ją zdenerwowanie.

- Powiedz tylko, czego pragniesz. Powiedz, o czym marzysz. Kiedy mogę cię dotknąć... co lubisz... - szeptał Branson pomiędzy pocałunkami, które stawały się coraz bardziej namiętne i zachłanne. Wreszcie ujął w dłonie jej twarz i popatrzył prosto w oczy. - Powiedz, kiedy będziesz gotowa...

- Nie musisz tak się o mnie troszczyć, nie jestem z porcelany...

Amelia chciała mówić składnie i przytomnie, ale drzenie głosu zdradzało silne emocje. Wiedziała, że stawia pierwsze kroki na ścieżce wiodącej do całkiem nowej krainy. Wybrała Bransona na przewodnika po tym niezbadanym lądzie, gdzie królowały zmysły i miłość, jakiej dotąd nie знаła. Bardzo chciała pójść za nim, ale trochę obawiała się, bo w końcu każdy lęka się wyprawy w nieznanne.

- Wiem, że nie jesteś z porcelany - powiedział. - Nie jesteś krucha, ale jesteś jak drogocenny skarb, o który trzeba dbać.

Jego słowa dolatywały jakby z bardzo daleka. Miała zamknięte oczy, więc jedynie poczuła, że wyjął z jej ręki kieliszek. Chciała wiedzieć, co się dzieje, ale nie mogła zdobyć się na otwarcie oczu.

Kiedy wziął ją na ręce, jej serce zamarło na moment, a potem zaczęło bić mocno i szybko. Rozbudzona wyobraźnia podsunęła jej naiwny obrazek, który często widywała w dziecięcych marzeniach: oto w samym środku letniego dnia, w sercu

zielonej puszczy, tajemniczy rycerz chwytą ją w ramiona i sadza obok siebie na białym rumaku. Zdumiała się, że po tylu latach jeszcze o tym pamięta, ale też ucieszyła, że tak nagle odnalazła ten zapomniany świat dziewczęcych fantazji. Chcąc podziękować mu za to, pocałowała Bransona bardzo mocno i bardzo namiętnie.

- Jesteś czarodziejem...

- Chcę nim być. Specjalnie dla ciebie. Otwórz oczy i zobacz, co wyczarowałem.

W półmroku sypialni dostrzegła ogromne łożo usłane płatkami białych róż, które leżały na ciemnej pościeli niczym olbrzymie płatki śniegu.

- Chodź, Amelio - szepnął - zabieram cię w podróż tam, gdzie nie ma czasu, przeszłości ani przyszłości. Jest jedynie „tu i teraz”. I nie ma innych istot poza tobą i mną. Jesteś pewna, że chcesz tam pójść?

Była pewna. Wiedziała to ponad wszelką wątpliwość. Gdyby chciał, poszłaby za nim nawet na koniec świata. Tego świata, który wyczarował specjalnie dla niej, bo poza nim żaden inny się w tej chwili nie liczył.

Podniosła ramiona i objęła go mocno. Każdym nerwem czuła jego pocałunki, poddawała się im z radością. Chwilami miała wrażenie, że za chwilę uniesie się do góry i z lotu ptaka spojrzy na tę niewiarygodną scenę z łożem całym w płatkach róż. Ich zapach uderzał jej do głowy mocniej niż wino, sprawiał, że myśli płątały się, aż w końcu połączyły się w jedno jątrzące pragnienie.

Dotknij mnie, dotknij...

Bran chyba czytał w jej myślach, bo dokładnie w tym samym momencie poczuła, jak jego dłonie rozpoczynają wędrówkę po osłoniętych aksamitem krągłych liniach jej ciała.

Jeszcze! Chcę jeszcze!

Teraz gorące usta przesunęły się po szyi i dotarły do miejsca, w którym kończył się dekollet. Lekko drżące dłonie przez

moment siłowały się z upartym zamkiem, ale ostatecznie wygrały i zaczęły rozsuwać go centymetr po centymetrze.

Oboje czekali na ten moment. Amelia tęskniła za jego dotykiem, Branson chciał wreszcie poczuć pod palcami jej ciało. Ostrożnie wsunął dłonie pod rozgrzany aksamit ciemnoróżowej sukni, ale zamiast gładkiej skóry wyczuł miękki jedwab. Pożądanie ogarnęło go nagle jak szumiąca, zielona morska fala, lecz wciąż jeszcze potrafił nad nim panować. Miał czas, całą otchłań czasu, więc mógł poznawać ciało Amelii powoli, odkrywać je jak fragmenty misternej, drogocennej mozaiki.

Obrócił ją wolno i przez moment wodził ustami po cudownej linii karku, potem po łagodnej pochyłości ramion. Kiedy uniosła rękę i objęła go za szyję, ledwie zdołał powstrzymać gwałtowny dreszcz. Jego dłonie pozostały jednak spokojne, usta delikatne i czułe. Chęć, aby dać jej jak najwięcej, była silniejsza niż nienasylenie, które odczuwał od tyłu tygodni.

Kiedy zagarnął dłońmi jej ciepłe piersi, westchnęła głęboko, jakby przez sen. Naprężyła mocno całe swe drobne ciało i przylgnęła do Bransona plecami, on zaś leniwym ruchem zsunął suknię z jej ramion i pozwolił, aby z cichym szelestem opadła na puszysty dywan. Uśmiechnął się z zachwytem. Schował twarz w jej włosach i głęboko wciągał do płuc świeży zapach. Próbował wyobrazić sobie, jak wygląda naga, dlatego wciąż zwlekał z otwarciem oczu.

- Nie... - westchnął poruszony, gdy zamiast nagości ujrzał mikroskopijną koszulkę z różowego jedwabiu, która okrywała Amelię niczym poranny obłok. Zaskoczony widokiem, który był ucieleśnieniem jego męskich fantazji, zacisnął dłonie na jej ramionach i odwrócił ją twarzą do siebie.

Błysk pożądania, który wyraźnie zobaczyła w jego pociemniałych oczach sprawił, że zakreśliło jej się w głowie. Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie patrzył na nią w ten sposób. Wprost czuła na skórze palące ślady, które zostawiało jego namiętne spojrzenie.

- Chciałam sprawić ci niespodziankę - wyszeptła, spuszczać wzrok. Gdy z powrotem podniosła ku niemu oczy, instynkt nakazał jej cofnąć się o krok. Branson patrzył na nią tak zachłannie, że w tym spojrzeniu odbijała się jakaś pierwotna, dzika siła, z którą nie umiałaby walczyć.

Branson również nie był już w stanie zdusić w sobie siły pożądania. Wolno wyciągnął dłonie i samymi tylko czubkami palców dotknął ciepłego jedwabiu na jej piersiach.

- Oszaleję przez ciebie - szepnął.

Jego głos był tak cichy, że ledwo go usłyszała. Krew pulsowała jej w skroniach, tętniła w żyłach, oblewała przyjemnym ciepłem. Czy to możliwe, pytała siebie Amelia, żeby człowiek o tak dzikim spojrzeniu potrafił dotykać tak lekko, subtelnie, zmysłowo?

Nie miała czasu, żeby dłużej się nad tym zastanawiać. Instynkt podpowiedział jej, że powinna go przynaglić. Szybkim i zadziwiająco wprawnym ruchem rozwiązała mu krawat, ale drżące palce nie umiały sobie poradzić z guzikami koszuli.

- Chcę cię zobaczyć - powiedziała spokojnie, choć wiedziała, że zdradzają ją niespokojne ruchy rąk.

Branson odetchnął z ulgą. Miał to, czego w niej szukał. Namiętność potrafiła odebrać pewność dłoniom, które każdego dnia ratowały ludzkie życie. Te same wprawne ręce, które umiały perfekcyjnie wykonać cięcie skalpelem, teraz drżały i nerwowo szarpały materiał jego koszuli. Lawendowe oczy Amelii pociemniały, ale i tak widział w nich przelotny cień strachu.

- Spójrz na mnie - poprosił - Chcę, żebyś patrzyła na mnie przez cały czas. Chcę wiedzieć, co mówią twoje oczy, kiedy cię dotykam.

Amelia spełniła jego prośbę. Popatrzyła na niego wyzywającym wzrokiem i lekkim ruchem zsunęła cieniutkie ramiączka koszulki. Delikatny obłok poszybował gdzieś w bok i stała teraz przed nim, okryta jedynie skąpą bielizną. Kiedy dotknął

białej skóry błyskającej ponad brzegiem pończochy, wstrzymała oddech. On zaś powoli odpinał koronkowe paski i rozkoszował się widokiem dreszczy, które przebiegały przez nią, lekkie, lecz wyraźnie wyczuwalne.

- Drżysz... To dobrze. Chcę, żebyś drżała.

Lekko pchnął ją na łóżko, które powitało ją przyjemnym chłodem jedwabnej pościeli. Położył się obok niej, przyciągnął do siebie i pocałował z pasją, jakiej dotąd nie znała. Ten pocałunek obudził w niej pragnienie równie silne, jak lęk. Kiedy zaś cała była już tym pragnieniem, pocałunek niespodziewanie zelżał. Poczowała się nagle całkiem zagubiona. Nie rozumiała własnych uczuć, jej ciało wymknęło się spod kontroli i gwałtownie domagało się miłości.

Całe szczęście nie pozwolił jej zbyt długo odczuwać tego głodu. Wilgotne, twarde usta popłynęły w dół, a dłonie w górę jej naprężonego ciała. Przyjemność, która ją wypełniła, była tak olbrzymia, że aż bolesna.

Pod plecami czuła soczyste płatki róż, mocno zaciśnięte powieki nie przepuszczały ani jednego promienia rozproszonego światła wonnych świec. Zmysłowy szept wolno sączył się do jej uszu, powtarzając słowa miłości i obietnicy. Ochrypli, lecz czuły głos otulał ją, czarował, hipnotyzował. Ciepłe dłonie nie przestawały kreślić na jej skórze tajemniczych wzorów, delikatnie badając każdą wypukłość i każde wgłębienie. Chwilami miała ochotę krzyczeć, ale głos nie chciał przejść przez zaciśnięte gardło.

Oboje wiedzieli, że są już blisko chwili, do której od początku zbliżali się nieuchronnie. Krąg zacieśniał się coraz mocniej, oddechy stawały się cięższe, ciała dopasowywały do siebie swój rytm. Naga skóra stawała się coraz bardziej rozgrzana i wilgotna, najmniejszy dotyk, najdelikatniejsze muśnięcie warg wywoływało dreszcz, który przenikał ich, jakby już stali się jednością. Cała niedawna nerwowość rozplynęła się gdzieś i zniknęła bezpowrotnie. Amelia czuła, że stapia się z nim, jed-

noczy nie tylko ciałem, ale i duszą, która wreszcie odnalazła swoją drugą połowę. Płynęli więc, niesieni tą samą falą, zanurzali się w rozkoszy, która była jak jedwab, miękka, chłodna i kusząca.

Momentami wydawało jej się, że unosi się i wiruje wraz z nim, zupełnie jakby ich ciała były lekkie niczym puch. Jej ruchy stawały się coraz bardziej senne, leniwe, powolne, westchnienia coraz cichsze. Pragnęła, żeby to się już stało, czuła, że nie zniesie ani minuty dłużej. Ale on był cierpliwy i powolny, pieścił ją, póki jej ciało nie wygięło się pod nim w sprężysty łuk, dotykał, póki westchnienia nie przeszły w cichy jęk. Niecierpliwie chwyciła jego dłonie i gwałtownie prosiła o jeszcze. Jednak dopiero kiedy Branson dostrzegł jej szeroko rozwarte źrenice, w których odbijało się najwyższe zdumienie, pragnienie i szok, spełnił jej nieme życzenie i wszedł w nią łagodnie, lecz pewnie, tak że nie poczuła najmniejszego bólu.

Gorący dreszcz powędrował od jej stóp prosto do głowy i wybuchł tam fontanną migających świateł. Rozkosz, którą czuła, była tak gwałtowna, że prawie nie mogła jej znieść.

- Branson - jęknęła, lecz głos, który się z niej dobył, zupełnie nie przypominał jej własnego głosu.

Wczepiona w niego palcami, zaczęła falować zgodnie z ruchem jego bioder. To, co odczuwała, przypominało trochę przyjemność, jaką daje zmysłowy taniec. Ruchy partnera rozpalają krew, ośmielają, zachęcają do tego, żeby całkiem zatracić się w obłądnym rytmie. I Amelia zatraciła się w nim, pozwoliła się mu ponieść, porwać, rzucić w otchłań najwyższej rozkoszy. A potem wznosiła się i spadała, długo, bez końca.

Nie wiedziała, ile trwał ten ich wspólny lot. Oprzytomniała, kiedy poczuła, że jego język delikatnie rozchyła jej wargi. Próbowiła poruszyć palcami, ale były zupełnie sztywne. Całkiem jak po długiej operacji, pomyślała sennie. Dopiero po chwili zorientowała się, że to ich dłonie są splecione ze sobą mocno aż do bólu.

Branson przytulił twarz do jej szyi i słuchał, jak w rozdrzanym ciele Amelii huczy kipiąca krew. Przez te wszystkie szumy i ciche westchnienia jej ciało mówiło do niego, jakby chciało powierzyć mu wszystkie swoje tajemnice. Zrozumiał, że to, co przeżył przed chwilą, jest czymś wyjątkowym i niepowtarzalnym. Czuł się tak, jakby przeżył nagle jakieś objawienie. Oto pierwszy raz zjednoczył się całkowicie z ciałem kobiety i przez to był tak samo czysty, jak ona, która nie doświadczyła takiej bliskości nigdy wcześniej. Pomyślał, że powinien jakoś nazwać to, co czuje, więc zaczął szukać w pamięci właściwego słowa.

Ekstaza?

Tak, chyba nie mógłby nazwać tego inaczej.

- Amelio... Piękna i silna Amelio - odezwał się cicho.
- Słucham cię, piękny i silny Bransonie.

Uniósł się na ramieniu i spojrział w jej twarz. Patrzyła mu prosto w oczy, była promienna i jakby trochę rozkojarzona. Usta miała nabrzmiałe, czoło wilgotne od drobniutkich kropelek potu.

- Czy wiesz - zapytał - że już cię nie wypuszczę z łóżka?
- A czy ja się gdzieś wybieram?
- Jeśli już, to nie bardzo daleko. Najwyżej do łazienki, wziąć kąpiel w wannie z wodnym masażem.

- Masz tu coś takiego?

- Oczywiście! Zapraszam cię na kieliszek lodowatego szampana w gorącej kąpieli z facetem, który znowu ma ochotę rzucić się na ciebie z pazurami. Przyjmujesz propozycję?

- Najpierw muszę ci o czymś powiedzieć. - Teraz ona oparła się na łokciach i pochyliła twarz nad jego twarzą. Pocałowała go z czułością, a potem wyznała, uśmiechając się w zamyśleniu: - Zawsze próbowałam sobie wyobrazić, jaki będzie ten mój pierwszy raz. Zastanawiałam się, co będę czuła, kiedy będzie już po wszystkim. I wiesz co? Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że będzie tak cudownie.

- Kobieto, przez ciebie będę musiał zmienić zawód. Znowu nie wiem, co mam powiedzieć!

- Nie wiesz? To proste! Powiedz, że to jeszcze nie koniec!

- Tak, tak, to dopiero początek! Obiecuję!

Nie były to czcze słowa. Branson naprawdę zamierzał spędzić z nią wszystkie noce, jakie były mu jeszcze pisane. Mimo to postanowił jej jeszcze o tym nie mówić. Gdyby to zrobił, pewnie by mu uwierzyła, ale już następnego dnia jej dociekliwa natura kazałaby zastanawiać się, czy przypadkiem nie zrobił tego pod wpływem chwili. Amelia zaczęłaby wątpić w szczerść jego słów, a on bardzo tego nie chciał. Wierzył, że nadejdzie właściwy moment, żeby powiedzieć jej o miłości. Kiedy wypowie „kocham cię”, Amelia musi mu uwierzyć.

- O czym pan myśli, panie pisarzu?

- Hm... - uśmiechnął się zagadkowo. - Zastanawiam się, jakiego argumentu powinienem użyć, żebyś zechciała coś dla mnie zrobić.

- Oho, brzmi poważnie. Mów. Tylko bez owijania w bawełnę.

- Właśnie, skoro o owijaniu mowa, to czy zechciałabyś owinać się jeszcze raz tą różową niespodzianką, którą tak sprytnie schowałaś pod sukienką?

- Teraz?

- Nie, potem. Najpierw kąpiel. A niespodziankę mogłabyś włożyć do kolacji.

- Chcesz, żebym usiadła do stołu w samej bieliźnie?

- Wyjął mi to z ust.

- Niech pomyślę. - Przymknęła powieki, udając głęboki namysł. - Wiesz co, zróbmy tak. Chodźmy do tej wanny i tam możesz spróbować jakoś mnie namówić.

- Tylko uprzedzam, że mam dar przekonywania.

- Wspaniale. Liczę na to.

Rozdział osiemnasty

Amelia obudziła się, kiedy ciepły promień południowego słońca wpadł przez szparę w kotarze i połaskotał ją w nos. Najpierw przez chwilę leżała z zamkniętymi oczami i rozkoszowała się przyjemnym chłodem pościeli. Gdyby ktoś zapytał ją, jak się teraz czuje, bez chwili wahania odpowiedziałaby, że bosko. Głowę miała jeszcze ciężką od długiego, mocnego snu, ale mimo to była wspaniale odprężona. Westchnęła głęboko i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć Bransona. Przez moment niecierpliwie szukała go po omacku, ale najwyraźniej nie było go już obok niej.

- Szkoda - mruknęła sennie. Tak bardzo pragnęła znowu poczuć na sobie ciężar i ciepło jego mocnego ciała, posmakować namiętnych pocałunków, kochać się po raz nie wiadomo który. Oczywiście pod warunkiem, że znaleźliby w sobie dość sił na jeszcze jeden raz.

Wypreżyła się pod kołdrą i przeciągnęła leniwie. Cudownie było tak leżeć. Nie spieszyć się, nie myśleć o niczym prócz samych przyjemności. Gdy tak leżała, wspominając przeżyte rozkosze, przyszło jej do głowy, że przez wszystkie lata studiów i potem, podczas praktyki w szpitalu, była jak ślepa. Z całą swą olbrzymią wiedzą była jak dziecko, które nie ma pojęcia, co tak naprawdę jest dla niego dobre.

To śmieszne, myślała, umiem nazwać każdą kość, każdy mięsień i każdy organ wewnętrzny, ale nie mam zielonego pojęcia o tym, jak cudownych przeżyć dostarczają zmysły. Jak mogłam dopuścić, żeby tak fascynująca dziedzina była tak długo nieodkryta?

Nie dość, że nie wiedziała nic o przyjemności, jaką może dać ciało, to jeszcze zupełnie nie знаła siebie. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że w sprzyjających okolicznościach ośmieli się posunąć do... takich rzeczy!

Ponieważ pościel po strome Bransona była już całkiem zimna, Amelia zaczęła zastanawiać się, jak dawno temu wstał i dokąd poszedł. A przede wszystkim - kiedy do niej wróci. W końcu obiecał jej śniadanie w łóżku, więc chyba dotrzyma słowa. A jeśli będzie się wykręcał, już ona znajdzie sposób, żeby wyegzekwować wszystkie obietnice.

Niechętnie otworzyła oczy i rozejrzała się za zegarkiem. Było wpół do pierwszej - za późno na śniadanie, ale w sam raz na wczesny lunch. Wolno podniosła się i usiadła na łóżku. Na stojącym obok fotelu znalazła puszysty szlafrok frotte. Szybko owinęła się nim i ruszyła na poszukiwanie Bransona.

Znalazła go w salonie. Siedział przy stole i stukał na swoim przenośnym komputerze. Był tak zajęty pracą i tak mocno skupiony, że nawet nie usłyszał, jak weszła. Przez środek jego wąskiego czoła biegła głęboka bruzda, nieomylny znak jakiejś ciężkiej potyczki z własnymi myślami. W przymrużonych oczach widać było irytację. Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu, trochę zaskoczona, że pisanie przychodzi mu najwyraźniej z większym trudem niż przypuszczała. Wyobrażała sobie, że kiedy Branson pracuje, jego myśli układają się w gładki ciąg zdań gotowych do natychmiastowego przelania na papier. Zresztą w ogóle wszystko, co robił lub mówił, zdawało się przychodzić mu łatwo. Tymczasem teraz wyglądał jak człowiek, który przechodzi prawdziwe katusze, żeby nadać właściwy kształt myślom kotłującym się w jego głowie.

Uniosła dłonie i szybkim ruchem przygładziła włosy. Chciała odezwać się, dać znak, że weszła, ale zrezygnowała. Po pierwsze dlatego, że nie chciała przeszkadzać, a po drugie obserwowanie Bransona podczas pracy sprawiało jej ogromną przyjemność. Cieszyła się, że może być obok niego i z bliska

przyglądać się, jak tworzy swoje nierealne światy. W pewnej chwili poczuła, że zaczyna ogarniać ją fizyczne podniecenie. Co się dzieje, pomyślała zaskoczona reakcją swojego ciała. Być może to słodkie ssanie w dole brzucha wzięło się stąd, że podglądała kogoś całkiem nieświadomego jej obecności. Jednak bardziej prawdopodobną przyczyną tego nagłego pobudzenia był sam Branson, ubrany jedynie w luźne spodnie z miękkiej bawełny.

Krąbna wyobraźnia natychmiast podsunęła jej kilka plastycznych scen z nią, Bransonem i jego spodniami w roli głównej. Nie zdążyła jednak rozwinąć tematu, bo Branson niespodziewanie podniósł głowę i spojrzał na nią, a raczej przez nią, bo jego wzrok był całkiem nieobecny.

Widząc to puste spojrzenie, pomachała do niego ręką:

- Halo! Dzień dobry!

- Dzień dobry. Jak się spało? - Szare oczy powoli odzykiwały swój normalny wygląd. - Mam nadzieję, że cię nie obudziłem?

- Skąd, sama się obudziłam, bo w końcu ile można spać. Nie przeszkadzam?

- Nie. Zresztą i tak mi nie idzie. A szło! - westchnął, po czym wyciągnął do niej rękę. Kiedy podeszła bliżej, posadził ją sobie na kolana i delikatnie musnął ustami jej policzek. - Wstałem wcześniej i zabrałem się do pracy. Ale jakoś nie mogę się skupić. Wypałaś się?

- I to jak! Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułam się tak wypoczęta. Chyba podczas wakacji, gdy jeszcze chodziłam do liceum.

- Tak? To dziwne, bo masz za sobą ciężką noc.

- Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby każda moja noc była taka „ciężka”.

- Nie ma sprawy. Myślę, że da się to zrobić.

- A co z obiecanyim śniadaniem?

- Już? Wracaj do łóżka, zaraz wszystko zamówię.

Kiedy wsunął rękę pod jej szlafrok, przylgnęła do niego mocno i przez chwilę wdychała zapach jego ciepłej skóry.

- Tylko nie każ mi za długo czekać - szepnęła. - Jestem bardzo głodna.

Poruszyła się dopiero wtedy, kiedy porządnie zdrewniał jej kark, a na miękkim dywanie zrobiło się zdecydowanie za twar-do. Nie dane jej było wrócić do łóżka, a jej „głód” został za-spokojony natychmiast, i to na podłodze w salonie.

Amelia uniosła się na łokciu i podciągnęła wyżej, tak żeby jej głowa spoczęła wygodnie w zagłębieniu ramienia Bransona. Pod plecy podciągnęła miękki szlafrok, który poniewierał się gdzieś między ich splecionymi nogami. Ponieważ leżąc na jego piersi, wyraźnie słyszała, jak głośno bije mu serce, odruchowo chwyciła go za przegub dłoni.

- Czyżby pani doktor badała mi puls?

- Żebyś wiedział. Jest zdecydowanie za wysoki.

- Podobnie jak twój - rozeźmiał się i przycisnął usta do jej szyi. - I co z tym zrobimy?

- Może coś na uspokojenie?

- Proponuję jednak coś zjeść. - Usiadł na podłodze i pomógł jej się podnieść. - Wiem, że mogłabyś żyć tylko powietrzem, albo raczej miłością, ale sama wiesz, że to bardzo niezdrowe.

Sprężyste wstał na równe nogi i z głośnym pomrukiem rozprostował silne ramiona. Zerkała na niego ciekawie, leżąc na podłodze, aż w końcu cicho gwizdnęła przez zęby, czym zaskoczyła siebie samą nie mniej niż Bransona.

- Jako lekarz muszę stwierdzić, że jesteś w doskonałej formie. A jako kobieta mogę ci wyznać, że masz fantastyczne pośladki.

- Dzięki. Sam nie wiem, który komplement bardziej cieszy.

- Wiesz, że przez chwilę podglądałam, jak pracujesz? Mia-łeś taką poważną, trochę naburmuszoną minę. Coś nie tak? - spytała, zbierając szlafrok i narzucając go na siebie.

- Nie, to nic takiego. Po prostu niektóre partie książki w ogóle mi nie wychodzą.

- Które partie? - Podeszła do biurka i usiłowała odczytać coś z drobnutkiego ciągu liter na ekranie. - Mogę przeczytać?

- Nie! - Jednym susem podskoczył do stołu i kliknął w klawisze, tak że tekst natychmiast zniknął z ekranu.

- W porządku, przecież ci tego nie zjem. Nie musisz być wobec mnie niegrzeczny. - Poczwała się dotknięta jego gwałtowną reakcją.

- Przepraszam. Ale ty też chyba nie chciałybyś, żebym wisił ci nad głową i próbował doradzać, czy masz wycinać wyrostek, czy nerkę.

- A kto ci powiedział, że miałam zamiar doradzać?

- Na pewno byś to zrobiła. Nie mogłabyś się powstrzymać, żeby nie wtrącić swoich trzech groszy. Wiem coś o tym, kochanie, uwierz mi. No jak, zgoda? - Położył dłoń na jej ramieniu i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

- Zgoda - burknęła, lecz nie wypadło to zbyt przekonująco.

- Widzisz, Amelio - westchnął - tak już to jest, że niewiele osób zna się na neurochirurgii, więc byle kto nie wypowiada się na ten temat. Tymczasem z pisaniem książek jest całkiem odwrotnie. Prawie każdy sądzi, że ma w tej sprawie dużo do powiedzenia. Ludziom wydaje się, że gdyby tylko mieli dość czasu, od razu napisaliby powieść, która rzuciłaby świat na kolana. A teraz już się nie gniewaj, dobrze?

Łaskawie pozwoliła pocałować się w czoło.

- Nikt nie czyta moich powieści, kiedy nad nimi pracuję - tłumaczył dalej Branson. - No, może z wyjątkiem wydawcy. Dzięki temu wciąż mam dość liczne grono przyjaciół.

- No cóż, skoro jesteś aż tak wrażliwy na punkcie swojej pracy...

- Jestem. Powiesz mi, co chciałybyś zjeść?

- Cokolwiek - skrzywiła się lekko. - Chciałabym jednak zapytać cię jeszcze o coś, co ma związek z twoją książką.

- Pytaj.

- W końcu sam mi powiedziałaś, o czym ona będzie. Więc dlaczego teraz nie chcesz pokazać, w jaki sposób to wszystko opisałeś?

- Nie powiedziałem ci, o czym będzie ta książka. Nakreśliłem jedynie szkic tego, co chodzi mi po głowie. Zarysowałem portret głównej bohaterki, ale nie powiedziałem nic więcej.

- No właśnie.

- O rany, nadal będziesz się na mnie dąsać?

- Ja się nigdy nie dąsam.

- A, to przepraszam. Nikt mnie o tym nie uprzedził. Teraz już wiem, że Amelia nie dąsa się, tylko robi kwaśną minę, więc lepiej jej się nie sprzeciwiać.

- No dobra, zamówisz w końcu to jedzenie czy mam to zrobić sama?

- Zrobię to dla pani z największą przyjemnością. Do usług, madame! - Wykonał przed nią głęboki ukłon i podszedł to telefonu. W myślach cieszył się jak dziecko, że jednak można wyprowadzić z równowagi ten chodzący spokój i wzór opanowania. Z tej radości zamówił dużo więcej niż byli w stanie zjeść. - Zobaczysz, zaraz napijesz się dobrej kawy i od razu poczujesz się lepiej.

- Czuję się doskonale i bez kawy.

- A wiesz, że mam tu coś, co powinno zdecydowanie poprawić ci nastrój? - oznajmił, podchodząc do stołu. - Chodź no tu. Zaraz przyglądzimy twoje nastroszone piórka - mruczał pod nosem, grzebiąc w szufladzie. Wreszcie wyjął z niej duże pudełko, owinięte w złoty papier i przewiązane czerwoną wstążką. - To dla ciebie!

- Branson, już ci chyba mówiłam, że nie jestem dzieckiem i nie musisz przekupywać mnie prezentami. Zresztą, jeśli byłabym naprawdę na ciebie zła, żaden prezent by nie pomógł.

- Myślę jednak, że ten by pomógł. No, rozpakuj go szybko i sama się przekonaj.

Amelia nie chciała, żeby pomyślał, że łatwo można ją podejść, ale ciekawość była dużo silniejsza niż duma. Zgodnie ze świąteczną historią, ósmego dnia po Bożym Narodzeniu pojawiało się osiem karmiących matek.

- Ciekawe, jak je tu zmieściłeś - powiedziała bardziej do siebie niż do Bransona i pociągnęła za końce wstążki.

- Może coś zmieniłem w tej historii - stwierdził tajemniczo, a widząc zaskoczenie w jej oczach, ponaglił ją, żeby otworzyła pudełko.

Gdy Amelia podniosła wieczko, aż oniemiała z wrażenia. W wyłożonym cieniutką bibułą tekturowym kartonie kryła się wspiana waza. Jej wnętrze miało kolor intensywnego błękitu letniego nieba w pogodny dzień. A na zewnątrz widać było osiem kobiet, które siedziały na niskich stołeczkach i doiły łaciate krowy. Amelia nawet nie musiała odwracać naczynia, żeby zgadnąć, kto jest jego twórcą.

- Ciocia Shelby - szepnęła. - Jak to zdobyłeś?

- Wybłagałem. A właściwie wyprosiłem u Julii, żeby porozmawiała z matką. Zresztą niedawno dowiedziałem się, że byłej Pierwszej Damie bardzo spodobało się moje zamówienie.

- Nic dziwnego! Waza jest cudowna! Obawiam się, że po takim prezencie trudno ci będzie wymyślić coś bardziej oryginalnego.

- Nie mów hop... Mam jeszcze parę asów w rękawie - uśmiechnął się do niej szeroko i z przyjemnością patrzył, jak Amelia obraca naczynie w dłoniach i uważnie studiuje każdy detal wzoru.

- Powiedz mi, czym mnie jeszcze zaskoczysz? - spytała wreszcie. Zrobiło jej się głupio, że była dla niego niemiła. Czy ten człowiek aż tak zawrócił mi w głowie, myślała, że przestałam nad sobą panować? Czy to przez niego raz jestem wściekła, a raz wzruszona, łagodna i pełna poczucia winy?

Branson znów się uśmiechnął, słysząc jej pytanie.

- Nie powiem. Co by to była za niespodzianka? Amelio...

- zaniepokoił się nagle, widząc w kącikach jej oczu łzy - czym znowu się martwisz?

- Nie wiem, co się ze mną dzieje - zaczęła, ale nagle umilkła, bo niespodziewanie napadł ją płacz. Bezradnie przytuliła się do niego i schowała się w jego ramionach. - Och, Branson...

- Dlaczego płaczesz?

- Nie wiem, nic już nie wiem. Wszystko dzieje się tak szybko, że nie mogę nadażyć.

- To trzymaj się mnie mocno. Razem jakoś sobie poradzimy z tym zawrotnym tempem.

- Muszę odzyskać równowagę, a ty... A ty ciągle mnie czymś zaskakujesz. Czasem wydaje mi się, że czytasz w moich myślach, odgadujesz najskrytsze pragnienia, jeszcze zanim sama zdam sobie z nich sprawę. I to mnie kompletnie wytrąca z równowagi - westchnęła i jeszcze mocniej przyłgnęła do niego, żeby odzyskać w jego ramionach poczucie bezpieczeństwa.

Kiedy tak stała z mocno zaciśniętymi powiekami, przypomniało jej się jedno ze zdań, które wypowiedział Branson, zanim dał jej prezent.

„Nikt mnie nie uprzedził...”

- Powiedz mi - poprosiła bez wahania - co dokładnie miałeś na myśli, mówiąc, że nikt nie uprzedził cię o tym, że czasami lubię się dąsać? Rozmawiałeś z kimś o mnie?

- Naprawdę nie wiem, o czym mówisz - odparł spokojnie. - O, jest już nasze zamówienie! - Uciekł przed jej badawczym wzrokiem i ruszył do drzwi.

Przez cały czas, gdy kelner krzątał się wokół stołu, Amelia siedziała bez słowa na sofie pod oknem. W myślach przeprowadzała gorączkową analizę, prawdziwe śledztwo, które miało doprowadzić ją do odkrycia prawdy. Próbowwała połączyć ze sobą jakieś strzępy rozmów, aż powoli układanka zaczęła tworzyć spójną całość.

- Rozpracowałeś mnie, tak? - zapytała, kiedy zostali sami.
- Rozłożyłeś mój charakter na czynniki pierwsze, tak jak robisz to ze swoimi postaciami? Musiałeś osobiście i bardzo dokładnie zbadać prototyp swojej bohaterki?

- Oczywiście, że tak - przyznał ostrożnie. - Musiałem sporządzić twój profil psychologiczny, bo inaczej nie mógłbym stworzyć w powieści wiarygodnej postaci. To prawda, rozpracowałem cię, ale tylko jako pisarz, jako zawodowiec.

- Nie mówimy teraz o książce!

- To szkoda, bo jedno z drugim się nie łączy! - W jego oczach na chwilę zapłonął gniew. - Myślisz, że wykorzystuję to, co się między nami wydarzyło, dla potrzeb mojej powieści? Że zaciągnąłem cię do łóżka, żeby łatwiej móc opisać zachowanie mojej bohaterki? Czy właśnie o to mnie oskarżasz?

- Nie oskarżam cię. Po prostu pytam.

- W takim razie odpowiedź na twoje pytanie brzmi: nie!
- odparł podniesionym głosem i spojrzał na nią w dziwny, obcy sposób. - Wierzysz mi? - zapytał ciszej.

- Nie wiem. Po prostu jestem zaskoczona, że w tak krótkim czasie poznałeś mnie tak dobrze. Zupełnie jakbyś przeprowadzał na mnie jakieś doświadczenie. Wiem dobrze, jak prowadzi się badania. Najpierw wybierasz odpowiedni materiał badawczy, obserwujesz go, a potem tworzysz jakiś model zachowania.

- Oczywiście, że byłaś dla mnie modelem. Ale tylko jako lekarka, a raczej jako kobieta, która wykonuje niezwykle trudny zawód. Zresztą postać, którą stworzyłem w powieści, nosi w sobie nie tylko twoje cechy. Dołożyłem jej trochę z osobowości jednej z praktykantek, którą obserwowałem w szpitalu. Jest u was taka dziewczyna, blondynka, zdaje się, że ma na imię Audrey. Bardzo ambitna, trochę porywcza, lubiąca współzawodnictwo. Jeśli zaś chodzi o to, skąd cię tak dobrze znam, to sporo powiedzieli mi o tobie twoi dziadkowie. Ale możesz mi wierzyć, że niczego od nich nie wyciągałem na siłę ani nie siedziałem z ołówkiem w ręku i nie robiłem notatek.

Gwałtowna fala palącego wstydu przepłynęła od czubka jej głowy po koniuszki stóp.

- Co ci o mnie nagadali?

- Nic złego - odparł dyplomatycznie. Był wściekły, że w porę nie ugryzł się w język, ale teraz było już za późno. Wiedział, że musi za wszelką cenę odciągnąć ją od drażliwego tematu, choć zdawał sobie sprawę, że nie będzie łatwo. - Jedźmy, zanim wszystko wystygnie - zaproponował pojednawczo.

- Wypytywałeś ich o mnie! •

- I co w tym złego?

- Jak mogłeś iść do nich i szpiegować?

- Amelio, daj spokój! Zaintrygowałeś mnie, więc chciałem dowiedzieć się o tobie jak najwięcej. To chyba zrozumiałe.

- Kiedy byłeś w Hyannis?

- Wkrótce po tym, jak się poznaliśmy. Nie rozumiem, dlaczego robisz o to taką awanturę. Nie zdradzili mi żadnych tajemnic wagi państwowej. Poza tym ty też miałaś prawo wypytać ich o mnie. W końcu przyszedł do ciebie jakiś obcy facet, który powoływał się na znajomość z twoim dziadkiem. Dlaczego mnie nie sprawdziłaś? Jestem przekonany, że Daniel z przyjemnością zasypałby cię informacjami na mój temat. Nie mam złudzeń, że wie o mnie wszystko. Inaczej nie pozwoliłyby mi zbliżyć się do ciebie choćby na krok.

- Chwileczkę! - Wyciągnęła rękę, jakby chciała go przed czymś powstrzymać, ale przez moment w ogóle nic nie powiedziała, bo wzburzenie odebrało jej głos.

- Uspokój się, Amelio.

- A więc to jednak on! Ten stary lis wszystko zaaranżował! A ty wiedziałaś o tym i mimo to nie pisałaś ani słówka!

- O niczym nie wiedziałem! Zorientowałem się dopiero po którymś naszym spotkaniu. Ale i wtedy nie miałem jeszcze pewności. Pojechałem więc do Hyannis Port i rozmówiłem się z Danielem. Czy teraz, kiedy już o tym wiesz, czujesz się szczęśliwsza?

- Nienawidzę, kiedy ktoś próbuje mną manipulować, kiedy mnie zwodzi i oszukuje!

- Nie oszukałem cię przecież!

- Ale manipulowałeś, a przynajmniej starałeś się to zrobić!

- Nic podobnego! Jedyne, co próbowałem, to trochę nagiąć rzeczywistość do własnych potrzeb. Nie ukrywam, że wykorzystywałem sytuację, ale nie ciebie!

Był zły, sfrustrowany tą nieprzewidzianą rozmową, i nie umiał już tego ukryć. Emocje brały w nim górę i utrudniały kontrolę nad słowami.

- Zainteresowałem się tobą, chciałem poznać lepiej. I co, miałem dać sobie spokój, tylko dlatego że Daniel MacGregor uznał mnie za godnego zaszczytu ubiegania się o twoje względy?

Amelia milczała. W jej głowie zapanował nagle straszliwy chaos. Dręczyły ją tak sprzeczne uczucia, że zupełnie nie potrafiła ich ogarnąć.

- Dziadek nie miał prawa wtrącać się do moich osobistych spraw - odezwała się po chwili. - A ty powinieneś uprzedzić mnie o tym, co knuje za moimi plecami!

- Posłuchaj, jesteś chyba dla niego zbyt surowa. Daniel po prostu ułatwił mi spotkanie z tobą. To wszystko. I gdyby nie to, że coś mnie opętało, pewnie cała sprawa skończyłaby się na kilku spotkaniach w szpitalu. Wyciągnąłbym od ciebie potrzebne informacje, a potem podziękował ci w przedmowie do mojej książki. Ani Daniel, ani tym bardziej ja nie mogliśmy przewidzieć, że coś pomiędzy tobą a mną zaiskrzy.

Na nieskończenie długą chwilę zapadło między nimi ciężkie do zniesienia milczenie. Amelia wstała ze swego miejsca i podeszła do stołu, żeby nalać sobie kawy. Potem zastygła w bezruchu z filiżanką w dłoni.

- Ja naprawdę nie rozumiem, jak możesz go bronić. - Pokręciła głową. - W końcu wykorzystał nas oboje do swoich celów. Bawił się nami jak marionetkami. I ja mam nie być dla niego surowa?

- Tak, właśnie o to cię proszę. A wiesz, dlaczego? Bo jestem mu głęboko wdzięczny. Bo gdyby nie jego chytry plan, nigdy bym cię nie spotkał. I nie zakochałbym się w tobie jak wariat...

Nie bardzo wiedział, jak rozumieć jej milczenie, mimo to podszedł i położył dłonie na jej ramionach.

- Kocham cię, Amelio. I naprawdę nie obchodzi mnie, czy ktoś sprowokował nasze pierwsze spotkanie, czy nie. Nie jest ważne jak, ważne, że w ogóle to się stało! Jesteś osobą, na którą czekałem całe życie, choć może nie od razu zdałem sobie z tego sprawę. I uwierz mi, że nie szukałem na siłę tej miłości. Ona przyszła do mnie sama.

- Zaczekaj, nie tak szybko - próbowała nie słuchać tego, co do niej mówił, bo to jeszcze bardziej mąciło jej spokój.

- Obydwoje zostaliśmy wrobieni w tę sytuację. A potem wszystko potoczyło się tak szybko, że ani ty, ani ja nie mieliśmy czasu, żeby wszystko przemyśleć.

- Nie potrzebuję czasu. Znam siebie i umiem nazwać to, co do ciebie czuję.

- A ja nie! Skoro to, co się między nami wydarzyło, nie było do końca prawdziwe, skoro ktoś nami sterował i to wszystko wymyślił, potrzebuję czasu do namysłu. Muszę trochę zwolnić, Bran. Oboje musimy.

- Wcale nie musimy. Dlaczego próbujesz sama siebie oszukać? A może mi nie wierzysz?

Nie odpowiedziała. Co gorsza, w jej oczach dostrzegł najprawdziwsze zagubienie. Amelia wahała się, nie była pewna swoich uczuć, nie ufała mu. To zabolowało go najbardziej.

- Czy nie rozumiesz, że nie wierząc w szczerść moich słów, obrażasz samą siebie? I mnie, bo daję ci to, co czuję, niczym kolejny prezent. A ty nie chcesz go przyjąć! Odrzucasz to, co mam najcenniejszego!

- Nie mów tak! - zawołała. Serce tłukło się w jej piersi tak gwałtownie, że odruchowo przycisnęła je ręką. - Wcale

nie odrzucam tego, co chcesz mi ofiarować. Mówię tylko, że oboje powinniśmy wszystko spokojnie przemyśleć.

- A o czym tu myśleć? - Zniecierpliwiony wzruszył ramionami - Ja i tak swoje wiem. Nic nie zmieni faktu, że cię kocham. A skoro to wyznanie tak bardzo tobą wstrząsnęło, to pewnie już cię nie zaskoczę, jeśli powiem, że chciałbym się z tobą ożenić. I mieć z tobą dzieci, zbudować dom...

Jego ton był całkowicie pozbawiony romantyzmu. Mówił o swoich pragnieniach prosto i rzeczowo, bez zbędnych ozdobników. Gdzieś pod tym wszystkim wyraźnie wyczuwała ukrytą urazę i być może gniew.

Na kogo? Na nią? Na samego siebie? Pobladła, ale nie dlatego, że przestraszyło ją to odkrycie. Bardziej niż wszystko inne zatrwożyło ją to, co powiedział.

- Branson, co ty wygadujesz? Małżeństwo? Chyba nie mówisz poważnie?

- Jak najbardziej! W końcu dlaczego nie? Bo twój dziadek wymyślił sobie, że powinniśmy być razem? Tylko dlatego mnie odrzucasz?

- Nie! Oczywiście, że nie! Jak jednak możemy myśleć o małżeństwie, skoro w ogóle się nie znamy!

- Tak? Ale nie powstrzymało cię to przed pójściem ze mną do łóżka, prawda? Powiedz mi, dlaczego pozwoliłaś mi kochać się z tobą?

- Ja... - rozpaczliwie szukała odpowiednich słów, ale absolutnie nic nie przychodziło jej do głowy. - Myślałam, że oboje tego chcemy, że jest między nami jakieś przyciąganie...

- Przyciąganie? I to wszystko? Czyli po prostu seks, tak?

- Nie! Sam wiesz, że to było coś więcej!!!

- Skąd mam wiedzieć? Robisz wszystko, żebym myślał coś zupełnie innego!

Odsunęła się od niego i ukryła twarz w dłoniach.

- Branson, proszę, posłuchaj mnie. Dużo lepiej niż ja posługujesz się słowami. Raz używasz ich jak tarczy, innym ra-

zem jak miecza. Graj ze mną fair i nie wykorzystuj przewagi. Pozwól mi zastanowić się nad wszystkim w spokoju.

- W porządku. - Schylił głowę, bo nie chciał, żeby wiedziała jego oczy. - Ale nie da się cofnąć tego, co powiedziałem. Ani nie da się zmienić tego, co do ciebie czuję. Jutro, za miesiąc, rok i tak będę czuł to samo. I wciąż będę powtarzał, że bardzo cię kocham, więc lepiej, żebyś szybko uodporniła się na te wyznania.

Nie chciała tego robić. Za każdym razem gdy wyznawał jej miłość, czuła przyjemne ciepło płynące od serca i ogrzewające całe jej wnętrze. Chyba nie potrafiłaby już żyć bez świadomości, że Branson ją kocha. Potrzebowała jedynie odrobiny czasu, krótkiej przerwy, żeby złapać oddech i przywyknąć do nowej sytuacji.

- Błagam cię, zrozum - zaklinała. - Czy naprawdę nie możemy na chwilę się zatrzymać?

Stał, odwrócony do okna, więc nie widziała jego twarzy. Tak bardzo się bała, że to, co ich łączy, rozpadnie się nagle jak domek z kart. Widocznie jednak miała rację, mówiąc, że zupełnie się nie znają, bo kiedy odwrócił się w jej stronę, na jego twarzy dostrzegła uśmiech.

- No dobrze - westchnął - rozumiem. Ale przynajmniej mi obiecaj, że nie będziesz się zastanawiała zbyt długo.

Pochylił się i przelotnie musnął wargami jej policzek. Zrobił to głównie po to, żeby nie poznała po jego oczach, jak bardzo czuje się dotknięty jej wahaniem.

Rozdział dziewiętnasty

Kiedy Amelia dowlokła się wreszcie do domu, czuła się jak przysłowiowy zbity pies. Głód skręcał jej żołądek, bo prawie przez cały dzień nie miała nic w ustach. Po prostu zapomniała pójść na obiad. Poza tym pracowała bardzo długo - miała za sobą dwa dyżury pod rząd, a do tego jeszcze została dziś w szpitalu po godzinach. Po takiej dawce wysiłku miała prawo czuć się kompletnie wykończona.

Branson nie pojawił się przez kolejne trzy dni. Nie przychodził, nie dzwonił, nie przysyłał prezentów. Tysiąc razy dziennie powtarzała sobie, iż musi jakoś pogodzić się z faktem, że najwyraźniej pogniewał się na nią. Trudno. Co mogła zrobić? Nic.

Rozmyślała o tym cały czas od niedzielnego popołudnia, kiedy to zostawiła go w hotelu i załamana wróciła do domu. Od tego czasu wytrwale starała się przekonać samą siebie, że mimo wszystko to ona miała rację. Bo w końcu prosiła go tylko o to, żeby dali sobie trochę czasu, żeby nie szli na żywioł i w spokoju zbadali swoje uczucia.

Była wściekła na dziadka, ale nawet nie zadzwoniła, żeby go zbesztać za te kombinacje za jej plecami. Po pierwsze Daniel MacGregor i tak nie przyjmował do wiadomości żadnej krytyki, a po drugie wymówki niczego już by nie zmieniły. Zresztą zobaczy się z dziadkiem w czasie Wigilii i wtedy będzie miała okazję powiedzieć mu w cztery oczy, co o tym wszystkim myśli.

Z ulgą zamknęła za sobą drzwi mieszkania i powoli zaczęła ściągać kolejne warstwy ubrania. Ani ciepły płaszcz, ani długi szal, ani wełniana czapka nie zdołały uchronić jej przed prze-

nikliwym chłodem pośpnego grudniowego poranka. Najpierw kąpiel, potem łóżko, zarządziła najbardziej skuteczną z możliwych kuracji przeciw zimowej chandrze.

- Julia! Jesteś tu? - zawołała.

Nic. Cisza. Tym lepiej. Przynajmniej nie będzie jej nikt zadrećczać pytaniami.

Mimo to zrobiło jej się trochę przykro. Ostatnio w ogóle nie widywała się z kuzynką. Od czasu do czasu wpadały na siebie w drzwiach albo w kuchni, ale zwykle każda biegła w swoją stronę i na rozmowę nie było czasu. A jej właśnie teraz przydałaby się jakaś bratnia dusza, która cierpliwie wysłuchałaby zwierzeń. Amelia potrzebowała kogoś, kto podtrzymałby ją na duchu i utwierdził w przekonaniu, iż ma prawo czuć się urażona tym, że ktoś prowadzi za jej plecami nieuczciwą grę i próbuje sprowadzić ją do roli pionka na szachownicy.

- Do czego to podobne, żeby dziewięćdziesięcioletni starsuszek miał ochotę bawić się w swata! - mruknęła pod nosem w drodze do kuchni. - A drugi winowajca, wydawałoby się młodszy, więc rozsądniejszy, natychmiast włączył się do tej głupiej zabawy. Wszystko to jest prymitywne, obraźliwe i nie do zaakceptowania! Ale niedoczekanie wasze! Pokażę wam, że życie to nie partia szachów!

Ta wojownicza deklaracja natychmiast poprawiła jej humor. Pełna wigoru weszła do kuchni, ale już w progu potknęła się o wielkie czerwone pudło. Syknęła rozżłoszczona i usiadła na krześle, żeby rozmasować stłuczony palec. Jednak kiedy spostrzegła, o co się potknęła, serce podskoczyło jej do gardła.

- Branson - westchnęła z ulgą i uśmiechnęła się radośnie. Zaraz jednak skarciła w myślach samą siebie. I z czego tak się cieszy? Że znowu przysłał jej jakiś zwariowany prezent?

Żeby udowodnić, że nie da się tak łatwo podejść, odwróciła się plecami do pudła i ruszyła prosto do lodówki. Na drzwiach czekał na nią nagryzmołony na jakimś skrawku liścik od Julii:

Zgaduj-zgadula, w której ręce złota kula? Jak myślisz, od kogo jest to pudło? I co jest w środku? Według moich obliczeń dziewiątego dnia powinno pojawić się dziewięć tańczących dam. Możesz być ze mnie dumna - nie zająrzałam do środka. A nie było łatwo! Umieram z ciekawości, żeby zobaczyć, co tym razem wymyślił twój pomysłowy wielbiciel.

Wrócę późno. Dzwonił dziadek, przypominał o Wigilii w Hyannis. Jakby można było o tym zapomnieć! Pa!

Julka

PS. Ten twój Branson to prawdziwy skarb. Zazdroszczę!

Amelia dwukrotnie przeczytała postscriptum i rozłuszczyła cisnęła kartkę do kosza. Tego jeszcze brakowało, żeby Julia przeszła na stronę Bransona. Wszyscy, włącznie z najbliższą rodziną, byli przeciwko niej. Ale ona i tak się nie da! A przede wszystkim nie rozpakuje tego cholernego pudła. Za kilka dni święta, będzie miała trochę czasu, żeby spokojnie wszystko przemyśleć. A potem zobaczy, co z tym fantem zrobić.

Energicznym szarpnięciem otworzyła drzwi lodówki i ze smutkiem przebiegła wzrokiem po pustych półkach. W szufladzie na warzywa znalazła zwiędnięty zielony seler, który do reszty odebrał jej apetyt. Za to na drzwiach stała butelka białego wina. Amelia poczuła naraz ogromną chęć, żeby się go napić, więc szybko wyciągnęła butelkę z lodówki, rozejrzała się za korkociągiem i wróciła z tym wszystkim do stołu.

- I tak cię nie otworzę, za nic w świecie - zwróciła się do paczki, obok której musiała przejść. Usadowiła się wygodnie na miękkim krześle i nalała wina do kieliszka. - W nosie mam twoje prezenty - burknęła pod adresem Bransona, ale natychmiast pożałowała swoich słów. - Co się ze mną dzieje? Gadam sama do siebie, jakbym była stuknięta. Jak tak dalej pójdzie, skończę w psychiatryku!

Jakby na potwierdzenie słuszności tej smutnej diagnozy, czerwone pudło od Bransona wydało z siebie jakiś dźwięk.

Amelia mogłaby przysiąc, że usłyszała, jak ktoś śpiewnie zanucił jej imię.

- To już koniec - westchnęła i zaintrygowana popatrzyła na pudełko.

Pudełko nie odezwało się więcej, więc westchnęła, pokręciła głową i postanowiła, że weźmie kąpiel, a potem przebierze się w coś wygodnego i pójdzie spać. Już miała to zrobić, kiedy pudełko znowu zaśpiewało. Tego już było za wiele, zwłaszcza dla osoby tak racjonalnej, jak ona. Wolno wstała od stołu, podszła ostrożnie do paczki i nachyliła się nad nią. Przez kilka chwil podejrzliwe przyglądała się purpurowemu kartonowi, ale nie zauważyła niczego podejrzanego.

- W porządku - powiedziała zdecydowanym głosem - otwieram. W końcu nic się nie stanie, jeśli zobaczę, co jest wewnątrz. Boże... - szepnęła zdumiona, gdy uchyliła pokrywkę. - Ten człowiek ma naprawdę niesamowite pomysły!

W obszernym wnętrzu leżało dziewięć pozytywek. Każda z nich była starannie opakowana w przezroczystą bibułkę i przedstawiała postać kobiety. Wśród tańczących dam znalazły się: baletnica, łyżwiarka, akrobatka, dama z Południa, irlandzka pasterka, szkocka wieśniaczka, Cyganka z tamburynem, dama w wieczorowej sukni i ognista Hiszpanka - dziewięć tańczących dam, gotowych na jej skinienie zacząć swoje pąsy.

Amelia nie mogła powstrzymać zachwyty. Wyjmowała z pudełka kolejne figurki, oglądała je ze wszystkich stron, podziwiała, a potem stawiała rzędem na stole. Kiedy wszystkie się tam znalazły, cofnęła się o krok i szczęśliwa jak dziecko podziwiała całą grupę. A kiedy uruchomiła mechanizmy, ciszę pustego domu wypełniła prawdziwa kakofonia dźwięków. Walce mieszały się z charlestonami, szkockie melodie z rytmami flamenco, zaś dziewięć dam tańczyło swój taniec specjalnie dla niej.

Patrzyła na tę wirującą barwną grupę i nie zdawała sobie sprawy, że łzy płyną jej po policzkach. Poczula, że płacze,

dopiero kiedy słone krople zaczęły zbierać się w kąciakach ust. Zastłoniła dłońmi mokrą twarz i stała bez ruchu, dopóki nie ucichła ostatnia melodia, a roztańczone damy nie zastygły w najdziwniejszych pozach.

- To się musi skończyć - szepnęła przez łyzy. - Jak mam spokojnie wszystko przemyśleć, skoro on cały czas mi w tym przeszkadza? To się musi skończyć - powtórzyła i wybiegła z kuchni.

Branson siedział przy komputerze i pracował w skupieniu. Kolejne sceny przepływały przez jego głowę i za pośrednictwem szybkich palców przenosiły się na ekran, który lśnił w ciemnym pokoju błękitną poświatą.

Najwyraźniej chwilowy kryzys minął, bo pisało mu się teraz dużo lepiej. Właśnie doszedł do fragmentu, w którym detektyw Scully był o krok od zakochania się w demonicznej doktor Mirandzie Kates. Tym razem twardy glina okazał się bezradny wobec uroku tej niebezpiecznej kobiety i gotów był zapomnieć dla niej o swoim zadaniu, rzucić wszystko w diabły i ulec fascynacji. Całe szczęście nim zdążył popełnić jakieś głupstwo, kapryśna pani doktor rzuciła go i zajęła się kimś innym, zaś Scully przechodził typowe męki twardziela, któremu złamano serce.

- Dobrze ci tak, mała depresja wyjdzie ci tylko na dobre - mruknął pod nosem Branson. Pomyślał sobie, że dzięki cierpieniu jego bohater stanie się bardziej ludzki, a przez to bliższy czytelnikom. Czy w poprzednich częściach Scully nie był zbyt zimny, surowy i powściągliwy? Zawsze w pełni kontrolował sytuację, nie popełniał żadnych błędów, przez co mógł być mało wiarygodny. Za to teraz Branson postanowił dać mu szkołę życia. - Tak, tak, przyda ci się to, bracie. Wyjdiesz z tego bogatszy wewnątrz - tłumaczył swojemu bohaterowi, którego właśnie ulokował w ciemnym pokoju z butelką whisky i paczką papierosów w ręku.

Poczuł się znużony, więc przestał pisać i przetarł dłońmi zmęczone oczy. Swoją drogą, pomyślał, łatwo powiedzieć, że cierpienie uszlachetnia. Znacznie trudniej samemu cierpieć. Zresztą, na co komu szlachetność? Niedawno zachował się bardzo szlachetnie i co z tego miał? Nic, prócz zmartwień, których najmniej w tej chwili potrzebował. Za to potrzebował Amelii, pragnął jej jak powietrza, a ona jak na złość nie przychodziła.

Źle to wszystko rozegrałem, stwierdził niezadowolony. Kark zeszywniał mu od długiego siedzenia, więc podniósł się i zaczął krążyć po pokoju. Od ubiegłej niedzieli setki razy analizował całą sytuację i zastanawiał się nad tym, co zrobił źle. Wiedział już, że największym błędem było zatajenie spisku Daniela MacGregora. Powinien był powiedzieć jej o nim natychmiast, jak tylko sam się zorientował. Gdyby tak zrobił, być może skończyłoby się tylko na żartach ze starego swata.

Jak na złość nawet się o tym nie zająknął, bo doszedł do wniosku, że cała ta historia z matrymonialnymi planami Daniela jest śmieszna i niewarta zachodu. Poza tym, musiał to uczciwie przyznać, uznał, że mówienie Amelii o pomysłach dziadka mogłoby zaszkodzić jego planom wobec niej. Za nic w świecie nie chciał ryzykować. Jak się okazało, całkiem słusznie obawiał się, że kiedy Amelia usłyszy, co wymyślił jej dziadek, przestraszy się i ucieknie, zanim Branson zdoła rozkochać ją w sobie.

A potem sprawy potoczyły się bardzo szybko. Zaangażował się tak bardzo, że prawie zapomniał, komu zawdzięcza swoją znajomość z Amelią Blade. Był tak pochłonięty własnymi przeżyciami, że nic go nie obchodziły machinacje Daniela. Liczyła się tylko ona.

I kiedy stało się wreszcie to, o czym marzył, kiedy Amelia przyszła do niego i spędzili cudowną noc - wszystko diabli wzięli. Jak mógł być tak nieostrożny, tak popędliwy? Po co powiedział, że ją kocha, skoro zdawał sobie sprawę, że nie jest jeszcze gotowa do przyjęcia takich wyznań?

Wsunął ręce do kieszeni i podszedł do okna. U jego stóp miasto migotało tysiącami świateł, szerokimi alejami ciągnęły samochody, które stąd wyglądały jak świetliste rzeki. Płynęły w różnych kierunkach, były mniejsze lub większe, żółte albo czerwone. Na wodach zatoki kołysały się niewidoczne w ciemności statki. Za to ich drobniutkie lampki pozycyjne kojarzyły mu się z świętojańskimi robaczkami, które widywał w dzieciństwie podczas wakacji nad morzem.

Westchnął ciężko. Cały Boston jest gotowy do świąt. Ludzie szykują się do rodzinnych spotkań z najbliższymi. A on? On siedzi tu sam, jak jakiś pustelnik w swojej celi, i ciągle rozmyśla o kobiecie, która uparcie nie chce przyznać się do swoich uczuć. A może faktycznie nie kocha go, bo w ogóle nie umie kochać nikogo ani niczego poza swoją pracą?

Ciche stukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia. Najpierw miał zamiar udawać, że go nie ma. Nie przypominał sobie, żeby się z kimś umawiał, a zdecydowanie nie miał ochoty na towarzystwo nieproszonych gości. Mimo wszystko podszedł do drzwi i ostrożnie spojrzął przez szybkę wizjera.

Amelia!

Zaskoczony, jeszcze raz wyjrzał na korytarz.

Tak, to ona. Przyszła, żeby...

Właśnie, po co? Czyżby trzy dni wystarczyły jej do podjęcia decyzji?

Przesunął dłonią po policzkach, poczuł szorstki kilkudniowy zarost. Zdaje się, że wyglądam jak niedźwiedź wyciągnięty z matecznika, przemknęło mu przez myśl. Wreszcie otworzył drzwi i powitał ją z wymuszonym uśmiechem:

- Pani doktor? Jak miło! Czy ja zamawiałem wizytę domową?

- Nie, ale widzę, że na pewno przydałaby ci się rozmowa z lekarzem. Wyglądasz na przemęczonego. Nie obudziłam cię?

- Nie.

- A może przyszłam nie w porę? Nie chciałabym przeszkadzać, więc...

- Nie przeszkadzasz. Wejdiesz czy będziemy rozmawiali w korytarzu?

- Wejść.

Szybko przekroczyła próg i rozejrzała się wokół siebie. Obszerne wnętrze eleganckiego salonu przedstawiało obraz nędzy i rozpacz. Trudno było uwierzyć, że to ten sam pokój, który kilka dni wcześniej tonął w powodzi białych róż. Na podłodze, meblach i innych sprzętach leżały puste butelki i jednorazowe kubki do kawy. Stół, przy którym pracował Branson, zavalony był papierzyskami i chwiejnymi stosami książek. Widocznie na jej twarzy musiał pojawić się wyraz zgorznienia, bo Branson także szybko rozejrzał się wokół. Zrobił przy tym taką minę, jakby pierwszy raz widział to pobojuwisko.

- Przepraszam cię za ten bałagan - zaczął, ale najwyraźniej nie czuł się zmieszany. - Poprosiłem pokojówkę, żeby nie przychodziła przez kilka dni. Jeśli chcesz kawy, to zaraz umyję jakąś filiżankę...

- Nie przyszłam na kawę. - Zrzuciła z fotela płachtę gazety i usiadła na samym brzegu. - Czy ty przypadkiem nie pracujesz za dużo? Wyglądasz na wycieńczonego.

- Może trochę. Ale właśnie zaczęło mi iść, więc szkoda czasu na sen. I na całą resztę.

- Uważaj, bo jeśli dalej będziesz tak postępował, przyplącze się do ciebie jakieś choróbsko. A wtedy na pewno nie skończysz tej książki.

- Skończę. Jeszcze nigdy nie pisało mi się tak fantastycznie. Może jednak napijesz się kawy?

- Dziękuję. Ty również powinieneś zostawić kawę w spokoju i zamiast tego zamówić sobie coś pożywnego. Jakaś zupa albo...

- Tak jest, pani doktor. Zastosuję się do pani poleceń. Muszę jednak zauważyć, że pani również nie wygląda rześko jak zimowy poranek.

- Mieliliśmy dzisiaj prawdziwe urwanie głowy - westchnę-

ła. - Przywieźli do nas większość ofiar tego wypadku autobusowego.

- Jakiego wypadku?

- Nie oglądasz telewizji? - zapytała zdziwiona. - Nie słyszałeś o wypadku na moście Longfellow? Mróz, ślizgawica, trzydzieści pięć osób rannych. Nic o tym nie wiesz?

- Myślisz, że mam teraz czas gapić się w telewizor? Posłuchaj, widzę, że miałaś ciężki dzień. Może zamówię coś i zjemy tu razem, co?

Przyjrzał jej się uważnie znad brzegu swojej filiżanki. Była blada, wyglądała mizernie, ale jak zwykle zachowywała ten swój kamienny spokój. Gdyby nie tamta wspólna noc, pomyślałby, że Amelia Blade zawsze jest taka i że nie warto zwracać sobie nią głowy.

- Nie mam ochoty na jedzenie - powiedziała. - Zresztą zaraz wychodzę. Muszę trochę odespać, bo jutro idę do szpitala na czterdzieści osiem godzin. Będę odpracowywać świąteczną przerwę.

- Jak zawsze sumienna doktor Blade!

W jego głosie nie było drwiny, raczej uznanie, więc Amelia rozluźniła się nieco, a nawet uśmiechnęła.

- Przyszłam, bo chciałabym podziękować ci za pozytywki. W życiu nie widziałam tylu na raz. Są naprawdę fantastyczne. Poza tym nie spodziewałam się prezentu.

- Dlaczego?

- Byłam pewna, że pogniewałeś się na mnie.

- Poważnie?

- Tak. Wiem, że poczułeś się urażony, więc nie musisz niczego przede mną udawać.

- Nie udaję, naprawdę się nie gniewam.

- Dobrze. W każdym razie chciałabym, żebyśmy spróbowali spokojnie o wszystkim porozmawiać. Może w czasie Bożego Narodzenia, bo wtedy łatwiej znaleźć trochę czasu i spokoju.

- Amy tak bardzo potrzebujemy spokoju. I rozwagi, prawda? - powiedział zagadkowym tonem, więc w pierwszej chwili przestraszyła się, że robi sobie z niej żarty. Postanowiła jednak brnąć dalej.

- Jadę na święta do Hyannis Port, ale wrócę do Bostonu dwudziestego siódmego, więc jeśli znajdziesz czas, moglibyśmy się spotkać.

- Na pewno znajdę. Nie mam żadnych planów na święta. Jutro pakuję rodziców do samolotu i jestem panem własnego czasu.

- Twoi rodzice wyjeżdżają? - zdziwiła się.

- Tak. Zawsze marzyli, żeby pojechać do Grecji, więc znalazłem dla nich świąteczny rejs wokół wysp.

- Ale ty zostaniesz tu całkiem sam.

- Bywa.

- Posłuchaj - ożywiła się nagle - jeśli miałbyś ochotę spędzić święta z moją rodziną, to serdecznie zapraszam. Nie muszę dodawać, jak bardzo ucieszy się mój dziadek, kiedy znowu cię zobaczy - dodała z przekąsem.

Popatrzył na nią w taki sposób, że aż skóra ścierpła jej na karku. W jego spojrzeniu było coś wyzywającego, nieprzyjemnego, prawie wrogiego.

- A więc ty naprawdę myślisz, że nic się nie stało i że wszystko jest jak dawniej, tak? - zapytał suchym tonem. - Będziemy teraz prawić sobie uprzejmości i wymieniać złośliwości, będziemy zachowywać się jak para starych znajomych, którzy jak gdyby nigdy nic spędzają razem święta...

- Nie - przerwała mu - pomyślałam tylko, że skoro nie jesteś na mnie zły...

- Jestem na ciebie zły.

Nie podniósł głosu, nie zrobił najmniejszego gestu, który zdradzałby wzburzenie. I właśnie to ją przeraziło. Wyrosła w rodzinie, której członkowie zawsze reagowali w sposób bardzo gwałtowny. Wiedziała, jak się zachować, kiedy ktoś dostaje

ataku furii i ciska się wściekły, miotając przekleństwa. Kiedy jednak ktoś oznajmiał, że jest zły, tonem tak lodowatym, jak ten przed chwilą, czuła się zupełnie zbita z tropu.

Branson widocznie odgadł jej myśli, bo uśmiechnął się trochę drwiąco i zapytał:

- Wszystko trzeba ci powiedzieć wprost, prawda? Gdybym zaczął tu wrzeszczeć, rozbijając meble i walić pięścią w stół, wtedy miałabyś niezbity dowód, że jestem na ciebie wściekły. A tak sama nie wiesz, co masz o tym wszystkim myśleć. Ale ja nie zawsze działam według stereotypów. Tak naprawdę staram się unikać ich jak ognia. I to cię niepokoi. Nie potrafisz mnie zaszufładować, więc czujesz się zagrożona. Przykro mi, nie dam się sprowadzić do paru prostych formułek. To, co czuję, i to, co robię, jest dużo bardziej skomplikowane. Nie jestem preparatem namoczonym w formalinie. Radzę o tym pamiętać, pani doktor.

- W porządku. Wierzę, że jesteś na mnie zły. Tym bardziej powinniśmy porozmawiać.

- Jestem, bo zraniłaś mnie bardzo boleśnie.

- Przepraszam, naprawdę nie chciałam tego zrobić... - Chciała powiedzieć coś jeszcze, lecz nagle poczuła, że zbiera jej się na płacz, więc szybko spuściła wzrok.

- Oho, znowu łzy - zadrwił Branson. - Pani doktor ma miękkie serce i łatwo się wzrusza. Wiesz co, mam gdzieś twoje współczucie, litość i rozczulanie się nad moim złamanym sercem! Co, jesteś zaskoczona moim grubiaństwem? Trudno! - Odwrócił się do niej plecami. Kiedy znowu na nią spojrzął, w jego oczach płonął gniew, którego nawet nie próbował ukryć. - Nie chcę, żebyś się nade mną litowała ani żebyś czuła się winna! Chcę, żebyś powiedziała mi, że mnie kochasz! I chcę, żebyś była w pełni świadoma wagi swoich słów! Amelio, nie uda ci się ukryć przede mną tego, co naprawdę czujesz. Widziałem to w twoich oczach, czułem w reakcji twojego ciała. I uwierz mi, że gdybym nie był tego pewien, nie zawra-

całbym ci głowy. Zostawiłbym cię w świętym spokoju i poszedł własną drogą. Czy myślisz, że ta poniżająca scena, którą tu odgrywamy, sprawia mi przyjemność?

- Nie! I zapewniam cię, że ja również nie czuje się najlepiej w tej sytuacji! Dlatego proszę cię jeszcze raz - dodała spokojniej - usiądźmy i porozmawiajmy.

- Ja już wszystko powiedziałem i uważam temat za wyczerpany. Ale mogę powtórzyć jeszcze raz: kocham cię, chciałbym, żebyś za mnie wyszła, miała ze mną dzieci i wspólny dom. Czy coś jest w tym niejasne? Mogę to napisać.

- Nie bądź cyniczny, dobrze? Zrozumieć, a zaakceptować, to dwie różne sprawy.

Przez chwilę milczeli obydwójce. Amelia czuła, że ogarnia ją coraz większy gniew. Obawiała się, że jeszcze moment, a temperament weźmie górę nad zdrowym rozsądkiem. W głębi serca czuła urazę do Bransona, że nie chce zrozumieć i uszanować jej sposobu myślenia. Próbował wymusić na niej decyzję, nie chciał dać czasu, którego potrzebowała, żeby rozważyć wszystkie za i przeciw.

- Być może faktycznie mnie kochasz - odezwała się, nie patrząc mu w oczy. - A może tak ci się tylko wydaje. Nie wiem. I niewykluczone, że ja też... . A zresztą, wszystko jedno. W każdym razie chcę ci powiedzieć, że nie dam się do niczego zmusić i nie dam sobie niczego wmówić. Przysłałam tu, żeby powiedzieć ci o tym.

Wystarczył jeden krok i Branson był przy niej. Gwałtownie chwycił ją w ramiona i pocałował tak mocno, że aż zęby zgrzytnęły o zęby. Opamiętał się, kiedy poczuł w ustach słodkawego smaku krwi. Podniósł głowę, jednak wciąż nie wypuszczał jej z żelaznego uścisku.

- Powiedz mi, co teraz czujesz. No, mów! - nakazał. Czuł, że jej naprężone ciało powoli robi się coraz bardziej wiotkie i uległe. Jeszcze chwila i poddałaby się całkowicie magii jego pocałunków, ale nie o to mu chodziło.

- Nie wiem. Proszę cię, Branson...

- Rozumiem. - Cofnął ręce. Wiedział, że miał nad nią przez moment całkowitą władzę. Ale miał ją tylko nad ciałem, bo serce Amelii nadal opierało się i buntowało. - Lepiej już idź - powiedział cicho. - Nie mogę ci zagwarantować, że będę zachowywał się rozsądnie.

W milczeniu skinęła głową. Opanowała drżenie rąk i szybko pozbierała swoje rzeczy. Już przy drzwiach, z ręką na klamce, poczuła niemiłe ukłucie żalu. Branson miał rację - rzeczywistość czuła się winna. Winna i nieszczęśliwa, bo doskonale zdawała sobie sprawę, że nie była z nim do końca szczerą. Nie przyznała się do tego, co czuje, bo z trudem przyznawała się do tego przed samą sobą. Miłość przytłoczyła ją niczym ciężar, który ledwie mogła unieść.

- Wiesz, Branson, bardzo chciałabym zrozumieć, co się ze mną dzieje. Nie wiem na razie, jak reagować, co myśleć. Mam wrażenie, że błędzę po omacku.

Nie odpowiedział, więc otworzyła drzwi i wyszła z pokoju. Była już za progiem, gdy nagle cofnęła się, jakby przypomniała sobie o czymś bardzo ważnym. Odwróciła się i powiedziała głośno, patrząc mu prosto w oczy:

- Potrzebuję chyba czasu, żeby oswoić się z myślą, że bardzo cię kocham.

Po chwili drzwi zamknęły się za nią bezszelestnie.

W pierwszej chwili Branson zamierzał ją gonić, ale zrezygnował po paru krokach. Zrozumiał, że musi zostawić ją samą. Gdyby próbował ją zatrzymać, pewnie sprzeciwiłaby się gwałtownie. Oparł się o stół i z całych sił walczył z emocjami, które kipiały w nim i podsuwały mu najdziwniejsze pomysły.

Dobrze. Amelia chce czasu, więc jej go da.

Amelia go kocha. Jeszcze lepiej...

Usiadł twarzą do okna i dotknął ręką serca. Tępy ból, który czuł od kilku dni, minął. Branson odetchnął głęboko i poczuł, że wraca mu ochota do życia.

Nagle chwycił go straszliwy głód. Szybko podniósł słuchawkę i zamówił furę jedzenia. Zrobię sobie prawdziwą ucztę, myślał. W końcu tak zalecała pani doktor. Później doprowadzi się do porządku. A potem spacer, długi spacer dla zdrowia i regeneracji sił. Kiedy wróci, usiądzie do komputera i będzie pisać całą noc. Musiał się z tym pośpieszyć, bo Boże Narodzenie było tuż-tuż, a on wciąż miał do załatwienia pewną niezwykle ważną sprawę.

- To jeszcze nic, pani doktor - powiedział głośno, jakby wciąż rozmawiał z Amelią. - Przed panią mój atutowy as!

Rozdział dwudziesty

Daniel MacGregor zrobił się purpurowy z wściekłości. Minę miał marsową, sapał jak parowóz, a jego niebieskie oczy ciskały gromy.

- No, moja panno! Tego już za wiele! Czy ja się w końcu dowiem, co ci się nie podoba w tym chłopaku?

Amelia również była bliska eksplozji. Z trudem pohamowała odruch zniecierpliwienia i odezwała się najbardziej opanowanym głosem, na jaki mogła się zdobyć:

- Dziadku, mówiłam już dziadkowi kilka razy, że to nie jest kwestia podobania się, bądź niepodobania.

- W takim razie czego mu brakuje, skoro go nie chcesz?

- Na miłość boską, niczego! Nie o to chodzi!

- Więc o co? No, słucham! Milczysz? Dobrze, sam ci powiem, gdzie jest pies pogrzebany! Spotkałaś porządnego, niegłupiego chłopaka z dobrej rodziny. Sama wiesz, że jest inteligentny, zaradny i przede wszystkim stały w uczuciach. Nie jak ci twoi doktorkowie, co to sami nie wiedzą, czego chcą. Stara się o ciebie, adoruje, posyła prezenty! Czego jeszcze chcesz?!

- Jeśli, jak to ująłeś, adoruje mnie, to robi tak dlatego, że ty go namówiłeś! Mało tego, skojarzyłeś nas ze sobą jak parę gołąbków i pewnie już zacierasz ręce z radości, że za moment padniemy sobie w ramiona! W dodatku wymyśliłeś całą historyjkę, żeby nasze pierwsze spotkanie wyglądało bardziej wiarygodnie!

- Jaką znowu historyjkę? - Oburzony Daniel aż uniósł się w fotelu. - Czy Branson Maguire nie jest autorem powieści

sensacyjnych? Czy nie pisze teraz książki, której akcja toczy się w szpitalu?

- To wszystko prawda, ale...

- A czy ty nie jesteś lekarką, która może mu przekazać sporo informacji na temat swojej pracy? A że przy okazji jesteście oboje młodzi, zdrowi, wolni... Co w tym złego, że chciałem, żeby tacy ludzie poznali się ze sobą? Poza tym czy ja ci każę spotykać się z nim, widywać codziennie? Nie podoba ci się, to go spław!

- On nie jest rybą! - syknęła przez zaciśnięte zęby.

- A więc jednak podoba ci się trochę nasz pan pisarz! - ucieszył się Daniel. - No, Amelko, powiedz dziadkowi prawdę.

Nie powiedziała. Przez chwilę siedziała bez słowa, zastanawiając się, jak w swej świętej naiwności mogła choć przez chwilę przypuszczać, że uda jej się wygrać ze starym, szczwanym MacGregorem. Całe miasto wiedziało, że nikt z nim dotąd nie wygrał, i pewnie już nie wygra.

- I co, nic mi nie powiesz?

- Powiem ci, że to, co czuję do Bransona, nie jest tematem tej rozmowy.

- A ja ci powiem, że się mylisz. Przecież stąd się wziął cały ten ambaras - uśmiechnął się jednym ze swych chytrych uśmiezków. - Podoba ci się. Ty jemu też. Oświadczył ci się, co?

- Nie będę o tym rozmawiać!

- A więc tak, oświadczył się. Zuch! Dawno już mówiłem, że młody Maguire to porządny gość. Ma nie tylko silny charakter, ale i doskonały gust.

- I dlatego wybrałeś go dla mnie!

- A jakże! To znaczy... - urwał w pół słowa, zły na siebie, że tak się zagalopował. - Amelko, wnusiu - zaczął przymilnie, całkowicie odmienionym tonem - nie zwalaj wszystkiego na mnie. Wiesz dobrze, że babcia bardzo martwi się o ciebie. Ciągle się denerwuje, że jesteś zupełnie sama w tym niebezpiecznym mieście, więc pomyślałem sobie, że znajdę ci jakieś towarzystwo.

- Sama sobie potrafię je znaleźć.

- Dobrze już, dobrze. Poza tym bałem się, że jeszcze poznasz jakiegoś typa spod ciemnej gwiazdy, który nie będzie umiał cię uszanować, docenić. Wiem, że czasem chodzisz gdzieś z tym... jak mu tam... doktorem Gilbertem, czy innym diabłem.

- Dziadku, on ma na imię Greg. Tyle razy ci przypominałam. Poza tym nie jest żadnym diabłem. To bardzo fajny chłopak.

- Ale nie tak fajny, jak Branson, co?

Dumnie uniosła głowę i mocno zacisnęła usta.

- Wiesz, że wołę ludzi spokojnych, zrównoważonych i stacecznych.

- Akurat! I nudnych jak flaki z olejem! Myślisz, że ci uwierzę?

- A dlaczego nie?

- Bo pochodzisz z rodziny MacGregorów, a w naszych żyłach płynie krew, nie woda! Wiesz sama, że ten twój George zanudziłby cię na śmierć.

- Greg, dziadku, Greg! Ale zostawmy go w spokoju, bo jego osoba nie ma tu nic do rzeczy.

- I całe szczęście.

- W każdym razie bardzo nie podoba mi się, że próbowałeś ingerować w moje życie, w życie Bransona. I jeśli spodziewasz się, że będziemy dziękować ci za twoje swaty, to jesteś w błędzie! Nie wiem jak Branson, ale ja mam do ciebie duży żal i...

Gdzieś na dole trzasnęły drzwi, a zaraz potem w olbrzymim holu rozległy się ożywione głosy. Amelia zakłęta pod nosem, bo pojawienie się któregoś z jej licznych kuzynów oznaczało nieuchronny koniec rozmowy w cztery oczy. Za chwilę rozpuęta się tu piekło żywiołowych powitań i nie będzie mowy, żeby znaleźć dla siebie spokojny kąt.

- Słyszysz? To moja Rena! - rozpromienił się Daniel,

szczęśliwy, że ktoś wreszcie uwolni go od śledztwa prowadzonego przez Amelię. - Rena, kochana moja! Chodź tu szybko! Twoja córeczka jest u mnie!

Pchnięte energiczną ręką drzwi gabinetu otworzyły się na oścież i stanęła w nich drobna, rudowłosa kobieta.

- Amelia! Witaj, córeczko! Wcześniej przyjechałaś. Chodź no, niech cię ucałuję! - Serena MacGregor szeroko rozłożyła ramiona i uszczęśliwiona czekała na Amelię. - Tak się za tobą tęskniłam - szeptała, tuląc ją do siebie.

Kiedy już się wyczołowały, Serena uważnie przyjrzała się córce. Jedno spojrzenie wystarczyło, by odgadła, że w powietrzu wisi burza z piorunami. Ponieważ doskonale знаła trudny charakter swego ojca, natychmiast wyczuła, że to w nim należy szukać źródła zmartwień córki. Uniosła lekko brwi i spojrzała znacząco w stronę Daniela, który siedział w swoim fotelu z miną niewiniątka.

- Tato, co się tu dzieje? - zapytała podejrzliwie.

- A nic, co by się miało dzieć? Rozmawiamy sobie z Anielką, ot i wszystko.

- Hm, a mi się zdaje, że dokuczasz mojemu dziecku - Serena nie dawała łatwo za wygraną.

Daniel wiedział, że córka ma dar do wykrywania jego machlojek, dlatego skwapliwie wykorzystał fakt, że w drzwiach stanął jego zięć, Justin Blade. Powitał go serią entuzjastycznych okrzyków, które miały odwrócić uwagę obu pań od drażliwego tematu.

Amelia i tak zresztą by go nie podjęła. Widząc ojca, zakrzyknęła radośnie, po czym dopadła go jednym susem i jak mała dziewczynka zawisła mu na szyi. W powitalnym uścisku córki była taka desperacja, że zdumiony Justin popatrzył ponad jej głową prosto w oczy Sereny. Widocznie natychmiast znalazł w nich odpowiedź, której szukał, bo machinalnie skierował pytające spojrzenie w stronę teścia. Ten natychmiast wyczuł, co się święci. Wiedział, że jest w prawdziwych opałach - w słów-

nej potyczce z córką i jej mężem nie miał żadnych szans. Serena i Justin stanowili tak zgraną parę, że stary lis wolał nie ryzykować i postanowił salwować się ucieczką.

- No, moi kochani, pora zjeść coś gorącego i wypić po szklaneczkę zacnego trunku. Pójdę zobaczyć, czy wszystko gotowe, bo już najwyższa pora. Zaraz zjedzie reszta rodziny. - Wolno okrzyknął masywne biurko i ruszył do drzwi. - Reno, córeczko, bardzo cię proszę, porozmawiaj ze swoją matką, bo ona wprost żyć mi nie daje tym swoim ciągłym zamartwianiem się o wszystkich - rzucił na odchodnym i zniknął za drzwiami.

- Ten mój teść chyba nigdy się nie zmieni. - westchnął Justin. - I dobrze!

- Jak dla kogo - opuściła głowę Amelia.

Justin odsunął córkę na odległość wyciągniętych ramion i spojrzał w jej bladą twarz.

- Witaj, królewno! - powiedział, powtarzając słowa, którymi kiedyś powitał ją na świecie.

- Cześć, tatusiu! Tak się cieszę, że już jesteście. A gdzie reszta bandy? Mac, Duncan, Mell...?

- Mac leci z Las Vegas, więc pewnie będzie dopiero za parę godzin. A Duncan i Mell jadą z Atlantic City i myślę, że powinni dotrzeć tu najdalej za godzinę.

- Super! Pomóc wam wnieść bagaże?

- Nie, córeczko, dziękujemy. To może poczekać. - Serena objęła Amelię i pociągnęła ją w stronę sofy. Kiedy usiadły wygodnie obok siebie, najpierw poprawiła jej włosy, tak samo, jak robiła to, gdy Amelia była małą dziewczynką, a potem zapytała, biorąc ją za rękę: - Powiedz mi, kochanie, czy bardzo jesteś zła na dziadka za tę aferę z Bransonem?

- To ty wiesz o wszystkim? - Amelia nie mogła ukryć zdumienia - No tak, mogłam się tego spodziewać. W tej rodzinie wieści rozchodzą się w zawrotnym tempie.

- Oczywiście, że wiem - uśmiechnęła się Serena. - Tym razem Julia puściła farbę. Powiedziała o całej historii swojej

matce, Shelby powtórzyła to mnie, a ja twojemu ojcu. Ale powiedz mi, czy dziadek bardzo ci dokuczył?

- Właściwie nie mogę powiedzieć, żeby mi dokuczył. Po prostu postawił mnie w wyjątkowo niezręcznej sytuacji.

- Mówiąc szczerze, nie widzę tu żadnego problemu - odezwał się Justin typowym dla siebie praktycznym tonem. - Jeśli nie odpowiada ci cały ten Branson, jeśli nie jesteś nim zainteresowana, po prostu powiedz mu o tym.

- Ale... ja jestem zainteresowana - przyznała Amelia, spuszczać oczy.

- Aha, to zmienia postać rzeczy. W takim razie trzeba ustalić, jak bardzo jesteś zainteresowana, a potem...

- Justin, daj spokój - Serena nie mogła słuchać do przesady konkretnych uwag męża. - Powiedz nam, jaki jest Branson? - zwróciła się łagodnie do córki. - Opowiedz nam trochę o nim.

- Jest pisarzem. Ale pewnie już o tym wiecie.

- Wiemy. Muszę przyznać, że pisze całkiem nieźle. - Justin pokiwał głową z uznaniem.

- Tak, kto by pomyślał, że mały Branson będzie kiedyś pisał kryminały! - Serena uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Widziałam go ostatni raz, kiedy był całkiem malutki. Potem jakoś straciłam kontakt z jego matką. Szkoda, kiedyś się nawet przyjaźniłyśmy. Muszę do niej zadzwonić. Ale to ty miałaś opowiadać, Amelio. Powiedz nam, jakim Branson jest człowiekiem, bo to jest najważniejsze.

- No więc jest... bardzo interesujący. Kulturalny, trochę ironiczny. Cierpliwy. Ale nie zawsze. Bardzo poważnie traktuje swoją pracę. Lubi francuską kuchnię i włoskie opery. Pięknie się uśmiecha, ma niesamowite oczy. W ogóle jest przystojny... Nie wiem, co jeszcze chcielibyście wiedzieć. - Spojrzała na rodziców bezradnie. - Aha, ma dobre serce.

- Zakochałaś się. - Serena spojrzała córce prosto w oczy, a potem przeniosła wzrok na męża. - Słyszysz, Justinie? Nasza córka jest zakochana.

- Być może. - Amelia zerwała się z sofy, bo emocje nie pozwalały jej usiedzieć w miejscu. - Ale skąd ja mam wiedzieć, czy to naprawdę miłość? Nigdy dotąd nie czułam się tak dziwnie. W dodatku Branson chce się żenić. Właściwie wręcz nalega, tak jakby był pewien, że wcześniej czy później i tak to nastąpi. Najgorsze, że dziadek namotał to wszystko za moimi plecami!

Po tym gorączkowym wyznaniu w gabinecie głównego winowajcy znowu zapadła cisza. Justin poczuł, że nie jest w stanie natychmiast wyrobić sobie zdania o całej sytuacji, więc postanowił odłożyć to na później. Póki co, najważniejszą sprawą było uspokojenie wzburzonej Amelii.

- Posłuchaj, królewno - zwrócił się do niej. - Daniel uwielbia bawić się w swata. Robił to już wiele razy i często z rewelacyjnym skutkiem - powiedział, po czym popatrzył znacząco na żonę i pocałował jej dłoń.

- To co? Ja też mam mu na to pozwolić? - zaperzyła się Amelia.

- Nie, oczywiście, że nie. Masz swój rozum, serce, intuicję. Nikt nie zdecyduje za ciebie, co masz zrobić w tej sprawie.

- Łatwo ci mówić, tato. Problem polega na tym, że mój rozum mówi coś całkiem innego niż serce. Jeśli tak wygląda miłość, jeśli powoduje same kłopoty, zamieszanie i chaos, to ja dziękuję. Nie znoszę tej niepewności, ona mnie przeraża. Mamo... - zwróciła się do Sereny zmęczonym głosem - jak mam wyjść za Bransona, skoro ja się boję? Boję się, że sobie nie poradzę. Bo jak jednocześnie pracować, robić karierę, wychowywać dzieci i prowadzić dom? Nie wierzę, że będę w stanie pogodzić jedno z drugim. Co zrobię, jeśli się okaże, że nie potrafię być ani dobrą żoną, ani dobrą lekarką?

Kiedy wyrzuciła z siebie dręczące myśli, które od tyłu dni zatruwały jej życie, poczuła ogromną ulgę. Jednocześnie miała wrażenie, że nagle uszła z niej cała energia, więc ciężko opadła na sofę i spoglądała na rodziców, czekając w napięciu, co powiedzą.

- Niestety, Amelio - pierwsza odezwała się matka - na twoje pytanie nikt nie jest w stanie odpowiedzieć. Życie pokaże, czy potrafisz połączyć pracę i dom. W każdym razie, jeśli nie zaryzykujesz, nie będziesz miała okazji przekonać się o tym. Ale pomyśl, że do tej pory zawsze udawało ci się osiągnąć to, co zaplanowałeś. Myślę zresztą, że w tym tkwi twój największy problem. Zawsze byłeś bardzo poważna, sumienna, nawet jako dziecko. I ta cecha charakteru, choć bardzo cenna, może ci teraz przeszkadzać.

- Jest jeszcze coś, o czym wam nie powiedziałam - wyznała Amelia prawie szeptem.

- Coś złego? - W oczach Justina natychmiast pojawiła się czujność.

- Nie... to znaczy tak! Zrobiłam Bransonowi ogromną przykrość. I boję się, że to się może powtórzyć. Że będę zawsze myślała najpierw o sobie, a dopiero potem o nim, i przez to w końcu go skrzywdzę.

- Wychodząc za niego za męża?

- Tak. Obawiam się, że mogę go zawieść.

- Posłuchaj, córeczko - Serena splótła dłonie i przez moment zbierała myśli - wyobraź sobie taki przypadek: masz pacjentkę, silną, zdrową kobietę. Ta kobieta ma do wyboru dwie możliwości. Jeśli skorzysta z pierwszej z nich, w jej życiu niewiele się zmieni. Pójdzie z góry ustaloną drogą, odniesie sukces zawodowy, na pewno będzie zadowolona z siebie. Kto wie, może nawet na swój sposób będzie szczęśliwa. Natomiast wybierając drugi wariant, będzie musiała zaryzykować. Dostosować się do sytuacji, zmienić styl życia, pójść na pewne kompromisy. Jeśli jednak odważy się na to, może zyskać bardzo wiele. Jej życie pewnie nie będzie dłuższe, ale na pewno pełniejsze, bogatsze. Pomyśl teraz, którą drogę poleciałabyś takiej pacjentce?

- To oczywiste - mruknęła Amelia. - Ale co innego doradzać komuś, a co innego samemu podjąć decyzję.

- Ano właśnie. - Serena pocałowała córkę w policzek. - Niestety, nie mogę wybrać za ciebie. Z życiowymi decyzjami człowiek zwykle boryka się sam.

- Nie jest to zbyt pocieszające.

- Cóż, takie jest życie. Pamiętaj, że masz nas, wspieramy cię i życzymy ci jak najlepiej. Myślę, że wiesz, co w życiu jest ważne i umiesz mądrze zadecydować. Oprócz nas masz dwóch doradców. Jednym jest serce, drugim rozum. Od ciebie zależy, którego posłuchasz. A może obu?

- Dziękuję, mam, nawet nie wiesz, jak mi pomogłaś. Skoro muszę zdecydować się na coś, zrobię to!

- Trzymamy kciuki. - Justin położył dłoń na ramieniu córki. - Jesteś mądra, dzielna kobieta, więc na pewno nie popełnisz błędu.

- Obyś miał rację, tato - odparła Amelia i pocałowała go w policzek. - A teraz muszę się przejść i jeszcze raz dokładnie wszystko przemyśleć. Niedługo wrócę - dodała i ruszyła w stronę drzwi.

Przez całą noc Amelia nie zmrużyła oka. I nic dziwnego, skoro było już dobrze po trzeciej, kiedy rozbawieni MacGregorowie rozeszli się wreszcie do swoich sypialni, potem zaś jeszcze długo słychać było śmiechy, fragmenty rozmów i trzaskanie drzwiami. Amelia położyła się dużo wcześniej, jednak spać nie mogła nie tylko z powodu nocnych hałasów. Leżała w ciemnym pokoju, wpatrywała się w wysoki sufit i rozważała bezustannie wszystkie za i przeciw jej ewentualnemu małżeństwu z Bransonem.

Niestety, odpowiedź nie przychodziła. Logiczny i uporządkowany umysł tym razem zbuntował się i zamiast podsuwać konstruktywne wnioski, natrętnie stawiał jej przed oczami postać Bransona. Ciągle widziała jego skupioną twarz i bystre oczy, które umiały zajrzeć aż na samo dno jej duszy. Zmęczona tymi wizjami, przewracała się z boku na bok, ale nie mogła znaleźć ukojenia.

Kiedy wreszcie udało jej się zapaść w lekki sen, za oknami robiło się szaro. We śnie znowu zobaczyła Bransona. Czekał na nią w szpitalu, na korytarzu. Patrzył jej w oczy i mówił, kim jest i po co przyszedł. A potem poszli razem na zakupy. Kiedy wrócili, okazało się, że jeden z jej pacjentów zmarł, więc strasznie płakała, a Branson pocieszał ją i gładził po twarzy. Mimo to nie mogła się uspokoić, więc wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka usłanego płatkami białych róż. Patrzył na nią, a jego spojrzenie było tak intensywne i groźne, jak wtedy, gdy pierwszy raz wyznawał jej miłość.

W pewnej chwili sceneria zmieniła się całkowicie. Byli razem w jakimś lesie. Branson mówił do niej, ale nie mogła zrozumieć jego słów. Mimo to uśmiechała się do niego, podawała mu coś w wyciągniętej dłoni i prosiła, żeby to przyjął. Kiedy się zgodził, poczuła niezwykłą lekkość. Zupełnie jakby jej ciało przezwyciężyło grawitację i uniosło się ponad korony drzew. Nawet jednak tam, wysoko w chmurach, Branson był obok niej, trzymał ją za rękę i powtarzał, że teraz już mu się na pewno nie wyrwie.

Tylko że ona wcale nie chciała się wyrwać. Z dłonią w jego dłoni czuła się silna i bezpieczna. Nagle gdzieś pod nimi zagrały szkockie kobzy. Nie widziała kobziarzy, ale wyraźnie słyszała dźwięk piszczałek. Zaczęła śmiać się bardzo głośno, a jej śmiech mieszał się z muzyką. Chciała zapytać Bransona, czy nie wie, skąd wzięli się ci kobziarze. Odwróciła się, ale nie było go już przy niej, zniknął bez śladu. Przerazona zaczęła rozglądać się na wszystkie strony, widziała jednak teraz tylko niebo nad głową i zielony las pod stopami.

Ogarnęło ją tak wielkie przerażenie, sparaliżował taki strach, że prawie nie mogła się ruszyć. Ciało miała ciężkie i sztywne jak stalowy pancerz. Chciała krzyczeć, wołać Bransona, błagać, żeby jej samej nie zostawiał, ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Na piersi czuła ciężar, który przyniatał ją i dusił tak mocno, że aż głos wiązał jej w gardle.

Obudziła się zdyszana i mokra od potu. Zdezorientowana, szybko rozejrzała się po pokoju i dopiero po chwili rozpoznała wnętrze sypialni w Hyannis Port.

- Boże, co za koszmar - odetchnęła z ulgą. Nagle zdała sobie sprawę, że choć już nie śpi, wciąż słyszy piszczałki. - Kobzy? Ktoś gra na kobzie... - szepnęła zdumiona i szybko wstała z łóżka.

Gorączkowo zaczęła szukać szlafroka, zerkając przy okazji na wielki ścienny zegar, który wskazywał ósmą rano. Nagle roześmiała się i rozbawiona pokręciła głową. Ach, ten dziadek, szkockie kobzy w świąteczny poranek to pewnie jego pomysł. Kompletny wariat.

Bez pośpiechu włożyła na siebie miękki dres i zaintrygowana poszła zobaczyć, co też tym razem wymyślił Daniel MacGregor. Kiedy otworzyła drzwi sypialni, donośny dźwięk bębnow i piszczałek prawie ją ogłuszył. Z górnego korytarza dobiegał hałas otwieranych drzwi, soczyste przekleństwa mieszały się z głośnym śmiechem. Najwyraźniej MacGregorowie jak zwykle nie byli zgodni, czy cieszyć się z tej niezwykłej pobudki, czy raczej ją przeklinać.

W połowie schodów wpadła na zasapaną Julię, która z rozwianym włosom pędziła na górę.

- Amelka! Właśnie po ciebie lecę! Schodź szybko, to coś zobaczysz!

- Uspokój się. Nie muszę tego oglądać. Wystarczy, że słyszę te cholerne kobzy! Co ten dziadek znowu wymyślił?

- To nie dziadek! - Julia szarpnęła ją tak energicznie, że o mały włos obie straciłyby równowagę i na łeb na szyję poleciały ze schodów.

- Czyś ty oszalała? Chcesz mnie zabić? Jak nie dziadek, to kto?

- Branson! Twój szalony Branson!

- Co?!

Jak przez mgłę widziała, że Julia ciągnie ją do olbrzymiego

weneckiego okna w salonie i zmusza, żeby wyjrzała na zewnątrz. Zrobiła to, ale natychmiast pomyślała, że nadal śni. Przetarła zdumione oczy, lecz zjawy nie zniknęła. Po zaśnieżonym trawniku maszerowała szkocka orkiestra. Dziesięciu mężczyzn w kraciatych spódnicach waliło w bębny i co sił w płucach dęło w kobzy, podskakując przy tym w rytm muzyki.

- No tak! - krzyknęła Julia, a potem klasnęła w dłonie. - Dziesiąty dzień! Było już dziewięć tańczących dam, więc przyszła kolej na dziesięciu skaczących panów!

Nagle hałas zrobił się większy. Do dziesięciu podskakujących Szkotów dołączył jeszcze jeden muzykant. Mężczyźni utworzyli krąg, w którego środku stanął Branson.

- Ależ on to śmiesznie wymyślił! - entuzjasmowała się Julia. - Mamy dziesięciu skaczących panów, jedenastu kobziarzy i dwunastu doboszy. A więc historia dobiegła końca. Masz swoje dwanaście świątecznych dni!

- I pomyśleć, że on to wszystko wymyślił dla mnie. - Amelia usiadła tam, gdzie stała, i oszołomiona wpatrywała się w barwną paradę za oknem.

- On jest naprawdę szalony! Szalony z miłości!

- Tak, teraz już wiem. Nareszcie wiem, że byłam głupia, wątpiąc w tę jego miłość. Branson mnie kocha, kocha naprawdę. Julka, on mnie kocha! - zawołała i zaczęła ścisnąć kuzynkę z całych sił.

- Więc co tu jeszcze robisz? Przestań mnie dusić i leć do niego! - Julia usiłowała oswobodzić się z uścisku.

- Lecę! - Amelia poderwała się i pobiegła do holu.

- Hej, buty! - wołała za nią Julia. - Załóż jakieś buty, bo się przeziębisz!

Choć cała ta maskarada odbywała się specjalnie dla niej, Amelia miała spore problemy, żeby dostać się do drzwi. Zawzięcie rozpychała się łokciami, torując sobie drogę wśród tłumu MacGregorów, którzy w szlafrokach, płaszczach i futrach narzuconych na pizamy, tłoczyli się w szerokim przejściu

i barwną falą wylewali na podjazd. Tuż za progiem zarumieniona Anna szarpała się z nestorem rodu, który wiercił się nerwowo i nie pozwalał pozapinać swojego okrycia.

- Danielu, stójże na miłość boską! - tłumaczyła. - Zaraz cię zawieje i zapalenie płuc gotowe! Stary jak świat, a gorszy niż małe dziecko!

- Daj spokój, kobieto, nic mi nie będzie! - huczał stary i rwał się w stronę orkiestry.

- Chwileczkę! Przecież kobziarze nie uciekną!

- Ale co to za kobziarze! Słyszysz, jak wspaniale grają?

Amelia próbowała przemknąć obok dziadków, lecz Daniel był szybszy. Mocno chwycił ją za ramię i nie kryjąc satysfakcji, wrzasnął jej prosto do ucha:

- To ci dopiero kawaler! Widzisz, kogo dla ciebie wybrałem!

- Widzę, ale teraz niech mnie już dziadek puści! - Już chciała pobiec dalej, gdy nagle zatrzymała się i z całych sił ucałowała go w oba czerwone od mrozu policzki. - Kocham cię, dziadku, ale i tak nie mam zamiaru ci dziękować! W każdym razie zrobię to nie wcześniej niż za tydzień!

Energicznie odepchnęła kuzynów, którzy stali na jej drodze, rozerwała krąg kobziarzy i poszła tam, gdzie, czekał na nią Branson.

- Cicho bądźcie, bo nic nie słyszę! - zawołała.

Ale równie dobrze mogłaby mówić do ściany. Rozbawieni MacGregorowie zaczęli gwizdać, tupać, wiwatować i bić gromkie brawa. Ona i tak tego nie słyszała. Ogłuszona łoskotem bębnow i gwizdem piszczałek, stała w białym kręgu i patrzyła w oczy Bransona. Cała utonęła w tym spojrzeniu, więc nawet nie zauważyła, kiedy nagle wokół nich zapadła cisza jak makiem zasiała.

- Wesołych Świąt, Amelio - powiedział cicho. - Kocham cię. Przyszedłem, żeby jeszcze raz ci o tym powiedzieć. Tu, przy wszystkich, przy całej twojej rodzinie. Kocham cię bardziej niż potrafisz wyrazić. Szanuję cię, podziwiam i zrobię wszystko, żeby zasłużyć na twoją miłość. - Wyciągnął rękę

i brzegiem dłoni otarł łzę, która potoczyła się po jej policzku. - I jeszcze raz powtarzam, że chciałbym, żebyś znalazła dla mnie miejsce w swoim życiu, bo moje bez ciebie nie ma żadnego sensu. I jeszcze raz pytam: czy chcesz być ze mną?

Amelia nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Ogarnęło ją tak silne wzruszenie, że aż zrobiło jej się słabo. Boże, zaraz zemdleję, pomyślała spłoszona, ale dokładnie w tym samym momencie poczuła, że ktoś bierze ją za rękę i przekazuje ciepły, kojący uścisk. To Serena delikatnie dotknęła jej ramienia, jakby chciała zawrzeć w tym geście całą swoją miłość i wsparcie. Zaraz potem odsunęła się na bok.

- Amelio, czekam aż mi odpowiesz - przypomniał o sobie Branson.

- Powiedziałam ci kiedyś, że nie dam się do niczego zmusić i że nie pozwolę sobą sterować... - zaczęła, ale wargi drżały jej tak bardzo, że z trudem wydobywała z siebie kolejne słowa.

- Amelka, daj już spokój! - zawołała Julia, wyraźnie zniecierpliwiona przedłużającą się sceną. - Powiedz mu wreszcie, że go kochasz!

Amelia zignorowała ten rozkaz. Nie odrywając oczu od Bransona, mówiła dalej:

- Powiedziałam też, że nie pozwolę, aby ktoś mnie popędzał albo wymuszał na mnie decyzje. Przepraszam, że trwało to tak długo, ale dopiero teraz mogę zupełnie świadomie powiedzieć, że ja też bardzo cię kocham. Przyjmuję twoją miłość i proszę, żebyś w zamian przyjął moja.

- No, Maguire, pocałujże tę dziewczynę! - nie wytrzymał Daniel.

- Spokojnie - Branson spojrzał ponad głowę Amelii w szklące się od łez błękitne oczy dziadka - pozwoli pan, że od tego momentu sam będę pisał ciąg dalszy - dokończył z uśmiechem.

A potem pocałował Amelię w usta.

Z pamiętnika Daniela Duncana MacGregora

No i wydaliśmy naszą Amelię za mąż! Nie pochlebiając sobie, muszę przyznać, że ten młody Branson Maguire wyjątkowo mi się udał. Porządny i bystry z niego chłop, chociaż Irlandczyk Cieszę się, że wszedł do naszej rodziny.

Najważniejsze, że jest wpatrzony w naszą Amelię jak w obraz. Kocha ją i szanuje, w ogóle świata poza nią nie widzi. Widziałem to wyraźnie w jego oczach, kiedy czekał na nią przed ołtarzem. A ona szła przez kościół, jasna i świeża niczym poranek. W pięknej sukni i ślubnym welonie wyglądała jak królewna z bajki. Serce mi rosnęło, kiedy trzymając się za ręce, patrzyliśmy z moją Anną, jak młodzi składają małżeńską przysięgę. Przez wysokie okna wpadały do środka słoneczne promienie, a kolorowe szkła witraży malowały je tysiącem barw. Pomyślałem sobie wtedy, że oto drzewo, jakim jest nasza rodzina, wypuszcza nowy pęd.

Życie człowieka przypomina krąg, a miłość jest tym, co spaja poszczególne elementy. Jest ogniwem, dzięki któremu fragmenty tworzą całość. W ten cudowny dzień, kiedy Amelia i Branson przysięgli sobie miłość, do wielkiego kręgu utworzonego przez kolejne pokolenia, doszedł następny fragment.

Znowu mamy wiosnę i czuję, jak wstępują we mnie siły. Moja mała Amelka zaczyna nowe życie. Laura, okrągłutka, że aż miło patrzeć, oczekuje dziecka, które lada chwila pojawi się na świecie. Za to Julia haruje jak wół i w ogóle się nie oszczędza. Nic, tylko praca i praca. Twardy orzech z tej Julki, wiem ja to dobrze, bo charakterek odziedziczyła po swojej babuni.

Nie raz mówiłem, że Julia to mój największy skarb, dlatego zostawiłem ją sobie na deser. Musiałem dobrze przygotować chytry plan, bo z tą panną nie pójdzie mi łatwo. Ale niech się nie nazywam Daniel Duncan MacGregor, jeśli nie uda mi się zgiąć jej twardego karku. Ostry i sprytny jest ten mój rudzielec ale i ja mam swój rozum!

Dlatego długo myślałem, kogo powinienem zwerbować do pomocy. I wreszcie znalazłem. Od lat mam na oku tego chłopa. I niech mnie kule biją, jeśli nie jest prawdą, że Julka też zerka w jego stronę.

Tylko że ona za nic w świecie nie przyzna się do tego i nawet na mękach nie piśnie choćby słówkiem, że on jej się podoba. Uparciuch z tej dziewczyny, że ani przystąpi. I właśnie dlatego człowiek, którego dla niej wybrałem, będzie idą jej idealnie pasował. Oboje są w gorącej wodzie kąpani, niecierpliwi, uparci. Za każdym razem, gdy się widzą, kłóć się aż iskry lecą.

Ale, jak to mówią, kto się lubi, ten się czubi! Jak niebędzie z nich wspianała para. Urodzą mi zdrowe, silne wnuki-

To znaczy urodzą je dla Anny, rzecz jasna. Ta kobieta od lat wzdycha, żeby wreszcie zostać prababcią. Póki co schowała do szafy welon ślubny panien młodych z naszego klanu. Już miałem jej powiedzieć, żeby tego nie robiła, bo nim mine rok znowu będzie potrzebny, ale w końcu dałem spokój. Trzeba uważać, żeby nie zapeszyć.

Część trzecia

Julia

Rozdział dwudziesty pierwszy

Julia nie miała najmniejszych wątpliwości, co należy zrobić.

- Rozwalić. Cała ściana do wyburzenia - powiedziała do małego dyktafonu, który pełnił funkcję podręcznego notesu. Energicznie przeszła z malutkiego saloniku do równie miniaturowej biblioteki, przyglądając się wnikliwie każdemu detelowi wnętrza. - Tak - zdecydowany ruch głową sprawił, że rude loki zafalowały gwałtownie - po wyburzeniu ściany, zamiast dwóch ciasnych klitek będą miała jedno jasne, przestronne pomieszczenie. Szyby i stolarka okienna do wymiany. Framugi i boazerię oskrobać z farby. Mają mieć swój naturalny orzechowy odcień. Ktokolwiek kazał pomalować to na niebiesko, powinien zostać powieszony - zakończyła swój wywód i wyłączyła dyktafon.

Zbliżała się właśnie do końca trzeciej taśmy, zawierającej szczegółowe uwagi związane z remontem domu w Beacon Hill. Bardzo zależało jej na tym, żeby wszystko wyglądało dokładnie tak, jak sobie wymarzyła. Dawno już bowiem podjęła decyzję, że właśnie ten budynek stanie się jej domem. Dlatego też skupiała się na każdym detalu, od koloru fugi w dolnej łazience zaczynając, na sposobie tynkowania ścian kończąc. Miała w głowie gotową wizję swego lokum i za nic w świecie nie zamierzała rezygnować ze swoich pomysłów.

Oczywiście chciała być obecna przy każdym etapie remontu. I dobrze by było, żeby robotnicy, których zatrudniła, potraktowali poważnie wszystkie jej uwagi. W przeciwnym razie groziła im natychmiastowa utrata atrakcyjnego zlecenia - Julia,

jako generalny inwestor, potrafiła być równie szczodra, co wymagająca.

Niejeden podwykonawca uważał ją za kapryśną paniusią, której poprzewracało się w głowie. Ona sama nigdy w życiu nie zgodziłaby się z taką opinią. Nie była kapryśna, ale zdecydowana i pewna swych racji. Poza tym można by ją uznać za kliniczny przypadek pracoholizmu połączonego z perfekcjonizmem. Najpierw wszystko starannie planowała, a potem realizowała z żelazną konsekwencją, pilnując przy tym, żeby prace przebiegały zgodnie z jej życzeniem.

Swoim wykonawcom ustawiała wysoko poprzeczkę. Mogła sobie na to pozwolić, bo sama znała się doskonale na tej zdecydowanie męskiej robocie. Gdyby musiała, bez chwili wahania sama zakasałaby rękawy i wzięła się za montowanie ścianek działowych albo wprawianie okien czy drzwi. Mimo to zawsze chętnie słuchała rad ludzi doświadczonych i nieraz zatrudniała najlepszych fachowców, mimo że rachunki, które wystawiali, były wyjątkowo słone. Nigdy jednak nie żałowała pieniędzy, zwłaszcza jeśli wydatek był uzasadniony. Liczył się cel, czyli doprowadzenie budowy do końca. A ponieważ nigdy nie miała problemu z dotrzymaniem terminów, szybko zdobyła sobie w środowisku opinię tak zwanej solidnej firmy.

Szacunku dla pracy własnej oraz cudzej, a także skutecznego działania, nauczyła się od swoich niezwykłych rodziców. Ojciec Julii, Alan MacGregor, przez dwie kolejne kadencje sprawował urząd prezydenta. Jej matka, Shelby, pochodząca z rodziny Campbellów, była powszechnie uwielbianą i podziwianą Pierwszą Damą. Cały kraj wiedział, że pani prezydentowa rozumie swoje miejsce przy męzowskim boku inaczej niż większość jej poprzedniczek - nie chciała być postrzegana jedynie jako dodatek do męskiego garnituru, a jej działalność znacznie wykraczała poza standardowe zajęcia żony prezydenta. Wszyscy znali i szanowali jej zaangażowanie w sprawy publiczne, co było zresztą zgodne z rodzinną tradycją Mac-

Gregorów, którzy wybierali na żony kobiety zaradne, samodzielne i doskonale radzące sobie w życiu. Każda z kobiet tego klanu miała prócz rodziny również własny świat. Wypełniały go zainteresowania, pasje oraz oczywiście praca.

Julia była więc typową MacGregorówną - silną, upartą, samodzielną kobietą, która doskonale wie, czego oczekuje od życia. Każdy, kto choć raz na nią spojrział, nie mógł wyjść z podziwu. Wulkan energii - tak mówiono o niej najczęściej i to porównanie najlepiej oddawało jej charakter. Z całej postaci biła niezwykła moc i radość życia, a płomienna czerwień bujnych loków doskonale pasowała do żywiołowego usposobienia. Jej brązowe oczy były bystre i mądre. Pełne usta zdradzały ognisty temperament. Zaś małe dołeczki w różowych policzkach świadczyły o tym, że Julia jest skłonna do żartów i ma poczucie humoru.

Kobieta o tak wyjątkowej urodzie musiała zwracać na siebie uwagę. Nikt nie mógł przejść obok niej obojętnie, mimo to tylko największy pochlebca odważyłby się nazwać ją skończoną pięknnością. Julia MacGregor nie była bowiem przykładem nieskazitelnej, „okładkowej” urody. Jednak nawet najwięksi wrogowie, a tych przez swój niewyparzony język miała wielu, musieli przyznać, że jest bardzo interesującą i oryginalną dziewczyną. Jeszcze chętniej przyznawali to jej adoratorzy, których w życiu Julii też było niemało.

W swej wędrownce po niewielkim domu dotarła teraz do sypialni, w której rezydowała już od miesiąca. Stukając szczerpłym palcem w czubek brody, zapatrzyła się na stylowy kominek.

- Muszę go wreszcie odetkać - powiedziała półgłosem. - Swoją drogą to wyjątkowe chamstwo ze strony poprzednich właścicieli, że sami nie zadbali o to przed sprzedażą. W końcu w mieście tak wielkim, jak Boston bez problemu można znaleźć kominiarza!

Problem zatkanego kominka sprawił, że pomyślała o zimie

i płatkach śniegu wirujących za oknem. Wprawdzie była dopiero połowa sierpnia i Boston dusił się w upale, ale chłodnie miesiące miały podobno nadejść tego roku bardzo szybko.

Żywa wyobraźnia natychmiast podsunęła Julii kilka barwnych scen. Na przykład pochmurny grudniowy dzień, gdy za oknem wyje wiatr i tłucze o szyby strugami deszczu. Ludzie kulą się i jak bure cienie przemykają pod ścianami budynków. Tymczasem ona leży sobie wygodnie w sypialni swego nowego domu. Olbrzymie łoże z tekowego drewna zarzucone jest górą jedwabnych poduszek. Julia, wtulona w nie i rozleniwiona niczym senna kotka, czyta książkę. Od czasu do czasu popija łyk aromatycznej jaśminowej herbaty z porcelanowej filiżanki tak cienkiej i kruchej, że aż strach wziąć ją w dłoń. W kominku płonie ogień i oświetla przytulne pomieszczenie miękkim blaskiem.

Uśmiechnęła się do swoich marzeń, po czym szybko wróciła do rzeczywistości.

- Tak będzie! I to nie dalej niż na Święto Dziękczynienia, pod koniec listopada! - Uderzyła dłonią we framugę drzwi, chcąc w ten sposób podkreślić nieodwołalność swej decyzji. - I stanę na głowie, żeby do Bożego Narodzenia wszystko było dopięte na ostatni guzik! A w sylwestra urządzę taką parapełową, jakiej jeszcze nikt w Bostonie nie widział! Nowy rok, nowy dom, nowe życie!

Jakby na potwierdzenie tego, że nowe stoi u progu, w holu rozległ się gong. Julia odruchowo spojrzała na zegarek, a potem obróciła się szybko i energicznie ruszyła do wejścia. Ten stary Murdoch to wyjątkowo solidny człowiek, pomyślała. Współpracowała z jego firmą budowlaną od kilku lat i nigdy nie miała powodów do niezadowolenia. Pracowało im się razem wyjątkowo dobrze, czego owocem były liczne domy, którym wspólnymi siłami przywrócili dawny wygląd.

Julia uwielbiała kupować domy. Obrót nieruchomościami był jej prawdziwą pasją. Mimo młodego wieku miała już na

swoim koncie wiele udanych transakcji, a sukcesy zawdzięczała w równej mierze pracowitości, co talentowi i przysłowiowej żyłce do interesów, którą odziedziczyła po seniorze rodu. Cały Boston znał na pamięć legendę o Danielu Duncanie MacGregorze, który przybył do Ameryki biedny jak mysz kościelna, lecz dzięki własnej przedsiębiorczości w szybkim czasie dorobił się milionów. Nikt nie wątpił, że ze wszystkich dzieci i wnucząt właśnie Julia była najbardziej do niego podobna.

W drodze do drzwi porządkowała w myślach sprawę, o których chciała porozmawiać z Michaeliem Murdochem. Uśmiechnęła się pod nosem, przewidując, że ten skąpy Szkot będzie z pewnością targował się przy ustalaniu kosztorysu. Za każdym razem toczyli ze sobą o to prawdziwe boje, ale Julia wiedziała, że Michael jest wart każdej ceny. Parę lat wcześniej to dziadek polecił jej firmę Murdocha. Teraz musiała przyznać, że nawiązując z nim współpracę, wygrała los na loterii. Znalazła w nim bowiem nie tylko doskonałego i sumiennego wykonawcę, lecz także przyjaciela, który chętnie służył radą i dzielił się z nią swym bogatym doświadczeniem.

Uśmiechnęła się na wspomnienie szczerych, błękitnych oczu Michaela i cała rozpromieniona, nacisnęła klamkę.

- O, do licha! - zakłęła cicho. - Tylko nie to!

Patryk Murdoch nie był zdziwiony takim powitaniem. W końcu nie po raz pierwszy Julia MacGregor dała mu do zrozumienia, że jest dla niej jedynie przeszkodą w owocnej współpracy między nią a firmą budowlaną jego ojca.

- Gdzie Michael? - zapytała ostro.

- Chory. Musiałem go zastąpić - odparł bez cienia uśmiechu, nie bawiąc się w żadne powitania. Nie miał zwyczaju tracić czasu na zbędną kurtuazję wobec kobiety, która wyjątkowo grała mu na nerwach.

- Chory? - w głosie Julii pojawiła się nutka niepokoju. - A co mu dolega? Był u lekarza?

- Nie był, to nic poważnego. Zwykłe przeziębienie, więc nie ma co panikować.

Przez moment milczeli oboje. Patryk trochę się rozchmurzył, widząc, jak bardzo Julia martwi się o jego ojca.

- Jesteś pewien, że wszystko z nim w porządku?
- Tak. Po prostu musi posiedzieć w domu przez parę dni.
- To dobrze.

Chwila krepującej ciszy była najlepszym dowodem, że tych dwoje nie ma sobie za wiele do powiedzenia. Stali naprzeciw siebie w ostrym słońcu późnego poranka i podejrzliwie badali się wzrokiem niczym zapaśnicy szykujący się do walki. Julia czuła, że jej doskonały humor zamienia się w złość. Patryk był ostatnią osobą, z którą chciała omawiać szczegóły prac budowlanych. Z drugiej jednak strony tak bardzo zależało jej na tym, żeby skończyć remont na czas, że gotowa była na największe poświęcenia, byle tylko dotrzymać ustalonego wcześniej terminu.

Młody Murdoch widocznie potrafił czytać w jej myślach, bo skrzywiwszy się jak po przełknięciu wyjątkowo gorzkiego lekarstwa, stwierdził obojętnym tonem:

- Posłuchaj, MacGregor. Też nie jestem zachwycony tym, że muszę z tobą pracować, ale jakoś trzeba będzie to znieść.
- Wiesz, Murdoch, czasem udaje ci się powiedzieć coś z sensem. Rzadko, bo rzadko, ale zawsze. No dobra, wchodź.

Odsunęła się, żeby mógł przejść przez próg. Dała mu chwilę, aby spokojnie rzucił okiem na wnętrze, sama zaś pomyślała, że Patryk Murdoch jest najwyraźniej wyjątkiem od reguły. Reguła bowiem była taka, że Julia rzadko wpadała w irytację na widok diabelnie przystojnego mężczyzny.

Tym razem było inaczej. Choć stał przed nią facet jak z obrazka - wysoki, smukły, o wyrazistych rysach i lwiej czuprynie gęstych, płowych włosów - w żaden sposób nie mogła zdusić w sobie uczucia niechęci, jakie wzbudzał w niej już od pierwszego spotkania. Widocznie byli tak skrajnie różni,

że działali na siebie jak przysłowiowa płachta na byka, w związku z czym każde spotkanie kończyło się ostrą awanturą i trzaskaniem drzwiami.

- Trzeba to będzie wymienić - odezwała się, widząc, że Patryk bada wzrokiem niezbyt gustowną czarno-różową terakotę w holu.

- Przydałoby się - odpowiedział, a potem popatrzył na sufit pokryty nieco pretensjonalną sztukaterią.

Julia uśmiechnęła się. Wiedziała doskonale, że Patryk jest nie gorszym fachowcem niż jego ojciec i ta świadomość trochę poprawiała jej humor. Doszła nawet do wniosku, że spróbuje być miłą i niekonfliktową. Oczywiście do czasu!

- A jak stropy? - zapytał, odwrócony do niej plecami.

- Zdrowe i mocne jak skała.

- Zaraz się przekonamy...

- A niech cię! - warknęła pod nosem, ale tak, żeby słyszał. Jak tu być miłą dla faceta, który na każdym kroku podważa jej kompetencje? Patryk ciągle krytykował jej decyzje i wyśmiewał gusty, więc jeśli tym razem...

Spokój, zachowaj spokój, nakazała sobie w duchu, a potem odezwała się do niego rzeczowym tonem:

- Posłuchaj, Murdoch, mam tu trochę notatek, więc gdybyś zechciał zapoznać się z nimi, być może oszczędzilibyśmy sporo czasu i energii.

- Masz na myśli słynne taśmy Julii MacGregor? - zapytał, nie patrząc nawet w jej stronę. Nie starał się ukryć sarkazmu, mimo to odwrócił się i sięgnął po taśmy, które trzymała w wyciągniętej dłoni. - No proszę, aż tyle tego?

- Nie widzę powodu, żebyś ironizował. Nie uważasz, że nagrywanie znacznie usprawnia pracę? Chyba że wolisz gryzmolić na papierze jak w szkole. Ale to w końcu tylko szczegóły. Miałam mówić z twoim ojcem o tym, jaka jest moja wizja tego domu. Chciałabym, żeby została zrealizowana dokładnie tak, jak sobie życzę.

- Jasne, kierowniczo, pani tu rządzi.
- Bo to w końcu mój dom!
- A czy ja mówię, że nie?

Spojrzał na nią tak, jakby była powietrzem. Widocznie jego uwagę przykuł jakiś szczegół znajdujący się za plecami Julii, bo minął ją bez słowa i poszedł w stronę małego saloniku. Zatrzymał się pośrodku niewielkiego pomieszczenia i obejrzał je dokładnie. Błękit ram okiennych i starej boazerii był straszny. Patryk pomyślał, że ktokolwiek zdecydował się pokryć piękne drewno tak ohydną farbą, powinien zostać za karę przywiązany do drzewa.

- Przytulny pokoik - powiedział, słysząc, że Julia staje za jego plecami.

- Zrobiony zupełnie bez sensu. - Nerwowo wzruszyła ramionami. - Postanowiłam wyburzyć prawą ścianę. Następny pokój jest tak samo mały, jak ten, co oznacza, że zmarnowano tu kawał przestrzeni na dwie ciasne i niewygodne klitki.

Nieźła myśl, przyznał w duchu Patryk. Ponieważ jednak pewność siebie, którą usłyszał w głosie Julii, była bardzo irytująca, postanowił natychmiast skrytykować jej pomysł.

- Stare, tradycyjnie zaprojektowane domy nie lubią tego rodzaju zmian.

- Powiedziałam, że ściana ma być wyburzona!

- A pomyślałaś przedtem, co się stanie z tą piękną sosnową podłogą? Podczas burzenia ściany nie obejdzie się bez uszkodzeń.

- To je naprawisz! Twój problem, żeby wszystko było w idealnym stanie. Poza tym boazeria ma być oskrobana z tej koszmarnej farby i pociągnięta przezroczystym lakierem tak, żeby został zachowany naturalny kolor drewna. Jak pewnie zauważyłaś, ściany w niektórych miejscach będą wymagały wyrównania tynków. Chcę też, żeby twoi ludzie oczyścili kominiek, ale niech nie ruszają gzymsu, bo jest w doskonałym stanie. A teraz chodźmy do drugiego pokoju.

Ruszył za nią bez słowa, choć czuł, że ogarnia go wściekłość. Słyszając rozkazujący ton, jakim wydawane były polecenia, miał coraz większą ochotę udusić Julię gołymi rękoma. Tymczasem ona, zupełnie nieświadoma jego morderczych zamysłów, kontynuowała swój wywód:

- Drzwi prowadzące na patio są zbyt małe. Musicie je powiększyć. Chciałabym, żeby powstało tu małe atrium. Wyobrażam sobie, że będzie zrobione z drewna orzechowego, szyby z matowego szkła. Cała konstrukcja z mosiężnych prętów.

Patryk natychmiast wyobraził sobie ten projekt i w duchu przyznał, że jest doskonały. Ponieważ zaś znów za nic w świecie nie chciał, żeby Julia odczuła choćby cień satysfakcji, z jego ust zamiast pochwały padła krytyka:

- Wiesz, że taka zabawa będzie wymagała kucia w elewacji?

- Oczywiście!

- A wiesz, że to cię będzie sporo kosztowało?

Najpierw prychnęła jak rozżłoszczona kotka, a potem oznajmiła lodowatym tonem:

- O pieniądzach porozmawiamy, jak dostanę do ręki kosztorys. A przedtem chciałabym dokończyć rozmowę o tym, co ma być zrobione. Ściany w obu pokojach mają być przemalowane. Chyba nie muszę przypominać, że musicie najpierw załatać wszystkie dziury. Poza tym nie podoba mi się ten gzyms. Tamten jest piękny, a ten kiczowaty. Zdemontujcie go i wymieńcie, żeby był identyczny jak ten, który pokazywałam ci w poprzednim pokoju.

- Jasne...

Zignorowała drwinę w jego głosie i nie przerywając sobie, przeszła do następnego pomieszczenia. Coraz bardziej żałowała, że stary Murdoch nie mógł przyjechać. Z nim byłaby zupełnie inna rozmowa. Na pewno zapytałaby go o radę, posłuchała opinii, a potem razem ustaliliby harmonogram prac. Przy okazji uśmialiby się do łez, bo pomimo znacznej różnicy wieku

nadawali na tych samych falach i mieli podobne poczucie humoru. Razem obeszliby każdy kąt budynku, zajrzeli nawet w mysią dziurę. Tymczasem z Patrykiem nic takiego nie wchodziło w grę. Właśnie dlatego zachowywała się wobec niego wyniośle i była nieprzyjemna.

Patryk, rzecz jasna, wyczuwał tę wrogość i coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Julia MacGregor to wyjątkowo wstrętny babulec. W pewnej chwili uświadomił sobie, że bardziej może niż arogancja przeszkadza mu intrygujący zapach, który się za nią ciągnie - woń perfum, pomieszana z jakimś nieuchwytnym, zmysłowym aromatem, który rozpraszał go i nie pozwalał się skupić. To właśnie ten zapach sprawiał, że Patryk nie był w stanie powstrzymać głupich myśli. Co by było, zastanawiał się, gdybym pocałował Julię, albo zanurzył twarz w jej włosach, albo...

Energicznie potrząsnął głową. Bzdura, ta kobieta nie jest w jego typie.

Zwiedzili kolejno wszystkie pomieszczenia. Patryk musiał przyznać, że dom, który kupiła dla siebie Julia, jest naprawdę wspaniały. Gdyby taki nie był, na pewno by go nie kupiła, bo choć jej nie lubił, nie mógł zaprzeczyć, że panna MacGregor ma doskonałe oko do wypatrywania prawdziwych pereł pośród zabytkowych bostońskich posiadłości. Powszechnie też było wiadomo, że jeśli Julia zdecyduje się w coś zainwestować, na pewno sprzeda to z zyskiem.

Ma kobieta głowę do interesów, westchnął w duchu. Tylko czy musi wciąż gadać jak najęta? Do furii doprowadzał go fakt, że rozmawia z nim, jakby był półgłówkiem, który nie zna się na swojej pracy. Wymienić kafelki w dolnej łazience, wymienić krany w umywalce... Myślisz, babo, że jestem ślepy i sam nie widzę, że cała bateria jest przeżarta przez rdzę?

Ponad godzinę spędzili w kuchni, która, jak się okazało, miała być całkowicie przerobiona. Najwięcej uwagi poświęciła Julia staremu piecowi kaflowemu, który wedle jej życzenia

miał znowu działać bez zarzutu. Rozmowa była burzliwa, a Patryk miał kilka razy powody do satysfakcji. Nie dość, że udało mu się skutecznie zniechęcić Julię do paru pomysłów, to jeszcze zdołał przemycić kilka własnych, które mimo protestów ostatecznie zaakceptowała. Jednak wciąż nie było widać końca ich dyskusji.

- Wiem, że masz tu mnóstwo miejsca - mówił Patryk - ale dlaczego uparłaś się, żeby połowę zmarnować?

- Jak to zmarnować?

- No bo co to za pomysł, żeby lodówka i kuchenka były tak daleko od siebie? Mówisz, że chodzi ci o wygodę i estetykę, że ma być zachowany ciąg komunikacyjny. A wiesz, co to dla mnie znaczy? Że po prostu nigdy nie gotujesz, więc nie masz pojęcia, jak praktycznie zaprojektować kuchnię.

- No proszę! - Przechyliła głowę i spojrzała na niego spod zmrużonych powiek. - Zdaje się, że w twoim idealnym świecie kobiety spędzają całe życie w kuchni, pitrasząc smakołyki dla swojego pana i władcy, a jak tylko ten przestąpi próg domu, zdejmują mu kaptcie i podsuwają obiad pod nos!

- Nie - odpowiedział, wytrzymując jej wyzywające spojrzenie. - W moim świecie ludzie jedzą i gotują w domu. Dzięki temu żyją dłużej i zdrowiej. Ale wróćmy do twojego projektu. Zlew powinnaś umieścić pod oknem. Blat może być w tym miejscu, choć byłoby lepiej, gdyby był zaokrąglony. Dzięki falistej linii wewnątrz zyska ciekawy wygląd. No i będziesz miała tę swoją estetykę.

Przez chwilę Julia słuchała go z uwagą, obserwując gesty i mimikę twarzy. Sposób, w jaki Patryk się poruszał, oraz ton jego głosu zdradzały, że jest człowiekiem przywykłym do wydawania poleceń. Zdaje się, że nie pójdzie nam łatwo, pomyślała, słuchając jednocześnie jego dalszych wywodów.

- Pod blatem powinna stać zmywarka, obok niej kuchenka - tłumaczył - a na końcu lodówka. I niech ci nie przyjdzie do głowy rezygnować ze spiżarni pod schodami. Jedno, co

możesz zrobić, to wywalić te stare drzwi i wstawić ładniejsze. Poza tym, gdybym był na twoim miejscu...

- Całe szczęście nie jesteś.

- Więc gdybym był na twoim miejscu, dałbym tu jeszcze jeden rząd szafek. I wstawiłbym barek. Myślę, że ładnie zamykałby przestrzeń. Za tą ścianą masz zagraconą werandę. Ja bym z niej zrobił część kuchni. Oczywiście ściana musi polecieć, ale...

- Co ty powiesz? - przerwała mu nagle. - A ja ostatnio słyszałam, że stare, tradycyjne domy nie lubią takich przeróbek.

- Skoro już zdecydowałaś się na wyburzenie jednej ściany, wywalenie drugiej nie robi żadnej różnicy.

- Doprawdy?

- Pomyśl tylko... - Patryk coraz bardziej zapalał się do pomysłu przebudowania werandy. - Pomyśl, ile zyskasz, wyrzucając tę starą dyktę i wstawiając w jej miejsce okna! Pod nimi można by zbudować drewnianą ławę do siedzenia.

- Super! Będę tu miała zupełnie jak w kościele - sarkazm w jej głosie był udawany, bowiem w głębi serca musiała przyznać, że projekt Patryka wydał jej się interesujący. - Wybacz, ale chyba nie jestem przekonana do tego pomysłu.

- Ale dlaczego? Co zyskujesz, zostawiając werandę w tym kształcie? Jeszcze jedno pomieszczenie na niepotrzebne rupiecie. Tymczasem jeśli zgodzisz się na okna, będziesz miała wrażenie, jakby ogród wchodził do domu. No i światło! Będziesz miała mnóstwo naturalnego światła!

Julia oczyma wyobraźni natychmiast ujrzała kuchnię skąpaną w ciepłym, słonecznym blasku. To byłoby naprawdę wspaniałe, ucieszyła się w myślach, lecz jej twarz pozostała niewzruszona.

- Naprawdę sama nie wiem, ale zastanowię się nad tym - powiedziała, z trudem ukrywając podekscytowanie.

- W porządku. - Patryk wzruszył ramionami, po czym zerknął na podłogę. - Powinnaś też wywalić tę wykładzinę.

- Dlaczego? Przecież jest zupełnie nowa.
- Dlatego, że zasłania sosnowe deski.
- Jakie znowu deski? Chyba nie powiesz mi, że ktoś był na tyle głupi, żeby zasłaniać drewnianą podłogę jakimś linoleum!

- Założysz się?
- Dobrze! Ale jeśli przegrasz, mam u ciebie pięć procent zniżki!

- Zgoda. Za to jeśli wygram, przebudujesz kuchnię według mojego pomysłu.

- Umowa stoi. Wytnij kawałek w rogu.

Niecierpliwie patrzyła, jak Patryk wyjmuje z kieszeni scyzoryk, podchodzi do drzwi i schyla się nad podłogą. Nie minęła minuta, gdy nie wstając z kolan, stwierdził spokojnie:

- Będiesz miała powody do zadowolenia.

- A nie mówiłam! - zawołała tryumfalnie i szybko do niego podeszła. Schyliła się, zerknęła mu przez ramię. - Mój Boże! - krzyknęła oburzona. - Jak można być takim idiotą? Szybko, odetnij jeszcze kawałek.

- Nie ciesz się na zapas. Deski mogą być tak zniszczone, że nie będzie z nich żadnego pożytku - tłumaczył, szarpiąc się z opornym linoleum. - Pewnie są pokaleczone albo poplamione i dlatego ktoś poszedł na łatwiznę i je zakrył.

- Nawet nie mów takich rzeczy - jęknęła, po czym bez namysłu rzuciła się na kolana i na czworaka podpełzła bliżej wycięcia. Z nosem przy ziemi zaczęła badać stan widocznego skrawka drewnianej deski. Była tak niecierpliwa, że miała ochotę zrywać dalej wykładzinę gołymi rękami.

Gdy znalazła się obok Patryka, jej niesforne loki musnęły jego twarz. Patryk wstrzymał oddech, bowiem znów otoczył go ten sam zapach - zapach Julii. Był tak kuszący, tak zmysłowy, że zakręciło mu się w głowie z wrażenia. Już dawno nie czuł czegoś podobnego. Przyjemność była tak intensywna, że bezwiednie przysunął twarz jeszcze bliżej.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała zdumiona.

- Ja? Nic.

- Myślałam, że mnie obwąchujesz!

- No wiesz! Chyba jesteś przewrażliwiona. Po prostu westchnąłem.

- Być może. Mam jednak prośbę, żebyś nigdy więcej nie wdychał mi do ucha!

Szybko zerwała się na nogi i mimo woli zaczerpnęła głębiej powietrza. Na niej również to nieoczekiwane zbliżenie zrobiło wrażenie piorunujące. Starła się jak najszybciej uregulować przyspieszony oddech, ale ciało było dziwnie odporne. Wprost nie mogła uwierzyć, że ciepło oddechu Patryka Murdocha, które przed chwilą poczuła na swojej szyi, mogło podziałać na nią w taki sposób. Policzki miała rozpalone, wzrok spłoszony, a gardło tak suche, że musiała przełknąć ślinę, nim zdołała wydusić z siebie kolejne słowa:

- Chodźmy na górę. Omówimy szybko resztę spraw i na dziś starczy.

- Nie musisz się tak wściekać, MacGregor. Następnym razem na twój widok zupełnie przestanę oddychać.

- Kretyn! - warknęła i prawie pobiegła w stronę schodów.

Za to Patryk nie bardzo się spieszył. Był zły na siebie. Nóż, który schował właśnie do kieszeni, najchętniej wbiłby we własny nos. Też miał pomysł, żeby obwąchiwać tę pokrzywę!

Daniel MacGregor z lubością oddawał się swemu ukochanemu zajęciu. Ukryty w samym sercu olbrzymiego domostwa, rozparty wygodnie w olbrzymim fotelu, udawał, że pali cygaro. Powieki miał przymknięte, głowę odchyłoną do tyłu. Jego usta układały się w taki sposób, jakby wypuszczał z nich kłęby dymu. Mógł zresztą przysiąc, że czuje cudowny zapach żeglujących w powietrzu aromatycznych pierścieni. Rozmarzenie nie przeszkadzało mu wszakże w prowadzeniu telefonicznej konwersacji ze swym starym druhem, Michaeliem Murdochem.

- Więc mówisz, że chłopak to kupił?

- Na to wygląda. Zadzwoniłem do niego, zakasłałem, jakbym miał koklusz, a potem powiedziałem przez nos: „Synu, będziesz musiał mnie zastąpić i spotkać się z Julią MacGregor. Sam widzisz, że nie jest ze mną najlepiej”. No i mi uwierzył! Wiesz, że firma to jego oczko w głowie.

- Tak. To dobry chłopak. Będziesz miał z niego niejedną pociechę - pochwalił Daniel. Znał rodzinę Murdochów od bardzo dawna. Z Michaeliem przyjaźnił się od lat, szanował go i poważał. Razem z nim opłakiwał śmierć pani Murodoch, która odeszła ponad dziesięć lat temu. Jednak przede wszystkim knuł z nim swoje słynne w całym Bostonie intrygi. - Więc mówisz, mój stary, że remont tego domu to duże przedsięwzięcie - zapytał po raz kolejny.

- Tak przynajmniej wynika z tego, co powiedział mi Patryk.

- To dobrze. - Daniel przytrzymał słuchawkę ramieniem i zatarł ręce z uciechy. Uwielbiał, kiedy jego plan zaczynał działać. - Skoro to takie poważne przedsięwzięcie, to musi potrwać parę ładnych miesięcy, prawda? A przez ten czas nasze gołąbeczki jakoś się dogadają i dotrą. Jak myślisz?

- Obyś miał rację. Póki co planuję ciężką grypę na jakieś dwa tygodnie. Przynajmniej nadrobię zaległości w czytaniu! - Michael zarechotał do słuchawki. - A potem przyjdzie czas na rekonwalescencję, która też musi swoje potrwać. Minie przynajmniej miesiąc, a przez ten czas Patryk tak wsiąknie w tę robotę, że na pewno nie będzie chciał słyszeć o tym, żebym go zastąpił.

Uśmieiali się obaj tak serdecznie, że aż z błękitnych oczu Daniela popłynęły łzy.

- Dobra nasza! - zawołał, ocierając twarz rękawem. - Muszę ci jednak powiedzieć, że zupełnie nie rozumiem, dlaczego chłopak sam się jeszcze nie zakręcił koło mojej dziewczyny. W końcu znają się od lat. Oboje są młodzi, zdrowi, silni i do tego urodziwi. Mówię ci, Michaelu, że ta dzisiejsza młodzież

sama już nie wie, czego chce od życia. Do czego to podobne, żeby stary człowiek musiał za takich myśleć i jak małe dzieci prowadzić za rękę. Jakby ich tak zostawić samym sobie, nic by z tego nie wyszło.

- Nie martw się tak, Danielu. - Michael był zdecydowanie lepszej myśli. - Jestem pewien, że coś się tam między nimi tli. Trzeba tylko dać im trochę czasu, podmuchać, podsycić ten ogień. Zobaczysz, jaki będziemy mieli z tego pożar! Zresztą sam wiesz najlepiej, że najwyższa pora, aby mój chłopak wreszcie się ustatkował, ożenił, założył rodzinę. A z kim byłoby mu lepiej niż z Julią?

- Święte słowa! - Daniel uderzył ciężką pięścią w stół. - Na Julkę też już czas. Co ona sobie myśli? Chyba nie chce, żeby ludzie zaczęli szeptać za jej plecami, że na MacGregorównę jakoś nie ma amatora. Nie jest już przecież żadną smarkatą, niedawno skończyła dwadzieścia pięć lat. Na co tu czekać?

Rozdział dwudziesty drugi

Życie Julii toczyło się w zawrotnym tempie. Nieświadoma, że za jej plecami ktoś knuje spisek i próbuje bez pytania układać jej życie, pograżyła się całkowicie w pracy nad projektowaniem swojego pierwszego własnego domu. Każdą wolną chwilę spędzała zamknięta w pokoju, wertując stopy katalogów, oglądając próbki tapet, materiałów obiciowych, zasłon i firanek. Podłoga jej sypialni zasłana była podłużnymi paskami papieru, na których najrozmaitsze firmy prezentowały wszelkie możliwe odcienie farb, wzory kafelków, kolory waz i umywalk. Julia była w swoim żywiole.

Co do współpracy z Patrykiem, to układała się ona troszeczkę lepiej niż się spodziewała. Wprawdzie wstępne rozmowy dotyczące kosztorysu, ustalenia terminu rozpoczęcia i zakończenia prac ciągnęły się aż dwa tygodnie i nieraz przebiegały w burzliwej atmosferze, jednak ostatecznie udało im się osiągnąć coś na kształt porozumienia.

Zresztą nawet gdyby współpraca z Patrykiem zupełnie się nie układała, i tak musiałaby go tolerować. Nie miała innego wyjścia, o czym przekonała się po krótkiej wizycie w biurze firmy Murdochów. Michael wyglądał na bardzo zmęczonego grypą, która ciągnęła się w nieskończoność i była odporna na wszystkie leki, jakimi faszrowali go lekarze. Widząc przyjaciela w tak kiepskim stanie, Julia nie miała serca martwić go opowieściami o tym, jak bardzo jest niezadowolona ze współpracy z jego synem. Dlatego wszystkie krytyczne uwagi zachowała dla siebie i ze współczuciem wysłuchiwała opowieści o dolegliwościach trapiących Michaela.

- Widzisz, moja złota, co to się z człowiekiem robi na sta-

rość? - narzekał, pokaszując co chwilę. - Zdaje się, że przez dłuższy czas będę tylko siedział za biurkiem i przekładał papiery. Nie ma mowy o normalnej robocie.

Po takim oświadczeniu nie śmiała nawet wspomnieć, żeby któregoś dnia wybrał się do niej i osobiście dopilnował prac swojej ekipy. Julia pilnować musiała wszystkiego sama i ufać w to, że Patryk przeprowadzi remont nie gorzej niż jego ojciec. Najpierw jednak musiała wiedzieć, czego tak naprawdę od niego chce.

Pewnego popołudnia, gdy - jak zwykle ostatnio - leżała na kanapie, wertując katalogi i foldery, uzmysłowiła sobie, że idea posiadania własnego domu tak bardzo ją pochłonęła, że coraz częściej zapomina o bieżących sprawach i codziennej pracy. Przypomniała sobie nagle, że powinna jeszcze raz zajrzeć do umowy dotyczącej sprzedaży domu, który niedawno wyremontowała. Wprawdzie spędziła nad dokumentami cały ranek, ale teraz postanowiła zajrzeć do nich raz jeszcze.

Tak, zdecydowanie muszą to przeczytać, bo może coś przeczyliśmy, pomyślała, bębniąc palcami po okładce katalogu z próbkami tapet. Ruch jej dłoni sprawił, że barwne kamienie w pierścionku zdobiącym środkowy palec jakby ożyły. Julia miała słabość do błyskotek. Kilka kamieni zdobiło bransoletkę na jej przegubie, inne połyskiwały w delikatnych kolczykach. Wciąż zatopiona w myślach, przeczesła palcami swoje niesforne włosy, które spłynęły ognistą kaskadą wokół jej twarzy i ramion. Odrzuciła szczególnie dokuczliwy kosmyk, który ciągle wchodził jej do ust, odłożyła katalog, a sięgnęła po służbową teczkę z dokumentami. Wyjęła z niej wspomnianą umowę i zanurzyła się w lekturze, bezwiednie nucąc przy tym jakąś zasłyszaną niedawno piosenkę.

Dobiegający z parteru warkot piły i stuk młotków w ogóle jej nie przeszkadzał. Uwielbiała zresztą takie dźwięki. Odgłosy narzędzi były dla jej uszu tym, czym dla innych muzyka. Ponieważ znów zrobiło się jej niewygodnie, energicznie zmieniła pozycję.. Wyciągnęła przed siebie szczupłe nogi tak, że krótka błękitna

spódniczka podniosła się jeszcze wyżej. Na moment odrzuciła głowę do tyłu i szepcząc coś do siebie, zapatrzyła się w sufit.

Właśnie w takiej pozie zastał ją Patryk. Boże, co za nogi, pomyślał. Całe kilometry cholernie zgrabnych nóg! Kiedy trochę oprzytomniał, doszedł do wniosku, że Julia, jaką widzi w tej chwili, w niczym nie przypomina ostrej i wymagającej bizneswoman, z którą miał do czynienia na co dzień. Na szczęście była zamyślona i go nie zauważyła, mógł więc jeszcze przez chwilę bezkarnie na nią popatrzeć.

Wygląda jak jakaś pogańska boginka, pomyślał i zaraz potem zdumiał się, skąd tak poetyckie porównanie przyszło mu do głowy. Zapatrzył się tak bardzo, że prawie zapomniał, iż ta boginka potrafi w jednej chwili zmienić się w arogancką i złośliwą bestię, która ma język ostry jak brzytwa i potrafi wyklócać się do upadłego o najmniejszy szczegół kontraktu.

Kiedy jednak nic nie mówiła, była naprawdę zachwycająco piękna. Zwłaszcza w chwili, gdy niedbale drapała się w smukłe udo i przeciągała leniwie, a skrawek jej spódnicy zupełnie zniknął pod marynarką.

- Masz chwilę czasu, MacGregor? - zapytał czym prędzej, czując, że jeszcze chwila, a padnie na kolana i złoży jej hołd.
- Mam nadzieję, że nie przerwałem jakiejś ważnej myśli - dodał, widząc dokumenty rozłożone obok niej na kanapie.

- Hm... właśnie się zastanawiałam, czy lepsze będą dzikie róże na ciemnoniebieskim tle, czy może tradycyjne pionowe pasy w odcieniu stłumionego różu. Chyba jednak róże... Tak, na pewno. Pasy są staromodne.

- Chciałem porozmawiać o czym innym.

- O co chodzi?

- Wywaliliśmy już ścianę. Chcesz zobaczyć?

- Jasne. Zaraz zejść na dół. Sekundę. - Szybko obciągnęła spódnicę. Była chyba trochę zła, że dała się przytapać w takiej pozie i chwili.

Jednak Patryk jakoś nie spieszył się z odejściem. Choć bar-

dzo się starał patrzeć gdzie indziej, jego wzrok uparcie powracał do zgrabnych nóg, założonych już ciasno jedna na drugą. Widok był tak obezwładniający, że coś go podkusiło i zamiast wyjść z pokoju, przysiadł obok Julii na brzegu kanapy.

- Ciężko pracujemy, co? - Nie kryjąc ironii, spojrzał na próbki tapet.

- Żebyś wiedział.

- Nie sędzę, żebyś w najbliższym czasie musiała martwić się o kładzenie tapet. Masz trochę czasu do namysłu.

- Nie zaszkodzi zaplanować wszystko z małym wyprzedzeniem. Trzeba myśleć, Murdoch. To naprawdę nie boli.

Zignorował kaśliwą uwagę i pochylił się nad katalogiem, który leżał na jej kolanach. Przez sekundę udawał, że przygląda się próbkom, ale tak naprawdę jego łakomy wzrok błędził po szczupłych udach Julii. Zapadła krępująca cisza, więc żeby ją przerwać, zapytał mało przytomnym głosem:

- Nie podobają ci się te wzory?

- Nie. Są nudne.

- W przeciwieństwie do ciebie - odparował i zaraz potem ugryzł się w język. Zbyt dobrze znał Julię MacGregor, by wiedzieć, jak zareaguje na każdą próbę flirtu.

- Niech pomyślę, Murdoch - uśmiechnęła się jadownicie.

- Nabijasz się czy prawisz komplementy? Wiem, chcesz mnie obrazić! A więc spadaj! - prychnęła, z trudem hamując się przed ponownym obciągnięciem spódnicy. I nie myśl sobie, że robi na mnie wrażenie, jak gapisz się na moje nogi, dodała w myślach to, czego nie odważyła się powiedzieć na głos.

- A co ty się dzisiaj tak wystroiłaś? - zapytał i dotknął poły jej marynarki, choć doskonale wiedział, że zaraz dostanie za to po łapach. Nie mylił się.

- Weź te ręce! - warknęła ostrzegawczo. - Nie twój interes.

- Tak tylko pytam, z uprzejmości.

- Miałam spotkanie z prawnikiem w sprawie sprzedaży budynku przy Court Street.

- A, wiem, ojciec mi o tym wspominał. Podobno ładny dom, ale trochę źle zlokalizowany. Za daleko od centrum. - Wzruszył ramionami i udając całkowitą obojętność, sięgnął po katalog z próbkami farb. Przez moment przerzucał barwne strony, aż w końcu zatrzymał się przy jednej z nich. - Powinnaś pomalować ściany w tym pokoju na taki kolor. Zieleń. Intensywna i soczysta, ale nie jaskrawa. Bardzo odpręża wzrok.

- Zmieniasz profesję, Murdoch? - Popatrzyła na niego kąpiąco. - Zachciało ci się spróbować sił w dekorowaniu wnętrz?

- Nie, MacGregor. Przemawia przeze mnie doświadczenie. Ostatecznie widziało się w życiu parę eleganckich domów. - Przyjrzał się jej uważnie, a ona cofnęła się odruchowo. Pomyślała nagle, że jego oczy mają ten sam odcień stłumionej zieleni, co próbka farby, którą przed chwilą wybrał. - Po prostu czasem jest tak, że człowiek wkłada całe serce w remont, a potem aż go skręca, kiedy widzi, jak klient spaprał jego robotę fatalnie dobraną farbą albo kiczowatym umeblowaniem. Ten dom wyjątkowo mi się podoba, więc chciałbym tego uniknąć.

Julia była nieco zaskoczona tą wypowiedzią, toteż nie bardzo wiedziała, jak zareagować. Prawdę mówiąc, sama nieraz myślała o swoich kupcach w podobny sposób i cierpiała, widząc, jak brak gustu marnuje jej ciężką pracę.

Czy miała powiedzieć o tym Patrykowi? Przecież wolała go krytykować i mu zaprzeczać!

To się robi niebezpieczne, pomyślała i odwróciła wzrok od jego zielonych oczu. Na wszelki wypadek odsunęła się od niego, a potem zapytała o Michaela, by zmienić temat:

- Jak się czuje ojciec?

- Dzięki, chyba trochę lepiej.

W zielonych oczach pojawił się wyraz troski. Cholera, nigdy wcześniej nie myślała o tym, że ta zieleń jest taka niezwykła, więc dlaczego teraz łązi jej to po głowie?

- Co to w końcu było? Grypa?

- Sam już nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Szczerze

mówiąc, ojciec nigdy nie chorował tak długo, zwłaszcza na gripę. Podobno był już u pięciu lekarzy, widziałem na jego biurku cały plik recept. Mówią mu, żeby jeszcze parę tygodni posiedział w domu i odpoczął.

- Jakiś wyjątkowo złośliwy wirus. - Julia pokiwała głową ze współczuciem.

- Na to wygląda - westchnął smętnie.

- Głowa do góry - uśmiechnęła się i odruchowo położyła rękę na jego kolanie. - Zobaczysz, że się z tego wyliże. To silny mężczyzna.

- Wiem. - Patryk przełknął ślinę. Czuł oczywiście jej dłoń, ale nie wiedział, na ile gest Julii był świadomy. Na wszelki wypadek postanowił kontynuować temat, który tak korzystnie odmienił jego rozmówczynię. - Mimo to martwię się o niego. Cały czas powtarza, że zaczyna się starzeć. A przecież dopiero co skończył sześćdziesiąt lat.

- E, myślę, że trochę rozczuła się nad sobą. Też tak robię, kiedy jestem chora. Nie martw się, Murdoch - znów się uśmiechnęła i mocniej ścisnęła jego kolano.

- Ciagle pyta o ciebie i o twój remont. Czasami odgraża się, że zrobi nam tu inspekcję, ale sam widzę, że jeszcze się do tego nie nadaje.

- Zostawmy go w spokoju. Jestem pewna, że bez problemu damy sobie radę sami.

- Naprawdę tak myślisz?

- Oczywiście - odparła, choć sama nie wiedziała, skąd nagle wzięła się jej ta pewność. - Mam nadzieję, że dobrniemy do końca przebudowy i nie pokłócimy się na śmierć.

- Oby - odpowiedział Patryk zmienionym głosem, po czym ostrożnie nakrył dłonią jej dłoń, wciąż spoczywającą na jego kolanie. Julia podskoczyła jak rażona prądem.

- Ręce przy sobie! - syknęła.

- W takim razie ty zabieraj swoje! Łapy precz z mojego kolana!

Gwałtownie odskoczyła w bok. Po chwili zawołała rozzłoszczona:

- Tak to jest, kiedy człowiek stara się okazać odrobinę ludzkich uczuć! Wynoś się z mojej sypialni! Nie wiem, dlaczego pozwoliłam ci tu w ogóle wejść!

- Ja też nie wiem. - Patryk zmrużył oczy, a te straciły nagle tę niezwykłą szmaragdową zieleń. - I mówiąc szczerze, wcale nie miałem zamiaru się w niej znaleźć - dodał. - Skoro jednak z twoich ust padają niedwuznaczne propozycje, skoro ręce wędrują po moich udach, to kto wie, czy kiedyś nie zmienię zdania. W każdym razie powiem ci o tym, kiedy będę gotów - uśmiechnął się drwiąco, widząc, że jest speszona jego słowami.

- Prędej kaktus mi wyrośnie, niż wpuszczę cię do swojej sypialni - Julia próbowała bronić się kpina.

- Założysz się? - powiedział, choć wcale nie zamierzał tego robić. Zwykła przekora, a może pożądanie, albo też świadomość tego, że Julia straciła na moment pewność siebie, każały mu przysunąć swoją twarz do jej twarzy i zajrzeć w jej czekoladowe oczy. - Założysz się? - powtórzył szeptem, widząc w nich niepewność i strach.

- Wiesz, co ci powiem, Murdoch? - Odwróciła wzrok i zrobiła pauzę, żeby zebrać rozbiegane myśli. Czuła się wściekła na niego i na siebie, bo przez jedną krótką chwilę poczuła, jak ogarnia ją pożądanie. - Wiesz, co ci powiem? - zapytała znowu.

- Mów.

- W przeciwieństwie do ciebie nigdy nie robię zakładów, w których stawką jest seks. Ani nie mam zwyczaju flirtować z człowiekiem, którego ledwie mogę znieść!

Była wściekła, lecz Patryk czuł się tym razem głęboko zadowolony. Po raz pierwszy widział bowiem w jej oczach to, do czego Julia nie przyznałaby się za żadne skarby - przebłysek zainteresowania, cień przyzwolenia, moment ekscytacji.

A więc jednak nie była taką chłodną Zosią-samosią, za jaką chciała uchodzić. Wiedział, że ta świadomość na razie musi mu wystarczyć, więc jak gdyby nigdy nic wstał z łóżka i ruszył do drzwi.

- Co by o tobie nie mówić, jedno jest pewne - rzucił przez ramię na progu. - Nogi masz pierwsza klasa.

- A potem ten bezczelny typ chciał się ze mną zakładać, że pójdę z nim do łóżka! - w głosie Julii wciąż słychać było histeryczne tony, gdy dwa dni później opowiadała Laurze o swojej przygodzie. Jej kuzynka, pochłonięta usypianiem swego trzymiesięcznego synka, jakoś nie podzielała oburzenia Julii.

- Oj, Julka, nie przesadzaj. Po prostu drażnił się z tobą. Przecież zna cię i wie, jaka z ciebie złoźnica - tłumaczyła przyciszonym głosem. Widząc, że jej mały skarb, który dostał po dziadku imię Daniel, wreszcie zamknął oczka, ułożyła go w foteliku, który jej siostra ustawiła wcześniej po oknem.

- Ja jestem złoźnicą? - spytała retorycznie Julia. - Ja? Chyba nie wiesz, co mówisz! Przez to macierzyństwo całkiem pomieszało ci się w głowie! Chyba wiesz, jak trudno wyprowadzić mnie z równowagi!

' - Hm, naprawdę?

- Oczywiście! Jestem chodzącym spokojem! Chyba że na mojej drodze staje ten przekłety Patryk Murdoch!

- Zgoda. - Laura nie miała siły spierać się z siostrą, poza tym bała się, że jej krzyki obudzą Daniela. - W takim razie mam dla ciebie propozycję. Po prostu nie pozwól się sprowokować, ignoruj Patryka i już. Przecież go nie wyrzucisz w samym środku remontu. Poza tym sama mówiłaś, że jesteś zadowolona z jego pracy. Jedyna rada to zachować zimną krew.

- Masz rację, świętą rację. - Pokiwała głową Julia. - Tak właśnie zrobię. Nie dam się sprowokować temu wstrętnemu samcowi, który chętnie przeleciałby wszystko, co się rusza. - Wypuściła głośno powietrze i starała się wyrównać oddech.

Zza drzwi sypialni, które teraz przezornie zamykała na klucz, dobiegały stłumione odgłosy prac prowadzonych na dole. - Spokój, tylko spokój - zaczęła powtarzać, zaciskając mocno powieki. - Ignoruję go, on dla mnie nie istnieje. Nie ma go, rozpląnął się, zniknął jak koszmary sen... - mamrotała pod nosem. - W porządku - orzekła wreszcie, otwierając oczy - pomogło. Nie zaprzętałam już sobie nim głowy.

- To świetnie. - Laura podeszła na palcach do fotelika i czule popatrzyła na śpiącego synka. - Julka, jesteś pewna, że dasz sobie radę?

- O rany, przecież mówiłam...

- Nie będzie mnie jakieś dwie godziny, góra trzy. Ale jeśli myślisz, że nie będziesz wiedziała, co z nim zrobić, gdy się rozryczy, powiedz od razu.

- Uspokój się, mamusko. - Julia poklepała siostrę po ramieniu. - Oczywiście, że dam sobie radę. Przecież niańczenie dzieci to żadna filozofia. Już dawno chciałam, żebyś na trochę mi go przyniosła. - Delikatnie pogłaskała mięciutkie włoski na główce Daniela. - Przystojny z niego facet, naprawdę. I już taki wielki.

- Pewnie, że przystojny. Najpiękniejszy na świecie - uśmiechnęła się Laura. - I dlatego strasznie nie lubię go zostawiać. Szkoda mi każdej minuty bez niego. Wiem, że już pora, by rozejrzeć się za opiekunką, ale wciąż nie mogę sobie wyobrazić, że miałabym zostawiać go na kilka godzin z jakąś obcą kobietą. Naprawdę, nigdy nie sądziłam, że to będzie takie trudne.

- Nie martw się, to wciąż te hormony. - Julia starała się pocieszyć zatroskaną matkę. - I nie miej wyrzutów sumienia. Uważam, że ty i Roys jesteście rewelacyjnymi rodzicami.

- Łatwo powiedzieć: nie miej wyrzutów. Poza tym to Daniel jest rewelacyjnym dzieckiem. Najcudowniejszym skarbem swojej mamy - rozczuliła się znowu i pocałowała synka w czoło. - No dobrze, na mnie już czas - westchnęła. - A ty

tu zostań z cicią Julka i bądź grzeczny, bo jak się przestraszy, to nie będzie chciała mieć dzieci.

- Co ty opowiadasz!

- Przecież żartuję - roześmiała się Laura i sięgnęła po wypchaną torbę. - Przywiozłam wszystko, czego będzie potrzebował. Nie powinien być głodny, ale na wszelki wypadek zabrałam trochę pokarmu w butelce. Pewnie będzie spał przez cały czas, ale gdyby się obudził, to sprawdź, czy przypadkiem nie ma mokro. Pampersy znajdziesz w tej kieszeni. Jest tu też jego ukochany miś i śpiochy na zmianę. Jakby co... - Laura zagryzła na moment wargi - jakby co, to masz numer na komórkę do mnie i do Roysa - dokończyła. - Aha, wiesz, że Daniel lubi, żeby nosić go na rękach, ale...

- Dobra - Julia skierowała siostrę delikatnie do wyjścia. - Mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia: idź już i niczym się nie martw.

- Wiem, pewnie myślisz, że mam obsesję... - Laura wcale nie pozwalała łatwo się pozbyć - ale sama zobaczysz, jak to jest, kiedy...

- Zmiłuj się, Laurko! - roześmiała się Julia. - Zbieraj się, bo te twoje dwie godziny miną nim zdążysz wystawić czubek nosa za próg tego pokoju.

- No więc idę - westchnęła Laura i nacisnęła na klamkę. Była już za drzwiami, kiedy w ostatniej chwili odwróciła się jeszcze i zerknęła na fotelik. - Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna, że zgodziłaś się zostać z Danielem.

- Nie ma sprawy. Przypomnę ci to w odpowiednim czasie. Zresztą nie mam dziś rano żadnych spotkań, więc z przyjemnością popatrzę sobie na to małe чудо. Mam tylko nadzieję, że ten aniołeczek nie prześpi całej naszej pierwszej randki i trochę sobie z nim pogadam.

Niecałe dwie godziny później Julia pożałowała swoich słów. „Aniołeczek” obudził się w kiepskim humorze, a nie wi-

dząc obok siebie mamy, zaczął drzeć się w niebogłoso. Przeżona Julia wypróbowała na nim wszystkiego, ale nie pomogła ani butelka, ani miś, ani noszenie na rękach. Prośby, groźby i zaklęcia również nie działały. Śliczna mała twarzą wciągnięta była czerwono-siną od krzyku. Daniel MacGregor zapamiętał ćwiczył swoje płucka i sprawdzał, ile cierpliwości ma ciocia Julia.

- Co ty wyprawiasz z tym dzieciakiem? Maltretujesz go czy co?

Z rozwrzeszczanym niemowlęciem w ramionach i furią w oczach Julia obróciła się na pięcie i spojrzała ponuro na Patryka, który niespodziewanie stanął tuż za jej plecami.

- Tak, wyobraź sobie, że zgadłeś! - odcięła się ostro. - Maltretowanie niemowląt to moje ulubione zajęcie. A teraz, gdy już to wiesz, bądź łaskaw wrócić do swoich zajęć. No, malutki... - spojrzała na zanoszącego się od płaczu siostrzeńca - uspokój się, proszę. Moja perełko... Aaaa, kotki dwa...

- Może ma mokro?

- Sam masz mokro! Widocznie zalało ci mózg! Myślisz, że jestem ostatnią idiotką i tego nie sprawdziłam? - Odgarnęła włosy wolną ręką. - Nie ma mokro, nie jest głodny i nie chce, żeby go bujać w foteliku. Chyba nie chce też, żeby go nosić na rękach, bo doszliśmy już do Oklahomy i nic! Cały czas wrzeszczy jak opętany!

- Poczekaj, daj mi go. Zaraz zobaczymy, co się da zrobić...

- Chyba żartujesz! - Julia obronnym gestem zasłoniła dziecko i cofnęła się o krok.

- Uspokój się, przecież go nie zjem. Od ostatnich dwóch miesięcy nie upuściłem żadnego dziecka. Wierzysz mi?

Popatrzył na nią spokojnie i Julia pozwoliła wyjąć sobie z rąk sine i wierzgające niemowlę. Dopiero gdy znalazło się w ramionach Patryka, poczuła, jak bardzo jest zmęczona.

- No, o co ci chodzi, kolego? - zapytał Danielka Patryk i zakołysał nim łagodnie. Było w tej scenie coś tak porusza-

jącego, że Julia mimowolnie poczuła, jak ogarnia ją wzruszenie. Oto wysoki, barczysty mężczyzna przemawia czule do malca zawodzącego w jego potężnych ramionach. Oto pochyła się nad bużką dziecięcia, a jego płowa grzywka opada na piękne zielone oczy, w których widać troskę, czułość i spokój.

Nie ma mowy, żeby taki widok nie zrobił wrażenia na każdej kobiecie, pomyślała Julia. Daniel zresztą również był pod wrażeniem, bo na jedną chwilę przestał płakać, ale już za moment rozpoczął swój występ wokalny z nową siłą.

- Zdaje się, że ząbkuje - westchnął Patryk.

- A skąd ty to wiesz?

- Bo wychowała się przy mnie trójka dzieci mojej siostry. A ponieważ wszystkie mają zęby, wiem już, jak to wygląda. Czy twoja kuzynka przyniosła gryzak?

- A czy ja wiem? - Julia wzruszyła ramionami, lecz zaraz pospieszenie rzuciła się do przeszukiwania torby przywiezionej przez Laureę. - Przytargała tu ze sobą cały dziecięcy kram, ale o gryzaku chyba zapomniała.

Podczas gdy ona przetrząsała zawartość torby, Patryk podsunął małemu Danielowi kostkę swojej własnej dłoni. Mały zaczął ssać łapczywie i natychmiast przestał płakać. Boże, dzięki za cud, westchnęła Julia, zerkając w ich stronę.

- Gdybyś miała tak opuchnięte dziąsła, też byś się darła. Zresztą robisz to i bez tego.

- Daruj sobie, dobrze? Proszę, masz tu gryzak.

- Widzisz, mały? Dostaniesz zaraz coś lepszego. - Patryk wsunął w usta dziecka gumowe kółko. Mały zaczął gryźć je zawzięcie, przy czym wzdychał i posapywał jak mała lokomotywa. - No i jak, lepiej, co? Wiem, znam to, przyjacielu. - Wskazującym palcem otarł z buzi Daniela drobniutkie strużki łez i zwrócił się do Julii: - Fajny dzieciak.

- Też tak myślałam jakieś dwie godziny temu. Widzę, że lubisz dzieci.

- A można ich nie lubić?

Julia dyplomatycznie powstrzymała się od komentarza. Tymczasem Patryk podniósł dziecko wysoko do góry i udawał, że Daniel jest pikującym samolotem.

- Podoba ci się, co? - pytał malca, który zaczął się śmiać.

- Przestań! Jeszcze zrobisz mu krzywdę!

- Nie bój się, nic mu nie będzie. Trzeba go czymś zająć, żeby zapomniał o swędzących dziąsłach. No jak, koleś, chcesz zejść ze mną na dół do chłopaków? Tam dopiero będziesz miał zabawę.

- Co to, to nie! - zaprotestowała Julia. - Chyba nie myślisz, że pozwolę ci go zabrać na parter, do brudu i kurzu?

- Wiesz, jaką by miał zabawę? Młotki, wiertarki...

- Najpierw pomyśl, Murdoch - Julia popukała się w czoło - a dopiero potem zabieraj głos. Boże, ci mężczyźni są gorsi niż małe dzieci - powiedziała tonem obrażonej matrony, myśląc jednocześnie, że chyba zaczyna się starzeć, skoro prawi takie morały.

- Boże, te kobiety nie mają za grosz fantazji - zrewanżował się Patryk. - Widzisz, Daniel, jak to z nimi jest? - Przysunął roześmianego bobasa do swojej twarzy. - Trzęsą się nad najmniejszym pyłkiem.

- Przypominam ci, że to nie moje dziecko.

- A ja ci powtarzam, że nic mu nie będzie. Dzieciaki lubią ruch i hałas. To stymuluje ich rozwój. Wiesz, jak strasznie potrafi taki bobas ryczeć z nudów? Dlatego my z Danielem idziemy na dół - powiedział, opierając sobie malca na biodrze. - A potem do kuchni, na lunch. Trochę piwka i mała kanapka nie zaszkodzi, prawda, stary? Tylko co na to ciocia Julka?

Wiedziała, że Patryk ją prowokuje. Dwie pary szmaragdowych oczu uczepliły się jej twarzy, czekając na reakcję.

- No dobrze - zgodziła się po chwili wahania - chyba możecie iść. Ale tylko na parę minut. I trzymaj się z dala od piły elektrycznej, dobrze?

- To może pójdziesz z nami? - zaproponował Patryk. - Chyba że masz do mnie całkowite zaufanie.

- Samej ciężko mi w to uwierzyć, ale jeśli chodzi o niemowlęta, to chyba masz u mnie kredyt całkowitego zaufania.

- Co za zaszczyt.

- Mimo to idę z wami.

Patryk był już za drzwiami, ale odwrócił się i uśmiechnął. Co ciekawe, nie było w tym uśmiechu typowej dla ich stosunków ironii czy złośliwości. To był zwyczajny uśmiech, zadowolenie z udanego żartu. Serce skruszało jej na moment i Julia pomyślała, że powinna jednak mu podziękować.

- Poczekaj, Patryk - powiedziała, zdziwiona, że oto pierwszy raz zwróciła się do niego po imieniu. Kiedy zaś Patryk zatrzymał się u szczytu schodów, dodała nieśmiało: - Dzięki. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi pomogłeś. Byłam zrozpaczona.

- To błąd. - Powiódł wzrokiem po chmurze jej rudych loków. - No, chodźmy - niespodziewanie wyciągnął rękę w jej kierunku - zobaczymy, co ten brzdąc myśli o naszej robocie.

Instynktownie podała mu dłoń, ale już po chwili pożałowała swojej spontanicznej reakcji. Ponieważ jednak byłoby głupio i niegrzecznie, gdyby teraz się wyszarpnęła, zrobiła dobrą minę do złej gry i potulnie pozwoliła sprowadzić się na dół.

To, co zobaczyła, wyglądało dokładnie tak, jak sobie wyobrażała.

- Szybko wam idzie - powiedziała z uznaniem. - Myślisz, że w przyszłym tygodniu przeniesiecie się z pracami na górę?

- Taki mam plan. Zaczniemy od twojej sypialni.

- W takim razie w weekend powynoszę meble i przygotowuję materiały, żebyście w poniedziałek mieli wszystko gotowe.

- Spokojna głowa. Sami się tym zajmujemy, w końcu za to nam płacisz. Glazurnik skończył już dolną łazienkę, więc może rzucisz na nią okiem.

- Pewnie!

- Zdecydowałaś już, z czego mają być blaty kuchenne?

- Tak. Wczoraj podjęłam ostateczną decyzję. Mam na górze wzór.

- Domyślam się. A nie możesz powiedzieć mi tak po prostu, bez wzoru, co to będzie?

- Mogę. Szaro-niebieskie ceramiczne płytki. Pomiedzy nimi granatowe fugi.

- Nieźle. - Uniósł powściągliwie jedną brew, lecz prawdę mówiąc, powinien był raczej otworzyć usta z wrażenia, tak bardzo ten pomysł przypadł mu do gustu.

- Patryk! - W holu pojawił się jeden z pracujących w salonie stolarzy. - Chodź i sam zobacz, czy tak jest dobrze. Jak przybijemy, będzie za późno.

- Daj, wezmę go od ciebie. - Julia wyciągnęła ręce w kierunku Daniela. Kiedy Patryk podawał jej dziecko, ich dłonie spotkały się. Starła się nie zwracać na to uwagi, jednak nie była w stanie zignorować niespodziewanie przyjemnej, ciepłej fali, która szybko rozlała się po całym jej ciele. - Wracaj do swoich zajęć - powiedziała łagodnie - a my tu sobie wszystko pooglądamy.

- Zgoda. - Patryk delikatnie pociągnął małego za nosek. -- Tylko pamiętaj, koleżko, że potem idziemy razem na browarek i kanapki.

Uśmiechnął się jeszcze, a potem wszedł do salonu. Julia poszła w ślad za nim. I kto by pomyślał, westchnęła, że taki irytujący facet będzie miał takie podejście do dzieci?

Ściana oddzielająca salon od biblioteki została wyburzona. Pomieszczenie, które dzięki temu powstało, było jasne i przestronne, czyli dokładnie takie, jak sobie wymarzyła. Teraz kręcili się po nim robotnicy w zakurzonych ubraniach. Gwar ich rozmów i hałas pracujących maszyn wypełniał cały dom. Przepiękna drewniana podłoga była starannie okryta brezentowymi matami, które skutecznie chroniły ją przed zniszczeniem. Przy kominku pracował kamieniarz, przywracając świetność zaniedbanemu gzymsowi i szlifując stary kamień, by ten odzyskał pierwotny wygląd.

Julia była wniebowzięta. Mogłaby tak stać godzinami i przyglądać się, jak jej pomysły nabierają realnego kształtu. Uwielbiała obserwować ludzi przy pracy, patrzeć, jak realizują kolejne etapy

przedsięwzięcia, jak krok po kroku przybliżają się do celu. Dlatego nigdy w życiu nie chciałyby wprowadzić się do gotowego, wykończonego domu. Największą radość dawało jej właśnie obmyślanie najróżniejszych zmian i przeróbek, po których budynek zachwycał swoim wyglądem i wystrojem wewnątrz.

Z zamyślenia wyrwał ją głośny wybuch śmiechu. Gardłowy męski głos, wzmocniony dzięki akustyce pustego pomieszczenia, wypełnił przestrzeń i kazał Julii spojrzeć tam, skąd dobiegał. Patryk, bo to on się śmiał, rozmawiając z robotnikami, stał niedbale oparty o resztki tego, co jeszcze niedawno było ścianą. Ręce włożył w tylne kieszenie dżinsów, charakterystycznym ruchem głowy odrzucił włosy, które wchodziły mu do oczu. Julia nie mogłaby zaprzeczyć, że jego sylwetka, głos, sposób bycia były kwintesencją męskości. Nie mogąc oprzeć się pokusie, co chwila więc zerknęła w jego stronę.

Stuprocentowy facet, przebiegło jej przez myśl i to odkrycie wprawilo ją w delikatne drżenie. Przypomniała sobie dotyk jego silnej dłoni i ruch napiętych mięśni, gdy kołysał Daniela. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że jej wzrok uparcie błądzi w okolicach szczupłych pośladków, opiętych granatowym materiałem dżinsów.

Natychmiast skarciła siebie za podobne myśli. Kobieto, co się z tobą dzieje? Czy nie widzisz, że jesteś żałosna? Co z tego, że twój majster ma fajny tyłek? I piękne zielone oczy z żółtymi cętkami? Czy to powód, żeby ślinić się na jego widok?

Nakazała sobie surowo, że ma natychmiast przestać myśleć o zaletach Patryka Murdocha i zacząć znowu traktować go jak jeszcze jednego płatnego podwykonawcę. Kiedy jednak Patryk odwrócił się nagle i uśmiechnął najpierw do niej, a potem do Daniela, kiedy pomachał do nich ręką, zrozumiała, że łatwiej jest rozkazywać obcym ludziom niż własnemu sercu.

Jak to dobrze, że nie chciałam się z nim zakładać, westchnęła i czym prędzej odwróciła wzrok.

Rozdział dwudziesty trzeci

Dzień miał wyglądać mniej więcej tak: rano śniadanie z członkiniami bostońskiego Stowarzyszenia Kobiet Aktywnych Zawodowo; o pierwszej wykład dla studentów wydziału nauk politycznych Uniwersytetu Harvarda; wieczorem kolacja i przemówienie na zjeździe właścicieli agencji nieruchomości.

Ktoś na miejscu Julii umierałby pewnie ze strachu i był zżerany przez treść, jednak ona od dzieciństwa przywykła do publicznych wystąpień. Jako córka prezydenta miała dość okazji, żeby oswoić się z tłumem obcych twarzy w czasie oficjalnych imprez oraz bezustannym zainteresowaniem mediów. Wygłaszanie przemówień było niczym innym jak głośnym mówieniem i prezentowaniem własnych opinii, a jak zgodnie twierdzili wszyscy, którzy ją znali, Julia była dobra zarówno w jednym, jak i drugim.

Dni całkowicie wypełnione oficjalnymi spotkaniami zdawały się jej zresztą nie tak często - jakieś dwa, trzy razy do roku. Swoje funkcje publiczne starała się ograniczać do niezbędnego minimum, a obowiązki z nimi związane wypełniać właśnie w ciągu jednego, góra dwóch dni.

Choć plan na ten dzień był napięty, udało jej się wykroić kilka godzin dla siebie. Spędziła je na penetrowaniu zaprzyjaźnionych sklepów z antykami, w których miała nadzieję znaleźć klamki do drzwi. Oferta producentów reklamujących się w branżowych pismach i katalogach wybitnie nie przypadła jej do gustu. W związku z tym doszła do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem będzie różnorodność - każde drzwi w jej nowym domu miały mieć inną klamkę! A gdzie

szukać oryginalnych klamek, jak nie w sklepikach ze starociami? Tylko tam mogła znaleźć prawdziwe skarby.

Pod koniec swej wędrówki po sklepach dźwigała pudło z trzema tuzinami klamek, a każda z nich była inna. Niektóre z nich miały nawet karteczki z adresami domów, z których pochodziły. Julia postanowiła, że w drodze do domu wstąpi do biura Murdochów i zostawi im swój skarb. Poza tym miała nadzieję spotkać tam Michaela i zapytać go o zdrowie. Wiedziała, jak bardzo stary przyjaciel kocha antyki, więc chciała mu sprawić przyjemność, pokazując swoje zakupy.

Szybko minęła przemysłowe zabudowania dzielnicy Beacon Hill, gdzie czuła się jak ryba w wodzie. Doskonale знаła wszystkie tutejsze ulice, z ich niską zabudową i dziesiątkami hurtowni materiałów budowlanych. Co chwila musiała hamować, żeby przepuścić manewrującą na wąskiej jezdni ciężarówkę wyładowaną cementem albo cegłami. Od czasu do czasu trąbiła i machała ręką na powitanie znajomym, których miała tu mnóstwo.

Przed biurem Murdochów już z daleka rozpoznała starą półciężarówkę należącą do Michaela. Zaparkowała obok niej i wyciągnęła z bagażnika pudło z klamkami, które było tak ciężkie, że aż musiała przykucnąć, żeby je podnieść. Ponieważ miała na sobie elegancki kostium, wzbudziła niemałą sensację wśród kręcących się po podwórku robotników. Nie obeszło się rzecz jasna bez okrzyków i pełnych aprobaty gwizdów, które skwitowała niedbałym skinieniem ręki. Większość z tych ludzi znała po imieniu, bo pracowali dla niej przy wielu zleceniach, więc mogła pozwolić sobie na poufały gest.

W biurze firmy Murdoch i Synowie panował artystyczny nieład. Małą przestrzeń szczelnie wypełniały regały pełne kolorowych segregatorów, pękających w szwach od kopii najróżniejszych umów i rachunków. Za starodawnym, metalowym biurkiem urzędowała kobieta w średnim wieku. Prócz podkoszulka z firmowym nadrukiem, najbardziej charakterystycz-

nym elementem jej stroju były trzy ołówki wetknięte niedbale we włosy.

- Julia! Witam w naszych skromnych progach. Pięknie wyglądasz, kochana! - zawołała ze szczerym, choć nieco zmęczonym uśmiechem.

- Cześć, Meg! Jak interesy? - powitała ją Julia. Nie do czekała się jednak odpowiedzi, bo na biurku zadzwonił telefon. Meg odebrała go i poprosiła klienta, żeby chwilę poczekał. - Jak widzisz, interes kwitnie - odpowiedziała z głębokim westchnieniem. - Ja już nawet przez sen odbieram telefony. Ale mów, co cię do nas sprowadza?

- Mam tu parę rzeczy i chciałabym, żeby szef rzucił na nie okiem znawcy - powiedziała, potrząsając pudłem. - Myślisz, że znajdzie dla mnie minutkę?

- Dla ciebie? Z przyjemnością poświęci ci cały dzień. Jest w swoim biurze. Wchodź bez pukania!

- A jak on się czuje?

- Różnie. Czasem lepiej, czasem gorzej. Dzisiaj wygląda nietego. Ale jak cię zobaczy, natychmiast odzyska werwę. Zaraz do niego zadzwonię i powiem, że przysłałaś.

- Świetnie! Obiecuję, że nie będę mu zawracała głowy zbyt długo - powiedziała Julia i ruszyła w kierunku gabinetu Michaela.

Gdy doszła do końca korytarza, ze zdumieniem stwierdziła, że drzwi do pokoju szefa są zamknięte. To było niezwykle, bowiem Michael wyznawał zasadę, że szef nie powinien zamykać się przed swoimi pracownikami. Zaniepokojona, oparła swoje pudło o ścianę i wolną ręką energicznie zapukała do drzwi. Zaniepokojenie przeszło w poważne obawy, kiedy weszła do środka i przyjrzała się swemu przyjacielowi - Michael z trudem łapał oddech, opierając się o swoje wielkie biurko, i od razu widać było, jak bardzo jest osłabiony.

Oczywiście gdyby Julia wiedziała, że zmęczenie nie było rezultatem ciężkiej choroby, ale pośpiechu, z jakim Michael

starał się zatrzeć ślady rozpusty, nie współczułaaby mu tak bardzo. Kiedy bowiem Meg dała mu znać, że Julia jest w drodze do jego gabinetu, musiał zwiijać się jak fryga, żeby w porę ukryć gdzieś olbrzymiego hot-doga, butelkę coca-coli i przenośną grę komputerową, którą podkradł któremuś ze swoich wnuków. Do tego jeszcze olbrzymią porcję czekoladowego tortu i kilka powieści, które przemycił pod marynarką. Myśl o tym, co powiedziałyby Julia, gdyby odkryła całą mistyfikację, tak go zestresowała, że głos mu drżał, kiedy odezwał się, żeby ją przywitać:

- Julia, moje słoneczko! Jak miło, że pomyślałaś, żeby mnie odwiedzić.

- Dzień dobry, panie Michaelu. Jak się pan czuje? - zapytała, ale to, co ujrzała, kazało jej natychmiast rzucić pudło na biurko i podejść do przyjaciela. Ujęła obie jego dłonie i powiedziała z naciskiem: - Nie powinien pan teraz pracować. Trzeba się oszczędzać, leżeć w łóżku, a nie przyjeżdżać do pracy.

- E tam, gadanie! Przecież nic mi nie jest - powiedział, zanosząc się kaszlem. - I naprawdę się nie przemęczam, moja kochana. Ale muszę powiedzieć, że już nie pamiętam, kiedy ostatnio zwykłe przeziębienie tak bardzo dało mi się we znaki. Lekarze mówią, że mam coś z płucami.

- Tak? A Patryk mówił, że to grypa.

- Bo to była grypa - odparł lekko zmieszany - ale teraz przerzuciło mi się na płuca. No dobrze, nie będziemy tak stać. Siadaj, proszę, i mów, jaką masz sprawę. Mam nadzieję, że mój synalek nie nabroił za bardzo, co?

Siadając w fotelu obok biurka, Julia poczuła nagle ostry zapach cebuli, ale uznała, że jej się zdawało. Który chory człowiek jadłby cebulę? A może Michael leczy się cebulowym syropem? Ta myśl całkowicie ją uspokoiła.

- No, dlaczego nic nie mówisz? Mam nadzieję, że jesteś zadowolona z pracy Patryka.

- Jestem - skłamała gładko, bo w rzeczywistości miała kilka uwag. Większość z nich dotyczyła jednak tego, że Patryk ciągle krytykuje jej decyzje oraz pomysły na wykończenie wnętrza, uznała więc, że tym bardziej nie powinna kłopotać Michaela.

- A jak idzie przebudowa parteru?

- W porządku. Choć oczywiście wolałabym, żeby to pan wszystkiego pilnował.

Michael zakaszał głośno, po czym z ujmującym uśmiechem położył dłoń na dłoni Julii. Popatrzył na nią rozpromieniony, myśląc przy tym, że doprawdy ze świecą szukać lepszej synowej niż ona.

- Zaręczam ci, że Patryk jest doskonałym fachowcem.

- Wiem. W końcu uczył go najlepszy człowiek w branży.

Michael machnął ręką, opędzając się od komplementu jak od uprzykrzonej muchy.

- Powiedz mi lepiej, królewno, co tam masz w tym pudle.

- Skarby. Nie wie pan nawet, jaką sobie sprawiłam przyjemność! Niech pan tylko spojrzy. Czy moje kłamki nie są wspaniałe?

- Ano, zobaczymy - powiedział. A kiedy podniosła pokrywę pudła, aż mu się oczy zaświeciły.

Przez następne dwadzieścia minut bawili się razem jak dzieci nowymi zabawkami. Dokładnie oglądali każdą sztukę po kolei, zastanawiając się, ile ma lat, z jakiej epoki pochodzi i gdzie będzie pasowała najlepiej. Dzięki wiedzy Michaela, Julia mogła uzupełnić karteczki z informacjami o pochodzeniu klamek.

- Drzwi w mojej sypialni są oryginalne, to znaczy były już tam, kiedy kupowałam dom. Są naprawdę piękne. Ciężkie, masywne, z doskonale zakonserwowanego dębowego drewna. Całe szczęście ci prostacy, to znaczy poprzedni właściciele, nie zdążyli ich popsuć. Widział pan, co zrobili z boazerią?

, - Tak, tak. To grzech tak zeszcścić drewno. Zbrodnia!

- A czy Patryk mówił panu, co zrobili z podłogą w kuchni? Przykryli piękne sosnowe deski jakimś tandetnym linoleum! Oczywiście drewno nie jest w idealnym stanie, ale myślę, że da się je odratować. Po cyklinowaniu i lakierowaniu będzie jak nowe. Ale wracając do drzwi, nie wydaje się panu, że ta klamka będzie idealna?

- Tak, masz rację. Pasuje jak ulał.

- Kocham robić interesy z ludźmi, którzy zgadzają się z moimi pomysłami i rozumieją, o co mi chodzi. Boże, już tak późno? Panie Michaelu, dziękuję za pomoc. Muszę pędzić do domu i przebrać się na wieczór.

- A dokąd to się pani wybiera? - zainteresował się Michael, starając się bardzo, żeby jego głos brzmiał naturalnie.
- Jakaś nowa miłość, co?

- Jaka tam miłość. - Julia wzruszyła ramionami. - Po prostu mam oficjalne spotkanie o wpół do ósmej.

- W takim razie baw się dobrze. Ale, ale, może zostawisz u mnie te klamki? Powiem Patrykowi, żeby ci je zamontował.

- Słusznie. Wie pan co, panie Michaelu - nachyliła się jeszcze do niego - wprost nie mogę się doczekać, kiedy ten dom będzie gotowy. To w końcu mój pierwszy własny dom! - Pochyliła się i lekko pocałowała go w policzek. - Bardzo proszę, niech pan na siebie uważa. Grypy nie wolno lekceważyć. Przecież musimy zatańczyć pierwszy taniec na mojej parapetówce w sylwestra!

- Spokojna głowa! Do tego czasu będę zdrow jak rydz!

Kiedy Julia wyszła z pokoju, Michael pośpiesznie zamknął za nią drzwi. Rozradowany, wykonał kilka tanecznych kroków, po czym rzucił się do szafki, w której schował swój lunch. Był głodny jak wilk, ale najpierw musiał zadzwonić do Daniela MacGregora. Chciał jak najszybciej opowiedzieć staremu przyjacielowi, jak rozwija się ich plan.

Wstrętna, niecierpliwa, arogancka baba!

- Patryk nie szczędził Julii jak najgorszych epitetów. Czy nie

mogła poczekać, tylko musiała polecieć od razu do ojca ze swoimi kłamkami? I jeszcze ten pomysł, żeby urządzać tu imprezę! Niby gdzie, skoro dom przypomina na razie jeden wielki plac budowy.

Dodusił mocniej śrubę w drzwiach. Był tak wściekły, że śrubokręt aż zazgrzytał pod jego dłonią. Gdyby teraz weszła Julia, udusiłby ją bez cienia żalu. Ze złości całkiem zapomniał o jej wspaniałych włosach, cudownych nogach i zniewalającym zapachu. Najbardziej denerwował go pomysł imprezy. Posądzał Julię o chęć zaimponowania snobistycznym znajomym. Myślał, że zaplanowała przyjęcie w niewykończonym domu tylko po to, żeby tłum ekscentrycznych bogaczy mógł beztrako zrujnować jego ciężką pracę. Już on takich znał - będą żarli chipsy, pili szampana i brudzili świeżo pomalowane ściany, gadając o tym, jakie to śmieszne, kiedy z sufitu spadają płaty starej farby.

I jeszcze ta afera z montowaniem klamek! Naprawdę nie przeszkadzała mu praca po godzinach. Robił to często i nigdy nie skarżył się, że musi rezygnować z wolnego czasu. Rozumiał, że trzeba pracować dłużej, zwłaszcza gdy goniły terminy. Tym razem jednak kłamki mogły poczekać, bo było dużo pilniejszej roboty. Mimo to zmuszono go, żeby je zakładał, choć była to praca, którą mógł wykonać każdy z robotników zatrudnionych przy remoncie. Podczas gdy Julia bawiła się w najlepsze na jakimś „oficjalnym spotkaniu”, on musiał bawić się w ślusarza i grzebać w zardzewiałych zamkach.

Cholera, zupełnie nie potrafił zrozumieć, dlaczego ojciec to na nim wymusił. Najpierw tłumaczył Patrykowi, że Julia jest ich najlepszą klientką i że ten kontrakt jest wyjątkowo ważny dla firmy. Kiedy zaś Patryk próbował go przekonać, że zakładanie klamek zajmuje ostatnie miejsce w harmonogramie prac, ojciec zaczął zachowywać się irracjonalnie. Powiedział, że skoro jego syn nie chce tego robić, to on, choć chory, zajmie się tym osobiście. Szantażysta!

- Pewnie - mruknął Patryk przez zaciśnięte zęby - miałem pozwolić, żeby chory i osłabiony, włókł się tutaj i pracował po nocy, a potem wykorkował na podłodze w salonie!

Kiedy przykręcał ostatnią klamkę, dochodziła jedenasta. Jego rozdrażnienie rosło w miarę, jak posuwał się od drzwi do drzwi. Przy ostatnich był już tak wściekły, że nawet przestał podobać mu się pomysł z antycznymi klamkami, który na początku uznał za doskonały. Co z tego, że sam pomysł jest świetny, skoro metoda, do jakiej uciekła się Julia, była nie do przyjęcia?

Najzwyczajniejsza w świecie nadęta lala, powtórzył mściwie.

A już tak niewiele brakowało, żeby zmienił zdanie. Kiedy patrzył na nią tego dnia, gdy nie potrafiła poradzić sobie z płaczącym Danielem, był gotów zapomnieć o jej wstrętnym charakterze. Zwłaszcza że tak doskonale dogadywała się z robotnikami. Żartowała z nimi, przynosiła pączki i kolejne kubki kawy, pamiętała ich imiona i najróżniejsze szczegóły z prywatnego życia. Wiedziała nawet, który z nich lubi piwo, a który woli sok, który pokłócił się z dziewczyną, a którego matka jest ciężko chora. Oni to oczywiście doceniali i nazywali Julię „superszefową”. Ona nie pozostawała im dłużna i zawsze znajdowała moment, żeby ich pochwalić za dobrą pracę. Ot, wyrachowanie. Nic, tylko zimna kalkulacja, której nauczyła się od tatusia w Białym Domu.

Kiedy jego rozżalenie sięgnęło zenitu, usłyszał szczepek kłucza w zamku i odgłos otwieranych na dole drzwi.

- Panienska wróciła z imprezy - mruknął złośliwie pod nosem. - Świetnie, mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś, bo za chwilę usłyszysz, co o tobie myślę.

Wstał z kolan, pochował narzędzia i już miał pójść w stronę schodów, kiedy usłyszał prowadzoną w holu rozmowę. Julię rozpoznał natychmiast. Drugi głos należał do mężczyzny.

A więc sprowadzamy sobie kochanków, pomyślał i nagle poczuł skurcz w okolicy serca. Kiedy na dole rozbłysło światło,

instynktownie usunął się w największy cień. Nie chciał, żeby go zobaczyli, zaczął się więc w miejscu, z którego mógł ich bezpiecznie obserwować.

- Tod, przepraszam cię, ale jestem bardzo zmęczona. Naprawdę... Mam za sobą długi dzień.

- Myślisz, że ja nie? Chyba nie odeślesz mnie do domu bez pożegnalnego drinka?

Julia nie odpowiedziała od razu, trzymając swego rozmówcę w niepewności. Gdyby Patryk wiedział, że nie jest to element flirtu, lecz zwyczajny brak pomysłu na wybrnięcie z kłopotliwej sytuacji, z pewnością serce podskoczyłoby mu z radości. Nie mógł jednak tego wiedzieć, podobnie jak nie wiedział, że Julia spotykała się z Todem od sześciu miesięcy i choć on miał wobec niej poważne zamiary, ona traktowała ich randki jako całkowicie niezobowiązujące. Prawdę mówiąc, spotykała się z nim ze względów czysto estetycznych - w smokingu Tod prezentował się naprawdę efektownie i niewiele kobiet potrafiło oprzeć się jego czarowi. Z kolei elokwencja i poczucie humoru sprawiały, że Tod potrafił rozruszać nawet najbardziej sztywne towarzystwo.

Teraz przyjrzała mu się badawczo i wzięwszy pod uwagę wszelkie za i przeciw, zdecydowała, że jednak zaprosi go na drinka.

- W porządku. - Zdjęła szal gestem, w którym znać było zmęczenie. - Czego się napijesz? Masz ochotę na coś szczególnego czy po prostu kropelka brandy?

- Mówiąc szczerze, to miałbym ochotę na ciebie.

W jednej chwili otoczył ramionami jej szczupłą talię i poszukał ustami jej ust. Nie odsunęła się, nie zaprotestowała. Beznamiętnie przyjęła jego pocałunek, bo naprawdę było jej wszystko jedno. Mimo to z zaskoczeniem zauważyła, że jej ciało w żaden sposób nie reaguje na bliskość Toda. Zupełnie jakby otaczało ją powietrze, a nie męczyzna z krwi i kości. Owszem, pocałunek był przyjemny, ale z równą przyjemnością poczytałyby w łóżku jakąś interesującą książkę.

- Tod, mówiłam ci już, że jestem zmęczona i śpiąca. - Delikatnie próbowała wysunąć się z jego ramion.

- Zaraz cię rozbudzę, nie bój się. - Jego dłonie coraz natarczywiej gładziły jej plecy, palce szarpały cienkie ramiączka czarnej, długiej sukni.

- Posłuchaj, naprawdę nie ma ochoty! - tym razem w jej głosie wyraźnie słychać było zniecierpliwienie.

Jednak Tod nie wyczuł chyba ostrzegawczego sygnału, bo zamiast pożegnać się jak prawdziwy dżentelmen, stał się jeszcze bardziej natarczywy. Julia poczuła, jak zacieśnia się uścisk wokół jej bioder i jak usta Toda stają się coraz bardziej śmiałe. Próbowwała delikatnie go odepchnąć, ale on całkiem to ignorował. W pewnej chwili chwycił ją za pośladki i mocno przyciągnął do siebie. Dopiero wtedy zrozumiała, co się święci i z całych sił odepchnęła go od siebie.

- Tod, mówiłam ci, żebyś dał spokój!

- Julio... - Wyciągnął dłoń i sięgnął po pasmo jej włosów. Podczas gdy leniwym ruchem nawijał je sobie na palec, jego druga dłoń szarpała się z opornym suwakiem sukienki. - Nie sądzisz, że już najwyższy czas dać sobie spokój z tymi gierkami? W końcu nie jesteśmy w liceum.

Próbował zsunąć z jej ramion cieniutkie ramiączka sukienki, ale wtedy bez namysłu i z całych sił ugryzła go w rękę.

- Powiedziałam: nie! Mówiłam za cicho, a może niezbyt wyraźnie?

- Więc jednak bawimy się dalej - szepnął i tym razem zagarnął jej pierś.

- Tod!

- Posłuchaj, Julio. - Z jego twarzy zniknął nagle uśmiech. - Od dłuższego czasu grasz ze mną w kotka i myszkę. W porządku, taka już jest kobieca natura, więc starałem się być cierpliwy. Ale w końcu znudziło mi się czekanie.

- Aha! - Popatrzyła na niego z niechęcią. - To znaczy, że powinnam po prostu położyć się na plecach, rozłożyć nogi

i zaczekać, aż sobie ulżysz, tak? Co za idiotka ze mnie! Do tej pory myślałam, że seksu muszą chcieć obie strony!

- Tylko mi nie mów, że nie chcesz tego, co ja! A może wystroiłaś się tylko po to, żeby oczarować paru zmurszałych ramoli?

Tego było za wiele. Gwałtownie wyszarpnęła rękę z jego uścisku, podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież.

- Spadaj stąd, gnojku! Jesteś głupszy niż myślałam. Wiesz, dlaczego założyłam tę sukienkę? Bo mi się podoba! Myślisz, że kobieta ubiera się tylko po to, żeby sprawić przyjemność takiemu nadętemu kogutowi, jak ty? Akurat! A teraz wynocha, zanim skopię ci tyłek!

- Ja też... ja też ci coś powiem! - Tod wyraźnie nie mógł się pozbierać po usłyszanych przed chwilą słowach. - Jesteś zimną i wyrachowaną suką - wycedził wreszcie przez zęby i minął ją, jakby nie istniała.

Z rozmachem zatrzaskała za nim drzwi, a potem oparła się o nie i mocno odetchnęła.

- Gnojek! Zwykły gnojek! - powiedziała głośno. - A ja myślałam, że taki miły z niego facet!

Ruszyła energicznie w stronę sypialni, lecz gdy postawiła stopę na schodach, zamarła nagle z wrażenia. Przez chwilę jej się zdawało, że pod wpływem wzburzonych emocji, zaczęła majaczyć, jednak szybko zorientowała się, że to, co widzi, to najprawdziwsza rzeczywistość. Po schodach schodził Patryk Murdoch we własnej osobie. Mało tego, uśmiechał się do niej jednym z tych dobrze znanych, bezczelnych uśmiezków!

- A co ty tu robisz, do jasnej cholery!

- Wypełniam służbowe obowiązki.

- O tej porze?

- Dla takiej klientki - wszystko!

Patrzył na nią i wciąż kurczowo zaciskał pięści, bo jeszcze przed sekundą przymierzał się, żeby zbiec na dół i wymierzyć potężny cios w sam środek pięknej twarzy tego chłopca z pla-

katu. Całe szczęście Julia poradziła sobie ze swoim adoratorem. Kosztowało ją to jednak sporo, Patryk widział to wyraźnie. Mimo pozornego spokoju, wciąż była mocno wzburzona.

- Szałowa kreacja - zauważył, chcąc rozładować napięcie.
- Idź do diabła - syknęła jak nadepnięta żmija.
- Hej, uspokój się już. - Uniósł ramiona, jakby chciał powiedzieć, że nie zamierza kłócić się i przekomarzać. - Usiądź i ochłoń trochę, zanim wyrzucisz mnie za drzwi jak tamtego barana.

Pojednawczy ton udobruchał ją trochę.

- Przepraszam - westchnęła - ale jestem zdenerwowana.
- Nic dziwnego. Ten facet to zwykły dupek. Ale spławiłaś go w pięknym stylu. Gratuluję.

- Miałaś niezłą zabawę, co? - zapytała nieprzyjemnym tonem.

- Słuchaj, naprawdę nie miałem zamiaru cię podglądać. Poza tym to, co się stało, to tylko i wyłącznie twoja wina.

- Co ty powiesz! - Teraz była wściekła zarówno na Toda, jak na Patryka. - A więc ty również uważasz, że w takich sytuacjach wina leży zawsze po stronie kobiety? Że każda atrakcyjna babka prowokuje swoim wyglądem, żeby ją przelecieć, a perfumy są jednoznaczną zachętą do łóżkowych propozycji? - nacierała na niego wściekle, wbijając palce w jego klatkę piersiową z taką siłą, że z trudem utrzymywał równowagę.

- O czym ty mówisz?

- Jak to o czym? Przed chwilą sam powiedziałaś, że mam zabójczą sukienkę, a potem, że sama jestem sobie winna!

- Sama jesteś sobie winna, że jestem tutaj o tej porze!

- Jak to?

- Tak to! A kto chciał mieć dzisiaj zamontowane wszystkie klamki?

- Jakie znowu klamki?

- Te, które po południu zawiozłaś do mojego ojca z poleceniem, żeby je natychmiast założyć! Naopowiadałaś mu, że

planujesz urządzić imprezę. Myślisz, że nie mam nic innego do roboty, tylko tyrać do północy, bo ty chcesz tu zaprosić swoich nadętych koleżków?

- Czyś ty stracił rozum? - Odsunęła się i popatrzyła na niego zdumiona.

- Ja? To chyba raczej ty, skoro zawracasz mojemu ojcu głowę takimi bzdurami!

Julia bezwładnie oparła się w futrynę. Wyglądała teraz tak, jakby uszło z niej powietrze. Przycisnęła dłonie do skroni, bo ból głowy stawał się coraz silniejszy.

- Czekaj. - Wyciągnęła dłoń w obronnym geście. - Faktycznie byłam po południu u twojego ojca. Pojechałam zapytać, jak się czuje. Przedtem kupowałam klamki, więc chciałam mu pokazać, co udało mi się wyszperać. Potem razem je oglądaliśmy i ustalaliśmy, która gdzie pasuje.

- A potem kazałaś mu natychmiast je założyć, bo zachciało ci się imprezy!

- Jakiej imprezy? Człowieku, rozejrzyj się dokoła. Jaką tu można robić imprezę, kiedy dom jest w środku przebudowy? Słuchaj - ruszyła w stronę schodów - jestem wykończona i nie mam siły kłócić się z tobą o klamki. Muszę wziąć aspirynę, a potem położyć się spać.

Poszła prosto do kuchni, zupełnie nie troszcząc się o to, co robi Patryk. Było jej obojętne, czy pójdzie za nią, czy do domu. Widocznie on też się nad tym zastanawiał, bo dopiero po dłuższej chwili usłyszała za plecami jego kroki.

Niczym robot sięgnęła na oślep do szafki, w której trzymała lekarstwa. Wyjęła ze słoiczka trzy pigułki i popiła je dużym łykiem chłodnej wody. Dopiero wtedy odwróciła się w jego stronę.

- W porządku - powiedziała zmęczonym głosem. - Najwyraźniej zaszło nieporozumienie. To prawda, że pokazałam klamki twojemu ojcu. Wspomniałam też, że wprost nie mogę się doczekać, kiedy będą zamontowane. Ale wcale nie mówiłam, że to nie może poczekać.

- Nie ma sprawy. - Wzruszył ramionami.

- Mówiłam też o imprezie, którą chcę tutaj urządzić. To ma być huczna parapetowa, ale nie wcześniej niż po Bożym Narodzeniu, być może dopiero na sylwestra. Po prostu powiedziałam Michaelowi, że chciałabym, żebyśmy razem zatańczyli pierwszy taniec, a on widocznie źle mnie zrozumiał, skoro kazał ci tu jeszcze dzisiaj przyjeżdżać.

Nie bardzo chciało mu się w to wierzyć, ale w końcu dał za wygraną. Wprawdzie nigdy dotąd nie zdarzyło się, żeby ojciec przekreślił słowa któregoś z klientów, jednak teraz, w związku z chorobą, mógł być w gorszej formie.

- Rozumiem. Bywa, że ludzie się nie dogadają.

- Przykro mi, że musiałeś zarywać wolny wieczór.

- Jakoś przeżyję. Zamontowałem kilka klamek. Może chcesz zobaczyć?

- Jasne - odparła, jednak w jej głosie zabrakło entuzjazmu.

- W takim razie, co powiesz o tej? - zapytał, wskazując kuchenne drzwi. Kiedy usłyszał cichy okrzyk zachwytu, pomyślał, że jednak warto było przyjeżdżać.

- Od razu wiedziałam, że emalia będzie tu idealnie pasowała. - Julia jednym susem znalazła się przy drzwiach i z bliska podziwiała granatowy roślinny wzór na kremowym tle. - O rany, uwielbiam takie drobiazgi! Ludzie nie zwracają na to uwagi, choć przecież wiadomo, że piękno tkwi w szczegółach. Właśnie takie drobnostki decydują o charakterze całego domu.

- Muszę przyznać, że rzeczywiście wygląda nieźle.

Patryk pochylił się, żeby przyjrzeć się dokładniej, gdy nagle poczuł znajomy, obezwładniająco przyjemny zapach. Był teraz tak blisko Julii, że ich ciała prawie się dotykały. Wstrzymał oddech, a wówczas ona popatrzyła na niego zmieszana.

- Tylko nie chuchaj...

- Nie będę.

Z tej odległości widziała dokładnie żółte obwódki na krawędziach szmaragdowozielonych tęczówek jego niezwykłych

oczu. Ich wyraz, a także ciepło, które czuła niemal całą powierzchnią skóry, sprawiły, że krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach i uderzać do głowy. Nie minęła sekunda, a serce Julii zakolało tak mocno, że aż się przeraziła.

- Naprawdę... bardzo się cieszę, że znalazłeś czas... - próbowała coś powiedzieć, ale gardło miała tak wyschnięte, że mówienie sprawiało jej ból.

- To... drobiazg. Nie ma o czym mówić. - Zmysłowy zapach owionął go ciepłą falą i odurzył jak narkotyk. Powoli zaczynało kręcić mu się w głowie. Z całych sił próbował przywołać się do porządku, jednak widok jej pełnych, wilgotnych warg był tak nęcący, że mógł myśleć tylko o tym, żeby je natychmiast pocałować. Wyobrażenie pocałunku tak zaś go rozpałiło, że już po chwili miał ochotę na znacznie więcej. - Lepiej już pójdę - wydusił wreszcie z siebie i odsunął się od Julii z najwyższym wysiłkiem.

- Tak... - Julia skwapliwie skinęła głową. Podniecenie, które spłynęło nagle na jej ciało, było tak gwałtowne i niespodziewane, że nie pozwalało normalnie oddychać. - Odprowadzić cię?

- Znam drogę.

- Odprowadzę.

Obydwoje jednocześnie ruszyli w stronę wyjścia i zaraz potem, zupełnie nie wiedząc kiedy, połączyli się w namiętym pocałunku. Ich usta były jednakowo niecierpliwie i zachłanne, ciała przywarły do siebie ciasno i natarczywie. Julia czuła każdy napięty mięsień jego ramion, pleców, ud. Sama napierała coraz mocniej, jakby chciała stopić się z nim w jedno ciało. Jego rozpalone dłonie najpierw gorączkowo przesuwały się wokół linii jej bioder, a potem powędrowały w górę. Kiedy otoczyły piersi, miała ochotę krzyknąć, żeby kochał się z nią tu i teraz. Zamiast tego gwałtownie wczepiła palce w jego włosy i naprawdę bliska spazmów, wyszeptwała:

- To szaleństwo.

- Czysty obłąd!
- Nie możemy tego robić.
- Wiem...

Mocno chwyciła go za włosy i odciągnęła głowę tak, by znowu mogła pocałować jego usta, głęboko i żarłocznie. Zapomnieli się w tym pocałunku na długo, aż wreszcie, całkiem bez tchu, odsunęli się od siebie gwałtownie.

- Co my wyprawiamy? Zapomnijmy o tym! - Julia poczuła taką słabość, że aby nie upaść, musiała oprzeć się mocno o drzwi.

- Zapomnijmy... - powtórzył nieprzytomnie Patryk, ale chyba nie bardzo wiedział, co mówi. Wyobraźnia podsuwała mu coraz to nowe wizje miłości, którą mogliby obdarować siebie nawzajem. Wyraźnie widział jej ciało, piękne i doskonałe pod cieniutką warstwą czarnego jedwabiu.

- To nic, tylko chwilowe szaleństwo.

- Tak, szaleństwo... - Odsunął się od niej, ale wciąż nie mógł oderwać oczu od jej rozpalonej twarzy. - Pragnę cię tak bardzo, że...

- Nie! - Drżącą dłonią przycisnęła serce, które chyba chciało wyskoczyć z jej piersi. - Musimy coś wymyślić - powiedziała. - Musimy coś z tym zrobić, Murdoch. Przecież my się nienawidzimy!

- To chyba przesada - pokręcił głową. Słowa były wyjątkowo odporne i w żaden sposób nie chciały słuchać jego woli.

- Ale myślę, że gdybyśmy zrobili teraz to, o czym obydwójmy myślimy, to jutro rano nie moglibyśmy spojrzeć sobie w oczy - dodał niespodziewanie trzeźwym głosem. - I dopiero wtedy zaczęlibyśmy siebie nienawidzić.

Julia była mu wdzięczna, że powiedział to pierwszy. Kolejny raz miała wrażenie, że Patryk Murdoch umie czytać w jej myślach.

- Dobrze. Zapomnijmy o tym - odetchnęła, nieco uspokojona. - Może odreagowaliśmy stres, a może nie zapanowa-

liśmy nad jakimiś tam emocjami. Nieważne, możemy to zwalić na cokolwiek. Tak czy inaczej, mam nadzieję, że nam to minie - powiedziała, po czym niechętnie odsunęła się od drzwi, by go wypuścić.

- Oby. A jeśli nie minie, to co?

- Nie mam pojęcia.

Patryk czuł, że natychmiast musi wyjść z tego domu. Potrzebował powietrza, chłodu, który by go otrzeźwił. Mimo to wciąż ociągał się z przestąpieniem progu. Jeszcze raz przyjrzał się dokładnie Julii MacGregor, ciekaw, czy jest równie podniecona, jak on. Kiedy zaś wyczytał z jej oczu odpowiedź, gwałtownie szarpnął za klamkę.

- Ja też nie mam pojęcia - powiedział i zniknął w szarym cieniu ogrodu.

Rozdział dwudziesty czwarty

Przez następne tygodnie Julia stawała na głowie, żeby tylko nie zostać sam na sam z Patrykiem. Wynajdywała sobie tysiące zajęć, które mogły trzymać ją z dala od niego. Pochłonięta bez reszty tą zabawą w kotka i myszkę, nie zauważyła nawet, że właśnie rozpoczęła się jesień. Potężne korony stuletnich drzew zapłonęły ogniem zachwycających barw, opadające liście wirowały w powietrzu, w którym czuć już było chłód nadciągającej zimy.

Julia nie dostrzegąca całego tego bogactwa natury. Rzuciła się w wir swoich zajęć, a w wolnych chwilach odwiedzała Laurę i z radością patrzyła, jak mały Daniel rośnie w oczach i czyni coraz to nowe postępy. Poza tym biegała po sklepach, rozglądając się już za gwiazdkowymi upominkami dla najbliższych. Nie zapominała również o tym, by od czasu do czasu wyskoczyć na kolację ze znajomymi.

Pewnego słonecznego dnia zatrzymała samochód przed domem, w którym mieszkała niegdyś razem z Laurą i Amelią. Przywiozła ze sobą trochę łakoci, które miały ucieszyć jej niewybredną pod względem kulinarnym kuzynkę. Amelia, bo o niej mowa, była właśnie w trzecim miesiącu ciąży, więc często miewała nieoczekiwane zachcianki, o które nikt wcześniej nigdy by jej nie posądził. Julia, która prócz słodczych taszczyła jeszcze wielkiego pluszowego psa bernardyna, zastała kuzynkę w kuchni, zajętą przeglądaniem książek kucharskich.

- Amelka, co ty robisz w kuchni? - zawołała od progu.

- A, nic takiego - szepnęła speszona winowajczyni i zrobiła minę osoby przyłapaną na gorącym uczynku.

- Jak to nic? Przecież widzę. Po co ci te książki? Chyba nie piszą w nich, jak wyciąć ślepą kiszkę!

- Daj spokój. - Szczupła dłoń przygładziła złotorude, króciutkie włosy. - Po prostu pomyślałam, że pora nauczyć się gotować. Choćby kilka najprostszych potraw.

- Oj, doktor Blade... O, przepraszam, doktor Maguire! W każdym razie co to się z panią porobiło?

- Nic. Doszłam do wniosku, że skoro i tak będę przez trzy miesiące w domu na urlopie macierzyńskim, to nic się nie stanie, jeśli zacznę robić obiady. I inne dobre rzeczy. - Wykonała dłonią w powietrzu nieokreślony gest.

- A czy Bransonowi w ogóle zależy na tym, żebyś miała pojęcie, jak usmażyć kotlety?

- Nie, oczywiście, że nie! To ja sama... Och, wiem, że to dziwne. I pewnie jakoś związane z ciążą. Uznałam, że skoro jestem dyplomowanym chirurgiem, to chyba potrafię zrozumieć najprostszy przepis i wyprodukować jadalną potrawę. Postanowiłam właśnie to sprawdzić. Co to za pies? - zapytała Amelia, by zmienić temat. - Podoba mi się.

- Tak? To doskonale. Robiłam dzisiaj zakupy i kiedy zobaczyłam to cudo na wystawie, nie mogłam oprzeć się, żeby go nie kupić. To prezent. A wiesz dla kogo?

- Nie mam pojęcia.

- Dla mojej przyszłej siostrzenicy albo siostrzeńca!

- Naprawdę? Kochana jesteś! Czy mówiłam ci już, że chcemy urządzić w pokoju dziecka prawdziwe królestwo zwierząt?

- Co najmniej piętnaście razy. - Julia popatrzyła na kuzynkę z czułością. - Nawet nie będę pytać, jak się czujesz. Wyglądasz rewelacyjnie.

- I tak się czuję. W całym swoim życiu nie byłam szczęśliwsza. A muszę powiedzieć nieskromnie, że trafiło mi się całkiem udane życie.

- A jak praca w szpitalu? Dajesz sobie radę?

- Bez problemu. Wiesz, że nie mogłabym nie pracować. To mnie nakręca, dodaje sił. Ale mów lepiej, jak idzie remont.

- Powoli, ale do przodu. Moja sypialnia jest już gotowa i wygląda naprawdę świetnie. Co do reszty, to wciąż nie widać końca, ale z dnia na dzień jest coraz lepiej. W tej chwili robią mi kuchnię.

Amelia przechyliła głowę i przyjrzała się Julii badawczo.

- A tak naprawdę to o co chodzi?

- Nie rozumiem.

- Pytam cię, Julka, o co chodzi. Widzę przecież, że coś cię zżera.

- Och, nic takiego. Zwyczajne głupstwo.

- Skoro głupstwo, to chyba nie ma sensu robić z tego tajemnicy. Zwłaszcza, jeśli to cię męczy...

- Męczy? Nic mnie nie męczy, po prostu... - Julia podniosła się z miejsca i zaczęła krążyć niespokojnie po kuchni

- po prostu przeżyłam ostatnio coś dziwnego - wykrztusiła.

- Znasz Patryka Murdocha? - zapytała znienacka.

- Oczywiście. Syn najlepszego kumpla naszego dziadka, tego od firmy budowlanej. Pamiętam, że robili coś tutaj, zanim się wprowadziłyśmy.

- Zgadza się. No więc Patryk jest w tej chwili głównym wykonawcą prac w moim domu. I niestety wyjątkowo nie układa nam się współpraca. Niezgodność charakterów albo coś w tym stylu.

- To po co go trzymasz? Wyrzuć i znajdź sobie innego wykonawcę.

- To nie takie proste, zresztą nie o to chodzi.

- To powiedz mi wreszcie, o co!

- Parę tygodni temu spotkaliśmy się w moim domu...

- To źle? Myślałam, że Patryk robi ci remont.

- Nie przerywaj! Spotkaliśmy się sami, w środku nocy, u mnie w domu.

- No i co?

- Przecież wiesz.

- Wiem.

- Właśnie, że nie wiesz! To nie było tak, jak myślisz!

- A skąd wiesz, co myślę?

- No... w każdym razie... to była taka nagła, prawie zwierzęca reakcja. Rzuciliśmy się na siebie, rozumiesz? - Opadła na krzesło i przystawiła dłoń do czoła. - I w końcu nic z tego nie wyszło. Nic się nie wydarzyło. Parę pocałunków, to wszystko. Doszliśmy do wniosku, że to byłoby błąd.

- Bo normalnie nie przepadacie za sobą?

- Właśnie. Poza tym Patryk pracuje dla mnie, łączą nas interesy, więc to byłoby niemoralne.

- Czy ja wiem...

- Najgorsze jest jednak to, że ja bardzo lubię i szanuję Michała Murdocha, ojca Patryka. I nie wiem naprawdę, jak spojrziałabym mu w oczy, gdybym przespała się z jego synem.

- Chyba przesadzasz. Co go może obchodzić, z kim sypia jego dorosły syn? Skoro podobacie się sobie, to nie widzę powodu, dlaczego nie mielibyście...

- Poczekaj - przerwała jej Julia. - To, że ktoś ci się podoba, wcale nie znaczy, że musisz od razu lecieć z nim do łóżka, no nie? A najgorsze jest to, że ja od pewnego czasu nie myślę o niczym innym, tylko właśnie o tym - żeby przespąć się z Patrykiem!

- A czy to przyzwoity facet?

- Przyzwoity? Co masz na myśli?

- No... czy jest inteligentny, z poczuciem humoru, uprzejmy?

- A tak, myślę, że jest przyzwoity. On jest... No widzisz? Sama nie wiem! Największy problem, to że obydwójce jesteśmy narwani. On postępuje dokładnie tak samo, jak ja. Ma swoje zdanie, jest trochę zarozumiały i uparty jak osioł.

- Przyganiał kocioł garnkowi. O ile zrozumiałam, uważasz siebie za wzór uległości i tolerancji.

- Żebyś wiedziała! A przynajmniej w porównaniu z Patry-

kiem. - Miała dalej zamiar zacięcie bronić swoich racji, lecz nagle roześmiała się i dodała: - Czasami i on ma rację, to prawda. Ale ja znacznie częściej.

- A przede wszystkim za żadne skarby nie przyznasz jej nikomu innemu.

- No dobrze, już dobrze. Właśnie przyznałam.

- Mi przyznałaś, a czy powiedziałaabyś jemu: „słuchaj, Murdoch, miałeś rację”?

- Litości, nie torturuj mnie więcej - znów roześmiała się Julia. - Wiesz, co mi się w nim cholernie podoba? Oczywiście. No i te jego ręce. Podobają się, to za mało powiedziane. Mam na ich punkcie bzika. Są silne, twarde i bardzo zręczne. Często je sobie wyobrażam...

- Jak obejmują cię i pieścżą, ale wyrastają z ramion bardziej potulnego faceta?

- Chyba niezupełnie... - zamyśliła się Julia. - Sama zresztą nie wiem. Pewnie miesiąc temu natychmiast przyznałabym ci rację, ale ostatnio dochodzę do wniosku, że podoba mi się w nim taka niezależność, stanowczość i pewność siebie. Wszystko to razem jest... hm, bardzo seksy. Najlepiej zrobię, jeśli wyjadę na parę dni.

- To z pewnością nie zaszkodzi. Nawet jeżeli miałoby nie pomóc. Ale wiesz, co jeszcze sobie myślę? - Amelia popatrzyła uważnie na kuzynkę. - Zawsze byłeś dla mnie wzorem silnej kobiety. Nie znam drugiej osoby równie pewnej swoich racji i równie zdeterminowanej, żeby o nie walczyć. Dlatego skoro mówisz mi, że Patryk bardzo cię pociąga, to mogę dać ci dwie rady. Po pierwsze: uważaj na siebie i nie pozwól zrobić sobie krzywdy. A po drugie: zaufaj swojemu instynktowi.

- Dzięki, dobra kobieto. Może powinnaś zrobić też dyplom z psychoterapii? - roześmiała się Julia i zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Wiesz już, dokąd chcesz pojechać?

- Wyskoczę na parę dni do rodziców. Raz, że przyda mi

się mały urlop, a dwa, że chcę obejrzeć w Waszyngtonie pewien dom do sprzedania.

- W takim razie szczęśliwej podróży. I pamiętaj, żeby informować mnie na bieżąco o postępach w projekcie Murdocha.

Parkując samochód przed swoim domem, Julia wróciła myślami do niedawnej rozmowy z Amelią. Jej kochana kuzynka użyła trafnego sformułowania - „projekt Murdocha”. W końcu Julia była specjalistką od projektów. Zawsze potrafiła idealnie ustalić, czy całe przedsięwzięcie będzie opłacalne, czy też lepiej od razu dać sobie spokój i nie inwestować w nie czasu i pieniędzy. To samo powinna zrobić w sprawach uczuć, czyli spokojnie rozważyć, ile zyska, a ile straci, jeśli pozwoli, żeby Patryk stał się częścią jej życia.

Aby jednak kalkulacja mogła się udać, musiała spojrzeć na całą sprawę, z dystansu. Dlatego pomysł z wyjazdem do Waszyngtonu był naprawdę doskonały. Rodzice na pewno ucieszą się z niespodzianki, jaką będzie jej niezapowiedziana wizyta. Od ponad roku nie była w stanie wygospodarować kilku dni, które mogłaby spędzić tylko z nimi. Co prawda często do siebie dzwonili, ale to było zdecydowanie za mało. Szczególnie, że ostatnio widywali się przy okazji rodzinnych zjazdów, które bardziej przypominały uliczne rozruchy niż uroczyste spotkanie w gronie najbliższych.

Weszła do holu, po czym od razu pobiegła na górę, witając po drodze kręcących się na parterze robotników. Ponieważ nie przystanąła, żeby choć chwilę z nimi pogadać, niektórzy byli zaskoczeni tym nagłym brakiem zainteresowania. Tymczasem ona mocno zatrzasnęła za sobą drzwi i natychmiast rzuciła się do szafy. Właściwie nie była to szafa, tylko olbrzymia garderoba - oddzielny pokój, w którym mieściły się ubrania. Nareszcie miała je wszystkie w jednym miejscu, co znacznie ułatwiało wybór. Kilka koszul, spodnie, parę swetrów i na wszelki wypadek jeden wyjściowy kostium oraz wieczorowa sukienka - to powinno wystarczyć.

Ściągnęła rzeczy z wieszaków i właśnie zamierzała przenieść je na łóżko, gdzie już czekała otwarta walizka, kiedy usłyszała w sypialni czyjeś kroki.

- Jesteś tu? - sam głos Patryka wystarczył, żeby serce podskoczyło jej do gardła.

- Jeszcze jestem, ale tylko chwilę - powiedziała, wychodząc z garderoby.

Zaskoczony, przyjrzał się uważnie najpierw stercie ubrań, którą trzymała w ramionach, a potem walizce.

- Wyjeżdżasz?

- Tak. Ale... zdaje się, że nie słyszałam pukania.

- Widocznie byłaś zbyt pochłonięta wybieraniem sukienek.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się kolorowej górze ciuchów, którą Julia usypała na środku łóżka. Przez niedomknięte drzwi garderoby widział metalowe rurki, uginające się pod ciężarem niezliczonych wieszaków. Nie mógł sobie przypomnieć, żeby w całym swoim życiu znał kobietę, która miałaby taką ilość ubrań.

- Można wiedzieć, dokąd się wybierasz?

- Wyjeżdżam z miasta.

- Na długo?

Wyraz jej twarzy był ostrzeżeniem, że w swej ciekawości posuwa się za daleko.

- Przepraszam, ale chyba nie powinno cię to obchodzić.

- Wręcz przeciwnie.

- Z powodu?

- Remontu, który ciągle trwa. Nie chciałbym, by stało się tak, że gdy wrócisz, zaczniesz narzekać, że zrobiliśmy coś niezgodnie z twoimi wskazówkami. Uprzedzam cię, że nie mam czasu na żadne przeróbki i poprawki. Poza tym nie lubię słuchać twoich jęków.

- Ja nie jęczę! - popatrzyła na niego tak, jakby zobaczyła go pierwszy raz w życiu, po czym odwróciła się do niego plecami i zaczęła grzebać w szufladach z bielizną.

- Gdzie będzie można cię złapać?
- Będę dzwoniła regularnie, więc nie musisz się martwić. Obiecuję, że będziemy w stałym kontakcie.

- Posłuchaj, MacGregor! - podniósł głos, ale zaraz szybko się wycofał.

Trudno, wyjeżdża, to wyjeżdża, pomyślał, zły na siebie. Zupełnie nie potrafił pojąć, dlaczego widok Julii pakującej walizkę wywołał w nim przypływ paniki. Od tygodni przy byle okazji powtarzał ojcu, że najchętniej wysłałby pannę MacGregor na koniec świata, a teraz, kiedy sama miała zamiar zejść mu z drogi, zaczynał dąsać się i złościć jak dziecko.

- Szafki kuchenne będą gotowe w przyszłym tygodniu - stwierdził obojętnie.

- To dobrze. Do tego czasu zdążę wrócić. - Bez najmniejszego skrupowania zaczęła wyciągać koronkowe biustonosze i miniaturowe majteczki, które niedbale upychała w jedwabnej torbie na bieliznę.

- Mimo wszystko wolałbym wiedzieć, gdzie cię szukać.

- No dobrze. Skoro masz z tego powodu nie spać po nocach, to powiem ci, że jadę do rodziców do Waszyngtonu.

- Coś się stało? - zaniepokoił się nagle.

- Nic się nie stało. - Spojrzała na niego zaskoczona, a zarazem ujęta troską, którą wyraźnie widziała w jego oczach. - Rodzice mają się świetnie. Zresztą nawet nie wiedzą, że przyjadę.

- W takim razie dlaczego nie możesz z tym poczekać, aż skończymy robotę w kuchni? Wiesz przecież, że to najważniejsza część całego projektu. Jeszcze raz powtarzam, że jeśli będziesz potem jęczeć, że coś nie tak...

- Posłuchaj, Murdoch - przerwała mu, bo zaczynał ją denrowować. - Zostawiłam ci taśmy, na których są wszystkie wskazówki. Czego ci jeszcze trzeba? Mam cały czas stać za twoimi plecami i patrzeć ci na ręce? Poza tym wiesz dobrze, że większość przeróbek będzie zgodna z twoimi, a nie moimi pomysłami!

- I właśnie to mnie najbardziej niepokoi. Wiem, że nie przepuścisz takiej okazji i będziesz mnie potem krytykować w nieskończoność. A co będzie, jeśli nagle coś ci się odwidzi i zmienisz zdanie?

- Nie zmienię! Przegrałam zakład, więc kuchnię robimy według twojego pomysłu. - Wrzuciła kosmetyczkę do walizki, po czym gwałtownym ruchem zasunęła zamek. - A teraz zejdź mi z drogi, Murdoch. I zapamiętaj sobie, że nikt nie będzie mi mówił, co mam robić. Wychodzę, kiedy chcę, i wracam, kiedy chcę.

Kiedy usłyszał, jak w znajomy, lekceważący sposób pstryknęła palcami, poczuł, że nie zdoła się powstrzymać. Odwrócił się wolno, podszedł do drzwi i zatrasnął je jednym ruchem.

- Hej, co ty wyprawiasz?

- Zamykam drzwi, żeby nam nikt nie przeszkadzał - powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

Wyraźnie widział, że jest wściekła. Twarz miała zaczerwienioną, jej oczy lśniły gorączkowym blaskiem. Musiał przyznać, że z tym wzburzeniem jest jej wyjątkowo do twarzy. Kiedy tak na nią patrzył, jak stoi naprzeciw niego, czujna niczym zwierzę szykujące się do skoku, poczuł, że jego złość mija. Jej miejsce natychmiast zajęło pożądanie, które najpierw sączyło się w jego żyłach cieniutką strużką, by już po chwili doprowadzić krew do wrzenia. Łakomie dotykał wzrokiem jej kształtnego ciała, pięknej linii krągłych bioder, wysokich piersi kusząco opiętych zielonym materiałem żakietu. Przesuwał wzrokiem po rudych lokach, swobodnie spływających wzdłuż ramion.

- Czy ten nagły wyjazd ma coś wspólnego z tym, co przydarzyło się kilka tygodni temu? - zapytał z mimowolnym uśmiechem.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparła lodowatym tonem, ale natychmiast odwróciła wzrok.

- O tej nocy, kiedy niewiele brakowało, żebyśmy zaczęli kochać się na podłodze w kuchni.

- Sam wiesz, że to był przypadek. Albo inne słowo: pomyłka. Zdaje się zresztą, że wspólnie doszliśmy do wniosku, że nie powinniśmy próbować, by to kiedykolwiek się powtórzyło.

- Teraz chciałbym wiedzieć, czy nadal tak uważasz.

- Tak, nadal uważam, że to byłby błąd - powtórzyła z uporem. Nienawidziła się za to, że jej ciało zdawało się mówić coś zupełnie innego. Jej ciało pragnęło Patryka! I to teraz, w trakcie kolejnej kłótni! - Nie zbliżaj się do mnie - ostrzegła, widząc, że zrobił krok w jej kierunku.

- Dlaczego? Czyżby puszczały ci nerwy?

- Nie chcę, żebyś mnie dotykał.

- A kto ci powiedział, że mam taki zamiar? Zadałem tylko pytanie i mam wrażenie, że nie odpowiedziałas szczerze. A musisz wiedzieć, że do tej pory ceniłem twoją uczciwość. Więc pytam jeszcze raz: czy naprawdę uważasz, że to, co zaszło między nami, było błędem? Czy dla ciebie była to zwykła chwila zapomnienia?

- Nie wiem! Przestań mnie dręczyć! - krzyknęła, chwytając walizkę. - Tak w każdym razie powinnam była do tego podejść: to była zwykła chwila zapomnienia. Ale sama nie wiem, co mam o tym myśleć - dodała całkowicie zmienionym głosem. - I wcale przed tobą nie uciekam - mówiła, a jej bezradne spojrzenie wzbudziło w nim nagle czułość. - Wyjeżdżam, bo muszę nabrać dystansu. Chcę zobaczyć rodziców, pogadać z nimi, wszystko spokojnie przemyśleć. Boję się, że jeśli tu zostanę, wcześniej czy później zrobimy coś głupiego. Nie chciałabym, żebyśmy potem musieli tego żałować.

- Rozumiem - westchnął i popatrzył na nią poważnie. - To, co mówisz, ma sens. W takim razie szczerosc za szczerosc. Właściwie cieszę się, że przez kilka dni nie będzie cię tutaj. Nasze codzienne spotkania są dla mnie... trochę trudne.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Dużo trudniejsze niż mogłem się spodziewać.

Ciągle myślę, jakby to było, gdyby zdarzyła nam się jeszcze jedna chwila zapomnienia.

Nigdy nie była tchórzem, więc mężnie podniosła głowę i spojrzała prosto w jego zielone oczy.

- A więc niech będzie. Szczerłość za szczerłość. Ja też myślę o tym, jakby nam było razem. I naprawdę nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi.

- Ani ja, do ciężkiej cholery! - Zrobił następny krok w jej stronę, a ona tym razem nie cofnęła się przed nim. - Nadal nie chcesz, żebym cię dotykał?

- Tu i teraz? W samym środku dnia? Hm... może byłoby ciekawie?

- Zaraz się przekonamy. - Podeszedł jeszcze bliżej, a potem wsunął śmiało dłoń pod miękki materiał żakietu i mocno przyciągnął ją do siebie. - Ale tym razem nie zamykaj oczu, zgoda?

Julia spełniła jego prośbę. Patrzyli sobie w oczy nawet wtedy, gdy już spotkały się ich usta. Widziała, jak zieleń staje się coraz ciemniejsza, bardziej mroczna, aż w końcu wygląda zupełnie jak tafla jeziora w pochmurny dzień. Najpierw powoli, bardzo ostrożnie dotykali swoich ust, poznawali ich kształt i smak. Jednak z każdą sekundą napięcie rosło, ich ciała coraz gwałtowniej szukały bliskości. Pocałunki przestały być delikatne i nieśmiałe, a stały się niecierpliwe i coraz bardziej gwałtowne. Mimo to ciągle jeszcze mieli dość siły, aby przestać jedynie na nich.

- Nie mogę dłużej... - szepnął wreszcie Patryk. - Muszę cię dotknąć.

Jednak już wcześniej jego niecierpliwe dłonie odnalazły pełne, rozkosznie ciepłe piersi. Otoczył je i pieścił, póki nie poczuł pomiędzy palcami napiętych sutków. Nigdy dotąd żadne odczucie nie wydało mu się bardziej podniecające. Przez warstwę rozgrzanego jedwabiu czuł wyraźnie, jak jej piersi odpowiadają na najmniejsze muśnięcie. Julia oddychała coraz szyb-

ciej, coraz mocniej zaciskała palce na jego plecach, odchyliła głowę i mocno przygarnęła go do siebie.

- Masz najwspanialsze, najcudowniejsze dłonie - westchnęła.

W odpowiedzi jęknął tylko głucho, a potem rozpiął czarny biustonosz i pochylił głowę. Zanurzył ją w rozkosznym zagłębieniu między dwiema półkulami i zapomniał, że poza nimi istnieje jakiś świat i że to, do czego nieuchronnie zmierzają, jest być może czystym szaleństwem.

- Tak... - na oślep całował białą szyję - teraz...

- Nie... - wzdychała Julia, niepewna emocji, które przetaczały się przez nią jak sztorm. Rozkosz, pożądanie, panika, strach, podniecenie. - Jeszcze nie...

- Już. Och, już, proszę...

- Przestań. Boże, co my robimy! - Gwałtownie odsunęła się do tyłu i uwolniła z jego ramion. Drżącymi dłońmi próbowała pozapinać bluzkę. - Nie tutaj! Nie w taki sposób.

Patryk poczuł się tak, jakby czyjaś miłosierna dłoń wylała właśnie na jego rozpaloną głowę kubek lodowatej wody. Nie wiele to jednak pomogło. Rozbudzone zmysły nie dawały się łatwo okiełznać. Ręce, które zachowały wspomnienie gorących piersi Julii, drżały mu tak mocno, że z trudem udało mu się wcisnąć je do kieszeni. Czuł, że gdyby tego nie zrobił, rzuciłby się na nią i bez zastanowienia zdarł z niej ubranie.

Nie wiedział, ile trwało, nim zdołał wreszcie wydobyć z siebie głos:

- Chyba nie powiesz mi, że to, co się teraz stało, także było przypadkiem. Zdaje się, że obydwójce sporo z siebie daliśmy, żeby ten przypadek mógł się wydarzyć.

- Wiem tylko, że muszę trzymać się od ciebie jak najdalej. Powinniśmy na jakiś czas zniknąć sobie z oczu, a potem wspólnie zdecydujemy, czy chcemy jeszcze kiedykolwiek się spotkać.

- Moim zdaniem przed chwilą odpowiedzieliśmy sobie na to pytanie.

- W porządku, zgadzam się - chyba pierwszy raz bez oporu przyznała mu rację. - W takim razie trzeba się zastanowić, co zrobimy z tym fantem. Dlatego każde z nas powinno pójść w swoją stronę i przez kilka dni spokojnie wszystko przemyśleć. Ty ustalisz, jak sobie wyobrażasz nasze ewentualne kontakty w przyszłości, ja zrobię to samo. A kiedy wrócę z Waszyngtonu...

- Ustalimy warunki?

- W pewnym sensie.

- Zgoda, MacGregor. - Patryk nie wiedzieć czemu znów poczuł złość. - Ty przygotujesz swoją ofertę, ja swoją. A kiedy wrócisz, umówimy się na spotkanie w celu omówienia szczegółów i będziemy negocjować.

- Nie musisz ironizować.

Popatrzył na nią znacząco. Stała przed nim w krzywo zapiętej bluzce, z włosami w nieładzie, z ustami nabrzmiętymi od pocałunków, i próbowała potraktować całą sprawę jak jeszcze jeden interes, który zamierzała z nim ubić. I jeszcze domagała się, żeby przestał ironizować!

- Przyjemnej podróży, MacGregor. - Skinął jej głową i wyszedł z pokoju.

Kiedy Julia została sama, bezwładnie osunęła się na brzeg łóżka. Siedziała tak w milczeniu minutę, może dwie, potem zaś wstała i poprawiła na sobie ubranie. Wszystko wskazywało na to, że realizacja „projektu Murdocha” uległa gwałtownemu przyspieszeniu.

Rozdział dwudziesty piąty

Julia lubiła spokojną elegancję waszyngtońskiej dzielnicy Georgetown. To tutaj, pośród szeregowych domów z czerwonej cegły, spędziła najmiłsze chwile dzieciństwa. Tutaj przyszła na świat, tu się wychowywała i dorastała. Po raz pierwszy opuściła to miejsce, kiedy jej ojciec wygrał wybory. Przymusowa zmiana adresu trwała aż osiem lat, w czasie których często tęskniła do wysokich sufitów i przestronnych wnętrz dawnego domu rodziców.

Nie znaczyło to, iż czuła się pokrzywdzona, że część dzieciństwa musiała spędzić w Białym Domu. Uprzywilejowana pozycja prezydenckiej córki miała również swoje dobre strony. Na przykład to, że oddano do jej dyspozycji specjalny pokój, w którym mogła razem z kuzynami bawić się w teatr z prawdziwą sceną, kurtyną i rekwizytami. Właściwie musiała przyznać, że jej dzieciństwo było bardzo udane. Rodzice robili wszystko, żeby w rządowej rezydencji przy Pennsylvania Avenue stworzyć dzieciom prawdziwy dom. Jednak zdecydowanie największą zaletą pełnienia przez nich publicznych funkcji były częste podróże. Dzięki nim Julia wcześniej poznała nie tylko najpiękniejsze zakątki świata, lecz także miała okazję spotkać wiele bardzo interesujących osób.

Oczywiście zamieszkiwanie w Białym Domu miało również swoje gorsze strony. Najbardziej dokuczliwy był brak prywatności. Nie było mowy, żeby choć na chwilę wyrwała się spod opieki poważnych panów w ciemnych garniturach. Nie miała co marzyć o wypadzie na zakupy, spotkaniu z kolegami, czy wyprawie na pizzę. Oczywiście rodzice bardzo się

starali, żeby dać jej i bratu trochę swobody, jednak nie zawsze było to możliwe. Julia starała się to zrozumieć i szybko nauczyła się, że służba publiczna wymaga poświęceń. Jednak dzień, w którym mogli wrócić wreszcie do starego domu w Georgetown, był dla niej prawdziwym wybawieniem. Pierwszą rzeczą, jaką wtedy zrobili, była właśnie rodzinna wyprawa na pizzę do pobliskiej restauracji.

Myślała o tym wszystkim, stojąc na podjeździe przed rodzinnym domem, którego nie widziała od tak dawna. Choć przestała już być dzieckiem, wciąż czuła tę samą radość z powrotu do znanych i ukochanych miejsc. Podniosła walizkę i weszła po ceglanych schodach na mały ganek. Brzeg doskonale utrzymanego trawnika obsadzony był kwiatami, które powoli traciły swe intensywne kolory. Słońce świeciło już coraz krócej, przypominając przyrodzie o rychłym nadejściu zimy. Za niewiele ponad miesiąc po kwiatkach nie zostanie nawet wspomnienie, a front domu zajaśnieje blaskiem świątecznych ozdób i lampek. I znowu będzie jak wtedy, gdy była dzieckiem i niecierpliwie wypatrywała na ganku pierwszej gwiazdki na grudniowym niebie.

Niechętnie oderwała się od miłych wspomnień i powróciła do rzeczywistości. Wyciągnęła rękę i głośno zastukała mosiężną kołatką w kształcie herbu MacGregorów. Zawsze kiedy patrzyła na groźne spojrzenie lwa w koronie, instynktownie zaczynała myśleć o dziadku.

Drzwi otworzyła drobna kobieta o dobrotliwym wyrazie twarzy.

- Panienska Julia! Boże, co za niespodzianka! - zawołała i wyciągnęła swe ramiona. Mocno opasała nimi talię Julii i przytuliła ją z całej siły. Po piętnastu latach pracy w domu MacGregorów Elizabeth Boxie, zwana Boxy, traktowała ich jak własną rodzinę. Dlatego nagle odsunęła się do tyłu i grożąc Julii palcem, powiedziała niby groźnym tonem: - A dlaczego to nie powiadomiło się nikogo o swoim przyjeździe, co? Co by było, jakbyśmy gdzieś wyjechali?

- Pewnie jakoś bym sobie poradziła, ale byłoby mi przykro.
- Julia pochyliła się i pocałowała szczupły policzek swojej dawnej opiekunki. - Chciałam wam zrobić niespodziankę. Rodzice są w domu?

- Trudno w to uwierzyć, ale tak. Twój ojciec właśnie wrócił z Camp David. Biedny człowiek, chyba już nigdy nie będzie miał spokoju. Ciągłe proszą go, żeby coś załatwił, doradził, pomógł. I tak bez przerwy!

- Oj, Boxy, przecież wiesz, że tata musi trzymać rękę na pulsie. Bez niego ten świat rozpadłby się na kawałki! - powiedziała rozbawiona i mrugnęła do niej porozumiewawczo.

- Wiem, wiem, ale on już swoje odsłużył. Pora, żeby pomyślał o swoim zdrowiu, odpoczął. A on ciągle żyje na walizkach i nie ma nawet czasu spokojnie pojechać na ryby.

- Przecież ojciec nie łowi ryb!

- I co z tego? Nigdy nie jest za późno, żeby nauczyć się czegoś nowego. Ale wchodź, proszę, nie będziemy stały w progu.

Julia postawiła walizkę na drewnianej podłodze w holu i niecierpliwie rozejrzała się dokoła. Nic się tu nie zmieniło, wszystko wyglądało dokładnie tak, jak zapamiętała.

- Gdzie rodzice? - zapytała od razu.

- Ojciec w gabinecie, a mama w pracowni.

- Pójdę się z nimi przywitać.

Pracownia Shelby znajdowała się w przerobionej letniej kuchni, która była tak duża, że swobodnie mogła pomieścić koło garncarskie i piec do wypalania ceramiki. Stare kuchenne półki ugięły się pod ciężarem najróżniejszych narzędzi, bez których artysta-ceramik nie mógł się obejść. Matka Julii tak bardzo kochała swoją pracę, że nie zrezygnowała z niej nawet wtedy, gdy obowiązki Pierwszej Damy nie pozwalały jej spędzać zbyt wiele czasu nad kołem garncarskim. Potrzeba tworzenia była tak silna, że Shelby nie zrezygnowałaby z niej za nic w świecie. Poza tym uważała, że każdy człowiek ma prawo robić

w życiu to, co sprawia mu przyjemność i realizować się w dziedzinie, którą sobie wybrał.

Julia zastała ją pochłoniętą bez reszty pracą. Matka siedziała na stołku i energicznymi ruchami nogi wprawiała w ruch masywne koło, na którym nabierała kształtu spora waza. Była tak skoncentrowana, że jej szare oczy aż pociemniały. Od czasu do czasu próbowała odgarnąć ramieniem niesforny kosmyk kasztanowych włosów, lecz ten był uparty i nie pomagały nawet pełne pasji dmuchnięcia. Ponieważ pracownię wypełniała muzyka, a dokładnie jakiś ognisty koncert smyczkowy, Shelby nawet nie usłyszała, że ktoś wszedł do pomieszczenia i zatrzymał się przy drzwiach.

Julia długo stała oparta o framugę i w milczeniu przyglądała się, jak spod rąk matki wychodzi zgrabne naczynie. Kiedy zaś wreszcie waza osiągnęła pożądany kształt, a Shelby zatrzymała koło i zaczęła rozcierać zdrętwiałą szyję, jej córka odezwała się głośno:

- Nieźle. Wszystko, co robisz, ma swój styl, a ta waza będzie szczególnie piękna.

- Julka! - Shelby zerwała się gwałtownie i pobiegła do niej z otwartymi ramionami. - Ojej... - zatrzymała się nagle - wybrudzę cię, cała jestem w glinie. Lepiej ty mnie pocałuj. Tylko ostrożnie - dodała, odsuwając na bok oblepione ręce. - Boże, to ci dopiero niespodzianka!

- Mam nadzieję, że miła.

- Najmilsza! Poczekaj, zaraz się umyję. Byłaś już u ojca?

- Jeszcze nie. Boxy mówiła, że rozmawia z kimś przez telefon, więc zdecydowałam, że najpierw przeszkodzę tobie.

- No wiesz! Nigdy mi nie przeszkadzasz! - Shelby szybko splukała z rąk zasychającą glinę. - Teraz mogę cię uściskać. Tak bardzo stęskniłam się za tobą! - Mocno przytuliła córkę i ucałowała w oba policzki. - Zaraz pójdziemy do ojca. Pora, żeby zrobić sobie małą przerwę. Ale mów, córeczko, co słychać w Bostonie. Jak tam banda MacGregorów, a zwłaszcza Laura

i mały Daniel? Co z remontem twojego domu? Przede wszystkim, na jak długo przyjechałaś? Nie jesteś głodna?

- Mamo, po kolei...

- No tak - Shelby roześmiała się, rozbawiona potokiem własnych pytań - masz prawo odpowiedzieć na jedno albo na wszystkie pytania w dowolnej kolejności.

- Zgoda, mamo. Uwaga, zaczynam! - Julia otoczyła matkę ramieniem i razem poszły w stronę tylnych schodów. - Otóż banda MacGregorów ma się doskonale. Laura z Danielem na rękę wygląda jak Madonna, a Amelia jest promienna i łagodna niczym anioł. Głodna nie jestem, bo w samolocie dali nam jakiś niby obiad. Zostanę z wami kilka dni, a potem muszę wracać. Co do remontu, to... - zawahała się - wszystko przebiega zgodnie z planem.

Shelby natychmiast wyczuła tę nutę niepewności czy wahania, która tak bardzo nie pasowała do Julii, znanej ze swego perfekcjonizmu i pewności siebie. Jej córka mogła mówić o swojej pracy godzinami, a tymczasem teraz, kiedy szło o jej własny dom, była dziwnie powściągliwa. I jeszcze te cienie pod jej oczami, nienaturalna bladość twarzy. Tak, tak, Julia wyglądała na zmęczoną albo przygnębiałą.

Postanowiła wypytać ją później o przyczynę zmartwień. Póki co znalazły się pod drzwiami gabinetu Alana. Shelby zapukała i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. Jej mąż siedział za olbrzymim biurkiem, odwrócony profilem do drzwi. Promienie bladego słońca tańczyły w jego gęstych, siwych włosach. Ramieniem podtrzymywał słuchawkę, próbując jednocześnie zapisać coś w oprawionym w skórę, gigantycznym notesie.

Julia, która wsunęła się do pokoju tuż za matką, po raz tysięczny pomyślała, że ojciec jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Zwłaszcza teraz, kiedy rozpromienił się na jej widok, wyglądał naprawdę ujmująco. Wciąż ze słuchawką przy uchu, wstał zza biurka i rozpostarł ramiona na powitanie.

- Zastanowię się nad tym. Tak, obiecuję, że poważnie rozważę tę propozycję - mówił do słuchawki, tuląc jednocześnie córkę do piersi. - Tak, panie senatorze, na pewno. A teraz wybacz pan, ale musimy przerwać rozmowę, bo mam tu coś bardzo ważnego i niespodziewanego. Zadzwoń do pana później, do usłyszenia. - Odłożył słuchawkę i odsunął od siebie Julię na wyciągnięcie ramion. - Tak, tak... coś bardzo, bardzo ważnego! - powtórzył i jeszcze raz mocno ją przytulił.

Późnym popołudniem wszyscy razem spotkali się w salonie. Julia wyciągnęła się wygodnie na rozłożystej sofie naprzeciwko kominka. Sączyła chłodne białe wino i rozmyślała o tym, że wystarczyło zaledwie kilka godzin w rodzinnym domu, żeby poczuła się znów cudownie odprężona i zrelaksowana. Cieszyła się, że zaufała instynktowi, który kazał jej jechać do Waszyngtonu. Ojciec, który usiadł w fotelu obok, co jakiś czas głąskał ją po głowie, zupełnie jakby ciągle była małą dziewczynką.

- Czuję się wspaniale - westchnęła, przytulając policzek do ojcowskiej dłoni. - Słuchajcie, naprawdę nie ma powodu, żebyście odwoływali wieczorne spotkanie.

- To naprawdę nic ważnego. Ot, zwykła kolacja w gronie wyjątkowych nudziarzy - uśmiechnęła się Shelby. - Nie wiesz nawet, jaka jestem zadowolona, że możemy zostać z tobą zamiast tam iść. - Spojrzała na męża w wymowny sposób, jakby wysyłała mu sygnał, który on natychmiast odebrał.

- No właśnie - odezwał się Alan - smutno nam trochę bez ciebie, odkąd się przeprowadziłaś, więc kiedy tylko przyjeżdżasz, jesteś dla nas najważniejsza. A ty? Przyzwyczyłaś się już do życia bez kuzynek? Nie smutno ci mieszkać samej?

- Smutno, ale co mam zrobić? Całe szczęście widzujemy się często, tylko że...

- To już nie to samo - dokończył za nią ojciec.

- Właśnie, nie to samo, choć muszę wam powiedzieć, że

właściwie tak jest nawet lepiej. Kiedy patrzę, jakie są szczęśliwe, czuję, że chce mi się żyć. Ich szczęście mnie nakręca.

- A ty? Czy ty czujesz się szczęśliwa?

- Tak - uśmiechnęła się, patrząc mu prosto w oczy. - Myślę, że jestem szczęśliwa. A na pewno bardzo zadowolona ze swojego życia. Okropnie lubię to, co robię. Na przykład teraz. Nawet nie wiecie, jaką mam frajdę, kiedy patrzę, jak zmienia się mój przyszły dom.

Shelby jeszcze raz spojrzała na męża znacząco. Jej uśmiech dawał mu do zrozumienia, że powinien być teraz bardzo uważny, gdyż jednym nieopatrzonym pytaniem może zniechęcić Julię do dalszych zwierzeń.

- Wprost nie mogę się doczekać, żeby go zobaczyć - powiedziała do córki. - Wiadomo, kiedy będzie gotowy?

- Moja sypialnia już jest skończona, a właśnie ona była dla mnie najważniejsza. Oczywiście, ciągle muszę wojować z Murdochem o każdy szczegół, ale całe szczęście to ja wypisuję czeki.

- Jasne - przytaknęła Shelby, która natychmiast zwróciła uwagę, że Julia mówiąc o Murdochu, nie użyła słowa „pan”. W takim razie musi chodzić o jego syna, pomyślała.

- Masz jakieś problemy z wykonawcą? - zainteresował się natychmiast Alan.

- Nie. Po prostu tym razem muszę pracować z Patrykiem Murdochem, bo pan Michael jest chory.

- Coś poważnego?

- Nie wiem. Na początku wyglądało niewinnie, jak zwykle przeziębienie. Ale ciągnie się to za nim od połowy sierpnia, a on wciąż nie może wrócić do pracy.

- Czyli nie jesteś zadowolona z tego, jak pracuje ten młody... jakże on tam się nazywa?

- Patryk - odparła szybko Julia. - Nie, tato, nie w tym rzecz. Patryk jest doskonałym fachowcem i radzi sobie z pracami rewelacyjnie. Problem w tym, że mamy ostry konflikt

osobowości i ciągle drzemy ze sobą koty. A to bardzo utrudnia efektywną pracę.

- Dlaczego więc nie zrezygnujesz z Murdochów? Albo nie poprosisz, żeby tego Patryka zastąpił ktoś inny?

- Jest już za późno. Prace są zbyt zaawansowane. Niezłazczęście polega na tym, że oboje mamy silne charaktery. Patryk chce robić różne rzeczy po swojemu, ja po swojemu. To wszystko.

Julia wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok. Jednak zaraz potem znów spojrzała na ojca, potem na matkę. Zrobiła minę osoby, która przygotowuje się do skoku na głęboką wodę, dopiła wino i zaczerpnęła głębiej powietrza.

- A właściwie nie wszystko - dodała. - Myślę o tym, żeby związać się z tym Patrykiem.

- Naprawdę? - Shelby poczuła nagle ostre ukłucie w okolicy serca, więc instynktownie położyła w tym miejscu dłoń. - Przecież dopiero co mówiłaś, że ciągle się z nim kłócisz i kompletnie się nie zgadzacie.

- W niektórych sprawach. Za to w innych jesteśmy jednomyślni.

- Kochanie... - Shelby popatrzyła na córkę domyślnie, a w jej głosie pojawił się ton łagodnej perswazji. - Jesteś dorosłą kobietą, więc nie muszę ci powtarzać, że fizyczna fascynacja to za mało, żeby zbudować trwały związek.

- A kto mówi o trwałym związku? - spytała retorycznie Julia.

Całe szczęście nie zdążyła rozwinąć tej kwestii, gdyż ubiegł ją ojciec, który popatrzył na żonę z wiele znaczącym uśmiechem i powiedział:

- Wiesz, córko, mam wrażenie, że twoja mama powinna pamiętać historię pewnej młodej damy, która bardzo długo upierała się kiedyś, że ona i pewien młody człowiek absolutnie się nie rozumieją. Oczywiście, tylko w pewnych sprawach, bo w innych byli nadzwyczaj jednomyślni. I wiesz, co się dalej stało?

- Nie.

- To proste. Uwiodłem ją! - roześmiał się, patrząc czule na żonę. - Uwiodłem twoją kochaną mamusię.

- Alan, daj spokój - Shelby postanowiła przywołać męża do porządku. - Ty sobie robisz żarty, a nasza mała dziewczynka ma kłopot. Chyba nie chcesz, żeby została uwiedziona przez Patryka Murdocha?

- Twoja matka jest bardziej „macgregoriańska” niż sami MacGregorowie - szepnął konspiracyjnym szeptem i rozbawiony patrzył, jak w szarych oczach Shelby zapłonął gniew. - Zaś co do uwodzenia, to wszystko zależy od tego, jaki ten Patryk Murdoch jest. I oczywiście od tego, co o nim myśli Julia MacGregor. - Kolejny raz dotknął policzka córki. - Moja kochana, jesteś mądrą, samodzielną kobietą. Sama wiesz, co jest dla ciebie najlepsze.

- To prawda - skinęła głową. - Między innymi dlatego postanowiłam do was przyjechać. Wydawało mi się, że najlepiej zrobię, jeśli spojrzę na całą tę historię z pewnego dystansu. Chciałam też powiedzieć wam o wszystkim i poprosić o radę. A ty, mamo - położyła dłoń na kolanie Shelby - nie martw się o mnie. Nie ma mowy o żadnym uwiedzeniu. Jeśli zdecyduję się związać z Patrykiem, to zrobię to świadomie, z otwartymi oczami.

Na tym rozmowa w salonie się zakończyła. Julia poszła do swojego pokoju, by rozpakować walizkę, a jej rodzice zostali sami.

Shelby natychmiast się przesiadła, by być bliżej męża.

- Posłuchaj, Alan - zaczęła cicho. - Obawiam się, że to poważna sprawa.

- Mhm... - mruknął z roztargnieniem i sięgnął po butelkę wina, którym uzupełnił kieliszek żony.

- Tylko nie traktuj mnie jak nudnego dyplomate, którego zbywa się takim „mhm”. Chyba nie sądzisz, że jestem naiwna i wydaje mi się, że nasza córka nie miała do tej pory do czy-

nienia z mężczyznami. Mimo to żaden z nich nie spędzał jej snu z powiek. Żaden też nie był na tyle ważny, żeby przyjeżdżała do nas o nim rozmawiać.

- Widzę, że największe twoje zmartwienie polega na tym, że nie wiesz, czy nasza córka kocha, czy tylko pożąda.

- Zdaje się, że w grę wchodzi jedno i drugie - odpowiedziała Shelby z głębokim westchnieniem. - Cóż, byłabym znacznie spokojniejsza, gdybym poznała tego Patryka - dodała, patrząc ufnie na męża.

- Nie martw się - odparł ze stoickim spokojem. - Mój ojciec zna się z Murdochami od lat. Wyobrażam sobie, jaki byłby szczęśliwy, gdyby Julia związała się z synem jego starego przyjaciela.

- Nie! - Shelby odsunęła się od niego gwałtownie i wstała z miejsca. - Nie przypuszczasz chyba, że Daniel...

- Nie przypuszczam - przerwał jej Alan, po czym wstał, żeby wziąć żonę w ramiona. - Ja to wiem na pewno.

Rozdział dwudziesty szósty

W zadymionym wnętrzu małej knajpki panował gęsty mrok. Przez gwar rozmów z trudem przebijały się dźwięki smętnej melodii. Ze starej, zdezelowanej szafy grającej płynęła piosenka o miłości, w której coś się popsuło.

Ech, nic na tym świecie nie jest wieczne, myślał melancholijnie Patryk, podnosząc do ust butelkę piwa. I całe szczęście, inaczej nie miałbym co robić, zreflektował się trzeźwo po chwili. Wszystko się kiedyś psuje albo zużywa, tylko powody bywają różne. Raz jest to słaby materiał, kiedy indziej upływ czasu, innym razem po prostu nuda, która każe szukać nowości. Tak jest z domami, ale z ludźmi podobnie. Bo ludzie i domy mają wiele wspólnego. Są na przykład takie domy, które nim pokażą swe prawdziwe piękno, wymagają wiele pracy i zachodu.

- Całkiem jak Julia MacGregor - mruknął pod nosem sam do siebie.

Właściwie cieszył się, że na kilka dni zniknęła mu z oczu. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebował teraz spokoju i samotności. Miał nadzieję, że dzięki temu odzyska równowagę, z której wytrąciła go cała ta przygoda.

Musiał przyznać, że kontakty z tą kobietą kosztowały go bardzo wiele, znacznie więcej niż był gotów zapłacić. Nie tylko bowiem w interesach, lecz także w życiu zawsze bardzo starannie wszystko planował, zanim zdecydował się zaangażować. I nigdy nie wchodził w układy, co do których nie miał stu-procentowej pewności, że przyniosą korzyść.

Tymczasem z Julią było tak, że ciągle miał wrażenie, iż

on daje z siebie dużo, a w zamian nie dostaje nic. Najbardziej bolał go sposób, w jaki ona traktowała ich ewentualny związek. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety, która przed pójściem do łóżka chciałyby dokładnie omawiać warunki, na jakich miałyby się w nim znaleźć.

- Do diabła z tym! - mruknął do butelki i rozzłoszczony odstawił ją z hukiem na blat baru. Zawsze myślał, że skoro kobieta i mężczyzna są wolni, zdrowi i zainteresowani sobą nawzajem, to nie ma o czym dyskutować.

Kiedy się nad tym wszystkim zastanawiał, ogarniała go taka złość na Julię, że postanowił wreszcie powiedzieć jej, jak tylko wróci, żeby poszukała sobie kogoś innego do robienia takich „interesów”. Gdy jednak uświadomił sobie, że kobieta z jej wyglądem i temperamentem nie będzie miała najmniejszego problemu ze znalezieniem tabunu chętnych „biznespartnerów”, poczuł ukłucie zazdrości.

E, przesada, próbował je lekceważyć. Co to właściwie znaczy „kobieta z takim wyglądem”? W końcu Julia nie jest piękną, co można łatwo zauważyć, analizując poszczególne elementy jej urody.

A jednak wszystkie elementy razem wzięte tworzyły tak pociągającą i seksowną całość, że żaden zdrowy facet nie mógł przejść obok takiej „sztuki” obojętnie, z czego ona oczywiście doskonale zdawała sobie sprawę. Wykorzystywała to bez najmniejszych skrupułów. Faceci łapali się na jej wdzięki jak muchy na lep, a ona wodziła ich potem za nos i robiła z nimi, co chciała.

Poczuł na plecach przyjazne klepnięcie i odwrócił się niechętnie w stronę zadymionej sali. To jeden z jego robotników postanowił z nim trochę pogadać. Patryk wiedział, że od dwóch dni ludzie przyglądają mu się uważnie i widzą, że coś go gryzie. Dlatego kiedy zaproponowali, żeby po pracy poszedł z nimi na piwo, przyjął zaproszenie. Wprawdzie nie miał najmniejszej ochoty na pogawędkę w męskim gronie, ale do domu też

nie chciało mu się wracać, więc przyszedł z nimi do tej knajpy i teraz siedział samotnie przy barze, a oni opowiadali sobie kawały przy stoliku.

- Jak tam, szefie? - zagadnął go młody stolarz.

- Ujdzie.

- Podobno MacGregorówna wraca w przyszłym tygodniu?

- Podobno.

- Najwyższa pora, bo chłopaki zaczynają się nudzić. Zawsze jak Ruda Julka kręciła się po domu, było na czym oko zawiesić, co nie?

- No.

- Jak, kurde, szła w tej krótkiej kiecce, to aż ciarki chodziły po plecach, taka maszyna! A zawieszenie ma, kurde, takie, że szkoda gadać! - Chłopak upił łyk piwa i nachylił się nad Patrykiem. - Smaczna sztuka, łyknęłoby się ją jak nic, no nie, szefie?

Tego było za wiele. Patryk poczuł, że ogarnia go wściekłość. Wyobraził sobie, jak zrywa się ze stołka, chwytą swoją butelkę i rozwala ją na głowie Bogu ducha winnego chłopaka. Mocno zacisnął pięści, odetchnął głęboko i powoli zaczął wracać do równowagi.

- Posłuchaj, Jamison - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Radziłbym ci, żebyś pilnował swojej roboty, a nie gapił się na nogi klientek. A jak się nie podoba, to...

- O rany, co jest, szefie? Pogadać sobie nie wolno? - zdziwił się Jamison, ale wyraz oczu Patryka natychmiast usadził go na miejscu. - W porządku, szefie. Szef zapomni, tak tylko mówiłem.

Patryk wstał i bez słowa rzucił na bar kilka banknotów. Nie pożegnał się z nikim, nie odpowiedział na pozdrowienia. Utorował sobie szybko drogę do wyjścia i po chwili znalazł się za drzwiami.

Gdyby Patryk słyszał, co robotnicy wygadują po wyjściu za jego plecami, pewnie szybko rozprawiłby się z plotkarczami.

Niestety, tak się nie stało, a plotki, które zrodziły się tamtego wieczora, szybko zaczęły żyć własnym życiem i wkrótce powtarzali je wszyscy współpracownicy firmy Murdochów. Już następnego dnia koło południa nie było osoby w jakiś sposób związanej z firmą, która nie mówiłaby o tym, co też mogło się wydarzyć pomiędzy młodym szefem a „rudą MacGregorówną”. Po południu zaczęto nawet przyjmować zakłady, czy syn Michaela zostanie zięciem byłego prezydenta.

Patryk wszedł do domu Julii w momencie, kiedy kolejny banknot dwudziestodolarowy wędrował z ręki do ręki.

- Dzięki za pożyczkę, Mike. Oddam po wypłacie - robotnik uśmiechnął się znacząco do kolegi. - Szanowanie, szefie! Właśnie zabieramy się za jadalnię.

- To do roboty! - mruknął pod nosem i poszedł zobaczyć, co już zdążyli zrobić.

Jadalnia miała być najbardziej klasycznym pomieszczeniem w całym domu. Pokój był dość przestronny, miał wąskie, wysokie okna, ostro zakończone u góry. Na ścianach zachowała się piękna boazeria, sufit pokryty był misterną sztukaterią. Patryk miał nadzieję, że Julia nie zeszpeci tego dostojnego wnętrza. On sam uważał, że najlepsze byłyby ciężkie, antyczne kredensy, stare krzesła z rzeźbionymi oparciami i ogromny, zabytkowy stół.

Akurat! Pewnie zachowa się jak typowa damulka i każe wymalować na suficie jakieś bratki i temu podobne bzdury, złościł się w drodze do kuchni. Tam prace były najbardziej zaawansowane. Ściany pomalowano już na wybrany przez Julię ciepły, jasnobrazowy kolor, który idealnie pasował do starego drewna podłogi oraz stonowanego odcienia glazury, która miała pokrywać blaty szafek.

W miejscu starej werandy wciąż trwały prace. Co prawda wyburzono już ścianę i zamontowano nowe okna, jednak wciąż nie było widać końca. Mimo to Patryk był zadowolony. Widział, jak jego projekt zaczyna nabierać realnych kształtów

i miał już pewność, że efekt będzie dokładnie taki, jak sobie wyobrażał. Pomyślał, że kolejny raz nie zawiodła go intuicja i jak zawsze w takich chwilach poczuł przyjemność płynącą ze znajomości rzeczy.

Tym razem jednak przyjemność była znacznie większa i pełniejsza. Próbował wmawiać sobie, że wynika to z ogólnej urody i unikalnej architektury domu, który dzięki niemu zyskał dodatkowy piękny element. I za żadne skarby nie przyznałby się, że jego radość wiąże się w jakikolwiek sposób z osobą właścicielki, która będzie korzystać z pomieszczenia urządzonego według jego projektu.

Kiedy stał w progu i przyglądał się pracującym robotnikom, rozbudzona wyobraźnia spletała mu figła, podsuwając kilka scen. Otóż wyobraził sobie, że on też mieszka w tym domu. Widział, jak rano wchodzi do kuchni i wygląda przez okno, na którym stoją doniczki pełne świeżych ziół. Ponieważ okno było południowe, roślinom było tu bardzo dobrze - rosły bujnie i napełniały pomieszczenie przyjemnym aromatem. Świeże zioła były dla niego bardzo ważne, gdyż jako zapalony kucharz lubił znać pochodzenie produktów, które wkładał do garnka. Podlałby więc swoje zioła, a potem zrobiłby sobie kawę i wypił ją, stojąc przy barku. Ziarna byłyby świeżo zmielone i w całej kuchni pachniałoby kawą, ziołami oraz kwiatami wazonie, ustawionym na dębowym stole.

Spokojnie sączyłby pierwszą filiżankę, a potem nalałby drugą i przeniósł się pod okno, gdzie ustawiony byłby metalowy stół, przy którym cała rodzina jadłaby codzienne posiłki.

I wtedy do kuchni weszłaby Julia. Stanęłaby w plamie słońca tańczącej na podłodze, przeciągnęłaby się leniwie. Uśmiechnęłaby się na dzień dobry, a potem podeszła do niego i oparła podbródek na jego ramieniu. A jeszcze później ukradłaby mu kawę i uciekła z nią w drugi koniec kuchni.

Był tak zatopiony w marzeniach, że kiedy Julia z krwi i kości stanęła dokładnie w tym miejscu, nie bardzo wiedział, o co

chodzi. Wyglądała, jakby była trochę zaspana i nieprzytomna, ale było to skutkiem podróży samolotem, a nie porannego rozleniwienia. Kiedy zaś uśmiechnęła się do niego, najpierw wbił w nią zdumiony wzrok, a potem wybełkotał bez ładu i składu:

- Co? Gdzie?

- Kto? Dlaczego? - dokończyła, naśladując jego głos, a widząc wciąż niezbyt inteligentną minę, roześmiała się głośno. - Halo, panie Murdoch! Koniec wycieczki! Wracamy na ziemię!

Pomachała ręką tuż przed jego nosem, a potem wsunęła dłonie w kieszenie kaszmirowego swetra i zaciekawiona rozejrzała się dokoła.

- Hejku! Jak dużo zrobiliście! Zdaje się, że muszę częściej wyjeżdżać, bo moja nieobecność najwyraźniej was mobilizuje. Wszystko wygląda wspaniale. Od razu wiedziałam, że farba będzie idealnie pasowała. Masz u mnie sto punktów za tę kuchnię. I za drzwi do ogrodu. Są perfekcyjne!

Pierwszy raz w historii ich znajomości cieszył się, że Julia jest taką gadułą. Dzięki temu, że gadała jak najęta, mógł spokojnie zebrać myśli. Potrwało to znacznie dłużej niż minutę, nim dotarło do niego wszystko, co zdążyła powiedzieć. Chwaliła go, a on stał bez słowa, całkowicie pochłonięty swoją zdumiewającą reakcją na jej niespodziewane pojawienie się w domu. Nie dalej jak kilka dni temu zdecydował, że nie chce mieć z nią nic wspólnego. Dlaczego więc teraz miał ochotę porwać ją w ramiona i przytulić tak mocno, że aż zachrząściłyby kości, a potem zacałować na śmierć?

Wbrew pozorom, Julia także była oszołomiona i zaniepokojona. Przez całą drogę powrotną starannie przygotowywała się do tego spotkania, a teraz, gdy tylko go ujrzała - a raczej gdy ujrzała, jakim wzrokiem Patryk się w nią wpatruje - kompletnie straciła głowę. Czuła, że zaczyna się czerwienić, krew tętniła jej w skroniach, a ręce drżały jak nigdy dotąd. W domu rodziców obmyśliła wszystkie szczegóły ich ewentualnego

układu i opracowała każdy wariant przyszłego związku. Wydawało jej się, że potrafi opowiedzieć mu o tym jasno i klarownie, a tymczasem w głowie miała pustkę, która uniemożliwiała sklecenie choćby najprostszego zdania.

- Ja... chciałabym... rozpakować walizkę. - Uśmiechnęła się niezbyt inteligentnie. - A potem pójdę pokręcić się po domu i dokładnie obejrzę, co zrobiliście - dodała szybko, by nie domyślił się jej zmieszania. - A kiedy... kiedy przywiozą szafki?

- Pojutrze.

- Świetnie! Nie mogę się doczekać. Dobra - machnęła do niego ręką - pa, pa! Idę na górę.

Obróciła się na pięcie i miała zamiar umknąć w stronę schodów, lecz Patryk był szybszy. Złapał ją za ramię i zatrzymał w miejscu.

- Spokojnie. Pomogę ci wnieść bagaże. A przy okazji możemy trochę porozmawiać, bo zdaje się, że mamy o czym.

Tak, chciała z nim porozmawiać, ale na pewno nie teraz. Na miły Bóg, nie teraz!

- Nie chciałabym odrywać cię od pracy - znów się uśmiechnęła. - Poza tym mam parę pilnych telefonów.

- Nie zajmę ci dużo czasu - jego głos był opanowany i spokojny. Jednak kiedy zobaczył u podnóża schodów stertę toreb i torbek, zdumiony przyjrzał jej się podejrzliwie. - Wydawało mi się, że nie było cię tylko kilka dni. Skąd wziął się cały ten kram?

- Zrobiłam w Waszyngtonie większe zakupy.

- Naprawdę?

- Czemu jesteś taki zgorzony? Większość z tych rzeczy to świąteczne prezenty dla całej rodziny. Nie wiesz, ilu jest MacGregorów? A ostatnio przybył jeszcze jeden.

- Aha. - Schylił się po największe walizki i aż ugiął się pod ich ciężarem. Mimo to mężnie wtaszczył je na górę. - Gdzie mam je postawić, Święty Mikołaju?

- Gdziekolwiek. Najlepiej w mojej sypialni. Jak się czuje twój ojciec?

- Dużo lepiej - wysapał i przypadkowo spojrzął w dół. Zdumiony zobaczył, że wszyscy jego ludzie zebrali się w holu i poszturchując się, obserwują, jak idzie z Julią na górę. - Co jest, panowie? - zawołał do nich. - Nie macie co robić?

Poskutkowało o tyle, że zaczęli się rozchodzić, ale i tak cały czas szepotali coś do siebie i chichotali pod nosem.

- Co za banda kretynów - warknął zły. - Człowiek nie może spuścić ich z oka, bo zaraz jakieś głupoty przychodzą im do głowy.

Kiedy znaleźli się w sypialni, Julia poprosiła, żeby położył bagaże na łóżku. Pomyślała, że tak będzie lepiej dla nich obojga - zagracone łóżko nie powinno ich tak łatwo skusić.

- Naprawdę, bardzo chciałabym zobaczyć... - zaczęła, lecz nie zdołała dokończyć, bowiem gwałtowny, namiętny pocałunek na długo zamknął jej usta. - Najpierw mieliśmy porozmawiać - wyszeptała, kiedy wreszcie zabrakło im powietrza i Patryk wypuścił ją ze swoich stęsknionych ramion.

- Cicho bądź - rozkazał i jeszcze mocniej przytulił ją do siebie.

- W porządku. Przecież nic nie mówię. - Objęła go i przywarła do niego całym ciałem. Nagle poczuła, że coś twardego boleśnie uciska jej udo. - Co tam masz, do cholery? - zwołała, odskakując jak oparzona.

- Pas na narzędzia. Przepraszam...

- Mówiłam, że to nie jest czas i pora na takie zabawy - stwierdziła i zaczęła rozcierać bolące miejsce. - Poza tym trochę się pospieszyliśmy. Jak zwykle zresztą. Nie wiem jak ty, ale ja sporo o nas myślałam. Dlatego uważam, że najpierw musimy wszystko przedyskutować.

- Posłuchaj, Julka. - Przytrzymał ją za ramiona i popatrzył prosto w jej oczy. - Chcę ciebie, chcę się z tobą kochać. To jest mój cały wkład do tej dyskusji.

Roześmiała się z lekkim przymusem i na wszelki wypadek przeszła na drugą stronę łóżka.

- Obawiam się, że ja mam znacznie więcej do powiedzenia.
- To ci dopiero niespodzianka! Mam taką propozycję: kończymy pracę o wpół do piątej. O szóstej będę tu z powrotem. Przyniosę jakąś kolację.

- Dobrze. Kolacja to niezły pomysł. Ale może lepiej byłoby gdzieś pójść?

Jego chłodne, zielone spojrzenie paliło ją żywym ogniem.

- Może innym razem - powiedział z naciskiem. - Jakoś nie mam dziś ochoty na studiowanie karty, pogawędki z kelnerem i zabawianie cię rozmową.

- W porządku. Zjemy tutaj. I będziemy rozmawiać - dodała stanowczo.

- Założymy się?

- Daj spokój. Mówię poważnie, Murdoch.

- Ja też, MacGregor. W takim razie do szóstej - powiedział z ręką na kłamece.

- Wpół do siódmej. I nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów!

- Dobrze. A teraz chodź. O co chodzi? - zapytał, gdy cofnęła się instynktownie. - Nie idziesz ze mną?

- Ale... dokąd?

- Jak to dokąd? Zobaczyć, co zrobiliśmy. Zdaje się, że chciałaś zrobić przegląd domu. Chyba że to już nieaktualne.

- Nie, skąd! - Julia rozpaczliwie próbowała wejść w dawną rolę, złorzecząc w duchu, że jemu przyszło to znacznie łatwiej. - Proponuję, żebyśmy zaczęli od pokoju gościnnego, a potem pokażesz mi resztę. Oczywiście, jeśli masz czas.

- Jestem do pani dyspozycji, klientko. Przynajmniej do wpół do piątej.

Za piętnaście piąta spod domu odjechał ostatni samochód z napisem „Murdoch i Syn”. Julia natychmiast obliczyła, że zostały jej niecałe dwie godziny. Tym razem postanowiła przygotować się wyjątkowo starannie, jak do bardzo ważnej pre-

zentacji. Wiedziała już, co ma robić, żeby nie dać się zbić z tropu - żadnych pocałunków, żadnego dotykania, dopóki nie powie mu, do czego doszła. A jak już wszystko przedyskutują, ustalą warunki, obgadają szczegóły, to ewentualnie...

Najpierw jednak będą zachowywać się racjonalnie. Muszą w końcu ustalić, co zrobią, kiedy ich romans się skończy. Chodzi o to, żeby każde mogło pójść dalej swoją drogą bez poczucia goryczy i zawiedzionych nadziei. Ona ze swej strony była pewna, że szybkie rozstanie jest w ich przypadku nieuniknione. Byli zbyt podobni do siebie, żeby ewentualny związek miał szansę przetrwać. Poza tym to, co teraz czuli, było najczystszyim požądaniem, a taki płomień pali się gwałtownie i szybko gaśnie. Nie chciała zostać zraniona, a i sama nie chciała ranić. Dlatego podstawową regułą ich związku powinien być brak jakichkolwiek zobowiązań. Będą cieszyli się sobą tak długo, jak się da, a potem rozejdą się kulturalnie i po przyjacielsku.

Ta ostatnia myśl wprawiła Julię w dziwne przygnębienie. Być może stało się tak z powodu jej kuzynek, które zakochały się tak beznadziejnie, że nawet nie próbowały niczego planować. Bezkrytycznie i ślepo poddały się uczuciu i najwyraźniej były z tym szczęśliwe. Niestety, w jej przypadku nie było mowy o miłości. To, co działo się pomiędzy nią a Patrykiem, było czystą chemią dwóch ciał, które nie spoczną, dopóki nie spotkają się w miłosnej podróży.

Jednak naprawdę nie było powodów, żeby nie poromansować sobie z panem Murdochem. Trochę się z nim podroczyć, doprowadzić go do szaleństwa, rozkochać w sobie.

A potem?

Cóż, pożyjemy, zobaczymy.

Rozdział dwudziesty siódmy

Już ja się postaram, żebyś zmiękła jak wosk, obiecywał sobie Patryk, gdy punktualnie o wpół do siódmej stanął przed drzwiami domu Julii. Najpierw miał zamiar otworzyć sobie własnym kluczem, bo wiedział, że to na pewno rozżołości Julię, ale ostatecznie wycofał się z tego pomysłu. Nie było sensu dolewać oliwy do ognia.

Zanim zapukał, wziął kilka głębokich wdechów. Nie chciał, żeby zorientowała się, że jest spięty i podenerwowany. Na wszelki wypadek ubrał się w wyjątkowo niewyszukany strój. Chciał, żeby najprostsze džinsy i granatowy sweter były dla niej sygnałem, że ten wieczór nie jest dla niego żadną specjalną okazją. Musiał więc bardzo uważać i cały czas kontrolować swoje zachowanie, wiedział bowiem, że jeśli ona zauważy najmniejszą oznakę słabości, natychmiast obróci ją na swoją korzyść. Cenił ją za tę umiejętność, ale dziś nie mógł dać jej żadnych szans na grę według jej reguł.

Długo nie otwierała. Przełożył torbę z kolacją do drugiej ręki i zamierzał właśnie sięgnąć po klucz, kiedy wreszcie stanęła w progu. Sądząc po wyglądzie, ona również nie traktowała tego spotkania w sposób szczególny. Tym bardziej więc nie było powodu, żeby tak bardzo skoczył mu puls. Widocznie jednak organizm rządził się własnymi prawami i nie zamierzał słuchać zdrowego rozsądku.

Widok Julii sprawił mu ogromną przyjemność - zmysłowy czarny kombinezon, od którego ostro odcinała się czerwień rozpuszczonych włosów, srebrny pas z dużych kół, który luźno zwiślała na biodrach, nagie stopy. Hm, to ostatnie mocno poruszyło

jego wyobraźnię. Pomyślał, że w tym stroju wygląda jak ktoś z artystycznej cyganerii, komu jednak nie brak pieniędzy na spełnianie najdzikszych zachcianek. Kiedy po chwili ponownie spojrział na jej twarz, z przyjemnością dostrzegł, że Julia nie ma makijażu. Jej usta były dzięki temu szczególnie świeże i kuszące.

- Witaj, Murdoch - powitała go z uśmiechem, który, założyłby się, ćwiczyła wcześniej przed lustrem. - Jesteś punktualny. Brawo, lubię takich mężczyzn.

- A ty już jesteś gotowa. Brawo, MacGregor, lubię takie kobiety.

- Ale z nas szczęściarze, że na siebie trafiliśmy. Zapraszam. - Zamknęła za nim drzwi, po czym bezszelestnie nabrała głęboko powietrza. - Co nam przyniosłeś na kolację?

- Coś chrupiącego. A do tego butelkę białego bordeaux - odparł i zrobiło mu się bardzo przyjemnie, kiedy zobaczył jej pełen aprobaty uśmiech.

- I kto by pomyślał, że jeśli chodzi o jedzenie, mamy podobny smak - powiedziała. - Proponuję, żeby zamiast do brudnej kuchni, pójść z tym na górę. Możemy zjeść u mnie, bo zdaje się, że w całym domu tylko ten pokój nadaje się do przyjmowania gości.

- Bardzo dobry pomysł - jego słowa zabrzmiały jakoś dwuznacznie, więc rzuciła mu szybkie, zaniepokojone spojrzenie.

- Idź z tym na górę, a ja poszukam kieliszków do wina.

- Mam tu wszystko, czego będzie nam trzeba. - Potrząsnął delikatnie sporą torbą. - Jednorazowe talerze i sztucce. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. A nawet jeśli, to przypominam, że na razie i tak nie masz gdzie pozmywać naczyń.

- Co za pomysłowość - ironia w jej głosie nie zrobiła mu tym razem przykrości.

Idąc po schodach, Julia spytała o harmonogram prac na następne dni.

- Wszystko idzie zgodnie z planem - odpowiedział. - Zresztą nie mogło być inaczej. Wiadomo, firma Murdocha.

- Wiadomo - powtórzyła jak echo. - Wiesz, właśnie oglądam budynek niedaleko centrum. I tak sobie myślę, że dałoby się z niego zrobić fajny dom mieszkalny dla kilku rodzin. Czy firma Murdocha byłaby zainteresowana realizacją tego projektu? - zapytała, otwierając przed nim drzwi sypialni.

- Tak, ale tylko pod warunkiem, że prace zaczęłyby się po Nowym Roku.

- Spokojna głowa. Nawet jeszcze nie zdecydowałam, czy na pewno chcę kupić ten dom.

Dopiero teraz spostrzegł, że Julia bardzo pracowicie spędziła popołudnie. Jej sypialnia wyglądała bardzo przytulnie i miała ten uroczy, intymny charakter, który decyduje o tym, że chciałoby się zostać w jakimś pomieszczeniu na długo. W pięknie odnowionym kominku płonął ogień, osłonięty ozdobnym ekranem z mosiądzu. Na gzymsie czekały świece umieszczone w świecznikach najróżniejszych kształtów i rozmiarów. Na niskim stoliku dymiło wonne kadzidełko, dzięki któremu sypialnia przypominała komnatę wyjętą z „Baśni tysięcy i jednej nocy”.

- Bardzo pięknie - pochwalił, myśląc jednocześnie, żeby mieć się na baczności i nie ulec zbyt szybko jej czarowi. Słusznie podejrzewał, że postanowiła go uwieść, jak pewnie wielu nieszczęśliwych poprzedników.

Cóż, zdaje się, że to będzie wyjątkowo interesujący wieczór, uśmiechnął się przebiegle do swoich myśli i zaczął wypakowywać jedzenie. Najpierw wyjął butelkę wina i kiedy rozglądał się za korkociągiem, uznał, że nadszedł czas, aby zacząć pierwszy etap „zmiękczenia” Julii MacGregor.

- Skoro tak sobie gawędzimy jak para na pierwszej randce, to muszę coś ci wyznać - zaczął tajemniczo. - Uważam, że doskonale prowadzisz remont tego domu. Dzięki twojemu planowi prace posuwają się sprawnie, ale bez niepotrzebnego pośpiechu. Od razu widać, że przemyślałaś wszystko bardzo dokładnie. No i jest efekt. Dom wygląda stylowo, natychmiast

czuje się w nim klasę, ale bez zadęcia i nowobogackiej szmiry. Widziałem w życiu niejednego budynek, więc mogę uczciwie powiedzieć, że tylko prawdziwy fachowiec potrafi osiągnąć taki efekt.

Słuchała go uważnie, starając się nie dać poznać po sobie, że jest zaskoczona. Z drugiej strony wiedziała, że jest to komplement dobrany specjalnie pod nią. I choć natychmiast odkryła w nim podstęp, w jakiś sposób zrobiło jej się przyjemnie.

- Cieszę się, że tak myślisz - odparła z ledwo słyszalną rezerwą. - Kiedy wymyślałam ten dom, wzorowałam się na tym, w którym spędziłam dzieciństwo. Tam też czuć było klasę, ale atmosfera była bardzo przyjazna.

- Mówisz o Białym Domu? - zapytał i spojrzał na nią zdumiony.

- Nie. Mówię o domu moich rodziców w Georgetown. Choć muszę przyznać, że dzięki nim Biały Dom także kojarzy mi się przyjemnie.

- A nie czułaś się tam trochę jak zwierzątko w zoo? Każdy, kto zapłaci, może wejść i popatrzeć.

Uśmiechnęła się.

- Czasami rzeczywiście tak było. Ale zazwyczaj czułam się tam jak w prawdziwym domu. Rodzice, a szczególnie matka, stworzyli nam szczęśliwe dzieciństwo, zapewnili maksymalną prywatność i bezpieczeństwo. Gdybym znowu miała tam zamieszkać, chciałabym zapewnić mojej rodzinie to samo.

- Zamierzasz wydać się za kandydata na prezydenta?

- Nie, sama zamierzam zostać prezydentem. Co ty na to?

Spodziewała się, że zakrzusi się winem, zacznie śmiać albo popuka się w czoło. Nie zrobił nic takiego. Przyjrzał się jej uważnie, jakby badał każdy rys twarzy, a potem najspokojniej w świecie powiedział:

- Powodzenia. Będę trzymał kciuki. A jeśli będziesz choć w połowie tak dobra, jak twój ojciec, na pewno wszyscy na tym skorzystamy.

- Zaskoczyłeś mnie.

- Dlaczego? Wyglądam na zarozumiałego samca?

- Parę razy tak mi się wydawało - roześmiała się na widok jego miny, po czym usiadła za stołem i zaczęła obwąchiwać plastikowe kontenerki, w których Patryk przyniósł jedzenie. - Mmm... zaczynam być głodna.

- Tak szybko? - znowu uśmiechnął się w ten dwuznaczny sposób.

- Chce mi się jeść - sprostowała. - I rozmawiać.

- W porządku. Podobno to bardzo niekulturalnie milczeć w czasie posiłku.

Wyciągnął kurczaka i podzielił go na dwie porcje. Podobnie zrobił z frytkami i zieloną sałatą. Podsunął jej plastikowy talerzyk i już miał zabrać się do jedzenia, gdy zobaczył, że Julia wysypuje na swoją porcję pół solniczki soli.

- Zawsze tak robisz?

- Mhm. Wiem, że sól jest niezdrowa, ale nienawidzę jedzenia bez smaku. Kiedy mieszkaliśmy razem, Amelia zamykała oczy, żeby nie widzieć, co wyprawiam. A Laura czasami chowała solniczkę. - Roześmiała się. - Ale co ja zrobię, że tak właśnie lubię? Czasami dobre rzeczy są wyjątkowo niezdrowe.

- No właśnie - powiedział.

- No właśnie - odparła i popatrzyła mu prosto w oczy. - Patryk, powiedz mi, czy myślisz, że wytrzymamy ze sobą dłużej niż tydzień?

- Nie mam pojęcia. Życie to wielka niewiadoma - dodał ze sztuczną powagą. - Po prostu hazard.

- To dobrze, lubię hazard i lubię ryzyko. Ale... - machnęła w jego kierunku kurzym udkiem - ale zanim podejmę ryzyko, starannie rozważam wszystkie za i przeciw. I zawsze wiem, na ile mogę sobie pozwolić. To znaczy ile mogę przegrać bez szkody dla siebie. Ale wracając do nas...

- Właśnie - przysunął się bliżej.

•••.....

- Wygląda na to, że coś nas do siebie ciągnie, choć oboje wiemy, że ten układ będzie wyjątkowo niezdrowy.

Zanim odpowiedział, przez chwilę patrzył na nią poprzez plastikowy kieliszek wypełniony winem.

- Nic nie powiesz? - zapytała, zdziwiona nieco jego milczeniem.

- Tylko tyle, że zgadzam się z tobą.

- Dobrze się zaczyna. Chciałabym więc ci powiedzieć, że nie mam zwyczaju iść do łóżka z facetem tylko dlatego, że pociąga mnie fizycznie. Zawsze szukam czegoś więcej. Nie wyobrażam sobie nawet przelotnego związku, w którym brakowałyby wzajemnego szacunku, zrozumienia, czułości. Uważam też, że jeśli na początku obie strony powiedzą sobie jasno, jakie mają oczekiwania, to potem jest mniej rozczarowań. Dla mnie najważniejsze jest, żeby się ze sobą nie męczyć. Jeżeli coś nie wychodzi, każdy powinien mieć na tyle zdrowego rozsądku, żeby się wycofać z chorego układu. Poza tym kiedy z kimś jestem, nie toleruję niewierności. Jeżeli któraś ze stron złamie te warunki, albo przestaną jej odpowiadać, związek kończy się automatycznie. Bez scen i tragedii.

- Czyli że jeśli zachce mi się małej odmiany, albo zachce się jej tobie, nasz układ natychmiast przestaje istnieć?

- Tak jest. Rozstajemy się bez urazy. Dzięki temu można uniknąć nieuczciwości i kłamstwa. Nie toleruję tego ani w życiu, ani w łóżku.

- Ja nigdy nie kłamię.

- Wcale nie mówię, że to robisz. Jednak nawet najuczciwsi ludzie uciekają się czasem do takich chwytów, żeby oszczędzić drugiej stronie bólu. Wołają kłamać, niż przyznać się, że już im się znudziło. Nie życzę sobie, żeby ktoś traktował mnie w taki sposób.

- Rozumiem i obiecuję, że jak tylko najdzie mnie ochota, żeby sprawdzić się z jakąś gorącą panienką, będziesz pierwszą osobą, której o tym powiem. Czemu tak na mnie patrzysz?

- Patrzę normalnie.
- Doprawdy? Natomiast jeśli ty zapragniesz poznać się bliżej z jakimś lalusem w garniturku, to... Cóż - zmienił nagle ton - będę musiał sprać go po pysku.

Rozzłościła się, słysząc te słowa, bowiem zdała sobie sprawę, że Patryk traktuje jej ustalenia i wypowiedzi jak dopust Boży. Musiała jednak trzymać fason, więc powiedziała spokojnie:

- No widzisz, tu się nie rozumiemy. Właśnie takich zachowań chciałabym uniknąć.

- A ja wręcz przeciwnie. Nie jestem żadnym maminsynkiem i chcę, żeby mnie szanowano. Musisz wiedzieć, że ja bardzo szanuje ciebie, twoją niezależność i samodzielność. Rozumiem, że musisz robić wszystko po swojemu, że lubisz rządzić i ustawiać wszystkich pod ścianą. Jesteś w tym dobra i chwala ci za to. Ale muszę jeszcze coś dodać do tej laurki. - Pochylił się, żeby stuknąć swoim kieliszkiem o brzeg jej kieliszka. - Jeśli chcesz robić tu interesy i zawierać ustne umowy, musisz poszukać sobie kogoś w rodzaju tego frajera Toda, którego wywaliłaś kiedyś ze swego z domu. Ja się w takie rzeczy nie bawię! To, co się dzieje między nami, nie ma nic wspólnego z robieniem interesów. To jest życie, a życia nie da się dokładnie zaplanować. Teraz obydwoje siebie pragniemy. Ale może się zdarzyć, że już jutro nam to minie. I koniec.

- A co będzie, jeśli minie tylko jednej osobie?

- Nic. Ta druga będzie miała cholernego pecha. - Wstał i podał jej dłonie, po czym pociągnął ją do góry. - W każdym razie nie umiem obiecać, że nie powieszę się, gdy mnie opuścisz, albo nie zamorduję cię z kochankiem w twojej sypialni. To był żart - dodał nagle z łagodnym uśmiechem - a teraz zróbmy to wreszcie, bo inaczej na nic cała ta rozmowa.

Chciała mu powiedzieć, że rozmowa nie została jeszcze skończona, dała jednak za wygraną. Gdy poczuła na szyi jego usta, zrozumiała, że nie będzie miała siły zmagać się dłużej

z własnym pożądaniem. Dopadło ją natychmiast i kazało wstrzymać oddech. Rozgrzało krew, zakołysało w głowie, wprawiło całe ciało w niecierpliwe drzenie. Wcześniej planowała, że w podobnym momencie zapali świece, by stworzyć nastrój i doprowadzić do tego, żeby potulnie przyjął wszystkie jej warunki. Teraz jednak gwałtowne emocje zmusiły ją do rezygnacji z chytrego planu. Z uwodzeniem będzie musiała poczekać, bo póki co rozbudzone zmysły domagały się natychmiastowego zaspokojenia.

Zacisnęła palce na jego muskularnych plecach. Siła, giętkość, ciepło tego silnego ciała działały na nią niczym najsilniejszy afrodyzjak. Niecierpliwie siłowała się z opornym swetrem, aż wreszcie udało jej się ściągnąć go przez głowę Patryka i cisnąć niedbale w kąt. Gdy zaś ujrzała jego nagie ramiona i szeroki tors, nabrała ochoty na więcej.

- Masz chyba najcudowniejsze ciało na świecie - szepnęła, ocierając się o niego jak kotka.

- Znam jedno znacznie lepsze.

Gończy oddech parzył jej skórę. Kiedy poczuła dłonie Patryka na swoich ramionach, zacisnęła powieki, ale zaraz potem otworzyła je znowu. „Nie zamykaj oczu” - powróciły jak echo jego słowa sprzed kilku tygodni. Pozwoliła mu oswobodzić się z górnej części kombinezonu. Kiedy jednym ruchem rozpiął srebrny pasek, sama odrzuciła pobrzękujące obręcze daleko w tył. Teraz silne dłonie zwinnie wśliznęły się pod miękki materiał i zaczęły podróż wzdłuż jej ciała. Usta zwarły się w gorączkowym pocałunku. Języki oplatały się wokół siebie, zachęczone swoją gładkością i ciepłą wilgocią. Uwolniły się, dopiero kiedy obojgu zabrakło tchu.

Patryk wziął ją na ręce i przez moment tulił do siebie, jakby była jego dzieckiem, a nie kochanką. Widocznie ona też musiała się tak poczuć, bowiem oparła ufnie głowę o jego ramię, zaskoczona tym, że wydaje się sobie samej małą, przytłoczona jego siłą, bezbronna i gotowa poddać się bez walki. Patrzyła

mu prosto w oczy, gdy kładł ją na puszystym dywanie i drżącymi rękami zsuwał z niej kombinezon, pod którym była zupełnie naga. Intensywna barwa jego oczu, a także ich wyraz wystarczył, żeby jej ciało przygotowało się na przyjęcie kochanka. Julia wiedziała, że wieczór skończy się właśnie tak, czekała na tę chwilę, ale kiedy ta wreszcie nadeszła, zaskoczyła ją gotowość własnego ciała - wystarczyło jedno długie, głębokie spojrzenie, żeby całkowicie utraciła nad sobą kontrolę i oplotła go zaborczo, zaciskając nogi wokół bioder Patryka tak mocno, jakby bała się, że może jej uciec.

A Patryk patrzył wciąż w jej rozpalone, nieprzytomne oczy i jak kiedyś, tak i teraz Julia kojarzyła mu się z pogańską boginią albo syreną, która dopadła swoją ofiarę i nie zamierza jej wypuścić z morderczego uścisku. Chciał być tą ofiarą, czuł, że mógłby umrzeć w tej chwili bez cienia żalu. Krew przelewała się w jego żyłach jak rozszalała fala. Zapach, ten sam, który poczuł już pierwszego dnia, musiał mieć rzeczywiście narkotyczny wpływ na jego organizm. Kleił się do skóry i włosów, rozpalał do białego, mącił myśli. Wyzwalał w nim jakąś pierwotną, brutalną siłę, z którą gniótł i miażdżył jej chętne ciało.

Wilgoć jej skóry podniecała go tak, że z całych sił ocierał twarz o pokryte kropelkami potu ramiona. Dłonie i usta nie miały dość smakowania pełnych piersi. Każdy ruch sprawiał, że pragnienie stawało się nie do wytrzymania. Siłowali się ze sobą, chcąc jednocześnie dawać sobie najsilniejsze, najbardziej pobudzające pieszczoty. Julia zdierała z niego dżinsy, a on czuł, że nie zdąży, że nie wytrzyma. Każda sekunda była torturą, każdy moment zwłoki rozdzierał bólem niezaspokojenia. Nigdy dotąd tak nie pożądał, nie pragnął, nie uwielbiał. Aż wreszcie wszedł z nią z okrzykiem bezmiernej radości i ulgi.

Jej ciało natychmiast zacisnęło się wokół niego niczym rozgrzana, plastyczna masa, która przylgnęła idealnie do każdego skrawka jego skóry. Był w niej i czuł, że jest gładka i śliska

niczym wnętrze muszli. Jej krzyk przypląnął do niego z daleka, przedarł się przez mrok, który ogarnął jego umysł.

Smukłe, delikatne palce zaciskały się spazmatycznie i wplątywały w puch dywanu. Pierwsza gorąca fala, która uniosła Julię, była jak ogłuszający ryk wodospadu. Porwała ją, ale nie uwolniła do końca z bolesnego napięcia, które wciąż czuła każdym nerwem rozedrganego ciała. Chciała jeszcze więcej, jeszcze silniej, więc wygięła się i z nową siłą przywarła do jego ruchliwych bioder.

Szybko zespolili się w jednym rytmie, wpadli w obłądny taniec, który z każdą chwilą stawał się coraz dzikszy, coraz bardziej brutalny. W ostatnim momencie Patryk zebrał wszystkie siły, aby choć na chwilę odsunąć się i spojrzeć w jej twarz. To zaś, co zobaczył, nieuchronnie pchnęło go ku krawędzi, przed którą jeszcze się cofał. Splótł mocno dłonie z jej dłońmi, a potem runął wraz z Laurą w otchłań, w przepaść, w kipiel rozkoszy.

Szumiało mu w głowie dokładnie tak samo, jak podczas wakacji nad morzem, kiedy porwała go i skotłowała silna oceaniczna fala. Poczul w ustach smak, który do złudzenia przypominał cierpką gorycz słonej morskiej wody. Pierwszą myślą, która przyszła mu do głowy, było to, że nareszcie jest wolny. A pierwszym słowem, które wyszeptał ochryple, było jej imię.

Żadne z nich nie odzywało się ani słowem. Julia zastanawiała się nawet, czy jej struny głosowe bezpiecznie przetrwały tę erupcję namiętności. Nigdy dotąd nie doznała podobnych wrażeń, nigdy też nie czuła podobnego spokoju i ukojenia. Miała wrażenie, że leży na materacu i unosi się na wodzie, a wokół niej panuje niezmacona cisza. Chciała cieszyć się tą ciszą jak najdłużej. Nie przeszkadzało jej, że leży na podłodze, a jej ciało, przytłoczone ciężarem bezwładnego ciała Patryka, zaczyna powoli drętwieć. Poczula się senna, więc przymknęła błogo powieki i pozwoliła kołysać się jak liść na wietrze.

Kiedy Patryk uniósł się i wsparty na przedramieniu, spojrzął na jej nieruchomą twarz, wydała z siebie leciutkie westchnienie, które brzmiało trochę jak skarga. To sprawiło, że poczuł się zaniepokojony. Przestraszył się, że przez swą gwałtowność zrobił jej jakąś krzywdę albo zadał ból. Znał siebie i wiedział, że nie jest wzorem delikatnego, subtelnego kochanka. Jednak pasja, która nim owładnęła, nie dała się porównać z niczym, co do tej pory przeżył. Jeszcze raz przyjrzał jej się uważnie. Nie wyglądała na cierpiącą. Wręcz przeciwnie - uśmiech zadowolenia na jej ustach pozwalał mieć nadzieję, że nie będzie musiał za nic przeproszać.

Chyba poczuła na sobie jego wzrok, bo leniwie rozchyliła powieki i spojrzała mu prosto w oczy.

- Mmm... - wydała odgłos, który był zarówno odpowiedzią, jak i pytaniem.

- Też tak myślę - odparł z uśmiechem, po czym przejechał palcem po jej policzku, brodzie i szyi. Kształt jej podbródka wyrażał dumę i upór, który jednak udało mu się złamać. Zadowolony z siebie, pochylił się i dotknął ustami czubka jej brody. - Nie jest ci zimno? - zapytał.

- Nie wiem, może trochę. - Poczowała dreszcz, który nie miał nic wspólnego z uczuciem chłodu, ale uznała, że będzie to dobra wymówka.

On zaś miał ochotę otoczyć ją ramionami, przytulić, ogrzać i nigdy już nie wypuścić. Gdy to sobie uświadomił, poczuł gdzieś w żołądku nieprzyjemny skurcz. W taki mniej więcej sposób odczuwał strach, który ostatni raz ogarnął go dawno, dawno temu.

- Może dorzucimy do ognia? - szepnęła Julia. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie odgarnąć jego poplątanych włosów.

- Zaraz to zrobię. - Nachylił się, żeby pocałować ją lekko w policzki, lecz zamiast tego znowu skusił się na ponętne, nabrzmiałe usta. Oderwał się od nich dopiero wtedy, gdy obydwoje byli gotowi do następnej przygody.

Rozdział dwudziesty ósmy

Większość osób nie znosi listopada, bo uważa, że to najsmutniejszy miesiąc w roku. Julia była innego zdania. Listopad zawsze wydawał jej się najsympatyczniejszym i najbardziej urozmaiconym miesiącem. Lubiła go, gdyż niósł zapowiedź zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia. Poza tym bardzo odpowiadała jej zmienność listopadowej pogody, podobały jej się poranne mgły i popołudniowa przejrzystość. Powietrze było wtedy czyste i chłodne, a jego rześkość dodawała jej energii do pracy. W przenikliwym chłodzie wieczorów czuć zaś było zbliżającą się zimą, ze wszystkimi jej urokami i niespodziankami. W tym roku jej ulubiony miesiąc był szczególnie barwny i radosny.

Stało się tak oczywiście za sprawą romansu z Patrykiem. I choć temperatura ich związku podnosiła się z dnia na dzień, Julia uważała, że są w swych działaniach rozważni i bardzo ostrożni. Kiedy spotykali się w domu przed południem, zachowywali bezpieczny dystans i nie afiszowali się z tym, co ich łączy. Jeden tylko raz zdarzyło im się odstępstwo od tej niepisanej reguły, gdy w uporządkowanej i świeżo odnowionej spiżarni nie zapanowali nad sobą i zaczęli zdzierać z siebie ubrania. Julia musiała przyznać, że to ona ponosiła odpowiedzialność za ten wyskok. Kiedy zobaczyła Patryka przy pracy, kiedy poczuła jego znajomy zapach, po prostu nie zdołała się powstrzymać. Bez słowa wciągnęła go do ciasnego pomieszczenia i zatrzasnęła drzwi, a on jakoś nie próbował się bronić.

Całe szczęście nie było przy tym żadnego z robotników. Prawda była jednak taka, że coraz trudniej było im się trzymać

z dala od siebie. Ośmiogodzinny dzień pracy był dla nich prawdziwą udręką, którą po godzinach rekompensowali sobie z nawiązką. Dni tygodnia wlokły się straszliwie, a weekendy, które mogli spędzić razem, zawsze były o wiele za krótkie. Cieszyli się sobą w każdej wolnej chwili, a mimo to nic nie wskazywało, żeby ten nienasycony głód doznań miał być prędko zaspokojony.

- Muszę powiedzieć, że wyglądasz na zadowoloną, czy może raczej: zaspokojoną - zauważyła Laura nie bez złośliwości, gdy zjawiła się w jej nowym domu, by zgodnie z dawną tradycją udekorować, jak zwykle grubo przed czasem, świąteczną choinkę.

- Ja bym powiedziała, że Julka jest uspokojona - wtrąciła Amelia, nie odrywając się od segregowania bombek.

- A nie mam powodów, żeby być spokojna? - zapytała Julia, stojąc na wysokiej drabinie, dzięki której miała nadzieję dosięgnąć czubka drzewka. - Dom jest już prawie gotowy i wygląda dokładnie tak, jak sobie wymarzyłam. Właśnie, zapomniałam zapytać, jak wam się podoba mój salon?

- Jest piękny! - potwierdziły zgodnym chórem, rozglądając się po słonecznym pomieszczeniu.

Piękna drewniana podłoga, sztukaterie na suficie, drewniane framugi dużych okien i drzwi, a przede wszystkim ogień trzaskający w kamiennym palenisku, czyniły pokój wyjątkowo ciepłym i przytulnym. Na ścianach wisiały dwie akwarele autorstwa brata Julii, a na niskim stoliku obok sofy stała misa wykonana przez jej matkę. Poza tym w salonie nie było zbyt wielu ozdób. Szczególną uwagę zwracał staroświecki wózek dla lalek, w którym Julia trzymała gazety, oraz kilka okazałych roślin stojących przy oknach w olbrzymich donicach.

- Naprawdę wspaniale to urządziłaś - pochwaliła Amelia.

- Wiedziałam, że zmierzam w dobrym kierunku, ale ostateczny efekt przeszedł moje oczekiwania. Naprawdę cieszę się, że dałam się namówić Patrykowi na kilka rozwiązań, które

mnie samej w ogóle nie przyszyby do głowy. Na przykład ten łuk w miejscu dawnej ściany. Myślę, że doskonale tu pasuje i dodaje salonowi charakteru.

Laura i Amelia popatrzyły na siebie znacząco. Ponieważ Julia była odwrócona do nich tyłem, mogły sobie pozwolić na ten niemy komentarz do nagłej odmiany w zachowaniu kuzynki. Żeby jednak podejrzana cisza nie trwała za długo, Laura zapytała ją, kiedy spodziewa się ostatecznego zakończenia prac.

- Za parę tygodni.
- Czyli za parę tygodni Patryka już tu nie będzie.
- Tak wynika z jego grafiku - roześmiała się Julia.
- Chcesz mi powiedzieć, że w łóżku czytacie jego grafik?
- Żebyś wiedziała, że czasem czytamy! Ale właściwie, to

o co ci chodzi?

- Julia, daj spokój. Nawet ślepy widzi, jak bardzo jesteście sobą zafascynowani - odezwała się Amelia, zniecierpliwiona już tą ciuciubabką, w którą grała z nimi ich najmłodsza kuzynka.

- Naprawdę tak bardzo to widać?

- Za każdym razem kiedy tu przychodzę, boję się, że porazi mnie prąd, tak między wami iskrzy - oznajmiła Laura.

- Co ty opowiadasz? Lepiej popatrz na siebie i swojego męża!

- Hej, nie bądź taka obrażalska. To prawda, że trochę się z ciebie podśmiewamy, ale to nie powód, żeby się unosić. Po prostu trochę się o ciebie martwimy. Do tej pory zawsze się nam zwierzałaś, opowiadałaś o swoich podbojach i sercowych problemach. A teraz, odkąd na horyzoncie pojawił się Patryk, jesteś wyjątkowo małomówna.

- Być może. - Julia przysiadła na najwyższym szczeblu drabiny. - Tylko że tu naprawdę nie ma o czym mówić. Choć na przykład ostatnio doszliśmy do wniosku, że większość naszych kłótni miała wyraźnie seksualne podłoże. Po prostu od zawsze było między nami napięcie, które jakoś musiało

znaleźć ujście. A najłatwiej było rozładować je, rzucając się sobie do gardła. Kiedy sytuacja zmusiła nas do tego, że zaczęliśmy razem pracować, zbliżyliśmy się do siebie i... - bezradnie wruszyła ramionami - jakoś tak wyszło.

Zachęcona przyjaznymi uśmiechami kuzynek, wyznała im w końcu, że jest jej z Patrykiem wspaniale.

- To znaczy on jest wspaniały - sprostowała. - Naprawdę nigdy nie myślałam, że tylko we dwoje można się tak świetnie bawić. Oczywiście w innym miejscu niż łóżko - dodała, kiedy zaczęły się z niej śmiać. - Na przykład w zeszły weekend pojechaliliśmy nad ocean. I zrobiliśmy sobie piknik na pustej plaży, chociaż było przeraźliwie zimno!

Ani Laura, ani Amelia nie podzielały jej entuzjazmu odnośnie tego akurat pomysłu, ale dyskretnie przemilczały ten fakt. Za to Julia wreszcie się otworzyła.

- A na przykład dwa dni temu - mówiła, zeskakując z drabiny - dostałam od Patryka rewelacyjny prezent. Zaraz wam pokażę! - Podbiegła do półek i zaczęła czegoś szukać. - Bo muszę wam powiedzieć, że Patryk kocha starocie tak samo jak ja. Zna mnóstwo fajnych sklepów i potrafi wyszperać prawdziwe cuda. A jak się targuje! Aż przyjemnie słuchać! To też dostał prawie za darmo... - Rozpromieniona wróciła do kuzynek z tajemniczym kawałkiem drewna, z którego sterczały jakieś kable.

- A co to takiego? - zapytała uprzejmie Amelia.

- Jak to co! Nie widzisz? To przecież zabytkowy telegraf!

- Aha...

- No tak, zapomniałam już, że z wami nie da się pogadać jak z ludźmi. Nie wiecie, że kocham takie stare graty? A żebyście wiedziały, jak Patryk gotuje! Coś fantastycznego! Nigdy w życiu nie posądziłabym go o taki talent kulinarny. A teraz pomaga mi wybrać mebelki do pokoju dzieciennego, bo...

- Jesteś w ciąży? - Laura aż przysiadła z wrażenia.

- W jakiej znowu ciąży? Straciłaś rozum? To Amelia jest

w ciąży! A ja po prostu przygotowuję pokój dla jej synka i innych dzieciaków, które niedługo pojawią się na świecie i będą przychodziły w odwiedziny do ciotki Julki! Mamy już parę fajnych rzeczy. Głównie mechanicznych, bo Patryka bawią takie historie... - urwała nagle i przysłoniła dłonią usta, jakby przeraziła się tym, że od paru minut trajkuje bez przerwy na ten sam temat. Drugą dłoń przycisnęła do rozdygotanego serca i bezwładnie opadła na sofę. - Boże - szepnęła bezradnie - co się ze mną dzieje? Co ja najlepszego zrobiłam?

- Zakochałaś się na amen. Przynajmniej tak to wygląda - Amelia jak zwykle nie miała problemu z postawieniem trafnej diagnozy. - Masz, napij się czekolady. I uspokój się, bo jeszcze dostaniesz zawału.

- Ale ja nie chciałam się zakochać! - jęknęła żałośnie Julia. - Plan był zupełnie inny.

- Mówisz tak, jakbyś nie wiedziała, że w miłości nie da się niczego zaplanować - Laura próbowała przywołać siostrę do porządku.

- Ale ja go przecież nie lubię! To znaczy kiedyś nie lubiłam, bo teraz to się jakoś zmieniło.

- Wiesz, Julka, nie wiem, czy ci to w czymś pomoże, ale ja uważam, że ty i Patryk jesteście dla siebie stworzeni.

- Nie pomoże mi to w niczym. Ani odrobinę. Powiedźcie mi lepiej, co ja mam teraz zrobić? Jeśli Patryk się o tym dowie, będzie wściekły. Dostanie szału!

- Chcesz mi powiedzieć, że facet, który sam gotuje dla ciebie kolacje, wynajduje prezenty, kupuje meble i zabiera na pikniki, będzie zły, kiedy się dowie, że jesteś w nim zakochana? Zastanów się, co mówisz! Jestem pewna, że on czuje to samo - uspokajała ją Laura.

- Nieprawda, wcale nie czuje tego, co ja!

- To kto on jest, masochista? Odprawia z tobą pokutę?

- Więc myślisz, że on też...? - Julia spojrzała jej prosto w oczy. - Nie, to niemożliwe - orzekła po chwili i zerwała

się na równe nogi, by jak zwykle w stanie największego wzburzenia, nerwowo chodzić po pokoju w tę i z powrotem. - Co się ze mną dzieje, co się dzieje? - biadoliła. - Jeszcze dziesięć minut temu zachowywałam się jak człowiek rozsądny. Mało tego, wydawało mi się, że świat istnieje tylko dla mnie. A teraz co? Wpadłam w histerię! Najgorsze, że Patryk będzie tutaj za dwie godziny. I jak się wtedy zachowam? Ja nie chcę być zakochana! - zawołała rozpaczliwie i załamała ręce.

- Ale właściwie dlaczego? - chciała wiedzieć Laura, która powoli traciła cierpliwość.

- Bo to jest... bo on jest...

- Coś mi się zdaje, że świadek płacze się w zeznaniach i sam nie wie, co chce powiedzieć. Pozwoli więc świadek, że mu pomogę - zaczęła Laura tonem wziętym z sali sądowej, jednak nie było jej dane dokończyć, bo przez dziecięcą krótkofalówkę usłyszała nagle płacz małego Daniela. - O kurczę, muszę lecieć! Sąd zarządza krótką przerwę w rozprawie.

Kiedy wybiegła z pokoju, Amelia usiadła obok Julii i delikatnie pogłaskała ją po dłoni.

- Posłuchaj, Julka, chciałabym ci coś powiedzieć.

- Co? - Julia spojrzała na nią żałośnie.

- Tylko to, że nigdy dotąd nie widziałam cię tak szczęśliwej jak teraz. Kiedy jesteś z Patrykiem, kiedy rozmawiacie ze sobą, cała promieniejesz. W twoich oczach widać miłość, więc nawet nie próbuj zaprzeczać, że go kochasz. Ale ostatnio kiedy tu byłam, widziałam też, jak on patrzy na ciebie, jak wodzi za tobą nieprzytomnym wzrokiem. Uwierz mi, on też jest zakochany.

- Mówisz poważnie? - w głosie Julii pojawiła się weselsza nuta. - Może w takim razie coś z tego będzie, co? Może nam się uda?

- Oczywiście, że się uda. Julka, pomyśl tylko. Kto jak kto, - ale ty, osoba, która zawsze zdobywa to, czego pragnie, nie może się tak po prostu wycofać. Rozumiem, że jesteś prze-

straszona. Ja też, kiedy czasami uświadomię sobie, co czuję do Bransona, zwłaszcza teraz, kiedy będziemy mieć dziecko, jestem przytłoczona tym ogromem uczuć, które nie wiadomo skąd pojawiły się we mnie. Z drugiej strony jestem pewna, że to jest dla mnie dobre, i że tak powinno być, bo bez tego, bez miłości, życie zupełnie straciłoby sens.

- To znaczy, że mam mu teraz wmówić, że zakochał się we mnie do szaleństwa, tak?

- Nie musisz mu niczego wmawiać, on sam to wie. Możesz go jedynie sprowokować, żeby powiedział ci o tym. Tak jak ty powiedziałaś nam.

- Czyli głośno i wyraźnie - roześmiała się Julia, która całe szczęście nie umiała martwić się zbyt długo.

Kiedy więc Laura pojawiła się w salonie z Danielem na rękach, zastała kuzynkę tak rozbawioną, jakby ta nie miała już żadnego zmartwienia.

- A to dobre! - zaśmiewała się Julia. - Zupełnie nie mogę wyobrazić sobie tego twardego Murdocha, jak wyznaje mi miłość. On tego nie zrobi! Chyba że - przestała się śmiać i popatrzyła na kuzynki z chytrą miną - chyba że go jakoś podejść..

Czekała na niego bardziej niecierpliwie niż kiedykolwiek. Kiedy wreszcie przyszedł, powitała go długim, stęsknionym pocałunkiem.

- Też się cieszę, że cię widzę - wymamrotał, lekko przyduszony jej namiętym uściskiem. - Jak tam twój nastrój, MacGregor?

- Wspaniały. A twój, Murdoch?

- Ostrożny. Podejrzanie długo mnie ściskasz.

- Nie bój się, nie skrzywdzę cię, chłopczyku. - Cofnęła się, żeby mu się lepiej przyjrzeć. - Ugotowałam nawet dla ciebie kolację.

- A nie jest trująca?

- Murdoch, ty jeszcze nie znasz wszystkich moich talentów. Ale zaraz je docenisz, jestem tego pewna.

- Nie mogę się doczekać!

- W takim razie, pan pozwoli za mną.

Wzięła go za rękę i zaprowadziła do kuchni, gdzie już czekał pięknie zastawiony stół. Z jakiegoś ukrytego głośnika płynęła cicha melodia, w srebrnym kubku chłodził się szampan.

- Hm... - Patryk wyglądał na kompletnie zaskoczonego.

- Zapomniałem o czymś? Jakies urodziny, rocznica, nowy dom do kupienia?

- Pudło! Nie ma żadnej okazji. Po prostu wspólny posiłek. Obiady domowe a la MacGregor. Podajemy za dziesięć minut, życzymy naszym gościom smacznego.

- Pachnie zachęcająco - pochwalił i zajął się szampanem, myśląc przy tym, co to znowu za sztuczka. Natychmiast zwietrzył podstęp, ale na razie nie bardzo wiedział, jak zareagować. Taką scenerię mogła zaaranżować jedynie kobieta, która zamierzała zrealizować jakiś chytry plan. W końcu nie wytrzymał i zapytał wprost: - Powiedz od razu, Julka, co ty knujesz. Chcesz, żebym rozwałił znowu ścianę, którą dopiero co postawiłem, tak? Przyznaj się, obiecuję, że nie będę krzyczał.

- Nie będzie rozwalania żadnych ścian - roześmiała się Julia. - Widzisz, Murdoch, jak słabo mnie znasz? Po prostu naszała mnie ochota, żeby coś dla nas ugotować. Może to przez ten świąteczny nastrój. Widziałeś moją choinkę?

- Tylko przez okno, jak parkowałem samochód. Ale nawet z zewnątrz wygląda imponująco. Kawał lasu.

- Możemy zjeść deser w salonie, to będziesz mógł ją obejrzeć. Naprawdę jest super.

Dopiero teraz zaniepokoił się nie na żarty.

- Chcesz powiedzieć, że przygotowałaś deser? Sama? - zapytał podejrzliwie.

- A co? Myślisz, że nie potrafię? Zrobiłam bezy według starego przepisu MacGregorów. Jestem pewna, że w życiu nie

jadłeś takich pyszności. Świetnie się przy tym bawiłam - skłamała gładko. Zwłaszcza za trzecim razem, kiedy mi wreszcie wyszły, dodała w myślach i zerknęła w stronę kosza na śmieci, w którym spoczywały zwęglone szczątki jej nieudanych wypieków. - Powiedz mi lepiej, jak ci minął dzień - poprosiła, biorąc z jego ręki oszroniony kieliszek szampana.

- Pracowicie, ale na szczęście produktywnie. Nawet znalazłem trochę czasu, żeby posklejać drewnianą kolejkę, którą buduję dla moich siostrzeńców.

- Super! Pokażesz mi ją, jak skończysz? Mogę ci pomóc ją pomalować. Wprawdzie nie mam talentu mojej matki ani brata, za to nie brakuje mi dobrych chęci.

- W takim razie zapraszam do współpracy. - Nachylił się i lekko ją pocałował.

- Poczekaj. Zobaczę, co z naszą kolacją.

- Pomogę ci.

- Nie. To mój wieczór i mój popis kulinarny. A ty siadaj i się ciesz.

Nawet gdyby nie chciał siadać i tak musiałyby to zrobić, bo kiedy zobaczył, jak Julia ochoczo wkłada fartuch, kolana ugięły się pod nim z wrażenia.

Co w nią wstąpiło, myślał, coraz bardziej zbity z tropu. Kobieta, która kręciła się po kuchni, nie zachowywała się jak Julia. W każdym razie nie jak jego Julia.

Jego Julia? Pokręcił głową, zaskoczony takim doborem słów. Od kiedy to tak ją nazywa? Od kiedy myśli, że ta niezależna istota będzie kiedyś „jego”? I oto nagle uświadomił sobie, że to pragnienie musiało być w nim od zawsze, od samego początku, od pierwszego spotkania. Pragnął jej przez te wszystkie lata, kiedy ciągle sprzeczali się ze sobą i krytykowali nawzajem. A ponieważ marzenia te wydawały mu się całkiem nierealne, swój strach i niepewność ukrywał pod maską ironii i sarkazmu.

Mimo to nie potrafił z niej zrezygnować. To, co wyganiał

ze swoich myśli, ukryło się głęboko w sercu i tam spokojnie rozrastało się i nabierało mocy. A teraz, kiedy tak niespodziewanie zostali kochankami, nie potrafił już dłużej okłamywać samego siebie. Mógł oszukać cały świat, ale nie własne serce, które od dawna wiedziało, co się święci. Kochał Julię, był nią zafascynowany jak uczeń swoją pierwszą miłością. Tylko co ma z tym teraz zrobić?

Na początek napij się wina, podszeptał uczynnie zdrowy rozsądek, może to rozjaśni ci umysł. Niestety, sprawa wyglądała na bardziej skomplikowaną i łyk chłodnego szampana niewiele mógł pomóc. Patryk uświadomił sobie, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Bo gdyby nawet stał się cud, gdyby on, Patryk Murdoch, w jakiś sposób ujął w słowa to, co czuje do Julii MacGregor, ta wywaliłaby go z domu, jeszcze zanim dokończyłby zdanie. Doskonale pamiętał, co spotkało tego kre-
|tyna Toda.

Patrzył, jak jego ukochana chodzi tanecznym krokiem po kuchni, i robiło mu się coraz smutniej i ciężiej na sercu. W końcu rozżłościł się na ten smutek. I znalazł rozwiązanie - postanowił, że rozkocha ją w sobie, sprawi, że Julia straci dla niego głowę. A wtedy Julia pierwsza powie mu, że go kocha.

Zadowolony, że tak szybko znalazł na nią sposób, odstawił kieliszek i zaszedł ją od tyłu. Otoczył ramionami jej talię, połaskotał ustami w kark.

- Pachniesz dużo lepiej niż cała ta kolacja - szepnął.
- Naprawdę?
- Mhm. I mam ochotę cię zjeść. Wcale nie na deser, tylko od razu, tu i teraz!

- A ja mam ochotę zostać zjedzona. Od razu, tu i teraz!
- Odwróciła się do niego z uśmiechem, który zbladł natychmiast, gdy dostrzegła wyraz jego oczu. Patryk przyglądał jej się tak intensywnie, jakby naprawdę planował ją połknąć. - Coś się stało? - zapytała czujnie.

- Wiesz, Julka - zaczął cicho, ciągle oszołomiony cudem

świeżo odkrytej miłości - czasami jesteś przepiękna, wspaniała, cudowna. Właśnie teraz jest jedna z takich chwil. Po prostu... chciałem ci o tym powiedzieć.

Ona też czuła się oszołomiona. Nigdy dotąd nie mówił jej, że jest piękna. Nigdy nie patrzył na nią w taki sposób, nie ujmował jej twarzy w obie dłonie i nie całował tak delikatnie. Miała wrażenie, że jeszcze moment i nie wytrzyma, zacznie płakać, albo, nie daj Boże, pierwsza powie mu, że go kocha.

- Patryk...

- Ciii... Nic nie mów. Zawsze tak bardzo się spieszymy - szeptał, nie przestając jej całować. Sam nie wiedział, dlaczego nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby rozkoszować się każdą minutą, którą z nią spędzał. Nie wiedział, ile tych minut jeszcze mu zostało, więc powinien przeciągać każdą z nich w nieskończoność. - Dzisiaj nie będziemy się spieszyć, Julio - obiecał, biorąc ją na ręce.

- Nie będziemy.

- I zobaczymy, co się stanie...

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Julia bardzo się zmieniła. Wyraźnie widział, że od kilku dni zachowuje się inaczej, ale w żaden sposób nie potrafił zrozumieć przyczyny tych zmian. Nie dość, że ciągle się uśmiechała i była niezwykle pogodna, to jeszcze uważnie słuchała tego, co do niej mówił. W dodatku bez przerwy pytała go o zdanie i chciała znać jego opinię w każdej, najmniejszej nawet sprawie. A przeszła już samą siebie, kiedy upiekła dla niego ciasto. Owszem, było prawie niejadalne, lecz zmusił się do przełknięcia dwóch kawałków, choć miał poważne obawy, czy jednym ze składników nie był przypadkiem klej stolarski. Po tym smutnym doświadczeniu nabrał poważnych podejrzeń, że ciałem Julii owładnęły jakieś tajemnicze złe moce.

Choć Patryk był niezwykle zdumiony tą przemianą, starał się dostosować do nowego charakteru swojej kochanki. Nie pozostawało mu nic innego, jak tolerować ją w tej nowej postaci, mimo że coraz bardziej tęsknił za dawną Julią. Bardzo brakowało mu jej porywczej natury i dzikiego temperamentu, na który kiedyś tak bardzo narzekał. Nowa Julia w ogóle nie dawała powodów do kłótni, była łagodna i potulna jak owieczka i zgadzała się ze wszystkim, co mówił.

Na parkingu przed biurem zobaczył samochód swojego ojca. Ucieszył się, że wreszcie będą mogli porozmawiać o sprawach firmy, ustalić plan prac na przyszły rok oraz zdecydować, kto i kiedy pójdzie na świąteczny urlop. Po spotkaniu z ojcem miał zamiar wziąć szybki prysznic, a potem pojechać do Julii na kolejny domowy obiad.

Już na samą myśl o tym poczuł ucisk w żołądku, który od

kilku dni musiał trawić dania z eksperymentalnej kuchni prowadzonej przez wybraną jego serca. Ostatnio Patryk doszedł do wniosku, że jak tylko jego plan się powiedzie i Julia wyzna mu miłość, natychmiast jej się oświadczy. A potem, kiedy już będą małżeństwem, zakaze jej wstępu do kuchni. Na razie musiał ryzykować lekkie zatrucie pokarmowe po każdym przygotowanym przez nią posiłku. Cóż, dawno już zrozumiał, że gdy o nią chodzi, jest gotów zapłacić każdą cenę. Nie przeżyła go nawet perspektywa zjedzenia „renesansowej potrawy z kurczaka”, którą obiecała mu na dzisiejszy wieczór. Swoją drogą, w jakiej to książce znalazła tak idiotyczną nazwę?

Stojąc przed wejściem do budynku, doznał nagłego olśnienia. Tak! Po prostu zadzwoni do niej i powie, że zarezerwował na wieczór stolik w restauracji! Że niniejszym zaprasza ją na przedświąteczną kolację! Powinna się zgodzić bez oporów, zwłaszcza, że była już spakowana na wyjazd do Hyannis Port, gdzie jak co roku miała spędzić święta w gronie MacGregorów.

Pełen zapału, energicznym krokiem wszedł do biura, które o tej porze świeciło pustkami. Przy zawalonym papierami biurku nie zastał sekretarki, więc niezapowiedziany ruszył prosto do gabinetu ojca. Chciał mu się pokazać i uprzedzić go, że najpierw załatwi kilka telefonów, a potem będą mogli spokojnie pogadać o interesach. Był już w wąskim korytarzu, kiedy wyraźnie usłyszał potężną salwę śmiechu. Od miesięcy nie słyszał, żeby jego ojciec śmiał się w taki sposób, więc ucieszył się, że staruszek wraca do zdrowia. Rzeczywiście, przypomniawszy sobie teraz, w ostatnich dniach ojciec wyglądał dużo lepiej. Jego oczy odzyskały dawny blask, a kroki sprężystość. Wciąż jeszcze mówił wolno i robił częste pauzy, ale poprawa i tak była wyraźna.

Już miał nacisnąć klamkę, kiedy nagle dotarł do niego sens słów, które rozbawiony Michael wypowiadał do słuchawki:

- Mówię ci, Daniel, mój przyjacielu, że Patryk oświadczy jej się jeszcze przed końcem roku! Głowę za to daję! Nasz plan przebiega szybciej, niż mogliśmy się spodziewać.

- Ale dlaczego to trwa tak długo? Dlaczego się jeszcze nie dogadali? - niecierpliwił się Daniel, czego Patryk, rzecz jasna, nie słyszał, co wszakże docierało wyraźnie do uszu jego ojca.

- Bóg jeden raczy wiedzieć. Od trzech miesięcy gruchają jak gołąbki, a grzebią się z ożenkiem jak dwa żółwie na emeryturze. Ale wiesz co? Wiem z pewnych źródeł, że Julia gotuje Patrykowi obiady!

- Julia gotuje obiady? Boże miłosierny! A on to je?

- Na to wygląda - Michael roześmiał się głośno. - Przywiózł mi tu nawet kawałek ciasta do spróbowania, całkiem niejadalne. A on je zjadł! I jeszcze mówił, że ma ciekawy smak! To dobry znak. Skoro chłopak jest w stanie przełknąć dla niej takie paskudztwo, musi być zakochany po uszy.

- Dobra nasza! - Daniel zarechotał po drugiej stronie kabla. - Ale powiedz no, mój stary, co z nich za uparciuchy. Pasują do siebie jak ulał, są dla siebie stworzeni, a mimo to ty i ja musimy im pomagać, bo inaczej darliby koty do końca życia i nic dobrego by z tego nie wyszło. A myślisz, że chociaż podziękują nam za nasze starania? Na pewno nie! Ale nic to, i tak wyprawimy im takie weselisko, że szkoda gadać!

- To na pewno. Byle prędko, bo już nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł powrócić do zdrowia.

- Musisz się jeszcze trochę pomęczyć, przyjacielu. Jakby coś się między nimi popsulo, tobie też powinno się od razu pogorszyć, pamiętaj. Julia będzie u mnie przez święta. Jeśli nie zobaczę na jej palcu pierścionka, sam ją jakoś zmobilizuję i popędzę, żeby się nie guzdrała.

- Tak, tak. A ja przypilnuję, żeby z tej strony wszystko szło, jak trzeba.

- W takim razie Wesołych Świąt, przyjacielu!

- Nawzajem, nawzajem. I pozdrowienia dla małżonki.

Michael odłożył słuchawkę i aż zatarł ręce z radości. Następnie przeciągnął się, zrobił kilka przysiadów, parę skłonów

i z wyrazem błógiego zadowolenia na twarzy odwrócił się do drzwi - stając oko w oko z własnym synem.

Uśmiech natychmiast zamarł mu na ustach, a chorobliwa bladłość pokryła rozpromienioną chwilę wcześniej twarz. Wyraz oczu Patryka oraz sposób, w jaki zacisnął wargi, były nieomylnym sygnałem tego, co za chwilę miało nastąpić.

- Patryk, synu... Dzień dobry. Zupełnie nie słyszałem, jak wszedłeś. Długo tu jesteś?

- Wystarczająco długo. Na tyle długo, żeby wreszcie pojąć, jaki z ciebie oszust i symulant! Brawo, powinni ci dać Oscara. Nie byłeś chory nawet przez jeden dzień!

- Oczywiście, że byłem chory. Przecież miałem grypę i zapalenie oskrzeli, a potem ... - Michael próbował grać na zwłokę.

- Teraz czuję się trochę lepiej. Lekarze mówią, że powinienem ćwiczyć, bo to pomoże odzyskać siły i sprawność.

- Daruj sobie! - przerwał mu Patryk i podszedł do biurka, za którym usadowił się jego ojciec. - Jesteś w takiej formie, że mogliby cię powołać do kadry narodowej! Okłamywałeś mnie! - Z całych sił trzasnął otwartymi dłońmi o blat i wściekły pochylił się nad Michaelem. - A ja głupi przez cały ten czas umierałem ze strachu, żeby nie stało ci się nic złego! Ludzie zrobili między sobą zbiórkę pieniędzy i posłali ci kosz owoców!

- To bardzo miłe z ich strony. Byłem wdzięczny, bo owoce pomagają...

- Powiedziałem, daruj sobie!

- A ja ci mówię, żebyś liczył się ze słowami i uważał, jakim tonem mówisz do ojca! - Michael porwał się na równe nogi i przysunął twarz do twarzy syna. - Nie zapominaj, z kim rozmawiasz! Nie jestem twoim pracownikiem!

- Pamiętam o tym i tylko to powstrzymuje mnie, żeby nie wziąć cię za kołnierz i nie wyrzucić przez okno. Jak mogłem być taki głupi i nie domyślić się, że ty i ten stary MacGregor uknułicie wszystko za naszymi plecami?

- No dobrze - głos Michaela był już opanowany, co znaczyło, że wrócił do równowagi. Usiadł w fotelu i przez chwilę milczał.

- Co „dobrze”? Nie masz nic więcej do powiedzenia? - warknął Patryk. - Nic nie jest dobrze.

- Mam.

- Więc mów.

- To prawda, postanowiliśmy z Danielem trochę dopomóc waszemu szczęściu. Skoro już o tym wiesz, nie ma sensu tego dłużej ukrywać.

- Ale... jak mogliście? - Patryk popatrzył na ojca wzrokiem, w którym zdumienie mieszało się z oburzeniem. - Jak mogłeś coś takiego...? - Pokręcił głową, wstał od biurka i odwrócił się do ojca plecami. Po raz pierwszy w życiu miał ochotę go uderzyć i przeraziła go gwałtowność własnej reakcji. - Najchętniej naprawdę wziąłbym cię za kark i stuknął twoją pustą głową o równie pusty łeb twojego koleżki! Może to by pomogło, choć obawiam się, że nie!

- Jeszcze raz cię ostrzegam...

- Daj mi spokój!

- Posłuchaj mnie, ty wariacie. - Michael zrozumiał, że nie powinien odpowiadać gniewem na gniew syna. - Myślisz, że nie widziałem, jak od lat wodzisz cielęcym wzrokiem za Julią? Od początku było widać, że ci się podoba.

- I co z tego? Moje oczy, mój wybór, moja sprawa!

- To prawda. Ale prawdą jest również to, że byłeś zbyt ślepy, żeby zauważyć, jak ona patrzy na ciebie, jak cię prowokuje. Dlatego postanowiliśmy z Danielem delikatnie popchnąć was we właściwym kierunku.

- Właściwym, to znaczy zgodnym z waszym widzimisię. Spodziewasz się ode mnie podziękowań?

- Nie, choć uważam, że powinienem je otrzymać. Każdy głupi wie, że ty i ona nie widzicie poza sobą świata. Ty jesteś szczęśliwy z nią, a ona z tobą. Czego jeszcze chcieć? I po-

wiem ci coś jeszcze, nawet jeśli zaprzeczysz, co pewnie zrobisz, bo jesteś wyjątkowo uparty. Ty i ona już zbudowaliście dla siebie dom.

- To jest jej dom.

- Nie da się ukryć, ale ten dom należy również do ciebie. A wiesz dlaczego? Bo zostawiłeś w nim swoje serce.

Z tym akurat Patryk musiał się zgodzić. Może nie tyle zostawił serce, co włożył je w pracę, którą wykonał. Jednak to nie miało nic wspólnego z faktem, że został oszukany przez własnego ojca.

- Zanim zaczęliśmy z Julią się spotykać, zawarliśmy umowę. Ustaliliśmy, że nasz związek jest tymczasowy. Tymczasowy, dokładnie tak - powtórzył przez zaciśnięte zęby. Nie uznał za stosowne powiedzieć ojcu, że on nigdy nie przyjął warunków, które postawiła Julia, bo wydawały mu się śmieszne. - Dlatego też nie masz co liczyć na to, że jej się oświadczę - dodał z zaciętą miną.

- Ale ją kochasz, prawda?

Patryk gwałtownie otworzył usta, by zaprzeczyć, jednak kłamstwo nie chciało przejść mu przez gardło. Dlatego nie powiedział nic, wsunął ręce do kieszeni i zapatrzył się w odległy punkt za oknem.

- Rozumiem. Twoje milczenie to najlepsza odpowiedź. Kochasz ją, chociaż nie potrafisz powiedzieć tego głośno. Cóż, widocznie nie potrafisz mówić o uczuciach, każdy ma jakąś ułomność... - Michael westchnął ciężko, zastanawiając się w duchu, gdzie popełnił błąd w wychowaniu syna. - Pamiętaj jednak, że Julia to niezwykła kobieta. Mądra, inteligentna, do tego piękna i z poczuciem humoru. No i pochodzi z doskonałej rodziny.

- To sam się z nią ożeń. Jesteś przecież wdowcem.

- Wolne żarty, chłopcze - Michael uśmiechnął się dyskretnie. - Chociaż muszę przyznać, że gdybym był ze dwadzieścia lat młodszy, zdmuchnąłbym ci ją sprzed nosa już dawno! Ja

tego nie zrobię, ale uprzedzam cię, że na pewno znajdzie się inny chętny. Młodszy ode mnie i bardziej zdecydowany od ciebie. A wtedy obejdiesz się smakiem.

- Julia nie spotyka się z nikim.

- To ci nowina! Po co miałyby się spotykać, skoro jest zakochana w tobie? Ale jak będziesz się tak grzebał, to może jej się znudzić ciągle czekanie.

Patryk nie miał siły dłużej spierać się z ojcem. Czuł się pokonany. Wyciągnął dłonie z kieszeni i mocno potarł nimi oczy.

- Posłuchaj, tato, nasza rozmowa do niczego nie prowadzi. Ty i Daniel MacGregor postanowiliście zabawić się w treserów, a my z Julką mieliśmy być parą pudli, które zatańczą tak, jak im zagracie. Coś ci jednak powiem. Uprzedzam cię, że jeśli ona dowie się, coście zrobili, wykopie mnie ze swojego życia na zbity pysk. Choćby po to, żeby dać wam nauczkę.

- Ale ty jej chyba o tym nie powiesz? - zapytał Michael z nadzieją w głosie.

- Nie, ja jej o tym nie powiem, lecz chciałbym postawić ci pewien warunek. Od tej chwili ty i twój sprytny koleżka przestajecie węszyć wokół nas i zostawiacie nas w spokoju. Żadnych nacisków, żadnego pociągania za sznurki. Jeżeli Julia i ja zdecydujemy się pobrać, zrobimy to wtedy, kiedy obydwójce będziemy tego chcieli. I dlatego, że będziemy chcieli, a nie dlatego, że mój tata i jej dziadek myślą, że tak będzie lepiej. Umowa stoi?

- Oczywiście, synu, że tylko wy będziecie mogli podjąć tę decyzję. Nikt inny tego za was nie robi. W końcu od niej zależy wasze szczęście. Ale moje też, bo niczego bardziej nie pragnę, jak tego, żebyś był szczęśliwy.

To wyznanie całkowicie rozbroiło Patryka.

- Wiem, że chcieliście dobrze - uśmiechnął się mimo woli - ale nie muszę ci chyba przypominać, że dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane.

- Spokojna głowa, synu. Wszystko będzie dobrze. - Michael odsunął szufladę biurka i zaczął czegoś w niej szukać.

- Zaraz, do licha. Gdzie ja to mam? A, jest! Weź to, Patryku
- powiedział, podając mu pudełeczko obciążone białą satyną.
- Jeśli zdecydujesz, że Julia jest kobietą, z którą chciałbyś spędzić życie, daj jej to. Kiedy kupowałem go dla twojej matki, nie było mnie stać na brylanty, dlatego wybrałem ten topaz. A ona zawsze potem mówiła, że to jest promień słońca zamknięty w kamieniu, i nigdy nie chciała wymienić oczka.

-Tato... \

- Nie, nie, weź go. Od dawna planowałem dać ci ten pierścionek, gdy przyjdzie odpowiedni czas. Prawdę mówiąc, takie było życzenie twojej matki. Myślę, że Julia podobałaby się twojej matce.

- Tak - Patryk wziął pudełeczko z głębokim westchnieniem - na pewno by się jej podobała.

Julia po raz trzeci otworzyła walizkę, którą zamierzała zabrać do Hyannis Port, i po raz trzeci zaczęła przeglądać jej zawartość. Problem z wyborem odpowiednich ubrań wynikał prawdopodobnie stąd, że nie potrafiła myśleć o niczym innym, tylko o związku z Patrykiem. Najbardziej zdumiewała ją zmiana, jaka niespodziewanie w nim zaszła. Z dnia na dzień stał się towarzyski i rozrywkowy. Upierał się, żeby co wieczór wychodzili z domu, jadali w restauracjach, chodzili potańczyć. Taki nagły apetyt na zabawę był bardzo dziwny w przypadku domatora, który do niedawna najbardziej lubił spędzać czas we własnych czterech ścianach.

Prawdę mówiąc, Patryk doprowadzał ją do szału tą gwałtowną zmianą przyzwyczajzeń. Mimo to robiła, co w ludzkiej mocy, żeby się do niego dostosować, choć tolerowanie jego nowych upodobań przychodziło jej z coraz większym trudem. Z drugiej strony zaczęła też poważnie się obawiać, że nie wytrzyma dłużej odgrywania roli cudownej gospodyni, która co wieczór pitrasi co innego, więc jądanie w restauracjach miało przynajmniej tę dobrą stronę, że odrywało ją od kuchni.

Niestety, gotowanie nie było jej pasją i natura najwyraźniej poskapiła jej talentu w tej dziedzinie. Tak się jednak pechowo złożyło, że Patryk zdawał się lubić jej kuchnię i chwalił każdą potrawę, którą dla niego przygotowała. Widocznie miał żołądek jak struś i potrafił strawić wszystko, nawet tłuczone szkło. Podczas gdy ona ze smętną miną dziobała w talerzu, on pochłaniał w mgnieniu oka całą swoją porcję.

Ich zachowanie w sypialni również uległo dużej zmianie. Kochali się ze sobą jeszcze częściej, za to dużo łagodniej, delikatniej. Patryk był tak czuły i troskliwy, że serce jej miękło jak wosk za każdym razem, gdy trzymał ją w ramionach. Z coraz większą niecierpliwością czekała na moment, kiedy wreszcie powie jej, że ją kocha.

Na próżno - Patryk wciąż milczał jak grób.

W roztargnieniu wyciągnęła z walizki jakiś sweter, rozłożyła go, złożyła, i z powrotem wcisnęła tam, gdzie był. Tak bardzo czekała na to wyznanie, tak bardzo za nim tęskniła. Mimo to za żadną cenę nie powiedziała mu tego pierwsza. Nigdy. I tak już poszła na mnóstwo kompromisów. Przynajmniej w tym jednym punkcie musiała pozostać wierna swoim zasadom.

Na dodatek Patryk właśnie dzisiaj się spóźniał. Wiedział, że to ostatnia chwila, którą mogą spędzić razem przed świętami. Wiedział, że Julia powinna wyjść najdalej za godzinę, jeśli chce dotrzeć do domu dziadków przed zapadnięciem zmroku. Wiedział, a jednak wciąż go nie było.

Weź się w garść, bo zachowujesz się jak chora z miłości histeryczka, nakazała sobie w duchu. Jeśli go nie ma, to jego strata, dodała, po czym wstała energicznie i zasunęła walizkę, nie myśląc o tym, czy na pewno zabrała wszystkie potrzebne rzeczy. Postanowiła, że nie będzie dłużej na niego czekać. Jeśli jemu się nie spieszy, ona nie będzie naginała swoich planów do jego zachowań!

Zaniosła walizkę do samochodu i wróciła po stos toreb i torebek, w których miała zapakowane prezenty. Musiała biegać

po schodach w tę i z powrotem, co naturalnie nie wpłynęło na poprawę jej nastroju. Kiedy więc samochód Patryka zatrzymał się wreszcie na podjeździe, była wściekła jak osa.

Niestety, Patryk również nie był w śpiewającym nastroju. Cały dzień spędził na budowie pod Bostonem, bo robota nie szła tak, jakby sobie tego życzył. Efekt był taki, że musiał tam jeszcze wrócić wieczorem i zakasać rękawy, choć była Wigilia. Na domiar złego ruch był obłądny i dobrą godzinę spędził w gigantycznym korku. Bardzo nie lubił się spóźniać, toteż jechał szybko, chcąc nadrobić stratę czasu. Oczywiście złapała go policja i wlepiła słony mandat za przekroczenie prędkości oraz przejechanie skrzyżowania na czerwonym świetle, choć on był pewien, że przejechał je na żółtym. A kiedy wreszcie dotarł do Beacon Bay, Julia właśnie odjeżdżała.

Wyskoczył z samochodu i z całych sił trzasnął drzwiami. Idąc w kierunku auta Julii, powtarzał sobie, że musi być miły, bo są święta, a on ma przed sobą kobietę, którą kocha.

- Wiem, że jestem trochę spóźniony - zaczął, biorąc od niej ciężką torbę, którą próbowała właśnie upchnąć na tylnym siedzeniu.

- To dokładnie tak samo jak ja - burknęła, nie patrząc nawet w jego stronę.

- Wszędzie są straszne korki. Lepiej zrobisz, jeśli poczekaś jeszcze godzinę. Potem powinno być luźniej.

- Dzięki, obejdzie się bez twoich rad. Dodam tylko, że gdybyś raczył zjawić się punktualnie, dawno byłabym w drodze.

- Przepraszam, zatrzymało mnie coś pilnego. Mamy spore opóźnienie na budowie za miastem. - Walczył, żeby nie dać się sprowokować, ale czuł, że złość kotłuje się w nim coraz bardziej. - Masz jeszcze jakieś torby?

- Tak. - Odwróciła się i poszła do domu. - To są trzy ostatnie - powiedziała, kiedy stanął obok niej na progu salonu.

- Trochę w tym roku poszaleliśmy, co? - zapytał lżejszym tonem. Miał nadzieję, że żarty rozładują narastające napięcie.

- Lubię dawać prezenty - odparła zimnym tonem. Podeszła do choinki, schyliła się i wyciągnęła spod gałązek podłużny pakunek. - Ten na przykład jest dla ciebie. - Niemal rzuciła w niego pudełkiem.

- Wielkie dzięki. - Bez otwierania wsunął je do kieszeni, bo chciał mieć wolne ręce do noszenia toreb. - Hej, co cię ugryzło, MacGregor?

- Skoro nie wiesz, to już się nie dowiesz.

Przeszła obok niego, jakby był powietrzem. Zatrzymała się w progu i pobrzękując wymownie kluczami, czekała, aż wyjdzie na zewnątrz.

- Posłuchaj, nie po to pędziłem tu jak wariat i płaciłem mandat, żeby teraz wysłuchiwać twoich wymówek.

- To nie moja wina, że nie umiesz jeździć ostrożnie. Teraz przynajmniej rozumiem, dlaczego masz taki zwarzony humor.

- Ja mam zwarzony humor? Co w takim razie powiesz o sobie? Czepiasz się mnie od samego początku.

- Słuchaj, kolego - westchnęła, jakby nudziła ją ta sprzeczka - naprawdę nie mam czasu się kłócić. I tak jestem spóźniona. Przez ciebie.

- W porządku! - Nerwowo sięgnął do kieszeni i wyszarpanął z niej podłużne pudełko z pogniecioną wstążką. - To dla ciebie. Do zobaczenia.

Kilkoma susami dopadł samochodu, po czym zatrzymał się, jakby sobie o czymś przypomniał. Szybko odwrócił się, podszedł do niej i mocno chwycił ją w ramiona. A potem pocałował tak brutalnie, że aż ją zabolowało.

- Wesołych Świat!

- Nawzajem! - krzyknęła za nim i patrzyła, jak Patryk wsiaada do samochodu. Zaczekała, aż odjechał, a kiedy całkiem zniknął jej z oczu, rozplakała się z wściekłości i żalu.

Rozdział trzydziesty

To koniec, nie chcę więcej go widzieć.

Popełniłam największy błąd w swoim życiu.

Te dwa zdania powracały jak echo w jej myślach przez całą drogę do domu dziadków. Ruch był rzeczywiście ogromny, korki piekielne, więc miała dość czasu, żeby wszystko dokładnie przemyśleć. Nie mogła sobie darować, że sama jest temu winna. Najpierw wmówiła sobie, że kocha tego kretyna Murdochochę, a potem zaczęła odgrywać przed nim beznadziejną komedię, dzięki której on też miał ją pokochać. Sama nie wiedziała, skąd przyszło jej do głowy, że udając kogoś innego, zasłuży sobie na miłość. Przez kilka tygodni miotała się jak idiotka po kuchni, starając się mu dogodzić i czytając głupie przepisy. Nienawidziła tego cyrku, a mimo to dobrowolnie powtarzała codziennie ten sam schemat.

Całe szczęście wreszcie przejrzała na oczy. Przypomniała sobie, że jest samodzielną, niezależną osobą, która sama decyduje o swoim życiu i robi to, na co ma ochotę. Jak tylko spotka się z Patrykiem, powie mu, że ich związek już jej nie odpowiada, bo ją męczy i ogranicza. Dlatego najlepiej będzie, jeżeli natychmiast przestaną się spotykać.

Ta Wigilia była chyba najczarniejszym dniem w całym jej życiu. Nigdy jeszcze nie czuła się bardziej nieszczęśliwa. Mimo to robiła wszystko, żeby nikt z rodziny nie zorientował się, w jakim jest stanie. A jeśli od czasu do czasu ktoś pytał ją, dlaczego ma taką smutną minę, zawsze znajdowała miliony wymówek. A to bolała ją głowa, a to źle spała w nocy, a to myślała o nowej inwestycji. Musiała być niezłą aktorką, skoro

wszyscy wierzyli w to, co mówiła. W taki oto sposób jakoś przeżyła najsmutniejsze Boże Narodzenie i w nie najlepszym humorze wróciła do Bostonu.

Pierwszy wieczór po świętach miała spędzić samotnie w domu. Włączyła światełka na choince, lecz ich barwne migotanie nie sprawiało jej żadnej przyjemności. Mimo to postanowiła, że ich nie wyłączy. Nie miała zamiaru pozwolić, żeby nieporozumienie z Murdochem zepsuło nastrój świątecznego tygodnia. Dla zajęcia myśli czymś konkretnym zaczęła obmyślać ostatnie szczegóły związane z przyjęciem, którym chciała powitać Nowy Rok. A Murdoch, który miał z nią to przyjęcie przygotowywać? Cóż, skontaktuje się z nim dopiero wtedy, kiedy wszystko będzie ustalone.

Odruchowo spojrzała na telefon. Właściwie nie spodziewała się, że Patryk do niej zadzwoni, a nawet wcale tego nie chciała. Mimo to była zła, że telefon milczy jak zaklęty. Instynktownie dotknęła pięknego naszyjnika, który dostała od Patryka w prezencie. Była to stara jubilerska robota, o jaką dziś niezwykle trudno - drobnitkie perełki i granaty tworzyły misterną mozaikę w oprawie z białego złota. Przypomniła sobie swoje zaskoczenie, kiedy rozpakowała ów prezent. Dostała naszyjnik, który wcześniej oglądała w jednym ze sklepów ze starą biżuterią, jednak w ferworze świątecznych zakupów zrezygnowała ze zrobienia sobie przyjemności, jaką byłoby kupno tej niezwyklej ozdoby. Spojrzała na to cacko tylko raz, nawet nie mówiła, że bardzo jej się podoba. Mimo to Patryk musiał dostrzec zachwyt w jej oczach, kiedy pochylała się nad przeszkloną gablotą.

Świadomość tego, że Patryk Murdoch próbował odgadnąć jej marzenia, sprawiła, że znowu zachciało jej się płakać. Powstrzymała się jednak i powlokła do biurka, by uzupełnić listę spraw związanych z przyjęciem. Sporo udało się już załatwić. Firma cateringowa była wybrana i opłacona, menu zaakceptowane, kwiaty i muzyka zamówione. Wyglądało na to, że nie

* zostało wiele do zrobienia. Znowu ogarnęło ją przygnębienie,

a w oczach zakręciły się łzy. Wściekła na siebie za tę słabość, zerwała się z krzesła i pobiegła do holu. Szybko włożyła płaszcz, niedbale omotała szalik. Czuła, że nie wytrzyma samotności ani chwili dłużej. Musiała wyjść z tego domu, gdzie każdy kąt przypominał jej to, co przeżyła z Patrykiem.

Przez całą drogę do domu Julii, Patryk wymyślał sobie od najgorszych mięczaków, co to trzymają się rąbka babskiej spódnicy zamiast powiedzieć „koniec” i nie pojawić się więcej w życiu kobiety, która nim wzgardziła. Przekonywał samego siebie, że do niczego nie dojdzie, postępując jak szczeniak, którego skarcili, a on mimo to łasi się do nóg. Ale w końcu musiał się poddać. Pragnienie ujżenia Julii było silniejsze od wszystkiego.

Tylko po co właściwie gna do niej na złamanie karku? Żeby zobaczyć ją, usłyszeć jej głos, poczuć znajomy zapach? A może pozwolić, żeby znów bezceremonialnie wywaliła go za drzwi? Było mu naprawdę wszystko jedno, bo nic nie mogło być gorsze niż tęsknota, która dręczyła go z każdym dniem coraz bardziej. Przesiedział dwa dni z wzrokiem wlepionym w telefon, łudząc się naiwnie, że Julia się odezwie. W końcu to ona wyjechała z miasta, więc to ona pierwsza powinna nawiązać z nim kontakt po powrocie. Nie zrobiła tego, a on i tak pojechał. Próbował ratować honor, wmawiając sobie, że chce jej jedynie powiedzieć, że w ich związku trzeba coś zmienić, że albo znowu będzie tak, jak było miesiąc temu, albo on rezygnuje i niech Julia robi, co chce. Prawda była jednak taka, że po prostu chciał ją znowu zobaczyć, choćby tylko na chwilę.

Gdy podjechał pod dom i zorientował się, że nie ma jej samochodu, chciało mu się wyc z rozpacz. Wściekłość, którą czuł jeszcze przed chwilą, całkiem z niego wyparowała. Został tylko tępy ból i obezwładniająca tęsknota. Wyłączył silnik i zapatrzył się tępo w purpurowe światła choinkowych lampek, które mrugały do niego z okien salonu.

Boże, co ta kobieta ze mnie zrobiła?

Westchnął ciężko i sięgnął do kieszeni płaszcza, z której wyciągnął stary, pozłacany zegarek na łańcuszku. Popatrzył na tarczę, której upływ czasu dodał tylko szlachetności. Nie mógł wprost uwierzyć, że ta sama osoba, która potrafiła wybrać dla niego tak wspaniały prezent, była jednocześnie zdolna zadawać mu takie cierpienie.

Najgorsze było jednak to, że zupełnie nie potrafił poradzić sobie ze swoim żalem i zupełnie nie umiał wyobrazić sobie życia bez Julii. Tylko z nią jego świat miał jakiś sens. Bez niej czuł się pusty i niepotrzebny. Przez te kilka dni, kiedy nie było jej obok niego, usiłował zapomnieć o niedawnym szczęściu. Wynajdywał sobie coraz to nowe zajęcia, próbował planować przyszłe prace. Jednak wszystko to były tylko pozory. Tak naprawdę nie obchodziło go, co zrobi i ile zarobi, ani to, czy dotrzyma terminu i czy klient będzie zadowolony. W jego życiu liczyła się tylko Julia MacGregor, kobieta, która nie chciała mieć z nim więcej do czynienia. Po raz pierwszy w życiu Patryk poczuł się całkowicie przegrany.

- I jak ci się podoba? Wyszło doskonale, prawda? - Julia próbowała pomalować usta, ale dłonie trzęsły jej się tak bardzo, że musiała odłożyć szminkę. - Tak się cieszę, że ty i dziadek przyjechaliście trochę wcześniej. Wszystko jest już gotowe. Czy uwierzysz, babciu, że jestem trochę zdenerwowana? Jak nigdy dotąd. Może to dlatego, że to pierwsze przyjęcie w moim własnym domu. Och, nawet nie wiesz, jak bardzo bym chciała, żeby wszystko się udało. No, babciu, jak wyglądam? Ładnie?

Anna w milczeniu przyglądała się wnuczce. Widok Julii sprawiał jej ogromną przyjemność, bo ta wyglądała tego wieczoru naprawdę pięknie. Miała na sobie ciemnozieloną suknię z płytkim, łódkowym dekoltem, długimi rękawami i króciutką spódnicą. Zieleń aksamitu wspaniale podkreślała niezwykłą urodę płomiennych loków, które tym razem zostały upięte wysoko w elegancki kok.

- Wyglądasz przepięknie, Julio. Może więc zostawisz już to lustro w spokoju i znajdziesz chwilę czasu, żeby ze mną porozmawiać?

- Babciu, przepraszam, ale naprawdę nie mogę! Muszę przypilnować kelnerów, zobaczyć, czy wszystko gotowe. Zaraz zaczną przychodzić goście...

- Julio, bardzo cię proszę. - Anna wzięła ją za rękę, łagodnie, ale zarazem stanowczo. - W końcu ja też jestem twoim gościem. Usiądźmy gdzieś i powiedz mi, co ci leży na sercu. Widzę przecież, że cierpisz.

- Bo ja już sama nie wiem, co myśleć - westchnęła Julia. - Ani co robić. Wszystko tak strasznie się poplątało. Widzisz, babciu, zakochałam się w Patryku Murdochu, ale coś się między nami popsuło. I teraz zupełnie nie potrafię dać sobie rady ze sobą, z moimi uczuciami... i w ogóle. Bardzo chciałabym przestać o nim myśleć, ale nie mogę!

- Chodź, kochanie. Usiądź obok mnie. - Anna pociągnęła ją w stronę małej sofy w rogu sypialni. - Powiedz mi, moja droga, dlaczego chciałabyś przestać myśleć o Patryku?

- Bo on mnie nie kocha! Obawiam się, że w tej chwili wręcz mnie nienawidzi. Najgorsze, że sama wszystko popsułam, chociaż naprawdę nie chciałam. Bardzo się starałam, bardzo. Wierzysz mi? - Julia spojrzała ufnie w oczy babci, jak wtedy, kiedy była małą, ośmioletnią dziewczynką i przekonywała Annę, że to nie ona wychodziła wieczorem przez okno.

- Wierzę - skinęła głową Anna.

- A już przestałam się z nim kłócić. Nic nie mówiłam, nawet kiedy nie miał racji. Gotowałam mu te cholerne obiady. I wszystko na nic. Posprzecaliśmy się w Wigilię. On pojechał w swoją stronę, ja w swoją. A kiedy wróciłam, nawet do mnie nie zadzwonił.

- A ty do niego zadzwoniłaś?

- Nie. I nie zamierzam tego robić, dopóki on nie odezwie się pierwszy! Tego dnia, kiedy widzieliśmy się ostatni raz, on

się spóźnił, babciu. I nawet mnie za to nie przeprosił. Boże, zaraz się popłaczę i rozmażę sobie cały makijaż.

- To go poprawisz. O ile rozumiem, posprzeczałaś się z Patrykiem i jeszcze się nie pogodziliście, tak?

- Niezupełnie. My się zawsze kłócimy, bo... bo tak lubimy - zakończyła z tragicznym westchnieniem. - Kiedy jednak zorientowałam się, że jestem zakochana, postanowiłam trochę się zmienić. Stałam się bardziej uległa, bo pomyślałam sobie, że jeśli będę mu potakiwać, jeśli zrobię kilka obiadów, to on też mnie pokocha. I powie mi o tym, a wtedy ja będę mogła mu powiedzieć, co do niego czuję. O rany... - zasłoniła oczy dłonią - wiem, że to wszystko brzmi strasznie głupio. Tak głupio, że sama nie mogę uwierzyć, że to mówię.

- To się zdarza, Julko. Czasami miłość zabija szare komórki - roześmiała się Anna. - Jeśli chcesz znać moje zdanie, to myślę, że popełniłaś błąd, udając przed nim kogoś innego - dodała już poważnie.

- Na to wygląda. Tak bardzo chciałam, żeby mnie pokochał, że chyba straciłam rozum. Myślałam, że jeśli zdobędę jego miłość, wszystko się między nami ułoży. A teraz szlus, przepadło. On mnie nie kocha, ja chcę przestać go kochać.

- Chcesz przestać go kochać? - Anna popatrzyła na wnuczkę z niedowierzaniem.

- Tak, bo jest wstrętnym, aroganckim typem, który gotów jest kłócić się o byle bzdurę!

- Proszę, wytrzymaj sobie oczy i natychmiast przestań płakać, bo naprawdę nie warto. Mówisz, że jest arogancki i stanowczy, że walczy o swoje zdanie. Ale przyznaj szczerze, z twojego punktu widzenia to chyba dobrze. Sama znasz siebie najlepiej i wiesz, że gdyby tak nie było, weszłabyś mu na głowę. Nie oszukuj się, moja droga, nie zniosłabyś obok siebie słabego mężczyzny.

- Wiem - potulnie przytaknęła Julia.

- Poza tym życie dało ci nauczkę, z której powinnaś wyciągnąć wnioski.

- Wiem. Że uczuć nie da się zaplanować. Że miłość przychodzi, kiedy chce, i czasem nie ma ochoty odejść.

- Ano właśnie. A jaki z tego wniosek dla ciebie?

- Jeszcze nie wiem.

- Nie masz zamiaru powiedzieć Patrykowi, co do niego czujesz?

- Co!?! Żeby mnie wyśmiał? Albo jeszcze gorzej, zaczął się nade mną litować!

- Ej, chyba nie myślisz, że tak właśnie by było.

- Sama nie wiem, babciu - Julia znów westchnęła i pocałowała Annę w ciepły policzek. - Ale nie martw się o mnie. To mi przejdzie. - Wstała i podeszła do lustra, by poprawić makijaż. - Przepraszam, że tak się rozkleiłam. Lepiej chodźmy już na dół. Przecież nie przesiedzimy mojej parapetówki w sypialni. Chciałam, żeby ten sylwester był wyjątkowy, i taki będzie. Nowy Rok, nowy dom i nowe życie!

- Hop-hop! Gdzie są moje dziewczyny? - za drzwiami rozległ się tubalny głos Daniela MacGregora, który już po chwili stanął przed nimi z trzema kieliszkami szampana na srebrnej tacy. - A, tu się chowacie, ślicznotki! To nieprzyzwoite, żeby kobiety były takie piękne. Ale co zrobić. Piję wasze zdrowie!

Postawił tacę na stoliku i z uśmiechem podał im szampana. Kiedy jednak dostrzegł na policzkach Julii ślady łez, natychmiast spowaźniał.

- A co się tu dzieje? Dlaczego moja mała dziewczynka płacze?

- Nic takiego, dziadziu, naprawdę.

- Więc skąd tyle łez?

- Ach, dziadku - Julia przytuliła się do jego ramienia z wymuszonym uśmiechem - to nie wie dziadek, że wszystkimu winni są mężczyźni?

- Co znowu zrobił ten chłopak? - zaperzył się Daniel. - Mów natychmiast! Jeżeli wyrządził ci krzywdę, będzie miał ze mną do czynienia!

Julia roześmiała się cicho, słysząc dziadkowe pogrózki, ale zaraz potem spoważniała i zapytała, patrząc na niego podejrzliwie:

- Jaki znowu chłopak? O kim dziadek mówi?

- Jak to jaki? Też pytanie! Młody Murdoch, a któż by inny! To porządny chłopak i Bóg mi świadkiem, że bardzo go lubię, ale za nic w świecie nie pozwolę, żeby moja wnuczka przez niego płakała. Powiedz mi tylko, co narozrabiał, a już ja się nim zajmę.

- To ty mi lepiej powiedz, od jak dawna się tym zajmujesz?
- zapytała, patrząc mu prosto w oczy, lecz on, pochłonięty własnymi myślami, nie dostrzegł jej złowrogiego spojrzenia.

- Do czego to podobne, żeby moja wnuczka musiała przez niego płakać? - powtarzał i kręcił w zagniewaniu głową. - I to w chwili, kiedy powinna śmiać się i tańczyć na swoim przyjęciu. Już ja z nim porozmawiam, już ja go nauczę, czekajcie no. A jak skończę, to...

- Dziadku! Pytałam, skąd dziadek wie, że płacę przez Patryka Murdocha!

- No przecież sama mi powiedziałaś. Nie? - Daniel zrozumiał, że trochę się zagalopował, więc zaczął szukać ratunku u żony. Niestety, Anna patrzyła na niego z kamienną twarzą i najwyraźniej nie miała zamiaru mu pomóc. - No, zresztą, nie mówmy już o tym. Lepiej wnieśmy toast za pomyślność tego domu! - zakrzyknął i ochoczo zakrzętnął się koło kieliszków.

- Nie, dziadku - Julia pokręciła z uporem głową. - Najpierw powiesz mi, jak to wszystko obmyśliłeś. No, jak? - spytała. - Ani nie namawiałeś mnie do kupna tego domu, ani nie prosiłeś Patryka, żeby zastąpił ojca. Skąd zresztą mogłeś wiedzieć, że Michael się rozchoruje?

- No właśnie. - Daniel pospiesznie wcisnął jej szampana. - Piję za twoje szczęście, mój ty pracusiu! Dom jest naprawdę piękny, i co by o nim nie mówić, ten cały Patryk odwalił tu kawał dobrej roboty.

Julia nie była w nastroju do wznoszenia toastów. Ciągle myślała, w jaki sposób Daniel mógł zaaranżować to, co spotkało ją i Patryka.

- Dziadku, dziadek przyjaźni się z Michaelem Murdochem, prawda?

- Moje dziecko, znam tę rodzinę od lat. Porządni z nich ludzie, uczciwi, lojalni...

Podeszła do niego bliżej. Jej wzrok ciskał gromy, więc Daniel uznał, że pora ratować się ucieczką. Nim jego wnuczka zdążyła otworzyć usta, jednym susem dopadł drzwi i krzyknął na całe gardło:

- Goście! Idą goście! Nic się nie martw, moja mała, przywitam ich w twoim imieniu. Anno, pomóż dziewczynie jakoś się pozbierać, a ja już się zajmę wszystkim na dole.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem, jak on to zorganizował - stwierdziła Julia bezradnie, gdy zostały same. - Ale wiem, że to na pewno jego sprawka.

- I pewnie masz rację - zgodziła się Anna, z trudem powstrzymując uśmiech. - Niestety, Daniel jest już za stary, żeby się zmienić. Taki już jest, że można albo go kochać, albo nie znosić.

I jakie to teraz ma znaczenie, myślała Julia, idąc w dół po schodach. Nieważne, jaki był plan dziadka, ważne, że nie wypalił. Ona i Patryk dołożyli wszelkich starań, żeby tak się stało. Remont domu był skończony, a wraz z nim ich przygoda.

Na chwilę przystanęła na półpiętrze i popatrzyła na hol i salon, w którym zebrała się rodzina i przyjaciele. Dom wypełniały tony dyskretnej muzyki, zmieszane ze śmiechem oraz gwarem rozmów. Wszystko wyglądało tak, jak sobie wymarzyła. Grono bliskich jej osób spotkało się, aby podziwiać jej dzieło i świętować Nowy Rok w domu, który sama zaprojektowała.

U podnóża schodów czekała na nią matka.

- Kochanie, twój dom jest przepiękny!

- Tak, to prawda. Zaraz po Nowym Roku zgłaszam go do agencji nieruchomości.

- Co takiego?

- Chcę go sprzedać. Nie mogę tu mieszkać, bo... - zrobiła pauzę i przebiegła spojrzeniem po jasnym salonie, zatrzymując się na moment na każdym detalu - bo za dużo tu śladów Patryka Murdocha - dokończyła i uśmiechnęła się smutno do matki.

- Julio - zatroskana Shelby delikatnie ścisnęła ramię córki - nie powinnaś robić niczego pod wpływem emocji. Po co ten pośpiech?

- To nie jest żaden pośpiech. To konieczność. Nie martw się, mam, dam sobie radę. - Julia przytuliła policzek do matczynego policzka. - Może przeniosę się na jakiś czas do Waszyngtonu?

- Wiesz, że bylibyśmy szczęśliwi, mając cię blisko, ale nie sądzisz, że najpierw powinnaś wszystko jeszcze raz przemyśleć?

- Przemyślę, nie bój się. Na pewno nie zrobię żadnego głupstwa. Powiedz mi lepiej, co to za stworzenie czepia się ramienia mojego brata.

- Ach, to jego najnowsza miłość. Spotkał ją na wakacjach nad morzem. Jest poetką. - Shelby uniosła wymownie oczy do góry.

- Nie musisz tłumaczyć - roześmiała się Julia. - Naprawdę tak bardzo cię irytuje?

- Jeszcze jak! Mam nadzieję, że D.C nie myśli o niej poważnie, bo gdyby tak było... - urwała nagle w pół słowa i zapatrzyła się w jakiś punkt za plecami Julii. - Kochanie, masz chyba jeszcze jednego gościa - powiedziała z ciepłym uśmiechem, po czym pocałowała córkę w policzek i zmieszała się z tłumem gości.

- Tak? Kogo? - zaskoczona dziwnym zachowaniem matki, Julia odwróciła się i zaczęła rozglądać po salonie.

Nie musiała się jednak rozglądać, bo dokładnie naprzeciw niej stał Patryk Murdoch. Ledwie go poznała, tak bardzo zmienił go wieczorowy strój. Specjalnie na tę okazję włożył ciemny garnitur i krawat, który, sądząc po ruchach głowy, bardzo mu przeszkadzał. Odruchowo podziękował kelnerowi za wino i zrobił krok w jej stronę.

- Witaj - powitała go z promiennym uśmiechem idealnej pani domu. - Miło znów cię widzieć. Czego się napijesz? - zapytała tak, jakby pytała znajomego, a nie kochanka, z którym spędziła wiele nocy.

- Masz może jakieś piwo?

- Oczywiście - skinęła na kelnera - pan Murdoch ma ochotę napić się piwa. Chyba nie muszę cię przedstawiać, bo znasz tu prawie wszystkich - znów obdarzyła Patryka uprzejmym uśmiechem.

- Owszem.

- Gdybyś chciał jednak poznać kogoś, z przyjemnością ci pomogę.

- Dzięki, poradzę sobie.

- W to nie wątpię. Jak święta?

- W porządku. A twoje?

- Wspaniałe. Mieliśmy nawet trochę śniegu.

- A my pluchę.

- Aha...

Wziął szklanekę z piwem i burknął jakieś podziękowania, których kelner z pewnością nie dosłyszał. Zauważył, że Julia włożyła naszyjnik, który dał jej w prezencie, więc powiedział bez cienia uśmiechu:

- Pasuje do ciebie.

- Nie do mnie, tylko do mojej sukienki. W każdym razie dziękuję za oryginalny prezent. A jak ci się nosi zegarek?

- Dobrze. - Machinalnie włożył rękę do kieszeni. - Stary mechanizm, a wciąż chodzi idealnie. Dziękuję.

- Proszę bardzo. Może spróbujesz czegoś z bufetu? Jedze-

nie jest podobno wyśmienite. Przepraszam, ale muszę cię na chwilę opuścić...

Chciała odejść, lecz nim zdążyła zrobić krok, Patryk mocno chwycił za przegub jej dłoni i przyciągnął ją lekko do siebie.

- Co chcesz udowodnić, rozmawiając ze mną w taki sposób?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Przede mną nie musisz błaznować i udawać wielkiej damy. Za dobrze cię znam, MacGregor.

- Ja też cię znam, Murdoch. I dlatego proszę, zostaw mnie w spokoju.

- Zostawię, nie bój się. Ale najpierw chciałbym usłyszeć odpowiedź. Czekałem na nią bardzo długo, ale nie nadeszła, więc sam musiałem się pofatygować.

- Szukasz odpowiedzi? Musiałeś się po nią pofatygować? No to masz tę swoją odpowiedź! - krzyknęła i niewiele myśląc, oblała go jego własnym piwem.

Już za sekundę gorzko tego pożałowała. To, co zrobiła, było chamskie i głupie. Kilka osób dostrzegło tę scenę, zrobiło się małe zamieszanie. Gwar rozmów gwałtownie ucichł i po chwili wszyscy patrzyli w ich stronę. Jednak wyraz oczu Patryka wyraźnie mówił jej, że nie może się teraz wycofać.

- Teraz, Murdoch, kiedy już poznałeś moją odpowiedź, możesz wyjść - wycedziła przez zaciśnięte zęby, po czym odwróciła się do niego plecami i miała zamiar odejść z dumnie podniesioną głową.

Niestety, nie było jej to dane. Nim przeszła metr, Patryk dopadł ją, chwycił mocno i przerzucił sobie przez ramię. A potem, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że Julia z całych sił okłada go pięściami, ruszył z nią w stronę schodów prowadzących na górę.

Goście zamarli z wrażenia. Nikt nie pisnął nawet słowa, dlatego donośny głos Daniela MacGregora zabrzmiał w salonie niczym dzwon pośród kościelnej ciszy.

- Michael, mój stary druhu, na mój gust jak nic będą z tego dzieci!

- Oby, oby! - odparł Michael Murdoch, choć był w równym stopniu zdumiony, co zadowolony z powodu takiego finału tej sceny.

- Trzeba to natychmiast opić! - Daniel pokiwał głową, obserwując z rozbawieniem, jak jego wierzgająca wnuczka znika na galerii pierwszego piętra. - Proszę państwa, zapraszam do baru! Stawiam wszystkim pierwszą kolejkę!

Patryk szedł prosto do sypialni. Nie zważał na krzyki Julii, która walczyła zawzięcie o godność, rozdzając mu kopniaki i ciosy. Całkowicie ją ignorował, tak jak nie zwracał uwagi na mokry przód marynarki i wstrętny zapach rozlanego piwa. Trzymając ją mocno, żeby się nie wyrwała, otworzył pokój, a potem wniósł ją do środka i zatrzasnął drzwi silnym kopniakiem. Przekreślił jeszcze klucz, po czym bezceremonialnie cisnął Julię na środek łóżka, jakby była workiem ziemniaków.

Dopiero teraz mógł zająć się sobą. Ściągnął zamoczoną marynarkę i zdjął z szyi przekłety krawat, który dusił go jak chomać. Julia tymczasem rzucała się na łóżku w prawdziwym ataku szału. Próbowwała go opluć, złorzecząc przy tym tak okropnie, że niejeden robotnik poczułby się przy niej zażenowany. Kiedy zaś próbowała wygrzebać się spomiędzy kołdry i narzuty, dopadł do niej i jednym ruchem przewrócił ją na plecy.

- Zamknij się i leż spokojnie! - nakazał ponurym głosem.

- Myślisz, że możesz mi rozkazywać? W dodatku po tym, jak mnie skompromitowałeś przy moich gościach?

- Sama zaczęłaś. Co ci strzeliło do głowy? Jednego dnia jesteś aniołem, następnego dnia wiedźmą! Dziś skaczesz koło mnie na palcach, jutro udajesz, że się nie znamy! I nawet nie raczyłaś do mnie zadzwonić po powrocie!

- Ja nie raczyłam! Ja! A ty co, połamałeś sobie palce, że nie byłeś w stanie wystukać mojego numeru? - wrzasnęła dzi-

ko i zaraz potem, ku jego przerażeniu, a swemu upokorzeniu, schowała twarz w dłoniach i zaczęła głośno szlochać.

- Przestań, Julka. Bardzo cię proszę, natychmiast przestań!
- Kompletnie zbity z tropu, zacisnął palce na jej włosach. - No dobrze, już dobrze. Przepraszam cię. Bardzo przepraszam.

- Za co? - zapytała, pochlipując cicho.

Za wszystko, tylko przestań tak rozpaczać, pomyślał, wzruszony jej łzami. Nawet przez chwilę nie sądził, że ta kobieta potrafi płakać!

Julia tymczasem zanosila się od płaczu.

- Ty nawet nie wiesz... nawet nie wiesz...

- Czego nie wiem?

- Niczego! Idź stąd! Zabieraj się! Nie chcę, żebyś patrzył, jak robię z siebie kretynkę!

- Widziałem to wiele razy, więc ten jeden nie robi różnicy. No, daj spokój... - Usiadł obok niej i pochylił się, żeby po przyjacielsku poklepać jej plecy. I pewnie by to zrobił, gdyby jej usta nie były tak blisko jego ust. Nim dobrze pojął, co się dzieje, posadził ją sobie na kolanach i ucałował potargane włosy. A potem przytulił do siebie Julię z całych sił i zamknął oczy. - Tak bardzo za tobą tęskniłem - wyszeptał z ustami przy jej skroni. - Tak strasznie...

- Naprawdę? - Poczul jej dłonie na swoich włosach. - Naprawdę? - powtórzyła.

- Ty nawet nie wiesz - westchnął i dotknął czołem jej spoczonego czoła. - Przeszło ci już?

- Chyba tak, przepraszam...

- Za co?

- Przede wszystkim za to, że oblałam cię piwem.

- Naprawdę nie wiem, co ci strzeliło do głowy - uśmiechnął się nieznacznie.

- Ale to była też twoja wina. Po co mnie zdenerwowałeś? Przyrzekam, że osobiście odniosę twój garnitur do pralni - uśmiechnęła się do niego przez łzy.

- Czy mam już teraz go zdjąć?

To miał być żart, ale skutek okazał się dokładnie odwrotny. Po policzkach Julii znowu popłynęły łzy.

- Proszę cię, Julka, tylko nie zaczynaj od początku!

- Nie chcę, ale sama nie wiem, co się ze mną dzieje. - Podeszła do lustra i przelotnie spojrzała na swój rozmazany makijaż. Szybko starła czarne smugi i patrząc na odbicie Patryka, powiedziała spokojniejszym tonem: - Zdaje się, że w naszej umowie nie było ani słowa o łzach. Nasz związek opiera się na seksie i jakiejś takiej dziwnej przyjaźni. Nie ma sensu psuć go z powodu... uczuć.

Patryk również wstał i stanął tuż za jej plecami. Patrząc w lustro, zajął jej w oczy i zapytał:

- Jakie uczucia masz na myśli?

- Nadmiar uczuć, te sceny rodem z melodramatu. Zresztą sama nie wiem - wzruszyła ramionami - może to święta mnie tak rozklejają.

- Jest sylwester - przypomniał jej krótko. - I naprawdę nie warto zaczynać nowego roku od kłamstw.

- Dlaczego? To akurat wychodzi nam najlepiej.

- Właśnie nie za bardzo. Już wolę się kłócić. Ostatnio w ogóle się nie kłóciliśmy. Pamiętasz, przez te kilka tygodni, aż do dnia, kiedy obrażona pojechałaś do dziadków. Powiem ci szczerze, że nie bardzo wiedziałem, co się z tobą stało. Byłaś słodka jak miód, zgodna, układowa, gotowałaś mi obiady. Tylko czekałem, kiedy przyniesiesz mi kapturę i gazetę.

- A co, może ci się nie podobało? - zapytała urażona. - Pora, żebyś się dowiedział, że bycie miłą kosztowało mnie sporo wysiłku! Ale możesz spać spokojnie. Nie będę ci się narzucać.

- I dzięki Bogu.

- I wreszcie zejdziesz z drogi - dodała pospiesznie. - Po Nowym Roku sprzedaję dom i przenoszę się do Waszyngtonu!

- Poczekaj. Chyba sama nie wiesz, co mówisz.

- A co, może mnie zatrzymasz? Nie chcę tu mieszkać. Nie

chcę już tego domu. Sama nie wiem, dlaczego pozwoliłam ci zrobić tyle rzeczy według twoich pomysłów.

- Bo to były dobre pomysły. Były dobre, a ty się z nimi zgodziłaś. Dlatego nie sprzedasz tego domu. Po moim trupie!

- Skoro tak ci się podoba, to możesz go ode mnie kupić.

- Dobrze. Podaj tylko cenę. Ale jeśli myślisz, że pozwolę ci się stąd wyprowadzić, to jesteś w wielkim błędzie.

- Powiedziałam ci już, że nie chcę tu mieszkać!

- A ja mówię, że cię nie puszczę!

- Ty wariacie!

- Ty idiotko!

Pod wpływem emocji mówili coraz głośniej, aż wreszcie prawie krzyczeli. Dlatego dopiero po chwili dotarły do nich słowa, które wypowiedzieli w tej samej sekundzie:

- Kocham cię i dlatego nie mogę tu mieszkać bez ciebie!

- Kocham cię i dlatego nie pozwolę ci wyjechać!

Julia przymknęła oczy, a Patryk cofnął się, jakby coś go sparzyło.

- Powtórz, co powiedziałaś - poprosił.

- Nic nie powiedziałam. To ty coś mówiłeś.

- Powiedziałas, że mnie kochasz.

- A mnie się wydawało, że to ty.

- Dobrze, a nawet gdyby tak było, to co? - Zrobił jeszcze jeden krok w tył. - Wy, kobiety, zawsze tak człowieka omotacie, że sam już nie wie, co mówi. A nawet gdybym powiedział, że cię kocham, to co? - powtórzył swoje pytanie. - No, co byś wówczas zrobiła?

- Poprosiłabym cię, żebyś się ze mną ożenił.

Najpierw pomyślał, że się przesłyszał. Potem przyszło mu do głowy, że Julia kpi. Popatrzył na nią czujnie, lecz ona była całkowicie poważna. Poważna, spokojna i piękna jak nigdy dotąd.

- No, Murdoch, decyduj się, bo szkoda czasu - odezwała się tonem, który jako żywo przypominał sposób mówienia jej dziadka. - Żenisz się ze mną czy nie?

Podszedł do niej wolno, ale wciąż patrzył na nią w taki sposób, jakby była duchem.

- Mam w kieszeni pierścionek - powiedział cicho.

- Akurat!

- Założysz się?

- Pokaż.

Posłusznie sięgnął do kieszeni i wyjął białe pudełeczko.

- Należał do mojej matki. To nie jest brylant, ale ty i tak wolisz kolorowe kamienie.

- Patryk... - Zajrzała w jego oczy i poczuła ten sam wspaniały, cudowny spokój, który ogarnął ją, gdy odpoczywała po ich pierwszej miłosnej nocy. - Ty naprawdę mnie kochasz.

- Przecież wiesz. A gdybyś ty powiedziała mi pierwsza, zaoszczędzilibyśmy sobie paru nieprzespanych nocy.

- Chciałam, żebyś ty powiedział pierwszy. Ale... - pokręciła głową - czy naprawdę nie widziałeś, że cię Kocham? To po co bym gotowała te obiady?

- To proste, żeby mnie otruć - uśmiechnął się półgębkiem.

- Uwierz mi, że tylko ciężko zakochany facet jest w stanie przełknąć twoje specjały.

Uznała, że powinna się obrazić, ale w porę ogarnął ją śmiech.

- Jeśli mi się oświadczysz, przyrzekam, że moja noga nie postanie więcej w kuchni.

- Umowa stoi.

Oczekiwała, że padnie przed nią na kolana, lecz Patryk najspokojniej w świecie wyciągnął z kieszeni zegarek, który mu podarowała, i zaczął regulować wskazówki.

- Co ty wyprawiasz? Nie umiesz oświadczyć się jak człowiek? - fuknęła.

- Chcę to zrobić porządnie. Jest za kwadrans jedenasta, więc dla lepszego efektu należy to poprawić - powiedział i przesunął wskazówki na północ. Potem wziął ją za rękę i powiedział: - Nie wiedziałem, o Julio, że jesteś wszystkim, czego

w życiu pragnę. Zrozumiałem to dopiero wówczas, kiedy razem stworzyliśmy ten dom. Czy to nie wspaniałe, że wspólnie kończymy stary i zaczynamy nowy rok? - Podniósł do ust obie jej dłonie. - Chciałbym wszystkie kolejne witać razem z tobą.

- Nieźle - uśmiechnęła się. - Zawsze wierzyłam, że masz swój styl.

- Julka, stworzymy super ekipę. Mówię ci!

- Trzymam cię za słowo!

- To co? Wyjdiesz za mnie?

- No, już myślałam, że się nie doczekam. Kiedy?

Pewnie powiedziała by jej, że jutro, ale zamknęła mu usta długim, gorącym pocałunkiem.

Z pamiętnika Daniela Duncana MacGregora

Łaskawy Bóg obdarzył mnie głową do interesów i talentem do robienia pieniędzy. Dzięki temu niczego mi w życiu nie brakowało. Nie powiem, że te pieniądze przyszły łatwo. Nieraz musiałem mocno nagiąć karku, nieraz musiałem zaryzykować. Czasem wygrywałem, a czasem traciłem. Jednak największym i najważniejszym darem, jaki dostałem od Boga, jest moja rodzina.

Zabierzcie mi ostatni grosz, ale zostawcie rodzinę, a powiem, że jestem bogaty. Kiedy zaczynałem pisać te pamiętniki, po głowie snuły mi się pewne plany. Znajdą się pewnie tacy, którzy powiedzą, że to był spisek ale do diabła z tym, co gadają ludzie. Cokolwiek sobie wymyśliłem, miało być to dobre dla moich bliskich. I jako żywo było!

Wykonałem wszystko, co z takim trudem zaplanowałem. I patrzcie, jakie są efekty! Laura jest szczęśliwą żoną i matką. Żyje sobie z Roysem i chowa mojego imiennika, Daniela Camerona MacGregora. Cudny z niego dzieciak. Już teraz widać, że to moja krew. Roys jest najwspanialszym ojcem pod słońcem i chwala mu za to, bo mężczyzna powinien dbać o swoje dzieci. A mój syn Caine wprost pęka z dumy, że jest dziadkiem. Z tego wszystkiego nawet zaprzyjaźnił się z zięciem, choć na początku miał do niego sporo zastrzeżeń. Ale co robić, musieli się zaprzyjaźnić, skoro obaj kochają Laurę.

Amelia i Branson oczekują dziecka. Oczywiście ona trochę panikuje, że nie da rady pogodzić macierzyństwa z pracą w szpitalu. Całe szczęście jest moja Anna, złota kobieta, która

uspokaja ją i przekonuje, że jeśli kobieta chce, to potrafi doskonale pogodzić karierę z wychowaniem dzieci. Branson troszczy się o żonę, że aż miło patrzeć. Spróbowałby nie, to miałby ze mną do czynienia! Całe szczęście chłopak zakochał się po uszy! I dzięki komu to się stało? Dzięki mnie! Od razu wiedziałem, że tych dwoje napisze razem historię z happy endem. A ten szpitalny kryminał Bransona przeczytałem do końca, jak tylko wydali go drukiem. Kto by pomyślał, że ta szalona lekarka na końcu porwie się na własne życie?

Z drugiej strony tak sobie myślę, że po co pisać o takich okropieństwach, skoro najlepszym tematem jest miłość. Wystarczy spojrzeć na Julię i Patryka, jak wiją sobie gniazdko w domu, który razem stworzyli. Oczywiście cały czas gryzą się jak dwa teriery, jednak nie ma obawy, krzywdy sobie nie zrobią. Bez kłótni żyć nie potrafią, bo taka już ich natura. A tacy są siebie spragnieni, że jak nic niedługo usłyszę, że mój następny prawnuk jest w drodze na świat.

Piękna z nich była para. Urządziliśmy im z Michaelem wspaniały ślub. Julia, jak wszystkie moje wnuczki, jako panna młoda zachwyciła wszystkich. Wysoka, postawna, elegancka w swojej pięknej sukni z rodzinnym welonem, od Patryka oczu nie mogła oderwać, a on od niej. Cały czas uśmiechali się do siebie, brali za ręce, coś tam sobie szeptali. Widać było, że tych dwoje sam Bóg wybrał, by byli razem. A ja, stary, patrząc na ich szczęście, dziękowałem dobremu Bogu, że pozwolił mi tak zgrabnie Mu w tym dopomóc.

Welon ślubny panien MacGregor znowu trafił do szafy. Ale jakem Daniel MacGregor, nie dopuszczę do tego, żeby go zżarły mole! Pora, żeby moi wnukowie pomyśleli poważniej o życiu. Myślę, że dałem im dość czasu, żeby się wyszumieli. Teraz trzeba zakasać rękawy i brać się do pracy, bo rodzina to nie zabawa. Wiem, że muszę się z nimi pospieszyć, bo przecież nie będę żył wiecznie. Już nawet delikatnie zakręciłem się wokół Maca, najstarszego z chłopaków. Niestety, chyba nie zrozumiał

moich drobnych sugestii, więc trzeba będzie obejść się z nim bardziej po męsku.

Muszę powiedzieć, że z dziewczynami poszło mi wspaniale. To jednak nie powód, żeby tak szybko spocząć na laurach. Jak człowiek nie ma nic do roboty, zaczyna się starzeć. Chcę jeszcze zobaczyć moich chłopców, jak stają przed ołtarzem z dobrymi, mądrymi kobietami u boku. Muszę być pewny, że wszystkie moje wnuki ułożyły sobie dobrze życie, a wtedy ze spokojną głową będą mógł umierać.